

Znachor

Tadeusz Dołęga Mostowicz



calibre 0.9.27



Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym

LITERATURA.NET.PL

kliknij na logo poniżej.

TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

ZNACHOR

2

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

3

Rozdział I

W sali operacyjnej panowała zupełna cisza. Z rzadka przerywał ją ostry, krótki brzęk metalowych narzędzi chirurgicznych na szklanej płycie. Powietrze nagrzane do trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza przenikał słodkawy zapach chloroformu i surowa woń krwi, które przenikając przez respiratory napełniały płuca nieznośną mieszaniną. Jedna z sanitariuszek zemdlała w kącie sali, lecz nikt z pozostałych nie mógł odejść od stołu operacyjnego, by ją ocucić. Nie mógł i nie chciał. Trzej asystujący lekarze nie spuszczaali czujnego wzroku z otwartej czerwonej jamy, nad którą poruszały się wolno i zdawało się niezgrabnie wielkie,

grube ręce profesora Wilczura.

Każdy najmniejszy ruch tych rąk trzeba było zrozumieć natychmiast. Każde mruknięcie wydobywające się od czasu do czasu spod maski zawierało dyspozycję zrozumiałą dla asystentów i wykonywaną w mgnieniu oka. Szło przecie nie tylko o życie pacjenta, lecz i o coś znacznie ważniejszego, o udanie się tej szaleńczej, beznadziejnej operacji, która stać się mogła nowym wielkim triumfem chirurgii i przynieść jeszcze większą sławę nie tylko profesorowi, nie tylko jego lecznicy i uczniom, lecz całej nauce polskiej.

Profesor Wilczur operował wrzód na sercu. Trzymał je oto w lewej dłoni i rytmicznym ruchem palców masował nieustannie, gdyż wciąż słabło. Przez cienką gumową rękawiczkę czuł każde drgnięcie, każdy lekki bulgot, gdy zastawki odmawiały posłuszeństwa i drętwiącymi palcami zmuszał je do pracy. Operacja trwała już czterdzieści sześć minut. Czuwający nad pulsem doktor Marczewski już po raz szósty zanurzał pod skórę pacjenta igłę szprycki z kamforą i atropiną.

Prawa ręka profesora Wilczura raz po raz połyskiwała krótkimi ruchami lancetów i łyżek. Na szczęście wrzód nie sięgał głęboko w mięsień sercowy i ukształtował się płytkim, prawidłowym stożkiem. Życie tego człowieka było do uratowania. Oby wytrzymał jeszcze osiem, dziewięć minut.

A jednak nikt z nich nie odważył się! – chełpliwie pomyślał profesor.

Tak, nikt, żaden chirurg ani w Londynie, ani w Paryżu, w Berlinie czy Wiedniu. Przywieźli go do Warszawy, wyrzekając się i sławy, i kolosalnego honorarium. A to honorarium to dobudowanie nowego pawilonu lecznicy i coś ważniejszego, bo podróż Beaty z małą na Wyspy Kanaryjskie. Na całą zimę. Ciężko będzie bez nich, ale zrobi to im doskonale. Nerwy Beaty w ostatnich czasach...

Sinaworóżowawa poduszka płuca wzdęła się spazmatycznym oddechem i skurczyła się

nagle. Raz, drugi, trzeci. Kawałek żywego mięsa w lewej dłoni profesora zadygotał. 2 małej ranki na fioletową błonę spłynęło kilka kropli krwi. W oczach wszystkich obecnych zamigotało przerażenie. Rozległ się cichy syk tlenu, a igła rekordu wniknęła znowu pod skórę chorego. Grube palce profesora ścisnęły się i otwierały rytmicznie.

Jeszcze kilka sekund i ranka była oczyszczona. Cieniutka nić chirurgiczna miała teraz dokonać dzieła. Jeden, drugi, trzeci szew. To było wprost nie do uwierzenia, że te ogromne ręce zdolne są do takiej precyzji. Ostrożnie złożył serce i przez chwilę wpatrywał się w nie uważnie. Pęczniało i wiotczało nierównym tempem, ale niebezpieczeństwo już minęło. Wyprostował się i dał znak. Z płacht sterylizowanych płócien doktor Skórzeń wydobył wypiłowaną część klatki piersiowej. Jeszcze kilka niezbędnych zabiegów i profesor odetchnął. Reszta należała już do asystentów. Mógł im w zupełności zaufać. Wydał kilka dyspozycji i przeszedł do ubieralni.

Z rozkoszą odetchnął tu normalnym powietrzem, zdjął respirator, rękawiczki, fartuch i kiel zabryzgane krwią i przeciągnął się. Zegar wskazywał drugą trzydzieści pięć. Znowu spóźniał się na obiad. I to w taki dzień. Beata wprawdzie wie, jak ważną ma dziś operację, ale

4

niewątpliwie spóźnienie w takim dniu sprawi jej dużą przykrość. Umyślnie wychodząc z rana z domu niczym po sobie nie dał poznać, że pamięta tę datę: ósma rocznica ich ślubu. Ale Beata wiedziała, że zapomnieć nie mógł. Co roku tego dnia otrzymywała jakiś piękny prezent, co roku piękniejszy i co roku droższy, w miarę jak rosła jego sława i jego majątek. I teraz już na pewno w gabinecie na parterze jest nowy. Kuśnierz musiał już rano przysłać...

Profesor spieszył się i przebrał szybko. Musiał jednak zajrzeć jeszcze do dwóch chorych na drugim piętrze i do pacjenta operowanego przed chwilą. Czuwający przy nim doktor Skórzeń zaraportował krótko:

– Temperatura trzydzieści pięć i dziewięć, ciśnienie sto czternaście, puls bardzo słaby z lekką arytmia sześćdziesiąt do sześćdziesiąt sześć.

– Dzięki Bogu. – Profesor uśmiechnął się doń.

Młody lekarz obrzucił wzrokiem pełnym uwielbienia ogromną, niedźwiedziowatą postać szefa. Był jego słuchaczem na Uniwersytecie. Pomagał mu w przygotowaniu materiałów do jego dzieł naukowych, póki jeszcze profesor pracował naukowo, odkąd zaś otworzył własną lecznicę, doktor Skórzeń znalazł tu dobrą pensję i duże pole pracy. Może żałował w duchu, że szef wyrzekł się tak nagle ambicji uczonego, że ograniczył się do belferki uniwersyteckiej i do robienia pieniędzy, ale nie mógł go z tej racji mniej cenić. Wiedział przecież, jak i wszyscy w Warszawie, że profesor nie robił tego dla siebie, że pracował niczym niewolnik, że nigdy nie zawahał się wziąć na siebie odpowiedzialności, a często dokazywał takich cudów) jak dziś.

– Pan jest geniuszem, profesorze – powiedział z przekonaniem.

Profesor Wilczur zaśmiał się swoim niskim, dobrodusznym śmiechem, który takim spokojem i ufnością napełniał jego pacjentów.

– Bez przesady, kolego, bez przesady! I wy do tego dojdziecie. Ale przyznam, że jestem kontent. W razie czego każcie dzwonić do mnie. Chociaż sądzę, że obejdzie się bez tego. I wolałbym, bo mam dziś... święto domowe. Już tam pewno dzwoniли, że obiad się przysmali...

I profesor nie mylił się. W jego gabinecie już kilka razy odzywał się telefon.

– Proszę zawiadomić pana profesora – mówił lokaj – by jak najprędzej wracał do domu.

– Pan profesor jest na sali operacyjnej – za każdym razem z jednakową flegmą odpowiadała sekretarka, panna Janowiczówna.

– Cóż to tak szturmują, u licha?! – odezwał się wchodząc naczelny lekarz doktor Dobraniecki.

Panna Janowiczówna przekręciła wałek w maszynie i wyjmując gotowy list, powiedziała:

– Dziś rocznica ślubu profesorstwa. Zapomniał pan? Ma pan przecież zaproszenie na bal.

– Ach, prawda. Spodziewam się niezłej zabawy... Jak zawsze u nich będzie wyśmienita orkiestra, luksusowa kolacja i najlepsze towarzystwo.

– Zapomniał pan, o dziwo, o pięknych kobietach – zauważyła ironicznie.

– Nie zapomniałem. Skoro pani tam będzie... – odciął się. Na chude policzki sekretarki wystąpił rumieniec.

– Niedowcipne. – Wzruszyła ramionami. – Choćbym była najpiękniejsza, nie liczyłabym na pańską uwagę.

Panna Janowiczówna nie lubiła Dobranieckiego. Podobał się jej jako mężczyzna, bo istotnie był bardzo przystojny z tym orlim nosem i wysokim, dumnym czołem, wiedziała, że jest świetnym chirurgiem, bo sam profesor powierzał mu najtrudniejsze operacje i przeforsował go na stanowisko docenta, uważała go jednak za zimnego karierowicza, polującego na bogate małżeństwo, a poza tym nie wierzyła w jego wdzięczność dla profesora, któremu przecież wszystko zawdzięczał.

Dobraniecki był dość subtelny, by wyczuć tę niechęć. Ponieważ jednak miał zwyczaj nie narażać sobie nikogo, kto mógłby mu w czymkolwiek zaszkodzić, odezwał się pojednawczo, wskazując na stojące przy biurku pudło:

5

– Sprawiała pani sobie już nowe futro? Widzę pudło od Porajskiego.

– Nie stać mnie w ogóle na Porajskiego, a zwłaszcza na takie futro.

– Aż „takie”?

– Niech pan zajrzy. Czarne sobole.

– Fiu... fiu. Dobrze się powodzi pani Beacie. Pokiwał głową i dodał:

– Przynajmniej materialnie.

– Co pan przez to rozumie?

– Nic.

– Wstydziłby się pan – wybuchła. – Takiego męża i tak kochającego mogłaby pozazdrościć jej każda kobieta.

– Zapewne.

Panna Janowiczówna przeszła go gniewnym wzrokiem.

– Ma wszystko, o czym kobieta może marzyć! Ma młodość, urodę, cudną córeczkę, sławnego i powszechnie uwielbianego męża, który pracuje dniami, nocami, by zapewnić jej wygodę, zbytki, znaczenie w świecie. I upewniam pana, doktorze, że ona to umie docenić!

– I ja nie wątpię – skinął lekko głową – tylko wiem, że kobiety najwyżej cenią...

Nie dokończył, gdyż do gabinetu wpadł doktor Bang i zawołał:

– Zdumiewające! Udało się! Będzie żył!

Z entuzjazmem zaczął opowiadać przebieg operacji, przy której asystował.

– Jeden tylko nasz profesor mógł się porwać na to!... Pokazał, co umie – zawołała panna Janowiczówna.

– No, nie przesadzajmy – odezwał się doktor Dobraniecki. – Moi pacjenci nie zawsze są lordami i milionerami, może nie zawsze mają sześćdziesiątkę, ale historia zna cały szereg pomyslnych operacji serca. Nawet historia naszej medycyny. Warszawski chirurg doktor Krajewski taką właśnie operacją zdobył światowy rozgłos. A było to trzydzieści lat temu!

W gabinecie zebrało się jeszcze kilka osób z personelu lecznicy, i gdy po chwili zjawił się profesor, zasypano go gratulacjami.

Słuchał ich z uśmiechem zadowolenia na swojej czerwonej, wielkiej twarzy, lecz wciąż rzucał okiem na zegarek. Minęło jednak dobrych dwadzieścia minut, zanim znalazł się na

dole w swojej dużej, czarnej limuzynie.

– Do domu – rzucił szoferowi i rozsiadł się wygodnie. Znużenie mijało szybko. Był zdrowy i silny, a chociaż dzięki swojej tuszy wyglądał nieco starze), miał przecież tylko czterdzieści trzy lata, czuł się jeszcze młodszym. Czasami po prostu jak smarkacz. Przecie umiał z małą Mariolą koziółkować na dywanie lub bawić się w chowanego nie tylko dla jej przyjemności, ale i dla własnej.

Beata nie chciała tego zrozumieć i gdy przyglądała się mu w takich chwilach, miała w wyrazie oczu coś jakby zażenowanie i obawę.

– Rafale – mówiła – gdyby cię tak zobaczono!

– Może zaangażowano by mnie wówczas na freblankę – odpowiadał ze śmiechem.

A w gruncie rzeczy robiło mu się w takich chwilach trochę przykro. Beata niewątpliwie była najlepszą żoną na świecie. Na pewno go kochała. Dlaczego jednak odnosiła się doń z tym niepotrzebnym szacunkiem, z jakąś jakby czcią? W jej dbałości i pieczołowitości było coś z liturgii. W pierwszych latach przypuszczał, że się go boi, i robił wszystko, by to usunąć. Opowiadał o sobie najkomiczniejsze rzeczy, zwierzał się jej ze swoich omyłek, niezaszczytnych przygód studenckich, starał się wyrugować z jej główki najmniejszą myśl o tym, że nie są zupełnie równi. Przeciwnie, na każdym kroku podkreślał, że żyje tylko dla niej, że pracuje tylko dla niej i że tylko przez nią jest szczęśliwy. Zresztą była to szczerza prawda.

Kochał Beatę do szaleństwa i wiedział, że ona odpłaca mu równą miłością, chociaż cichą i mniej impulsywną. Zawsze była taka pastelowa i delikatna jak kwiat. Zawsze miała dlań uśmiech i dobre słowa. I myślałby, że może potrafi być inna, gdyby nie to, że widział ją nieraz

6

rozbawioną, wybuchającą raz po raz głośnym śmiechem, żartobliwą i zalotną, ilekroć otaczała ją towarzystwo młodzieży i ilekroć nie wiedziała, że on na nią patrzy. Na głowie stawał,

by przekonać ją, że jest bardziej od innych, od najmłodszych, gotów do takiej beztrudnej zabawy – na próżno. Wreszcie z biegiem czasu pogodził się z tym, wyperswadował sobie pretensje do dalszego spotęgowania i tak olbrzymiego swego szczęścia.

I tak przyszła ósma rocznica ich ślubu, ósma rocznica wspólnego życia nie zakłóconego ani razu najmniejszą sprzeczką, najdrobniejszym sporem czy bodaj cieniem nieufności, za to ileż razy rozświetlonego tysiącem chwil i godzin radości, pieśczęt, zwierzeń...

Zwierzeń... Właściwie tylko on się jej zwierzał ze swych uczuć, myśli, planów. Beata nie umiała tego, lub też jej życie wewnętrzne było zanadto jednolite, zanadto proste... Może zanadto – Wilczur skarcił siebie za to określenie – zanadto ubogie. Uważał, że uwłacza to Beacie, że ją skrzywdził, tak o niej myśląc. Jeżeli jednak było tak naprawdę, tym większa tkliwość napełniała jego serce.

– Ogłuszam ją – mówił do siebie – oszołamiam sobą. Jest taka inteligentna i tak subtelna.

Stąd drażliwość i obawa, by nie okazać mi, że jej sprawy są drobne, codzienne, pospolite.

Doszedłszy do takiego wniosku starał się wynagrodzić je) tę krzywdzącą dysproporcję.

Wnikał z największą uwagą i z przejęciem w szczegóhki domowe, interesował się jej strojami, perfumami, podchwytywał każde słówko projektów towarzyskich czy dotyczących pokoju dziecinnego i rozważał je z takim zajęciem, jakby chodziło o kwestie naprawdę ważne. Bo i były dlań ważne, ważniejsze ponad wszystko, skoro wierzył, że szczęście należy pielęgnować z największą troskliwością, skoro rozumiał, że te nieliczne, wyrwane z pracy godziny, które może Beacie poświęcić, musi napełnić jak najintensywniejszą treścią, jak największym ciepłem...

Auto stanęło przed piękną, białą willą, niewątpliwie najładniejszą w całej Alei Bzów, a jedną z najelegantszych w Warszawie.

Profesor Wilczur wyskoczył, nie czekając, aż szofer otworzy drzwiczki, wziął z jego rąk

puddło z futrem, szybko przebiegł chodnik i dróżkę, własnym kluczem otworzył drzwi i zamknął je jak najciszej za sobą. Chciał Beacie zrobić niespodziankę, którą ułożył sobie jeszcze przed godziną, gdy pochylony nad otwartą klatką piersiową operowanego obserwował powiększony splot aort i wen.

W hallu jednak zastał Bronisława i starą gosposię Michałową. Widocznie Beata nie była w dobrym humorze z powodu jego spóźnienia, gdyż mieli miny przeciągnięte i widocznie nań czekali. Profesorowi psuło to plany i ruchem ręki kazał się im wynosić. Pomimo to Bronisław odezwał się:

– Panie profesorze...

– Csss!... – przerwał mu Wilczur i marszcząc brwi dodał szeptem – weź palto!

Służący chciał znowu coś powiedzieć, lecz tylko poruszył ustami i pomógł profesorowi rozbrać się.

Wilczur prędko otworzył puddło, wyjął zeń piękne palto z czarnego, lśniącego futra o długim, jedwabnym włosie, narzucił je sobie na ramiona, na głowę włożył zawadiacko kołpaczek z dwoma filuternie zwisającymi ogonkami, na rękę wsunął mufkę i z rozradowanym uśmiechem przejrzał się w lustrze: wyglądał arcykomicznie.

Rzucił okiem na służbę, by sprawdzić wrażenie, lecz we wzroku gosposi i lokaja było tylko zgorzenie.

– Głuptasy – pomyślał.

– Panie profesorze... – zaczął znowu Bronisław, a Michałowa zadreptała na miejscu.

– Milczeć, do licha – szepnął i wymijając ich, otworzył drzwi do salonu. Spodziewał się zastać Beatę z małą albo w różowym pokoju, albo w buduarze.

Przeszedł sypialnię, buduar, dziecinny. Nie było ich. Zawrócił i zajrzał do gabinetu. I tu było pusto. W jadalni, na ukwieconym stole, połyskującym złoceniami porcelany i kryształ-

mi, były dwa nakrycia. Mariola z miss Tholereed jadały razem wcześniej. W otwartych drzwiach do kredensu stała pokojówka. Miała twarz zapłakaną i zapuchnięte oczy.

– Gdzie jest pani? – zapytał zaniepokojony. Dziewczyna w odpowiedzi wybuchła łkaniem.

– Co to jest? co się stało?! – zawołał, już nie hamując głosu. Przeczucie jakiegoś nieszczęścia chwyciło go za gardło.

Gospodyni i Bronisław wsunęli się cicho do jadalni i w milczeniu stali pod ścianą. Powiódł po nich przerażonym spojrzeniem i krzyknął rozpaczliwie:

– Gdzie jest pani?!

Nagle wzrok jego zatrzymał się na stole. Przy jego nakryciu oparty o wysmukły kryształowy kieliszek stał list. Bładoniebieska koperta z wysrebrzonymi brzeżkami.

Serce skurczyło się mu gwałtownie, w głowie zawirowało. Jeszcze nie rozumiał, jeszcze nic nie wiedział. Wyciągnął rękę i wziął list, który wydał mu się sztywny i martwy. Przez chwilę trzymał go w palcach. Na kopercie adresowanej do niego poznał charakter pisma Beaty. Duże, kanciaste litery.- Otworzył i zaczął czytać:

„Drogi Rafale! Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę...”

Wyrazy zaczęły drgać i wirować przed oczami. W płucach zabrakło powietrza, na czole wystąpiły krople potu.

– Gdzie ona jest – krzyknął zdławionym głosem – gdzie ona jest?!

I potoczył wzrokiem dokoła.

– Pani odjechała z panienką – wybąkała cicho gospoia.

– Kłamiesz! – ryknął Wilczur. – To nieprawda!

– Sam sprowadziłem taksówkę – przyświadczył rzetelnym tonem Bronisław, a po pauzie dodał: – i walizki znośłem. Dwie walizki...

Profesor zataczając się wyszedł do sąsiedniego gabinetu, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Próbował czytać dalej list, lecz minęło sporo czasu, zanim potrafił zmusić się do zrozumienia treści.

„Nie wiem, czy zdołasz wybaczyć mi kiedykolwiek to, że odchodzę. Postępuję podle, wypłacając Ci się tą krzywdą za Twoją wielką dobroć, której nigdy nie zapomnę. Ale dłużej zostać nie mogłam. Przysięgam Ci, że miałam tylko jedno inne wyjście: śmierć. Jestem jednak tylko słabą i biedną kobietą. Nie umiałam zdobyć się na heroizm. Od wielu miesięcy walczyłam z tą myślą. Może nigdy nie będę szczęśliwa, może nigdy nie zaznam spokoju. Ale nie miałam prawa odbierać sobie naszej Marioli i – jemu.

„Piszę chaotycznie, lecz trudno mi zebrać myśli. Dziś rocznica naszego ślubu. Wiem, żeś przygotował, drogi Rafale, jakiś podarek dla mnie. Byłoby to nieuczciwe, gdybym przyjęła go od Ciebie teraz, gdy już nieodwołalnie postanowiłam odejść.

„Pokochałam, Rafale. I ta, miłość silniejsza jest ode mnie. Silniejsza od wszystkich uczuć, jakie żywię i zawsze żywiłam dla Ciebie, od bezgranicznej wdzięczności do najgłębszego szacunku i podziwu, od szczerzej życzliwości do przywiązania. Niestety, nie kochałam Cię nigdy, lecz dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, gdy na swojej drodze spotkałam Janka.

„Odjeżdżam daleko i miej nade mną miłosierdzie: nie szukaj mnie! Błagam, ulituj się nade mną! Wiem, że jesteś wielkoduszny i nadludzko dobry. Nie proszę Cię, Rafale, o przebaczenie. Nie zasłużyłam na nie i zdaję sobie sprawę z tego, że masz prawo nienawidzić i pogardzać.

„Nigdy nie byłam godna Ciebie. Nigdy nie sięgałam do Twego poziomu. Sam o tym wiesz aż nadto dobrze i jedynie Twojej dobroci przypisuję to, żeś zawsze starał się nie okazać mi tego, co jednak było ponad wszelką miarę dla mnie poniżające i dręczące. Otoczyłeś mnie zbytkiem i ludźmi swego świata. Zасыpywałeś mnie cennymi prezentami. Ale ja widocznie

nie byłam stworzona do takiego życia. Męczył mnie i wielki świat, i bogactwo, i Twoja sława i – moja nicość przy tobie.

8

„Teraz świadomie idę w nowe życie, gdzie może czeka mnie ostateczna bieda, a w każdym razie ciężka walka o każdy kawałek chleba. Ale walkę tę toczyć będę obok i razem z człowiekiem, którego bezbrzeżnie kocham. Jeżeli swoim czynem nie zabijam szlachetności Twego serca, jeżeli potrafisz, zaklinam Cię, zapomnij o mnie. Na pewno wkrótce odzyskasz spokój, jesteś przecie taki mądry, na pewno spotkasz inną, stokroć lepszą ode mnie. Życzę Ci z całej duszy szczęścia, które i ja w pełni odzyskam, gdy dowiem się, że Tobie dobrze.

„Zabieram Mariolę, bo bez niej nie potrafiłabym przeżyć jednej godziny. Sam to wiesz najlepiej. Nie myśl, że chcę ograbić Cię z tego największego skarbu, który jest naszą wspólną własnością. Po kilku latach, gdy już oboje spokojnie będziemy mogli spojrzeć w przeszłość, odezwę się do Ciebie.

„Zegnaj, Rafale. Nie posądzaj mnie o lekkomyślność i nie łudź się, że cokolwiek może wpłynąć na zmianę mojego postępowania. Nie odstąpię od mego, gdyż wolałabym raczej śmierć. Nie umiałam Cię okłamywać i wiedz, że byłam Ci wierna do końca. Żegnaj, miej litość i nie staraj się mnie odnaleźć.

Beata

Ps. Pieniądze i całą biżuterię zostawiam w kasie. Klucz od kasy włożyłam do skrytki w Twoim biurku. Zabieram z sobą tylko rzeczy Marioli”.

Profesor Wilczur opuścił rękę z listem i przetarł oczy: w lustrze naprzeciw zobaczył swoje odbicie w dziwnym stroju. Zrzucił z siebie to wszystko i zaczął czytać list od nowa.

Cios spadł nań tak nieoczekiwanie, że wciąż wydawał mu się czymś nierealnym, jakąś dopiero groźbą czy ostrzeżeniem.

Czytał:

...niestety, nie kochałam Cię nigdy...

A dalej:

...męczył mnie i wielki świat, i bogactwo, i Twoja sława...

– Jakże to tak? – jęknął. – Dlaczego?... Dlaczego?...

Na próżno usiłował zrozumieć wszystko. W jego świadomości było to: odeszła, porzuciła go, zabrała dziecko, kocha innego. Żaden z motywów nie docierał do jego mózgu. Widział tylko nagi fakt, dziki, nieprawdopodobny, groteskowy.

Na dworze zaczynał się wczesny, jesienny zmierzch. Zbliżył się do okna i czytał list Beaty, już nie wiedział sam po raz który.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i Wilczur drgnął. Przez jedno mgnienie ogarnęła go nieprzytomna nadzieja.

– To ona! Wróciła!...

Lecz już w następnej chwili pojął, że to niepodobieństwo.

– Proszę – odezwał się ochrypłym głosem.

Do pokoju wszedł Zygmunt Wilczur, jego daleki krewny, prezes Sądu Apelacyjnego.

Utrzymywali dość serdeczne stosunki i bywali u siebie dość często. Zjawienie się Zygmunta w tej chwili nie mogło być przypadkowe i profesor od razu domyślił się, że musiała go za-wiadomić telefonicznie Michałowa.

– Jak się miewasz, Rafale? – odezwał się Zygmunt tonem energicznym i przyjacielskim.

– Jak się masz. – Profesor wyciągnął doń rękę.

– Cóż tak siedzisz po ciemku? Pozwolisz? – I nie czekając na odpowiedź, przekreślił kontakt. – Zimno tu, pieska jesień. Co widzę! Drzewo na kominku! Nie ma to jak kominek. Niechże ten Bronisław zapali...

Uchylił drzwi i zawołał:

9

– Bronisławie! Proszę tu zapalić w kominku. Służący wchodząc zerknął z ukosa na swego pana, podniósł z podłogi porzucone futro, rozniecił ogień i wyszedł. Ogień szybko objął suche drwa.

Profesor stał nieruchomo przy oknie.

– Chodźże, siądziemy tu, pogawędzimy. – Zygmunt pociągnął go na fotel przed komin-
kiem. – No, tak. Ciepło to cudowna rzecz. Ty, jako młody, nie umiesz jeszcze tego ocenić.
Ale na moje stare gnaty... Cóż to, nie w lecznicy? Próżnujesz dziś?

– Tak... Złożyło się tak.

– A właśnie telefonowałem – nadrabiał prezes swadą – telefonowałem do lecznicy. Chcia-
łem wpaść, by zasięgnąć twojej rady. Zaczyna mi dokuczać lewa noga. Obawiam się, że to
ischias...

Profesor słuchał w milczeniu, lecz tylko pojedyncze słowa trafiały do jego świadomości.

Jednakże równy i pogodny głos Zygmunta sprawił to, że myśli się zaczynały skupiać, łączyć,
wiązać w jakiś niemal już realny obraz rzeczywistości. Drgnął, gdy kuzyn zmienił ton i za-
pytał:

– A gdzież Beata?

Twarz profesora ściągnęła się i odpowiedział z wysiłkiem:

– Wyjechała... Tak... Wyjechała... Wyjechała... za granicę.

– Dzisiaj?

– Dzisiaj.

– To dość, zdaje się, niespodziewany projekt? – od niechcienia zauważył

Zygmunt.

– Tak... tak. Wysłałem ją... Rozumiesz... były pewne sprawy i w związku z tym...

Mówił z taką trudnością, a cierpienie tak wyraźnie rysowało się na jego twarzy, że Zygmunt pośpiesznie potwierdził najcieplejszym tonem, na jaki umiał się zdobyć:

– Rozumiem. Naturalnie. Tylko widzisz, na dzisiaj rozesłaliście zaproszenia na wieczór.

Należałoby zatelefonować do wszystkich i odwołać... Czy pozwolisz, że się tym zajmę?...

– Proszę...

– No, to doskonale. Sądzę, że Michałowa ma listę zaproszonych. Wezmę to od niej. A ty zrobiłbyś najlepiej, gdybyś położył się spać. Co?... Nie będę ci zawracał dłużej głowy. No, do widzenia...

Wyciągnął rękę, lecz profesor nie zauważył tego. Zygmunt poklepał go po ramieniu, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach na chwilę i wyszedł.

Wilczur ocknął się, gdy trzasnęła klamka. Zauważył, że ścisną w dłoni list Beaty. Zgniół go w małą kulkę i rzucił w ogień. Płomień od razu otoczył ją, zabłysła czerwonym pękiem i spopieliała. Już dawno i śladu po niej nie zostało, już dawno drwa w kominku zmieniły się w kupkę czerwonych węgli, gdy przetarł oczy i wstał. Powolnym ruchem odsunął fotel, obejrzał się.

– Nie mogę, nie mogę tu wytrzymać – szepnął bezgłośnie i wybiegł do przedpokoju.

Bronisław zerwał się z krzesła.

– Pan profesor wychodzi?... Jesionkę czy cieplejsze palto?

– Wszystko jedno.

– Tylko pięć stopni na dworze. Lepiej, sądzą, cieplejsze – zdecydował służący i podał palto.

– Rękawiczki! – zawołał, wybiegając za profesorem na ganek, lecz Wilczur musiał nie dośłyszeć. Już był na ulicy.

Koniec października w tym roku był chłodny i dżdżysty. Gałęzie drzew obdzierał silny północny wiatr z resztek przedwcześnie żółkłych liści. Na chodnikach chlupotała woda. Nieliczni przechodnie szli z nastawionymi kołnierzami pochylając głowy, by osłonić twarz przed drobnymi, ostrymi kroplami deszczu, lub oburącz trzymali parasole, którymi targały raz

10

po raz gwałtowne porywy wiatru. Spod kół z rzadka przejeżdżających samochodów tryskały mętne bryzgi wody, dorożkarskie konie człapały leniwie, a podniesione budy ociekały deszczem, mdło połyskując w świetle żółtych latarni.

Doktor Rafał Wilczur machinalnie zapiął palto i szedł przed siebie.

– Jak mogła tak postąpić! Jak mogła! – powtarzał w myśli pytanie. Czyż nie zdawała sobie sprawy z tego, że odbiera mu wszystko, że pozbawia go racji i celu istnienia? I dlaczego?...

Dlatego, że spotkała jakiegoś człowieka... Gdyby go chociaż znał, gdyby miał pewność, że on ją potrafi ocenić, że jej nie skrzywdzi, że da jej to szczęście. Napisała tylko jego imię: Janek.

Wilczur zaczął w pamięci liczyć bliższych i dalszych znajomych. Żaden z nich. Może to jakiś nędznik, oszust, obieżyświat, który ją porzuci przy pierwszej sposobności. Jakiś zawodowy uwodziciel, który Beatę otumanił, okłamał, znęcił fałszywymi wyznaniem i przysięgami. Liczył zapewne na pieniądze. Co się stanie, gdy przekona się, że Beata nawet (SWOJO) biżuterii nie zabrała?... To na pewno wyrafinowany łotr. Tak, trzeba go ścigać, trzeba póki czas zapobiec łajdactwu. Trzeba zażądać od władz, od policji, by ich szukano. Rozesłać listy gończe, detektywów...

Pod wpływem tej myśli zatrzymał się i rozejrzał. Był w śródmieściu. Przypomniał sobie, że gdzieś w pobliżu, na drugiej czy na trzeciej przecznicy kiedyś, przejeżdżając, widział szyld komisariatu policji.

Ruszył w tamtym kierunku, lecz już po kilkunastu krokach zawrócił. – I cóż z tego, że ją

odnajdę? Nigdy nie zgodzi się wrócić do mnie. Napisała wyraźnie, że nie kocha, że dręczyła ją jego rzekoma wyższość, jego bogactwo, jego sława... a na pewno i jego miłość. Była o tyle delikatna, że tego nie powiedziała wyraźnie... Jakimże prawem on ma ją osądzić, zdecydować o jej losie? A jeżeli ona woli nawet poniewierkę przy tamtym?...

Jakichże argumentów można użyć, chcąc przekonać kobietę, by wróciła do niekochanego, do... nienawidzonego męża?... Zresztą czy nie zbyt pośpiesznie doszedł do przekonania, że tamtem człowiek jest wyrzutkiem społeczeństwa i chciwym łotrem?... Beata nigdy me lubiła mężczyzn tego rodzaju, pociągali ją zawsze idealisci, marzyciele... Nawet Marioli czytywała godzinami liryczne wiersze, których to siedmioletnie dziecko nie mogło zrozumieć. Czytała dla siebie.

Człowiek, za którym poszła, musi być młodym, niepraktycznym biedakiem.

W jaki sposób, kiedy go poznała?... Czemu nigdy słowem nie wspomniała o nim?... I nagle uciekła, postąpiła z całą bezwzględnością, z całym okrucieństwem. Porzuciła człowieka, który dla niej wszystko... jak pies, jak niewolnik... – I za co? Za co?!...

Czy zgrzeszył czymkolwiek przeciw niej, przeciw swojej miłości?... Nigdy!

Nawet myślą! W ogóle była pierwszą kobietą, którą pokochał. Było to niespełna dziesięć lat temu. Jakże dobrze pamiętał wszystko. Poznał ją przypadkowo. I błogosławił ten przypadek jeszcze do dzisiejszego dnia, błogosławił rano i wieczór, o każdej godzinie, gdy patrzył na nią i gdy cieszył się myślą, że będzie na nią patrzył. Wtedy był jeszcze docentem i miał właśnie ćwiczenia w prosektorium, gdy na ulicy wóz ciężarowy przejechał jej dziadka.

Udzielił pierwszej pomocy. Powikłane złamanie obu nóg. Staruszek zaklinał go, by zawiadomił w najbardziej ostrożny sposób jego żonę, chorą na serce, i wnuczkę. Drzwi małego mieszkania na Starym Mieście otworzyła mu Beata.

A w kilka miesięcy później byli już zaręczeni. Miała zaledwie siedemnaście lat. Była

szczupła i blada, nosiła tanie pocerowane sukienki. W domu panowała bieda. Rodzice Beaty stracili podczas wojny cały swój majątek. Dziadek aż do dnia owego śmiertelnego wypadku utrzymywał żonę-staruszkę i wnuczkę z lekcji obcych języków, udzielanych po domach.

Babka, póki nie przeniosła się w ślad za mężem do rodzinnego grobu na Powązkach, do jedynej wspaniałej posiadłości, jaka im po dawnym bogactwie została, godzinami opowiadała wnuczce i jej narzeczonemu o minionej świetności rodu Gontyńskich, o pałacach, polowaniach, balach, o tabunach koni i o klejnotach, o strojach sprowadzanych z Paryża... Beata sie-

11

działa zasluchana, a w jej rozmarzonych oczach, zdawało się, migotał żal za tą utraconą przeszłością, za tą bajką, która już nie wróci.

I w takich chwilach on ścisnął jej chudą rączkę i mówił:

– Wszystko to ci dam. Zobaczysz, Beato! I klejnoty, i stroje z Paryża, i bale, i służbę!

Wszystko ci dam!

A sam wówczas nie miał nic oprócz paru walizek w kawalerskim pokoju, szafy fachowych książek i skromnego uposażenia docenta.

Ale miał też wolę ze stali i wiarę potężną, i pragnienie palące jak ogień, by przyrzeczenia Beacie dotrzymać. Zaczął walkę. O stanowiska, o praktykę, o bogatych pacjentów. Duża wiedza, wrodzony talent, niezłomny charakter i praca, zawzięta, wściekła praca zrobiły swoje. A przy tym i szczęście sprzyjało. Rosła sława, rosły dochody. W trzydziestym siódmym roku życia otrzymał katedrę, a w kilka tygodni później jeszcze większe szczęście go spotkało: Beata urodziła córeczkę.

Właśnie na cześć owej świetnej prababki Gontyńskiej dano jej imiona:

Maria Jolanta i tak samo w zdrobieniu nazywano ją Mariolą.

Wspomnienie córki nowym bólem ścisnęło serce profesora Wilczura. Nieraz zastanawiał

się nad tym, którą z nich bardziej kocha... Gdy zaczęła mówić, jednym z pierwszych słów było:

– Tapusiu...

Tak już i zostało. Zawsze nazywała go tapusiem. Gdy w drugim roku zapadła na ciężką szkarlatynę, a w końcu wyzdrowiała, ślubował sobie, że odtąd wszystkie biedne dzieci będzie leczył darmo. W jego drogiej lecznicy, gdzie zawsze miejsc brakło, kilka pokoi zajmowały dzieci, bezpłatni pacjenci. Wszystko to przecież było dla niej, na intencję jej zdrowia.

A teraz mu ją odebrano.

To już było nieludzkie, to już przekraczało wszelką miarę egoizmu.

– Musisz mi ją oddać. Musisz! – mówił głośno zaciskając pięści. Przechodnie oglądali się za nim, lecz nie spostrzegali tego.

– Za mną jest prawo! Porzuciłaś mnie, ale zmuszę cię, byś mi Mariolę zwróciła. Prawo jest za mną. I moralne prawo też. Sama to musisz przyznać, ty, podła, podła, podła!... Nikczemna, czyż nie rozumiesz, że popełniłaś zbrodnię! Jakaż może być cięższa zbrodnia?... Jaka, powiedz sama!... Mierziły cię pieniądze i wszystko. Dobrze, ale czego ci brakowało? Nie miłości przecie, bo nikt cię tak kochać nie potrafi jak ja! Nikt! Na całym świecie!

Potknął się i omal nie upadł. Szedł nie zabrukowaną ulicą grzęznąc w błocie po kostki. Tu i owdzie rozrzucone były duże kamienie, po których mieszkańcy małych domków tej dzielnicy usiłowali dostać się do siebie suchą nogą. Okna były już ciemne. Rzadkie latarnie gazowe rozsiewały mdłe niebieskawe światło. W prawo szła większa, gęściej zabudowana ulica. Wilczur zawrócił w nią i włókł się coraz wolniej.

Nie odczuwał zmęczenia, lecz nogi stały się ciężkie, nieznośnie ciężkie. Musiał być przemoczony aż do koszuli, gdyż każdy podmuch wiatru czuł jak na gołej skórze.

Nagle ktoś mu zastąpił drogę.

– Panie ozdobny – odezwał się ochryply głos – pożycz pan bez gwarancji bankowej pięć

„zet” na hipotekę Polskiego Monopolu Spirytusowego. Pewność i zaufanie.

– Co? – Profesor nie zrozumiał.

– Nie cokaj, bo obcokany będziesz, powiada Pismo Święte: jakim cokiem cokasz bliźniego twego, takim i ciebie obcokają, obywatelu stolicy trzydziestomilionowego państwa z dostępem do morza.

– Czego pan sobie życzy?

– Zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności. A nadto winszuję sobie napełnić mój, pusty żołądeczek czterdziestopięcioprocentowym rozczyntem alkoholu, przy łaskawym współudziale pewnej dozy wieprzowej padliny, zwanej kiełbasą. Obdartus chwiał się lekko na no-

12

gach, a z jego twarzy porośniętej nie goloną od wielu dni szczecina zalatywał odór wódki,

Profesor sięgnął do kieszeni i podał mu kilka monet.

– Proszę.

– Bis dat, qui cito dat – sentencjonalnie orzekł pijak. – Thank you, my darling. Pozwól jednak, hojny ofiarodawco, że w zamian i ja ofiaruję ci coś cennego. Myślę o swoim towarzystwie. Tak”. Słuch cię nie my4, dobry człowieku. Możesz dostąpić tego zaszczytu. Noblesse oblige! Ja stawiam! Zmokłeś, sir, i przemarzłeś na zimnie, pójdź do mej chatki i rozgrzej się przy mnie. Wprawdzie nie mam chatki, ale za to posiadam wiedzę. Cóż znaczy jakikolwiek budynek w porównaniu z wiedzą?... A ja się nią chętnie z panem, mon prince, podzielę. Wiedza moja jest rozległa. Na razie mówię tylko o jej części topograficznej. Wiem mianowicie, gdzie się mieści jedyna knajpa, do której o tej porze człowiek dostać się może bez wyłamywania zamków i krat. Jedno słowo: Drożdzyk. Tu na rogu Połanieckiej i Witebskiej.

Wilczur pomyślał, że istotnie alkohol dobrze mu zrobi. Rzeczywiście był zziębnięty. A po-

za tym monotonna gadatliwość spotkanego pijaka działała ogłuszająco. Mimo woli starał się z jego paplaniny coś zrozumieć, a to już tłumiło tę jaskrawą świadomość doznanego nieszczęścia, która rozpełtała pod czaszką całe wiry najboleśniejszych myśli. Zaczynało już szarzyć na wschodzie, gdy po długim stukaniu w zamknięte okiennice dostali się wreszcie do małego sklepiku przesiąkniętego wyziewami beczek od śledzi, odorem piwa i nafty. W izbie za sklepikiem, większej, lecz jeszcze bardziej cuchnącej, pełnej dymu z taniego kwaśnego tytoniu, siedziało w kącie kilku mężczyzn doszczętnie pijanych. Gospodarz, kwadratowy drab o twarzy zaspanego buldoga, w brudnej koszuli i w rozpiętej kamizelce, nie pytając o nic postawił na wolnym stoliku butelkę wódki i wyszczerbiony talerz z obrzynkami jakichś wędlin. Ale było tu ciepło. Rozkosznie ciepło i zgrabiałe ręce zdawały się rozkosznie, aż boleśnie tajać. Pierwsza szklaneczka wódki rozgrzała od razu gardło i żołądek. Przygodny towarzysz nie przestawał mówić. Pijacy z kąta nie zwracali na przybyłych najmniejszej uwagi. Jeden chrapał głośno, trzech pozostali wybuchali od czasu do czasu bełkotem niezrozumiałych słów.

Zdawali się o coś spierać.

Druga szklanka wódki przyniosła Wilczurowi pewną ulgę.

– Jak to dobrze – pomyślał – że nikt tu na mnie nie patrzy, że nikt nic nie...

– ...bo, uważasz, hrabio – ciągnął swój monolog szczeciniasty towarzysz – Napoleona diabli wzięli, Olesia Macedońskiego ditto. A dlaczego, pytasz gromkim głosem? Oto dlatego, że nie sztuka być kimś. Sztuka być niczym. Niczym, drobnym insektem za kołnierzem Opatrzności – disce puer! Ja ci to mówię, ja. Samuel Obiedziński, który nigdy z koturnów nie zleci na zbity pysk, bo nigdy na nic nie wejdzie. Cokół jest podkładką dla durniów, przyjacielu. A wiara to balon, z którego wcześniej czy później gaz wyleci. Szansa?... Jest owszem: że prędzej sam zdechniesz. Strzeżcie się balonów, obywatele!

Podniósł w górę pustą butelkę i zawołał:

– Panie Drożdzyk, jeszcze jedną! Szafarzu wszelkich radości, opiekunie zbłąkanych, dawco świadomości i zapomnienia.

Ponury szynkarz bez pośpiechu przyniósł wódkę, szeroką dłonią trzasnął w dno i postawił odkórkowaną przed nimi.

Profesor Wilczur w milczeniu wypił i wzdrygnął się. Nigdy nie pił i wstrętny smak ordynarnej gorzałki wywoływał w nim obrzydzenie. Ale czuł już lekki szum w głowie i chciał oszołomić się zupełnie.

– Cały sens posiadania szarej masy mózgowej – mówił człowiek, który nazwał siebie Samuelem Obiedzińskim – polega na żonglowaniu między świadomością a mrokiem. Bo czymże pokryć dramat intelektu, który dochodzi do absurdalnego stwierdzenia, że jest wybrykiem natury, zbędnym balastem, pęcherzem przyczepionym do ogona naszej zwierzęcej excellencji? Co wiesz o świecie, o rzeczach, o celu istnienia? Tak, pytam cię, istota obarczona dwoma

13

kilogramami substancji mózgowej, co wiesz o celu?... Czyż nie paradoks? Nie potrafisz poruszać ręką, nie potrafisz zrobić kroku bez jasnego i zrozumiałego celu. Prawda?... A tymczasem rodzisz się i w ciągu kilkudziesięciu lat wykonujesz miliony, miliardy różnych czynności, borykasz się, pracujesz, uczysz się, walczysz, padasz, wstajesz, cieszysz się, rozpaczasz, myślisz, zużywasz tyle energii, co elektrownia warszawska, i po jaką to wszystko cholere?

Tak, przyjacielu, nie wiesz i wiedzieć nie możesz, w jakim celu to robisz. Jediną instancją, do której możesz zwrócić się o udzielenie miarodajnych informacji w tym względzie, jest twój umysł, a ten, że tak powiem, rozkłada bezradnie ręce. Więc gdzież sens, gdzież logika?

Zaśmiał się głośno i duszkiem wychylił szklanke.

– Więc po cóż istnieje umysł, skoro nie umie spełnić swego jedyne, właściwie jedyne

zadania?... Wiem, co mi odpowie, ale to też bzdura. Powie, że jego zakres działania obejmuje tylko funkcje życia. Przyczyny i cele życia nie należą do jego departamentu. Zgoda. Ale zobaczysz, jak on sobie daje radę z życiem. Co nam tu może wyjaśnić? I okazuje się, że nic. Nic poza najelementarniejszymi funkcjami zwierzęcymi. Więc po co wyrósł nam pod czaszką ten nowotwór? Po kiego, zapytuję cię, czcigodny prezesie, licha? Bo cóż on wie? Czy wie, co to jest myśl?! Czy dał człowiekowi możliwość bodaj poznania samego siebie? Poznania chociażby o tyle, by móc o sobie z całą pewnością powiedzieć: jestem łotrem, albo też: jestem uczciwy. Jestem idealistą, lub: jestem materialistą. Nie, po stokroć nie! Powie tylko, czy wolę cielęcinę, czy wieprzowinę. Ale na to wystarczy mózg zwykłego Azorka. A jeżeli chodzi o ludzi, o bliźnich? Nauczyc nas czego?... Nie! Gwarantuję całym swoim majątkiem, że pod pańskim wysokim czołem nie zrodził się ani jeden pewnik co do mojej interesującej osoby. Chociaż obcujemy z sobą już od dwu butelek. Zresztą powiedzmy, czy ma pan jakiś pewnik nie o mnie, lecz o tych, których zna pan od lat?... Czy ja wiem, o braciach, o ojcu, o żonie, o przyjacielu?... Nie! Ludzie chodzą w impregnowanych skafandrach. I nie ma sposobu przeniknięcia do ich treści. Nasze kawalerskie!

Pij pan!

Stuknął w szklankę Wilczura i wypił swoją.

– Jeżeli zechcesz, maestro, dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda sztywna dama, możesz ją podpatrzeć w łazience przez dziurkę od klucza. Sprawdzisz, powiedzmy, że ma zdezelowany biust i cienkie uda. Dowiesz się o niej czegoś nowego. Ale o jej istocie nie będziesz w dalszym ciągu nic wiedział. Bo nawet gdy jest sama i zdejmuje skafander, w który się zawsze ubierała dla ciebie, ma pod spodem drugi, którego nie zdejmuje nigdy i który dla niej samej jest czymś nieprzeniknionym. Prawda? Oczywiście, są chwile, kiedy można komuś zajrzeć przez rękaw czy za kołnierz. Są to chwile katastrofy. Skafander się rozdziera, pęka, Zjawiają

się szczeliny i szparki. Ot... ot na przykład w takiej sytuacji, w jakiej ty jesteś teraz, wodzu!

Przetoczyło się po tobie coś ciężkiego.

Pochylił się nad stolikiem i wlepił w Wilczura swoje niebieskie, przekrwione gałki oczne.

– Prawda? – zapytał z naciskiem.

– Tak. – Profesor skinął głową.

– Oczywiście! – gniewnie krzyknął Obiedziński. – Oczywiście! Człowiek tak pragnący spokoju jak ja nie może kroku zrobić, by nie otrzeć się o głupotę ludzką! Bo dno każdej tragedii to głupota!... Więc co? Balon czy koturny?... Zbankrutowałeś, wylali cię z jakiegoś ministerialnego stolca czy rozczarowanie? Co?... Kobieta?... Zdradziła cię?...

Wilczur opuścił głowę i odpowiedział głucho:

– Porzuciła...

Oczy Obiedzińskiego błysnęły wściekłością.

– No więc i co! – trzasnął. – Więc cóż to jest?!

– Co to jest? – Wilczur chwycił go za rękę. – Co to jest?... To jest

wszystko. Wszystko!

14

W jego głosie musiało być coś, co starczyło za najmocniejszy argument, gdyż Obiedziński uspokoił się od razu, skulił się i zamilkł. Dopiero po kilku minutach zaczął mówić cicho jakimś narzekającym tonem;

– Podłe jest życie, a ja mam pecha. Brzydzę się wszelkimi sentymentami, to właśnie los musi wiecznie rozrzucać na mojej drodze różne ofiary sentymentów. Diabli nadali... Nie ulega wątpliwości, że to rzecz względna. Jednego maczuga z nóg nie zwali, drugi pośliznie się na pestce od wiśni i łeb sobie roztrzaska. Nie ma żadnej miary, żadnego kryterium. Pij, bracie.

Wódka to dobra rzecz. Sapristi!

Nalał szklanki.

– Pij – powtórzył, wciskając szklankę w palce Wilczura. – Hej, Drożdzyk, daj następną!

Gospodarz zwlókł się ze swego legowiska w alkowie i przyniósł butelkę, po czym zgasił światło. Nie było już potrzebne. Przez okno z brudnego podwórza zaglądał pochmurny i dżdżysty, ale już zupełny dzień. Towarzystwo z kąta, porzuciwszy chrapiącego kompana, wysypało się na ulicę.

Obiedziński oparł się na łokciach i w pijackim zamyśleniu mówił:

– Tak to jest z kobietami... Jedna przyssie się do ciebie i wszystkie soki wyciągnie, inna obedrze cię z tego, co masz, trzecia oszuka na każdym kroku, albo i taka będzie, co cię wciągnie w szarzyznę, w powszednie błoto... Pranie, sprzątanie, pieluchy i takie rzeczy. Ot i życie... Ale to nieprawda, to wszystko od mężczyzny zależy. Jaki jest! Po jednym spłynie gładko, drugi jak postrzelony kot zakręci się, zapiszczy i zdycha, a taki jak ty, amigo?... Twardy musisz być. Jak wielkie drzewo. Gdyby cię z kory obłuskano, porósłbyś nową, gdyby ci gałęzie obcięto, wyrosłyby nowe... Ale ot, wyrwało cię z korzeniami z gruntu... Rzuciło cię na pustynię...

Wilczur pochylił się ku niemu i wybełkotał:

– Z korzeniami... to prawda...

– A widzisz. I siła nie pomoże, gdy oparcia nie ma. Grunt rozmiękł, rozplynał się, przestał istnieć. Już Archimedes powiedział... Co to on powiedział... Zresztą pies z nim tańcował...

Aha!... O czym mówiłem? Ze korzenie! Najsilniejsze korzenie nic nie pomogą, jeżeli nie mają czego trzymać się. O!... Pieskie niebieskie... takie życie...

Język mu się plątał coraz bardziej. Wreszcie kiwnął się, wsparł się o ścianę i zasnął.

Wilczur resztkami przytomności powtarzał w myśli:

– Jak drzewo wyrwane z korzeniami... Jak drzewo wyrwane z korzeniami... Nie spał za-

pewne długo, gdyż obudzony bezceremonialnymi szturchańcami, z trudnością otworzył oczy i zatoczył się. Alkohol nie zdążył wyparować. Na stole znowu stała wódka, a prócz nocnego towarzysza było jeszcze trzech nieznajomych. Profesor Wilczur z trudem uświadomił sobie, gdzie się znajduje, i nagłym ostrym bólem odezwało się w nim wspomnienie Beaty. Zerwał się i przewracając po drodze krzesła, skierował się do drzwi.

– Hej, panie szanowny! – krzyknął za nim gospodarz.

– Co?

– A płacić to nie łaska?... Rachunek czterdzieści sześć złotych. Wilczur machinalnie wydobyl z kieszeni portfel i podał mu banknot.

– Ale forsy! Fiu, fiu – zagwizdał cicho jeden z kompanów.

– Stul mordę – warknął drugi.

– Drożdzyk! – zawołał trzeci. – Co strugasz frajera! Oddaj gościowi resztę! Widzisz go!

Gospodarz spojrział nań nienawistnie, odliczył pieniądze i podał Wilczurowi.

– A ty, łobuzie – mruknął – pilnuj swego.

Wilczur nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i wyszedł na ulicę. Padał gęsty, mokry śnieg, lecz jezdnia i chodniki pozostały czarne, gdyż natychmiast tajał. Środkiem jezdni ciągnęły wozy naładowane węglem.

15

– Porzuciła mnie... porzuciła... – powtarzał Wilczur. Szedł przed siebie, zataczając się. –

Jak drzewo wyrwane z korzeniami...

– Szanowny pan na Grochów? – usłyszał obok siebie czyjś głos. – To może lepiej obejść

Rawską. Błoto mniejsze. Poznał jednego z kompanów.

– Wszystko mi jedno. – Machnął ręką.

– To i dobrze. Po drodze mi. Pójdziem razem. Zawsze weselej. A pana podobnież zmar-

twienie spotkało? Wilczur nie odpowiedział.

– Wiadomo, rzecz ludzka. A ja panu powiem, że na zmartwienie to jeden jest tylko sposób: zalać cholere na glanc. Wiadomo, nie w takiej norze jak u tego Drożdżyka, którego kanciarz jest i wędlinę ze strychninami gościom daje. Ale tu niedaleko na Rawskiej ulicy jest porządna knajpa jak się patrzy. I zabawić się można, kielnerki gościom obsługują. A cena ta sama.

Szli znowu w milczeniu. Towarzysz, znacznie niższy i szczuplejszy od Wilczura, wziął go pod rękę i raz po raz zadzierał głowę, by spojrzeć nań spod daszka swojej cyklistówki. Minęli kilka przecznic, gdy pociągnął go w bok.

– No, to wstąpiem, czy jak?... Najlepiej zalać. To już tutaj. Na jednego.

– Dobrze – zgodził się .Wilczur i weszli do knajpki.

Pierwszy łyk wódki nie przyniósł ulgi. Przeciwnie, jakby otrzeźwił zamglony umysł, następne jednak kolejki zrobiły swoje.

W sąsiedniej izbie chrapliwie grał orkiestron. Zapalono światła. Po jakimś czasie przyłączyli się do nich jeszcze dwaj mężczyźni, z wyglądu robotnicy. Tłusta, mocno wymalowana kelnerka przysiadła się również. Pili już trzecią butelkę, gdy nagle z bocznego pokoiku rozległ się głośny śmiech kobiety.

Profesor Wilczur zerwał się na równe nogi. Krew uderzyła mu do głowy, przez sekundę stał nieruchomy. Byłby przysięgł, że poznał głos Beaty. Gwałtownym ruchem odepchnął zagradzającego mu drogę kompana i jednym skokiem znalazł się we drzwiach.

Dwie gazowe lampy jasno oświetlały nieduży pokój. Przy stoliku siedział brzuchaty, krępy człowiek i jakaś piegowata dziewczyna w zielonym kapeluszu.

Z wolna zawrócił, ciężko opadł na krzesło i wybuchnął łkaniem.

– Nalej mu jeszcze – mruknął człowiek w cyklistówce – ma łeb do wody.

Potrząsnął Wilczura za ramię.

– Pij, bracie! Co tam!

Gdy o jedenastej knajpę zamykano, towarzysze musieli podtrzymać Wilczura, gdyż nie mógł już iść o własnych siłach. I tak, zataczając się swoim wielkim ciałem, chwiały nimi na wszystkie strony. Sapali z wysiłku. Na szczęście nie mieli dalekiej drogi. Za rogiem, w ciemnej pustej uliczce, czekała dorożka z nastawioną budą. Bez słowa władowali Wilczura do środka i wcisnęli się z mm. Dorożkarz zaciął konia.

Po kilkunastu minutach domy przerzedziły się. Po obu stronach tu i ówdzie między parkanami błyskało światełko naftowej lampy. Wreszcie i te znikły. Natomiast w nozdrza uderzył cuchnący odór wielkich zwalisk śmieci. Dorożka skręciła w bok, ustało od razu klaskanie kopyt końskich. Na miękkiej, gruntowej drodze nie było ich słychać. Dojechali do pierwszej glinianki.

– Stój, najlepiej tu – odezwał się cichy głos. Nasłuchiwali przez chwilę. Z daleka jednostajnym głosem huczało miasto. Tu dokoła panowała zupełna cisza.

– Wylewaj go – rozległa się krótka komenda.

Trzy pary rąk wczepiły się w bezwładne ciało. Po chwili zawartość kieszeni została wyjęta. Bez trudu zdjęli też palto, marynarkę i kamizelkę. Nagle, widocznie pod wpływem zimna, Wilczur oprzytomniał i zawołał:

– Co to, co robicie?...

Jednocześnie usiłował poderwać się z ziemi. W chwili jednak, gdy już stał na nogach, otrzymał straszny cios w tył głowy. Bez jęku zwałił się niczym kłoda. Ponieważ zaś padając

16

zatonął aż na brzeg wielkiego dołu, do którego zsypywano śmieci, ciało po pochyłości zsunęło się na dno.

– Cholera! – zaklął jeden – nie mogłeś przytrzymać?

– A po co?

– Durny szczeniak! Po co? Złaż teraz do glinianki po buty i portki.

– Sam złaż, kiedyś taki chytry.

– Co ty powiesz?! – Pierwszy zbliżył się doń groźnie. Zanosilo się na rozprawę, gdy ozwał się flegmatyczny głos dorożkarza, który dotychczas w milczeniu palił papierosa.

– A ja mówię: jadziem. Chcecie, żeby nas tu nakryli?...

Mężczyźni opamiętali się i wskoczyli do dorożki. Koń ruszył z miejsca. Przed wjazdem na główną szosę zatrzymali się, dorożkarz wyciągnął spod kozła stary worek i dokładnie obtarł wszystkie koła ze śmieci, które się do nich poprzyklepiały, po czym wskoczył, cmoknął na szkapę i wkrótce na polach zapanowała dawna cisza.

W ciągu dnia nikt tu nie zaglądał, a nocą tym bardziej. Nad ranem tylko zaczynał się przy gliniankach ruch. To chłopci z wiosek, położonych w promieniu kilkunastu kilometrów od stolicy, trudniący się wywożeniem śmieci z miasta, przyjeżdżali ze swoim cuchnącym ładunkiem. Przyjeżdżali, wysypywali z fur śmieci i z paruzłotowym zarobkiem wracali do domu. Sumienniejsi zwalali nieczystości wprost do glinianek, tak jak było przykazane, inni, korzystając z braku kontroli, wysypywali je wprost na pole.

Stary Paweł Bańkowski, gospodarz z Brzozowej Wólki, lubił jednak uczciwą robotę. Dlatego właśnie podjechał nad gliniankę i systematycznie wypróżniał swoją furę. Nie spieszył, bo i kobyle trzeba było dać wypocząć przed drogą, a i sam cierpiał już na zadyszkę, co w jego wieku było rzeczą zrozumiałą.

Właśnie skończył i mościł sobie na pokrywie worek z resztkami siana, gdy z dołu posłyszał wyraźne stękanie. Przeżegnał się na wszelki wypadek i nastawił uszu. Stękanie odezwało się głośniejsz.

– Ej tam! – zawołał. – Co za licho?

– Wody – zajęczał słaby głos.

Głos ten wydał się Pawłowi Bańkowskiemu znajomy. Właśnie wieczorem jechał do miasta i widział Mateusza Piotrowskiego z Byczyńca, który tak samo jechał i też na zwózkę śmieci. Coś tknęło Bańkowskiego, że to właśnie Piotrowski. I głos ten sam, i zawsze do tej glinianki zsypywał. A i wypić lubił. Po pijanemu wpadł do dołu, może sobie co przetrącił i leży.

Rozejrzał się. Ciemno jeszcze było, na wschodzie ledwie szarzało. Jeżeli Piotrowski swoją furmankę tu zostawił, koń na pewno sam powłókł się do Byczyńca.

– A to wy, panie Piotrowski? – zapytał. – Wpadliście czy jak?... Jedyłą odpowiedzią był cichy jęk.

– A może go te miejskie urządziły? – zastanowił się gospodarz. Po ludziach z miasta wszystkich najgorszych rzeczy zawsze się spodziewał.

Pomacał nogą pochyłość, po namyśle wrócił do konia, odwiązał postronki zastępujące lejce, szepił je, mocnym supłem przywiązał do osi i trzymając się sznura zszedł na dół.

– Panie Mateuszu, a odezwiście się, bo ciemno – zawołał. – Gdzie wy?

– Wody!... – posłyszał głos tuż przy sobie. Pochylił się i namacał ramię.

– Nie mam wody, skąd woda? Musicie wyleźć na wierzch. A gdzie wasz koń?... Pewnikiem sam do domu poszedł?... No, nie dźwignę was, spróbujcie wstać.

Ubił nogami śmiecie, zaparł się i szarpnął bezwładnym ciężarem.

– Ruszcie się. Dalej go! Sam nie dam rady.

– Nie mogę.

– Ooo! Nie mogę! Natężcie się. Dyć nie będziecie tu zdychać. Ręce Bańkowskiego natrąfiły na gęstą ciecz oblepiającą włosy. Powąchał swoje palce i zapytał:

– Zabili was, co?

– Nie wiem... Chłop zastanowił się.

– Tak czy siak, nie będziecie tu zdychać. Tfu!... Uważacie, mam postronek, żebyście jeno wstali, to jakoś się podciągniecie.

Leżącemu widocznie wracały siły, gdyż poruszył się raz, drugi, lecz znowu opadł, choć Bańkowski podtrzymywał go jak mógł.

– Nie maco – orzekł – trzeba iść po pomoc. Pewno już ludzie nadjechali. Wygramolił się i po kilku minutach wrócił z dwoma innymi, tłumacząc im, że jakieś warszawskie łobuzy zabiły tu Piotrowskiego z Byczyńca. Chłopi bez gadania zabrali się do roboty i wkrótce wyciągnęli rannego i ułożyli go na wozie starego. Zresztą uratowany poczuł się lepiej, bo usiadł sam i zaczął skarżyć się na zimno.

– Ledwo go w portkach zostawili psiekrwie – zaklął jeden z gospodarzy.

– Trza by do komisariatu – zauważył drugi. Bańkowski wzruszył ramionami.

– Nie moja sprawa. Podwiozę go do Byczyńca, i tak po drodze, a tam niech jego synowie robią, co chcą. Czy na posterunek, czy jak.

– Ano – przytaknęli – pewno. Ich rzecz.

Stary podsunął leżącemu worek z sianem pod głowę, sam usiadł na gołych deskach i targnął lejcami. Gdy wjechali na szosę, usadowił się wygodniej i zdrzemnął się. Kobyła sama dobrze знаła drogę.

Obudził się, gdy już jasno było na niebie. Obejrzał się i przetarł oczy. Za nim na wozie, przykryty derką, leżał jakiś nieznamy człowiek. Duża, obrzękła twarz, czarne włosy zlepione na ciemieniu zakrzepłą krwią. Bańkowski przysięgłby, że nigdy w życiu go nie widział. A już do Piotrowskiego z Byczyńca wcale nie był podobny. Wzrostem chyba i tuszą, bo też był kawał chłopca. Spod krótkiej, dziurawej derki wyzierała cienka, podarta koszula, umazane w błocie spodnie i miejskie trzewiki.

– Ki diabeł! – zaklął i zamyslił się, co tu z tym zdarzeniem zrobić. Kalkulował, kalkulował, a wreszcie przechylił się w tył i potrząsnął pasażera za ramię.

– Hej, panie, obudź się! Licho nadało! Obudź się! Człowiek sam na siebie przez niego biedy napyta... Obudź się!

Pasażer z wolna otworzył oczy i podniósł się na łokciu.

– Coś pan za jeden?... – gniewnie zapytał chłop.

– Gdzie jestem, co to? – odpowiedział pytaniem pasażer.

– A dyć na moim wozie. To nie widzisz?

– Widzę – mruknął człowiek i z trudem usiadł, podciągając nogi.

– No?

– A skąd ja się tu wziąłem?

Bańkowski odwrócił się i splunął przed siebie. Należało się namyślić.

– A ja wiem? – Wzruszył wreszcie ramionami. – Ja spałem, a ty pewno na wóz wlałeś. Z Warszawy, co?

– Co takiego?

– To i pytam, pan warszawiak?... Bo jeżeli tak, to nie masz czego ze mną jechać do Wólki ani do Byczyńca. Ja do domu jadę. A pan przecież nie do Wólki. O, już mnie za tamtym wiatrakiem skręcać trzeba... Wsiądnicie, czy jak?... I tak do rogatki będzie stąd z dziesięć kilometrów...

– Dokąd? – zapytał człowiek, a w jego oczach było zdumienie.

– Dyć mówię, do warszawskiej rogatki. Wy z Warszawy? Człowiek wytrzeszczył oczy, przetarł czoło i powiedział:

– Nie wiem.

Bańkowskiego aż poderwało. Teraz już poznał, że ma do czynienia z łobuzem. Pomacał się

ostrożnie po piersiach, gdzie miał ukryty woreczek z pieniędzmi, i rozejrzał się. W odległości może pół kilometra ciągnęły się furmanki.

18

– Cóż to udajesz głupiego – warknął – nie wiesz, skąd jesteś?

– Nie wiem – powtórzył człowiek.

– To ci się chyba rozum pomieszał. A tego, kto ci łeb rozbił, pewno też nie wiesz?

Tamten obmacał sobie, głowę i mruknął:

– Nie wiem.

– No to złaż z wozu! – krzyknął zirytowany do ostateczności chłop. – Dalej go! Złaż!

Ściągnął lejce i kobyła stanęła. Nieznajomy posłusznie zgramolił się na szosę. Złaż i stał rozglądając się, jakby nieprzytomny, na wszystkie strony. Bańkowski widząc, że obcy nie ma widocznie żadnych złych zamiarów, postanowił mu jednak przemówić do sumienia.

– To ja z tobą po ludzku, po chrześcijańsku, a ty jak do psa. Tfu, miejskie ścierwo! Pytam, czy z Warszawy, to nawet powiada, że nie wie. To może też nie wiesz, że cię matka urodziła?... Może nie wiesz, coś za jeden i jak się nazywasz?...

Nieznajomy patrzył nań szeroko otwartymi oczami.

– Jak?... nazywam się?... Jak?... Nnnie... nie wiem... I w jego twarzy skurczyły się mięśnie jakby ze strachu.

– Tfu! – splunął Bańkowski i nagle zdecydowany świsnął batem po grzbiecie konia. Wóz potoczył się naprzód.

Odjechawszy ze dwa stajania gospodarz obejrzał się: nieznajomy siedł brzegiem szosy za nim.

– Tfu! – powtórzył i podciął szkapę, aż przeszła w kłusa.

Rozdział II

Zniknięcie profesora Rafała Wilczura poruszyło całe miasto. Przede wszystkim w całej

sprawie wyczuwało się jakąś tajemnicę. Ci wszyscy, którzy od lat stykali się z profesorem i znali go dobrze, zapewniali, że wszelkie przypuszczenia na temat samobójstwa byłyby absurdem. Wilczur odznaczał się przecie wręcz żywiołową witalnością, kochał swoją pracę, kochał rodzinę, kochał życie. Jego stan majątkowy był wyborny. Jego sława wciąż rosła. W świecie lekarskim był uważany za znakomitość.

Zabójstwo zdawało się być również wykluczone z tego prostego powodu, że profesor nie miał wrogów. Jedyнным dopuszczalnym motywem zbrodni mogłaby być chęć rabunku. Ale i tu nasuwały się istotne wątpliwości. Łatwo stwierdzono, że krytycznego dnia profesor miał przy sobie niewiele ponad tysiąc złotych, ogólnie zaś wiadano, że używał zwykłego czarnego zegarka i nawet obrączki nie nosił. Zatem uplanowany napad rabunkowy i morderstwo jako wynik takiego napadu nie wyglądały prawdopodobnie. W wypadku katastrofy czy przypadkowego zabójstwa szybko odnaleziono by zwłoki.

Pozostawała jeszcze jedna ewentualność: utrata pamięci. Ponieważ w ubiegłym roku udało się policji odnaleźć pięć osób zaginionych wskutek nagłej utraty pamięci, w większości dzienników w licznych notatkach wysuwano takie właśnie przypuszczenia.

Jeżeli jednak w tych wzmiankach półgębkiem, a w prywatnych rozmowach jawnie mówiono o tajemniczych okolicznościach zaginięcia profesora Wilczura, to z całkiem innych powodów.

Oto do willi profesora przy Alei Bzów na próżno szturmowali reporterzy. Bez trudu wprawdzie zdołali dowiedzieć się, że żona profesora wraz z siedmioletnią córeczką nie jest obecna w Warszawie, służba jednak nabrała wody do ust i odmawiała wszelkich dalszych informacji. Bardziej natarczywych dziennikarzy odsyłała do kuzyna zaginionego, do prezesa Sądu Apelacyjnego, Zygmunta Wilczura. Ten zaś z niezmańczonym spokojem powtarzał:

– Pożycie mego kuzyna z żoną było zawsze nader szczęśliwe. W oczach licznych przyja-

ciół nieodmiennie uchodzili za wzorowe małżeństwo. Wiązanie zatem zaginięcia profesora,

19

czym jestem głęboko wstrząśnięty, z jego sprawami rodzinnymi jest i pozostanie – mówił z naciskiem – niedorzecznością.

– A czy pan prezes może nam powiedzieć, gdzie obecnie znajduje się pani Beata Wilczurów? – pytali dziennikarze.

– Owszem. Gotów jestem powtórzyć panom to, co słyszałem z ust mego kuzyna, właśnie w dniu, kiedy po raz ostatni wyszedł z domu. Oświadczył mi, że wysłał żonę z dzieckiem za granicę.

– A cel jej wyjazdu?

Prezes z uśmiechem zrobił ręką nieokreślony gest.

– Przyznam się panom, że nie spytałem o to. Prawdopodobnie chodziło o wyjazd kuracyjny. O ile sobie przypominam, żona kuzyna nie najlepiej znosiła nasze słoty jesienne. Zresztą dość często bawiła za granicą.

– Jednakże taki nagły wyjazd w dniu czy też na kilka dni przed balem, na który były już rozesłane zaproszenia...

– Moi panowie. Różnie się ludziom układają sprawy. Poza tym nie byliśmy z sobą aż w tak bliskich stosunkach, bym mógł wiedzieć o wszystkich ich poruszeniach. Jeżeli jednak wolno mi panów o to prosić, byłbym ze względów rodzinnych bardzo obowiązany za nierozdymanie sprawy do rozmiarów niezdrowej sensacji. A zwłaszcza spodziewam się, że nie znajdę w prasie żadnych aluzji dotyczących rodzinnego pożycia mego kuzyna. Bardzo na to liczę. W zamian podzielę się z panami moim osobistym poglądem na cały wypadek. Nie jest wykluczone, że profesor miał zamiar wyjechać z żoną. Zatrzymała go w Warszawie nader ważna operacja, o której tyle wszystkie dzienniki pisały. Z chwilą gdy operacja się udała, mój kuzyn mógł wyjechać za żoną.

– Minęło już tyle dni – zauważył jeden z reporterów – niepodobna, by do profesora nie dotarł alarm całej prasy. Dałby o sobie znać.

– Zapewne. O ile alarm doń dotarł. Jest jednak wiele takich zakątków za granicą, cichych pensjonatów w górach, ustronnych miejsc wypoczynkowych, dokąd pisma warszawskie nie docierają.

– Depesze o zaginięciu profesora podała cała prasa zagraniczna – upierał się dziennikarz – no, i radio.

– Radia można nie słuchać. Ja sam na przykład nie znoszę radia. A ileż to osób podczas wypoczynku do rąk nie bierze dzienników. Nie każdy ma na nie ochotę w jakimś Tyrolu czy Dalmacji.

– Tak, panie prezesie. Ale jest jeszcze jedna okoliczność. Oto profesora nie ma ani w Tyrolu, ani w Dalmacji, ani w ogóle za granicą.

– I w jakiż sposób zdołał pan to stwierdzić? – z uśmiechem zapytał prezes.

– To nie było trudne. Po prostu stwierdziłem w starostwie, że paszport zagraniczny profesora Wilczura był wystawiony z rocznym terminem ważności. A termin ten upłynął dokładnie przed dwoma miesiącami i nie był przedłużony.

Zapanowało milczenie. Wreszcie prezes rozłożył ręce.

– Ha. Niewątpliwie sprawa nie jest jasna. Proszę mi jednak wierzyć, że dołożę wszelkich starań, by ją wyświecić. Pracuje nad tym i policja. W każdym razie przypominam panom jeszcze raz swoją prośbę.

Zawdzięczając właśnie tej prośbie, wyrażonej przez człowieka zajmującego ogólnie szanowane stanowisko w życiu publicznym, jak też i z racji powszechnej sympatii, jaką cieszył się zaginiony profesor, prasa wyrzekła się ponętnej okazji do wentylowania spraw z jego życia osobistego. Nie przeszkodziło to oczywiście powodzi plotek kursujących wśród znajo-

mych i nieznanym, te jednak, nie podsycane świeżymi wiadomościami, stopniowo zaczęły przycichać.

Natomiast policja nie zaniechała sprawy. Komisarz Górny, któremu ją powierzono, w ciągu kilku dni zdołał ustalić szereg szczegółów. Zbadanie personelu lecznicy wyjaśniło, że w

20

krytycznym dniu profesor Wilczur, jadąc do domu był w znakomitym humorze i że wiozł sobolowe futro, które właśnie nabył, a które miało być prezentem dla żony z racji ósmej rocznicy ślubu. Nic nie wskazywało na to, by spodziewał się nagłego wyjazdu małżonki. Z zeznań służby wynikało, że dowiedział się o nim dopiero z listu pozostawionego przez nią. List ten wywarł na nim piorunujące wrażenie. Robił wrażenie nieprzytomnego, nic nie jadł. Siedział w ciemnym gabinecie.

Listu wprawdzie nie znaleziono. Nie trudno jednak było domyślić się, że zawierał decyzję zerwania. Takie przypuszczenie wyraził również i prezes Wilczur, który nie skąpił śledztwu najdrobniejszych szczegółów i podał wyczerpującą relację ze swej wizyty u kuzyna.

Z dalszych zeznań służby nie wynikało nic pewnego. Pani Beata codziennie w rannych godzinach udawała się samochodem na dłuższy spacer do parku Łazienkowski. Szofer zostawał z wozem przed bramą i nigdy nie widział nikogo, kto by pani towarzyszył. Za to stróż w parku w okazanej fotografii poznali od razu panią, która codziennie spotykała się tu z młodym, szczupłym blondynkiem w dość zniszczonym ubraniu. Rysopis owego blondyna nie odznaczał się wszakże żadnym szczegółem charakterystycznym.

Badanie przeprowadzone w listach i papierach profesorowej nie dało również żadnego śladu. Stwierdzono, że zostawiła większą kwotę pieniędzy i biżuterię. Nie zabrała również futer ani żadnych cennych, a dających się łatwo spieniężyć rzeczy.

W biurku profesora znalazł komisarz Górny nabity rewolwer.

– To mi pozwala wnioskować – mówił prezesowi Wilczurowi – że profesor stanowczo nie miał zamiarów samobójczych. W przeciwnym razie zabrałby broń. Zabrałby ją również w wypadku, gdyby zamierzał rozprawić się z uwodzicielem żony.

– Czy pan komisarz sądzi, że mógł wiedzieć, gdzie go należy szukać?

– Nie. Przypuszczam, że nawet nie domyślał się jego istnienia. Młodzieńca o takim wyglądzie nie widział nikt ze służby w Alei Bzów. Jednak jestem przekonany, że odnalezienie tej pary da nam odpowiedź na pytanie, co się stało z profesorem.

Zgodnie z tą koncepcją komisarz skierował śledztwo ku odszukaniu pani Beaty. Po długich zabiegach sprowadzono doń szofera taksówki, którą krytycznego dnia odjechała z domu profesora. I ten jednak niewiele miał do opowiedzenia. Pamiętał, że odwiózł z Alei Bzów na Dworzec Główny młodą, przystojną panią z kilkuletnią dziewczynką. Zapłaciła, sama wzięła walizki i znikła w tłumie. Badanie kolejowego rozkładu jazdy też nie na wiele się zdało.

Między dwunastą a pierwszą w południe z Dworca Głównego odchodziło kilkanaście pociągów w najrozmaitszych kierunkach.

Komisarz Górny zastanawiał się już nad rozesłaniem listów gończych za Beatą Wilczurówą, gdy nagle nowe odkrycie pchnęło śledztwo na inne tory.

Mianowicie podczas periodycznej rewizji dokonanej u jednego z paserów na ulicy Karmelickiej, wśród wielu rzeczy, pochodzących z kradzieży czy rabunku, znaleziono czarne palto, marynarkę i kamizelkę wyjątkowo dużych rozmiarów. Chociaż etykiety krawca były odprute, z łatwością dało się odszukać zakład krawiecki, gdzie zostały uszyte, i tą drogą stwierdzono, że należały do zaginionego profesora. Przyciśnięty do muru paser zeznał, iż nabył to od niejakiego Feliksa Zubrowskiego.

Zubrowski, wbrew przypuszczeniom komisarza, nie był nigdy notowany za jakiegokolwiek przestępstwa. Mieszkał na Przywiślnej z żoną i czworgiem dzieci, z zawodu był piaskarzem i

zeznał, iż krytycznego dnia ubranie znalazł na brzegu, gdy z rana wracał z libacji. Kilku świadków, może niezbyt godnych zaufania, ustaliło jego alibi. W każdym razie niczego mu nie było można udowodnić i Zubrowskiego po trzech dniach wypuszczono z aresztu. Za jego niewinnością przemawiało to, że Wisła w tym miejscu była głęboka, a samobójstwo profesora Wilczura nader prawdopodobne.

W następnych dniach przeszukano koryto rzeki na przestrzeni kilku kilometrów – bez skutku. Do prosektorium sześć razy sprowadzano służbę z Alei Bzów i prezesa Wilczura, by

21

rozpoznali niezidentyfikowane zwłoki, lecz właściwie było to zbędne: zaginiony profesor miał rzucający się w oczy wzrost około metra dziewięćdziesięciu centymetrów i ważył prawie sto kilogramów.

Jeszcze nie znaleźliśmy trupa – zrezygnowanym głosem mówił komisarz Górny – może wypłynie na wiosnę. Wisła ma wiele dołów i nieraz zdarza się, że dopiero po kilku miesiącach wyrzuca zwłoki.

– Więc pan potwierdza moje obawy? – pytał prezes. o – Bardzo wiele okoliczności przemawia za samobójstwem. Na wszelki wypadek rozesłałem odbitki fotografii profesora do wszystkich posterunków policyjnych.

– Więc jednak dopuszcza pan ewentualność utraty pamięci? – Jeżeli mam być szczery, nie wierzę w to. Póki jednak zwłoki nie wypłyną, nie wolno mi zaniedbać i tej możliwości. Z tej samej racji nie zaniechałem też hipotezy o morderstwie. Chociaż mam niemal pewność, że może być mowa tylko o samobójstwie. To pewne. Wyszedł z domu oszołomiony nieszczęściem i dlatego nie powziął jeszcze żadnej decyzji. Chodził zapewne długo po mieście, może pił dla zalania robaka...

– Nigdy nie pił – przerwał prezes.

– Tak czy owak, postanowił z sobą skończyć. Bo któż miałby go zabić?... Bandydzi?... Musiałoby być co najmniej trzech albo czterech, by po cichu dać mu radę. To przecież był człowiek wyjątkowej siły fizycznej. A strzały?... No, niewykluczone, ale strzelanina zawsze kogoś zwabi i z uprzątnięciem trupa trzeba bardzo się pośpieszyć. Na palcie zaś i na marynarce nie ma Najmniejszego śladu krwi. Pozostaje jeszcze wciągnięcie w pułapkę i zabójstwo w zamkniętym lokalu. Zabójstwo zatem z premedytacją. Otóż komu mogło na tym zależeć, kto na tym zyskiwał?... Nikt. Profesor nie zostawił testamentu. Z samego prawa wszystko, co miał, przechodziłoby na córkę i żonę. Pan prezes jednak zapewnia, że wdowa jest najbardziej bezinteresowną kobietą na świecie. Pozostaje jeszcze jej amant, któremu, sądząc z jego powierzchowności, nie musiało powodzić się najlepiej. Ale i to jest więcej niż wątpliwe. Gdyby chciał zdobyć pieniądze, potrafiłby namówić profesorową do zabrania gotówki, futer i biżuterii. Stanowiło to przecie kwotę nie do pogardzenia, jakieś, pobieżnie licząc, siedemdziesiąt tysięcy. A kochającą kobietę spryciarz do wszystkiego zdoła namówić. – Wątpię. Beata miała zasady...

– Panie prezesie, jako doświadczony sędzia wie pan lepiej ode mnie, że gdzie u kobiety zaczyna się miłość, tam kończą się wszystkie zasady. Ale za niewinnością tej pary przemawiają i inne rzeczy. Więc primo: nie uciekliby, bo to tylko przeciw nim musiałoby zwrócić podejrzenie. Secundo:

zgłosiliby się po zaginięciu profesora. Cała prasa przecież trąbiła. A chyba byliby ostatecznie głupi sądząc, że policji wcześniej czy później nie udałoby się odnaleźć, gdyby uważała ich za sprawców zbrodni. Grając na tak wielką stawkę jak spadek po profesorze, zjawiliby się w kilka dni, a tu już drugi miesiąc mija. Muszą mieć czyste sumienie.

– I ja tak sądzę.

– A jeszcze i to! Z doświadczenia wiem, że zbrodniarz nie umie prawie nigdy zdobyć się

na cierpliwość. Każdemu z nich pilno osiągnąć to, co pobudziło go do przestępstwa. I zawsze wybiera taktykę kręcenia się pod nosem policji. Pewniejszy się czuje, gdy świeci obecnością, niż kiedy chowa się w cień, co może nań ściągnąć podejrzenia.

– To prawda.

– Niewątpliwa. Rozpatrywałem jeszcze jedno rozwiązanie. Zabójstwo przypadkowe. Powiedzmy, że profesor odnalazł ich i podczas scysji został zabity. W takim wypadku znowuż musimy wziąć pod uwagę, że profesor był siłaczem i że na jego ubraniu nie było ani krwi, ani śladów wywabiania ewentualnych plam krwawych. Niepodobna zaś przypuścić, by ów szczupły i dość cherlawy młodzieniec zdołał zabić takiego olbrzyma bez użycia broni. Dlatego właśnie nie staję na głowie, by ich odszukać.

22

Prezes przytaknął.

– Może i lepiej byłoby, gdybyśmy ich nie znaleźli... Przynajmniej do czasu, aż sprawa ostatecznie się wyjaśni.

– Może i lepiej – przyznał komisarz.

Zresztą nic innego nie mógł powiedzieć, bo dotychczas policja nie mogła wpaść na najmniejszy ślad po Beacie Wilczurowej, jej córce i po owym nieznanym człowieku.

Mijały miesiące, a w ustawicznej karuzeli, jaką jest życie każdego wielkiego miasta, stopniowo zapomniano o profesorze Rafale Wilczurze i o jego tajemniczym zniknięciu. Foliały akt śledztwa z wolna pokrywał w szafach urzędowych kurz. Płotem spiętrzyły się na nich stosy spraw następnych. Aż po roku zapakowano je w skrzynie i przewieziono do archiwum. Zgodnie z prawem, do zarządzania majątkiem nieobecnego Sąd wyznaczył kuratora, a mecenas Szrenk, któremu tę funkcję powierzono, nie miał powodu do narzekania na nią. Pensja płynęła stale, pracy zaś było niewiele. Willę w Alei Bzów wdzierzawił, kapitały umieścił w

papierach pupilarnych, kierownictwo lecznicy powierzył nader uzdolnionemu i budzącemu pełne zaufanie doktorowi Dobranieckiemu, najbliższemu współpracownikowi zaginionego. W lecznicy zresztą wszystko szło dawnym, jeszcze przez profesora Wilczura ustalonych trybem. W ciągu paru miesięcy wykończono nowy pawilon, a napływ pacjentów, który dość poważnie się początkowo zmniejszył, wrócił do swojej normy. Zmiany zaprowadzone przez doktora Dobranieckiego były niewielkie. Tyle tylko, że skasowano owe bezpłatne miejsca dla niezamożnych dzieci i że kilka osób z personelu ustąpiło, bez szkody zresztą dla instytucji. Pierwszy z racji owych dzieci po dość nieprzyjemnej sprzeczce z szefem zgłosił dymisję asystent doktor Skórzeń, po nim zwolniono buchaltera Michalaka i sekretarkę, pannę Janowiczównę, która rządziła się jak szara gęś i pozwalała sobie wtrącać się w zarządzenia doktora Dobranieckiego, a przy tym drażniła go sposobem bycia, pozbawionym dostatecznej dozy szacunku. Jej zachowanie się raziło tym bardziej, że nowy zwierzchnik w ogóle nieco zaostrzył dyscyplinę w lecznicy, gdzie dotychczas panował nastrój zbyt patriarchalny. Jednocześnie jego osobista pozycja, nie tylko w zarządzanej instytucji, podniosła się poważnie. Nowe wybory w Kole Chirurgów przyniosły mu tytuł prezesa, a w rok później otrzymał katedrę po zaginionym, z tytułem profesorskim, będąc zaś wysoce uzdolnionym lekarzem i dzielnym człowiekiem, stopniowo, lecz stale dochodził do majątku i sławy.

Z biegiem lat nazwa „Lecznicy Prof. dra Wilczura” stawała się coraz bardziej nieuzasadnionym anachronizmem. Toteż nikogo nie zdziwiło, gdy w końcu za zgodą kuratora nazwę tę zmieniono na „Lecznicę im. Prof. dra Wilczura”. W związku z tym wyszła z druku dość obszerna biografia pióra prof. dra K. Dobranieckiego pt. „Prof. Rafał Wilczur – genialny chirurg”.

Praca ta kończyła się słowami:

„Składając hołd nieodżałowanej pamięci najlepszego Człowieka, mądrego Nauczyciela i wielkiego Uczzonego, polski świat lekarski pozostaje okryty żałobą po jego tragicznym znik-

nięciu, które niestety już zapewne na zawsze pozostanie okryte mrokiem bolesnej tajemnicy".

Rozdział III

Przodownik policji w Chotymowie, Wiktor Kania, siedział beczynn timer przy stole kancelaryjnym, pokrytym czystą zieloną bibułą i ziewał od czasu do czasu, patrząc przez okno. Posterunek mieścił się w ostatnim domku na skraju miasteczka i z okien roztaczał się rozległy widok na pola pokryte już gęstą zielenią, na brzeg jeziora, gdzie właśnie rozwieszano sieci, na czarną smugę lasu, spod której dymił komin tartaku Hasfelda, i na drogę do tego tartaku, którą szedł właśnie zastępca Kani, posterunkowy Sobczak, z jakimś wysokim, chudym brodaczem.

23

Sobczak stawiał szeroko nogi, chwiał się przy każdym kroku niby kaczka na obie strony i niósł pod pachą wielki arkusz dykty do tego swego laubzegowania. Brodacz musiał być robotnikiem z tartaku, i to od niedawna. Przodownik Kania widział go po raz pierwszy, a przecież znał wszystkich w Chotymowie i naokoło w promieniu dziesięciu kilometrów. Poza tym to, że Sobczak sam niósł dyktę, dawało do myślenia. Widocznie nie uważał za wskazane skorzystać z usług towarzysza, a zatem z owym towarzyszem nie wszystko było w porządku: towarzyszył Sobczakowi nie z dobrej woli.

Na posterunek w Chotymowie przyprowadzało się różnych ludzi. Za bójki po wsiach, za drobne kradzieże w lesie i w polu, za kłusownictwo. Czasem udawało się przyłapać jakąś grubszą rybę, bandytę lub defraudanta unikającego wielkich szlaków i usiłującego bocznymi drogami dostać się do granicy niemieckiej.

Prowadzony jednak przez Sobczaka brodacz, pomimo ogromnego wzrostu, nie budził widocznie obaw posterunkowego i pewno chodziło o jakiś drobiazg.

Po chwili drzwi otworzyły się i obaj weszli. Brodacz zdjął czapkę i stanął przy drzwiach.

Sobczak zsalutował i złożył meldunek:

– Ten oto człowiek zgłosił się do tartaku Hasfelda o pracę. Zatrudniono go, ale okazało się, że żadnych dokumentów nie, posiada i że nie wie, jak się nazywa ani skąd pochodzi.

– Zaraz zobaczymy – mruknął przodownik Kania i skinął ręką na brodacza. – Macie jakie dokumenty?

– Nie mam.

– Sobczak, obszukaj go.

Posterunkowy rozpiął gruby, zniszczony kubrak, przeszukał kieszenie, położył przed przodownikiem na stole wszystko, co znalazł: nieduży, tani scyzoryk, kilkadziesiąt groszy, kawałek sznurka, dwa guziki i blaszaną łyżkę. Obmacał mu cholewy, ale i tam nic nie było.

– Skądżeście się tu wzięli? Co? – zapytał przodownik.

– Przyszedłem z Czumki w surskim powiecie.

– Z Czumki?... A po cóście przyszli?

– Za pracą. W Czumce robiłem w tartaku. Tartak zamknęli. Ludzie mówili, że tu, w Chotymowie, dostanę zajęcie i zarobek.

– A jak nazywał się właściciel tartaku w Czumce?

– Fibich.

– Długoście tam robili?

– Pół roku.

– A urodziliście się też w surskim powiecie? Brodacz wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Przodownik spojrzał nań groźnie.

– No, no! Tylko nie mnie będziecie zawracać głowę! Piśmienny?

– Tak.

– Więc gdzie byliście w szkole?

– Nie wiem.

– Wasze imię i nazwisko? – krzyknął zniecierpliwiony Kania. Brodacz milczał.

– Głusi jesteście?

– Nie, panie przewodniku, i niech pan nie gniewa się na mnie. Ja przecież niczego nie zrobiłem.

– No, to mówcie prawdę!

– Prawdę mówię. Nie wiem, jak się nazywam. Może wcale się nie nazywam. Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie wiem.

– Więc co! Nigdy nie mieliście dokumentów?

– Nigdy.

– To jak was do pracy przyjmowali? Bez papierów?

24

– Po miastach to wszędzie papierów żądali i nie chcieli tak przyjąć. A po wsiach to nie każdy na to zważa. Ot, nazwą jakkolwiek, jak komu wygodnie, i już. Tu, w tutejszym tartaku też podałem nazwisko, jakim mnie w Czumce przezwali: Józef Broda. Ale panu posterunkowemu sam powiedziałem, że to przezwisko. Ja nic złego nie zrobiłem i sumienie mam czyste.

– To się okaże.

– Pan przodownik może napisać do tych, gdzie pracowałem. Nikomu nic nie ukradłem.

Przodownik zamyślił się. Już nieraz w swojej praktyce miał do czynienia z różnymi osobnikami, ukrywającymi swoje nazwisko, a jednak zawsze podawali jakiegokolwiek zmyślane.

Ten zaś uparczywie twierdził, że nie ma nazwiska.

– A gdzie wasza rodzina?

– Nie wiem. Nie mam żadnej rodziny – z rezygnacją odpowiedział brodacz.

– A byliście sądownie karani?

– Tak jest.

Przodownik szeroko otworzył oczy.

– Gdzie?

– W zeszłym roku w Radomiu, a trzy lata temu w Bydgoszczy. Raz na miesiąc, a raz na dwa tygodnie.

– Za co?

– Za włóczęgostwo. Ale niesprawiedliwie. Czy jak kto pracy szuka, to włóczęga?... Po prawdzie, to za to, że dokumentów nie miałem. I prosiłem i w sądzie, i na policji, i w więzieniu, żeby mi wystawili jakiś dokument. Ale nie chcieli. Mówili, że takiego prawa nie ma. To co mam robić?

Chrząknął i rozłożył ręce.

– Niech mnie pan puści, panie przodowniku. Ja nic złego nikomu nie zrobię.

– Puścić?... Przepisy na to nie pozwalają. Odeślę was do starostwa, a tam niech robią, co im się podoba. Możecie usiąść i nie przeszkadzajcie. Muszę sporządzić protokół.

Wyciągnął z szuflady arkusz papieru i zaczął pisać. Długo się namyślał, bo brak nazwiska i miejsca urodzenia zatrzymanego osobnika psuł mu cały schemat protokołu. Wreszcie skończył i spojrzał na brodacza. Szpakowaty zarost i włosy wskazywały, że musi mieć coś koło pięćdziesiątki. Siedział bez ruchu, wpatrzony w ścianę, a jego przeraźliwa chudość i zapadnięte policzki sprawiały wrażenie szkieletu. Tylko ogromne, spracowane ręce poruszały się jakimś dziwnym, nerwowym ruchem.

– Przenocujecie tu – powiedział Kania – a jutro odeślę was do powiatu. Wstał i dodał:

– Nic wam tam nie zrobią. Najwyżej odsiedzicie za włóczęgostwo i puszcza.

– Jak inaczej nie można, to nie ma rady – ponuro mruknął brodacz.

– A teraz chodźcie tu.

Otworzył drzwi do małej komory z zakratowanym okienkiem. Na podłodze leżał siennik,

grubo nabity słomą. Drzwi były z tęgich desek.

Gdy zamknęły się, brodacz położył się na sienniku. I zaczął rozmyślać. Zarówno ten przodownik, jak i drugi policjant nie byli złymi ludźmi, a jednak widocznie prawo nakazywało im być złymi. Za cóż znowu pozbawiono go wolności, za co wciąż patrzą na niego jak na przestępcę?... Czy to taka naprawdę konieczna rzecz mieć dokumenty i jakoś się nazywać?... Czy od tego człowiek stanie się inny?...

Tłumaczyli mu tyle razy, że to niemożliwe, by wcale się nie nazywał. I on w końcu musiał im przyznać słuszność. Ale bał się o tym myśleć. Gdy tylko zaczął, ogarniało go dziwne uczucie: jakby zapomniał coś, coś niezmiernie ważnego. I nagle myśli opanowane gorączkowym niepokojem rozbiegały się we wszystkie strony, zbijaly się w jakieś pogmatwane kłębowiska, szarpały się rozpaczliwie, jak zwierzęta ogarnięte dziką paniką; wirowały coraz szybciej, bez sensu, bez celu, potem rwały się w strzępy, w jakieś dziwaczne kłaczki, niby

25

bezkształtne, beztreściowe żyjące potworki, zrastały się w wielki motek waty wypełniający całą czaszkę.

W takich chwilach doznawał najokropniejszego strachu. Zdawało mu się, że oszaleje, że dostaje obłądu i że jest wobec zbliżającej się katastrofy bezradny, bezsilny i zgubiony. Bo przecie w tym piekielnym chaosie ani na moment nie tracił świadomości. Gdzieś wewnątrz mózgu jakiś precyzyjny aparat notował z całym spokojem każdy objaw, każdą fazę. I w tym była największa męka.

Na próżno całym wysiłkiem woli usiłował wyrwać się z chłonnego bagna. Przestać myśleć, skupić uwagę na jakimś przedmiocie, ratować się. Jedyne fizyczny ból przynosił lekką ulgę. Wpijał zęby do krwi w ciało, gryzł ręce i tłukł głową o ścianę aż do utraty sił, do omdlenia.

Wtedy leżał bezwładny i do ostateczności wyczerpany, niemal martwy.

Toteż bał się, bał się obrzydliwym, zwierzęcym lękiem swojej pamięci. Bał się wszystkiego, co go mogło pobudzić do niebacznego zajrzenia w mgłę przeszłości, w ten koszmarny mrok, którego nie podobna przeniknąć, a który przyciąga jak otwarta przepaść.

Dlatego takie przesłuchanie na posterunku było dlań ciężką torturą i gdy znalazł się sam, a stwierdził, że groza ataku minęła, niemal cieszył się z tego zamknięcia.

Jednakże ponowne zatrzymanie przez policję, męczarnia badania i groźba ataku kazały mu zastanowić się nad koniecznością uchronienia się przed tym wszystkim na przyszłość. Na to zaś był jeden tylko sposób: mieć dokumenty. A ponieważ legalną drogą niepodobna było ich sobie wyrobić, należało je ukraść, zabrać komuś.

Nie wiedział jeszcze, jak to robi, ale postanowienie zapadło.

Nazajutrz wczesnym rankiem odstawiono go do starostwa w oddalonym o kilkanaście kilometrów większym miasteczku. Starostwo mieściło się w dużym, murowanym budynku.

Posterunkowy zostawił brodacza na parterze, pod dozorem policjanta pilnującego jeszcze kilku aresztowanych. Po długim oczekiwaniu zaczęto ich po jednym wywoływać na pierwsze piętro, gdzie była sala sądu starościńskiego.

Tłuściutki, młody urzędnik siedział za stołem przykrytym zielonym suknem i zawalonym papierami. Sądził szybko. Gdy przyszła jednak kolej na brodacza, nabrał widocznie jakichś wątpliwości czy podejrzeń, gdyż kazał mu czekać. Policjant wyprowadził go tedy do sąsiedniego pokoju. Tu przy stole siedział jakiś staruszek i pisał zawzięcie. Pokoik był mały. Gdy brodacz usiadł na ławce pod oknem, z nudów zaczął przyglądać się pracy staruszka. Na biurku tym leżały stosy papierów. Były tam podania oblepione markami stemplowymi, kolorowe awizacje i – brodacz drgnął: niemal najbliżej od niego leżała paczka papierów, złączona spinaczem, a na samym wierzchu leżał dokument. Była to metryka. Przysunął się bliżej i prze-

czytał. Wystawiona była na nazwisko Antoniego Kosiby, urodzonego w Kaliszu. Obliczył lata: 52. Pod spodem były pieczęcie...

Brodacz obejrzał się na policjanta: stał odwrócony plecami i czytał jakieś ogłoszenia naklejone na drzwiach. Teraz trzeba było tylko położyć czapkę na biurku, tak by przykryć nią papiery.

– Proszę zabrać tę czapkę – oburzył się starszek. – Też znalazł sobie miejsce.

– Przepraszam – bąknął brodacze i zsunął ją wraz z paczką papierów, po czym zwinął je w rulon i ukrył w kieszeni.

Oczywiście tym razem nie mógł się posłużyć tak zdobytymi dokumentami i został skazany na trzy tygodnie aresztu za nałogowe uprawnianie włóczęgi.

Po trzech tygodniach wyszedł jednak z więzienia powiatowego i ruszył w świat, już jako Antoni Kosiba.

26

Rozdział IV

W samych Odrinach, w majątku, nie było nic godnego widzenia. Wielki pałac spalony podczas wojny, obrosły pokrzywami, łopianem i końskim szczawiem, z roku na rok pokrywał się mchem i pleśnią i rozsypywał się w gruzy. Właścicielka, księżna Dubancewa, wdowa po dygnitarzu petersburskiego dworu, mieszkała stale we Francji i nie przyjeżdżała nigdy. Rządca, stary dziwak, pan Poleszkiewicz, zajmował dwa pokoiki w drewnianej oficynie na folwarku, gdzie też nie brakło śladów zapuszczenia i zaniedbań.

Ale wokół roztaczała się rozległa i przepiękna Puszcza Odryniecka, tysiące hektarów porośniętych gęsto sosnami i jodłami, dębami i brzoźami, podszyta leszczyną i jałowcem, poprzerzynana krętymi, wąskimi drózkami, na których częściej spotykało się ślady dzika czy rogacza niż koma lub człowieka. Z lotu ptaka cała ta ogromna przestrzeń wyglądała jak mieniący się

zielony aksamit, w który powszywano gęsto błyszczące tafelki dżetów.

Bo i wód tu nie brakowało. Małe i większe jeziora, połączone ukrytymi w łożach i olchach strumykami, sprawiały, że łatwiej było puszcze objechać łódką niż obejść piechotą. Łódkami też najczęściej posługiwali się nieliczni gajowi.

Tylko do dworku w środku puszczy musieli iść piechotą. Dworek stał na wzgórzu, na niewielkiej polanie, ze wszystkich stron otoczonej wysokim murem starego lasu. W dworku mieszkał leśniczy, pan Jan Oksza, syn starego Filipa Okszy, który przez lat z górą czterdzieści Puszcą Odyniecką zarządzał, a po śmierci synowi i posadę, i wszystko, co miał, zostawił. Młody od dzieciństwa do szkół do Wilna, a później do dalekiej Warszawy wysłany, wrócił po latach z dyplomem leśnika w kieszeni, z żoną i córeczką, w dworku zamieszkał i już piąty rok nieograniczoną władzę w puszczy sprawował. Nieograniczoną, gdyż jego zwierzchnik, pan Poleszkiewicz, we wszystkim mu ufał, do niczego się nie wtrącał i do leśniczówki, jeżeli zagłądał, to nie po to, by książki sprawdzać, lecz by z panią Beatą Okszyną pogadać, z panem Janem partyjkę szachów zagrać lub małą Marysię na siodle przed sobą usadowić i „powozić” na polance. Był to zresztą niemal jedyny gość, który do leśniczówki zagłądał.

Pan Oksza widać po ojcu odziedziczył usposobienie odludka, do sąsiadów, których zresztą daleko przyszloby szukać, nie lgnął, a i oni go nie nachodzili. Domator też był pomimo młodego wieku wielki, czemu nie dziwiono się również, gdyż żonę miał piękną i – jak mówił gajowy Barczuk – „bardzo przychylną”, córeczkę jak aniołka i szczęście w domu.

Toteż i wyjeżdżał nader niechętnie. Ilekroć zmuszony był wybrać się do powiatowego Brasławia albo, Boże nie daj, do samego Wilna, wyjazd z dnia na dzień odkładał, może i z tego powodu, że trochę „słabował” na zdrowiu, a podróż męczyła go bardzo. Bywało, jak się trochę zaziębił, to krwią pluł i w łóżku musiał leżeć. A że dobry był człowiek, ludzki i sprawiedliwy, wszyscy podwładni żalowali go bardzo patrząc, jak w oczach niknie. Dwa razy to

nawet doktora doń trzeba było przywozić, co niełatwo i drogo, bo osiem mil to nie fraszka. Mówili ludzie, że młody leśniczy już z tego nie wyjdzie, i na to rzeczywiście wyglądało. Lato w puszczy jest piękne. Mocno pachnie żywica, powietrze ciepłe jak w piecu, rozmaitych muszek tyle, że aż w uszach brzęczy. Chwieją się wierzchołki smukłych sosen, wiatr szumi w koronach starych dębów, mchy jak dywan puszyste, jagód i grzybów co niemiara i żyć tu, i nie umierać. A gdy jesień przyjdzie, cisza w borze zalega taka jak w kościele podczas Podniesienia. Stoją drzewa zamyślane i nawet nie czują, jak z nich liście złocistymi i czerwonymi płatkami spadają i spadają. A w zimie śnieg wszystko pokrywa, wysoko, głęboko, grubymi poduszkami na gałęziach narasta, a gdy człowiek odetchnie, gdy mroźne zdrowe powietrze do piersi wciągnie, to aż radość ogarnia.

Ale po zimie wiosna przychodzi. Z odtającej ziemi leśnej, z jezior i bagien opary wilgotne wstają, i wtedy to najgorzej tym, co ich suchoty męczą.

Tak było i z panem leśniczym Oksza. Zimę dobrze przetrzymał, ale gdy w marcu śnieg topnieć zaczął, na zdrowiu zapadł. A jak zapadł, to już czwarty tydzień w łóżku leżał i w sy-

27

pialni raporty od gajowych odbierał. Schudł tak, że i trudno go było poznać, a czasem jak porwał go kaszel, jak zaczął nim trząść, to i mowę na kwadrans czy dłużej tracił. Tylko pot mu wielkimi kroplami występował na czoło i dyszał z trudem.

W sobotę to było, gdy już pani gajowych całkiem nie wpuściła. Wyszła do nich do kuchni, sama blada i mizerna, i powiedziała cicho:

– Mąż tak źle się czuje, że... że nie można go męczyć. I rozplakała się.

– A żeby tak doktora przywieźć, paniczka – odezwał się jeden. – Zawsze lżej mu umierać będzie.

– Pan nie chce doktora – potrząsnęła głową. – Sama błagam go o to, nie

chce zgodzić się.

– Ja by pojechał po doktora – ofiarował się inny. – A panu leśniczemu można powiedzieć, że doktor sam przejazdem, znaczy się po drodze zajechał.

Na tym stanęło i pani Okszyną otarła łzy i wróciła do sypialni. Po wielu nie przespanych nocach sama ledwie powłóczyła nogami. Gdy jednak zbliżyła się do łóżka chorego, usiłowała uśmiechnąć się i udawać dobre myśli. Bała się, by wzrok Janka nie wyczytał prawdziwych, tych strasznych i bolesnych myśli, które zadręczały jej biedną duszę. Gdy on zapadał w sen, wówczas klękała i modliła się żarliwie.

– Boże, przebacz mi, nie karz mnie, nie mścij się nade mną! Nie zabieraj mi go. Zgrzeszyłam, zrobiłam wiele zła, ale wybacz! Wybacz! Nie mogłam inaczej!

I łzy jej ciekły po przezroczystej twarzy, a usta drżały w szepcie niezrozumiałych słów.

Lecz Janek budził się prędko. Przychodził nowy atak kaszlu i na ręczniku zjawiała się nowa krwawa plama. Trzeba było podawać lód i lekarstwa.

Niespodziewanie wieczorem nastąpiła poprawa. Gorączka spadła. Kazał podnieść się wyżej i usiadł. Bez protestu wypił szklankę śmietanki i powiedział:

– Zdaje mi się, że będę żył!

– Na pewno, na pewno, Janku! Kryzys minął, to oczywiste. Czujesz się silniejszy. Zobaczysz, za miesiąc wrócisz zupełnie do zdrowia.

– Tak myślę. Czy Mariola jeszcze nie śpi? Nigdy nie nazywał jej tym imieniem. Nie lubił go i od początku nazywał ją po prostu Marysią, do czego z czasem przyzwyczała się i Beata.

– Nie, jeszcze nie śpi. Odrabia lekcje.

– Więc jeszcze masz czas na lekcje z nią?... Umilkł, a po chwili powiedział;

– Boże, ile ja tobie i jej wyrządziłem krzywdy.

– Janku! Jak możesz mówić takie okropne rzeczy! – Przeraziła się.

– To prawda.

– Sam w to nie wierzysz. Dałeś nam tyle szczęścia, tyle najpiękniejszego szczęścia!...

Przymknął oczy i szepnął:

– Kocham cię, Beato, z każdym dniem bardziej. I to ta moja miłość nie pozwoli mi umrzeć.

– Nie umrzesz, nie możesz umrzeć. Bez ciebie życie dla mnie byłoby gorsze od śmierci.

Ale nie mówmy o tym. To już minęło, dzięki Bogu. Wiesz co? Zawołam Marysię. Już tak dawno ciebie nie widziała. Pozwól!

– Nie powinienem. Tu powietrze pełne zarazków. Już i to mnie przejmuje obawą, że ty wciąż nim oddychasz. Dla jej młodziutkich płuc to trucizna.

– Niech więc stanie na progu. Zamień z nią chociaż kilka słów. Ty nawet nie wiesz, jak się ona o to dopomina.

– Dobrze – zgodził się. Beata uchyliła drzwi i zawołała:

– Marysiu! Tatuś pozwala ci przyjść.

– Tatusiu! – rozległ się z głębi domu radosny pisk, a później tupot prędkich kroków.

Dziewczynka wbiegła i stanęła nieruchomo. Już od dwóch tygodni nie widziała chorego i zmiana, jaka w nim zaszła, widocznie ją przeraziła.

28

– Tatuś ma się dziś lepiej – prędko mówiła Beata – ale pozwala ci tylko stać przy drzwiach. Wkrótce już wstanie i będziecie znowu razem chodzić do lasu.

– Jakże tam ci idzie, drogie dziecko? – zapytał Oksza.

– Dziękuję, tatusiu. A wie tatuś, że podmyło tę krzywą brzozę przy Siwym Ruczaju?

– Podmyło?

– Tak. Mikoła powiada, że się jak nic przewróci. I mówił jeszcze, że jego syn, Gryszka,

widział wczoraj cztery łosie przy brodzie Humińskim. Szły jeden za drugim.

– To pewno te z Czerwonego Lasu.

– Aha, Mikoła też tak myśli.

– A nie zapomniałaś już botaniki i fizyki z kretesem? – zapytał z uśmiechem.

– Wcale nie, tatusiu! – zapewniała i na potwierdzenie tego zaczęła wyliczać, czego nauczyła się sama. Po krótkiej rozmowie Oksza pożegnał dziewczynkę, posyłając jej ręką całusa.

Ręka była wychudła i nienaturalnie biała.

Gdy Marysia wyszła, powiedział:

– Jak ta dziewczyna rośnie. Ma dopiero dwanaście lat, a już jest prawie taka jak ty. W przyszłym roku będziemy jednak musieli oddać ją do szkoły.

Mam nadzieję, że wreszcie księżna dostanie pozwolenie wyrębu i my wówczas staniemy na nogi.

– Bóg da. Byłeś tylko ty prędeziej wyzdrowiał.

– Tak, tak – przyznał z energią – muszę wyzdrowieć i zakrzętnąć srę koło interesów. Jeżeli wyrębu nie będzie, zdecydowałem się szukać innej posady. Ciężko rozstać się z Odryniecką Puszcza, ale Marysia dorasta.

To ważniejsze.

Zamyślił się i po chwili zapytał:

– Dużo znów wydałaś na lekarstwa?

– Nie troszcz się o to.

– Wiesz, zastanawiałem się, że gdybym teraz umarł, niewiele zostałoby ci po zapłaceniu kosztów pogrzebu. To mnie dręczyło najbardziej... Ze sprzedanych mebli starczyłoby ci na jakiś rok. Zwłaszcza te stare makatki. Są

podobno cenne.

– Janku! O czym ty mówisz! – zawołała z wyrzutem. – Nic, powtarzam, co sobie myśla-
łem. Myślałem też, że w razie czego masz prawo upomnieć się o jakąś rentę dla Marysi. Nie
sądzę, by Wilczur się odnalazł. Byłoby o tym w gazetach. Musi tam jednak ktoś zarządzać
jego majątkiem, a Marysia ma do tego majątku prawo.

Na twarz Beaty wystąpiły rumieńce.

– I to ty mówisz, Janku?! – zawołała nie ukrywając oburzenia. Dotychczas w ciągu pięciu
lat nie było między nimi ani najmniejszej wzmianki o profesorze. Od pięciu lat, odkąd kazał
jej nawet bieliznę i ubranka Marioli odesłać do jakiegoś przytułku dla biednych dzieci. Oksza
spuścił oczy.

– Nie mam prawa skazywać jej na nędzę.

– A ja nie mam prawa wyciągać ręki po jego pieniądze. Sto razy, tysiąc razy wolałabym
umrzeć. Nigdy, słyszysz, Janku, nigdy!

– Dobrze, nie mówmy już o tym. Ale widzisz, gdybym ja nie żył...

Kiedy sądziłem, że umrę, ogarniał mnie strach na myśl, co się stanie z wami...

– Umiem szyć, umiem haftować, mogę dawać lekcje... Wszystko, byle nie tamto. Zasta-
nów się, z jakim czołem mogłabym przyjść do jego spadkobierców z żądaniem, ja, którą
oni... mają prawo uważać za winowajczynię jego śmierci. A zresztą, Janku, po co o tym w
ogóle mówimy? Czujesz się zdrowy, dzięki Bogu, i wszystko pójdzie jak najlepiej.

– Na pewno, kochana, na pewno. – Przytulił twarz do jej ręki.

29

– No widzisz! – rozpromieniła się. – A teraz musisz postarać się zasnąć.

Już późno.

– Dobrze. Czuję się trochę senny.

– Dobranoc jedyny, dobranoc. Sen jeszcze ci sił doda.

– Dobranoc, moje szczęście.

Ośloniła lampę, owinęła się pledem i ułożyła się na sofie. Po kwadransie jednak przypomniała sobie, że musi mu jeszcze przed nocą dać krople.

Podniosła się, odliczyła dwadzieścia kropel lekarstwa pachnącego kreozotem, dołała wody i pochyliła się nad chorym.

– Janku – odezwała się półgłosem – trzeba wypić lekarstwo.

Nie obudził się. Delikatnie dotknęła jego ramienia i pochyliła się nad nim.

Wtedy zobaczyła, że ma otwarte oczy.

Już nie żył.

Rozdział V

Akurat na połowie drogi między Radoliszkami a Nieskupą stał od niepamiętnych czasów młyn wodny, niegdyś własność ojców bazylianów z klasztoru w Wickunach, przez nich założony za czasów króla Batorego, obecnie należący do Prokopa Szapiela, zwanego powszechnie z białoruska Prokopem Mielnikiem.

Ziemia w okolicy nie była ani zbyt bogata, ani zbyt żyzna, ot, żytnio-kartoflana i przeważnie należąca do drobniejszej szlachty i chłopów, ale żyta do przemiału Prokopowi nie brakowało, bo konkurencji żadnej w pobliżu nie miał, nie licząc wiatraka w odległej o pięć kilometrów litewskiej wiosce Bierwintach. A ten na osiemdziesiąt chat nastarczyć nic mógł, bo Litwini odznaczyli się wyjątkową gospodarnością i niejeden z pięciu dziesięcin więcej zebrać umiał niż białoruski gospodarz z siedmiu albo i ośmiu.

Tak samo było i w Nieskupej. W Nieskupej siedzieli Moskale, staroobrzędowcy, co tu z Rosji kiedyś przyszli. Chłopy wszystko wielkie, zdrowe, robotne, co im nie sztuka była od wschodu do zachodu za pługiem chodzić, a orać tak głęboko, że i w Bierwintach tak nie orali.

W Radoliszkach zaś, jak to w miasteczku, były Zydki, co na mniejszą skalę zajmowali się skupem zboża po dalszych wsiach, zarówno na potrzeby miasteczkowych, jak i na wywóz z Wilna. Od nich Prokop Mielnik też robotę miał. Toteż nie narzekał i byle posucha nie przyszła, byle wody w stawach nie zabrakło, to i nie miał przyczyny. A posucha zdarzała się rzadko w tych stronach i musiała być już nie wiadomo jak długotrwała, by wody na koło nie starczyło. Bo stawy, chociaż paręset lat temu kopane, solidne były, głębokie, no i co dziesięć lat szlamowane, by nie zarosły.

Stawów było trzy. Dwa górne i jeden dolny. Wszystkie gęsto wierzbami obrośnięte. Do dolnego spadek był duży, ze dwa sążnie, a oprócz koryta, co na koło szło, były jeszcze dwa wielkie spusty na wypadek powodzi. W stawach ryb było sporo: płotki, miętusy, okonie, ale najwięcej kiełbi. I raków nie brakowało. W głębokich jamach pod korzeniami, które woda wypłukała, gnieździły się setkami. Obadwaj parobcy Prokopa, a już zwłaszcza młodszy Kaziuk, strasznie naumieli się je łapać. W wodzie po kolana stoi, a co nachyli się i rękę po łokieć albo i głębiej w norę wsadzi, to już raka wyciąga.

W samym młynie wprawdzie nikt by ich nie jadł, uważając za robactwo, ale w miasteczku, w Radoliszkach, zawsze można było je sprzedać: i ksiądz katolicki, i pop prawosławny, i doktor, a zwłaszcza ten był na nie amatorem. Wolał za poradę pół kopy raków wziąć niż dwa dziesiątki jaj albo i trzy złote.

Za miasteczkiem, wiorst jeszcze ze dwanaście, w fabryce też amatorów było niemało, ale tu trzeba było natrafić na okazję. Pieszko za daleko, a stary Prokop konia na takie rzeczy nie dawał, choć ten już całkiem był zastały, a spasiony jak świnia. Obroku mu, wiadomo, nie bra-

30

kowało. Stał tylko, z nogi na nogę zestępował i paraskał, aż po całym chlewie się rozlegało.

Chlew był duży, mocny, z grubych okrągłaków budowany. Oprócz konia stały tam dwie kro-

wy i w przegrodzie świniaki. Pod daszkiem było miejsce na wóz i sanie.

Dom dobudowany był do młyna. Miał trzy izby, w których Prokop z rodziną i z parobkami mieszkał, i przybudówkę, nową całkiem, którą dla najstarszego syna, Albina, jeszcze postawił, gdy Albin miał się żenić. Od śmierci Albina przybudówka pusta stała, bo i drugiego syna, gdy do niej się sprowadził, zaraz nazajutrz nieszczęście spotkało. Mówili ludzie, że ktoś musiał na nią urok rzucić czy złym okiem na podmurówkę spojrzeć. A czy prawda to była, czy nieprawda, dość, że nikt tam zamieszkać nie chciał, choć byli i tacy, co po cichu zapewniali, że nie przybudówka uroczone, ale Bóg Prokopa Mielnika na potomstwie pokarał za to, że swego brata wyprocesował i z torbami puścił.

Strasznie takie gadanie gniewało Prokopa. Ścierpieć tego nie mógł i niejedyn już za swoje podejrzenia dobrze od niego oberwał.

A jednak w tym czy owym musiało coś być. Miał przecież stary Mielnik trzech synów. Średni na wojnie zginął, najstarszy przed samym ożenkiem po pijanemu na lód wszedł, ten złamał się, i utonął. A najmłodszy, wbijając klin w sworzeń na samej górze, zwałił się i omal życia nie postradał, a i tak obie nogi połamał. Na próżno sprowadzali doktora, na próżno doktor w deszczułki mu nogi układał. Na całe życie kaleką już musiał zostać, chodzić nie mógł. Piąty miesiąc to siedział, to leżał, do nijakiej roboty się nie nadawał, i tak przy osiemnastu latach ciężarem ojcu był.

I z córką nie powiodło się Mielnikowi. Wyszła za mąż za majstra w cegielni, ale majster przy pożarze zginął, a ona, że to w ciąży była akurat, widać z tego urodziła dziecko chore, na padaczkę cierpiące.

Oto dlaczego stary Prokop chodził ponury jak noc i wilkiem patrzył, chociaż mu ludzie bogactwa zazdrościli, choć młyn nie próżnował i choć sam na zdrowie narzekać nie mógł.

– Tego roku na jesieni jeszcze jeden kłopot przybył: młodszego parobka, Kaziuka, brali do

wojska. Na jego miejsce byle kogo Prokop przyjąć nie chciał. We młynie praca jest odpowiadająca, wymaga roztropności i siły. Byle pastuch do tego się nie nadawał. Długo zastanawiał się stary, aż wybór jego padł na Nikitkę Romaniuka z Poberezia. Ojciec Nikitki miał i tak dwóch żonatych synów, a najmłodszy nawet do miast chodził za pracą. Chłopak zdrowy, do rzeczy, i nawet szkołę ukończył.

Powziąwszy raz postanowienie, we czwartek, jako w dzień targowy w Radoliszkach, Prokop wybrał się w drogę. Blisko było z młyna do tartaku, niecała wiorsta. A traktem właśnie ciągnęli chłopcy na targ. Jedna za drugą przejeżdżały bryczki i wozy. Każdy Mielnikowi kłaniał się, bo znali go wszyscy. Ten i ów, nie zatrzymując szkapy, zagadał, patrząc ciekawie, jak stary przyjął dopust Boży, który pokręcił mu ostatniego syna, Wasilka. Ale po twarzy Prokopa nic nie było można poznać. Jak zawsze miał zmarszczone brwi i poruszał swoją łopaciastą, siwą brodą.

Nadjechał wreszcie i Romaniuk. Musiał po zakupy jechać, bo wóz był pusty, tylko z tyłu jego baba siedziała.

Prokop kiwnął mu ręką i zaczął iść obok wozu. Uścisnęli sobie dłonie.

– No, co tam? – zapytał Romaniuk. – Tuczysz się, bracie?

– Żyję z Bożą pomocą. Ale zmartwienie mam.

– Słyszałem.

– Nie to. Tylko Kaziuka do wojska biorą.

– Biorą?

– A biorą.

– Tak to?...

– Aha. A wiesz, że zarobek u mnie dobry. Parobek głodu nie zazna i jeszcze odłoży.

– Wiadomo – przyznał Romaniuk.

– Tak ja sobie pomyślałem, że twój, niby Nikita, podchodziłby do takiego zajęcia.

– Czemu nie.

– Nu, to jak?

– Co jak?

– Nu, z Nikita?

– Ano, żeby u ciebie, do pracy?

– Aha.

Romaniuk podrapał się po głowie, w jego małych, siwych oczkach błysnęła radość. Powiedział jednak obojętnym tonem;

– Chłopak zdrowy...

– To i chwała Bogu – spiesznie mruknął Prokop w obawie, by Romaniukowi nie przyszło do głowy zapytanie o zdrowie Wasila. – Tylko żeby na przyszły piątek przyszedł, bo w piątek Kaziuka biorą.

– To dobrze, bracie, że mówisz. Bo jego w domu nie ma. On teraz aż do Oszmiany pojechał.

– Roboty szukać?

– A pewno.

– Ale wróci?

– Co nie ma wrócić? Zaraz z Radolizsek pocztową karteczkę do niego wyślę.

– No, to i dobrze. Żeby na piątek...

– Toż rozumiem.

– Pracy teraz wiele. Nie zdołam bez dwóch parobków – dodał Prokop.

– Przyjedzie na czas.

– To z Bogiem!

– Z Bogiem.

Romaniuk potrząsnął lejcami, na co zresztą mały, brzuchaty siwek nawet nie zwrócił uwagi, i pograżył się w myślach, pełen zadowolenia. Wielkie to jednak było wyróżnienie,, że Mielnik spośród tylu wybrał jego syna.

Odwrócił się i spojrzał na żonę. Z grubych chustek, które szczelnie opatulały jej głowę, widać było tylko nos i oczy.

– Naszego Nikitę Mielnik bierze – powiedział. Baba westchnęła:

– Boże, mój Boże!...

I nie wiadomo było, czy cieszy się, czy się martwi. Zresztą Romaniuk nigdy się nad tym nie zastanawiał. Głos już miała taki jękliwy.

Cieszył się i Prokop. Strasznie nie lubił zmian i niepokojów. Teraz sprawa była załatwiona.

Tak mu się przynajmniej zdawało, a zdawało się aż do piątkowego wieczoru.

Dnia tego, później niż zazwyczaj, zabrał się do zamykania młyna. Wciąż czekał. Domowi nawet nie domyślali się, dlaczego jest taki zły, gdyż nikomu nie powiedział. Ale za to w sobie pienił się znowu. Przecie wyraźnie kazał mu przyjść w piątek! Kaziuka już nie było. Od jutra roboty nawali, a tu choć głową w ścianę bij.

– Czekaj ty, szczenię zatracone – warczał cicho, kręcąc brodę. I przysięgał sobie, że nie weźmie go, choćby z samego rana przyszedł. Sobota to nie piątek. Lepiej pierwszego lepszego, z gościńca, nawet złodzieja, byle nie Nikitę.

Ale i nazajutrz Nikitka się nie zjawił. Trzeba było wziąć do pomocy jednego z chłopów, który żyto do młyna przywiózł.

Następnego dnia, jako w niedzielę, młyn był nieczynny, Prokop, pomodliwszy się, choć mu gniew w pacierzach przeszkadzał, wyszedł przed dom i usiadł na ławeczce. Długo żył, ale

nie zdarzyło mu się jeszcze, by ktoś zrobił mu taki zawód. Chciał chłopcu łaskę wyświadczyć, a ten nie zjawił się. Oczywiście, musiał w Oszmianie pracę znaleźć i dlatego nie przyjechał, ale i to go nie usprawiedliwiało.

32

– Pożałuj tego, te Romaniuki – mruzczał pociągając dym z fajki. Słońce świeciło jasno.

Dzień był ciepły i cichy. Nad stawami zganiało się ptactwo w pogoni za owadami. Nagle na gościńcu rozległ się warkot. Stary przysłonił oczy ręką. Gościńcem pędził motocykl.

– W dzień święty takie rzeczy – splunął. – Boga się nie boją. Wiedział, o kim mówi. Cała okolica już od wiosny wiedziała, że to z Ludwikowa, z fabryki, syn właściciela, młody pan Czyński. Za inżyniera za granicami się uczył, a teraz na odpoczynek do rodziców przyjechał. Gadali, że po ojcu miał zarząd fabryki objąć, ale jemu w głowie był tylko ten motocykl, diabelska maszyna, żeby ludziom po nocach spać nie dawać i konie na drogach straszyć.

Toteż z niechęcią spoglądał stary za tumanem kurzu znikającym na gościńcu. A patrząc w tamtą stronę zobaczył człowieka idącego drogą do młyna. Człowiek szedł wolno, równym krokiem, na plecach niósł węzełek na kij. Najpierw zdawało się Prokopowi, że to Nikitka, i krew mu napłynęła do twarzy, ale gdy idący zbliżył się, okazało się, że jest już niemłody, z czarną, siwiejącą brodą.

Przyszedł, uklonił się, po bożemu pozdrowił i zapytał:

– Czy pozwolisz przysiąc i o wodę poprosić? Dzień gorący i pić się chce. Młynarz obrzucał go uważnym spojrzeniem, odsunął się robiąc obok siebie miejsce na ławce i skinął głową.

– Przysiąc każdemu wolno. A wody u nas, dzięki Bogu, nie brakuje. Ot tam, w sionce, ceber stoi. – Wskazał za siebie.

Przybysz wydał mu się sympatyczny. Smutną miał twarz, ale Prokop sam zbyt wiele zmartwień przeżył, by lubił twarze wesole. A temu przy tym i z oczu dobrze patrzyło. Od

każdego zaś podróżnego człowiek może czegoś ciekawego dowiedzieć się. Ten zaś widać z dalekich stron pochodził, bo jego mowa inna była.

– A skądże to Bóg prowadzi? – zapytał Prokop, gdy nieznajomy wrócił i usiadł, ocierając wierzchem dłoni krople wody, osiadłe na brodzie i na wąsach.

– Z daleka. A teraz spod Grodna idę. Za pracą.

– I od Grodna toś pracy nie znalazł?

– Owszem, robiłem przez miesiąc u kowala w Mickunach. A robota skończyła się, to i poszedłem dalej.

– W Mickunach?

– Tak.

– Znam tamtego kowala. Czy to nie Wołowik?

– Wołowik, Józef. Z jednym okiem.

– To prawda. Iskra mu wypaliła. A znaczy się ty sam też kowal. Przybysz uśmiechnął się:

– I kowal, i nie kowal. Każdą robotę znam...

– Jakże to tak?

– Ano już lat ze dwadzieścia po świecie chodzę, to i nauczyłem się wielu rzeczy.

Stary zerknął spod krzaczastych brwi.

– A po młynarskiej części też pracowałeś?

– Nie, nie zdarzyło się. Ale ja także, panie Mielnik, prawdę powiem, Nocowałem ja w Po-bereziu u niejakich Romaniuków. Dobrzy ludzie. I tam słyszałem, że ich syn do pracy u cie-bie zgodzony. Ale on w Oszmianie robotę dostał w kooperatywie i wracać nie chce.

Prokop nachmurzył się.

– To ciebie Romaniuki przysłali?

– Gdzież tam. Ale posłyszałem, to, myślę, skorzystam. Zajść i zapytać nie grzech. Chcesz,

to weźmiesz mnie, nie chcesz, nie weźmiesz.

Prokop wzruszył ramionami.

– Jakże ja mogę ciebie wziąć, do domu obcego człowieka puścić?

– Ja i nie napraszam się.

33

– To i mądrze robisz. Nie znam ciebie ani nikt ciebie tu nie zna. Sam rozumiesz. Może ty i dobry człowiek, bez żadnych złych zamiarów, ale może i zły. Nawet twego nazwiska nie wiem, ani skąd ty rodem.

– Nazwisko moje Antoni Kosiba, a rodem ja z Kalisza.

– Kto by go wiedział, gdzie ten sam Kalisz.

– Pewno, że daleko.

– Świat jest wielki – westchnął Prokop – a ludzie na nim rozmaici. Zapanowało milczenie, lecz młynarz po chwili zapytał:

– A cóż ty chodzisz, że miejsca nigdzie nie zagrzejesz? To domu nie masz?

– Nie mam.

– I baby swojej nie masz?

– Nie.

– A dlaczego?

– Nie wiem... Od baby nic dobrego na świecie.

– Co prawda, to prawda – przyznał Prokop – przez nie tylko zgorzenie i kłopoty. Ale zawsze należy się ożenić. Takie prawo Boskie.

I pomyślał stary Prokop, że to prawo dla niego okazało się okrutne. Urodziła mu wprawdzie żona trzech synów i córkę, ale nie na pociechę, tylko na nieszczęście.

Rozmyślania jego przerwał przybysz:

– Pewno, że mnie nie znasz. Ale przecie u ludzi pracowałem, świadectwa mam. Możesz je przeczytać.

– I czytać nie będę. Z czytanego i z pisanego nie ma nic dobrego.

– Dokumenty też w porządku. Żebym złodziej był, nie pracy bym szukał, tylko co ukraść.

Jakbym był złodziejem, to już dawno zamknęliby mnie w więzieniu. A ja już dwanaście lat chodzę. I nawet nie miałbym ukryć się u kogo, bo nikogo bliskiego nie mam.

– A dlaczegóż nie masz?

– A ty masz? – zapytał przybyły. Młynarza to zastanowiło.

– Jakże? Mam rodzinę.

– Ale jakby, nie daj Boże, wymarła, to znalazłbyś bliskich?... Znalazłbyś życzliwych, serdecznych, co pomogliby ci w biedzie?...

Nieznajomy mówił jakby z goryczą i patrzył w oczy Prokopowi.

– Nikt nie ma bliskich – zakończył, a Mielnik nic na to nie odpowiedział. Pierwszy raz w życiu podsunięto mu taką myśl i wydala mu się prawdziwą.

Toteż przyjaźniej spojrzął na przybysza.

– Co tam ludzie o mnie mówią czy myślą – powiedział – niewiele mnie to obchodzi. Pewno i tobie bajek naopowiadali. Ale ja sam wiem, jak należy się żyć. Krzywdy ani biedy niczyjej nie chcę. Przyjdzie kto do mnie, to głodny nie odejdzie. Bogiem się świadczę! Tak i tobie powiem: mnie chleba nie brakuje i ty się najesz. Pewne i to, że nie pozwolę ci w rowie przenocować. Kąt się znajdzie. Ale roboty dla ciebie nie mam. Tak ci powiem: wydajesz się i niegłupi człowiek i może uczciwy. Ale mnie potrzebny robotnik zdrowy, silny, młody. A ty już swój wiek masz.

Na to przybysz wstał bez słowa. O kilka kroków od domu leżał w trawie kamień młyński,

pęknięty przez pół. Pochylił się nad nim, podłożył dłonie pod jego połówkę, rozstawił nogi, zaparł się i podniósł. Trzymał go tak chwilę, w milczeniu patrząc na Mielnika, po czym rzucał, aż ziemia zadudniła.

Prokop powoli nabijał swoją fajkę. Przybysz usiadł obok, wyciągnął z kieszeni papierosa.

Zapalił i młynarz powiedział:

– Już południe dochodzi.

– A dochodzi – potwierdził przybysz, zerknąwszy na słońce.

34

– Pora na obiad. Cóż te baby porządku przy dniu świętym nie pilnują.

Baby jednak pilnowały, bo właśnie rozległ się z sieni piskliwy głos dziewczynki:

– Dziadzia! Obiad!

– Chodź, zjesz z nami, co Bóg dał – mruknął Prokop wstając.

– Bóg zapłać – odpowiedział przybysz i poszedł za nim. Z sieni, gdzie nie było podłogi, wchodziło się na prawo, przez wysoki próg, do pokojów, a na lewo, przez jeszcze wyższy, do izby, czyli do obszernej kuchni, która była również jadalnią i w której żyło się przez cały dzień. Niemal ćwierć izby zajmował olbrzymi piec, wapnem bielony. Z wielkiego otworu buchał żar. Na jego czerwonym tle czerniały pękate sagany, sycząc, bulgocząc i napełniając powietrze zapachem smacznej strawy. Na piecu i na dobudowanych leżakach, gdzie zimą sypiali starsi i dzieci, znajdowały się teraz tylko jakieś rupiecie przykryte pasiastym kilimem. Nie otynkowane, ale oszalowane ściany pokryte były setkami barwnych ilustracji. W rogu wisiał złocisty ikonostas ubrany różnokolorowymi papierkami, a przed nim zawieszona na mosiężnych łańcuszkach paliła się mała lampka oliwna.

W tymże rogu stał wielki stół, przy niedzieli nakryty obrusem z grubego, czystego płótna.

Na obrusie leżał potężny, płaski bochen chleba, leżały łyżki drewniane i aluminiowe, widelce,

noże i sól w zielonej maselnicy, której przykrywką wyobrażała owcę z jagniętami. Pod ścianami biegła szeroka ława, a nad nią półki przykryte gazetami powycinanymi w ząbki. Na półkach stały misy, dzbany, kubki, talerze, garnki emaliowane i sagany, a na honorowym miejscu sześć rondli miedzianych, błyszczących ostrą, metalową czerwienią.

W izbie było sześć osób. Jedna stara, zgarbiona baba, dwie dość młode jeszcze kobiety i blada dziewczynka o pięknych, czarnych oczach, wyglądająca na lat trzynaście. I dwaj mężczyźni: tęgi, rudy chłop o szerokich barach, siedzący skromnie przy drzwiach, i młody, wysmukły brunet, w którym przybyły od razu domyślił się syna gospodarza, Wasila – Wasil siedział na ławie za stołem, podparty na łokciu, i patrzył w okno. Wejście ojca i nieznanego nie przerwało mu smutnych rozmyślań.

Natomiast baby zakotłowały się i zaprzętnęły do podawania. Po chwili już dymiły na stole dwie misy: jedna z tłustym barszczem, tego zabielanym, druga z gotowanymi kartoflami.

Dla Prokopa i dla Wasila postawiono głębokie fajansowe talerze. Reszta miała jeść ze wspólnych mis. Stary usiadł na honorowym miejscu pod obrazami, szeroko przeżegnał się, inni poszli jego śladem i po chwili w izbie rozległo się smakowite siorbanie. Obecność nieznanego gościa nikogo tu nie zdziwiła. Nieraz się zdarzali. Nikt też nań nie zwrócił szczególnej uwagi. Między sobą z rzadka przerzucali się urywanymi zdaniem, raz polskimi, raz białoruskimi, jak wszyscy w tych stronach. Wkrótce misy opróżniły się i stara gospodyni, nazywana „matką Agatą”, zwróciła się do jednej z kobiet:

– Nuże, Zonia! Co, zaczadziłaś? Rusz się!

Zonia, wysoka, szerokobiodra baba poderwała się, chwyciła puste misy i pobiegła do pieca. Wzięła stojący w kącie uchwyt na długim kiju, szybko wsunęła go do rozpalonej czeluści i wydobyła z niej sagan. Jej zdrowe, puerfowate policzki zaczerwieniły się od ognia, a gdy

wracała z pełną misą, musiała ją trzymać w wyciągniętych rękach: miała wyjątkowo duże i pełne piersi.

Po barszczu przyszła kolej na mięso, gotowaną wieprzowinę, pokrajaną mS kawałki wielkości pięści, tłustą i przerastała.

– Olga! – zaskrzeczała niecierpliwie matka Agata, zwracając się do drugiej kobiety. – Odkrojże bratu chleba! Nie widzisz! Olga, szczupła i zwinna, sięgnęła po bochenek, uniosła go lekko, oparła o siebie i odcięła długą, cienką i równą kromkę. – I mnie chleba, mamó – upominała się dziewczynka nazywana Natałką. – I człowiekowi nie zapomnij – burknął Prokop.

Olga zerknęła na gościa i położyła przed nim taką zgrabną kromkę.

– Dziękuję – powiedział, a ona zaśmiała się i kiwnęła głową.

– Nie ma za co.

35

– Z daleka jesteś?

– Z daleka, z Kalisza. – To i w Wilnie byłeś?

– A byłem!...

– I Ostrą Bramę widziałeś?...

– Widziałem. Tam obraz Matki Boskiej, cudowny obraz. Prokop spojrzał na syna spode łba i znowu spuścił oczy.

– Każdy wie, że tak jest – mruknął.

– A ty cudy sam widziałeś? – zagadnął Wasil.

– Widzieć nie widziałem, ale ludzie opowiadali. O różnych cudach.

– A na przykład, zrób łaskę, opowiedz.

– Ja tam takich rzeczy nie umiem – zastanowił się gość – ale co słyszałem, jak potrafię,

powtórzę.

– Powtórz, powtórz. – Mała Natalką przysunęła się doń.

Zaczął niechętnie mówić o matce, której bliźnięta urodziły się martwe, o kupcu, któremu towar złodzieje ukradli, o bluźniercy, któremu język usechł, żołnierzu, któremu na wojnie obie ręce urwało, a wszystkim Ostrobramska pomogła.

Skończyli właśnie jeść i kobiety zabierały się do sprzątanania, ale stanęły nieruchomo, zasłuchane w słowa opowiadającego. On zaś z natury widać milczek, mówił cicho i krótko.

– Dużo i innych cudów nasłuchałem się. Wszystkiego nie spamiętam – zakończył.

– Ale to przecie katolicki obraz? – zapytała Zonia.

– Katolicki.

– Interesuje mnie – odezwał się znów Wasil – czy Ona i ludziom innej wiary pomaga, na ten przykład prawosławnym?

– Tego nie wiem – gość wzruszył ramionami – ale tak myślę, że byle tylko był dobry człowiek, to każdemu pomoże.

– Byle, wiadomo, chrześcijanin – gniewnie poprawiła go matka Agata. – Nie powiesz przecie, że pomogłaby Żydu!

– Żydu? – odezwał się basem milczący dotychczas rudy parobek. – Na Żyda Ona jeszcze by cholerę zesłała. I taki skutek.

Zaśmiał się głośno i klepnął się. po kolanach.

Stary Prokop wstał i przeżegnał się. Było to sygnałem dla pozostałych. Kobiety wzięły się do mycia naczyń. Mężczyźni wyszli przed dom oprócz Wasila, który został przy stole. Mielnik wypalił fajeczkę, po czym przyniósł sobie kozuch, rozesłał go pod klonem na trawie i położył się, by zażyć drzemki po sytnym obiedzie.

– Ja tu za robotnika służę – zagał rozmowę rudy chłop, zwracając się do siedzącego obok

przybysza. – Już szósty rok służę. Dobry młyn. A ty z fachu kim będziesz?

– Ja bez fachu. Różne roboty znam...

– Jakbyś tu na noc został, a raniem miał ochotę, to jeżeli na ślusarskiej robocie rozumiesz się, poprawisz mi rewolwer. Zaciął się i kurek nie podnosi. Diabeł w niego jakiś wstąpił.

– O nocleg prosiłem; pozwolili, to i przenocuję. A raniem chętnie zobaczę. Trochę umiem ślusarki.

– To i podziękuję tobie.

– A nie trzeba. I tak za gościnność chciałbym się wypłacić. Dobrzy to ludzie.

Parobek potwierdził. Ludzie szczerzy, nic im zarzucić nie można. Stary wymagający i surowy, ale sprawiedliwy. Ostatniego grosza z człowieka nie wyciągnie i ostatniego potu nie wyciśnie. Chociaż opowiadali o nim, że rodzzonego brata z torbami puścił i że ten dzieci mu przeklął. Ale nie wiadomo, jak tam było, bo było dawno. Więcej jak czterdzieści lat temu. A co do przekleństwa, to może i było, bo w dzieciach Prokopowi nie powiodło się. Najstarszy syn utonął, średni na wojnie zginął. Została po nim tylko wdowa, też właśnie Zonia, że z biednych była, to już u świekrów po śmierci męża została. Zdrowa baba i młoda jeszcze.

36

Niejedną dziewczuchę zakasuje. Stara Agata jej nie lubi. Przyczepia się. Były różne powody, ale teraz... Nawet z Olgą-majstrową, córką Prokopa, pogodziły się. Tylko stara bardziej zawzięta. A Olga też dobra baba. Zła nikomu nie życzy...

– Wczoraj niosę siano do chlewu, a ona krowę doi. I powiada: Słuchaj, Witalis, tobie już dawno pora żenić się. A mnie śmiech. Gdzie mnie żenić się. To i mówię: Chyba z tobą, Olga. A ona, wiem, do tego nauczyciela w Biernatach upodobanie ma. To wyszczerzyła zęby i mówi: Tobie, mówi, Witalis, nie ja, mówi, w głowie. Tobie by Zonia, mówi, wdowa lepsza ode mnie. Parobek zaśmiał się, splunął i dodał:

– Takie to u niej żarty. Ot, babskie sprawy. Tymczasem i baby wyszły na powietrze. Olga z Zonia postrojone. Okazało się, że do Biernat idą na wieczorynkę. Mała Natalka pokręciła się i stanęła przy gościu. – A ty naszego Wańkę widziałeś?

– Nie, a który to Wańka?

– To koń. On tłusty jak świnia. A jak ty nazywasz się?

– Antoni.

– A ja Natalka, a po nazwisku Szumińska. Mój ojciec majstrem w fabryce w Ludwikowie był. Ty znasz fabrykę w Ludwikowie?

– Nie, nie znam.

– Bardzo tam pięknie. Pałac ogromny. A panicz na motocyklu jeździ. I piece wielkie w hali, jeden przy drugim. Bo w nich cegła wypala się. A inne są do fajansu i do porcelany. Bardzo ciekawe. A nasze stawy widziałeś?

– Nie, nie widziałem.

– No, to chodź, pokażę tobie, gdzie można kąpać się. To tam, koło lasu. Bo tu, w dolnym, niebezpiecznie. Wielkie jamy są i wiry. Dziadzio Prokop nikomu nie pozwala od czasu, jak mój wujek Albin tu załamał się na lodzie i utonął. Chodź, pójdziemy.

– Dobrze, pójdziemy – zgodził się.

Natalka cienkim głosem zasypywała go opowiadaniem. Szli brzegiem po wąskiej, twardo wydeptanej ścieżce. Tak obeszlą stawy i dotarli do lasu. Uwagę dziewczynki zwróciły grzyby.

– Boże mój – wołała – ile tu rydzów. Od piątku narosło, bo w piątek z ciotką Zonia wyzbierałyśmy wszystkie. Chcesz, zbierzemy!... Prawda, że dziś niedziela, ale jak dla zabawy coś zrobić to nie grzech. Sama babcia mówiła...

Na zbieraniu rydzów między wrzosami, gęsto porastającymi zagajnik, zeszło im całe po-

południe. Odpoczywali trochę, a później o zmroku wrócili do domu. W samą porę, bo już wołali ich do wieczerzy. Matki i ciotki nie było jeszcze z tańców i Natalka musiała pomagać babce Agacie. Przynieśli cały fartuch rydzów. Żeby nie popsuły się, należało je przebrać i zalać wodą.

Po wieczerzy i uprzątnięciu wszystkiego Prokop, a po nim i stara, poszli spać do pokojów na drugą stronę sieni. Parobek Witalis wziął na ręce ich syna, kalekiego Wasila, i też go zaniósł do pokojów. Sam wrócił, zza pieca wyciągnął dwa sienniki, ułożył je na ławkach pod ścianami i powiedział:

– Kładź się. Przenocujesz jako tako. Much już dzięki Bogu niewiele. Pozamykał drzwi, zgasił lampkę i położył się. Gość zrobił to samo. Wielką izbę zaległa cisza. Z początku rozlegało się jeszcze brzmienie much, nim nie usadowiły się do snu, a potem to już tylko zza ściany dolatywał spokojny, jednostajny szum wody we młynie. Cicho tu było, ciepło i dobrze. I zasypiało się lekko.

Ciemno jeszcze było, gdy obudziło ich skrzypienie kół, tupot kopyt końskich i pokrzykiwanie: ludzie przywieźli żyto do młyna. W sieni rozległo się chrząkanie starego Prokopa. Witalis zerwał się, gość również. Wsunęli sienniki za piec.

Prokop Mielnik wszedł i mruknął:

– Niech będzie pochwalony...

37

– Na wieki... – odpowiedzieli.

– Co stoicie? Ruszaj się, ty diable – zwrócił się do Witalisa. – Zaporcę odstawić!

Spojrzał ponuro na gościa i dodał:

– A ty co? Bierz się do roboty! Nie słyszysz? Ludzie ziarno przywieźli!...

– To znaczy, że weźmiesz mnie do pracy? – zapytał uradowany.

– Niech tam już. Wezmę.

Rozdział VI

Od tego dnia zadomowił się Antoni Kosiba w młynie Prokopa Mielnika. A chociaż nie śmiał się nigdy, a uśmiechał bardzo rzadko, było mu tu dobrze jak nigdzie dotychczas. Roboty się nie bał, rąk ani pleców nie żałował, w gadanie nie lubił się wdawać, toteż stary Prokop nic mu nie miał do zarzucenia. Owszem, nawet zadowolony był z nowego parobka. Jeżeli zaś niczym tego nie objawiał, to tylko dlatego, że nie leżało to w jego zwyczajach.

Antoni Kosiba spełniał wszystkie prace, jakie na niego przypadły. Czy przy stawidłach, czy przy zsypance, czy przy wadze, czy żarnach. Gdy co psuło się, zabierał się do naprawy, a że bystry był widać z natury, miało się w nim wygodną wyrękę. Nieraz klamra pękła albo i trybowe koło na osi obsunęło się, a on już wiedział, co trzeba zrobić, umiał zrobić i obywało się bez kowala i bez stelmacha.

– Zdolny ty jesteś, Antoni – mawiał Witalis. – Znać, że po świecie bywały.

A znowu innym razem:

– Nie taki ty jeszcze stary. Będiesz mądrze Prokopowi służyć, a to patrz, jeszcze i żonę sobie wysłużysz, Olgę-wdowę poślubisz...

– Gadasz, sam nie wiesz co – Antoni Kosiba wzruszył ramionami – ani im to w głowie, ani tym bardziej mnie. Po licha mi to?

Dudniło koło młyńskie, szumiał obfity strumień wody, warczały żarna. Biały pył mączny unosił się w powietrzu napełniając je chlebnym smakiem. Od świtu do nocy nie brakło zajęcia. Owszem, raczej czasu nie stawało. Za to w niedzielę można było odetchnąć i kości rozprostować. Ale i wtedy Antoni nie starał się zbliżyć ani do wesołej Zoni, ani do Natalczynej matki, Olgi, chociaż obie go lubiły i odnosiły się doń życzliwie. Najwięcej w czasie odpoczynku przebywał z Natalką.

Dzień był do dnia podobny i jemu samemu zdawało się, że już tak zawsze będzie, gdy zaszedł wypadek, który nie tylko wszystko zmienił, lecz i dla rodziny Prokopa Mielnika miał być wielkim zdarzeniem.

Stało się to tak: w sobotę, tuż przed zatrzymaniem koła, pękła dębowa piasta. Co żywo należało ją zmocować obręczą żelazną. Prokop przyniósł niemal biegiem narzędzia i Antoni ze trzy godziny pocił się, zanim reperacji dokonał. Ponieważ zaś narzędzia stary ponad wszystko cenił i trzymał je Zawsze przy swoim łóżku, kazał skrzynkę tam odnieść. Antoni wziął ją na ramię i poszedł. Dotychczas nigdy do pokojów nie zaglądał, bo ciekawy nie był, a i nie miał po co.

Czysto tu było nadzwyczajnie. Białe, nakrochmalone firanki w oknach i doniczki z pelargonią. Na wysokich łóżkach piętrzyły się aż po sufit piramidy pulchnych poduszek, podłoga była czerwono malowana.

Antoni cofnął się, by staranniej wytrzeć nogi, i wszedł. W drugim pokoju zobaczył Wasilkę. Wasilka leżał w łóżku i płakał. Gdy zobaczył Antoniego, zaczął uspokajać się, ale nagle zawołał:

– Słuchaj, Antoni, ja już dłużej nie wytrzymam. Lepsza śmierć jak takie życie. Ja ze sobą skończę. Tak mnie już pisano.

38

– Nie mów byle czego – spokojnie odpowiedział Antoni. – Różne nieszczęścia ludzi spotykają, a przecież żyją...

– Żyją? To po co?... Cóż ja, jak ta kłoda mam gnić?

– Po cóż gnić...

– A co ze mnie? Ani komu, ani sobie. Tak i będzie. Leżę tu i wciąż myślę. I domyśliłem się: Nie ma innej rady.

– Zostaw głupstwa – mruknął Antoni, ukrywając wzruszenie. – Młody jesteś.

– I cóż że młody! Jakaż moja młodość, kiedy nogami o własnych siłach stapać nie mogę.

Żebym stary był, to niech... A to kara boska za grzech ojca! A ja mam za to cierpieć? Za co ja?... Ja stryjowi odebrałem jego część?... Nie ja! Nie ja! Tylko ojciec. Za cóż na mnie to kalectwo?...

Antoni spuścił oczy. Wprost nie mógł patrzeć na tego ślicznego chłopca, dzieciucha prawie, rozpaczającego nad sobą.

– Ty myśl o czym innym – bąknął bez przekonania.

– O czymże ja mogę myśleć, o czym? Kiedy co spojrzę na te swe nogi, to wolałbym się nie urodzić! O, zobacz! Szarpnął kołdrę i odkrył się.

Wychudzone nogi, nienaturalnie cienkie, pokryte były na goleniach różowymi pręgami blizn, które jeszcze nie zdążyły zbieleć, i zgrubieniami.

Wasil coś mówił, lecz Antoni Kosiba nie słyszał tego, nie rozróżniał słów. Patrzył jak urzeczony. Czuł, że coś dziwnego z nim się dzieje. Patrzył tak, jakby już kiedyś taki widok miał przed oczami, jakby tak być powinno. Nieprzeparta siła kazała mu pochylić się nad leżącym. Wyciągnął ręce i zaczął obmacywać kolana i golenie. Jego grube palce, pokryte stwardniałą skórą, z nieomylną sprawnością wyszukiwały naciskami na zwiotczałe mięśnie kaleki krzywizny źle zrosniętych kości.

Dyszał ciężko, jakby przy wielkim wysiłku. Walczył z myślami. Ależ tak, tak: z nadzwyczajną jasnością to rozumiał. Kości przecie źle zrosły się. To nie powinno być tak. I tu też. Jakże!

Wyprostował się i otarł rękawem pot z czoła. Jego oczy świeciły się, a zbladł tak, że Wasilko zapytał:

– Co tobie?

– Czekaj, Wasil – odezwał się Antoni ochryplym nagle głosem – ty jak dawno spadłeś i połamałeś nogi?

– Piąty miesiąc... Ale...

– Piąty? Ale tobie zestawili?

– Zestawili. Doktor z miasteczka, z Radoliszek.

– I co?

– I mówił, że będę zdrow. W deseczki mi nogi zabandażował. Dwa miesiące leżałem, a jak zdjął...

– To co?

– To powiedział, że już nic nie pomoże. Takie połamanie, że żadnej rady nie ma.

– Że nie ma?

– Aha! Ojciec chciał mnie do samego Wilna wieźć do szpitala. Ale doktor powiedział, że nie ma po co, bo i sam Pan Bóg tu nie pomoże. Antoni zaśmiał się.

– Nieprawda.

– Jak to nieprawda? – drżącym głosem zapytał Wasil.

– A tak, że nieprawda. Ot! poruszaj palcami!.. A widzisz... Nieprawda! Jakbyś nie mógł poruszyć, to koniec. A stopami?

– Nie mogę – skrzywił się Wasil – boli.

– Boli?... To i powinno boleć. Znaczy, dobrze jest. Zmarszczył brwi i zdawał się namyślać.

Wreszcie powiedział z przekonaniem:

39

– Trzeba tobie nogi znowu połamać i prawidłowo kości złożyć. Jak muszą być. I wyzdrowiejesz. Żebyś palcami nie mógł ruszać, to przepadło, a tak. można.

Wasil wpatrywał się weń zdumiony.

– A ty. Antoni, skąd wiesz?

– Skąd?... – Antoni zawahał się. – Nie wiem skąd. Ale to nic trudnego.

O zobacz. Tu tobie zrosło się krzywo i tu, a na tej nodze jeszcze gorzej. Tu pęknięcie aż do kolana pewno jest.

Nacisnął i zapytał:

– Boli?

– Bardzo boli.

– A widzisz. I tu musi być tak samo!...

Kaleka syknął pod dotknięciem palca. Antoni uśmiechnął się.

– Widzisz!... Tu trzeba przekroić skórę i mięśnie. A potem młoteczkiem... albo piłką. Zestawić w porządku.

Zwykle spokojny i raczej flegmatyczny Antoni był teraz zmieniony nie do poznania. Z ożywieniem tłumaczył Wasilowi, że nie wolno tracić czasu

I trzeba to prędko zrobić.

– Doktor Pawlicki nie zgodzi się. – Wasil potrząsnął głową. – On jak co powie, to później i słuchać nie chce. Chyba żeby do Wilna jechać?

Drżał cały pod wpływem tej nadziei, jaką w nim obudził Antoni, i wpatrywał się weń z niepokojem.

– Nie trzeba do Wilna! – gniewnie odpowiedział Antoni. – Nie trzeba nikogo. Ja sam! Ja sam to zrobię!...

– Ty? – już z zupełną niewiarą zawołał Wasil.

– A tak, ja. I zobaczysz, będziesz chodził po dawnemu.

– A skądże ty to możesz umieć? Toż operacja. Trzeba nauki kończyć, żeby takie rzeczy.

Robił ty to kiedy?

Antoni spochmurniał. Nie mógł przewyciężyć tego dziwnego pragnienia, wprost coś go zmuszało do upierania się przy swoim zamiarze. Jednocześnie jednak rozumiał, że mu nie dadzą, nie pozwolą, że nie będą wierzyć. Oczywiście nigdy nie zajmował się leczeniem ani tym bardziej zestawianiem złamanych nóg. Wśród wielu zawodów, do których się zaprawił w ciągu swojej wieloletniej wędrówki, wiedział to z zupełną pewnością, nigdy nikogo nie leczył. Sam teraz dziwił się sobie, skąd z taką pewnością, z takim przekonaniem mógł twierdzić, że kalectwo Wasila było do usunięcia. Dziwił się, lecz to w najmniejszym stopniu nie zmieniało jego przeświadczenia ani nie osłabiało postanowienia.

Antoni Kosiba nie lubił kłamstwa. Jednak tym razem nie chciał się go wyrzec, skoro mogło doprowadzić do celu.

– Czy robiłem to? – wzruszył ramionami. – Wiele razy robiłem. I tobie zrobię i wyzdrowiejesz! Jesteś niegłupi i zgodzisz się. Drzwi uchyliły się i mała Natałka zawołała:

– Antoni, chodź wieszkać! A tobie jak, Wasilka, do łóżka przynieść?

– Nie będę jeść – niecierpliwie odburknął Wasil, zły, że mu przerywają tak ważną rozmowę. – Wynos się, Natałka!

Zaczął ponownie wypytywać Antoniego i puścił go dopiero wtedy, gdy w sieni zaskrzeczał przynaglający głos matki.

W dwa dni potem stary Prokop zawołał do siebie przed młyn Antoniego. Siedział i pykał dymem ze swojej fajki.

– Cos ty nagadał, Antoni, mojemu Wasilce? – odezwał się z namysłem. – Niby względem tego leczenia.

– Prawdę powiedziałem.

– Co za prawdę?

– A że ja go mogę z tego kalectwa wyprowadzić.

– Jakże ty możesz?

– Trzeba rozciąć, kości na nowo rozłamać i z powrotem złożyć. One są źle złożone.

Stary splunął, pogłaskał swoją siwą brodę i machnął ręką.

– Przestań. Sam doktor powiedział, że tu nic nie pomoże, a ty, głupi, nieuczony, chcesz?...

Prawda, że w różnych majsterskich rzeczach rozumiesz się. Nie przeczę. Bo i grzech byłby...

ale z ciałem ludzkim to ono nie takie proste. Trzeba wiedzieć, gdzie jaka kosteczka, gdzie jaka żyłeczka, która do której pasuje, która jakie ma znaczenie. Toż sam nieraz prosiaka albo cielaka na ten przykład rozbierałem. Ile tam różnych takich, co i nie połapiesz się. A w gruncie rzeczy co?... Bydlę. A u człowieka przecie wszystko delikatne. Znać się na tym trzeba. To tobie nie sieczkarnia, co ją rozśrubujesz, wszystkie śrubki i tam inne takie na ziemi rozłożysz, a później nazad poskładasz, posmarujesz i lepiej rżnie jak przedtem. Umiejętność trzeba mieć, te to szkoły, te to nauki.

– Jak chcesz. – Antoni poruszył ramieniem. – Czy ja napieram się, czy co? Mówię, że potrafię, bo już nieraz ludzi z takiej biedy wyciągnąłem, to i potrafię. Czy zdarzyło się tobie ze mną, żebym co na wiatr gadał?

Stary milczał.

– Czy zdarzyło się, żebym mówił o jakiej robocie, że ją znam, a później żebym ją zepsuł?

Mielnik skinął głową.

– To prawda! Grzech byłoby przeczyć! Zdatny jesteś i nie szkoduję sobie. Ale tu chodzi o mojego syna. Rozumiesz przecie. O ostatniego, jaki mi został.

– To chcesz, żeby został na zawsze kaleką? Bo i to powiem tobie, że nie lepiej z nim będzie, a coraz gorzej. U niego kawałki kości zostały odbite. Sam je ręką namacasz. Mówisz, że nauka potrzebna. Miałeś naukę. Ten doktor z miasteczka przecie uczony. A co zrobił?

– Jak uczony nie poradził, nieuczonemu i brać się nie ma po co. Chyba – zawahał się – chyba do Wilna wieźć, do bolnicy. Ale koszt ogromny i też nie wiadomo, czy co pomoże...

– I kosztów nie trzeba. Mnie grosza nie zapłacisz. Nie napieram się ja, Prokopie, powtarzam, że nie napieram się. Z dobrego serca, przez życzliwość dla was wszystkich chciałem. Jeżeli boisz się, że Wasila od tego może śmierć albo gorsza choroba spotkać, to uważaj na dwie rzeczy. Najpierw to twoje prawo będzie choćby mnie i zabić. Bronić się nie będę. A zechcesz, to do śmierci w służbie u ciebie za darmo zostanę. Cóż ja zrobię! Żał mi chłopaka, a wiem, że rady dam. Druga zaś rzecz, Prokopie, czy ty nie słyszałeś, jakie jemu myśli po głowie chodzą?

– Jakież to myśli?

– A takie, żeby sobie życie odebrać.

– Tfu, nie wymawiaj w złą godzinę. – Mielnik drgnął.

– Ja nie wymawiam. Ale on, Wasilka, ciągiem nad tym rozmyśla. Mnie mówił i innym.

Zapytaj Zoni albo i Agaty. – W imię Ojca i Syna!...

– A ty, Prokop, Boga nie wzywaj – dodał gniewnie Antoni – bo wszyscy gadają, że twoje nieszczęście z dziećmi to przez karę Bożą za krzywdę twego brata...

– Kto tak mówi?! – zawarczał stary. –Kto?... Kto?... A wszyscy. Cała okolica. A jeżeliś jeszcze ciekaw, to

i syn twój mówi to samo. Za co, powiada, ja mam cierpieć, wiecznym kaleką być, za grzech ojca?...

Zapanowało milczenie. Prokop opuścił głowę i siedział jak skamieniały. Jego długie, siwe włosy i broda poruszały się lekko od wiatru.

– Boże, zmiłuj się. Boże, zmiłuj się – szeptał cicho. Antoniemu zrobiło się nagle bardzo nieswojo. Oto rzucił w twarz temu biednemu starcowi najboleśniejże oskarżenie. Zapragnął

złagodzić jakoś to, co powiedział, i odezwał się łagodnie:

41

– Co gadają, to oczywiście wymyśl... Wyroków Boskich nikt znać nie może. A Wasil młody jeszcze i głupi. Ja tam w to nie wierzę. Stary nie poruszył się.

– Ja nie wierzę – ciągnął Antoni. – A najlepszy dowód to w tym, że twojego syna można wyleczyć i że go wyleczę. Zastanów się, Prokop, bo tylko dobra tobie życzę, jak wiem, że i ty mi zła nie życzysz. Zastanów się, co to będzie, gdy na przekór wszelkim gadaniem Wasil wyzdrowieje, zacznie chodzić, jak wszyscy inni ludzie, weźmie się do pracy? Będziesz miał komu młyn zostawić i na niedołęzne swoje lata oparcie i opiekę u rodzzonego znajdziesz. Pomyśl, czy nie zamknie to plotkarzom gęby, kiedy zobaczą Wasila zdrowego?

Mielnik podniósł się z kloca ciężko i spojrzał na Antoniego. W oczach miał niespokojne iskry.

– Słuchaj, Antoni, a przysięgniesz mi, że chłopiec nie umrze?

– Przysięgnę – zabrzmiała poważna odpowiedź.

– To chodź.

Bez słowa poszedł naprzód. Zajrzał do pokojów. Nikogo tu nie było. W rogu przed ikoną chybotął się mały płomyczek lampki.

Prokop zdjął ikonę z gwoździa, uroczyście podniósł ją nad głową i powiedział:

– Na świętą Przekzystą...

– Na świętą Przekzystą – powtórzył Antoni.

– Na Chrystusa Zbawiciela...

– Na Chrystusa Zbawiciela...

– Przysięgam.

– Przysięgam.

– Przysięgam – powtórzył Antoni i dla potwierdzenia przysięgi ucałował obraz, który mu przysunął Prokop.

Wszystko miało się odbyć w zupełnej tajemnicy. Prokop Mielnik nie chciał, by przez nadanie sprawie rozgłosu znowu ożyły w okolicy rozmowy o wypędzonym bracie i o karze Boskiej, co miała za to spaść na jego potomstwo. Pomimo przysięgi Antoniego Kosiby, pomimo wyjątkowego zaufania, jakie doń żywił, liczył się przecież z możliwością śmierci syna. Dlatego też nawet swoim najbliższym nie udzielił dokładnych informacji.

W ciągu następnego dnia, zgodnie z planem Antoniego, baby musiały uprzątnąć przybudówkę. Napalono tam w piecu, zaniesiono ceber z wodą, dwa największe rondle i pościel Wasila, a także Antoniego.

Babom i drugiemu parobkowi Prokop powiedział tylko to:

– Antoni zna sposób leczenia i będzie tam leczyć Wasilkę.

Tymczasem Antoni wybrał sobie z narzędzi młotek, małą piłkę, wyczyścił ją do białości roztartą cegłą i dorobił rączkę. Potem wyszukał dłutko i dwa noże. I to, i to ostrzył długo, ale że robił to w składziku, nikt go nie mógł podpatrzeć. Nie wiedział też nikt, jak wystrugał sobie wklęsłe deseczki.

Stary Prokop z samego rana poszedł do miasteczka i wróciwszy zaniósł Antoniemu do przybudówki jakieś paczki. Była to wata i jodyna. Bandaże sporządził Antoni sam z dwóch prześcieradeł.

Wieczorem przeniesiono Wasila i obaj spędzili już tę noc razem w przybudówce. W przybudówce była duża izba z trzema oknami i ciemna alkowa. Wasilowi postawiono łóżko w izbie. Alkowę zajął Antoni. Tak samo jak i w izbie domowej pod ścianami były tu ławy, a w kącie duży stół.

Wasil nie mógł zasnąć. Wciąż wypytywał Antoniego o różne szczegóły.

– Spałbyś już – ofuknął go wreszcie Antoni. – Co, boisz się bólu, jak baba?

– Ja nie boję się bólu. Gdzież tam. Sam zobaczysz. Ani jęknę. I o to tylko cię proszę, ty nie zważaj na ból. Ja przetrzymam. Byle dobrze było.

– Będzie dobrze.

42

O świcie młyn ruszył normalnie. Z tą tylko różnicą, że obie młode kobiety musiały pójść do pomocy na miejsce Antoniego.

– Cóż to, Prokop – podżartowywali chłopci – ty babami młyn pędzisz?

Ale Prokop na żarty nie odpowiadał. Nie to mu było w głowie. Robił swoje, lecz wciąż modlił się w duchu.

Tymczasem słońce wyostało się już z mgieł wiszących nad horyzontem i zalało świat ciepłą jasnością. W przybudówce zrobiło się zupełnie widno.

Krzążący się już od dawna Antoni mruczał coś pod nosem. Wasil wodził za nim wzrokiem i nie odzywał się. Ten brodaty olbrzym wydawał mu się człowiekiem niesamowitym, tajemniczym i niebezpiecznym. W jego zachowaniu się, w pośpiechu i w nagłych, krótkich zamyśleniach, w półuśmiechach i w marszczeniu brwi było coś, co wywoływało zabobonny strach. Wasil wiedział, że nikt tu teraz nie przyjdzie i że zdany jest na jego łaskę. Wiedział też, że żadne prośby nie pomogą, że Antoni nie odstąpi za nic od planu. Byłby może krzyczał o ratunek, lecz i na to nie mógł się zdobyć. Patrzył jak urzeczony na niezrozumiałe czynności Antoniego, na to, jak ten powrzucał różne narzędzia do wrzącej wody, jak owinał się prześcieradłem, jak ustawił na taborecie zwitki bandaży... Jak wydobył skądś postronki...

Wasilko pomyślał, że tak musi wyglądać kat, szykujący się do zadawania tortur. Toteż ogarnęło go zdziwienie, gdy nagle usłyszał nad sobą ciepły i serdeczny głos, tak różny od zwykłego tonu Antoniego.

Antoni pochylił się nad nim i mówił pogodnie i życzliwie:

– No, przyjacielu, śmiało, po męsku! Trzeba trochę pocierpieć, jeżeli chcesz być znowu dzielnym, dziarskim chłopcem. Wszystko pójdzie dobrze. No, oprzyj się na mnie.

Wziął go na ręce i ułożył na stole.

– Widzisz – mówił – ja wiem, żeś odważny, że zaciśniesz zęby i ani piśniesz. Ale możesz mimo woli drgnąć i dlatego muszę cię przywiązać. Bo takie drgnięcie popsułoby mi robotę.

Dobrze?

– Wiąż – szepnął Wasil.

– I nie patrz tutaj. Spoglądaj sobie na pułap albo przez okno na chmurki na niebie.

Ten spokojny głos przynosił nerwom Wasila ukojenie. Czuł, jak mocno opasują go sznury, był teraz przytwierdzony do stołu tak, że ruszyć się nie mógł. Zezując w bok zauważył jeszcze, że Antoni zakasał wysoko rękawy i długo mył ręce w parującej wodzie.

Potem zabrzęczały narzędzia, jeszcze sekunda i na prawej nodze uczuł jakby dwa szybkie dotknięcia rozpalonego drutu. Jeszcze dwa!... Ból stawał się coraz dotkliwszy. Wasil zacisnął szczęki z całej siły, do oczu napłynęły łzy. Zdawało mu się, że mijają godziny, a ból wciąż wzrastał... Wreszcie przez zaciśnięte zęby wydobyło mu się przytłumione, długie wycie:

– Aaaaa....

Nagle na zbolaną nogę spadło silne uderzenie. Ból był tak potworny, że ogniem napełnił szpik w kościach i targnął mięśniami w śmiertelnym skurczu. W oczach zawirowały srebrzyste punkciki.

– Umieram – pomyślał i opadł bezwładnie.

Gdy odzyskał przytomność, pierwszym jego wrażeniem był smak wódki w ustach. Czuł się bezgranicznie osłabiony. Nie mógł podnieść powiek, nie mógł zdać sobie sprawy, gdzie się znajduje i co się z nim stało. Potem poczuł zapach dymu tytoniowego, a następnie zaczął roz-

różniac szept. Dwaj ludzie rozmawiali. Tak, poznał głos ojca i Antoniego.

Z trudem otworzył oczy. Po chwili oswoiły się ze światłem. Naprzeciw na ławce siedział, wpatrując się weń, ojciec. Obok stał Antoni.

– Oczy otworzył – powiedział ojciec. – Syneczku, Wasilku! Bóg ma nad nami grzesznymi miłosierdzie! Niech Jego imię będzie sławione na wieki wieków! Syneczku, żyjesz że ty? Żyjesz?...

– Co nie ma żyć. – Antoni zbliżył się do łóżka. – Żyje i powinien wyzdrowieć.

43

– To ty mnie nogi zestawiał? – szeptem zapytał Wasil.

– A jakże. I wszystko dobrze udało się. Strasznie ty je miałeś połamane, a ten doktor to jeszcze tobie szkody narobił. Teraz musisz leżeć spokojnie. Powinno wszystko zrosnąć się.

– I będę... będę chodzić?...

– Będziesz.

– Jak wszyscy?

– Tak samo.

Powieki Wasila opadły znowu.

– Zasnął – objaśnił Antoni. – Niech śpi. Sen siłę daje.

Rozdział VII

Już tydzień później Wasilowi minęła gorączka i odzyskał apetyt. Wraz z nadzieją wrócił mu też humor. Podczas opatrunków krzywił się z bólu, ale żartował. Doglądał go Antoni sam, a gdy we młynie więcej było roboty, nad chorym czuwały kobiety.

Nie sposób było przed nimi tajemnicy dotrzymać i pewno dlatego wiadomość o operacji rozeszła się po okolicy. Ten i ów przyjaciel czy koleżka Wasila zajrzał po drodze, by zamienić z nim kilka słów. I baby ciekawskie przyłaziły na przeszpiegi, ot, żeby mieć o czym plot-

kować. Tylko Antoniego unikali i gdy kto zobaczył, że on jest w izbie, wycofywali się od razu.

Tak minął październik, listopad, grudzień. W wigilię Bożego Narodzenia Wasil zaczął prosić Antoniego, by mu pozwolił się spróbować. Antoni jednak tylko warknął groźnie:

– Leż i ani się waż łubki ruszać! Sam powiem kiedy!

Dopiero pod koniec stycznia orzekł, iż czas opatrunek zdjąć. Cała rodzina chciała być przy tym, lecz nikogo nie wpuścił. Sam był bardzo przejęty i drżały mu ręce, gdy odwijał bandażę. Nogi Wasila jeszcze bardziej schudły, mięśnie w nich jeszcze bardziej zwiotczały. Ale bliźni zgoiły się dobrze, a co ważniejsze, znikły guzy i wykrzywienia.

Antoni ostrożnie, cal za cal, obmacywał przez cienką skórę kości.

Zamknął przy tym oczy, jakby mu wzrok przeszkadzał. W końcu odetchnął i mruknął:

– Porusz palcami... A teraz ostrożnie stopami... Boli?...

– Nie, nie boli – zdyszczonym ze-wzruszenia głosem odpowiedział Wasil.

– A teraz spróbuj zgiąć kolana...

– Boję się.

– Śmiało, no!

Wasil spełnił rozkaz i ze łzami w oczach spojrzał na Antoniego.

– Mogę zgiąć! Mogę!

– Czekaj, nie za dużo. Podnieś teraz tę nogę lekko... o tak, a teraz tę... Z wysiłkiem i drząc na całym ciele z wrażenia Wasil wykonywał nakazane ruchy.

– A teraz nakryj się i leż. Tydzień położysz. Później zaczniesz wstawać.

– Antoni!

– Co?

– To znaczy... to znaczy, że... będę mógł chodzić?...

– Tak samo jak i ja. Nie od razu. Przyuczyć się musisz. Z początku jak małe dziecko na nogach nie ustoisz.

I była to prawda. Dopiero w dwa tygodnie po zdjęciu opatrunku Wasil zdołał bez pomocy laski obejść izbę dookoła. Wtedy to Antoni zwołał do przybudówki całą rodzinę. Przyszedł Prokop i Agata, i obie młode kobiety, i mała Natalka.

44

Wasil siedział na łóżku kompletnie ubrany i czekał. Gdy zebrali się wszyscy, wstał i obszedł izbę wolnym i słabym, ale równym krokiem. Stał w środku i zaśmiał się.

Wówczas baby wybuchły takim płaczem i takim zawodzeniem, jakby największe nie-szczęście się stało. Matka Agata chwyciła syna w objęcia, trzęsąc się od szlochu. Tylko stary Prokop stał nieruchomy, ale i jemu po wąsach i po brodzie spływały łzy.

Gdy baby nie ustawały w wybuchach śmiechu i płaczu, Prokop skinął na Antoniego.

– Chodź ze mną.

Wyszli z przybudówki, obeszlili dom i weszli do sieni.

– Dawaj swoją czapkę – rozkazał Prokop. Wziął ją i zniknął za drzwiami pokojów. Nie było go z dziesięć minut. Nagle drzwi otworzyły się. W obu rękach stary niósł czapkę. Wyciągnął ją do Antoniego.

– Masz, bierz! Same uczciwe carskie imperiały. Na resztę życia tobie starczy. Tego dobra, coś ty mi wyrządził, pieniędzmi nie zapłacisz, ale co mogę, to daję. Bierz!

Antoni spojrział na niego, później na czapkę: była prawie pełna małych, złotych monet.

– Co ty, Prokop?! – Antoni odstąpił o krok. – Co ty? Chyba rozum straciłeś.

– Bierz – powtórzył Mielnik.

– A po cóż mnie to?! Ja nie potrzebuję. Dajże spokój, Prokop. Czy ja dla pieniędzy?...

Przez serdeczność, za twoją życzliwość! I chłopaka żal mi było.

– Weź!

– Nie wezmę – stanowczo odpowiedział Antoni.

– Dlaczego?...

– Nie zda mi się to bogactwo na nic. Nie wezmę!

– Z serca daję, Bóg widzi, że z serca. I nie żałuję.

– A ja z serca dziękuję. Dziękuję, Prokop, za twoją dobrą wolę, ale nie trzeba mi pieniędzy. Chleb mam, na tytoń i odzież zarobię, po co mi?! Mielnik namyślał się przez chwilę.

– Daję – powiedział wreszcie – ty nie bierzesz. Twoja rzecz. Wiadomo, siłą ci nie wepchnę. Ale i tobie tak nie wolno! Cóż ty, Antoni, chcesz mnie odmówić wdzięczności? Cóż ty chcesz, żeby mi ludzie oczy wykluwali, że ja tobie za taką sprawę niczym nie odpłacił?... Nie wolno tobie tak me po chrześcijańsku, tak nie po ludzku postąpić. Nie bierzesz złota, to przyjm co innego. Bądź gościem u mnie. Żyj z nami jak rodzony. Chcesz czasem co pomóc we młynie albo w gospodarstwie, pomagaj, nie zechcesz, nie pomagaj. Tak żyj jak u własnego ojca.

Antoni kiwnął głową.

– Dobrze mi u ciebie, Prokop, i zostanę. A darmo chleba jeść nie będę. Póki zdrowia i sił starczy, roboty nie wyrzeknę się, bo i co by bez roboty było za życie? A tobie za serce dziękuję.

Więcej też mowy między nimi o tych sprawach nie było. I wszystko zostało po staremu.

Tylko przy stole matka Agata dawała teraz zawsze osobny talerz Antoniemu i najtłustsze kąski dla niego sama wybierała.

W najbliższy piątek, kiedy to zjazd we młynie bywał największy, Wasil wyszedł na po-

dwórze w krótkim, nowym kozuszkę, w karakułowej, wysokiej czapie i w długich butach z lakierowanymi cholewami. Chodził tak jak gdyby nigdy nic na oczach wszystkich. Chłopi gęby szeroko otwierali i jeden drugiego łokciem w bok trącał, bo nikt uwierzyć nie mógł, że to prawda, co baby opowiadały, że robotnik Prokopa Mielnika, jakiś przybysz z daleka, Antoni Kosiba, cudem z kalectwa Wasila wyleczył.

Jak głośnie przedtem było nieszczęście Wasila, tak głośnie teraz mówiono o jego wyzdrowieniu. Mówiono w Biernatach i w Radoliszkach, w Wickunach i w Nieskupej, w Pobereziu i w Gumniskach. A stamtąd wieści szły dalej, aż po zaścianki Romejków i Kuncewiczów, po wielkie wioski nad Ruczejnicą i jeszcze dalej. Tam mniej ludzie się tym zajmowali, ze wzglę-

45

du na odległość, ale tu, pod bokiem, o nadzwyczajnym wyzdrowieniu we młynie wszyscy pamiętali.

Toteż gdy pod koniec lutego, na wyrębie w Czumskim lesie, padająca brzoza przygniotła gospodarza z Nieskupej, Fiodorczyka, sąsiedzi uradzili wieźć go do młyna, do Antoniego Kosiby. Przywieźli go prawie bez duszy. Krew mu się gardłem rzucała i nawet jęczeć już przestał.

Gdy rozwalenki ciągnięte przez małego, pękatego konika stanęły przed młynem, Antoni akurat worek z otrębami niósł do świrna.

– Ratuj, bracie – odezwał się doń jeden ze starowierców. – Sąsiada nam drzewo przygniotło. Czwooro dzieci małych sierotami okrągłymi zostanie, bo matkę w zeszłym roku pochowaliśmy.

Wyszedł i Prokop, a ci do niego, by wstawił się za nimi. – Twego syna wyleczył, niechże i Fiodorczyka ratuje.

– Nie moja sprawa, dobrzy ludzie – odpowiedział Prokop poważnie – ani mu zabronić nie

mogę, ani kazać. To jego rzecz.

Tymczasem Antoni otrzepał ręce z mąki i przyklęknął na śniegu przy saniach.

– Weźcie go ostrożnie – powiedział po chwili – i nieście za mną. Po wyzdrowieniu Wasila Antoni już na stałe pozostał w przybudówce.

Tam było mu wygodniej, a i tak pusta stała. Tam też zaniecono Fiodorczuka. Do wieczora Antoni zajmował się nim, a wieczorem poszedł do izby, gdzie czekali chłopci nieskupscy.

– Dzięki Bogu – powiedział – wasz sąsiad mocny mężczyzna i grzbiet został cały. Tylko sześć żeber mu złamało i obojczyk. Zawieźcie go do domu i niech leży, póki krwią płuć nie przestanie. Jak tylko mu na kaszel się zbierze, mech lód łyka. Gorącego mu nic nie dawajcie.

Tak samo ręką lewą niech me rusza. Zgoi się. Za dni dziesięć niech po mnie kto przyjedzie, to sam zobaczę.

– A nie umrze?

– Ja nie prorok – Antoni wzruszył ramionami – ale myślę, że jeżeli zrobicie wszystko, jak mówię, to wyżyje.

Zabrali Fiodorczuka i odjechali. Nie minęło jednak dni dziesięć, a z tejże Nieskupej przywieźli nowego pacjenta. Parobek jednego z gospodarzy przy rąbaniu lodu na rzece pośliznął się przy zamachu i rozwalił sobie siekierą stopę niemal do kostki. Czy siekiera była zardzewiała, czy z łapcia jakieś paskudztwo do rany weszło, dość iż noga w oczach czerniała. Sam ranny zdawał sobie sprawę z tego, że to gangrena.

Antoni tylko pokręcił głową i mruknął:

– Ja tu już nie pomogę. Noga przepadła.

– Ratuj choć życie! – błagał biedak.

– Trzeba nogę obciąć tu, w tym miejscu. – Antoni wskazał nad kolanem. – Kaleką na całe

życie zostaniesz i jeszcze mnie będziesz przeklinać. Jeszcze powiesz, że był sposób.

– Przysięgam, bracie, ratuj życie. Toż sam widzę czarne plamy. Gangrena.

– Jak chcesz – zgodził się po namyśle Antoni.

Operacja była nader bolesna i osłabiła chorego tak, że przez kilka dni nie było mowy o zabraniu go do domu. Jednak życiu jego już nic nie groziło.

Po tych wypadkach sława Antoniego Kosiby wzrosła jeszcze bardziej. Zaczęli niemal codziennie zjawiać się chorzy z różnymi dolegliwościami. Temu oczy zaropiały, że światła Bożego nie widział, drugiego w kościach łamało, trzeci narzekał na kolki, inny dusił się kaszlem. Bywali i tacy, którzy sami nie wiedzieli, co im jest, słabowali i tyle.

Antoni nie wszystkim pomagał. Niektórych od razu odsyłał, mówiąc, że na ich chorobę nie ma lekarstwa. Innym kazał rozmaicie: a to worek z gorącym piaskiem do brzucha przykładać, a to soli nie sypać do jadła i mięsa nie jeść, a to wywary z różnych ziół pić. I tak jakoś się

46

składało, że kto od niego z poradą wyszedł, zawsze do zdrowia wracał, a jeśli i nie całkiem, to chociaż ulgę w cierpieniu miał.

Było w okolicy kilku znachorów. W Pieczkach u hrabiego Zantofta stary owczarz umiał różę zamawiać i ból zębów tak samo, a i w innych chorobach rozumiał się też. Jedna baba, Bielakowa z kolonii Nowe Osiedle, znała sposób na liszaje i na szczęśliwy poród; zakrystian w Radoliszkach robaki wypędzał i na krwotoki pomagał. Ale wszyscy oni kazali mówić jakieś modlitwy albo tajemnicze zaklęcia, wykonywali nad chorym jakieś znaki lub dawali im amulety.

Natomiast ten nowy znachor, Antoni z młyna, nic takiego nie robił. Popytał, popatrzył, pomacał, później jak błędny chodził po izbie, czoło gwałtownie pocierał, oczami przewracał i potem od razu mówił, jak cierpienie leczyć.

W okolicy dużo spierano się w sprawie, który znachor ma lepszy sposób leczenia. Pod jednym wszakże względem Antoni Kosiba przewyższał wszystkich: nie brał pieniędzy. Gdy chorzy przynosili osełkę masła, kuraka, torbę bobu, zwitkę domowego płótna lub wańtuszek wełny, przyjmował to, dziękując krótkim mruknięciem, gdy nie przynosili nic, leczył ich tak samo. Czasami biedniejszym rozdawał to i owo, a reszta i tak szła do spiżarni Mielnikowej.

Sam Antoni niewiele potrzebował dla siebie: ot, aby starczyło na palenie, na parę juchtowych butów i na jaki taki przyodziewek. Na to wystarczał zaś jego zarobek we młynie, bo pracy bynajmniej nie porzucił, chociaż Prokop tak z wdzięczności za syna, jak i przez wzgląd na to, co Antoni im oddawał, sam go do tego namawiał.

A tymczasem napływ pacjentów rósł. Zdarzały się już nawet takie dni, gdy Antoni nie mógł urwać ani godziny na robotę. Pod jego drzwiami stało po dziesięć i więcej furmanek z obłożnie chorymi. Tacy, co się czuli jeszcze na siłach, przychodzili piechotą, chyba że przybywali z daleka, bo i takich zdarzało się sporo.

W alkierzu, w sionce i w samej izbie, po kątach, wyrastały istne stosy podarków, bo matka Agata godziła się brać jeno to, co do pożywienia, natomiast płótno, wełnę, len, skóry baranie i cielęce, pierze, a przede wszystkim zioła, na które to jedynie łapczywy był Antoni, leżały na kupie.

– Śmieci tu u ciebie jak w kotuchu – mówiła szerokobiodra Zonia, podpierając się pod boki – a wszelkiego dobra jak u Żyda za piecem. Powiedziałbyś, to ci uprzątnęłabym... Podłogę też wyszorować trzeba...

– Niech tam. – Machnął ręką. – Mnie i tak dobrze.

– Okna umyć też warto – dodawała.

– Obejdzie się.

– Mężczyzna bez opieki, jak ogród bez płotu.

Antoni milczał w nadziei, że gdy nic nie odpowie, Zonia jak zwykle postoi, postoi, a potem zabierze się i pójdzie. Lubił ją nawet, cenił jej życzliwość, ale wolał być sam.

Zonia jednak tym razem nie ustępowała.

– Chłop z ciebie, Antoni, zaradny. Tylko swojej korzyści nie umiesz patrzeć. Ho, ho, jakie bogactwa mógłbyś zebrać, żebyś zechciał. Tyle narodu przychodzi do ciebie. Pomagać chorym to, owszem, chrześcijańska rzecz. Jak biednemu, to i za darmo, ale aż wnętrzości we mnie przewracały się, żeś od takiego na przykład bogacza jak Dulejko z Bierwiatów tylko półkożuszek wziął. On by ci krowę dał, jakbyś zażądał. Pieniądze wielkie mógłbyś zebrać.

– Nie potrzebne mi pieniądze. – Wzruszył ramionami. – Ja i tak głodu nie cierpię, a nie mam dla kogo zbierać.

– A to twoja wina.

– Niby co?

– Że nie masz dla kogo. Powinieneś mieć swoją babę. I dzieci.

– Stary już jestem – mruknął wymijająco. Zonia wyszczerzyła zęby.

– Taki ty i stary. Niejedna poszłaby za ciebie.

47

– Obejdzie się.

– Ja sama poszłabym. Prawdę mówię. Poszłabym. Antoni prędko odwrócił się od niej i mruknął:

– Zostaw te głupstwa.

– A dlaczego głupstwa?... Nie bój się. Miesiąc nie minie, żeby kto do mnie nie swatał się.

Już taka ostatnia nie jestem, choć wdowa. W zeszłą niedzielę sam widziałeś, przyjechali z

Wickunów stary Baran i sadownik Siwek. Chcieli mnie dla młodego Miszczonka. A ja nic,

choć on i młodszy ode mnie i całą włókę po ojcu dostanie. A ja nic. Nie takiego ja chcę męża.

A za ciebie pójde i tylko słowo powiedz. I żebyś wiedział, że sam Prokop radby...

– Nie mnie żenić się, Zoniu...

– Nie podobam się tobie? ,

– Co tam podobanie. Żadna mi się nie podoba, bo ja nie do żeniaczki.

– Niby dlaczego?

– A ot, tak.

– Baba ci potrzebna. Może nie?

– A nie.

– No, to niech cię cholera weźmie! – wybuchła niespodziewanie Zonia. – Żebyś na górcie

stał i słońca nie baczył! Żeby cię trasca mordowała! Żebyś w wodzie siedział i pić chciał!

Widzisz go! Takiś nieużyty?... Takiś zawzięty?... Dobrze, dobrze! Popamiętam to sobie! Tfu!

I wylatywała czerwona z gniewu, trzaskając drzwiami. Ale nazajutrz nic w niej gniewu nie

zostawało. Znowu pieczołowicie dolewała mu zupy, herbatę nalewała mocniejszą niż innym i

szczyrzyła równe, białe zęby.

Poza Zonia nikt z rodziny młynarza do Antoniowej przybudówki nie zaglądał, wyłączyw-

szy oczywiście małą Natalkę. Natalka dzień i noc siedziałaby tu, gdyby tylko mogła. Przy-

wiązała się bardzo do Antoniego. Któregoś dnia powiedziała mu:

– Ciotka Zonia coraz więcej się stroi. Wczoraj na jarmarku czerwoną bluzkę kupiła. I my-

dło pachnące kupiła. I trzewiki na takich wysokich obcasach...

– To i dobrze.

– Ale ja wiem, dlaczego ona się stroi.

– Bo baba, a baby lubią stroić się.

– Nie – Natalka potrząsnęła głową. – Ona dlatego, że chce z tobą żenić się.

– Nie gadaj byle czego – ofuknął ją.

- To nie ja, ale Witalis mówił. I babcia też.
- Głupstwa mówili. Dziewczynka klasnęła w ręce.
- Prawda?... Prawda?...
- No pewno, że głupstwa, a ty czego się cieszysz?
- Bo ja wiem, dlaczego ty nie. chcesz ciotki Zoni. Ty ożenisz się ze mną, jak dorosnę.
- Na pewno, na pewno. – Pogładził ją po włosach i uśmiechnął się.
- Ożenisz się?
- Tylko dorośnij.

Z nią jedną lubił rozmawiać i tylko do niej uśmiechał się czasami. Polubił Natalkę serdecznie. Toteż ilekroć zdarzały się jej ataki padaczki, martwił się bardzo i obiecywał sobie zaraz na wiosnę wybrać się do lasu na poszukiwanie tych ziół, które mogły ją wyleczyć. W całej okolicy, gdzie na sprzedaż albo na własny użytek ludzie zbierali rumianek, walerianę, miętę, kwiat lipowy, wrotycz, bielinę, sporysz, liście brzoźowe, główki maku samosiejki, dzięgiel, piołun, babkę, wilcze jagody, cząbry, czarną różę i rozmaite inne zioła, o to jedno nie mógł się dopytać. Nazwy jego ani rusz przypomnieć sobie nie mógł, a chociaż opisywał, jak to ziele o małych, ostrych Usteczkach wygląda, nikt go objaśnić ani o nazwie, ani o tym, czy w tutejszych lasach się znajdzie, nie umiał.

48

Pewnego razu wybrał się nawet do apteki w Radoliszkach w nadziei, że tam dostanie. Aptekarz jednak, zniecierpliwiony długimi objaśnieniami i tym, że sam takiego ziele nie zna, wyprosił Antoniego za drzwi. Wypraszał zaś tym chętniej, że im więcej w pobliżu miasteczka gnieździło się znachorów, tym mniejszy był obrót w aptece. Powodzenie, jakim cieszył się znachor w pobliskim młynie, zarówno miejscowemu lekarzowi, doktorowi Pawlickiemu, jak i aptekarzowi, było solą w oku. Powodzenie zaś miało już zbyt wielki rozgłos, by nie odbierało

im pacjentów nawet z samego miasteczka.

Kiedy podczas marcowych roztopów ludzie więcej zaczęli chorować, a doktorowi Pawlickiemu nie przybywało pacjentów, po naradzie z aptekarzem postanowił działać. Napisał obszernie doniesienie do starosty i do lekarza powiatowego, uskarżając się na wzmagającą się plagę znachorów, i prosił o urzędowe wdrożenie kroków celem itd. Urzędowanie jednak szło wolnym trybem i odpowiedź nie przychodziła. Tymczasem zaś zaszedł wypadek, który doprowadził doktora Pawlickiego do furii. Mianowicie któregoś dnia przysłano po niego konie z Kluczowa. Dziedzic Kluczewa, pan Kijakowicz, cierpiał na kamienie nerkowe i często wzywał lekarza. Bryczka z Kluczewa zjawiała się zwykle najwcześniejszym rankiem. Było to skutkiem ustalonych przyczyn. Pan Kijakowicz wieczorem miał sąsiadów na brydżu, nie umiał powstrzymać się od wypicia paru kieliszków, w nocy, jak amen w pacierzu, przychodził atak, o świcie zaś stangret Ignacy wyruszał parą najszybszych kasztanów po pana doktora.

Tym razem zjawił się dopiero po południu. Toteż doktor Pawlicki, usadowiwszy się już w bryczce, zaczął rozpytywać, co zaszło. Poczciwy Ignacy, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, co mówi i do kogo, albo pragnąc umyślnie sprawić doktorowi, zawsze zapominającemu o napiwkach, przykrość – wszystko opowiedział szczerze. Okazało się, że wysłano go jak zwykle świtaniem, ale nie po pana doktora, tylko po owego znachora, Antoniego Kosibę, co u Mielnika pod miasteczkiem mieszka.

– Jak to? – zachnął się doktor. – Wysłano was po znachora?

– Po znachora.

– Widać panu Kijakowiczowi pilno na tamten świat.

– Pilno to mu mepilno. Bo powiadają, że ten znachor, jak kogo leczy, to jakby ręką odjął.

Lekarz wybuchnął:

– Co za ciemnota! Co za ciemnota! Czyż nie rozumiecie, że zwykły dureń, który nie tylko o medycynie, lecz nawet o anatomii nie może mieć pojęcia, to niebezpieczeństwo dla ludzkiego życia?

– Ja tam rozumiem – bąknął stangret.

– Zaraz wam wytłumaczę. Przypuśćmy, że wam najlepszy koń zachoruje. To do kogo pójdziecie? Do weterynarza czy do pierwszego lepszego głupca, co nie odróżni, gdzie u konia ogon, a gdzie głowa?

Ignacy zaśmiał się.

– Kto by tam nie odróżnił... A po co ja mam przypuścić do tego, żeby mi koń zachorował?... Jeżeli człowiek o konia dba, a koń dobry, to po cóż mam przypuścić do choroby, na psa urok.

Doktor Pawlicki machnął ręką, po chwili jednak odezwał się znowu:

– A widzicie, samiście mieli dość rozsądku, żeście mc jeździli po tego znachora, tylko po mnie.

– A co miałem robić? Jakbym z pustą bryczką przyjechał, to pan dziedzic dałby mi po mordzie. Toteż biorę na rozsądek i myślę: tamten nie chce, to pojedę po pana doktora.

– Kto nie chce?

– A ten... znachor od Mielnika.

– Jak to nie chce?

49

– Bo on nie chciał. Ja, powiada, czasu nie mam po waszych dziedzicach jeździć, powiada.

To nie widzisz, powiada, ile ludzi chorych czeka?– Tak mówi, a ja patrzę, rzeczywiście narodu kupa. Niczym na rynku w czwartek. To ja do niego, że dziedzic, mówię, zapłaci ci więcej, jak one wszystkie tu zebrane, tylko, wiadomo, żeby mu pomógł. To on powiada: Jak dziedzic

jest chory, to niech przyjedzie jak inni. A pieniędzy nie potrzebuję... Co miałem robić?... Zawróciłem i koniec. Sam przecie wiem, że on pieniędzy nie bierze.

– Ale produkty bierze – zawołał Pawlicki.

– Nie, produktów też nie bierze! Ot, masło, jajka czy kiełbasy. Nic jest chytry.

Lekarz zacisnął szczęki. Przybywszy do majątku, nie robił nawet wyrzutów panu Kijakowiczowi, ale w powrotne) drodze kazał Ignacemu zboczyć do młyna.

Przed młynem, a raczej na dziedzińcu, koło przybudówki stało kilkanaście furmanek. Wyprężone konie flcgmaticznie skubały siano. Na wozach leżeli chorzy. Siedmiu czy ośmiu chłopów siedziało na belkach pod chlewem, paląc papierosy.

– Gdzie jest ten... znachor? – zawołał doktor Pawlicki. Jeden z chłopów wstał i wskazał ręką drzwi.

– W izbie, panoczku!...

Lekarz wyskoczył z bryczki i pchnął drzwi. Już w sionce uderzył go przykry zapach juchtovej skóry, dziegiu i kiszanej kapusty. W izbie zaduch był nie do zniesienia. Stosy rupieci i brud pokrywa)ący podłogę, szyby w oknach i wszystkie sprzęty... Nie zawiodło to przewidywań lekarza. Pod ścianą siedziała baba z wyraźnymi objawami żółtaczki. Ogromny, barczysty brodacz o siwiejącym uwłosieniu stał pochylony nad stołem i mieszał jakieś suszone zioła na brudnej chustce.

– To wy jesteście znachor? – ostrym tonem zapytał doktor Pawlicki.

– Ja jestem robotnik we młynie – odpowiedział krótko Antoni, rzuciwszy niechętnie spojrzenie na przybysza.

– Ale ośmielacie się leczyć! Trujecie ludzi! Czy wiecie, że za to jest kryminał?!

– Czego pan chce i kto pan taki? – spokojnie zapytał znachor.

– Jestem lekarzem, doktorem medycyny, I nic wyobrażajcie sobie, że będę przez palce pa-

trzeć na to, jak wy zatruwacie ludność.

Znachor skończył z ziołami, zawiązał je w chustce i podając tobolek kobiecie powiedział:

– Dwie szczypty na kwartę wody, tak jak mówiłem. I pić gorące. Na czczo połowę i wieczorem połowę. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– To i z Bogiem.

Babina podziękowała i stękając wyszła. Znachor usiadł na ławie i zwrócił się do lekarza:

– Kogóż to ja otrułem, panie?

– Wszystkich trujecie!

– Nieprawda, panie. Ani jeden nie umarł.

– Nie umarł? Ale umrze! Powoli zatruwacie ich organizmy. To jest zbrodnia! Rozumiecie?

Zbrodnia! I ja do tego nic dopuszczę! Nie mam prawa tego tolerować. W takim brudzie, w takim smrodzie! Na samych waszych rękach jest więcej zarazków niż w szpitalu zakaźnym!

Obejrzał się ze wstrętem.

– Pamiętajcie, co wam zapowiadam: jeżeli nie zaprzestaniecie waszej zbrodniczej praktyki, wsadzą was do więzienia! Znachor nieznacznie wzruszył ramionami.

– Cóż na to poradzę! Ja nic złego nie robię. A więzienie? Cóż, więzienie też jest dla ludzi, nie dla psów. Ale niech pan doktor na mnie się nie gniewa.

– Ja was tylko ostrzegam! I radzę zaprzestać. Radzę!

Pogroził mu palcem i wyszedł. Z rozkoszą odetchnął świeżym powietrzem. Ignacy z kozła rzucił w jego stronę ironiczne spojrzenie. Doktor Pawlicki już się usadowił na bryczce, gdy na

50

progu młyna zobaczył Wasila, swego dawnego pacjenta. Wasil musiał nań czekać, bo uklonił się i podszedł do bryczki.

– Dzień dobry panu doktorowi.

Szedł pewnym krokiem, a teraz stał prosto. Stał i patrzył wprost w oczy doktorowi.

– Widzi pan doktor, wyzdrowiałem – powiedział chełpliwie. – Dzięki Bogu, wyzdrowiałem. Antoni wyleczył. A pan doktor mówił, że dla mnie nic ma nadziei. Na całe życie kaleką chciał mnie pan doktor zostawić.

– W jaki sposób was wyleczył? – z nieukrywaniem gniewem zapytał lekarz.

– A bo on od razu poznał, że kości były źle zestawione. To połamał i na nowo zestawiał. Teraz i choćby tańczyć mogę.

– No... no, to wiesz – mruknął doktor i zawołał do stangreta: – Jazda!

Przez całą drogę gryzły go niedobre myśli. Gdy przyjechał do domu, było już po obiedzie. Rodzina jednak powróciła do stołu, by mu towarzyszyć przy jedzeniu. Szybko połykał wyschniętą pieczeń, starając się nie dać poznać po sobie, że mu nie smakuje. Stara Marcysia, która go przed trzydziestu laty uczyła chodzić, dreptała zaaferowana. Ojciec tęsknie spoglądał na gazetę, którą mu zaczęła czytać Kamila. Przed trzema tygodniami stłukł sobie okulary, a na nowe nie było. Kamilka miała na sobie zrudziałą suknię, w której wyglądała żałośnie i staro, matka usiłowała miłym uśmiechem pokryć wyraz cierpienia, który przylgnął jej do twarzy. Miesiąc kąpeli borowinowych przywróciłby jej zdrowie na długi czas.

– Boże, Boże – myślał doktor Pawlicki, jedząc kompot z rozgotowanych jabłek. – Kocham ich przecie, na wszystko jestem dla nich gotów, ale patrzeć co dzień, co godzina na ich nędzę, to przechodzi moje siły.

Zdawało mu się, że z każdego ich gestu, z każdego słowa, że z każdego

kąta tego ubogiego mieszkania padają pod jego adresem gorzkie wyrzuty. Ileż to nadziei wiązali oni z jego przyszłością, z praktyką, z dochodami. A oto siedzą już przecie rok w tej zapadłej dziurze i ledwie może zarobić na skromne utrzymanie.

Gdyby mógł stąd wyrwać się! Nie bał się trudów. Pojechałby bodaj do Afryki czy do Grenlandii. Ale przecież oni wszyscy pomarliby tu z głodu. Czuł, wiedział, że na szerokim świecie czekało go powodzenie, kariera, pieniądze, i wiedział równie dobrze, że nigdy nie zdobędzie się na krok stanowczy. Był niewolnikiem swoich uczuć, szczerych i głębokich. Te uczucia przykuły go do nich, do rodziców, do siostry, a nawet do starej Marcysi, przykuły niczym łańcuchy, przykuły do małego, drewnianego domku w małym, nędznym miasteczku... I im bardziej zapadał się w grzęzawisko tej beznadziejnej wegetacji, tym tkliwiej, tym stanniej unikał zdradzenia się ze swoją rozpaczą przed bliskimi. Jakże wdzięczny był im za to, że oni również niczym nie okazywali doznanego zawodu. Bolały go jednak ich myśli, te myśli, które przecie na pewno musiały w nich żyć. One to w sposób iuenniczny przenikały wszystko w tym domu, napełniały powietrze beznadziejnym smutkiem, którego rozproszyć nie mógł najlepiej udawany śmiech, najgłośniejsze manifestowane zadowolenie.

– Byłem u tego znachora – zaczął Pawlicki. – Powiedziałem mu kilka słów prawdy i poradzilem, by w porę porzucił swoją praktykę.

– Czy to prawda – odezwała się Kamilka – że on ma tylu pacjentów?

– Tylu? – zaśmiał się. – Gdybym miał dziesiątą część tego, gdybym miał...

Nie dokończył i zagryzł wargi.

Matka zaczęła szybko, bardzo szybko mówić o kotce Basi, że gdzieś się zawieruszyła, o tym, że w środę są imieniny u Koźlickich, o krowie proboszcza, która daje wyjątkowo dużo mleka.

Lecz Pawlicki nie słyszał tego. Nurtowało w nim coraz bardziej, krew pulsowała w skroniach. Niespodziewanie odsunął od siebie z rozmachem nie dopitą szklankę herbaty i zerwał się.

– A wiecie, dlaczego on ma więcej pacjentów? – zawołał. – Czy wiecie?... Spotkał ich wystraszone spojrzenie, lecz nie mógł zapanować nad sobą.

– Bo on umie leczyć, a ja nic umiem!

– Jurku! – jęknęła matka.

– Tak! Tak! Nie umiem!

– Co ty wygadujesz!

– Pamiętacie tego młynarczyka, co miał połamane nogi? Pamiętacie?... Otóż ja mu je źle zestawilem. Tak, źle. Nic umiałem tego zrobić, a ten znachor zrobił to!

Ojciec położył mu rękę na ramieniu.

– Uspokój się, Jurku. Przecież to ci nie przynosi żadnej ujmy. Nie jesteś chirurgiem. A jako internista nie masz obowiązku znać się na... nie swojej specjalności.

Doktor Pawlicki zaśmiał się.

– Oczywiście! Oczywiście! Nie jestem chirurgiem. Ale ten znachor też do diabła nim nie jest.

Jest zwykłym chłopem! Jest zwykłym parobkiem u młynarza!... Ale już mam tego dość! Wszystko mi jedno! Nie pozwolę się zagłodzić! Zobaczycie! Zobaczycie, że i ja potrafię walczyć!

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami...

Rozdział VIII

W miasteczku Radolizkach, tam gdzie zbiega się wąska uliczka, nosząca nazwę ulicy Napoleona, z Drugim Rynkiem, ochrzczonego imieniem placu Niepodległości, stoi jednopiętrowa kamieniczka z czerwonej cegły, a w niej na parterze mieszczą się cztery sklepiki. Największy z nich i najokazalszy jest sklepik narożny, własność pani Michaliny Szkopkowej. W sklepiku są do nabycia materiały piśmienne, znaczki stemplowe i pocztowe, nici, wstążki, guziki, słowem norymberszczyzna oraz tytoń i papierosy.

Ilekroć Antoni Kosiba przychodził do Radolizzek, właśnie w sklepiku pani Szkopkowej

zaopatrywał się w tytoń, gilzy i zapalki, a także kupował" tu jedwabne nici.

Sama pani Szkopkowa rzadko siadywała w sklepie. Najczęściej w czwartki, jako w dni targowe. Zwyczajnie w domu miała zajęcia po uszy przy czworogu dzieciach i przy niezłym gospodarstwie. W sklepie wyręczała się młodą dziewczyną, sierotą, która za mieszkanie, wikt i za dziesięć złotych miesięcznie spełniała obowiązki sprzedawczyni uczciwie i sumiennie.

Pani Szkopkowa umiała ocenić i inne jej zalety, a przede wszystkim to, że Marysię lubili kupujący. Lubili, bo była dla każdego grzeczna, uśmiechnięta, życzliwa, a przy tym co się zowie ładna. Niejeden z porządniejszych klientów, co tu ukrywać, specjalnie po to wstępował do sklepu pani Szkopkowej, by pogawędzić z Marysią, pożartować i pomizdrzyć się do niej. Pan prowizor z apteki, sekretarz gminy, siostrzeniec księdza proboszcza, ziemianie z okolicy, inżynierowie z fabryki – żaden z nich nie pominął okazji, by wstąpić po paczkę papierosów czy po pocztówki.

– A ty, Maryńka, uważaj. – mówiła pani Szkopkowa. – Na byle kogo albo na żonaty nie zwracaj uwagi, ale jak się trafi odpowiedzialny kawaler, co w tobie upodobanie znajdzie, ty z nim mądrze politykuj. Z takich rzeczy to i małżeństwo wyjść może.

Marysia śmiała się.

– Mam czas.

– Czasu nam, kobietom, w tych sprawach zawsze mało. A ty już musi być niedługo dwadzieścia lat skończysz. To i czas! Ja w twoim wieku już trzyletniego syna miałam. Tylko byle kim głowy sobie nie zawracaj i za wysoko nie sięgaj, bo sparzysz się. Ja ci mówię!... Na przykład z tym to paniczem na motocyklu! Jeździ to on jeździ, ale ożenić się z tobą to ani mu w głowie. Znam ja takich! Znam! Oczy przewraca, za rączkę łapie, wzdycha, a potem... obraza Boska! Nie napytaj sobie nieszczęścia.

– Ale co też pani mówi! – śmiała się Marysia. – Ani mi na myśl nie przyszło coś podobnego.

– No, no! Jego ojciec to wielkrypan. Właściciel majątku i fabryki. Syna z jaką hrabianką ożeni. Zapamiętaj to sobie.

– Oczywiście. Ja też nic. Co pani sobie do niego upatrzyła? Już jeżeli do kogo z klientów – dodała żartem – robię oko, to do tego starego znachora z młyna.

Była to prawda. Marysia rzeczywiście lubiła Antoniego Kosibę. Była przede wszystkim zaciekawiona jego fachem. W miasteczku cuda o nim opowiadano. Mówili, że kogo ręką dotknie, choćby umierającego – uzdrawia, że diabłu duszę sprzedał, inni znowuż, że od Matki Boskiej Ostrobramskiej taką moc otrzymał; gadano, że darmo leczy, że nawet zna takie zioła, które dość wypić, by pokochać tego, kto je podał. A poza tym był zawsze smutny, milczący i miał takie dobre oczy.

I zachowywał się inaczej niż inni prości ludzie. Nie pluł na podłogę, nie klął, nie przebierał w towarze. Przychodził, zdejmował czapkę, mówił krótko, czego chce, płacił, bąknął:

– Dziękuję panience. – I wychodził.

Tak było do pewnego marcowego dnia, kiedy to niespodziewanie lunął deszcz. Znachor właśnie był w sklepie, kiedy lunęło na dobre. Spojrzał przez okno i zapytał:

– Chyba panienka pozwoli mi tu zostać, póki deszcz nie przejdzie...

– Ależ, proszę pana. Oczywiście. Niech pan usiądzie. Wybiegła zza lady i podsunęła mu krzesło.

– Któż by na taki deszcz – dodała. – A panu to nawet daleko. Suche nitki na panu nie zostałyby, nim doszedłby pan do młyna. Wówczas uśmiechnął się. – To panienka wie, że ja z młyna?

– Wiem – kiwnęła głową. – Pan jest znachorem. Przecie tu wszyscy pana znają. Ale pan chyba nie z tych stron pochodzi, bo pan ma inny sposób mówienia, inny akcent.

– Jestem z daleka, z Królestwa.

– Moja mamusia też pochodziła z Królestwa.

– Pani Szkopkova?

– Nie, moja mamusia.

– To pani nie jest córką właścicielki sklepu?

– Nie. Pracuję tu.

– A mamusia gdzie?

– Umarła. Przed czterema laty... na gruźlicę. W jej oczach zjawily się łzy, a po chwili dała:

– Gdyby pan wówczas był w naszej okolicy, może by pan ją wyleczył... Biedna mamusia.

Nie takiego losu spodziewała się dla mnie. Ale niech pan nie myśli, że ja narzekam. O nie!

Pani Szkopkova jest dla mnie bardzo dobra. I ostatecznie niczego mi nie brakuje... Chyba książek i... pianina.

– A ojciec panienki?

– Ojciec był leśniczym, w dobrach księżnej Dubancew. W puszczy Odry-nieckiej. Ach, jak tam było pięknie! Ojciec tam umarł. Byłam wtedy małą dziewczynką... Zostałyśmy z mamą same. Biedna mamusia musiała bardzo ciężko pracować. Zarabiała szyciem, lekcjami muzyki.

Najpierw mieszkaliśmy w Brasławiu, później w Święcianach, a pod koniec tutaj, w Radoliskach. Tu mamusia umarła i ja zostałam samiotka jedna na świecie. Zaopiekował się mną poprzedni ksiądz proboszcz, a gdy wyjeżdżał na inną parafię, opiekę przekazał pani Szkopkovej. Nie brak dobrych ludzi na świecie. Ale zawsze ciężko jest nie mieć nikogo naprawdę bliskiego.

Znachor pokiwał głową.

– I ja to wiem.

– Pan też nie ma rodziny?

– Też.

53

– Nikogo?

– Nikogo.

– Ale pan przynajmniej ma to, że ludzie pana kochają, bo pan ich ratuje. To musi dawać dużą satysfakcję, pomaganie bliźnim, usuwanie ich cierpień. Człowiek wówczas czuje się naprawdę potrzebnym, pożytecznym. Niech się pan ze mnie nie śmieje, ale od dzieciństwa marzyłam, że kiedyś zostanę lekarką. Gdyby mamusia żyła... Byłam już przygotowana do egzaminu do szóstej klasy i miałam jechać do gimnazjum do Wilna.

Uśmiechnęła się smutno i machnęła ręką.

– Ach, co tam!

– To panienka jest wykształcona?...

– Chciałabym nią być. Ale teraz już za późno. Dziękuję Bogu i za to, że dał mi przynajmniej chleb.

Na ladzie była rozłożona jakaś kobieca robótka: serwetka w barwne kwiatki. Dziewczyna sięgnęła po nią i zaczęła haftować.

– A nawet na sukienki i na różne fatałaszkki mogę zarobić. Widzi pan, haftuję. To dla pani Hermanowiczowej z Piasków.

– Ładnie pani haftuje.

– Mamusia mnie nauczyła.

Gawędzili sobie jeszcze z pół godziny. Gdy deszcz ustał, znachor pożegnał się i poszedł.

Od tego dnia jednak coraz częściej chodził do sklepiku Szkopkowej i przesiadywał tam przy rozmowie dłużej. Pannę Marysię bardzo polubił. Samo patrzenie na nią, na jej żywą twa-

rzyczkę, na jej delikatne ręce, na jasne, gładko zaczesane włosy, sprawiało mu wielką przyjemność. Głos miała jasny i dźwięczny, jej duże, niebieskie oczy patrzyły serdecznie, a przy tym odczuwał wyraźnie, że i ona go lubi.

Pracy w młynie, jak zwykle na przednówku, było mało. Zaczęły się wiosenne roboty w polu, ludzie na chorowanie i na leczenie się nie mieli czasu. Tedy i pacjenci nie najeżdżali już tak masowo. Toteż Antoni co drugi, co trzeci dzień chodził do miasteczka. Nie prosił już nikogo o załatwienie dlań zakupów, co oczywiście zwróciło uwagę rodziny Prokopa Mielnika.

– Coś ciebie ciągnie do Radoliszek – z przekąsem mówiła Zonia.

– Co ma ciągnąć – żartował Wasil. – On pewno tam do baby chodzi.

– Idźże ty, mądry – mruzczał Antoni niechętnie. Ze jednak na wsi nic ukryć się nie zdoła, wkrótce tedy wszyscy wiedzieli, że Antoni wciąż przesiaduje w sklepie pani Szkopkowej.

– No, cóż – wzruszył ramionami Prokop, gdy mu Zonia to powiedziała – rzecz męska.

Szkopkowa jest baba jak się patrzy. Nie stara jeszcze i pieniądze ma. I kupcowa. A ty co nos wsadzasz, gdzie ciebie nie posieli.

Pewnego dnia do młyna zajechał wędrowny handlarz. Rozpakował toboły, a cała rodzina zebrała się nad ich zawartością w podziw. Czego tam nie było! I płótna cieniutkie, fabryczne, i perkale, kolorowe, i torebki skórzane, miejskie, i bransoletki, i paciorki różne. Całe bogactwo.

Kobiety, piszcząc i dysząc z zachwytu, oglądały wszystko, przymierzały, macały. I targowały się zawzięcie, a targ był tym trudniejszy, że handlarz nie tylko pieniędzmi zapłatę brał, ale tak samo lnem, wełną, suszonymi grzybami czy miodem.

Antoni przyglądał się temu z daleka, gdy jednak baby uspokoiły się wreszcie, zajrzał i on do tobołów. Niedługo w nich się grzebał. Wybrał kupon surowego jedwabiu na sukienkę i srebrną, szeroką bransoletkę z powprawianymi zielonymi szkiełkami. Dużo motków lnu i tęgi

wałtuch wełny musiał dać za to handlarzowi.

Zonia aż wypieków dostała, obserwując tę transakcję. Nie wątpiła, że to dla niej. Natomiast Olga przekonana była, że Antoni kupił to dla małej Natałki.

54

Myliły się jednak obie. Znachor nazajutrz koło południa wyruszył do miasteczka z zawiątkiem pod pachą. Obie widziały go przez okno i Zonia, jako bardziej zapalczywa, zaczęła kląć:

– Dla tej starej ropuchy, dla tej krowy! A żeby on nogi połamał. Tymczasem Antoni cały i zdrów dotarł do miasteczka. Ponieważ w sklepie, co stwierdził zajrzawszy przez okno, była jakaś pani, zczekał, aż wyszła i dopiero wszedł. Panna Marysia powitała go jak zwykle serdecznie:

– Śliczna pogoda, stryjcium! Ciepło, jakby to już było lato.

Nazywała go stryjcium, nie wiadomo dlaczego. Tak jakoś jej to przyszło do głowy. Inne młode dziewczęta w okolicy bały się Antoniego, ona zaś nie odczuwała żadnego strachu. Przeciwnie, wierzyła w jego dobroć i z oburzeniem protestowała, ilekroć ktoś dawał do zrozumienia, że znachor z młyna ma na usługach diabła.

– Kto ze złym duchem ma do czynienia – mówiła – ten krzywdzi ludzi i żyje nieuczciwie.

A o nim nikt nic niedobrego powiedzieć nie może.

Nie ma żadnych przyczyn, dla których jedna istota ludzka do drugiej odczuwa sympatię.

Przychodzi to skądś, z powietrza czy z zewnątrz. I Marysia nie wiedziała, dlaczego polubiła znachora. Dość, że cieszyła się, ilekroć zajrzał do sklepu. Tego dnia zaś cieszyła się tym bardziej, że miała doń prośbę.

– Jak to dobrze, że stryjcio Antoni przyszedł – mówiła uśmiechnięta. – Chcę stryjcia naciągnąć...

- Jak to naciągnąć, panienko?
- A proszę mi obiecać, że stryjcio spełni, gdy o coś poproszę. Poglądził brodę i spojrzał jej w oczy:
- Wszystko, co będę mógł.
- To bardzo dziękuję! Tu na Kościelnej mieszka pewna staruszka. Bardzo biedna. Otóż w ostatnich czasach nogi jej tak obrzękły, że wcale chodzić nie może. Błagała mnie, żeby stryjcia poprosić, by do niej wstąpił i rady udzielił.
- Niech tam. – Uśmiechnął się. – Pójdę do niej, choć ja po domach nie chodzę. Ale nie ma nic darmo.
- Ona jest bardzo uboga – zaczęła nieco zmieszana Marysia.
- Nie o nią mi chodzi – przerwał – ale w nagrodę panienska musi mi zrobić przyjemność i wziąć ten gościniec. Mówiąc to położył na ladzie paczkę.
- Co to jest? – zdziwiła się.
- Niech panienska zobaczy. Niewiele to, ale paniencie się przyda. Rozwinęła paczkę i zaczerwieniła się.
- Materiał... I bransoletka...
- Proszę nosić, panienko, na zdrowie i na ozdobę. Potrząsnęła głową.
- Ja tego przyjąć nie mogę. Nie, nie! Z jakiej racji?... Dlaczego pan mi takie prezenty robi?
- Odmówi panienska? – zapytał cicho.
- No, jakże ja mogę od pana!... I za co?
- Zrób łaskę, panienko. Weź. Tobie sukienka i te tam błyskotki przydadzą się, a dla mnie to wielka radość. Ot, jakbym ci kawałek serca dawał. Nie wolno odepchnąć. To z wdzięczności. Z wdzięczności za to, że odkąd tu do panienki przychodzę, lżej mi jakoś.

– Ale to musiało drogo kosztować!

– Co tam kosztowało. – Machnął ręką. – Panienska przecie wie, że ja dla siebie nic nie potrzebuję... to jest... tak dotychczas myślałem, że nic nie potrzebuję, a okazało się, że i ja mam swoje fanaberie, zachcianki... Ot, wymyśliłem sobie, że trzeba mieć kogoś na świecie, jakąś dobrą duszyczkę, o której jak się wspomni, to lżej człowiekowi żyć na świecie. Starzeję się już. A na starość przychodzi tęsknota do ciepła. Polubiłem szczerze panienkę. No, weź! Nie-

55

ważny to gościniec, ale z serca. Weź! Samotna jesteś i ja samotny, a moja samotność gorsza, bom stary. Pozwolisz, panienko, choć tam od czasu do czasu okazać, że ci dobrze życzę. Dziewczyna była wzruszona. Wyciągnęła doń ręce i ścisnęła mocno jego wielkie, spracowane dłonie.

– Dziękuję, bardzo dziękuję, stryjciu Antoni. Nie zasłużyłam na to, ale dziękuję.

Wieczorem po powrocie do domu pokazała pani Szkopkowej otrzymane prezenty.

– Jaki on dobry, proszę pani – mówiła. – Cóż ja dla niego jestem, obca dziewczyna. Aż wstydziałam się przyjąć, ale wiedziałam, że zmartwiłabym go bardzo odmową.

– Popatrz, popatrz. – Pani Szkopkowa kręciła głową. – Uważaj, żeby z tego twoja przepowiednia nie sprawdziła się.

– Jaka przepowiednia?

– A że on się z tobą ożeni. Marysia wybuchnęła śmiechem.

– Co pani mówi! Pani go widać nie zna! On jest stary i jemu takie rzeczy w ogóle do głowy nie przychodzą. A zresztą – dodała z przekorą – lepszy on pewno od niejednego młodego.

I była w tym powiedzeniu prawie zupełnie szczerą. Prawie zaś dlatego, że jednak знаła pewnego młodego chłopca, który się jej bardzo podobał. Znajomość zaczęła się tak samo w sklepiku, ale już dawno, bo przed dwoma laty. Był to młody pan Czyński, syn właściciela

Ludwikowa. Przez cały rok nie było go w okolicy. Uczył się na inżyniera. Ale lato zawsze spędzał w Ludwikowie, skąd często do Radoliszczk wpadał. Czasami z rodzicami samochodem lub pięknym powozem i wówczas na chwilę tylko zabiegał do sklepu pani Szkopkowej, czasami sam konno lub na motocyklu. Wtedy przesiadywał w sklepie godzinami.

Chłopak był żywy, zapalny i taki ładny, jakiego drugiego w życiu Marysia nie widziała.

Wysoki, smukły, czarny jak smoła, opalony na brąz. Tylko oczy miał takie niebieskie jak ona, a to wyglądałby na Cygana. Przy tym ruchliwy był, wesoły, hałaśliwy, gdy wpadał, zdawało się, że cały sklep jest od niego jednego pełen. Śmiał się, śpiewał nowe melodie (bardzo ładnie śpiewał!), pokazywał różne sztuki. Raz nawet równymi nogami na ladę wskoczył ku zgorzeniu szofera, który akurat musiał po mego przyjść.

Ale najlepiej lubiła, gdy opowiadał. Młody był jeszcze, zaledwie o siedem lat od niej starszy, lecz. Boże drogi, czego on nie widział, gdzie nie zdążył być! Zjeździł chyba całą Europę. Był w Ameryce i na różnych egzotycznych wyspach. I jak opowiadał! A miał co opowiadać, bo z tą bujną swoją naturą wciąż narażał się na rozmaite przygody. Wytrząsał je jedna po drugiej jak z rękawa.

Może nawet podejrzewałyby go o blagę, gdyby nie to, że o jego awanturach głośno było w całej okolicy, że wszyscy wiedzieli, ile kłopotów ma stary pan Czyński z synem. Razu pewnego w Radoliszczkach podczas jarmarku wjechał konno do szynku i tam pokłócił się z młodym Żarnowskim z Wieliszkowa, o co później był pojedynek. Innym znowu razem zatrzymał pociąg w czystym polu, ułożywszy na torze wielkie ognisko. Dużo anegdotek o nim kursowało w powiecie. Nie było jednak między nimi takich, które by ujmę lub wstyd przynosiły.

Chyba te o kobietach. Gadano, że żadnej nie przepuści, że z każdą, która się nawinie, flirtuje i że niejedna przez niego oczy wypłakała.

Marysia jednak nie wierzyła tym plotkom. A nie wierzyła z dwóch powodów. Po pierwsze,

nie chciała wierzyć, a po drugie, miała dowody. Pan Leszek na kobiety nie zwracał uwagi. Sama to zaobserwowała. Ilekroć dłużej zasiedział się w sklepie, wszystkie miejscowe piękności przylatywały tu jedna za drugą. Gdy która pod sklepem zobaczyła jego konia albo motocykl, jak szalona pędziła do domu, sztafirowała się w najładniejszą sukienkę, podkręcała loczki, nakładała najlepszy kapelusz i przychodziła niby po pocztówki czy po papier listowy. A Marysia tylko śmiała się z tego, bo młody Czyński ani na nie spojrział.

– To pan ściąga mi kupujących, panie Leszku – mówiła doń, gdy znowu zostawali sami. – Pani Szkopkowa powinna być panu wdzięczna.

56

– Jeżeli przyjdzie jeszcze jedna, pokażę jej język! – groził udając irytację. Trzeba trafu, że w pięć minut później przyniosło panią aptekarzową. Wytłoczona była jak na bal, a wyperfumowana tak, że w sklepie trudno było oddychać. Czyński, długo nie myśląc, wprawdzie nie pokazał języka, ale zrobił coś jeszcze gorszego: zaczął udawać, że kicha. A jak zaczął, tak kichał raz po razie przez cały czas, póki uperfumowana dama nie wyleciała ze sklepu jak z procy, czerwona z gniewu i półprzytomna.

Od tego czasu znenawidziła Marysię i ile razy spotkała panią Szkopkowa, zapewniała, że nie kupi niczego u niej za jeden złamany grosz, póki w sklepie będzie ta obrzydliwa dziewczyna.

Pani Szkopkowa martwiła się utratą klientki, zburczała nawet Marysię, sama nie wiedząc za co, ot, na wszelki wypadek, ale jej nie wydalila.

Pani aptekarzową była może już niemłoda, ale niezaprzeczenie ładna, i na młodsze jednak pan Leszek nie zwracał uwagi, nawet na takie, co ubierały się szykownie lub pochodziły z dobrych rodzin, jak siostrzenica proboszcza, jak córka inżyniera drogowego lub jak panna Pawlicka, siostra doktora. Oczywiście pochlebiało to Marysi. Pochlebiało zaś tym bardziej, że

Leszek był okropnie zarozumiały, co uważała za jego wielką wadę. Podczas gdy z nią był prosty i wesoły, wobec innych ludzi zachowywał się sztywno i wyniośle. Za pan brat rozmawiał tylko z bogatszymi ziemianami z okolicy, na resztę patrzył z góry. Często powtarzał, że jego matka jest z domu hrabianką, a ojciec pochodzi z magnackiej, senatorskiej rodziny i że w całym województwie, oprócz Radziwiłłów i Tyszkiewiczów, nikt nie ma prawa wyżej nosa zadzierać niż Czyńscy.

Kiedyś Marysia nie wytrzymała i powiedziała mu z ironicznym uśmiechem:

– Bardzo to zabawny widok, taki młody, wielki pan zadzierający nosa, by zaimponować biednej, sklepowej dziewczynie.

Zmieszał się wówczas i przysięgał, że wcale nie miał takiego zamiaru.

– Niech pani nie myśli, panno Marysiu, że jestem aż takim głupim snobem. – Tego nie myślę – odpowiedziała chłodno. – Myślę natomiast, że bardzo taktownie podkreśla pan różnicę społeczną, jaka między panem i mną istnieje...

– Panno Marysiu!

– ...i tę łaskę, jaką mi pan wyświadcza, racząc tracić swój cenny czas na rozmowy z głupiotką i ubogą ekspedientką z małego miasteczka...

– Panno Marysiu! Bo doprowadzi mnie pani do szału!

– Nie mam tego zamiaru, proszę pana. Moim obowiązkiem jest być uprzejmą dla klientów.

I dlatego chcę pana teraz przeprosić, bo muszę zamieść sklep, a kurz mógłby zaszkodzić pańskiemu cennemu zdrowiu, już nie mówiąc o londyńskim ubraniu.

– Tak pani mówi? – Zerwał się blady.

– Tak, proszę pana.

– Panno Marysiu!

– Czy pan jeszcze co każe zapakować? – Pochyliła się z wymuszonym uśmiechem nad la-

dą.

Czyński trzasnął się z całej siły trzcina po cholewie.

– Sam siebie zapakuję, do ciężkiego diabła! Zegnam panią! Nieprędko mnie pani zobaczy!

– Szczęśliwej drogi...

– Psiakrew! – zaklął.

Wypadł ze sklepu, wskoczył na siodło i z miejsca poderwał konia do galopu. Widziała przez okno, jak niczym wariat przeleciał przez nic zabrukowany plac Niepodległości, wznosząc kłęby kurzu.

Usiadła i zamyśliła się. Wiedziała, że postąpiła słusznie, że temu zarozumialcowi należała się nauczka, a jednak żal]CJ było.

– Nieprędko go zobaczę... Pewno nigdy – westchnęła. – Ano trudno. Może to i lepiej.

57

Nazajutrz, gdy o ósmej przyszła otworzyć sklep, przed drzwiami czekał już gajowy z Ludwikowa. Przyniósł list. W liście Czyński pisał, że ma całe wakacje zatrute, i to przez nią, że nic spodziewał się tego po niej, że naj-opacznicj zrozumiała wszystkie jego intencje, że skrzywdziła go i obraziła, ponieważ jednak i on zachował się niegrzecznie, uważa za obowiązek dżentelmeński przeprosić ją.

„Dla zalania tych gorzkich wspomnień – pisał w zakończeniu – jadę do Wilna i będę tak pić, że pewno mnie licho porwie, zgodnie z życzeniem Pani”.

– Czy będzie, panienko, odpowiedź? – zapytał gajowy. Zastanowiła się. Nie, po co ma doń pisać? Po co to wszystko?

– Odpowiedzi nie będzie – powiedziała. – Proszę tylko paniczowi powiedzieć, że życzę mu jak najlepiej.

Minęły trzy tygodnie i Czyński się nie pokazał. Tęskniła za nim trochę, a nawet wróżyła,

czy przyjdzie i czy wstąpi do sklepu. W trzecim tygodniu przyszła do niej depesza. Oczom swoim nie chciała wierzyć: była to pierwsza depesza, jaką otrzymała w życiu. Wysłana była z Krynicy, a brzmiała tak:

„Świat jest nudny stop, życie nic nie warte stop, czy aptekarzowa perfumuje się stop, pani jest najładniejszą dziewczyną w Europie środkowej stop, szkoda stop, Lech”.

W trzy dni później zaterkotał w Radoliszkać motocykl, objawiając całemu miasteczku, że młody pan Czyński powrócił w rodzinne strony. Marysia ledwie zdążyła skoczyć do lusterka i poprawić włosy, a już był w sklepie.

Była mu bardzo w gruncie rzeczy wdzięczna za ten przyjazd, lecz nie okazała tego po sobie. Bała się, by nie pomyślał, że zależy jej na jego towarzystwie. To znowuż rozgniewało go i zepsuło mu spodziewane miłe powitanie.

Po kilku zdawkowych zdaniach powiedział:

– Potępia pani mój snobizm, ale snoby mają jedną zaletę: umieją zdobyć się na uprzejmość nawet wtedy, gdy nie mają do tego, ochoty.

Chciała zapewnić go, że w stosunku do niego nie potrzebuje aż zdobywać się na uprzejmość, że swoim powrotem i tym, że o niej pamiętał tam, w Krynicy, sprawił jej dużą radość...

Lecz zamiast tego wycedziła:

– Wiem, że pańska uprzejmość jest właśnie tego rodzaju. Przeszył ją nienawistnym spojrzeniem.

– O tak! Pani ma rację!...

– Nie. wątpię.

– Tym lepiej.

– I tylko dziwię się, że się pan wysiła. Zaśmiał się, jak mu się zdawało, szyderczo.

– O, wcale nie. To jest automatyczne. Widzi pani, już samo wychowanie wpoilo we mnie

automatyzm przyzwoitych form obcowania z ludźmi... Dziewczyna pochyliła głowę.

– Podziwiam to.

Gwałtownie odwrócił się od niej. Nie widziała jego twarzy, lecz była pewna, że ma zaciśnięte szczęki.

Jeszcze raz najgoręcej zapragnęła zgody. Rozumiała, że musi teraz powiedzieć coś pojednawczego, że traktuje go niesprawiedliwie, że on teraz już nigdy nie wróci, jeżeli nie usłyszy od niej ani słowa życzliwości. Rozumiała to, a jednak nie umiała się zdobyć na kapitulację.

– Zegnam panią – powiedział i nie czekając na odpowiedź szybko wyszedł. Nie rozplakała się tylko dlatego, że właśnie weszła do sklepu jakaś klientka. Było to wszystko w zeszłym roku. Do końca wakacji nie pokazywał się w Radoliszkach ani razu. Później przyszła zima, długa zima, a potem wiosna. O młodym Czyńskim jak zawsze trochę plotkowano, o uszy Marysi obijały się od czasu do czasu różne wieści. Podobno był na praktyce za granicą. Podobno miał się żenić z jakąś baronówną z Poznańskiego, podobno rodzice baronówny przyjeżdżali nawet z wizytą do Ludwikowa.

58

Wszystko to Marysia przyjmowała dość obojętnie. Zdawała sobie zawsze sprawę z tego, że żadnych nadziei w stosunku do młodego Czyńskiego żywić nie może. Poza tym miała doń jakiś nieuzasadniony żal.

Podczas zimy zjechało do Radoliszek kino. Zainstalowano je w szopie straży ogniowej, gdzie pomimo przejmującego zimna przez wszystkie trzy wieczory publiczności nie zabrakło. Wyświetlano amerykańskie filmy, a pani Szkopkova, chociaż nieraz słyszała kazania potępiające wielkoświatową rozpustę, pokazywaną w kinach, zdecydowała się też rozpustę wreszcie na własne oczy zobaczyć i ocenić stopień jej zgrozy. Ponieważ zaś obawiała się, że wielu rzeczy nie zrozumie, zabrała ze sobą Marysię, zarówno przez wzgląd na jej wykształcenie, jak

i na to, że Marysia już dawniej kino widywała.

Marysia rzeczywiście bywała w kinie w tak dużych miasteczkach jak Brasław i Święciany, lecz wówczas była jeszcze dzieckiem. Teraz jednak zastanawiała się już nad treścią filmów i zwłaszcza jeden podobał się jej bardzo. Była to historia młodej wiejskiej dziewczyny, na którą nikt w jej rodzinnych stronach nie zwracał uwagi. Uchodziła tam za biedactwo zahukane.

Gdy jednak dostała się do wielkiego miasta, do olbrzymiego sklepu, gdzie tysiące kupujących przewija się dziennie, poznał ją i pokochał pewien sławny i bogaty malarz, który umiał dopatrzeć się w niej i urody, i wdzięku, i zalet charakteru.

– Tak – myślała z melancholią Marysia. – Może w wielkim mieście jest to możliwe, ale gdyby została na wsi, smutny byłby jej los.

A o sobie wiedziała, że nie wydestanie się stąd nigdy. Tutaj zaś... kto może być tym mężczyzną, który zakocha się w niej i poślubi?... Miała dość zdrowego rozsądku, by nie brać w rachubę ani przez moment syna właściciela Ludwikowa. Aniby jego rodzice nie zgodzili się na to, ani jemu samemu nigdy to w głowie nie powstało, ani ona sama nie pragnęłaby zostać żoną takiego pana. Jego krewnym i znajomym wyносиła ze sklepu paczki do powozu, więc jakże później zgodziliby się traktować ją jako równą sobie.

Zupełnie inaczej przedstawiałaby sobie własną przyszłość, gdyby pan Leszek był zwyczajnym, niezamożnym urzędnikiem czy rzemieślnikiem, a bodaj nawet gospodarzem wiejskim.

– O, wtedy byłoby zupełnie inaczej!

Uważała go za szczyt urody męskiej. Na żadnej fotografii filmowej, na żadnej pocztówce w sklepie (a było ich tyle) nie widziała równie pociągającego chłopca. Podobał się jej pod każdym względem. Bo nawet ta jego duma, ta zarozumiałość nie była aż taką wadą, na którą w ostateczności nie można by zamknąć oczu. Zresztą gdyby był tylko skromnym pracującym człowiekiem, na pewno nie miałby przewróconej głowy.

Nadeszła wiosna i Marysia, jeżeli pamiętała o młodym Czyńskim, to tylko jako o postaci z marzeń, nie zaś o przyszłym właścicielu Ludwikowa.

Postać ta jednak zajmowała w jej wyobraźni miejsce może niezbyt wielkie, lecz tym niemniej stałe i niewzruszone. O tyle niewzruszone, że nie było tam wolnego terenu dla innych.

W okolicy nie brakło młodych ludzi, którzy na Marysię zwracali uwagę, nie ukrywając przed nią swoich zachwytów. Wszystko to jednak nie robiło na niej większego wrażenia.

Przyszedł czerwiec, upalny, bujny czerwiec. Miasteczko, otoczone rozfalowanym, zielonym morzem zbóż, samo przypominało bukiet potężnych wiechciów białodrzewia, lip i brzoź, pod którymi tuliły się, niczym skromne kwiaty, białe i czerwone domki, ledwie widoczne, bo też gęsto obrosłe jaśminem, bzem i spireą. Gdy w dzień świąteczny wracało się z długiego spaceru, zdawało się, że nie ma na świecie cichszego i piękniejszego zakątka. Z daleka nie widać było wyboistych, nie wybrukowanych ulic ani kup śmieci na podwórkach czy wylegujących się w kałużach świń.

Słońce jarzyło się na czystym niebie, przez pola szedł pachnący, łagodny wiatr, a na sercu było lekko i radośnie.

W powszednie dni dopiero po siódmej wychodziło się ze sklepu. A w sklepie był żar nieznośny. Niedawno zasadzone od strony placu młode drzewka mało albo i wcale nie dawały

59

cienia, mur nagrzewał się tak, że wszystkie wyroby tytoniowe na dzień trzeba było znosić do piwniczki w obawie, by nie zeschły się na miąż. Za to wieczorem Marysia czym prędzej zamykała sklep i zanim jeszcze wróciła do domu, biegła na Żwirówkę. Była to płytka rzeczulka, którą latem kura nie zamoczywszy pierza mogła przejść w bród, w dwóch jednak miejscach, przed szosą i za kościołem, rozszerzała się w dwa pękate i dostatecznie głębokie stawy. Przed szosą kąpali się mężczyźni, a za kościołem kobiety, przeważnie młode dziewczęta.

Po kąpieli było jeszcze dość czasu, by pomóc pani Szkopkowej przy gospodarstwie, a później zasiąść do książki. W bibliotece parafialnej Marysia wszystkie już dawno przeczytała, przeczytała też wszystkie z niewielkiej biblioteki miejscowej szkoły powszechnej. Zdarzało się jednak czasami pożyczać jakąś powieść czy tom wierszy od kogoś z nielicznej inteligencji. A książek wciąż była głodna. Wiele z nich umiała prawie na pamięć, nawet dwie francuskie i jedną niemiecką, które czytywała częściej, by nie wyjść z wprawy.

Francuska – był to stary i zniszczony tom wierszy Musseta, własność byłego proboszcza.

Kiedyś w sklepiku miała właśnie je w rękę, gdy wstąpił stary i miły gość, znachor z młyna.

– A cóż to, panienczka, czytasz? – zapytał. Ot, tak sobie.

– To poezje, bardzo piękne poezje... Wiersze. Ale francuskie.

– Francuskie?...

– Tak, stryjciu. Napisał je Musset.

Znachor odwrócił książkę w swoją stronę, pochylił się nad nią i Marysi zdawało się, że stara się czytać. Wargi jego poruszały się nieznacznie, lecz po chwili wyprostował się.

Był blady i oczy jego jakby zmętniały.

– Co ci jest, stryjciu Antoni? – zapytała zdziwiona i trochę przestraszona.

– Nie, nic... – Potrząsnął głową i ścisnął się za skronie.

– Usiądź, stryjciu. – Wybiegła zza lady i przysunęła mu krzesło. – Upał dziś straszny, pewno ci zaszkodził.

– Nie, bądź spokojna, panienko. Już mi przeszło.

– To chwała Bogu. Przelękłam się... A co do tej-książki to posłuchaj, proszę, jaki to piękny język. Myślę, że można go nie znać, a i tak odczuć jego piękno, zwłaszcza w wierszu.

Odwróciła kilka kartek i zaczęła czytać. Gdyby chociaż na chwilę oderwała oczy od książ-

ki, zobaczyłaby od razu, że coś niedobrego dzieje się z Antonim Kosibą. Lecz przecie czytała właśnie dla siebie. Rozkoszowała się płynnością i dźwięcznością strof, lekkością rymu i wzruszającą treścią uczuć poety, płaczącego nad rozpaczą dwóch serc, nieubłaganie rozdzielonych przez ślepy kaprys losu i płonących coraz słabszym ognikiem tęsknoty, tęsknoty, która stała się ich jedyną racją i przyczyną istnienia.

Skończyła i podniosła głowę. Ujrzała wpatrzone w siebie nieprzytomne oczy znachora.

– Co panu jest? – Zerwała się.

I wówczas usłyszała, jak powtórzył, najdokładniej powtórzył ostatnią strofkę. Nie mogła się mylić, chociaż mówił jakimś chrapliwym szeptem i bardzo cicho.

– Pan... pan... – zaczęła, lecz on, jakby usiłując coś sobie przypomnieć, powiedział: .

– Tak... ślepy kaprys losu. Jak drzewo wyrwane z korzeniami... Co to jest... co to jest...

Wstał i zatoczył się.

– Boże drogi! Stryjciu Antoni! Stryjciu! – krzyknęła.

– Mroczy mi się w głowie – odezwał się, dysząc ciężko. – Mroczy się, jakbym miał oszałeć... Co to za konie tam jadą?... Po co ja przyszedłem... Po tytoń... Powiedz, panienko, coś...

Mów coś do mnie...

Raczej intuicją wyczuła, niż zrozumiała, o co mu chodzi. Zaczęła szybko mówić, że to konie z Piasków, że pewno pani Hermanowiczowa przyjechała po zakupy albo dać na mszę za duszę męża, co miesiąc daje na mszę, że...

60

Trzepała wszystko, co jej na myśl przychodziło, i jednocześnie trzymała znachora za jego wielkie, grube ręce.

Pomału uspokajał się. Usiadł teraz i ciężko dyszał. Przyniosła mu szklanekę wody, którą chciwie wypił, potem zbiegła do piwniczki po tytoń i zapakowała. Ponieważ zbliżała się

siódma, postanowiła, że nie puści go samego.

– Niech stryjcio Antoni posiedzi jeszcze kwadransik, a później zamknę sklep i podprowadzę trochę stryjcia. Dobrze?

– Po co, panienczko, sam pójdę.

– Ale kiedy ja chcę przejść się.

– Dobrze – zgodził się apatycznie.

– A może zapali stryjcio papierosa?... Ja zrobię.

– Zapalę. – Kiwpał głową.

Kiedy znaleźli się już na szosie, z wolna odzyskiwał równowagę.

– Miewam takie przypadłości – powiedział. – Pewno coś w mózgu. Dawno już, bardzo dawno tego nie miałem.

– Da Bóg, że więcej się nie powtórzą. – Uśmiechnęła się doń serdecznie. – To pewno od słońca. Potrząsnął głową.

– Nie, droga panienczko! To nie od słońca.

– Więc od czego?

Milczał długo, wreszcie westchnął:

– Sam me wiem. A po chwili dodał:

– I nie pytaj mnie o to, bo jak zacznę o tym myśleć, jak zacznę pamięć natężyć, to może się znowu to złe we mnie rozpętać.

– Już dobrze, stryjciu Antoni. Będziemy mówili o czymś innym.

– Nie, nie trzeba, panienczko. Wracaj. Za wielki szmat drogi na twoje drobne nóżki.

– Eee tam, wcale niedrobne. Ale jeżeli stryjcio może woli zostać sam, to wrócę.

Zatrzymał się, uśmiechnął, przygarnął ją lekko do siebie i ostrożnie pocałował w czoło.

– Niech ci Bóg odwdzięczy, panienko – powiedział cicho i poszedł.

Marysia zawróciła w stronę miasteczka. Niespodziewany gest i pocałunek tego człowieka nie tylko nie sprawił jej przykrości, lecz jakby ją uspokoił po niedawnym przeżyciu. Odczuła jeszcze dobitniej, że w tym starym znachorze znalazła istotę o złotym i bliskim sercu. Ach, była pewna tego, że nikt na świecie nie żywił dla niej serdeczniejszych i lepszych uczuć, że w razie jakiegokolwiek nieszczęścia on jeden nigdy nie odmówiłby jej pomocy.

Ale zrozumiała też i to, że ten dobry przyjaciel sam potrzebuje pomocy, że musiało nań spaść jakieś wielkie nieszczęście, że w jego duszy dzieje się coś nieprzeniknionego i tajemniczego.

Atak, którego świadkiem była w sklepie, nasuwał tysiące fantastycznych przypuszczeń. Na zdrowy rozsądek biorąc, każde z nich było nedorzeczne, lecz Marysia mając do wyboru popolitość i nieprawdopodobieństwo, wybierała, wołała wybrać zawsze to drugie. Dlatego wydało się jej, że Antoni Kosibą, znachor z młyna, jest zagadkową postacią romantyczną, może jakimś ukrywającym się pod siermięgą księciem lub nieszczęśnikiem, który kiedyś popełnił zbrodnię – oczywiście mimo woli lub w chwili uniesienia – i skazał siebie na życie w prostocie i w poświęceniu dla dobra bliźnich.

Nie, nie myliła się, nie mogła się mylić, gdyż wyraźnie słyszała padające z jego ust słowa francuskiego wiersza. Prosty chłop nie mógłby ich tak powtórzyć. A zresztą zrozumiał treść wiersza!... W jakiż sposób można by to sobie wytłumaczyć?...

– Przypuśćmy – myślała – że w swoich wędrówkach doszedł kiedyś do Francji lub Belgii.

To zupełnie możliwe. Dużo chłopów emigruje, a później wraca.

Lecz takie postawienie sprawy i rozwiązanie tajemnicy było zbyt prozaiczne. Zresztą jeżeli tak było, dlaczego doznał takiego wstrząsu?... Czyż nie kryje się za tym żadna tragedia?...

Niewątpliwie wiersz musiał mu coś przypomnieć, obudzić w nim jakieś bolesne wspomnienie.

nia.

– To musi być człowiek niezwykły – zapewniła siebie z przekonaniem.

A przekonanie to utwierdziło się w niej tym mocniej, im więcej przypominała sobie szczegółów potwierdzających jej doświadczenie. A więc sposób bycia tego człowieka, pozornie, ale tylko pozornie i zewnętrznie podobny do sposobu bycia innych ludzi prostych. Jego delikatność, bezinteresowność...

Była pewna, że trafiła na ślad wielkiej i przejmującej tajemnicy, i postanowiła sobie, że ją rozwikła. Jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób to zrobi, lecz wiedziała, że nie zagna spokoju, nim do sedna zagadki nie dotrze.

Tymczasem jednak zaszły wypadki, które odwróciły jej myśli i zainteresowania w zupełnie innym kierunku.

Rozdział IX

Mniej więcej w połowie czerwca wczesnym rankiem na rynku zatrzymał się wielki granatowy samochód. W Radoliszkach znał go każdy i wiedział, że należy do państwa z Ludwikowa. Samochód zatrzymał się przed kolonialnym sklepem Mordki Rabinowa. 2 okien sklepiku pani Michaliny Szkopkowej widać było dokładnie, jak najpierw wysiadł stary pan Czyński, później pani Czyńska i wreszcie ich syn, pan Leszek.

Marysia szybko odskoczyła od okna. Zdążyła tylko zauważyć, że młody inżynier jeszcze bardziej zeszczupłał i że miał na sobie bardzo jasne, popielate ubranie, w którym wyglądał jeszcze zgrabniej niż zwykle.

Była przekonana, że lada chwila drzwi otworzą się i wejdzie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że serce jej bije coraz prędeziej. Pomyślała, że musi mieć wypieki i że on gotów domyślić się, iż to z jego powodu.

Już nieraz układała sobie, jak go przyjmie. Teraz wszakże, gdy znajdował się w pobliżu,

nie umiała sobie przypomnieć nic z tych projektów. Wiedziała jedno, że cieszy się, że bardzo głupio cieszy się z jego przyjazdu.

Usiadła za ladą i haftowała pilnie. Chciała, by tak właśnie ją zastał, gdy wejdzie.

– Najlepiej nic nie planować – zdecydowała – a zachować się stosownie do tego, jak on się zachowa. Może przecie wejść i tylko zażądać pudełka papierosów... Jak zwykły klient.

Byłoby to brzydko z jego strony, na samą myśl o tym Marysię ogarniał smutek, tym bardziej że teraz mocniej niż kiedykolwiek była przeświadczona, że ubiegłej jesieni zachowała się wobec niego niegrzecznie i niesprawiedliwie.

– Choćby zażądał tylko papierosów – pomyślała – muszę mu okazać życzliwość. Byleby prędzej przyszedł. On jednak nie przyszedł w ogóle.

Po kwadransie wyczekiwania ostrożnie stanęła przy oknie po to tylko, by stwierdzić, że Czyńscy wsiadają do samochodu. Auto zawróciło i ruszyło w stronę Ludwikowa.

– Pojechał – powiedziała głośno i w pierwszej chwili zrobiło się jej niewymownie przykro.

Dopiero wieczorem, leżąc w łóżku, zaczęła rozważać wszystko i doszła do wniosku, że to jeszcze nic nie znaczy. Jeżeli nawet zamierzał wstąpić do niej, nie zrobił tego na pewno dlatego, że rodzice śpieszyli się, a nie chciał zwracać ich uwagi na znajomość z nią, na znajomość, która nie podobałaby się im z pewnością. Usnęła spokojnie.

Nazajutrz jednak koło południa zelektryzował ją znany warkot motoru. Słysząc go było z daleka. Wszakże ku zdziwieniu Marysi tempo warkotu nie zdawało się zmniejszać. Istotnie, motocykl z rykiem przeleciał przez plac, mignął w oknach i popędził dalej.

62

– Jeszcze może zawróci? – łudziła się, wiedząc, że się łudzi. Stało się zupełnie jasne, że zapomniał o niej, że nie ma najmniejszego zamiaru zobaczyć jej znowu.

– Więc to tak... – powiedziała sobie. – To i dobrze... Ale nie było dobrze. Haftować nie

mogła. Ręce trzęsły się. Kilka razy boleśnie ukłuła się w palec. O niczym innym myśleć nie potrafiła. Skoro pojechał traktem, było pewne, że do państwa Zenowiczów. Zenowiczowie to bardzo bogaci ludzie i mają dwie córki na wydaniu. Dawno już wiązano młodego Czyńskiego z jedną z nich. Ale w takim razie ile prawdy było w owej pogłosce o baronównie z Wielkopolski?...

– Zresztą – myślała z goryczą – mój Boże! Cóż to mnie obchodzi? Niech się żeni, z kim chce. Życzę mu, by znalazł najodpowiedniejszą i najładniejszą żonę. Ale to wstrętne z jego strony, że przynajmniej na kilka słówek tu nie wstąpi. Przecież go me ugryzę. I niczego nie chcę od niego.

Czyński wracał tuż przed siódmą. Drzwi sklepu (zupełnie przypadkowo) były otwarte i Marysia (również przypadkiem) stała na progu.

Przejechał obok. Nawet głowy nie odwrócił. Nawet me spojrzął.

– Może to i lepiej – pocieszała się Marysia. – Pani Szkopkova ma rację, że me powinnam sobie zawracać mm głowy.

Tegoż wieczora kierownik miejscowe] agencji pocztowej, pan Sobek, został mile zaskoczony. Spotkał pannę Marysię wracającą do domu i gdy zaproponował, by się z nim spacerowała do Trzech Gruszek, zgodziła się bez namysłu. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby chodziło o którąkolwiek dziewczynę z Radoliszek. Sobek mógł śmiało zaliczyć się do mężczyzn cieszących się powodzeniem u płci pięknej. Był młody, przystojny, na rządowym stanowisku i z perspektywą kariery, bo ogólnie było wiadome, że jego WUJ w okręgowej dyrekcji był ważną figurą. Poza tym mistrzowsko grał na mandolinie, na piękne], inkrustowanej perłową masą mandolinie, z którą poza służbą nigdy zresztą się nie rozstawał.

Owa mandolina, jak też i inne wymienione już zalety pana Sobka działały

pociągająco na młode panny. Na wszystkie, bodaj na wszystkie, z jednym, i to bardzo

przykrym dla pana Sobka wyjątkiem. Marysia wprawdzie była dlań zawsze grzeczna, nigdy jednak nie okazywała ochoty do zacieśnienia znajomości, nieodmiennie wymawiała się od pójścia z nim na ślizgawkę, na spacer czy na wieczorek.

Gdyby pan Sobek należał do młodzieńców o drażliwej ambicji, od dawna zaprzestałby nagabywania Marysi. Był on jednak chłopcem poczciwym z kośćcami, humorów nie miewał, brakiem cierpliwości nie grzeszył, a że odznaczał się trwałości upodobań, tedy od czasu do czasu ponawiał swe propozycje.

I tego właśnie dnia przekonał się, że obrał taktykę rozsądną.

Szli obok siebie drogą znaną wszystkim młodym i starym mieszkańcom Radoliszek ku Trzem Gruszkom, drogą, którą starzy niegdyś, a młodzi teraz chodzili parami, zwaną złośliwie przez panią aptekarzową Promenadą Krów, bo i krowy tedy na pastwisko pędzono.

Z okien plebanii, skąd dbały o moralność swoich parafian proboszcz mógł widzieć tę drogę jak na dłoni, mógł również z niejaką ścisłością określić, ile w roku przyszłym udzieli ślubów.

I komu. Wystarczyło stwierdzić, że ten czy inny młodzian „uczęszcza” na promenadę stale z jedną i tą samą panną. W języku potocznym oznaczało to, że „on z nią chodzi”, a to z kolei rozumiano powszechnie jako zapowiedź małżeństwa, w najgorszym zaś razie jako niezawodny objaw miłości. Dlaczego dopatrywano się go właśnie w chodzeniu, nie zaś w staniu, w siadywaniu ani w żadnej innej odmianie pozycji ludzkiego ciała – w Radoliszkach nikt się nad tym nie zastanawiał, a już z pewnością nie myślał o tym podczas swej pierwszej przechadzki do Trzech Gruszek z Marysią pan Sobek.

Myślał tylko i wyłącznie o pannie Marysi, o tym, że jest uboga, ale bardziej wykształcona i bardziej obyta od innych, że ładniejsza jest też na pewno i że takiej żony nie powstydziliby się

brząkaniem na instrumencie (lubił tak właśnie nazywać swoją mandolinę) melodii modnego tanga:

-, „Czy pokochasz mnie kiedyś, Lolito, z wszystkich kobiet wybrana kobito”.

Niestety, panna Marysia, chociaż rozumiała subtelną aluzję tanga, chociaż domyślała się intencji wirtuoza, chociaż odczuwała pewną wdzięczność za to wyróżnienie, nie mogła podzielać nastroju partnera. Umyślnie poszła z panem Sobkiem na spacer, by się rozerwać, by przekonać samą siebie, że Sobek jest zycznym chłopakiem, że nie powinna stronić od niego, że byłby dla niej odpowiednim mężem. Nawet idealnym. Nie pił, nie robił awantur, nie rozbijał się na motocyklu, a grunt: odznaczał się wyjątkową stałością. Nie tak jak inni!... Cóż z tego, że nie jest zbyt inteligentny, że ma proste maniery. To jeszcze nic przynosi ujmy...

Na nic wszakże nie zdały się nieodparte argumenty, na nic najlepsza wola, na nic spacer, który zakończył się dopiero przy księżycu, na nic romantyczny nastrój, upiększony muzyką i rozmowy: Marysia powróciła do domu zniechęcona, smutna i zdecydowana już nigdy więcej ani z panem Sobkiem, ani nikim innym do Trzech Gruszek nie chodzić.

W nocy śnił się jej straszny sen. Widziała siebie i młodego Czyńskiego. Jechali motocyklem z szaloną szybkością, uciekali przed pożarem, który wciąż ich dopędzał. Nagle otworzyła się przed nimi przepaść, spadli na kamieniste dno... I było wiele krwi, a on powiedział: – Przez ciebie umieram.

Ona odczuła, że też umiera, i zaczęła wołać ratunku. Gdy otworzyła oczy i oprzytomniała ze snu, zobaczyła pochyloną nad sobą panią Szkopkową.

– Sen mara! Bóg wiara! – mówiła. – Co ci się śniło, żeś tak krzyczała? W pierwszej chwili Marysia chciała opowiedzieć swój sen, lecz, przypomniawszy sobie, że pani Szkopkową umie sny tłumaczyć, wołała zamilczeć. Może sen oznaczał coś nieprzychylnego dla pana Czyńskiego, którego pani Szkopkowa i tak nie lubiła. Gotowa by przy okazji powiedzieć mu coś przykrego.

– Krzyczałam?... Sama nie wiem dlaczego – powiedziała Marysia. – Może i śniło mi się coś. Sny tak łatwo się zapomina.

Marysia jednak nie zapomniała. Nazajutrz, gdy ujrzała konie z Ludwikowa i pana Lecha na bryczce, aż wzdrygnęła się. Przekonana była, że tym razem wstąpi.

Myliła się i tym razem. Po papierosy przysłał stajennego! Stajennego!

Widocznie z uporem unikał widzenia się z nią. Dalszy bieg wypadków potwierdził to w zupełności. Nie było dnia, by nie przyjeżdżał do miasteczka lub przez miasteczko. Czasem bryczką, czasem konno, a najczęściej motocyklem. W zeszłym roku nigdy tak często nie bywał. Teraz widocznie robił to na złość Marysi lub z jakichś innych powodów, których nie umiała dociec.

Ilećroć był bez okularów motocyklowych, mogła zauważyć, że twarz mu zeszcupiała, zmizerniała i nabrała jakiegoś niemal ponurego, zaciętego wyrazu.

– Może spotkało go coś złego? – zaniepokoiła się i zaraz skarciła siebie za ten niewczesny niepokój: – Jakim prawem i po co tym się przejmuję?!...

W końcu ogarnęła ją apatia. Nie zrywała się już na odgłos turkotu, tętentu czy warkotu motoru do okna, starała się w ogóle tego nie słyszeć.

I kiedy już resztę straciła nadziei – stało się.

Był to dzień dwudziestego czwartego czerwca. Od rana w sklepie był duży ruch, jak zawsze w dniu imienin księdza proboszcza: kupowano laurki. Dzieci szkolne, z ochronki, z przytułku, tercjarki i inni. Dopiero koło dziewiątej uspokoiło się i miała czas zejść do piwnicy po wyroby tytoniowe, by chociaż kilka paczek ułożyć na wystawie. Wzięła je do fartuszka i po stromej drabince weszła na górę. Odwróciła się i krew uciekła jej do serca: o dwa kroki przed nią stał on.

Nie wiedziała, czy wydobył się z jej ust okrzyk, nie wiedziała, że z fartuszka posypały się na ziemię pudełka papierosów. Wiedziała tylko, że świat się kręci w szalonym, nieprzytomnym tempie i że upadłaby na pewno, gdyby nie to, że on trzyma ją mocno, przytuloną do siebie.

Ile, razy później usiłowała chwila po chwili, mgnienie po mgnieniu odtworzyć w swojej pamięci to wielkie, to cudowne zdarzenie – nie umiała. Pamiętała tylko ostre, jakby gniewne spojrzenia jego czarnych oczu, a potem niemal bolesny uścisk i bezładne słowa, których wówczas nie rozumiała, lecz których treść zdawała się bezpośrednio wlewać do jej krwi.

A potem ktoś wszedł do sklepu i odskoczyli od siebie półprzytomni. Klient posadził ją na pewno o zaczadzenie lub o utratę orientacji. Nie mogła pojąć, o co mu chodzi, nie umiała obliczyć należności. Gdy wreszcie wyszedł z pakunkiem, sama wybuchnęła śmiechem.

– Zupełnie zgłupiałam! Co ja mu dawałam zamiast papieru kancelaryjnego! Boże! Niech pan spojrzy!

Wskazywała na rozłożone na ladzie najrozmaitsze przedmioty i śmiała się, Śmiała, nie mogąc powstrzymać tego radosnego śmiechu. Coś w niej drgało, coś trzepotało. Coś zrodziło się do życia, nowego, wspaniałego, jasnego, uskrzydłonego, jak wielki biały ptak.

Czyński stał nieruchomo i wpatrywał się w nią z zachwytem. Napisał jej kiedyś w depeszy, że uważa ją za najpiękniejszą dziewczynę... Teraz jednak była tak piękna, jaką jej jeszcze nigdy nie widział.

– A to ładnie! Bardzo ładnie – mówiła. – Przyjeżdżać tyle razy i nie wstąpić do mnie! Myślałam, że się pan obraził.

– Czy obraziłem się? Ale pani żartuje! Ja nienawidziłem pani!

– Za co?

– Za to, że nie mogłem o pani zapomnieć, panno Marysiu. Za to, że ani bawić się, ani pracować nie mogłem.

– I dlatego pan, przejeżdżając koło sklepu, odwracał oczy w przeciwną stronę?

– Tak! Właśnie dlatego. Wiedziałem, że się pani nie podobam, że pani mnie lekceważy!...

Żadna kobieta dotychczas nie lekceważyła mnie. Więc dałem sobie słowo honoru, że nie zobaczę pani już nigdy.

– Popęłnił pan tedy aż dwie brzydkie rzeczy: najpierw dając słowo, a później je łamiąc.

Czyński potrząsnął głową.

– Panno Marysiu, nie potępiałaby mnie pani, gdyby pani wiedziała, co to jest tęsknota.

– Jak to! – oburzyła się. – Dlaczego to mam nie wiedzieć, co to jest tęsknota? Może lepiej od pana wiem.

– Nie! – Machnął ręką. – To niemożliwe. Pani nie może mieć najmniejszego pojęcia o tęsknocie. Czy pani wie, że czasami sądziłem, że dostałem bzika?... Tak! Bzika!... Nie wierzy pani? To proszę spojrzeć.

Wydobył z kieszeni cienką, różową książeczkę.

– Wie pani, co to jest?

– Nie.

– To jest bilet okrętowy do Brazylii. Na kwadrans przed odpłynięciem okrętu musiałem zabrać z pokładu moje kufry i zamiast do Brazylii przyjechałem do Ludwikowa. Nie mogłem, wprost nie mogłem! A później była to największa męczarnia! Starałem się dotrzymać danego sobie słowa, ale nie mogłem wyrzec się przyjazdów do Radoliszek. Nie wolno mi było szukać spotkania z panią, lecz mogło się zdarzyć przypadkowo. Prawda?... Wówczas nie złamałbym słowa.

Marysia nagle spoważniała.

– Zdaje się, że postąpił pan źle nie dotrzymując danej sobie obietnicy.

– Dlaczego? – oburzył się.

-- Bo... miał pan słuszość, nie chcąc więcej widzieć się ze mną.

-- Byłem idiotą! -- zawołał z przekonaniem.

65

-- Nie, był pan rozsądny. Dla nas obojga... Przecież to nie ma żadnego sensu.

-- Ach, tak?... Czy pani naprawdę nie znosi mnie do tego stopnia, że nawet widywać się ze mną nie chce? Spojrzała mu prosto w oczy.

--Nie, proszę pana! Będę zupełnie szczerą. I ja tęskniłam za panem bardzo, bardzo...

-- Marysieńko! -- Wyciągnął do niej rękę.

Potrząsnęła głową.

-- Zaraz, powiem wszystko. Niech pan zaczeka. Tęskniłam bardzo. Było mi źle... Tak źle.

Nawet... płakałam...

-- Moja ty jedyna! Mój cudzie!

-- Ale -- ciągnęła -- doszłam do przekonania, że łatwiej zapomnę o panu, gdy nie będziemy się widywać. Jakież cel może mieć nasza znajomość?... Pan jest przecie dość rozumny, by lepiej to widzieć ode mnie.

-- Nie -- przerwał -- właśnie jestem dość rozumny, by widzieć, że pani nie ma racji, panno Marychno. Ja panią kocham. Pani oczywiście nie- może pojąć, co to jest miłość. Ale lubi mnie pani. Byłoby szaleństwem dalsze skazywanie siebie na rozstanie. Pani mówi o celu! A czyż to nie piękny cel, czy nie dostatecznie usprawiedliwiony i ważki już samo widywanie się, same rozmowy, sama przyjaźń? Cóż pani szkodzi widywać się ze mną... Bo proszę posłuchać!...

Słuchała uważnie i nie mogła odmówić mu słuszości, nie mogła odmówić, tym bardziej iż chciała, by ją przekonał. A on umiał być przekonywający.

Zresztą nie mogła mu przecie zabronić bywania w sklepie, do którego miał wstęp każdy

klient. Z klientami zaś należało rozmawiać grzecznie. Toteż od tego dnia pan Lech Czyński przyjeżdżał codziennie, a jego wierzchowiec lub motocykl, stojąc przed sklepem pani Szkopkowej, wywoływał powszechną sensację w miasteczku, liczne komentarze i zazdrość, która naturalnym rzeczą porządkiem przerodziła się w to, co nazwano zgorszeniem publicznym.

Wprawdzie w ścisłym tego słowa znaczeniu o niczym gorszącym nikt nic nie wiedział.

Przesiadanie młodego inżyniera w sklepie, do którego drzwi przecie zawsze i dla każdego były otwarte, nie mogło nikomu nasunąć podejrzeń kompromitujących pannę Marysię. Jednak zawiść ludzka nie liczy się nawet z oczywistością. Niemal każda dziewczyna w Radoliszkach mogła pochwalić się posiadaniem jakiegoś adoratora, żaden z nich jednak nie mógł równać się z młodym Czyńskim. Dlaczego zaś ten piękny brunet wybrał sobie właśnie taką przybłędę jak Marysia od Szkopkowej, trudno było się domyślić. Skoro już wśród panien miasteczkowych chciał szukać towarzystwa dla siebie, znalazłby i urodziwsze, i zamożne, i pod każdym względem godniejsze. Rodzice tych godniejszych, ma się rozumieć, podzielali oburzenie swoich córek, podzielali je również młodzi ludzie, którzy chodzili z nimi do Trzech Gruszek. A to była cała opinia Radoliszek.

Jeżeli Marysia pomimo wrodzonej wrażliwości nie od razu spostrzegła się w tej zmianie frontu opinii miasteczkowej, to tylko dlatego, że zbyt całkowicie pochłonięta była własnymi przeżyciami. A przeżycia te były tak nowe i tak upajające, iż cały świat zewnętrzny przy nich zdawał się rozplýwać w zamgleniu, zdawał się być czymś nierzeczywistym, przygodnym i nieważnym.

Marysia uświadamiała sobie, że kocha. Z każdym dniem świadomość ta była coraz wyrazistsza, coraz głębsza. Na próżno starała się z nią walczyć. A raczej nie na próżno, bo właśnie dzięki tej walce, dzięki konieczności ulegania przemocy uczucia osiągało się spotęgowanie tej dziwnej, przejmującej słodyczy, tego rozkosznego oszołomienia, które ogarniało ją jak wi-

cher, co hamuje oddech, ogłusza i otula ze wszystkich stron niewidzialnymi, przezroczytymi dotykami, obezwładnia, porywa, unosi...

– Kocham, kocham, kocham – powtarzała sobie po tysiąc razy dziennie, a było w tym i zdziwienie, i radość, i lęk, i szczęście, i podziw dla wielkiego odkrycia we własnej duszy, która dotąd nie wiedziała, że tak bezcenny klejnot w sobie nosi.

66

Było to tym bardziej zdumiewające, że w gruncie rzeczy nie działo się nic nowego. Gdyby jacyś obcy świadkowie zechcieli i mogli podsłuchać rozmowy dwojga młodych w sklepie pani Szkopkowej, doznaliby rozczarowania. Czyński przyjeżdżał, całował Marysię w rękę, a później opowiadał jej o swoich podróżach i przygodach albo czytali sobie książki, które teraz stale przywoził. Były to przeważnie wiersze. Czasami i Marysia opowiadała o swoim dzieciństwie, o matce, o nieziszczonych, niestety, jej planach. Zmieniło się może tylko to, że ona nazywała go panem Leszkiem, a on ją po prostu Marysią. Oczywiście gdy ich nikt nie słyszał. Zmieniłoby się może więcej, gdyby Marysia chciała się na to zgodzić. Pan Leszek nieraz próbował ją pocałować, ona wszakże zawsze protestowała z taką stanowczością i z taką obawą, że nie pozostawało mu nic innego jak cierpliwość.

Potem on odjeżdżał, a ona przez resztę dnia myślała tylko o minionych godzinach i o tych, które przyjdą jutro.

Wracała po zamknięciu sklepu do domu, pełna skupienia i radosnej kontemplacji swego szczęścia, pełna życzliwości dla tych małych domków, dla zielonych drzew, dla błękitnego nieba, dla całego świata, dla wszystkich ludzi, których witała szczerym uśmiechem.

Dlatego właśnie nie dostrzegała ich niechętnych spojrzeń, ich pogardliwych min, ich wrogości i szyderstwa. Nie wszyscy jednak ograniczali się do niemego demonstrowania nieprzyjaźni i potępienia. I oto pewnego dnia zdarzył się taki wypadek, który miał za sobą pociągnąć

bardzo przykre następstwa.

W Radoliszkach od lat mieszkała słynna na cały powiat rodzina rymarzy Wojdyłów. Wojdyłowie wywodzili się z zaściankowej wprawdzie, lecz dobrej szlachty i to był ich pierwszy tytuł do szacunku i poważania w miasteczku, drugim zaś było to, że z dziada pradziada słynęli jako najlepsi rymarze. Siodło, trenzia czy uprząż od Wojdyły z Radoliszek cieszyły się ogromnym popytem, chociaż kosztowały nieraz drożej od wileńskich. Głową tej zamożnej i cenionej rodziny w owych czasach był Pankracy Wojdyło, zwany powszechnie od swego ulubionego przymówiska Mosterdziejem, jego następcami w warsztacie mieli być synowie Józef i Kalikst, trzeci zaś syn Mosterdzieja, Zenon, uważany był zarówno przez rodzinę, jak i przez całe miasteczko za latorośl chybioną.

Ojciec kształcił go na księdza. Z trudem przepchnął leniwego w naukach chłopca przez sześć klas gimnazjum i umieścił w seminarium duchownym. Wszystkie zmartwienia i wydatki nie zdały się jednak na nic. Na próżno radowało się serce starego Mosterdzieja, gdy syn ku podziwowi miasteczka przyjechał w sutannie jako kleryk. Nie upłynął rok, a Zenona z seminarium wyrzucili. Sam Zenon opowiadał wprawdzie, że wystąpił dobrowolnie, nie mając powołania, lecz ludzie opowiadali, że ponoć ujawnione przezeń zamiłowania do wódki i kobiet były przyczyną wyrzucenia go z grona przyszłych pasterzy duchownych. Za słusnością tych plotek zdawało się przemawiać późniejsze postępowanie eks-kleryka. Częściej przesiadywał w szynku niż w kościele, a u jakich kobiet bywał na Kramncj ulicy częstym gościem, lepiej i nie wspominać.

Jako znający łacinę, nadawał się jeszcze do pracy w aptece. Tak przynajmniej myślał ojciec. I na tym się jednak zawiódł. Zenon w bardzo prędkim czasie pracę w aptece porzucił. Różne i o tym kursowały gawędy, których wszakże nie dało się sprawdzić, bo aptekarz radoliski, pan Niemira, do gadatliwych nie należał, a ze starym Mosterdziejem był w przyjaźni.

Otóż ten to Zenon Wojdyłło któregoś dnia przechodząc koło sklepu pani Szkopkowej w towarzystwie kilku młodzieńców właśnie w chwili, gdy Marysia sklep zamykała, zatrzymał się i pozornie najprzyjaźniejszym tonem ją zagadnął:

– Dobry wieczór, panno Marysiu, co dobrego słyszeć?

– Dobry wieczór – odpowiedziała z uśmiechem. – Dziękuję.

– Ale zawsze ma panna Marysia niewygodę.

– Jaką niewygodę? – zdziwiła się.

67

– No przecie! Pani Szkopkowa niby dobra kobieta, a o takiej rzeczy nic pomyśli – mówił współczująco.

– O jakiej rzeczy?

– A o kanapie.

– O kanapie? – Szeroko otworzyła oczy.

– Pewno, że o kanapie. Toż w sklepie lada wąska, no i twarda. We dwójkę, zwłaszcza z panem Czyńskim, trudno się na niej wygodnie ułożyć.

Młodzi ludzie wybuchnęli głośnym śmiechem.

Marysia jeszcze nie zrozumiała, lecz przeczuwając jakąś podłość, wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, o czym pan mówi...

– O czym mówię, to nie wie, cnotliwa Zuzanna – zwrócił się Zenon do towarzyszy. – Ale wie, jak się to robi.

Nowy wybuch śmiechu był na to odpowiedzią.

Marysia, drżąc cała, wyciągnęła klucz z zamka, zbiegła ze schodków i niemal biegnąc, skierowała się do domu. Kolana uginały się pod nią, w głowic huczało, serce tłukło się w piersi.

Jeszcze nikt nigdy nie skrzywdził jej tak brutalnie i tak plugawie. Nikomu nie wyrządziła najmniejszego zła, nikomu złego słowa nie powiedziała. O nikim źle nawet nie pomyślała. I nagle...

Czuła się tak, jakby chluśnięto na nią kubłem brudnych pomyj. Biegła, a do jej uszu doływały jeszcze wykrzykniki, śmiechy i gwizdania.

– Boże, Boże... – szeptała rozdygotanymi wargami. – Jakież to straszne, jakie to ohydne...

Starła się oprzytomnieć i zapanować nad łkaniem, które zrywało się jej w płucach, lecz nie zdołała. Dopadła do płotu przy ogrodzie plebanii, oparła się o deski i wybuchnęła szlochem.

Uliczka na tyłach ogrodów należała do najmniej uczęszczanych. Trzeba było jednak trafu, że o tej właśnie porze kierownik agencji pocztowej w Radoliszkach, pan Sobek, wybrał się do księżego sadownika po truskawki. Zobaczywszy płaczącą pannę Marysię, najpierw zdziwił się, później wzruszył, a później postanowił ją pocieszyć.

Domyślał się, co może być przyczyną łez. Wiedział przecie, że młody Czyński codziennie przesiaduje w sklepie.

Zawracał dziewczynie w głowie, rozkochał ją, a teraz rzucił – przemknęło panu Sobkowi przez głowę.

Dotknął łokcia Marysi i zaczął mówić:

– Nie warto płakać, panno Marysiu. Z serca to mówię, z rozumu. Nie warto. Czas przejdzie, boleść zagoi się. Szkoda oczków na płkanie. Pani tysiąc razy więcej warta od niego. To on niech martwi się. Skrzywdził panią, Bóg go za to gorzej ukarze. Na świecie nic nie ginie.

Takie już prawo jest. Nic nie ginie. To jak z grabiami. Nadepniesz je na zęby. Zdaje ci się grabiom szkodę robisz, a tymczasem ani opatrzysz się, jak te grabie podnoszą się i kijem trach w łeb... Takie prawo. No, nie płakać, panno Marysiu...

Rozczulił się jej łkaniem i bezradnością swojej pociechy. Sam był bliski łez. Leciutko pogłaskał ją po łopatkach, wstrząsanych szlochem.

– Cicho, panno Marysiu, cicho – mówił. – Nie trzeba, nie warto. Skrzywdził panią... skrzywdził. Zły człowiek. Bez sumienia.

– Ale za co, za co!... – płakała Marysia. – Nie lubiłam go wprawdzie... nigdy... Ale nic złego mu nie zrobiłam. Sobek zastanowił się.

– O kim pani mówi?

– O nim, o Wojdylle...

– O starym? – zdumiał się.

– Nie, o tym... eks-kleryku.

68

– Zenon?... A cóż ten chuligan pani zrobił?

– Obrzucił mnie wstrętnymi obelgami... Przy ludziach! Taki wstyd!... Taki wstyd!... Jak ja teraz oczy świata pokażę!

Załamano rękę.

Sobek poczuł, że krew nabiega mu do twarzy. Póki myślał, że to pan Czyński skrzywdził Marysię, mimo woli przyjmował to z rezygnacją jako działanie sił wyższych, przeciw którym niepodobna było nic zdziałać. Gdy jednak dowiedział się, że chodzi o młodego Mosterdzieja, opanował go nagły gniew.

– Cóż on pani takiego powiedział? – zapytał, siląc się na spokój. Marysia, gdyby nie była tak rozzalona i tak podniecona, zapewne nie zdobyłaby się na zwierzenia. Gdyby miała czas do namysłu, spostrzegłaby się, że nie ma sensu mówić o tym panu Sobkowi, człowiekowi obcemu. Zbyt silnie jednak pragnęła w tej chwili współczucia. Opowiedziała tedy urywanym głosem, jak umiała, przebieg tego okropnego zajścia. Słuchając, Sobek uspokoił się i nawet

zaśmiał.

– Ze też pani na takiego durnia zwraca uwagę – powiedział. – On mówi czy pies szczeka to jedno. Nie ma czym przejmować się.

– Łatwo panu tak mówić...

– Łatwo niełatwo to inna sprawa, a Zenon to się nawet nie liczy. Co dla pani Zenon?... Napluć i tyle...

– Choćby nawet. – Obtarła łzy. – Przecie ludzie słyszeli, rozejdzie się po miasteczku.

Gdzie ja oczy podzieję.

– Oj, panno Marysiu, a po cóż pani ma oczy chować? Pani sumienie czyste, to grunt.

– Nie każdy uwierzy, że czyste.

– Kto sam uczciwy, ten uwierzy, zły i w kościele brudu się dopatrzy. Ale na złych nie ma co zważać. Ot, było, minęło, przeszło. Widzi pani – pokazał koszyk – do sadownika idę po truskawki. Nie pójdzie pani ze mną? Dobre truskawki, takie wielkie. A słodkie.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, muszę śpieszyć do domu... Do widzenia.

– Do widzenia, panno Marysiu. A przejmować się nie ma czym.

Zatrzymała się i powiedziała:

– Pan jest taki dobry dla mnie... Nigdy tego nie zapomnę. Sobek skrzywit się i machnął ręką.

– Jaka tam i dobroć. Nie ma o czym gadać. Do widzenia. Nucąc pod nosem jakieś tango, poszedł do ogrodu. Wybrał truskawki, potargował się, zapłacił, wrócił do domu. Przepadł za truskawkami. Wysypał je na dwa głębokie talerze, utłukł w moździerzu cukier, przyprószył gęsto pudrem jagody, by przeszły cukrem. Lubił wszystko robić systematycznie.

Tymczasem zagotował wody na herbatę, wyjął z szafki chleb, masło. To była jego kolacja,

dziś, z racji soboty, zakończona taką wspaniałą legumną jak talerz soczystych, pachnących truskawek. Drugi zostawił na jutrzejszy obiad.

Potem zmył naczynia, wytarł, ustawił, wziął ze ściany swoją piękną mandolinę i wyszedł.

Latem, w sobotnie wieczory cała młodzież była na ulicach, a głównie na Krowiej Promenadzie. Pan Sobek wciąż spotykał znajomych. Z niektórymi przystawał, pogawędził, pożartował, innym tylko ukłonił się z daleka. Przeszedł Wileńską, ulicą Napoleona, potem poszedł do Trzech Gruszek i zawrócił. Dziewczęta usiłowały ściągnąć go, każda do swego towarzystwa. Zawsze przyjemnie jest posłuchać muzyki. On jednak wymawiał się i spacerował sam, brzdąkając od czasu do czasu kosteczką po strunach.

Gdy przechodził ulicą Oszmiańską, zobaczył na ganku u Lejzora kilku młodych ludzi. Siedzieli i palili papierosy.

– Ej – zawołał jeden – panie Sobek. Chodź pan, zagraj co.

– Jakoś ochoty nic mam. – Sobek przystanął.

69

– Co tam ochota – odezwał się drugi głos. – Siadaj pan z nami, to i ochota przyjdzie.

– Aż wami ja nie usiądę – odpowiedział Sobek.

– Czemuż to?

– Bo między wami jest żulik, a ja z żulikami zadawać się nie będę. Zapanowała chwila milczenia i trzeci głos zapytał:

– Kogóż to masz pan na myśli, jeśli łaska?

– Na myśli ja jego nie mam – spokojnie wycedził Sobek. – Ja jego mam w pogardzie. A jeśli pan ciekaw, o kim mówię, panie Wojdyłło, to właśnie akurat o panu.

– O mnie?

– Tak, o panu, panie eks-kleryk! Pan jesteś dla mnie żulik i z panem towarzystwa mieć nie

chcę.

– Za cóż pan człowieka obrażasz, panie Sobek? – pojednawczo odezwał się inny głos.

– Nie człowieka, tylko bydlę. Gorzej bydlęciami, bo chuligana.

– Pijany czy co?!... – zawołał Zenon.

– Czy pijany?... Nie, panie Wojdyłło, ja nie trunkowy. Trzeźwy ja zupełnie. Nie tak jak pan, co po rynsztokach nocujesz. Co nieprzyzwoite napaści na młode panienki robisz. Tylko pijana świnia, za przeproszeniem, może niewinną i bezbronną dziewczynę na publicznej ulicy parszywymi słowami obrzucać. Ot, co.

I brząknął kilka taktów walca z „Manewrów jesiennych”.

– Jemu o tę Maryskę od Szkopkowej chodzi – zauważył ktoś.

– Pewnie że o nią – potwierdził Sobek. – O nią, na którą taki żulik, jak szanowny pan Wojdyłło...

– Zamilcz pan! – krzyknął Wojdyłło. – Dość mi tego!

– Panu dość, a mnie mało!...

– Patrz pan swego nosa!

– I pan mógłby popatrzeć swojego. Tylko ciemno. Z daleka nie widać. Ale do mnie tu pan nie zejdziesz, bo się boisz. Zenon zaśmiał się.

– Czego, czego, ty durniu, mam się bać?

– A taki się boisz, żeby nie dostać po mordzie!...

– Zostawcie, nie warto – łagodnie poradził ktoś z ganku.

– Pewno, że nie warto rąk paskudzić – tymże tonem przyznał Sobek.

– Sam dostaniesz po mordzie! – wrzasnął Zenon.

I zanim obecni zdążyli go przytrzymać, skoczył z ganku. Zakotłowało się w ciemności.

Rozległo się kilka głuchych uderzeń, a potem silny trzask. To piękna mandolina pana Sobka rozleciała się w drzazgi w zetknięciu z głową eks-kleryka. Przeciwnicy zwarli się i zwałili na ziemię. Potoczyli się pod płot.

– Puść – odezwał się zduszony głos Zenona.

– A ot, tobie, chuliganie, ot-tobie, ot, ot, żebyś pamiętał! Głosowi Sobka towarzyszyły odgłosy uderzeń.

– Na mnie się narwałeś!... A ot, tobie! A ot! A ot! Będziesz panny zaczepiać?! A?

– Nie będę!

– To masz, żebyś pamiętał!

– Nie będę, przysięgam!

– To masz jeszcze, żebyś przysięgę pamiętał też! I jeszcze! I jeszcze!

– Bracia, ratujcie! – zaskowytał Zenon.

Dookoła zebrało się kilkanaście osób, zwabionych bójką. Nikt jednak nie ruszył się na pomoc. Sobek cieszył się powszechnym szcunkiem i nawet ci, którzy me wiedzieli, o co tu poszło, woleli przypuszczać, że słuszność jest po jego stronie, tym bardziej że przeciwnikiem jego był ogólnie nielubiany awanturnik. Kompani Zenona również nie poczuli się do obo-

70

wiązku solidarności. W głębi duszy od początku byli po stronie Sobka. Zresztą bójkę zaczął Zenon.

– Panowie – odezwał się jeden z tłumu. – Dostyc, dostyc!

– Przestańcie! – dodał drugi.

Sobek podniósł się z ziemi. Z domu wybiegł Lejzor z naftową lampą w ręku.

W jej świetle stało się widoczne całe spustoszenie dokonane w zewnętrznej powłoce Zenona. Wstał w ubraniu podartym, oczy miał podbite, nos rozkrwawiony. Obracał przez chwilę

językiem w ustach i wypluł kilka zębów.

Sobek, otrzepnął ubranie, podniósł z ziemi trzonek mandoliny, przy którym na strunach żałośnie podrygiwały szczątki pudła, chrząknął i, nic nie powiedziawszy, odszedł.

Inni też zaczęli się rozchodzić, nic nie mówiąc i o nic nie pytając. Nazajutrz jednak w całych Radoliszkach wrzało jak w ulu. Po sumie przed kościołem nie było innych tematów rozmowy. Wszyscy znali już dokładnie przyczyny i przebieg zajścia. Ogólnie przyznawano rację Sobkowi i cieszą się z poskromienia Zenona. Z drugiej jednak strony potępienie skierowało się ku Marysi. Raz, że to przez nią, a dwa, że przesiadywanie młodego Czyńskiego w sklepie bądź co bądź niedobrze świadczy o moralności młodej panienki.

Poza tym wprost nie uchodziło, by o jakąś tam przybłędę, o dziewczynę sklepową bili się publicznie ludzie z miasteczkowego towarzystwa, urzędnik i syn bogatej, szanowanej rodziny.

Powszechnie interesowano się, jak zareaguje właśnie rodzina Wojdyłów. Nagabywano, i to nawet od niechcenia braci Zenona, lecz ci wzruszali tylko ramionami.

– Nie nasza sprawa. Ojciec wróci, sam będzie wiedział.

Starego Mosterdzieja istotnie nie było w Radoliszkach. Wyjechał po zakupy do wileńskich garbarzy.

Marysia o pobiciu Zenona dowiedziała się wczesnym rankiem. Przybiegły dwie sąsiadki i opowiedziały wszystko z detalami. O ile pani Szkopkova przyjęła wiadomość z zadowoleniem, jako Boską karę na Zenona za porzucenie świętego stanu kapłańskiego, o tyle Marysia wręcz przeraziła się. Robiła sobie gorzkie wyrzuty za niepotrzebną gadatliwość. Po co skarżyła się temu zacnemu panu Sobkowi! Naraziła go na takie przykrości. Bóg wie, co za następstwa pociągnie to za sobą. Stary Wojdyło nie daruje pobicia syna. Pewno podadzą sprawę do sądu, pewno złożą skargę w dyrekcji poczt. Za swoją szlachetność może pan Sobek zapłacić

utrata posady...

Niewątpliwie czuła doń wdzięczność, ale i żal czuła do niego. Poświęcił się dla niej, narażał się, dobrowolnie wmieszał siebie w to obrzydliwe plotkarstwo, które będzie teraz długo jego nazwiskiem gęby sobie wycierać. I dzięki temu wszystkiemu stał się jej, Marysi, wierzy-
cielem. Choćby i słowa o tym nie bąknął, każde jego spojrzenie będzie jej mówić:

– Stałem w obronie twego honoru, twojej czci i dobrej sławy, czyż nie należy mi się za to zapłata?

I jeszcze jedno. Z przyczyny całej awantury, Marysia dokładnie zdawała sobie sprawę, wezmą ją na języki i zatrują jej życie.

Nie kłamała też, że głowa ją boli, gdy wymawiała się od pójścia na sumę. Rzeczywiście, czuła się chora, nieszczęśliwa, roztrzęsiona. Przez całą niedzielę nie wyszła z domu, popła-
kując i rozmyślając nad tym, co teraz będzie. Gdybyż mogła uciec stąd, wyjechać najdalej. Bodaj do Wilna. Wzięłaby każdą robotę, zostałaby służącą... Na podróż jednak nie miała pie-
niędzy, a nie łudziła się, by pani Szkopkowa zechciała jej pożyczyć. Ani pani Szkopkowa, ani nikt w miasteczku. Chyba... chyba...

I tu przyszedł jej na myśl znachor z młyna. Strycio Antoni na pewno nie odmówiłby jej niczego. Oto jeden człowiek, jedyny człowiek, jaki jej na świecie pozostał.

Zaczęła gorączkowo obmyślać plan działania. Wieczorem, gdy się zrobi ciemno, przejdzie tyłami ogrodów do tartaku... A stamtąd do młyna. Gdzieś po drodze wynajmie furmankę i na

71

ranek będzie już na stacji. Stamtąd napisze list do pani Szkopkowej... I do niego, do pana Leszka.

Serce Marysi ścisnęło się. A co będzie, jeśli on nie zechce przyjechać do Wilna?...

I od razu wszystkie projekty upadły.

Nie, stokroć wolała narażać się tu codziennie na obmowę, na szyderstwa, na plotki, nawet na wstyd, niż wyrzec się możliwości widywania jego oczu i ust, i włosów, słuchania jego niskiego, drogiego głosu, dotyku jego mocnych, pięknych rąk.

– Niech się dzieje, co chce – zdecydowała się.

Było jeszcze jedno wyjście: zwierzyć się mu ze wszystkiego. Jest przecie od niej znacznie mądrzejszy i na pewno znajdzie najlepszy sposób.

Na to jednak nie zdobyłaby się nigdy. Wiedziała, że nikt w miasteczku nie ośmielił się mu opowiedzieć o przyczynie zajścia między panem Sobkiem i synem Wojdyłły. Zresztą pan Leszek z nikim tu nie wdawał się w rozmowy. Gdyby jednak dowiedział się o awanturze, gotów by nabrać podejrzeń, że pan Sobek miał jakieś prawo do występowania w obronie Marysi, a wówczas...

– Nie, nic mu nie powiem, nic! – postanowiła. – Tak będzie najrozsądniej.

Z rana szła z domu do sklepu z głową opuszczoną i tak prędko, jakby ją goniono. Odetchnęła dopiero wówczas, gdy znalazła się w środku. Przejrzała się w lusterku i ze zmartwieniem stwierdziła, że dwie nieprzespane noce i ostatnie przeżycia zostawiły ślady. Błada była, a oczy miała podkrążone. To ją do reszty wytrąciło z równowagi.

– Gdy zobaczy, jak zbrzydłam – myślała – znechęci się do mnie. Byłoby już lepiej, żeby nie przyjechał.

Mijała godzina za godziną i Marysia niepokoiła się coraz bardziej.

– W złą chwilę pomyślałam, żeby nie przyjechał! – robiła sobie wyrzuty. W kościele dzwonił już na południe, gdy ujrzała konie z Ludwikowa. Pana Leszka jednak w bryczce nie było. Stangret ziewając siedział na koźle. Gruba pani Michalewska, gospodyni z Ludwikowa, wysiadła i poszła załatwić sprawunki. Marysia miała wielką ochotę pobiec do bryczki i zapytać o pana Leszka, zdołała się jednak pohamować i postąpiła rozsądnie, gdyż nie minęła go-

dzina, a rozległ się na ulicy warkot motocykla.

Omal nie rozplakała się ze szczęścia. Pan Leszek jednak nie spostrzegł ani jej bladości, ani łez w oczach. Wpadł jak huragan, w mazurowym tempie, wybił kilka hołubców i zawołał:

– Wiwat genialny mechanik! Niech żyje! Złóż mi gratulacje, Marysieńko! Myślałem już, że mię diabli na tym upale wezmą, ale zawzięłem się!

Zaczął opowiadać, jak mu się motocykl w drodze zepsuł i z jakim trudem sam naprawił uszkodzenie, chociaż mógł zabrać się bryczką z .panią Michalewską.

Był tak z siebie kontent, że aż promieniał.

– Nie ma złej drogi do swej niebogi! – wykrzykiwał.

– Ale się pan wysmarował, panie Leszku! Zaraz dam panu wody. Nalewała ją właśnie do miednicy, gdy weszła pani Szkopkowa z obiadem. Obrzuciła ich karcącym spojrzeniem, nic wszakże nie powiedziała.

– Pan Czyński musiał naprawiać swoją maszynę – wyjaśniła Marysia. – I chciał się umyć, bo zawałał się smarami.

– Nie nachlapię tu pani zanadto – dodał Czyński.

– Nie szkodzi – sucho odpowiedziała pani Szkopkowa i wyszła. Inżynier nie przejął się bynajmniej oschłością właścicielki sklepu. Z humorem tłumaczył Marysi, na czym polegał defekt motoru i jak sobie dowcipnie poradził z reperacją. Stopniowo i dziewczyna odzyskała swobodę.

– Jak ty ślicznie się śmiejesz! – powtarzał Czyński.

– Zwyczajnie.

72

– Właśnie że niezwykle! Przysięgam ci, Marysieńko, że jesteś pod każdym, absolutnie pod każdym względem nadzwyczajna. A jeżeli chodzi o śmiech... każdy śmieje się inaczej.

Tu zaczął dawać próbki śmiechu różnych osób. Robił to tak komicznie, takie miny przy tym wyprawiał, że umarłego by rozruszał. Najlepiej i najdłużej naśladował grubą gospozię, panią Michalewską.

Nie wiedział, że w tej właśnie chwili pani Michalewską bliższa była płaczu niż śmiechu, i to z jego powodu.

Już gdy windowała się do bryczki, stangret zauważył, że gospodyni dostała purpurowych wypieków, tak jakby przed chwilą odeszła od smażenia konfitur. Przez całą drogę słyszał, jak mamrotała mu coś za plecami, wzdychała i pojękiwała.

– Coś musiało się stać – miarkował.

Jakoż i stało się. W miasteczku pani Michalewską dowiedziała się tak strasznych rzeczy, że wprost nie chciała im wierzyć i nie uwierzyłaby, gdyby nie świadectwo kilku osób i gdyby nie to, że na własne oczy zobaczyła, gdzie pan Leszek postawił motocykl i gdzie siedział już bite dwie godziny.

Para małych, lecz dobrze wypasionych kasztanów szła dziarskim kłusem, lecz pani Michalewskiej zdawało się, że bryczka ledwie się porusza. Wciąż wyglądała przed siebie, obliczając, ile to kilometrów zostało do Ludwikowa.

Wreszcie za lasem otworzył się szeroki widok. Pola łagodną pochyłością zniżały się do widocznej na horyzoncie niebieskiej smugi jeziora. Nad jeziorem ustawione w symetryczne rzędy małe kubiki budynków z czerwonej cegły

i kominy. Na wzgórzu w pękach zieleni bielił się wysoki, smukły pałac, uchodzący w całym powiecie za ósmy cud, jeżeli nie świata, to przynajmniej kresów północno-wschodnich.

Jedna jedyna pani Michalewską nie podzielała tych zachwytów. Wolała dawny, drewniany, lecz większy i przytulniejszy od nowego dwór, w którym się urodziła, wychowała i pracowała od dziecka.

Nie umiała też przebaczyć swemu chlebobdawcy i rówieśnikowi, staremu panu Czyńskiemu, że zamiast odbudować dokładnie spalony podczas inwazji dom, kazał wznieść nowoczesny, i do tego dwupiętrowy pałac, jakby zależało mu na tym, by stare nogi gospodyni miały jak najwięcej schodów do włożenia i złożenia.

I teraz, chociaż pochłonięta innymi myślami, pani Michalewską poświęciła jedno sieknięcie tej nedorzecznej innowacji, do której pomimo upływu kilkunastu lat nie umiała się przyzwyczaić.

Minąwszy wjazdową bramę bryczka skręciła w boczną aleję parku i zatrzymała się przed służbowym wejściem. Pani Michalewską zbyt była podniecona, by osobiście zająć się wyładowaniem i umieszczeniem w spiżarni przywiezionych zapasów. Niczym lokomotywa pospiesznego pociągu przewaliła przez kuchnię, kredensowy i jadalnię sapiąc może nawet bardziej, niż wymagało tego zmęczenie i rozwijana szybkość.

Wiedziała, gdzie o tej porze znajdzie państwa Czyńskich, i nie omyliła się. Byli na północnym tarasie. Pani Eleonora, sztywna i wyprostowana w swoim gorsecie, siedziała na twarde, niewyściełanym krześle (innych nie uznawała) i zagłębiona była w wielkich księgach fabrycznych. Za nią stał buchalter, pan Słupek, z miną nieszczęśnika, którego za chwilę wezmą na tortury. Jego łysa głowa, podobna do wielkiej, różowej purchawki, pokryta była gęstymi kropelkami potu. W drugim końcu tarasu, w wielkim, trzciniowym fotelu siedział pan Stanisław Czyński, obłożony nieprawdopodobnymi stosami gazet.

Pani Michalewską stanęła na środku bez słowa, jak posąg grozy.

Pan Czyński opuścił niżej okulary i zapytał:

– O co chodzi, Michalesiu?

– Nieszczęście! – jęknęła.

– Cytryn nie ma?

– Ach, co tam cytryny!... Kom-pro-mi-tac-ja!

– Co się stało? – spokojnie, lecz już z większym zainteresowaniem zapytał pan Czyński, odkładając gazetę.

– Co się stało?... Skandal!... Myślałam, że spalę się ze wstydu. Całe miasteczko o niczym innym nie mówi! Tylko o nim!

– O kim?

– No, o naszym kochanym Leszku.

– O Leszku?

Pani Czyńska podniosła głowę i powiedziała:

– Niech pan zapamięta, panie Słupek. Przerywamy na tej pozycji, 1482 złote i 24 grosze.

– Tak jest, proszę pani. – Buchalter odetchnął. – Dwadzieścia cztery grosze. Czy mam odejść?

– Nie, niech pan zostanie. Więc co Michalesia mówi?

– O panu Leszku! Wstyd całej rodzinie! Dowiedziałam się takich rzeczy, że no!

– Więc proszę powtórzyć. Pewno jakieś plotki – z kamiennym spokojem rzekła pani Czyńska.

– W Radoliszkach biją się, mordują się przez naszego pana Leszka. Kierownik agencji pocztowej gitarę na nim połamał i turlali się po całym rynku. Nos mu rozbił! Zęby wybił...

– Komu? – zerwał się pan Czyński. – Leszkowi?

– Nie, temu synowi Mosterdzieja, rymarza.

– Więc cóż to nas obchodzi?

– A bo to przez tę dziewczynę, z którą pan Leszek romans uprawia. Pani Czyńska zmarszczyła brwi.

– Nic nie rozumiem. Proszę Michalesię, by opowiedziała wszystko po porządku.

– Toż mówię! Przez dziewczynę. Przez tę Marysię od Szkopkowej. Ja od dawna wiedziałam, że tu musi być sprawa nieczysta. Stare oczy, ale dobrze patrzą. Czy nie mówiłam jeszcze w zeszłym tygodniu: – No, no, coś mi za bardzo pan Leszek do tych Radoliszek jeździ!... Może nie mówiłam?... No, niech państwo powiedzą, że nie mówiłam...

– Mniejsza o to. I cóż ta dziewczyna?

– Dziewczyna jak dziewczyna. Ładna, bo ładna, ale ja tam w niej nic specjalnego nie widzę. Żeby aż bić się o taką?... Ale to swoją drogą, a swoją drogą pan Leszek. Co dzień gania do miasteczka. Myślę sobie: – Co go tam ciągnie, aż teraz okazuje się! Dopiero teraz.

– I cóż się okazuje?

– Ze do niej, do tej Marysi. Motocykiel całymi dniami gdzie stoi?... A pod sklepem pani Szkopkowej. Wszyscy widzą i głowami kręcą. A pan Leszek gdzie przebywa?... Ano w sklepie. Sam na sam! Tak! Sam na sam z nią, bo Szkopkowa w sklepie nie siedzi. Pani aptekarzowa powiada, że to dziw, powiada, że dotychczas ksiądz proboszcz z ambony, powiada, takiego zgorszenia nie potępił. I jeżeli, powiada, tego nie zrobił, to chyba przez wzgląd na szacunek i poważanie dla rodziców tego, powiada, przedsiębiorczego kawalera.

Pan Czyński skrzywił się niemiłosiernie.

– Cóż dalej?

– Ano, to ten właśnie syn rymarza, eks-kleryk, w sobotę... Nie, nie, w piątek... Nie, dobrze mówię, w sobotę, publicznie ową Marysię zapytuje, dlaczego to do sklepu kanapę wstawiła... To owa Marysia na to nic. To on zaczął takimi słowami z naszego pana Leszka i z niej podrwiwać, że wszyscy za brzuchy się trzymali ze śmiechu.

– Jacy wszyscy? – spokojnie zapytała pani Eleonora.

– No, naród. Na ulicy przecie było i każdy słyszał. To dziewczynę wstyd widocznie zdjął,

bo ani pary nie puściła i w nogi. Ale musiała się poskarżyć temu, co pocztę załatwia, Sobkowi. A może on i tak od kogoś się dowiedział. Dość, że jak tylko eks-kleryka spotkał, rzucił się na niego i tak wykotłował, że tamten ledwie z życiem wyszedł. A dziś to na własne oczy wi-

74
działam motocyklem pana Leszka znowu pod tym sklepikiem. Jeszcze nieszczęście napyta na siebie. Ten Sobek gotów mu jaką krzywdę zrobić, bo to...

– No, dobrze – przerwała pani Czyńska. – Dziękujemy Michalesi za informacje. Zajmę się tą sprawą.

Mówiła zupełnie obojętnie, lecz gospodyni dobrze wiedziała, czym to pachnie. Przyszło jej teraz do głowy, że postąpiła zbyt pośpiesznie i nierozważnie. Wprawdzie była oburzona niemoralnymi wizytami Leszka, lecz kochała go bardziej od rodzonych dzieci i teraz żałowała swego postępuku.

– Bo ja, proszę państwa – zaczęła – nic na naszego pana Leszka nie mówię, bo ma się rozumieć...

Ale państwo Czyńscy rozmawiali już po francusku, co oznaczało, że Michalesia powinna wynieść się. Zrobiła to ociągając się i zastanowiła się nad tym, czyby nie wybiec zawczasu na drogę i nie uprzedzić Leszka o piwie, którego nawarzyła. Po zastanowieniu się doszła jednak do przekonania, że młodemu porządna bura, na którą zasłużył, wyjdzie tylko na korzyść, i zaniechała zamiaru.

Na potępienie zasługiwał w każdym razie. Jeżeli uwodził przyzwoitą dziewczynę, to postępował brzydko. Jeżeli owa Marysia nie należała do przyzwoitych, kompromitował siebie i rodzinę.

Tak rozumowała Michalesia, takiego również zdania byli państwo Czyńscy.

Toteż gdy Leszek przyjechał, ku swemu zdziwieniu i zaniepokojeniu zauważył zimne spoj-

rzenia, jakimi go przyjęto. Początkowo był przerażony domysłem: ten łajdak Bauer, dyrektor hotelu z Wilna, musiał przysłać rachunek.

– A to świństwo – myślał jedząc kolację w milczeniu – nie mógł paru tygodni poczekać.

Rachunek – o ile pamięć Leszka nie zawodziła – zawierał pozycje, których za żadną cenę nie chciałby zademonstrować rodzicom. Zwłaszcza owe rozbite lustro i zbyt wiele, naprawdę zbyt wiele butelek szampana...

– Czy mógłbyś teraz poświęcić nam pół godziny czasu? – odezwała się wstając od stołu pani Czyńska. – Chcielibyśmy z tobą pomówić.

– Aż pół godziny? – podejrzliwie zapytał Leszek.

– Czy uważasz, że to dla rodziców zbyt dużo?

– Ależ nie, mam. Jestem do waszej dyspozycji.

– Przejdziemy do gabinetu.

– Oho! – mruknął do siebie Leszek. – Rzecz musi być poważna. W gabinecie z reguły odbywały się najmniej przyjemne i najbardziej oficjalne konferencje z rodzicami.

Pan Czyński zasiadł na prezydialnym miejscu przy biurku i, chrząknąwszy dwukrotnie, zaczął:

– Mój Leszku! Doszło do naszej wiadomości, że lekkomyślność swoją posuwasz do granic, które przekraczają nie tylko dobre obyczaje, ale i pojęcie o godności osobistej, jakie staraliśmy się oboje z matką w ciebie wpoić.

– Nie wiem, ojcze, o co chodzi – przybierając ton chłodny i obronny odpowiedział Leszek.

– Chodzi o obrzydliwe burdy wśród miasteczkowych... kawalerów... o burdy wywołane przez ciebie. Leszek pomyślał z ulgą:

– Więc nie rachunek! Dzięki Bogu! – i już z całą swobodą uśmiechnął się.

– Moi kochani rodzice! Widzę, że wprowadzono was w błąd, mówiąc po prostu, zbudowano

jakimiś niedorzecznymi bajkami. O żadnych burdach nic nie wiem. A tym bardziej nie mogłem ich wywołać.

– A czy nie wiesz też nic o niejkiej Marysi – powoli zapytała matka – o ekspedientce ze sklepiku Szkopkowej? Leszek zaczerwienił się lekko.

– Cóż to ma do rzeczy?

– Bardzo wiele, mój drogi.

75

– Owszem. Znam tę Marysię. Miła dziewczyna. Chrząknął i dodał:

– Wstępuję do tego sklepu dość często po papierosy.

– Codziennie – podkreśliła matka.

– Być może – zmarszczył brwi. – I cóż z tego?

– Bywasz tam codziennie i przesiadujesz godzinami.

– Jeżeli nawet... Czy nie sądzisz, mamó, że wyrosłem już z tych lat, kiedy podlegałem kontroli?...

– Zapewne. Jeżeli chodzi o naszą kontrolę. Ale najbardziej dojrzały i najzupełniej samodzielny człowiek podlega zawsze jeszcze innej i to znacznie mniej wyrozumiałej kontroli. Myślę o kontroli opinii publicznej.

Leszek zachnął się.

– Daruj, mamó, ale nią popełniłem żadnej zbrodni!

– Nikt ci zbrodni nie zarzuca.

– Więc o co chodzi?

– O takt i godność – dobitnie odpowiedziała pani Czyńska.

– Nie uważam, bym uchybił jednemu lub drugiemu. Pan Czyński niecierpliwie poruszył się w fotelu.

– Mój Leszku – zaczął. – Musisz to sam rozumieć, że twoje stałe przebywanie, demonstracyjne przebywanie w sklepiku nie mogło nie wywołać komentarzy...

– Nikomu nic do tego. Sklep... sklep jest miejscem publicznym. Każdy ma prawo wejść do sklepu.

– Daruj – przerwała matka – ale podobne wykręty stoją poniżej twego poziomu. Przede wszystkim przesiadujesz tam całymi dniami, co zwraca wszystkich uwagę i wywołuje komentarze. Nie posądzisz chyba nikogo o taką naiwność, by przypuszczał, że spędzasz ten czas na studiach metod handlu sklepikarskiego. Przesiadujesz tam dla owej ekspedientki.

– Możliwe. Więc cóż z tego?

– Z tego wynikałoby, że uważasz jej towarzystwo za nader interesujące.

– Istotnie, mamo.

– I za odpowiednie dla ciebie?... Czy tak?... Odpowiednie dla pana Czyńskiego pod względem towarzyskim, intelektualnym, socjalnym? Leszek wzruszył ramionami.

– To kwestia poglądu, zapatrywań...

– Otóż pozwól sobie powiedzieć, że naszym zdaniem nie ma tu żadnej kwestii. A najlepszy dowód w tym, że twoje wizyty stały się tematem plotek w miasteczku.

– Kpię sobie z plotek! – zawołał porywczo.

– I nie tylko plotek. Owa dziewczyna została publicznie zelżona przez jednego z mniej szczęśliwych... twoich współzawodników, w następstwie czego inny... adorator tej... popularnej panienki w ulicznej bijatyce uważał za stosowne stanąć w obronie jej czci. Dzięki temu twoje... zaloty i twoja osoba nabrały w okolicy rozgłosu.

Leszek szeroko otworzył oczy.

– Ależ ja o niczym nie wiem! To w ogóle jest niemożliwe! Zerwał się wzburzony i zawo-

łał:

– To są ohydne plotki, w których nie ma ani jednego słowa prawdy!

– Niestety, synu – odezwał się pan Czyński – mamy zupełnie pewne wiadomości.

– Nie wierzę! – wybuchnął. – Powiedziałyby mi o tym! A mama nie powinna, mówiąc o dziewczynie, której nie zna, o najprzyzwoitszej dziewczynie, posługiwać się takimi... takimi... dwuznacznymi aluzjami! To... to jest wstrętne!

Państwo Czyńscy zamienili szybkie spojrzenie. Byli zaskoczeni wybuchem syna, który dotychczas sam zbyt lekko wyrażał się o kobietach.

– Widzę, że owa panienka bardzo cię obchodzi.

76

– Naturalnie, że obchodzi, jeżeli z mojej przyczyny ma być narażona na podobne... podobne...

Przygryzł wargi i nie dokończył.

Pani Czyńska spokojnie opowiedziała wszystko to, czego dowiedziała się od gospodyni.

Leszek zdołał opanować się o tyle, że nie przerwał jej ani razu. Gdy skończyła, odezwał się sucho:

– I jakież konsekwencje zamierzacie z tego wyciągnąć?

– Jak to konsekwencje? – zdziwił się pan Czyński. – Właśnie jedyną konsekwencją jest to, że chcieliśmy cię prosić, byś zastanowił się nad swoim postępowaniem. To wszystko.

Leszek potrząsnął głową.

– To nie wszystko. Możecie to uznać lub nie, lecz ja w swoim postępowaniu nie widzę nic, co by wam, mnie czy komukolwiek przynosiło ujmę. Nie mam sobie nic do zarzucenia. Absolutnie nic! Natomiast ani ja, ani chyba moi rodzice nie mogą puścić płazem jakiemuś chamowi, że plugawi opinię

biednej wprawdzie, ale godnej szacunku dziewczyny, posługując się moim nazwiskiem.

Pani Eleonora zmierzyła syna ironicznym spojrzeniem.

– Zbyt pewien, mój drogi, jesteś owego szacunku, na który zasługuje rzekomo ta panieneczka. Nie posądzam cię o naiwność! Ale jakże myślisz zareagować?... Jestem bardzo ciekawa. Czy idąc wzorem owego urzędnika pocztowego zamierzasz wdać się z synem rymarza w bijatykę?

– Nie, ale skieruję sprawę do sądu!

– Nie będzie to świadczyło o twoim rozsądku. Sprawa sądowa z pewnością nie poprawi reputacji tej panienki.

– Więc każę stangretowi oćwiczyć go batem! – krzyknął zniecierpliwiony. – A w każdym razie... Od dzisiejszego dnia nie będziemy ani do fabryki, ani do folwarku brać wyrobów jego ojca!

– Ojciec tu nic nie winien – zauważył pan Czyński.

– Oczywiście – dodała pani Eleonora. – A poza tym pozwól, że wyrażę zdziwienie z powodu twego tonu, tonu tak apodyktycznego, jakby fabryka i folwark stanowiły twoją własność i sprawa zamówień zależała wyłącznie od ciebie.

Leszek miał już jednak zbyt roztrzęsione nerwy. Odstąpił krok wstecz i zapytał:

– Więc to tak?... Więc mama zamierza nadal zaopatrywać się u tego rymarza?

– Nie widzę powodu do zmiany.

– Ale ja widzę! – krzyknął.

– To jeszcze nas na szczęście nie obowiązuje.

– Tak? Zatem słuchajcie! Żądam tego stanowczo. Macie wybór. Albo zastosujecie się do mego żądania, albo nie zobaczycie mnie nigdy więcej!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu. Był wzburzony do ostatecznych granic, wzburzony do tego stopnia, że rzeczywiście nie zawahałby się wykonać groźby i wyjechać cho-

ciężby natychmiast.

Nie chciał i nie mógł zastanowić się teraz nad tym, czy postępuje słusznie. Sama myśl, że jakiś miasteczkowy chłystek ośmielił się publicznie stroić zeń żarty, doprowadzała go do furii, zaciemniała trzeźwy sąd i domagała się bezzwłocznej reakcji. I to w tej chwili było najważniejsze: ukarać, zemścić się. Bodaj rodzice stanęli na przeszkodzie! Bodaj! Niemal pragnął tego. Pokazałby im, że potrafi nie cofnąć się przed niczym. Ukarze ich również.

Wybiegł do parku i laską ojca, którą zabrał z przedpokoju, z wściekłością obijał liście z gałęzi kasztanów.

Oczywiście zerwanie z domem równałoby się nędzy. Otrzymał wprawdzie fachowe wykształcenie jako ceramik, mógłby dostać w Ćmielowie czy w jakiejś innej fabryce posadkę. Zamknęłoby to jednak jego budżet w kwocie nędznych paruset złotych miesięcznie.

– To trudno – przekonał siebie. – Przetrwam. I nagle zjawilo się pytanie:

77

– Co właściwie było przyczyną konfliktu, konfliktu, który miałby zaważyć na całym moim życiu?

Odpowiedź przyszła łatwo:

– Marysia...

Tak, w gruncie rzeczy chodziło tu o Marysię, o tę śliczną dziewczynę, dla której gotów był na wszystko. A jeżeli, przypuścmy, nie na wszystko, to na bardzo wiele...

– Na bardzo wiele – upewnił siebie.

Lecz natychmiast wyrosły wątpliwości. Czy zerwanie z rodzicami, czy wyrzeczenie się pozycji i dobrobytu, czy to wszystko nie byłoby ceną zbyt wysoką?...

Z oburzeniem odrzucił tę myśl. Sprawa przedstawiała się jasno: ktoś ośmielił się obrazić

Marysię i jego, musi więc ponieść karę. Jeżeli zaś rodzice odmawiają jednemu synowi tak drobnej satysfakcji, tym samym dają dowód, że nie zasługują na żadne względy. Niech cierpią.

A Marysia?... Z Marysią to całkiem inna kwestia. Tu nie powinno wchodzić w grę pytanie, czy ona zasługuje na to. Bo trzeźwo rzecz biorąc, Marysia nie jest w porządku. Stanowczo nie jest. Ten syn rymarza poczuwał się widocznie do jakiejś poufałości w stosunku do niej albo powodowała nim zazdrość. A ten pocztowiec, jakiś Sobek?... Dlaczego stanął w obronie Marysi?... Całkiem bez powodów?...

Tak myśleć byłoby dowodem najgłupszej naiwności. Oczywiście, dziewczynę musi coś z nim łączyć.

Ogarnęło go krańcowe rozdrażnienie. Sam domyśl, podsunięty przez matkę, że owi ludzie są jego... rywalami, wydawał się obrażą, najcięższą obrażą.

– Oto są skutki – myślał z goryczą – zbliżania się do osób z takiego środowiska.

Matka niewątpliwie jest kobietą doświadczoną. I umie rozsądnie patrzeć na życie. Jeżeli jej podejrzenia bodaj w części są słuszne...

– To ładnie wyglądam! Ośmieszyłem się jak smarkacz! Ta dziewczyna przy mnie udaje li-lię polną, a kto wie, na co sobie pozwala z takim, powiedzmy, Sobkiem...

Posądzenie wprawdzie było wstrętne, ale któż może zaręczyć, że życie, że prawda nie jest równie wstrętne?

I Leszkiem owładnęło zupełne zniechęcenie. Usiadł na ławce kamiennej, mokrej od rosy, a świat wydał mu się czymś obrzydliwym, nudnym, niegodnym żadnych wysiłków, żadnych walk, żadnych poświęceń...

...Bo gdyby Marysia była uczciwą, szczerą dziewczyną, nie ukrywałaby tej awantury przed nim. Przeciwnie. Wyznałaby wszystko, prosiłaby o obronę jego, nie zaś jakiegoś Sobka...

Zza drzew wyłonił się okrągły księżyc. Leszek w ogóle nie lubił księżyca.

Tym jednak razem dostrzegł w jego nieprzyjemnej fizjonomii wyraźnie ironiczny uśmiech.

– Jestem jeszcze straszliwie głupi – pomyślał – straszliwie głupi.

I zastanowił się nad tym, co też o całej historii i o jego zachowaniu się powiedzą sobie rodzice.

Gdyby mógł słyszeć ich rozmowę, przekonałby się, że nie różni się od nich w ocenie swojej mądrości.

Po jego wyjściu państwo Czyńscy milczeli dość długo, wreszcie pani Eleonora westchnęła:

– Martwi mnie bardzo głupota Leszka.

– I ja się nie cieszę – dodał pan Stanisław, wstając. – Późno już. Czas spać.

Codziennym zwyczajem pocałował żonę w rękę i w czoło i poszedł do siebie. Po kwadransie był już w łóżku i właśnie zabierał się do czytania „Potopu”, który przed snem stanowił

78

dlań najniezawodniejszy środek na uspokojenie nerwów, oderwanie myśli od spraw dziennych i błogo kołysał wyobraźnię, gdy zapukano do drzwi.

– To ty? – zdziwił się na widok żony. Już od wielu lat odzwyczaił się od jej odwiedzin w szlafroku i o tej porze.

– Tak, Stasiu. Chciałam zasięgnąć twojej opinii. Sama nie wiem, jak należy postąpić. Czy sądzisz, że pogrózkę Leszka należy brać serio?

– To jest chłopak niezrównoważony – ogłędnie zauważył pan Czyński.

– Bo widzisz... Byłoby wysoce niepedagogicznie ustąpić pod presją groźby. Z drugiej jednak strony musimy wziąć pod uwagę jego wiek. Jeżeli dotychczas nie zdołaliśmy go wycho-

wać, to i dalsza pedagogika nie pomoże nic.

Pan Stanisław zerknął tęsknie na rozłożony na kołdrze gruby tom. Zagłoba właśnie objął regimentarstwo i przystępował do aprowidowania obozu. Ustęp szczególnie pogodny i tu nagle znowu sprawa Leszka.

– Sądzę, Elu, że odmówiliśmy mu zbyt stanowczo.

– Ale sprawiedliwie.

– Zapewne. Z drugiej wszakże strony ambicja chłopaka została podrażniona. Jestem zdania, że ostatecznie...

Myśl o dalszym ciągu, o sprowadzeniu broni i amunicji z Białegostoku, o przybyciu księcia Sapiehy (Jakaś głowa kiepska, musi być z Witebska!), wszystko to nastrajało pana Czyńskiego pokojowo i pojednawczo.

– ...ostatecznie ten rymarz powinien swego synalka nauczyć moresu. Niepodobna odmówić Leszkowi pewnej dozy słuszności.

– Więc upierasz się – podchwyciła pani Eleonora – przy tym, by przyjąć warunek Leszka?

– Ja upieram się? – zdziwił się szczerze pan Stanisław.

– No, przecież nie ja. – Niecierpliwie wzruszyła ramionami. – Zawsze byłam zdania, że jesteś dla niego zbyt miękki i zbyt pobłażliwy. Obyśmy nie odpokutowali kiedyś ciężko za tę twoją słabość.

– Przepraszam cię, Elu... – zaczął pan Czyński, lecz małżonka przerwała mu:

– Proszę cię, zastosuję się do twojej woli. Chociaż jeszcze raz podkreślam, że robię to wbrew memu przekonaniu.

– Ależ... – próbował oponować pan Stanisław – ależ ja...

– Ty? Ty, mój drogi, źle go wychowałeś! Dobranoc!

I pani Eleonora wyszła. Wyszła z poczuciem wstydu przed samą sobą. Sumienie nie dało

się oszukać pozornym zwaleniem odpowiedzialności za ustępstwo na barki męża. Jej despotyczna natura buntowała się przeciw ultimatum syna i gdyby pan Stanisław bodaj jednym słowem zachęcił ją do oporu, do stanowczości – nie zmieniłaby swego postanowienia. Inna rzecz, że szła do sypialni męża zupełnie pewna, że od niego takiej zachęty nie usłyszy.

Nie znałby jednak pani Eleonory Czyńskiej ten, kto by przypuszczał, że potrafiłaby pogodzić się zupełnie z klęską. Drżała wprawdzie na myśl, że syn pogrózkę wykona i że wyjedzie na koniec świata, nie mogła jednak uznać własnej kapitulacji za wyrzeczenie się wszystkich korzyści.

Toteż nazajutrz wezwała syna i oświadczyła mu krótko, że bynajmniej nie pod jego presją, lecz na skutek perswazji ojca postanowiła zrezygnować z zamówień u rymarza Wojdyły, pod jednym wszakże warunkiem. Mianowicie Leszek jeszcze dzisiaj wyjedzie pod Warszawę, do wuja Eustachego, na dłuższy czas.

Umyślnie nie określiła terminu w obawie, że zbyt długi zostałby przez Leszka odrzucony.

Obawy jej jednak były zbyteczne. Po źle przespanej nocy, po wielu seriach sceptycznych i nawet cynicznych myśli, Leszek był zupełnie zrezygnowany. Sam zastanawiał się nad tym, czy nie byłoby najlepiej wyjechać, i projekt matki przyjął bez najmniejszego sprzeciwu.

79

Wyjazd automatycznie odsunie pokusy wycieczek do miasteczka; w gwarnym, wesołym domu wuja Eustachego, gdzie zawsze pełno było panien i młodych mężatek, na pewno przyjemniej spędzi czas niż w tej obrzydliwej okolicy, w tym niewyszlamowanym stawie, wśród drobnych, brudnych i przyziemnych spraw.

Tak myślał aż do chwili, gdy przed oknami wagonu zaczęły i się przesuwać uciekające budynki stacyjne. Gdy jednak koła pociągu wpadły w monotony, rytmiczny stukot, myśli zmały się, zawirowały i nagle pobiegły w innym, w zupełnie przeciwnym kierunku.

Ale to już jest dalsza historia.

Rozdział X

Spokojnie płynęło życie w młynie starego Prokopa Szapiela, zwanego Prokopem Mielnikiem. Pogodne, błękitne niebo odbijało się w gładkiej powierzchni cichych stawów, miodnym zapachem pachniały lipy, dobra woda żywicielka lśniąca wstęgą spływała na wielkie koło młyńskie niby nie kończąca się wstęga lustrzana, roztrzaskując się na skrzydełkach w zielonawe, przezrocyste kawałki, coraz drobniejsze, coraz bielsze, aż wytłaczające się dołem skłębioną pianą w bryzgach i bulgocie.

Na dole był bulgot, na górze mruczały jednostajnie zadowolone i syte przeżuwającym chlebem żarna, a korytami sypała się pulchna, drogocenna mąka. Tylko worki podstawiać pod ten chlebny strumień.

Jako na późnym przednówku, młyn niewiele już miał roboty. Około trzeciej po południu parobek Witalis przestawiał zapórkę i koło uwolnione spod ciężaru wody z rozpędu obróciło się jeszcze raz i drugi, zaskrzypiały dębinowe osie, zgrzytnęło w żelaznych trybach, warknęły żarna i zaległa cisza. Tylko pył mączny bezgłośnie opadał od dachu i półstryszka na ziemię, na rozstawione worki, na wagi, osiadał warstwą, która od rana na pół palca nieraz grubości wyrastała.

Inni, niesumienni młynarze i tę mąkę sprzedawali ludziom, stary Prokop jednak kazał ją zamiatać na zaprawę dla bydła i innej żywioły, toteż jego krowy, koń, a tak samo świnię, kaczki, gęsi i kury matki Agaty – chodziły spasionie, jakby na pańskim hodowane.

Od trzeciej we młynie nie było już nic do roboty i o tej to godzinie znachor Antoni Kosiba zwykle wybierał się do miasteczka. Otrzeptywał się z mąki, naciągał czystą koszulę, ręce i twarz oplukiwał przy karczu nad stawem, gdzie był najwygodniejszy przystęp do wody, i szedł do Radoliszek.

Chorych latem było niewiele, a i to głównie wieczorem, po zachodzie słońca, kiedy to, jak wiadomo, ludzie są wolniejsi.

W ostatnich czasach wszyscy domownicy, a już szczególnie kobiety zauważyły w zachowaniu się znachora duże zmiany. Zaczął o siebie jakby więcej dbać, buty czyścił szuwaksem do glansu, kupił dwie kolorowe bluzy, przyszywał brodę i włosy, które dawniej leżały mu aż na ramionach, upodabniając go do popa.

Zonia co do przyczyn tego elegantowania się nie miała żadnych złudzeń. Niezawodny w takich sprawach instynkt kobiecy podpowiedział jej dawno, że obojętny dotychczas na niewieście wdzięki Antoni Kosiba wypatrzeć sobie musiał w miasteczku jakąś babę. Początkowe spojrzenia skierowane na osobę Szkopkowej, właścicielki sklepu, po krótkim wywiadzie okazały się nietrafne. Antoni odwiedzał wprawdzie jej sklep, ale widywał tam tylko młodziutką panienkę, która u Szkopkowej była w zajęciu.

Widywała ją Zonia nieraz i aż śmiech ją brał i gniew, gdy myślała o tych zalotach.

– Ech, ty stary – mówiła przyglądając się koszerującemu się znachorowi. – Czego się tobie zachciało? Gdzie ona dla ciebie?... Ty się w głowę stuknij! Ot, co! Do jakiej roboty ona tobie

80

się nada? Chodzisz do niej i chodzisz, a co wychodzisz? Tobie baba zdrowa potrzebna, robotna, nie taka białorączka.

– Akurat taka jak ty – podśmiewała się Olga.

– A choćby! A choćby! – Zonia brała się pod boki wojowniczo. – Chytrzyć nie będę.

Czym ja gorsza od tamtej?... Ze nie taka młoda?... To i co?

Zastanów się sam, Antoni, po co ci taka młoda?... A to jeszcze miasteczkowa!

Z fanaberiami. Kapeluszowa. Grzech na duszę weźmiesz!

– Zamilknij, ty głupia! – odezwał się wreszcie zniecierpliwiony znachor.

I odchodził mruczając:

– Co takiej durnej po głowie może chodzić!...

W samej rzeczy gadaninę Zoni uważał za przelewanie z pustego w próżne. Ani mu śniło się brać żonę. Do kobiet czuł niechęć, nad której źródłem nie zastanawiał się, bał się ich i trochę nimi gardził. Jeżeli zaś chodziło o Marysię z Radoliszek, to była całkiem inna sprawa. Marysia była inna od wszystkich. Do tego stopnia inna, że wydawało mu się niedorzecznością porównanie jej z kobietami w ogóle. Sam pomysł Zoni o jego małżeństwie z Marysią był tak durny, że i myśleć o nim nie warto było. Jeżeli zaś myślał, to tylko dlatego, żeby dojść, skąd w jej ciasnej głowie coś podobnego zjawić się mogło.

Że bywał w sklepie?... Ano bywał, i cóż z tego? Że czasem jakiś gościniec Marysi zaniósł?... A cóż to, czy mu nie wolno?... Ze lubił z nią gawędzić?... Ano pewnie, że wolał z nią, jak z kim innym, ale nie żeby zaraz pleść głupstwa... Biedactwo, dziewczyna, dziecko prawie, i samotna, sierota. Czyż jest coś złego serce takiej okazać?... Tym bardziej że serce szczere, bez żadnego interesu, bez rachunku. Zresztą czuł, że i ona przywiązała się do niego, że też go polubiła serdecznie. Gdyby inaczej było, nie witałaby go zawsze z taką radością, nie zatrzymywałaby go w sklepie jak najdłużej, nie zwierzałyby się ze swoich smutków i zmartwień.

A w ostatnich dniach nie brakowało ich Marysi. Już od poniedziałku była jakby przygaszona, gdy zaś przyszedł we czwartek, od razu zauważył, że płakała.

– Cóż, moja panienczko – zapytał – znowu źli ludzie życie nie dają?

Potrząsnęła głową.

– Nie, stryjciu Antoni! Nie to! Tylko przez tę całą awanturę nieszczęście się stało.

– Komu? – zaniepokoił się.

– A Wojdylle, rymarzowi.

– Jakież to nieszczęście?

– Widocznie młody pan Czyński dowiedział się od kogoś, że ten eks-kleryk mnie obraził i o tej bójce. Dość, że jak wczoraj rymarz posłał furmankę do Ludwikowa z gotową robotą, to nowej już mu nie dali. Starego Mosterdzieja nie było przedtem w miasteczku. Do Wilna jeździł i ledwie wczoraj wrócił. To kiedy furmanka próżna przyjechała, pyta się:

– A gdzie robota?

A furman mu odpowiada:

– Ludwikowska pani kazała powtórzyć, że już roboty dla nas nie będzie.

– Dlaczego nie będzie? Fabrykę zamykają?

– Fabryki nie zamykają – powiada furman. – Ale że to pański syn ich panicza obraził, to nie chcą panu roboty dawać.

Znachor chrząknął.

– To niesprawiedliwe. Jakże ojciec za syna może odpowiadać? Syn łobuz, ale ojciec porządny człowiek i nic nie zawinił.

– No pewno – przyznała Marysia. – Ja mu to samo powiedziałam.

– Niby komu?

81

– Mosterdziejowi. On dopiero, gdy takie rzeczy usłyszał od rymarza, zaczął dowiadywać się i dowiedział się, co było. To najpierw poszedł do pana Sobka, podał mu rękę i powinszował, że on z jego synem słusznie postąpił, a potem przyszedł do mnie.

– I czego chciał?

– Najpierw to surowo na mnie patrzył i mówił: – Przyszedłem przeprosić za zachowanie się mego Zenona. To głupi i zły chłopiec. Należała się mu kara, wałkoniowi, a co od pana

Sobka dostał, to jeszcze mało. Rozumiem, powiada, że nie miał prawa pani, to znaczy mnie, obrazić. Nie jego interes, co pani robi. Pani Szkopkowa opiekuje się panią, jej prawo, a nie tego darmożjada. I gdyby pani przyszła poskarżyć się mnie, to dostałby za swoje. Ale, powiada, pani poskarżyła się młodemu dziedzicowi z Ludwikowa i teraz mnie, starego, nieszczęście całkiem niewinnie spotkało, bo mi zamówienia cofnęli, a to więcej jak połowa mojego zarobku.

Znachor zdziwił się:

- Przecie panienka nie skarżyła się młodemu dziedzicowi?!
- Właśnie. Toteż powiedziałam to panu Wojdyłle, ale on zdaje się nie uwierzył.
- No, to jeszcze nie widzę tu nieszczęścia.
- Nieszczęście jest w czym innym. Stary Wojdyłło dziś rano wypędził syna z domu!
- Wypędził?... Jak to wypędził? – zdziwił się znachor.
- On taki surowy jest. Całe miasteczko mówi tylko o tym wypadku. I wszyscy twierdzą, że to przeze mnie... A cóż ja zawiniłam?... Co ja złego zrobiłam?...

Głos Marysi zadrżał, a w oczach pokazały się łzy.

- Sama chciałam biec do pana Wojdyłły błagać, by darował Zenonowi, ale się bałam...

Zresztą on nie zwróciłby na moje prośby żadnej uwagi. Proboszcz wstawiał się za Zenonem, mówił, że chłopiec jest zepsuty, ale wyrzucony z domu zejdzie na jeszcze gorszą drogę... Nic nie pomogło. Stary odpowiedział, że niech nawet w więzieniu zgnije, nic go to nie wzruszy, bo to, powiada, nie tylko leń, wałkoń i obibruk, ale jeszcze ojcu i braciom chleb odbiera.

Znachor pokiwał głową.

- Przykra sprawa, ale twojej winy tu nie ma, panienczko.
- Cóż z tego, że nie ma! – załamała ręce – kiedy wszyscy wytykają mnie palcami, jak jakąś zbrodniarkę... wilkiem na mnie patrzą... I nawet panią Szkopkowa przeciw mnie buntują.

Sama słyszałam, jak jeden tu, stolarz, mówił do pani Szkopkowej: – Na biedę ludziom i na obrazę Boską trzyma pani u siebie tę przybłądę.

Marysia zakryła twarz rękoma i zapłakała.

– Wiem, wiem – szlochała – czym się to skończy... Wygryzą mnie... pozbawią pracy... A przecież chciałabym, chciałam jak najlepiej... Gdyby pan Leszek przyjechał, na kolanach wyprosiłabym u niego darowanie winy Zenonowi... Ale on... on nie przyjeżdża... Znaku życia nie daje. Tego mi jeszcze nieszczęsnej brakowało... tego... O, Boże, dobry Boże!...

Antoni Kosiba siedział, bezwładnie opuściwszy swoje wielkie ręce. Twarz mu przybladła ze wzruszenia. Duszę oddałby za to, by tę kochaną dziewczynę uwolnić od cierpień i zmartwień. Na przemian ogarniał go gniew, chęć natychmiastowego działania i poczucie własnej bezsilności.

Nie było nawet słów, którymi zdołałby ją pocieszać. Wstał tedy, objął ją i głaskał po włosach swoją surową, spracowaną dłońią, powtarzając:

– Cicho, gołąbko, cicho, gołąbko!...

Przytuliła się doń i cała dygotała w łkaniu. I tak wielka ogarnęła go żałość nad nią i nad sobą, nad samotnością obojga i bezradnością, że i jemu łzy zaczęły spływać po twarzy, po siwiejącej brodzie, po palcach przesuwających się najserdeczniejszą pociechą po jasnej głowce dziewczyny.

– Cicho, gołąbko moja, cicho, cicho... – mówił ledwie dosłyszalnie.

– Tylko ciebie jedynego, stryjciu Antoni... ciebie jednego mam na świecie... przybłąda...

82

– Obojeśmy wśród ludzi obcy, oboje przybłądy, gołąbko! I nie martw się, oczu nie wypłakuj. Nie dam ja tobie krzywdy zrobić. Stary jestem, ale sił mi starczy... Póki ja głodu ani biedy nie zaznam, poty i ty, gołąbko, wszystko będziesz miała. Cicho, cicho, panienczko ty

moja, kochanie ty moje, cicho... Gdy ludzie ci dokuczą zanadto, przyjdiesz do mnie, do młyna. Nieładnie tam u mnie i niebogato, ale głodu ni zimna nie zaznasz, ani braku serca... Las tam wielki, łąki szerokie, będziemy zioła zbierali, będziesz mi, gołąbko, pomagała ludzi leczyć... Zły język cię nie tknie, złe słowo nie obrazi... Dobrze nam będzie razem, przybędom... Cicho, gołąbko, cicho...

– Jakiś ty dobry, stryjciu Antoni, jaki dobry. – Marysia z wolna uspokajała się. – Chyba i ojciec rodzony nie może być lepszy... Czym ja sobie na to zasłużyłam?...

– Czym? – Znachor zamyślił się. – A któż to może wiedzieć? A czym ja zasłużyłem, że ot tak tulisz się do mnie, gołąbko moja, że moje stare serce, co już tylko z nawyku, nie z potrzeby biło, rozgrzałaś niczym słońce... Bóg jeden wie, a ja choć nie wiem, dziękuję Mu za to i dziękować nie przestanę do śmierci...

Przed sklepem zatrzymała się bryczka i po chwili wszedł jakiś pan. Kupował papier kolorowy na lampiony, pewno na zbliżające się dożynki. Wybierał długo, targował się i narzekał na wysokie ceny.

Gdy wreszcie wyszedł z paczkami, znachor powiedział:

– A czy pozwolisz, gołąbeczko, że szczerze powiem, co myślę?

– Proszę o to. – Uśmiechnęła się nie bez obawy, że po takim wstępie nie usłyszy rzeczy przyjemnych.

I nie myliła się: znachor zaczął mówić o panu Leszku.

– Przez niego te wszystkie kłopoty i zmartwienia. Co tobie po nim, gołąbeczko?... Nie mówię, żeby był niedobry czy szkodliwy, z oczu mu nawet niezgorzej patrzy, ale to młodzik jeszcze, nie ma swego zastanowienia, pędziwiatr. Nieraz patrzyłem na niego, nie raz i nie dziesięć widziałem, jak tu zachodził i przesiadywał... A i ludzie opowiadali... A że to młody i lekki, to i nie dziw, że go i podejrzewają o niepiękne zamiary. Ja sam, Bóg mi świadkiem, nie

wierzę! Głowę dałbym, że wszystko, co gadają, to psie szczekanie. Ale widzisz, gołąbeczko, po co mają gadać?... Języków nie zwiążesz, oczu ludziom nie zakryjesz. Patrzą i gadają.- A tobie, panienczko, co z tych umizgów? Tylko niebezpieczeństwo. Młoda jesteś, niedoświadczona, łatwo uwierzysz w każde obietnice.

– On mi nigdy nic nie obiecuje – przerwała Marysia, zaróżowiona i zdetonowana.

– Nie obiecuje?... Więc czego chce?... Pamiętaj, że on wielki pan, bogaty, światowy. Co ty dla niego?... Ot, zabawka. A serce przyzwyczai się. Ot i teraz: nie ma go – JUŻ ci ciężko.

– To z innego powodu...

– Może z innego, a może i z tego. – Łagodnie kiwnął głową. – Ożenić się z tobą przecie nie ożeni się. Więc po co?... Marysia spuściła oczy.

– Ja o tym też wcale nie myślałam. Po prostu przyjemnie z nim się rozmawia. On dużo podróżował, dużo widział. Ładnie opowiada...

– To niech opowiada innym. Dlaczegoż cię sobie upatrzył?

– Bo... on mówi, że... mu się podobam.

– Jeszcze byś się nie podobala. Ślepy nie jest.

– Nie sądziłam, że i ty, stryjciu Antoni, będziesz dopatrywał się tu czegoś złego.

Znachor zasłonił się rękami.

– Uchowaj, Boże! Nie złe to, ale niepotrzebne. I tobie u ludzi szkodzi, i zamieszanie z tego wynika, a korzyści dla nikogo nie ma żadnej. Nie mówię ja na niego. Nie. Ale gdyby był całkiem porządny, nie narażałby cię, gołąbko, na obmowę, nie zawracałby ci główki, nie siedziałby tu kamieniem.

– Przecież... przecież nie mogę go wypraszać – próbowała bronić się Marysia.

– I nie trzeba. Chcesz dobrej rady posłuchać, szczerzej rady, to posłuchasz i nie będziesz

wdawać się z nim w gawędy. To i przestanie cię nachodzić. Nie zechcesz, to już na to nic nie poradzę.

Marysia zamyśliła się głęboko. Doskonale rozumiała, że rada znachora jest i życzliwa, i jakże bardzo słuszna. Ostatecznie tak czy owak, wcześniej czy później, jej znajomość z panem Leszkiem musiałaby się skończyć. Albo mu nowy kaprys przyjdzie, albo się ożeni. I koniec. Przeciąganie tego oczywiście do niczego nie doprowadzi. Im dłużej to będzie trwało, tym ciężej jej będzie rozstać się z nim, tym boleśnieszka będzie tęsknota. Oto zaledwie kilka dni go nie było, a już życie stało się męczarnią... Lecz z drugiej strony, czyż nie wolałaby całymi latami rozpaczy zapłacić za parę miesięcy szczęścia widywania go, wpatrywania się w jego oczy, słuchania jego głosu?...

Wspomnienie o najkrótszym szczęściu zostanie w duszy na zawsze, do śmierci. Czyż wolno wyrzekać się tego skarbu? Czyż lepiej zeń zrezygnować ze strachu przed cierpieniem i żyć już tylko jałową, beztreściwą pustką?...

Znachor jest dobry i mądry, ale czy nie myli się w tym wypadku?

- Zastanowię się nad twoją radą, stryjciu Antoni – powiedziała wreszcie poważnym tonem.
- Zastanowię się, choć może to i niepotrzebne, bo on pewno już nie przyjedzie tu więcej.

I rzeczywiście mijały dni, a młodego Czyńskiego nikt nie widział w miasteczku ani w okolicy.

Tymczasem aż wrzało tu od plotek. Surowy postępek starego Moster-dzieja potępiany był przez jednych, chwalony przez drugich. Wszystkie sądy zgadzały się jednak w dwóch punktach: pierwszym było przeświadczenie, że Zenon Wojdyłło źle skończy, drugim przekonanie, że winowajczynią jest Marysia.

Nawet ci, co dawniej serdecznie ją witali, starali się teraz przejść obok udając, że jej nie widzą. Inni natomiast głośno i przy każdej nadarzającej się okazji wypowiadali swe sądy, nie

żałując wyrazów dosadnych. Nie byli to nawet ludzie źli ani zgorzkniali. Po prostu w prostym życiu miasteczkowym przywykli do pewnych obyczajów i cokolwiek by norm tych obyczajów nie trzymało się, godne było w ich oczach napiętnowania. Biedna dziewczyna pracująca, zadająca się z bogatym paniczem, nie mogła liczyć na małżeństwo, a zatem na co liczyła?...

Logika tego rozumowania szczególnie przemawiała do tych, którzy najżarliwiej pochwalali rymarza za wypędzenie synalka próżniaka i awanturnika z rodzicielskiego domu. Jeżeli do tych lat doszedł i człowiekiem się nie stał, to nic już mu nie pomoże. Nie słuchał ojca i matki, niech słucha teraz psiej skóry. Niech idzie w świat i wstydu porządnej rodzinie nie przynosi. Zenon jednak widocznie nie zamierzał odchodzić. Pierwszego wprawdzie dnia zniknął gdzieś, nazajutrz jednak wrócił i zaraz swoim zachowaniem się potwierdził najgorsze domysły i przepowiednie. Upił się w karczmie u Judki do nieprzytomności, przepił wszystkie pieniądze, które mu ojciec dał na wyjazd, a potem do późnej nocy awanturował się po ulicy krzycząc, że podpali ojcowski dom, że wystrzela wszystkich Czyńskich, że głowę rozwali tej lafiryndzie Marysi.

W rezultacie rzucił się na policjanta, obrywając mu kieszeń, a siłą doprowadzony na posterunek, powybił tam okna i połamał meble. Nałożono mu kajdanki i przetrzymano całą dobę w areszcie, a potem spisano protokół, z którego miała być sprawa sądowa i oczywiście ze dwa miesiące kary.

Tymczasem wypuszczony na wolność Zenon znowu znikł z miasteczka, ale opowiadano, że kręci się w okolicy.

Wypadki te nie tylko miasteczkową wstrząsnęły opinią. Dowiedziano się o nich i w Ludwikowie. Pani Czyńska natychmiast posłała chłopca do rymarza i oznajmiła mu, że jakkolwiek uważa karę ojcowską, wymierzoną Zenonowi, za słuszną, jednak pragnąc uratować go przed stoczeniem się w bagno, postanowiła przywrócić dawne zamówienia i ma nadzieję, że

pan Wojdyła synowi przebaczy.

84

Rymarz jednak twardym był człowiekiem. Za zamówienia podziękował, lecz oświadczył, że tego, co raz postanowił, już nie zmieni i że wyrodnego syna na oczy już widzieć nie chce. Przekonać się nie dał.

– Patrz – mówiła później pani Czyńska mężowi. – Patrz, jaki jest stosunek ojca do dzieci, jeżeli ojciec ma zasady i charakter.

Pan Stanisław udał, że tej aluzji nie rozumiał, i bąknął coś pod nosem zagłębiając się w lekturze. Natomiast pani Eleonora doszła do przekonania, że z całej tej sprawy można wyciągnąć korzyści pedagogiczne w stosunku do Leszka, i zabrała się do pisania obszernego listu do jedynaka z dokładną relacją tudzież z wieloma apostrofami dydaktycznymi.

List ten zapewne wpłynąłby umoralniająco na Leszka, gdyby go otrzymał. Niestety jednak, w tymże czasie gdy to arcydzieło matczynych uzdolnień wychowawczych znajdowało się w wagonie pocztowym pociągu pędzącego w stronę Warszawy, adresat przewracał się z boku na bok w wagonie sypialnym pociągu dążącego do Ludwikowa.

Przewracał się i usnąć nie mógł dlatego, że wypełniony był wyrzutami sumienia, które nie dawało się oszukać żadnymi pretekstami ni wykrętami. Oczywiście u wujostwa nudził się jak mops w szufladzie, lecz nudził się nie z przyczyn obiektywnych. Towarzystwo było liczne, miłe i wesołe, rozrywki urozmaicone i nieustanne, kobiety ładne, kuchnia wyborna, pogoda świetna. Powód nudy tkwił w nim samym. Po prostu tęsknił.

Było to głupie i niepoważne, że on, dojrzały człowiek, rozporządzający zdrowym rozsądkiem, tęsknił niczym sztubak za pensjonarką, za tą blondyneczką z małego sklepiku w małym miasteczku, tęsknił mimo najskuteczniejszych autoperswazji, mimo nieodpartej argumentacji, mimo woli i postanowień. Wyjeżdżał przecie z niezłomną decyzją wyplątania się z niedo-

rzecznych sentymentów i z gmatwaniny paskudnych, drobnych spraw, które z tych sentymentów wyrosły. Ledwie jednak podróż rozpoczął, opadły go inne myśli, osaczyły, otoczyły, nie dawały spokoju ni wytchnienia.

Zamiast zniechęcenia przychodziły nastroje żalodne, czułe, rzewne, wyobraźnia podsuwała fantastyczne sceny, w których widział zapłakaną Marysię w ramionach tego samozwańczego rycerza Sobka, to znów lżoną i poniewieraną przez tłum prostaków albo też odjeżdżającą w niewiadomym kierunku... w wytartym paletku, w śmiesznym, prowincjonalnym kapelusiku, z ubożuchnym swoim dobytkiem w zniszczonej małej walizeczce.

Wizja była tak wyraźna, że aż się przeraził. Zerwał się z łóżka, ubrał się, zapakował rzeczy, kazał obudzić szofera i odwieźć się do Warszawy. Wujostwu zostawił list z wyjaśnieniem, że przypomniał sobie niezwykle ważną i terminową sprawę.

W Warszawie do pociągu miał jeszcze dwie godziny czasu. Włócząc się bez celu po Marszałkowskiej, zatrzymał się przed jubilerską wystawą. Mimo woli dostrzegł piękny platynowy pierścionek z markizą z bladoniebieskich szafirów.

– To jest kolor jej oczu – stwierdził z rozczeniem i nie zastanawiając się nad tym, co robi, wszedł do sklepu.

Pierścionek nie był zbyt drogi, jego zakup jednak pochłonął resztę gotówki, jaka pozostała w kieszeni Leszka po nabyciu biletu kolejowego.

Teraz, nie mogąc usnąć, wydobyl z kieszeni płaszcz pudelko i przyglądał się pierścionkowi. Dotychczas nigdy nie zrobił Marysi najmniejszego prezentu. Nawet należało wątpić, czy ona przyjęłaby cokolwiek.

– Przyjęłaby – błysnęła mu w głowie myśl – gdyby to był pierścionek zaręczynowy.

I nagle poczuł, że serce przyspieszyło swoje tętno. Wyciągnął rękę z pierścionkiem i wpatrywał się w błyski kamieni.

– To jest mój pierścionek zaręczynowy – powiedział głośno.

Podniósł głowę i groźnie rozejrzał się po przedziale, jakby w oczekiwaniu czyjegoś sprzeciwu. Lecz przedział był pusty, ściany milczały, tylko firanki kołysały się lekko w takt pędu pociągu.

85

Ogarnął go od razu jakiś błogi, do snu podobny spokój. Teraz już wiedział, teraz już nie było żadnych wątpliwości. Tak, ożeni się z nią. Będzie ją miał dla siebie, przy sobie już na zawsze. Koniec tęsknot, koniec niepokojów, koniec rozterek i cierpień.

Niech nazwą to szaleństwem! Nazwą przecie ci, którzy nie wiedzą, jakim szaleństwem, jak beznadziejnym szaleństwem jest walka z miłością!

I zbrodnią! Bo czyż wolno człowiekowi wydierać sobie z piersi najlepsze, najszlachetniejsze, najpiękniejsze uczucie? Kto wie, może jedyne uczucie, które usprawiedliwia istnienie, które jest kwitnieniem duszy?... Zdeptać, zniszczyć to, wyprzeć się tego?... I w imię jakich racji?... By zyskać uznanie ludzi?... Co za głupota! Dla innych wyrzekać się siebie, wyrzekać się własnej najistotniejszej treści, własnego pragnienia szczęścia!

O, doskonale zdawał sobie sprawę z tych trudności i przeszkód, które spiętrzą się na jego drodze. Nie łudził się ani przez chwilę, iż na małżeństwo uzyska zgodę rodziców. Nie wątpił, że zrobią wszystko, by mu uniemożliwić osiągnięcie celu. Opinia publiczna, wszyscy znajomi i krewni zmobilizują się przeciw Marysi. Musi być przygotowany na zawziętą walkę. Lecz walki tej się nie bał. Przeciwnie. Podniecała go myśl, że stanie sam przeciw wszystkim w obronie swego szczęścia, swego i szczęścia Marysi, że przełamie przeszkody, że wytrzyma ataki, że zwycięży, bo zwyciężyć musi.

W jego umyśle rysował się już plan kampanii. Widział już cały arsenał broni i podstępów, jakich użyją przeciw niemu. Będą to groźby zerwania stosunków, zapowiedź wydziedziczenia

lub nawet rzeczywiste wydziedziczenie, złośliwe żarty i podle oszczerstwa, sceny i awantury, spazmy i omdlenia, prośby i groźby. A zacnie się od zamknięcia kasy. Przy stosunkach rodziców nietrudno im będzie zapobiec znalezieniu przez syna jakiegokolwiek posady.

– To należy wziąć pod uwagę – zastanawiał się.

Nic łatwiejszego, jak stanąć do walki z podniesioną przyłbicą i... przegrać. Lecz tu chodzi nie o samą walkę, chodzi o zwycięstwo. Chodzi o to, by zostać na placu. Wprawdzie mógłby po cichu spieniężyć swe osobiste rzeczy i uciec z Marysią gdzieś na koniec świata. Ona przyzwyczajona jest do biedy, on się przyzwyczai. Jest młody, gdzieś przecie pracę znajdzie. Ale taka ucieczka nie dałaby mu żadnej satysfakcji, umniejszałaby zdobyte szczęście. I dlatego należało ją z góry wykluczyć.

Miał dość zmysłu praktyczności, by donkiszoterię, która często go pociągała, umieć odsunąć na bok, gdy chodziło o rzeczy ważne. Dlatego i teraz postanowił działać ostrożnie, przezornie i w najgłębszej tajemnicy.

Na razie nie chciał zresztą zaprzętać myśli przyszłą strategią. Tak był upojony odkryciem swoich prawdziwych pragnień, tak uszczęśliwiony powzięciem decyzji, że wszystko inne musiało przy tym maleć, kurczyć się, tracić na znaczeniu.

Zjawienie się rozpromienionego i tryskającego humorem Leszka wywołało w Ludwikowie sensację. Po pierwsze, nie spodziewano się go tu wcale, po drugie, zbyt widoczna nastąpiła w nim zmiana. Bez śladu znikło dawne rozdrażnienie, gwałtowność odruchów, obojętność dla spraw domowych i majątkowych, znudzenie.

– Co ci się stało, Leszku? – z uznaniem pytała pani Eleonora.

– Zmieniłem się, mam. Jestem wprost innym człowiekiem.

– Ciekawe, czy ta pomyslna faza długo potrwa.

– O, tak. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Mam wrażenie, że to ostateczna faza mego roz-

woju. Widzicie, dużo przemyślałem i doszedłem do przekonania, że już czas zabrać się do ustabilizowania się, do roboty, do uporządkowania sobie życia i tak dalej.

Pan Czyński aż podniósł oczy znad gazety.

– Czy to ma znaczyć, że wreszcie zamierzasz zająć się fabryką?

– Nie mylisz się, ojcze!

– Wobec tego muszę wysłać depezę dziękczynną do wuja. Czy w ich domu spotkałeś kogoś, kto cię tak odmienił? Było tam, zdaje się, dużo osób.

86

– O tak, bardzo dużo. Po prostu tłok. – Skinął głową i dodał po namyśle: – I w tym tłoku spotkałem... siebie.

– Ach... t jakież odniosłeś wrażenie z tego spotkania?

– Początkowo dość przykre. Usłyszałem wiele krytycznych uwag, nie pozbawionych słuszności. W końcu jednak przekonałem się, że mam do czynienia z człowiekiem, który wie, czego chce. Obaj byliśmy tym bardzo ucieszeni.

Pani Eleonora pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Gratulujemy wam obu, a przy sposobności i sobie.

– Dziękuję, mamó. Na gratulacje zasłużyłem bardziej, niż przypuszczasz – odpowiedział poważnie.

Rozmowa ta odbyła się wieczorem po kolacji i napełniła państwa Czyńskich najróżowszymi nadziejami. Jakież było ich zdziwienie, gdy nazajutrz rano służący, zapytany, czy panicz jeszcze śpi, oświadczył:

– Panicz kazał podać motocykl i pojechał w stronę Radoliszek.

Rozdział XI

Proboszcz, ksiądz Pełka, był już starszym mężczyzną. Sypiał mało i wczesnie się budził.

Pewne zaś niedokładności w systemie trawiennym sprawiały, iż na czczo czuł się fatalnie.

Dlatego też na mszę w dni powszednie dzwoniono już przed siódmą, a o siódmej ksiądz Pełka wychodził do ołtarza.

Marysia, chcąc zdążyć na mszę, musiała wstawać o szóstej i trochę przez to nie dosypiała.

Modlitwa jednak w kościele tyle dawała jej ukojenia, że od szeregu dni nie opuściła ani jednej mszy. Klękała w kącie za amboną i modliła się żarliwie, prosząc Boga, by przebaczył jej grzechy, by zdjął z niej smutki i strapienia, których tyle zważyło się na nią, by zesłał jej pociechę i jeszcze, by dał szczęście człowiekowi, którego pokochała.

Na chórze organy grały te dziwne kościelne melodie, w których nie było ani smutku, ani wesela, tylko jakiś dziwny, wszechwładny spokój rzeczy wiecznych, taki spokój, jaki w gwiaździste noce zdaje się spływać z nieba.

Spokój ten nasycił całe wnętrze kościoła, zastygł w białych posągach apostołów i proroków, rozpląnął się w zatartych konturach na szerniałych obrazach, dźwięczał w dolatujących od ołtarza marmurowych słowach łacińskiej modlitwy i napełniał znękanе dusze pobożnych, które tu właśnie spokoju tego szukały.

Marysia wychodziła z kościoła jakby odurzona tą nieziemską pogodą, uciszona i pogodzona z losem. Nie śmiała przenikać myślą owych wielkich prawd, które objawiały się kiedyś świętem Pańskim w godzinach kontemplacji i zatopienia się w Bogu. Nie potrafiłaby nawet. Jednak jakże wyraźnie odczuwała ten powiew wiekuistości, co ją, małą, biedną dziewczynę, przez wszystkich zapomnianą i nikomu niepotrzebną, napawał ufnością i przeświadczeniem, że gdzieś daleko, w niezmiernych przestworzach ma wielkiego, wszechmocnego opiekuna i sprzymierzeńca, którego dobre oczy patrzą na nią niewidzialne, lecz wszystko widzące.

Wychodziła codziennie pod dziwnym wrażeniem, że oto stanie się coś niebawem, że wszystko się odmieni, że jakieś szczęście niespodziewanie spłynie na nią. A przeświadczenie

to było tak silne, że owego ranka, gdy wracając z kościoła zobaczyła pana Leszka przed sklepem, nawet nie zdziwiła się. Tylko że nie umiała zapanować nad radością.

– Przyjechał pan – powtarzała drżącym głosem – przyjechał... O ile zdolna była do zaobserwowania czegoś w tym stanie podniecenia,

wydał się jej jakiś poważny i skupiony. Zawstydziała się, gdy przy witaniu

87

się pocałował ją w rękę, na ulicy, na ludzkim widoku.

Ledwie znaleźli się wewnątrz, wziął ją za rękę i patrząc w oczy powiedział:

– Nigdy nikogo tak nie kochałem jak ciebie. Nie mogę bez ciebie żyć. Czy zgodzisz się zostać moją żoną?

Pod Marysią ugięły się kolana, a w głowie zawirowało.

– Co pan... co pan... mówi... – wyjąkała.

– Proszę cię, Marysiu, byś zechciała zostać moją żoną.

– Ależ... to niepodobieństwo! – prawie krzyknęła.

– Dlaczego niepodobieństwo?

– Niech się pan zastanowi! – Wyrwała rękę z jego uścisku. – Przecie pan nie mówi tego poważnie! Zmarszczył brwi.

– Czy mi nie wierzysz?

– Nie, nie! Wierzę, ale czy pan pomyślał... Boże! Co by to było! Pańscy rodzice... Ci tutaj, w miasteczku... Zatruliby panu życie, zakrakaliby... Znienawidziliby mnie...

Czyński skinął głową.

– Owszem. Przewidziałem to wszystko. Wiem, że czeka nas wiele, może bardzo wiele przykrości, szykan, afrontów. Ale mając do wyboru albo to, albo wyrzeczenie się ciebie, gotów jestem na wszystko. Z bardzo prostego powodu: kocham cię. A jeżeli ty tego nie rozu-

miesz, to widocznie łudziłem się co do twoich uczuć i ty mnie wcale nie kochasz.

Spojrzała nań z wyrzutem.

– Ja?... Ja pana nie kocham?...

– Maryśku!

Pochwycił ją w ramiona i obsypał pocałunkami. Jego porywczość i siła, z jaką przyciskał ją do siebie, obezwładniły Marysię. Nie chciała się bronić i nie mogła. Była w tej chwili nie-
ludzko szczęśliwa. Przysięgłaby, że od początku świata żadna dziewczyna takiego szczęścia
nie zaznała.

Jeżeli kiedykolwiek w jej rozmyślaniach znalazły się jakieś najdrobniejsze zarzuty przeciw
Leszkowi, teraz nie pozostało po nich śladu. Oczywiście nie wierzyła w to, że ich małżeństwo
dojdzie do skutku. To było nieprawdopodobne. Ale już sam fakt jego decyzji, niewątpliwie
szczerzej, sama jego dobra wola, samo to, że przełamał siebie i uczynił to dla niej, świadczyło
o jego szlachetności, o głębi uczuć, o wyjątkowości natury. Gdyby zapytano ją teraz, czy mo-
że istnieć człowiek bardziej wartościowy od niego, zaprzeczyłaby z czystym sumieniem.
Przełamał się, bo musiał się przełamać w swojej dumie, w przekonaniu, że najbogatsze i
najpiękniejsze panny wzdychają doń, że najlepsze domy pragną go mieć za zięcia, że mało
jest równych mu pod względem urodzenia, majątku, wykształcenia. Tak lubił przecie od nie-
chcienia popisywać się nazwiskami utytułowanych przyjaciół, z takim lekceważeniem, z taką
pogardą mówił o ludziach z miasteczka.

I nagle chce wziąć ją za żonę. Ją, która nawet w tym wyśmiewanym miasteczku jest przy-
błądą, ubogą sierotą, bez rodziny, bez przyjaciół oprócz wiejskiego znachora, bez grosza przy
duszy. Wprawdzie w porównaniu z innymi pannami radoliskimi jest bardziej wykształcona i
może inaczej wychowana dzięki matce. Ale czyż jej wychowanie, wykształcenie i obycie nie
raziłoby w jego środowisku?...

Jej ojciec, którego straciła, gdy miała lat kilka, był podobno lekarzem, jej ojczym, którego jak ojca kochała i nazywała ojcem, był tylko leśniczym, skromnym oficjalistą dworskim, a matka wprawdzie pochodziła ze znanej rodziny, lecz tu w okolicy sama znana była jako biedna nauczycielka muzyki i języków, a później już tylko jako szwaczka.

Czyż tacy ludzie jak państwo Czyńscy, ludzie z takiej sfery, gdzie większą zwraca się uwagę na pochodzenie i rodowody niż u prawdziwej arystokracji, czyż zdołaliby pogodzić się z tym, że ich syn takie zawiera małżeństwo?...

88

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Marysia o tym właśnie zaczęła mówić Leszkowi.

Słuchał jej uważnie, nie przerywał, a gdy skończyła, powiedział:

– I cóż z tego wszystkiego?... Czyż to w czymkolwiek zmienia fakt, że się kochamy?...

– Nie, tego nic zmienić nie może. Będę pana kochała zawsze, pana jedyne, aż do śmierci! – szepnęła cicho.

– Ale widocznie dla ciebie to nie jest takie ważne, by o to walczyć, by znieść różne przykrości i zmartwienia. Potrząsnęła głową.

– O, nie! Nie o mnie mi chodzi! Ja byłabym gotowa na każde poświęcenie, na każde upokorzenie. Ale ty...

– Cóż ja? – zapytał niemal gniewnie.

– Ty... Unieszczęśliwi cię to, zniechęci, złamie... Zerwał się i załamał rękę.

– Maryśka! Maryśka! Jak ci nie wstyd! Obrażasz mnie! Jak możesz tak nie wierzyć w moje siły?...

– To nie to – zaprzeczyła – wierzę w nie! Ale nie mam prawa narażać cię na to wszystko. Nie chcę stać ci się kulą u nogi. I tak już jestem bardzo, bardzo szczęśliwa...

– O, to bardzo ładnie. Jesteś już szczęśliwa. A o mnie mniejsza! Co?... Ja mogę nadal być

nieszczęśliwy, bo tobie ubzdurało się, że możesz stać się jakąś tam kulą u nogi! Wstydzilibyś się! Zęby taka inteligentna i taka rozsądna panna mówiła podobne nonsensy! I w-ogóle kto cię upoważnił do decydowania o moim losie?... Ona nie ma prawa narażać mnie! Ale chyba ja mam prawo?... A ja chcę, ja muszę, i koniec! Czy sądzisz, że jestem takim niedołęgą, że muszę już koniecznie być uzależniony od rodziców? Czy świat nie jest dość wielki, byśmy się mogli na nim pomieścić? Czy myślisz, że w razie wojny z domem, gdy nam już ta wojna obrzydnie, nie będziemy mogli wyjechać gdzie indziej?... Nie obawiaj się! Jeszcze mnie nie znasz dostatecznie. Nie należę do tych, którym można w kaszę dmuchać. Zobaczysz! A zresztą nie ma o czym mówić. Postanowienie zapadło i basta! Uśmiechnął się i znowu przytulił ją do siebie.

– I przynajmniej ty jedna nie utrudniaj mi tej walki, walki o moje i twoje szczęście, o nasze szczęście... Bp doprowadzisz mnie do szaleństwa i palnę sobie w łeb!

– Leszku! Najdroższy mój, najukochańszy. – Kurczowo zaciskała ręce koło jego szyi.

– Zobaczysz, moja Marysieńko, że będziemy najszczęśliwszym małżeństwem na ziemi.

– Tak, tak. – Tuliła się doń. Nie była już zdolna do myślenia, do protestowania, do sprzeciwu. Wierzyła mu, pokonał jej wątpliwości swoim zapałem i wolą.

Leszek wyjął z kieszeni małe pudełeczko, a z niego wydobył pierścionek z szafirami.

– Otóż mój znak ochronny – powiedział wesoło, wkładając pierścionek na jej palec. – Byś pamiętała, żeś jest moją niepodzielną własnością.

– Jaki piękny!

– Te kamyki mają kolor twoich oczu, Marysieńko. Długo przyglądała się pierścionkowi, wreszcie odezwała się ze zdziwieniem i nabożeństwem w głosie:

– To ja jestem... zaręczona?...

– Tak, kochanie, jesteś moją narzeczoną.

– Narzeczoną... – powtórzyła i ze smutkiem dodała: – Ale ja jeszcze żadnego pierścionka dać nie mogę... Nie mam. Ostatni, mamusiny, został sprzedany na... koszty pogrzebu. Też był z szafirami i mama bardzo go kochała, chociaż był tani, o wiele skromniejszy od tego.

W jej oczach zakręciły się łzy.

– Nie myśl o rzeczach smutnych – powiedział. – A mnie i bez zaręczynowego pierścionka nie uda się zapomnieć, że jestem już niewolnikiem, najszcześniejszym niewolnikiem, który wcale nie pragnie wyzwolenia.

– Boże! Boże! – szepnęła. – W głowie mi się kręci. Wszystko przyszło tak nagle... Zaśmiał się.

– Oj, chyba nie nagle. Znamy się przecie od dwóch lat.

– Tak, ale czyż mogłam przypuszczać, że się to w taki sposób skończy!

89

– Kończy się w najlepszy sposób, jaki można wymyślić.

– Wprost nie mogę przekonać siebie, że to nie sen, że to rzeczywistość. I... doprawdy...

boję się...

– Czego boisz się, Marysieńko?

– Ze... czy ja wiem, że wszystko to rozwieje się, zniknie, że coś nas rozdzieli.

Wziął ją za rękę.

– Oczywiście, najdroższy mój skarbie, należy zachować maksimum ostrożności, należy uniemożliwić jakiegokolwiek intrygi i podobne rzeczy. Dlatego musimy zachować ścisłą tajemnicę. Nikt, ale to absolutnie nikt nie powinien dowiedzieć się o naszych zaręczynach. Ułożyłem już sobie pewnen plan. Gdy doprowadzę do urzeczywistnienia tego planu, szast-prast, bierzemy ślub. Klamka zapadnie i chociażby na głowie stawali, już nic nie wskórają. Tylko pamiętaj: milczenie!

Marysia zaśmiała się.

- I tak nie powiedziałabym nikomu. Wyśmieliby, nikt by nie uwierzył. A zresztą czy pan sądzi, panie Leszku, że ja mam komu zwierzać się?... Może jednemu stryjciowi Antoniemu...
- Temu znachorowi z młyna?... Nie, jemu też nic nie mów. Dobrze?
- Obiecuję święcie.

I Marysia obietnicy dotrzymała. Dotrzymała, chociaż jeszcze tego samego dnia wyjawienie prawdy mogło uwolnić ją od wielu przykrości.

Przykrości te zaczęły się od przyjścia do sklepu pani Szkopkowej. Kobięcina, z natury poczciwa, uległa widocznie nastrojowi, jaki opanował Rado-liszki. Zastawszy w sklepie pana Leszka, demonstracyjnie usiadła za ladą dając do zrozumienia, że nie ruszy się stąd prędko. Gdy młody człowiek odjechał, zaczęła gniewnie:

- Upamiętania żadnego nie masz! Rozum się w tobie, dziewczyno, pomieszał! Takiej pociechy od ciebie się doczekałam za moją opiekę i za chleb!
- Boże drogi! – Marysia spojrzała na nią błagalnie. – A cóż ja pani złego zrobiłam?
- Co złego? – wybuchła pani Szkopkowa. – A to złego, że mnie całe miasteczko palcami zacznie wytykać, że pozwalałam na takie rzeczy! Co złego?... A to, że w moim interesie takie sprawy się odbywają!...
- Ależ jakie sprawy?!
- Zgorszenie publiczne! Tak, zgorszenie! Hańba! Na to cię hodowałam? Na to o ciebie dbałam, żeby teraz przez ciebie na mnie psy wieszali?!... Czego ten paniczyk, ten donżuan, ten fircyk tu chce?...

Marysia milczała. Pani Szkopkowa zrobiła pauzę i odpowiedziała na własne pytanie:

- Ja ci powiem, czego on chce! Ja ci powiem! Na twoją cnotę on czatuje! Ot, co! Swoją kurtyzanę chce z ciebie zrobić! A ty, głupia, jeszcze do niego oczy przewracasz i podwabiasz tego ancymonka na własną zgubę, na własne pohańbienie! A wiesz, co cię czeka, jeżeli ule-

gniesz pokusie?... Nędzne życie i ciężka śmierć, a po śmierci wieczne potępienie!... Jak własnego rozumu jeszcze nie masz, to słuchaj mnie, starej! Co ty sobie myślisz, że ja ot tak sobie ozorem trzepię? Dla własnej przyjemności?... Niech psy taką przyjemność mają. Mnie serce się kraje, jakby kto nożem w nie dźgał. Przylatuje do mnie taka jędza Kropidłowska i już na mnie, że czy ja to oczu nie mam, czy ja nie widzę, że ten, jak go tam, motocykiel znowu pod sklepem stoi?... Że cóż to ja tak wydaję swoją wychowankę na rozpustę i obrazę Boską?... To jej mówię: – Moja pani Kropidłowska kochana, nie pani, za przeproszeniem, zadajdany interes, co i jak! Ale jeżeli pani chcesz prawdę wiedzieć, to ciasto, widzisz pani, rośnie, przez makutrę, przez wierzch się przewala, a ja mam do sklepu lecieć?... To ona mi na to: – Patrzaj pani, pani Szkopek szanowna, żeby ci ciasto nie przerosło, bo może ci tymczasem wychowanka przerośnie w wiadomym miejscu!... To jak to posłyszałam, myślałam, że krew mnie zaleje! Że to przez ciebie! Że za moją życzliwość, za moje serce tak mi się wypłacasz... Ze byle łachudra mi w oczy tobą świeci...

90

Na stare lata...

Pani Szkopkowa rozrzewniła się i zachlipała. Marysia wzięła jej rękę i chciała pocałować, lecz kobiecina, widać, była nie na żarty zła, bo wyrwała rękę i zawołała:

– Tu przeprosiny nic nie pomogą!

– Proszę pani, a za cóż ja mam przepraszać? – odważyła się Marysia.

– Za... za co? – Panią Szkopkowa aż zatkało.

– No, tak. Ludzie, czy i taka pani Kropidłowska, w każdej rzeczy dopatrują się czegoś złego. A tu złego nic nie ma. Pani bardzo niesprawiedliwie osądza pana Czyńskiego. On żadnych takich zamiarów nie żywi. To jest bardzo szlachetny i bardzo uczciwy człowiek.

– Z kieszeni nikomu nie wyciągnie – gniewnie przerwała pani Szkopkowa – ale jak o

dziewczynę chodzi, to każdy mężczyzna jednaka świnia.

– Właśnie że wcale nie. Inni może. Nie wiem, ale on nie taki.

– Mleko masz jeszcze pod nosem, ot co! A ja ci mówię: Wypraszaś panicza za drzwi, jeżeli ci dobre imię miłe. Dobre imię i moja opieka – dodała z naciskiem.

– Jakże ja mam go wypraszać? Mam mu powiedzieć, że nie życzę sobie, by on do sklepu przychodził?

– To właśnie.

– On wówczas ma prawo odpowiedzieć mi, że to nie mój sklep, że do sklepu każdy ma wstęp.

– Wstęp, ale nie miejsce na pogawędki.

– Chyba że mu powiem, że to pani sobie nie życzy.

– Możesz i tak mu powiedzieć.

– A co będzie, jeśli się obrazi? Jeśli państwo Czyńscy przestaną u nas kupować, tak jak przestali u Mosterdzieja?

Pani Szkopkowa zachmurzyła się. Tej okoliczności obawiała się sama i argument, chociaż niezbyt szczery, lecz w porę przez Marysię podsunięty, zrobił swoje.

– No – mruknęła. – Tak nie można. Ale co masz mi oczy mydlić. Już ty potrafisz pozbyć się go!

– Niech mnie pani nauczysz jak – upierała się Marysia.

– Więc nauczę cię! – zamknęła dyskusję pani Szkopkowa, postanawiając w duchu udać się po radę do księdza proboszcza.

Tymczasem mijały dni, a nie minął żaden, by młody inżynier nie przyjechał bodaj na pół godzinki do Marysi. Jedno tylko, że siadywał w sklepie krócej niż dawniej, a krócej dlatego,

iż mało teraz miał czasu. Ku zadowoleniu rodziców zabrał się do pracy w fabryce. Kolejno zapoznawał się z księgowością, z administracją, z produkcją, z wydobywaniem surowca i ze sprzedażą. Obliczał, robił notatki, od niechcienia w rozmowie z rodzicami rzucił kilka projektów reorganizacji, zupełnie trafnych i rozsądnych.

Ojciec chwalił go głośno, matka zaś milczała, co u niej było jeszcze wymowniejszą pochwałą. Pewnego popołudnia zapytała:

– Czy masz zamiar udzielić nam, Leszku, w prowadzeniu fabryki systematycznej i stałej pomocy?

– Tak, mam. – Skinął głową. – Ale pod pewnymi warunkami.

– Jakież to są warunki?

– Chcę, mam, ustabilizować się.

– Jak to rozumiesz?

– Zwyczajnie. Chcę mieć ramy swojej pracy, swoje kompetencje, słowem, swoje ściśle określone stanowisko.

Pani Eleonora spojrzała nań nie bez zdziwienia.

– Jesteś naszym synem.

91

– Czuję się szczęśliwy z tego powodu – uklonił się z uśmiechem – ale to nie precyzuje mego stanowiska. Widzi mama, lubię sytuacje wyraźne. Bardzo wyraźne. Pod względem prawnym również. Otóż dotychczas czerpałem z waszej kieszeni tyle, na ile na pewno nie zarobiłem. Obecnie chcę pracować i chcę mieć pensję. Stałą pensję. Nie proponuję wam, byście mi oddali całkowity zarząd. Ale powiedzmy, powierzycie mi kierownictwo produkcji.

– Przecież i obecnie nic ci nie stoi na przeszkodzie w...

– Owszem. Możecie mnie uważać za dziwaka, ale ja nie potrafię, nie chcę, no i... nie będę

pracował inaczej. Wiem doskonale, co mi powiesz, mamó. Powiesz, że jestem waszym spadkobiercą, że wszystko kiedyś będzie moją własnością i że byłoby śmieszne branie posady w przedsiębiorstwie własnych rodziców. Ale widzicie, do szczęścia, spokoju ducha i do zadowolenia z siebie potrzebna mi jest osobista niezależność. Muszę mieć pracę swoją, stanowisko swoje i pieniądze swoje. I to jest mój warunek.

Pan Czyński zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Warunek trochę dziwny, ale ostatecznie nie widzę powodu, by uznać go za niedorzeczność.

– Po co ci to? – krótko zapytała pani Eleonora, patrząc badawczo w oczy synowi.

– Czy nie wystarczy ci, mamó, jeżeli powiem, że to pragnienie samodzielności?

– Samodzielność można bardzo źle zużytkować.

– Zapewne. Ale przecie możecie obwarować się zastrzeżeniami. Na przykład, jeżeli zostanie stwierdzone, że spełniam źle swoje obowiązki, że produkcja jakościowo lub ilościowo spada, że organizacja psuje się, że z mojej winy powstają straty, macie prawo mnie usunąć.

Pan Czyński zaśmiał się.

– Mówisz tak, jakbyśmy mieli zawierać formalną umowę.

– A dlaczegoż by nie? – Leszek udał zdziwienie. – Wyraźne sytuacje ułatwiają stosunki.

Chcę być zwykłym pracownikiem, takim jak pan Gawlicki czy Słupek. Oni mają kontrakty.

Mają w tych kontraktach zastrzeżone pobory, mieszkanie i premie. Nie widzę racji, dla której mielibyście odmawiać mi takiegoż kontraktu.

Zapanowała cisza. Leszek czuł, że za chwilę z ust matki znowu padnie

pytanie: – Po co ci to?... Chrząknął więc i dodał:

– Obowiązkowym i sumiennym pracownikiem potrafię być tylko w tym wypadku, gdy będę wiedział, że zobowiązałem się do tego umową. Inaczej łatwo mi będzie przypomnieć so-

bie, że jestem synem właścicieli i że ostatecznie moje zaniedbania czy próżniactwo łatwo mi oni wybaczą. Powinniście się cieszyć, że dobrowolnie chcę wziąć się w karby.

– Dobrze – odpowiedziała pani Eleonora w zamyśleniu. – Zastanowimy się nad tą sprawą.

– Dziękuję wam. – Leszek wstał, pocałował matkę w rękę, ojca w czoło i wyszedł.

Nadrabiał swobodą i dobrą miną, lecz w duchu drżał na myśl, że matka przejrzy jego zamiary i że kategorycznie odmówi. Dlatego też, by odsunąć wszelkie podejrzenia, zaczął biegać w okolicznych dworach, odwiedzać nawet dalszych sąsiadów, a po powrocie opowiadać nowinki i ploteczki z szczególniejszym uwzględnieniem pochlebnych opisów wyglądu różnych panien. Na rodzicach miało to wywrzeć wrażenie, że stabilizacja, której dla siebie pragnął, łączyła się w jego planach z małżeństwem i że wizyty mają na celu wyszukanie kandydatki na żonę.

Do Radoliszek z Ludwikowa prowadził na zachód bity trakt. Nadłożywszy jednak około dziesięciu kilometrów, można było dostać się do miasteczka jadąc na Bożyszki i Wickuny. Otóż Leszek, posunąwszy przedsięwzięte ostrożności jak najdalej, odtąd tylko tej drogi używał. Wprost do Radoliszek jechał tylko wtedy, gdy swoją bytność w miasteczku mógł usprawiedliwić potrzebą zakupów. I wówczas pędził jak szalony, by urwać sobie dodatkowy kwadrans na dłuższą rozmowę z Marysią.

92

Za względu na swoje studia w fabryce częściej rozporządzał teraz czasem po południu.

Toteż nieraz w sklepie spotykał znachora Kosibę z młyna. Trochę obawiał się tego poważnego brodacza o smutnych oczach i olbrzymich barach. Był pewien, że znachor patrzy nań nieżyczliwie czy nawet groźnie, chociaż Marysia zapewniała, że jest to najlepszy człowiek pod słońcem.

– Może jest odrobinę nieufny w stosunku do ciebie – mówiła. – Ale sam jesteś temu winien. Gdybyś mi pozwolił zwierzyć się mu z naszych zaręczyn, jestem przekonana, że polubiłby cię od razu.

– To już wolę przezorność – uśmiechnął się. – A na objawy jego sympatii gotów jestem poczekać. Niech stracę! Spojrzała nań z wyrzutem.

– Leszku! To nieładnie, że pokpiwasz z najzacniejszego człowieka i z mojego wielkiego przyjaciela.

– Przepraszam cię, kochanie. Ale uważam, wydaje mi się, że nie bardzo to odpowiednia lokata sentymentów dla ciebie. Może ten znachor jest wzorem poczciwości, może nawet umie leczyć, w co nie zanadto wierzę, ale przecie to prosty chłop. Co ci po przyjaźni takiego prostacka?

Potrząsnęła głową.

– Co mi po przyjaźni?... Widzisz, Leszku, ty masz rodziców i nie wiesz, co to jest byś sierotą. Tak nie mieć nikogo, absolutnie nikogo. Wtedy każda ręka, wyciągnięta w naszą stronę, każda, chociażby najgrubszą pokryta skórą choćby najbardziej spracowana, to skarb, wielki skarb. Nieoceniony skarb. Ty tego nie zrozumiesz!

– Ależ rozumiem, Marysieńko, rozumiem. – Leszek zawstydział się. – I niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie wynagrodzę temu poczciwcowi tego, że .tę moją jedyną, moją najdroższą...

Przecież ja go lubię.

Marysia opowiedziała mu, co obiecał jej znachor, gdy bała się, że utraci pracę u pani Szkopkowej.

– Teraz widzisz, jakie on ma serce? – skończyła. Leszek był wzruszony.

– Tak! To wyjątkowa dobroć! Ale i my nie będziemy gorsi. Niech tylko wszystko mi się ułoży, ten człowiek dostanie w Ludwikowie chałupę porządną i dożywocie. Wiedz, że kto ci

kamyk spod nóg usunie, już ma zapewnioną moją wdzięczność. I zaraz przy pierwszym spotkaniu dam mu trochę pieniędzy...

Marycha zaśmiała się.

– To ty go nie znasz. On w ogóle pieniędzy nie przyjmuje. Przecie leczy przeważnie darmo. A poza tym powiedziałeś, że to prosty chłop. Otóż wyobraź Sobie, że ja mam co do tego poważne wątpliwości.

– Niby dlaczego?

– Czy ty wiesz, że on, zdaje się, zna język francuski?

– No, mógł być na emigracji. Dużo chłopów jeździ na roboty do Francji.

– Nie! – zaprzeczyła. – Gdyby tak było, umiałby mówić po francusku. Lecz on czytał, i to wiersze. Tylko nie zdradź się przed nim, na miłość Boską, że wiesz o tym.

– Dlaczego?

– Bo samo wspomnienie tego wywiera na nim takie straszne wrażenie! Jestem pewna, że w jego życiu jest jakaś wielka tajemnica.

– Czyli przypuszczasz, że jest to człowiek inteligentny, ukrywający się w chłopskim przebraniu?

– Nie wiem czy ukrywający się. Przysięgłabym, że człowiek taki jak on nie mógł popełnić nic hańbiącego i zmuszającego do ukrywania się. Ale on jest inteligentny. Zwróć uwagę na wyraz jego oczu, na niektóre ruchy, na sposób mówienia. Może to moje przywidzenie, lecz gdy z nim rozmawiam, odnoszę wrażenie, iż umysłowo on stoi znacznie wyżej ode mnie.

93

– Bywają mądrzy chłopcy – zauważył Leszek i zamyślił się. Po chwili zawołał:

– Mam! To jest bardzo prosty sposób. Zupełnie łatwo możemy wybadać go i stwierdzić,

czy jest inteligentem, czy chłopem. Byle zρέcznie go podejść.

– Leszku! Ale ja za żadne skarby nie chcę...

– Wiem, wiem! Ja też nie mam takich zamiarów. Ani myślę wtrącać się w jego tajemnice, jeżeli je w ogóle ma. Chodzi mi tylko o sprawdzenie. Ręczę, że się nawet nie spostrzeże.

– Wszystko jedno. – Zrobiła niezadowoloną minę. – To nie jest ładne.

– Jak chcesz. Mogę się bez tego obyć – zgodził się Leszek.

Zgodził się jednak tylko pozornie i postanowił sobie przy pierwszej okazji zrobić próbę.

Miał w naturze pasję do rozwiązywania tajemnic. Jeszcze będąc małym chłopcem, zaczytywał się w Karolu Mayu, a później w sensacyjnych opowiadaniach Conan Doylea. Nawet zwykłe rebusy działały nań urzekająco.

Sposób, który przyszedł mu do głowy, istotnie nie był skomplikowany. Należało po prostu w rozmowie ze znachorem użyć takich słów, których prosty chłop znać nie może. Jeżeli zrozumie sens zdania czy pytania, będzie to oczywistym dowodem, że nie jest tym, za kogo się podaje. Wówczas dopiero można się będzie posunąć dalej w badaniu przyczyn...

Jednego z najbliższych dni, jadąc okólną drogą do Radoliszek, spotkał znachora, widocznie wracającego z miasteczka. Zatrzymał motocykl, ukłonił się i wskazując na pęk jakichś ziół, zebranych widocznie w rowach przydrożnych, zapytał:

– A na jaką to chorobę skuteczne, panie Kosiba?

– To dzięgiel. Na serce pomaga – uprzejmie, ale chłodno odpowiedział znachor.

By go usposobić lepiej i skłonić do dłuższej pogawędki, Leszek zażartował:

– A nie wie pan, jakie jest najlepsze lekarstwo na miłość? Znachor podniósł oczy i powiedział dobitnie:

– Na miłość, młody panie, najlepsza jest – uczciwość.

Uchylił czapki i ruszył przed siebie.

Leszek przez chwilę stał nieruchomo, zaskoczony odpowiedzią, której nie oczekiwał, potem domyślił się, o co znachorowi chodziło, i mruknął do siebie:

– Nie można mu odmówić braku „esprit d’apropos”.

Po przyjeździe do miasteczka opowiedział Marysi o spotkaniu i dodał:

– Muszę się przyznać, że speszył mnie trochę, chociaż na taką receptę przecie nie zasłużyłem.

– Ale on o tym nie wie – zauważyła.

– Właśnie. Diabelnie mnie kręciło, by mu wygarnąć prawdę. W ogóle męczy mnie ta tajemnica. Najchętniej roztrąbiłbym wszystkim o naszych zaręczynach. Ale jeszcze nie wolno mi. Nie wolno. Pośpiech mocno pokrzyżowałby moje plany.

Toteż starał się teraz nie tylko w Ludwikowie, lecz nawet w Radolizkach nie zwracać niczyjej uwagi swymi wizytami. Czasami motocykl zostawiał przed karczmą lub na podwórku u Glazera, handlarza koni, a do sklepu przychodził piechotą. Zawsze nie tak rzucało się to w oczy.

Widocznie i do Ludwikowa nie docierały nowe plotki, gdyż rodzice nie wspominali o nich, przeciwnie, przyglądali się życzliwie pracy syna w fabryce. Do decydującej rozmowy nie wracali, nie zaczynał jej też Leszek w obawie, że w jego niecierpliwości gotowi dopatrzeć się szczególniejszych pobudek.

Pewnego piątku spotkał się znowu ze znachorem Kosiba. Tym razem w sklepie. Stary rozmawiał z Marysią i gdy Leszek wchodził, na jego brodatej, wielkiej twarzy zostały jeszcze resztki uśmiechu. Widocznie był dobrze usposobiony i Leszek postanowił skorzystać z tej sposobności, by przeprowadzić swój zamierzony eksperyment. Przywitał się z niefrasobliwą życzliwością i od niechcienia zapytał:

– Pan z Królestwa pochodzi i nie tęskno panu za swoimi stronami?

– Nikogo tam nie zostawiłem, to i nie tęskno.

– To dziwne. Ja jestem jeszcze zbyt młody i nie mam doświadczenia, ale od starszych sły-
szałem, że na obczyźnie męczyła ich nostalgia. Pan jej nie odczuwa?

– Czego? – Znachor zamrugął powiekami.

– Nostalgii – swobodnie powtórzył Leszek.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Toż ta sama ziemia, nie obczyzna. Leszek nie był jeszcze pe-
wien i zauważył:

– No tak, ale ludzie inni, inne obyczaje. Zawsze to niełatwo zaaklimatyzować się.

Znachor wzruszył ramionami.

– Wędrowałem po całym państwie. Wszędzie mi dom i nigdzie. I to nie zadowoliło Lesz-
ka. Znachor mógł sensu nieznanego słowa domyślić się z całego zdania. Należało pytanie
zbudować precyzyjniej.

– I tu ludzie dla pana życzliwi – powiedział. – Nieraz to słyzałem. Ma pan dużą frekwen-
cję? Kosiba kiwnął głową.

– Owszem. Najwięcej wiosną i zimą. Latem mniej chorują. Leszkowi mocniej zabiło ser-
ce. Teraz był już prawie pewien, że domysły Marysi były słuszne. Dorzucił jeszcze:

– Zebrałby pan majątek, gdyby nie to, że pan ma widocznie aspiracje filantropa.

Znachor albo nie spostrzegł się, że jest egzaminowany, albo było mu obojętne, że zasta-
wiają nań pułapkę, gdyż uśmiechnął się dobrodusznie.

– To nie filantropia – powiedział. – Ot, po prostu zależy mi na poma-
ganiu cierpiącym, a na majątku... nic nie zależy. Panu, jako bogatemu, trudno
to będzie zrozumieć.

– A dlaczego?

– Bo bogactwo otumania. Zdobywa się bogactwo po to, by czemuś służyło, by w czym i pomogło. Gdy się je jednak już zdobędzie, ono zagłusza wszystko i każe człowiekowi, by jemu, bogactwu, służył.

– Czyli z roli środka przechodzi do rangi celu?

– Ano tak.

– Wychodząc z tego założenia, niebezpiecznie jest posiadać cokolwiek w ogóle, bo człowiek może stać się niewolnikiem swojej własności?

– A pewnie – przytaknął łagodnie znachor. – Ale niebezpieczeństwo będzie tylko wtedy, kiedy człowiek tego nie rozumie, kiedy zapamięta się.

Marysia w milczeniu przysłuchiwała się tej rozmowie i odgadła, że Leszek rozpoczął ją w celu sprawdzenia swoich podejrzeń. Teraz nie wątpiła już, że miała słuszość. Znachor Antoni Kosiba na pewno nie był prostym chłopem. Musiał w swoim czasie otrzymać wykształcenie lub też obracać się w środowisku ludzi wykształconych. Do takiego samego wniosku doszedł Leszek.

Po wyjściu znachora powiedział:

– Wiesz, że to zastanawiające! Ten człowiek myśli o zagadnieniach abstrakcyjnych, umie rozumować logicznie i doskonale zna znaczenie takich wyrazów, których prostacy nigdy nie używają. Dam głowę, że kryje się w tym rzeczywiście jakaś tajemnica. :

– A widzisz!

– Nie o to jednak chodzi mi w tej chwili – ciągnął Leszek – najbardziej zdumiewa mnie inna strona tej kwestii. Otóż ten człowiek niewątpliwie obdarzony jest dużą inteligencją. Przypuśćmy, że dla jakichś nie znanych nam przyczyn postanowił udawać zwyczajnego chłopca. Musiało mu na tym zależeć, skoro konsekwentnie żyje jak chłop, pra-

kuje jak chłop, ubiera się i nawet wyraża się jak chłop. I nagle daje się wciągnąć w przygodną rozmowę, w której pozwala mi zdemaskować swoje wykształcenie!... To właśnie jest zupełnie niezrozumiałe! Jak to? Zrobił tyle, by uchodzić za prostaka, zrobił wszystko, a daje się wcią-

95

gnąć w taką widoczną zasadzkę! To nie trzyma się kupy. Wygląda tak, jakby mu nie zależało na dalszej maskaradzie. Do licha!

Pasjonuje mnie ta zagadka.

Marysia wzięła go za rękę.

– A widzisz, jakiś niedobry. Obiecałeś mi przecie, że nie będziesz się tym zajmował. Nie przebaczyłabym ci nigdy, gdyby z twojej, a pośrednio z mojej przyczyny stryjcia Antoniego mogły spotkać jakiegokolwiek przykrości.

– Bądź spokojna, kochanie. Do tego w żadnym razie nie dojdzie. Jeżeli nawet coś wykryję, będzie to naszą tajemnicą. Zresztą czyż mamy teraz czas zajmować się sprawami innych?...

Kochanie! A jakże z tym pamiętnikiem?

Przyrzekła mu przynieść swój pamiętnik, zaniedbany już wprawdzie od trzech lat, lecz stanowiący niemal codzienne kroniki jej życia, jeszcze od dzieciństwa.

Podawała mu gruby tom w płóciennym oprawie.

– Chcę, byś to przeczytał – powiedziała, rumieniąc się. – Ale proszę cię! Nie śmieć się ze mnie. Byłam kiedyś bardzo głupiutka, a... nie wiem, czy z biegiem lat udało mi się zmądrzeć.

– Jesteś najmądrzejszą dziewczyną, jaką widziałem – zapewnił ją z wesołym patosem. –

Najlepszy dowód, żeś się poznała na mnie.

– Jeżeli to ma być miarą mądrości – zaśmiała się – to ty źle sobie wystawiasz świadectwo, żeś wybrał takie małe nic jak ja.

– To małe nic jest dla mnie wszystkim.

Tegoż wieczoru, ułożywszy się do snu, Leszek otworzył pamiętnik na stronie pierwszej i zaczął czytać:

– „Nazywam się Maria Jolanta Wilczurówna. Mam lat dziesięć. Mój pierwszy tatuś nie żyje, a z drugim tatusiem i mamusią mieszkamy w naszej kochanej leśniczówce, w samym środku olbrzymiej Puszczy Odrynieckiej...”

Niewprawne, krzywe literki splatały się w słowa zwyczajne, słowa proste, słowa bezprezjonalne, wyciągały się w faliste linijki, pokrywały stronicę za stronicą.

Mimo woli uśmiechały się usta i wilgotniały oczy przy wczytywaniu się w te kartki, w te drogie, najdroższe na świecie kartki, które dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku pozwalały mu patrzeć na jej malutkie, lecz jakże ważne radości, na dziecinne, lecz wzruszające zmartwienia, na tę jasną duszyczkę, tak czystą, tak czułą, tak wrażliwą, te kartki, które pozwalały mu towarzyszyć jej dzieciństwu, jej latom dziewczęcym, wżyć się w nie i jeszcze mocniej zapragnąć, by nic go już z nią nie rozdzieliło.

Rozdział XII

Pierwsze czerwone liście klonów zaczęły opadać z drzew. Jesień była wczesna jeszcze, ciepła, cicha, słoneczna. W dni powszednie pługi wychodziły w pole i traktem ciągnęły furmanki obciążone ciężkimi workami, ale w niedzielę pusto było wszędzie. Tylko świerszcze ćwierkały, tylko ptak jakiś poderwał się czasem nad rzyskami spokojnym, niespłoszonym lotem lub ociężałym kłusem przebiegł spasiony zając.

W tę ciszę ostrym stentorowym warkotem wdzierał się głos motoru. Motocykl minął dojazd do młyna i skręcił z traktu w boczną drogę między zaroślami. Młody Czyński jeździł szybko, lecz był doskonałym kierowcą i Marysia, która trochę bała się podczas pierwszych wycieczek, teraz już czuła się na tylnym siodełku zupełnie bezpieczna. Tylko na ostrzejszych skrętach instynktownie mocniej trzymała towarzysza.

Droga prowadziła do wickuńskiego lasu. Jeździli tu każdej niedzieli. Zwykle po obiedzie Marysia wychodziła na trakt za miasteczko i tu spotykali się z dala od ludzkich oczu. Rzadko spotykali tu kogokolwiek, a i w takich wypadkach Marysia mogła nie obawiać się, że zostanie poznana. Zielony kombinezon, szlem i okulary zmieniały ją do niepoznania. Do lasu było coś około sześciu kilometrów i tam spędzali czas do wieczora, a wieczorem Leszek odwoził Marysię znowu do Radoliszek, a sam okrężną drogą wracał do Ludwikowa.

Zachowanie najdalej posuniętych ostrożności było konieczne, gdyż złe języki nie zostałyby na Marysi suchej nitki, gdyby się rozeszło, że we dwójkę z młodym inżynierem jeździ do lasu.

Tej jednak niedzieli Leszek, pomagając Marysi zapiąć kombinezon, powiedział:

– To już ostatnia nasza konspiracja. W jego tonie było coś zastanawiającego.

– Dlaczego ostatnia? – zapytała Marysia.

– Bo jutro ogłosimy wszystkim, że jesteśmy zaręczeni. Marysia znieruchomiała.

– Co ty mówisz, Leszku! – szepnęła.

Ogarnął ją nagły przestрах przed tym, co miało nastąpić. Oczywiście wierzyła narzeczonemu. Wierzyła bezgranicznie. Ale przecież gdzieś w głębi, w podświadomości żyło w niej jakieś spokojne i smutne zwątpienie. Woląла nie zastanawiać się nad przyszłością. Terazniejszość była tak piękna, że zdawało się, iż cokolwiek by przyszło, musiało być gorsze.

– No, siadaj, kochanie – przynagłał Leszek – musimy mieć dziś dużo czasu na uplanowanie wszystkiego.

W milczeniu usadowiła się na siodełku. Pęd powietrza zawsze ją trochę oszałamiał, ale dziś czuła się prawie nieprzytomna. Nie przypuszczała, by mogło to nastąpić tak prędko, nie wiedziała zresztą, od czego ujawnienie ich narzeczeństwa było uzależnione. Nie wiedziała i

nie umiała się dowiedzieć, gdyż Leszek po gruntownym rozważeniu sprawy postanowił zataić przed nią swoje posunięcia.

Właśnie wczoraj zakończył je i miał teraz w kieszeni najformalniejszy kontrakt. Dokument ten zawierał trzyletnią umowę między rodzicami i synem. Na mocy kontraktu młody Czyński obejmował stanowisko kierownika produkcji w fabryce z niezbyt wprawdzie wysoką, lecz zupełnie wystarczającą pensją.

Wycyganienie od rodziców takiej umowy nie było zbyt ładnym chwytem. Musiał użyć tego podstęp, lecz właśnie dlatego, że nie był to podstęp chwalebny, wolał zamilczeć o nim wobec Marysi. Obawiał się, i zapewne nie bez słuszności, że dziewczyna gotowa byłaby oprzeć się i nie chce skorzystać z wygód zdobytych w taki sposób.

Osobiście Leszek nie zachwycał się swoją machinacją, lecz nie żywił też specjalnych skrupułów. Ostatecznie była to walka o byt, walka o szczęście własne i szczęście kochanej dziewczyny. Musiał zdobyć potrzebne atuty i zdobył je. Musiał wytrącić rodzicom z rąk środki represyjne i wytrącił je.

W poniedziałek – ułożył już to sobie – oświadczy im, że postanowił nieodwołalnie ożenić się z Marysią. Wówczas oczywiście zrozumieją, dlaczego upierał się przy kontrakcie.

– Tak – powie im – to prawda. Przewidywałem, że zechcecie utrudnić mi małżeństwo, przewidywałem, że przekładając swoje przesady kastowe nad szczęście swego syna będziecie starali się zmusić mnie do zmiany postanowienia i że nie cofniecie się przed użyciem wszelkich środków. Nie widzę wobec tego racji, dla której ja musiałbym z góry wyrzekać się środków obrony. Zresztą nie popełniłem żadnego nadużycia. Będziecie musieli płacić mi przez trzy lata pensję, ale przecie nie za darmo. Otrzymacie w zamian rzetelną i sumienną pracę. A teraz macie do wyboru: albo pogodzicie się z sytuacją, poznacie moją przyszłą żonę i przyjmiecie ją jako nowego członka rodziny, albo wykreślicie i mnie z rodziny.

Och, wiedział doskonale, że rodzice od razu nie ulegną. Wiedział, że posypią się prośby i groźby, że będą łzy i obrazy, że może rzeczywiście dojść do zerwania stosunków i do jawnej wojny. Lecz na to nie było już rady.

97

W głębi duszy jednak miał nadzieję, że uda mu się wreszcie uzyskać ich zgodę. Byle ze-
chcieli poznać Marysię. Był przekonany, że jej wdzięk, jej inteligencja, jej dobroć i te
wszystkie zalety, jakich nie spotykał u tylu innych panien, przemówią najlepiej do przekona-
nia rodziców.

W każdym razie przygotowany był na wszystko i w zależności od tego, jak przyjmą rodzi-
ce jego jutrzejsze oświadczenie, układał dalszy plan działania.

Tak czy owak, Marysia zaraz od jutra musiała porzucić pracę w sklepie. Jeżeli rodzice po-
godzą się z wolą syna, przeniosłaby się natychmiast do Ludwikowa. Jeżeli nie, musiałaby do
czasu ślubu wyjechać do Wilna. Leszek i tam przygotował wszystko. Zamieszkałaby na ten
miesiąc u Wacków Korczyńskich. Wacek był szkolnym kolegą Leszka, a pani Korczyńska
najserdeczniej zaopiekowałaby się narzeczoną Leszka, którego bardzo lubiła.

Pozostawało omówienie z Marysią spraw dotyczących jej wyjazdu i rozstania się z dotych-
czasową opiekunką. Bądź co bądź nie była jeszcze pełnoletnia i taka Szkopkowa, choć Leszek
tego poważnie nie brał w rachubę, mogła robić jakieś trudności. Poza tym w razie wyjazdu do
Wilna wyłaniała się jeszcze drażliwa kwestia pieniężna. Nie wiedział, czy Marysia, która na
pewno własnych pieniędzy nie ma, zgodzi się przyjąć potrzebną kwotę od niego. Nie byłaby
to zresztą wielka suma. Pani Korczyńska zajęłaby się w Wilnie uzupełnieniem Marysinej gar-
deroby sama. Obliczyliby się później, a na szczęście Wackowi, który jest świetnie zarabiają-
cym adwokatem, te drobne wydatki nie zrobią żadnej różnicy.

O tym wszystkim rozmyślał Leszek podczas drogi. Marysia, siedząc za nim, również po-

grążona była w swoich myślach. Droga była, jak zwykle w niedzielę, pusta. Dopiero koło mostku spotkali chłopską furmankę ciągnioną przez małego konika. Koń przestraszył się maszyny i rzucił się na bok. Woźnica chyba był pijany, bo zamiast ściągnąć w porę lejce, wyskoczył do rowu. Jego pasażer wysypał się za nim. Tumany kurzu zakryły ten obraz, który podziwiali zresztą zaledwie sekundę. Leszek nie zatrzymał się i tylko Marysi przez chwilę się zdawało, że pasażerem furmanki był ktoś znajomy.

I nie myliła się: pasażerem był Zenon Wojdyło. Gdy motocykl zniknął w obłokach kurzu na zakręcie, Zenon wygramolił się z rowu i wygrażając pięścią, wybełkotał kilka soczystych przekleństw, tym soczystszych, że rzeczywiście był pijany.

Ani Marysia jednak, ani Leszek już tego nie słyszeli. Droga rozszerzała się właśnie i wpadała w stary, wysokopienny las.

Dojechali do niewielkiej polanki i tu rozłożyli się swoim małym obozem. Nieskomplikowana ucza składała się z owoców i z paru tabliczek czekolady. Zostawili to wszystko przy ukrytym w krzakach motocyklu i wzięwszy się za ręce, poszli nad brzeg wąwozu. Zawsze tu siadywali. Wąwóz był głęboki, o stromych zboczach, na dnie płynął wąziutki, czarny strumyczek. Nieraz, siedząc tu cichutko, widzieli sarny przychodzące do wody. Dziś jednak rozmawiali, a ich głosy, odbijając się echem w parowie, musiały wystraszyć sarny.

– Kochanie moje – mówił Leszek – skończyły się już nasze przykrości. Za miesiąc bierzemy ślub. Wyobrażam sobie minę poczciwego proboszcza, gdy zjawimy się, by dać na zapowiedzi! No, jego minę i innych! Będzie sensacja!

Zatarł ręce i zdziwił się spojrzawszy na Marysię:

– Jesteś czymś zmartwiona?

– Bo widzisz – westchnęła – dla mnie to wszystko nie będzie rzeczą przyjemną. Łatwo możesz sobie wyobrazić, co ludzie powiedzą.

– Cóż mogą powiedzieć?

– Ano że wychodzę za ciebie dla kariery... dla pieniędzy, dla stanowiska, że robię dobry interes, że udało mi się złapać takiego męża... Leszek poczerwieniał.

– To są głupstwa! Jak możesz coś podobnego przypuszczać?

– Sam wiesz doskonale, że tak będą mówić.

98

– Więc im odpowiem – wybuchnął – że są bałwanami. Własną nędzną miarką chcą mierzyć wszystko. Ale wara od ciebie! Wara! Nie bój się, potrafię obronić swoją żonę. Przed samym diabłem! Jeżeli w ogóle takie brzydkie słowo jak interes może tu wchodzić w grę, to tylko ja robię dobry interes żeniąc się z tobą. Tak, tylko ja, bo bez ciebie nie mógłbym żyć. I nie chciałbym. A ty wyszłabyś za mnie, choćbym grosza nie miał, nazywał się Pipcikowski i był zwykłym robotnikiem. Gotów jestem na to przysiąc!

Marysia przytuliła się doń.

– I nie popełniłbyś krzywoprzysięstwa. Na pewno wolałabym, byś był biedny.

– Ależ ja jestem, kochanie, biedny. Nie mam nic. Wszystko należy do moich rodziców i zależne jest od ich fantazji. Ja mam tylko posiadłość w Ludwikowie. Pensję i niewielki apartament. To wszystko. Więc widzisz, że nie robisz żadnej kariery. Największym moim skarbem będziesz ty... Skarbem, którego nikomu nie oddam...

Wpatrywał się z zachwytem w jej pochyloną głowę, w złotawe błyski słońca na gładko przyczesanych włosach, w subtelny profil.

– Nawet nie wiesz – mówił – jaka ty jesteś piękna. Przecie widziałem tysiące kobiet. Tysiące. Widziałem te renomowane piękności, za którymi-świat szaleje, różne gwiazdy filmowe i inne. Żadna z nich nie mogłaby równać się z tobą. A już na pewno żadna nie ma takiego wdzięku. Ty nie wiesz, że każdy twój ruch, każdy uśmiech, każde spojrzenie to dzieło sztuki.

W tych parszywych Radolizkach też umieli poznać się na tobie! Ale zobaczysz, kiedy wprowadzę cię w wielki świat! Wszyscy głowy potracą! Mówię ci! Najsławniejsi malarze będą dobijać się o portretowanie ciebie. Pisma ilustrowane będą podawać twoje fotografie...

– O Boże! – zaśmiała się. – Jak ty strasznie przesadzasz!

– Nic nie przesadzam! Zobaczysz sama. A ja będę chodził dumny jak król. Wiem, że to próżność, ale bodaj każdy mężczyzna ma tę wadę. Cieszy go i napełnia pychą to, że ma kobietę, której mu wszyscy zazdroszczą.

Marysia potrząsnęła głową.

– Jeżeli nawet znaleźliby się tacy, co dopatryliby się we mnie jakiejś urody, to i tak do zazdrości byłoby jeszcze mało. Strach znów ogarnia na myśl, jak ja będę kompromitowała się swoim brakiem form towarzyskich, swoim nieobyciem i głupotą.

– Maryśka!

– No tak. Myślisz, że twoi znajomi zapomną mi to, że byłam panienką sklepową u pani Szkopkowej? Będę cały czas jak na cenzurowanym. Bo i rzeczywiście jestem zwykłym kopcuszkim, prowincjonalną gąską. Nie potrafię wśród twoich ruszać się, nie potrafię z nimi mówić. Przecie moje wykształcenie jest prawie żadne. Wprawdzie mamusia miała zamiar przygotować mnie do matury, ale jak wiesz, matury nie mam. Żenisz się z – prostaczką.

W jej głosie brzmiał smutek. Leszek łagodnie wziął ją za rękę i zapytał:

– Powiedz, Marysieńko, czy uważasz mnie za bezkrytycznego i naiwnego głupca?

– Ale cóż znowu! – zaprotestowała.

– Czy sądzisz, że swoimi wymaganiami i poziomem kryteriów stoję znacznie niżej od moich krewnych i znajomych?... Bo z tego, co mówisz, może tak wyglądać. Ja, ostateczny głupiec, biorę cię za żonę, dopatrując się w tobie zalet, których nie masz, a dopiero oni obejrzawszy cię odkryją, że się myliłem.

– Nie, Leszku – zaprzeczyła pojednawczo. – Ty patrzysz na moje braki pobłażliwie, bo mnie kochasz.

– Więc i oni cię pokochają.

– Daj to, Boże.

– A twoje braki są w ogóle urojeniem. Życzyłbym wszystkim pannom, by wyglądały tak rasowo jak ty, by miały tyle wrodzonej inteligencji i tyle delikatności uczuć. Jeżeli zaś chodzi o obycie, o kulturę towarzyską, jestem przekonany, że przyswoisz ją sobie bez najmniejszego

99

trudu, kształcić się zaś będziesz mogła, ile ci się podoba. Byle nie za wiele, bo nie chciałbym mieć żony o wiele mądrzejszej ode mnie.

– Tego nie obawiaj się – zaśmiała się.

– A właśnie tego boję się najbardziej. – Zrobił poważną minę. – Czy ty wiesz, kiedy przekonałem się, że moja Marysieńka jest mądraskiem?

– Nie wiem.

– Wtedy gdy o wszystkich miasteczkowych awanturach nie powiedziała mi ani słowa.

Przecie mogłem podejrzewać, że ów Sobek, który stanął w twojej obronie, miał do tego jakieś prawa. Ale ty pomyślałaś słusznie: Nie będę się przed Leszkiem tłumaczyć, bo jeżeli zdobył się na takie ohydne podejrzenia, to niewart jest nawet wyjaśnień.

Marysia nie przypominała sobie, by wówczas tak rozumowała, lecz nie zaprzeczyła.

– Nie chciałam tylko wciągać cię w te przykre sprawy – powiedziała.

– To znowuż źle. Kogóż masz mieć za obrońcę, jeżeli nie mnie? Zamyślił się i dodał:

– Swoją drogą muszę jednak któregoś dnia wstąpić na pocztę i uścisnąć rękę temu Sobkowi. To bezczelność wprawdzie, że ośmiela się on cię kochać, ale postąpił jak uczciwy mężczyzna.

Słońce zniżyło się już znacznie. Zwykle o tej porze zabierali się do powrotu, dziś jednak mieli jeszcze wiele rzeczy do omówienia. Ułożyli, że Marysia nazajutrz zakomunikuje pani Szkopkowej o swoich zaręczynach i o tym, że już dłużej nie będzie u niej pracować w sklepie.

– Powiedz też jej – zaproponował Leszek – że jeżeli uważa się za poszkodowaną, zwrócisz jej koszty, jakie sobie policzy.

– Ty jej nie znasz – odpowiedziała Marysia. – Nie policzy żadnych kosztów, bo przecie wyrównałam je swoją, pracą. Obraziłaby się śmiertelnie na samą wzmiankę o tym. To bardzo zacna kobieta. Boję się czegoś innego: że nie uwierzy w te zaręczyny.

– Więc przecie przyjadę, przypuszczam, około południa i usłyszy to ode mnie. W każdym razie miej rzeczy spakowane.

– Leszku, kochany mój, czym ja sobie zasłużyłam, że jestem taka szczęśliwa!

Objął ją i z największą serdecznością przytulił. Napełniało go niewymowną radością to, że dla tej dziewczyny, dla tej cudownej dziewczyny nie mającej na świecie nikogo bliskiego jest wszystkim i będzie wszystkim. I dziwił się samemu sobie jednocześnie. Tyle przecie razy trzymał w ramionach różne kobiety i nigdy nie czuł nic poza pożądaniem. Dlaczego w stosunku do tej jedynej, której niewątpliwie pragnął bardziej niż czegokolwiek na kuli ziemskiej, nawet pożądanie było w nim inne, przesycone niezmienną miłością i niemal religijnym pietyzmem. Kiedyś podczas pierwszych miesięcy znajomości z Marysią i na nią patrzył tak jak na wszystkie. Gdyby wówczas znalazła się tak sam na sam z nim... Nic nie zatrzymałoby go za pewne przed popełnieniem okropnego błędu.

– Dzięki Bogu, że tak się nie stało – myślał.

Chodzili jeszcze długo po lesie i już było prawie ciemno, gdy zdecydowali się wracać.

Przez kawałek lasu, gdzie było sporo wykrotów i korzeni, jechali wolniutko. Zresztą nie było żadnej obawy. Leszek znał drogę jak swoją kieszeń, znał na niej każdą koleinę, każdy ka-

nień, każdy zakręt. Trafiłby do traktu bodaj po ciemku, a przy świetle mocnego reflektora mogli bezpiecznie jechać dobrym gazem.

Tak przynajmniej myśleli.

W tejże chwili, gdy motocykl wypadł z lasu, a jego donośny garg napełnił hałasem śpiącą równinę aż do traktu, na jednym z zakrętów bocznej drogi ukazał się cień mężczyzny.

Zenon eks-kleryk długo tu czekał. Przespał w rowie kilka godzin i bał się nawet, czy podczas jego snu motocykl nie przemknął z powrotem do traktu. Na szczęście niepokój ten okazał się bezpodstawny. Od boru wickuńskiego zbliżał się warkot maszyny, czasami z wyższych punktów drogi daleko po ciemnych zaroślach łysnął promień jaskrawej zieleni pod dotknięciem reflektora.

100

– Teraz mi się nie wymkną – mruknął Zenon.

Od tygodnia pił na umór. Wyprosił od ciotki w Święcianach kilkadziesiąt złotych i wracając do Radoliszek, czasem pieszo, czasem nadarządzając się furmanką, nie ominął żadnej karczmy, żadnego szynku. Wracał, by jeszcze raz prosić ojca o przebaczenie, nie wierzył jednak, że je uzyska, i z rozpaczki doprowadzał się wódką do zupełnej nieprzytomności. Gdy po południu spotkał na drodze motocykl Czyńskiego i poznał ich dwoje, ich, sprawców jego wypędzenia z domu, w pijanej głowie z całą siłą odezwała się nienawiść i pragnienie zemsty.

– Teraz mi zapłacą za moją krzywdę – powtarzał sobie.

Wiedział, że tędy muszą wracać, że innego objazdu nie ma. Usiadł w rowie za zakrętem i czatował. Huczało mu jeszcze w głowie i zataczał się, lecz teraz, gdy usłyszał nadjeżdżający motocykl, przystąpił do działania szybko i planowo. Wykalkulował wszystko dokładnie. Tuż za tym zakrętem droga wznosiła się dość stromo i Czyński będzie musiał dodać gazu, a zrobi to tym śmieiej, że zakręt jest dość łagodny.

Gdy tuż za zakrętem zobaczy nieprzewidzianą przeszkodę, za późno już będzie na hamowanie i nie będzie sposobu uniknięcia katastrofy.

Materiał na przeszkodę Zenon przygotował zawczasu. Były to dwa dość grube nadpróchniałe kłocce znalezione w zaroślach i kupa kamieni, których nie brakowało w rowach.

Teraz bez straty czasu wywindował to na drogę i ułożył systematycznie w poprzek. Przejazd był zatarasowany zupełnie, o wyminięciu przeszkody nie mogło być mowy. Po obu stronach wąskiej drogi były głębokie rowy, a ich brzegi zewnętrzne znacznie wystawały ponad poziom wewnętrznych. Porośnięte zresztą były gęstymi zaroślami tworzącymi jakby dwie ściany na obu stronach.

Nie było jeszcze zbyt ciemno i Zenon z ponurym zadowoleniem jeszcze raz obejrzał swoją robotę. Już chciał ruszyć w stronę traktu, gdy przyszło mu na myśl, że ukrywszy się w zaroślach obok barykady może bez obawy przyjrzeć się efektowi swej zemsty.

– Przynajmniej zobaczę, jak skręca kark. – Uśmiechnął się. Ześliznął się kilka razy po stromym zboczu rowu, lecz wreszcie wdrapał się na górę, rozsunał gałęzie krzaków i ułożył się wygodnie pod nimi. Punkt obserwacyjny był wybrany doskonale. Pozostawało leżeć spokojnie i czekać, a gdy się rozbiją, wyjść na trakt i ruszyć do miasteczka. Nikt nie będzie mógł udowodnić mu, że to on ułożył przeszkodę, nikt go tu nie widział, a ten chłop, z którym od wiekuńskiej karczmy jechał, pojechał przecie w kierunku Oszmiany. Zresztą nie wiedział nawet, kogo woził. A tych tu znaleźć mogą dopiero rankiem. W nocy tą drogą nikt nie jeździ, nie to co traktem, którym idą furmanki na ranny pociąg na stację lub też po cegłę do Ludwikowa.

– Oczywiście mogą powstać podejrzenia – myślał Zenon. – Nieraz odgrażałem się. Ale dowodów przeciw mnie nie znajdą żadnych. A za swoją krzywdę odpłacę... I jeszcze będę miał widowisko... Takie nie co dzień się zdarza!...

Mijały minuty, które zdawały się mu godzinami. Warkot motoru zbliżał się, stawał się co-

raz głośniejszy. Już nie więcej jak pół kilometra dzieliło ich od nieuniknionej katastrofy.

– Chyba że go jakieś лихо ostrzeże – przemknęło Zenonowi przez głowę.

Ale Czyńskiego nic nie ostrzegło. Przeciwnie, skonstatował, że robi się dość zimno i że Marysia może się zaziębić. Ponieważ zaś za mostkiem droga była znacznie lepsza, porządnie dodał gazu.

Snop jaskrawego, białego światła wbijał się przed nimi w ciemność, rozsuwał ją na obie strony torując drogę. Jeszcze dwa zakręty, za drugim wzgórek o dość dużej pochyłości i już będzie trakt. Leszek myślał o jutrzejszym dniu, o rozmowie decydującej z rodzicami, o tym, jak przedstawi im Marysię, o swym wielkim szczęściu, o wieczorach spędzanych we dwójkę, o rankach, kiedy budzić się będą, by po raz tysięczny upewnić siebie, że ich szczęście nie było snem, lecz rzeczywistością... Myślał o stole nakrytym na dwie osoby, o mej, wesołej, promiennej i jasnej, krzątającej się w jego domu, w ich domu...

I nagle zobaczył...

101

Zanim myśl zdołała przebiec przez mózg, zanim zrozumiał, że to śmierć, odruchowo dał hamulec, błyskawicznie opuścił nogi i wbił obcasy w pędzącą pod kołami drogę. Zawyły rozpaczliwym wysiłkiem gumy, dwie fontanny rudego żwiru trysnęły na obie strony i rozległ się głuchy trzask potężnego uderzenia.

A potem wszystko ucichło.

Widowisko istotnie było nie byle jakie i Zenon nie opuścił zeń ani jednego fragmentu, ani ułamka sekundy. Widział wypadający zza zakrętu motocykl, widział rozpaczliwe wysiłki kierowcy, widział moment, gdy maszyna uderzyła o przeszkodę i dwa ciała pokracznie wylatujące wysoko w powietrze.

Potem zaległa cisza.

Z dziwną jasnością rozumiał, co się stało. Był tak trzeźwy, jakby nigdy nie miał w ustach kro-

pli alkoholu. Dokonał zemsty. Tam na drodze leżą om albo zabici, albo śmiertelnie ranni. Dokonał zemsty i nic nie czuł, a raczej czuł w sobie zupełną pustkę. I ten dziwny, głuchy spokój. Zszedł na drogę. Z lewej strony daleko odrzucony od przeszkody leżał motocykl. Zenon zapalił zapałkę. Była to kupa pogmatwanego żelastwa. Ruszył dalej i znowu zaświecił sobie. Leżeli niedaleko od siebie. Ją wyrzuciło dalej. Zenon pochylił się nad nim. Ręce i nogi rozrzucone bezładnie, głowa przykurczona do ramienia. Wyglądał jak miękki manekin. Dół twarzy był zmiażdżony, z szeroko otwartych ust ciekła krew. Oczy miał zamknięte.

O dwa kroki dalej leżała ona. Leżała twarzą ku ziemi ze stulonymi ramionami, tak jakby płakała, jakby sama spokojnie położyła się tu, by popłakać sobie, w ten sposób właśnie położyła się, jak wszystkie kobiety kładą się, gdy płaczą. Nie było na niej znać, że cokolwiek jej się stało. Zenon potarł o pudełko nową zapałkę i nachylił się nad Marysią, by zajrzeć jej z boku w twarz. I wtedy zobaczył niewielką krwawą kałużę we włosach.

Obejrzał się jeszcze za siebie. Zdawało mu się, że Czyński jęknął. Musiało to jednak być złudzenie. Schował zapałki do kieszeni i ruszył przed siebie.

Szedł, nie zdając sobie z tego sprawy, coraz szybciej. W jego głowie działo się coś dziwnego. Czuł, że ogarnia go jakieś nowe, nieznane uczucie, uczucie straszne. Tak, bał się, śmiertelnie bał się, ale nie tamtych, co zostali na drodze, ale siebie samego, samego siebie w tej pustce, w ciemności, w świadomości, że oto tuż obok, tuż za nim, niemal w nim jest ktoś drugi, potworny, groźny, straszliwy...

– Morderca!

I nagle zaczął biec. Ze zdyszanych piersi wyrwał mu się krzyk:

– Ratunku! Ratunku! Ratunku!...

Na trakcie słychać było turkot. Znajdzie tam ludzi.

– Na pomoc! Ratunku! Morderca!...

Krzyk przechodził w wycie, dzikie, zwierzęce wycie, w nieartykułowany skowyt, w którym nie można już było dosłyszeć słów, tylko obłądny strach i rozpaczliwe błaganie.

Rozdział XIII

W młynie wcześniej układano się do snu. Nawet baby, które pomimo dziennego trudu lubiły kocołować do późna i nigdy nie mogły dość się nagadać, wysiadując nieraz do północy przed chatą, jako że noce zaczęły się chłodnawe, też zabierały się do spoczynku.

Stary Prokop przed obrazami odprawiał swoje długie wieczorne pacierze i wybijał czołem o podłogę tym gorliwsze pokłony, że to był dzień niedzielny. Parobek Witalis chrapał już od dawna w kuchennej izbie. Młody Wasil siedział w przybudówce u Antoniego Kosiby i pogrywał cichutko a majstersko na organkach, pogrywał i przyglądał się znachorowi, który milcząco w niewielkiej miseczce ugniatał tłuczkiem drewnianym łój z jakimś lekarstwem i z żółcią wieprzową. Robił swoją skuteczną maść na odmrożenie.

102

Nagle w tej ciszy zaczął ujadać pies. Zbudzone gęsi odezwały się głośnym gęganiem.

– Ktoś jedzie do nas – powiedział Wasil.

– To wyjrzyj – mruknął znachor.

Wasil obtarł rękawem organki, schował je do kieszeni, nie śpiesząc się wyszedł na dwór.

Wyraźnie posłyszał turkot wozu i zmieszane głosy ludzkie. Wiele głosów, musiało ich być z osiem albo i dziesięć ludzi. Jeden biegł przodem, sapiąc z wysiłku. Gdy dobiegł do Wasila i zatrzymał się w świetle padającym z okna, ten aż cofnął się.

– Co za czort?! – zapytał groźnie, by dodać sobie odwagi. Przybysz z twarzą i rękami umazanymi krwią i z obłądnym wyrazem twarzy zabełkotał ochryple:

– Do znachora... Ratunku... Oni żyją jeszcze...

– W imię Ojca i Syna, kto?

– Prędeż, prędeż! – zajęczał przybyły. – Znachor! Znachor!

– Co tam? – odezwał się z sieni głos Antoniego Kosiby.

– Ratuj ich! Ratuj! I moją duszę przekłętą! – Rzucił się ku niemu. – Oni żyją!

Wasil zajrzał mu w oczy i powiedział:

– To Zenon rymarza Wojdyły.

– Co się stało? – rozległ się obok głos Prokopa.

– Rozbili się z motocyklem! – trzęsąc się jak w febrze mówił Zenon. – Ale żyją!

Znachor chwycił go za ramiona.

– Kto?! Człowieku, kto?!... – W jego głosie zabrzmiała groza.

Odpowiedzi już nie trzeba było. Właśnie podjechała furmanka. Na wozie leżały dwa nieruchome ciała. Z izby wybiegł Witalis, przyleciały i baby, przyniosły światło.

Oblepiona soplami krwi twarz młodego Czyńskiego robiła straszne wrażenie, ale oczy miał otwarte i zdawało się przytomne. Natomiast blada jak papier twarzyczka Marysi robiła wrażenie umarłej. Wśród jasnych włosów nad skronią sączyła się krew. Znachor pochylony nad wozem badał puls.

Chłopi opowiadali jeden przez drugiego:

– Akurat przejeżdżałem koło wickuńskiej drogi, kiedy ten wyleciał i krzyczy ratunku. Biegniem zobaczyć, a tu, Boże odpuść, leżą na drodze...

– Już i dechu w nich nie było...

– Na tym to motocyklu rozbili się. Pień ktośś na drodze zostawił, a oni o ten pień, i wiadomo...

– To my w radę, co robić, a ten na kolana pada, po rękach całuje. Ratujcie, powiada, wieźcie do doktora do miasteczka, bądźcie, powiada, chrześcijanami...

– Toż my i owszem, ludzkie zrozumienie mamy. Tylko że jakże ich dowieziem do mia-

steczka? Dusza się w nich wytrzęsie, jeżeli nawet jeszcze żyją. To i uradziłem tu, do znachora...

– Choć i tak ksiądz tu najpotrzebniejszy. Antoni Kosiba obrócił się do nich. Jego rysy tak skamieniały, że sam do trupa był podobniejszy niż do żywego człowieka. Tylko oczy się jarzyły.

– Sam nie dam rady – powiedział. – Niech ktoś skoczy konno po doktora.

– Witalis! – zawołał Prokop – zaprzęgaj.

– Nie ma czasu na zaprzęganie – krzyknął znachor.

– Dajcie mi konia, ja pojedę – odezwał się Zenon.

– Wyprowadź mu, Witalis! – zgodził się Prokop – a ty tam daj znać do Ludwikowa też, że ichni panicz tu leży.

Tymczasem znachor był już w izbie. Jednym ruchem ręki zmiótł z dużego stołu wszystkie stojące na nim przedmioty, drugim tak samo oczyścił ławę. Ręce mu drżały, a pot kropliście wystąpił na czoło.

103

Wybiegł znowu. Wydawał teraz polecenia. Rannych, ostrożnie podkładając ręce, przeniesiono do izby, w której tymczasem Wasil zapalił jeszcze dwie lampy. Olga rozdmuchiwała żar na piecu. Natalka nalewała wodę do garnków. Zonia rozcinała wielkimi nożycami płótno na bandaż.

Za oknami rozległ się gwałtowny tętent. To Zenon na oklep popędził ku miasteczku.

– I ten kark skręci – mruknął za nim Witalis. – Jeszcze konia w pociemkach zabije.

– Co ma zabić – z niepokojem i złą na złą przepowiednię odpowiedział Mielnik. – Droga prosta, gładka.

– Boże, Boże, takie nieszczęście! – powtarzała stara Agata.

– Trzeba mu było w dzień święty złego ducha kusić – sentencjonalnie mruknął jeden z chłopów. – Na maszynie rozjeżdzać.

– Toż nie grzech, jakiż tu grzech? – zaproponował któryś młodszy.

– Może i nie grzech, ale zawsze lepiej nie.

– Opowiedzcież, dobrzy ludzie, jak to było, po porządku – zapytał Prokop.

Wszyscy skupili się koło wozu. Wyszli i domownicy z izby, skąd ich widocznie Antoni wyprawił. Zaczęły się szczegółowe opowiadania. Od czasu do czasu któryś ze słuchaczy odchodził od grupki i zaglądał przez okno. Znachor wbrew zwyczajowi zapomniał zaciągnąć firanki.

Ale znachor nie zapomniał. Po prostu wiedział, że nie może sobie pozwolić na najmniejszą stratę czasu. Najpierw zabrał się do oględzin Marysi.

Słaby oddech i ledwie wyczuwalny puls zdawały się stwierdzać, że dogorywa. Należało czym prędzej ustalić obrażenia. Rana nad skronią nie mogła być przyczyną takiego groźnego stanu. Była powierzchowna i widocznie powstała od uderzenia przy upadku o jakiś ostry kamień, który rozciął skórę i ześlizgnął się po kości. Kość nie była naruszona. Również skóra na rękach i na kolanach w wielu miejscach była starta, lecz kości pozostały całe.

Palce znachora szybko, lecz systematycznie badały nieruchome ciało dziewczyny, żebra, obojczyki, kręgosłup i wróciły ku głowie. Ledwie dotknęły miejsca, gdzie głowa łączy się z karkiem, a Marysia drgnęła, raz, drugi, trzeci...

Teraz już wiedział: podstawa czaszki była wgnieciona.

Jeżeli mózg nie został uszkodzony, natychmiastowa operacja mogłaby jeszcze pomóc.

Mogłaby... była nikła nadzieja... ale była.

Znachor wierzchem dłoni obtarł spocone czoło. Jego wzrok zatrzymał się na tych prymitywnych narzędziach, których dotychczas używał. Dokładnie zdawał sobie sprawę, że przy

ich pomocy nie zdoła przeprowadzić tak niebezpiecznej i trudnej operacji.

– Cały ratunek w doktorze – pomyślał gorączkowo. – Daj Bóg, by zdążył.

Tymczasem znachor obmył i opatrzył rany Marysi, po czym zajął się Czyńskim. Młody człowiek odzyskał przytomność i jęczał głośno. Po obmyciu zakrzepłej krwi i twarzy okazało się, że ma złamaną szczękę. Gorsze było powikłane złamanie lewej ręki. Skośnie złamana kość przebiła mięśnie i skórę.

Paru cięciami noża znachor usunął rękaw i przystąpił do operacji. Na szczęście ranny pod wpływem bólu zemdlał. W dwadzieścia minut operacja była skończona. W każdym razie życiu Czyńskiego nic nie groziło.

Tymczasem Zenon pędził jak szalony do miasteczka. Omal nie stratował jakiejś kobiety przed kościołem i wreszcie zeskoczył z konia przed domem doktora Pawlickiego.

Lekarz nie spał jeszcze i od razu zorientował się, co należy robić. Posłał siostrę, by z agencji pocztowej połączyła się z Ludwikowem, a sam pośpiesznie wydobył z szafy swoją po-dróżną walizkę z narzędziami chirurgicznymi, sprawdził, czy czego nie brakuje, zapakował jeszcze różne lekarstwa, szpryczkę do zastrzyków i bandaże.

Siostra wróciła z oznajmieniem, że państwo Czyńscy już wyjeżdżają samochodem i za pięć, dziesięć minut będą w Radoliszkach.

104

– Zabiorę się z nimi – postanowił lekarz.

– Niech pan doktor już jedzie, o, jest koń! – naglił Zenon.

– Zwariował pan! – oburzył się Pawlicki. – Mam konno trząść się, i to bez siodła?!... A zresztą samochodem będę prędzej na miejscu.

I miał rację. Nadspodziewanie szybko nadjechało wielkie auto ludwikowskie. Przerażeni Czyńscy chcieli wypytywać Zenona, co i jak się stało, lecz lekarz oświadczył, że na to będzie

czas później.

W niespełna pięć minut byli już przed młynem. Gdy weszli do izby w przybudówce, znachor kończył właśnie bandażowanie głowy rannego.

– Czy żyje, czy mój syn żyje?! – zawołała pani Czyńska.

– Żyje, proszę pani, i nic mu nie będzie – odpowiedział.

– Co ten człowiek może wiedzieć, doktorze, niech pan ratuje mi syna!

– Zaraz zdejmę te szmaty i zbadam go – powiedział lekarz.

– Nie ma po co go męczyć. Powiem panu doktorowi, co jest. On ma złamaną szczękę w tym miejscu i lewą rękę, o tutaj. Złożyłem kości, jak się należy.

– Proszę mi nie przeszkadzać! – krzyknął doktor. – Ja chyba lepiej wiem od was, co trzeba robić!

– Tu już nic nie ma do roboty – uparcie twierdził znachor. – Aleją, tę panienkę trzeba natychmiast ratować.

– Co jej jest? – zapytał.

– Kość wgnieciona do mózgu.

– Panie doktorze! – jęknęła pani Czyńska. Puls był zupełnie zadowalający.

– Zrobię tylko zastrzyk przeciwtężcowy i trzeba go będzie zabrać do szpitala. Należy jak najprędzej zrobić zdjęcia Roentgena. A teraz zbadam

tę dziewczynę. Pochylił się nad Marysią, usiłował namacać puls. Po chwili odwrócił głowę.

– To już agonia – oświadczył.

– Ratuj ją pan, panie doktorze – ochrypłym głosem odezwał się znachor. Lekarz wzruszył ramionami.

– Tu już nic zrobić się nie da. Zbadam to uszkodzenie... Hm... Oczywiście... Złamanie

podstawy czaszki.

Nieruchome ciało zaczęło drgać.

– I uszkodzenie opon mózgowych – dodał. – Świadczą o tym drgawki... Tak... Tu i cud nie pomoże. Macie lusterko?

Znachor podał mu kawałek rozbitego lustra. Doktor przyłożył je do rozchylonych ust rannej. Zaszło lekkim oparem.

– No, cóż. – Rozłożył ręce. – Jedyne, co mogę zrobić, to dać jej zastrzyk na wzmocnienie serca. Ale to zupełnie beznadziejne.

Otworzył walizkę pełną błyszczących narzędzi chirurgicznych. Znachor wpatrywał się w nie jak urzeczony, wprost oczu nie mógł od nich oderwać.

Lekarz tymczasem napełnił szprycę przezroczystym, gęstym płynem z ampułki i zastrzyknął go dziewczynie pod skórę na przedramieniu.

– Szkoda zachodu – mruknął – lada chwila będzie koniec.

I zwrócił się znowu do Czyńskiego, zabierając się do odwijania bandażu.

Znachor dotknął jego łokcia.

– Panie doktorze! Niech pan ją ratuje.

– Głupi człowieku! – Pawlicki odwrócił się doń z irytacją. – Jak ją mam ratować?!

– To nawet pański obowiązek – ponuro odpowiedział Kosiba.

105

– Niewy mnie będziecie uczyli obowiązków. A i to wam jeszcze powiem, że jeżeli przez wasze opatrunki ten ranny dostanie zakażenia; to pójdziecie do ciupy. Rozumiecie? Nie macie prawa zajmować się leczeniem.

Znachor zdawał się nie słyszeć tego wszystkiego.

– Niech pan doktor zrobi jej operację – powiedział. – A nuż uda się.

– Odczepcie się, do licha! Po diabła tu operacja! I zwracając się do państwa Czyńskich, jakby biorąc ich za świadków, zawołał:

– Trupa mam operować?!... Tam jest złamana podstawa czaszki. Odłamki kości na pewno skaleczyły mózg. Największy geniusz chirurgiczny tu nie poradzi. No, i przeprowadzić trepanację w dodatku w tych warunkach higienicznych...

Zrobił okrągły ruch ręką, wskazując zakurzone pęki ziół pod powałą, kopcące lampki naftowe i śmiecie na podłodze.

– Żebym miał takie narzędzia jak pan doktor – z uporem mówił znachor – to bym sam spróbował...

– Więc całe szczęście, że ich nie macie. Prędzej znaleźlibyście się w kryminale – już spokojniej odpowiedział lekarz, zajęty obmacywaniem szczęki młodego Czyńskiego. – Hm... rzeczywiście złamanie, zdaje się, że nic niebezpiecznego... Bez rentgena jednak nic nie jest pewne... Skaleczenia powierzchowne...

Sprawnie zdezynfekował ranę i nałożył swoje bandaże. Z kolei zbadał rękę i zobaczywszy na niej dwa cięcia, wybuchnął gniewem:

– Jak śmieliście to robić!... Jak śmieliście!... Pewno jakimś brudnym kozikiem!...

– Kość sterczała – tłumaczył się Kosiba – a nóż wymoczyłem we wrzātu...

– Ja was nauczę!... Za to już odpowiecie!...

– To i odpowiem – z rezygnacją mruknął znachor. – A co miałem robić?

– Na mnie czekać!

– Toż posłałem po pana doktora. Na szczęście zastali pana w domu, a co byłoby, żeby nie zastali?... Miałem rannego bez pomocy zostawić?...

– I za to panu jesteśmy wdzięczni – odezwał się pan Czyński. – Ten człowiek ma rację, doktorze.

– Zapewne – niechętnie zgodził się lekarz. – Istotnie mogło mnie nie być w domu. Strzeż nas tylko, Boże, od zakażenia.

Pan Czyński wydobyl z portfela banknot i podał znachorowi.

– Macie tu za waszą pomoc. Kosiba potrząsnął głową.

– Nie trzeba mi pieniędzy.

– Weźcie. Ze biednym pomagacie darmo, to słusznie, ale od nas możecie wziąć.

– Ja nie pomagam biednym czy bogatym, tylko ludziom. A temu

paniczowi, to gdyby nie sumienie, to bym i wcale nie pomógł. Raczej on powinien był zgi-
nąć, a nie ta nieszczęśliwa dziewczyna... Przez niego teraz
umiera...

Pan Czyńska zwróciła się do lekarza po francusku:

– Czy można już przenieść go do samochodu?

– Tak!... – odpowiedział. – Zaraz zawołam ludzi. Tylko spakuję się. Prędko zebrał rozło-
żone przybory opatrunkowe, zamknął walizkę i wyszedł z nią przed dom. Przez okno Antoni
Kosiba widział, jak doktor włożył walizkę do wozu. Wówczas zrodziło się postanowienie:

– Muszę ją zdobyć!

Korzystając z zamieszania, jakie wytworzyło się podczas przenoszenia młodego Czyńskie-
go, znachor wyszedł na dwór. Drzwiczki auta były otwarte, szofer stał po drugiej stronie. Wy-
starczył jeden ruch i wycofanie się z powrotem do chaty.

Nikt nie zauważył zniknięcia walizki. W dwie minuty później auto ruszyło ku Radolisz-
kom.

Znachor nie tracił czasu. Zamknął się w izbie, w gorączkowym pośpiechu poukładał na
stole obok ,głowy Marysi zdobyte narzędzia, ustawił najbliżej lampy, po czym z zachowa-

niem wszelkich ostrożności ułożył bezwładne ciało w dogodnej pozycji. Teraz przeżegnał się i przystąpił do operacji.

Najpierw należało zgolić włosy nad karkiem. Na odsłoniętej skórze widniała wielka, sina plama. Obrzęk był nieznaczny.

Jeszcze raz przyłożył ucho do klatki piersiowej. Serce ledwie drgało. Sięgnął ręką, wybrał ostry, wąski nożyk na długim trzonku. Spod pierwszego cięcia bluznęła ciemna krew, wsiąkając w płócienne szmaty. Drugie, trzecie i czwarte... Pewne, szybkie ruchy jego rąk odsłaniały już przyczepy mięśni. Różowobiała błysnęła kość czaszki.

Tak, doktor Pawlicki nie mylił się, i kość była wgnieciona, popękana, a kilka drobnych odłamków wnikało pod jej powierzchnię naciskając na mózg.

Przede wszystkim należało usunąć je z niesłychaną ostrożnością, by nie zadrasnąć błony pokrywającej mózg. Było to nad wyraz trudne i męczące. Tym bardziej że ciało operowanej zaczęło drgać. Nagle drgawki ustały.

– To już koniec? – pomyślał znachor.

Lecz operacji nie przerwał. Nie miał czasu na zbadanie pulsu. Nie odrywał oczu od rany, nie widział, że za oknami, rozplaszczając nosy o szyby, ludzie uporczywie przyglądają się jego rozpaczliwym wysiłkom.

Piały już pierwsze koguty, gdy skończył i zaszył ranę. Teraz przeżegnał się znowu i przyłożył ucho do klatki piersiowej: nie mógł jednak nic dosłyszeć.

– Zastryk! – błysnęła mu myśl.

Łatwo znalazł w walizce pudełko z ampułkami i strzykawkę.

– To to samo, co doktor zastrzykiwał – stwierdził.

Po nowym zastrzyku serce zaczęło poruszać się już dosłyszalnie.

Wówczas Antoni Kosiba opadł ciężko na ławkę, podparł głowę rękami i zaszczołał.

Siedział tak nieruchomo może godzinę, może dłużej, doszczętnie wyczerpany, półprzytomny. Potem wstał, by sprawdzić, czy serce Marysi bije. Ledwie wyczuwalne tętno nie wzmocniło się, lecz i nie słabło.

Powłócząc nogami znachor zebrał narzędzia, umył je, ułożył w walizce i po krótkim namyśle zaniósł walizkę do stodoły, w kącie odgarnął siano i wsunął jak najgłębiej. Tu była bezpieczna. Nie znajdą jej, nie odbiorą. A on, posiadając ten skarb, o ileż łatwiej, o ileż lepiej i prędzej będzie mógł przeprowadzić operację, nawet tak trudne jak obecna.

– Jak ją doktor nazwał? – zastanowił się. – Trepanacja czaszki... Tak, trepanacja... To jasne. Znam przecie to słowo. Ze mi jakoś dziwnie wyleciało z pamięci...

Wrócił do izby, zbadał puls Marysi, zgasił światło i ułożył się w pobliżu do snu, by móc być w pogotowiu na każde poruszenie się rannej. Nie przewidywał zresztą takich możliwości.

Świeciło już słońce, gdy obudził się. Dobijano się do drzwi. Wszedł i zobaczył komendanta posterunku z Radoliszek, przodownika Ziomka. Obok stał Mielnik i Wasil.

– Jak tam ta dziewczyna, panie Kosiba? – zapytał przodownik. – Żyje jeszcze? .

– Żyje, panie przodowniku, ale Bóg jeden wie, czy wyżyje.

– Muszę zajrzeć do niej.

Weszli do izby. Policjant przyglądał się przez chwilę nieprzytomnej i skonstatował:

– O przesłuchaniu nie może być mowy. Ale od was wszystkich muszę mieć zeznania.

Hm... Doktor Pawlicki zapowiedział, że powróci dziś wieczór i wystawi świadectwo zgonu.

Myślał, że ona już wczoraj...

– To doktor wyjechał? – zapytał znachor.

– Wyjechał przecie z młodym Czyńskim odwieźć go do miasta do szpitala. Podobno nic mu nie będzie, ale nie może mówić. Jedna ofiara nieprzytomna, druga pozbawiona możliwo-

ści poruszania ustami... I pomyśleć, że gdyby zbrodniarz sam nie przyznał się, to mógłby sobie bezpiecznie zwiąć.

– Zbrodniarz? Jakaż tu zbrodnia? Toż wypadek – zdziwił się Wasil.

– Tak myślicie?... A był kto z was tam na miejscu, na owym zakręcie?

– Nie.

– A ja już o świcie byłem. I jak się wam zdaje, że ot, pewnego dnia kłody ze starej poręby same wyleżą na drogę i ułożą się w poprzek? A kamienie też podsypią się same?... Takich cudów jeszcze nie bywało. To był zbrodniczy zamach.

– Więc któż to zrobił?

– Kto?... Ano Zenon, ten notowany osobnik, syn rymarza Wojdyły. Obecni spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

– Chyba pomyłka, panie przodowniku – odezwał się wreszcie stary Prokop. – Toż Zenon ich pierwszy ratował, ludzi zwołał, tu do młyna przywiózł i jeszcze po doktora pojechał!

– Patrzcie. – Policjant pokręcił głową. – Więc jednak to prawda, co zeznał. Mówił, ale nie wierzyłem. Myślałem, że chce siebie wybielić, żeby na sprawie mieć okoliczności łagodzące. Widać naprawdę sumienie go ruszyło.

– I sam przyszedł przyznać się?

– A sam. Powiada, że diabeł go opętał, że pijany był... No, ale zabieram się do pisania.

Prokop poprosił policjanta do pokojów, gdzie też nastąpiło przesłuchanie wszystkich domowników jakp świadków. Zeznawał i Antoni Kosiba, ale powiedział niewiele. Do zeznań innych dodał tylko, że udzielił ofiarom pierwszej pomocy. Następnie kobiety podały śniadanie, przy którym, korzystając z okazji, przodownik poradził się znachora, co robić na bóle w prawym boku, jakie odczuwa już od paru miesięcy. Dostał zioła, podziękował, wydał zarządzenie, by w razie śmierci dziewczyny dano znać na posterunek, pożegnał się i odjechał.

Marysia jednak nie umierała. Mijał dzień za dniem, a leżała nieruchoma i nieprzytomna.

Jedyna zmiana, jaka w jej stanie zdrowia zaszła, to gorączka, która z każdą godziną zdawała się wzrastać. Twarzyczka z kredowobiałej stawała się coraz różowsza, oddech z ledwie dostrzegalnego przeszedł w szybki, gwałtowny, urywany.

Trzy razy dziennie znachor wlewał w jej zaciśnięte usta jakiś brunatny odwar, dzień i noc zmieniał zimne okłady ze szmat umaczanych w chłodnej, studziennej wodzie na rozpalonej głowie i na roztrzepotanym sercu.

Sam schudł jeszcze bardziej i jeszcze bardziej posiwiiał. Jego twarz przypominała trupa, tylko w oczach żarzyła się rozpacz. Tracił już wszelką nadzieję. Na nic wszelkie starania, na nic zabiegi, na nic czuwanie. Widział, jak z jego rąk wymyka się to młode życie, życie jedynej na świecie istoty, dla której bez wahania gotów byłby oddać własne.

Trzeciego dnia uprosił Wasila, by pojechał do miasteczka po lekarza.

– Może on coś pomoże – mówił.

Wasil pojechał i wrócił z niczym. Okazało się, że doktor zatrzymał się w Wilnie na dłużej i że pewnie nieprędko powróci, bo ma odwieźć młodego pana Czyńskiego aż za granicę.

Wieczorem Antoni Kosiba posłał do Pieczek po tamtejszego owczarza. Nie wierzył absolutnie w skuteczność jego „zamówień”, ale tonący brzytwy się chwyta.

Owczarz przyszedł pomimo zawodowej niechęci do konkurenta. Widział w tym swoje wielkie zwycięstwo. Popatrzył na umierającą, dotknął jej ręki, potem podniósł jedną powiekę, drugą, odciągnął dolną wargę, przyglądając się uważnie wewnętrznej stronie, nieznacznie uśmiechnął się i zaczął coś mrużyć pod nosem trzymając jednocześnie ręce nad jej głową. Jego starcze, sękaty palce pomału kurczyły się, jakby coś zbierał, potem przesuwają się aż do stóp i tu otwierają się znowu, wykonując ruch strzępywania czegoś

niewidzialnego. Powtórzył to siedem razy, mrużąc nieustannie swoje zaklęcia, w których tylko końcowe słowa wymawiał głośniej:

108

– ...na szerokoju rękę, na czużuju staranu, pod żarkoje sonce, pod ciomnuju ćmu, pod miesiacznyj swiet, na trysta let, won za okonce!

Przy ostatnich słowach raptownie skoczył do okna, otworzył je i wystawił przez nie ręce komenderując:

– Prędzej polejcie mi je wodą z drewnianego wiadra.

Ktoś z obecnych spełnił to polecenie. Wtedy owczarz zgarnął na pokrywkę trochę rozżarzonych węgli z pieca, przysypał je garścią ziół wydobytych z parcianego worka, który miał zawieszony przez ramię, i zaczął powoli chodzić do każdego kąta izby. W kącie przystawał, dmuchał w węgle poty, póki z ziół nie wznosił się kłęb dymu, odmawiał Ojczenasz i wracał do wezglowia umierającej, by znowu iść do następnego kąta.

Cała ta ceremonia trwała około godziny. Wreszcie owczarz zbliżył się do Marysi, znowu zajrzał pod powieki i kiwnął głową.

– Będzie żyć – powiedział z przekonaniem. – Zamówiłem śmierć. Ale śmierć jest silna.

Ona i największego zamówienia nie posłucha. Jak już gdzie uparła się, to bez zdobyczy, z pustymi rękami nie odejdzie. Dlatego wybierzcie kurę i o samej północy tu, pod oknem, zarznicie. Czy ta chora to panienka, czyli też mężatka?

– Panienka – odpowiedział Kosiba.

– To trzeba białą kurę. Macie białą kurę?

– Jest. – Olga kiwnęła głową, poważnie przejęta.

– To ją zarznicie. A potem ugotujcie ją i przez cztery dni dawajcie chorej do jedzenia. Boże broń, nic więcej, tylko tę kurę i tę zupę, co z niej nagotowana. A teraz nie dziękujcie, bo to

przeszkadza, a ja już pójdę. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieli wieków, amen – odpowiedzieli obecni. Za owczarzem wyszli z izby wszyscy, została tylko Zonia. Lekko trąciła w bok zamyślonego znachora i zapytała:

– Jak, Antoni, pomoże to czy nie pomoże?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– Bo widzisz, ja myślę, że takie rzeczy to zawracanie głowy. Czy od owego kadzenia i mruczenia może coś poprawić się choremu?... Mój nieboszczyk mąż, co był w świecie i na wojnie, to śmiał się z tego. Gadanie i kadzenie to nie lekarstwo. Ty inaczej leczysz i po coś wzywał owczarza! On teraz każdemu będzie mówić, że tam, gdzie ty już nic nie mogłeś zrobić, on pomógł. A ta Marysia, jeżeli miała wyzdrowieć, to i tak by wyzdrowiała. Ale teraz to dla ciebie lepiej, żeby umarła, bo...

Umilkła nagle pod wzrokiem Antoniego i cofnęła się pod ścianę.

– Co ty, co ty, Antoni?! – zatrzepała szybko. – Ja przecie nic złego... Tylko z życzliwości do ciebie... Jak Boga kocham. Śmierci nikomu nie życzę... A ty zaraz... O! Bóg wie, co sobie wyobrażasz. No, nie sierz się, ot, ja

sama o północy tu pod oknem kurę zarznę. Bialutka wybiorę, całkiem bialutką...

– Idź już, Zonia, idź, zostaw mnie samego – szepnął znachor.

– Pójdę. Dobranoc. A ty, Antoni, też połóż się, odpocznij. Zesłabniesz całkiem. A co do kury, bądź spokojny. Zrobię, jak owczarz kazał. Dobranoc.

Wyszła i zapanowała cisza. Tylko świszczący oddech Marysi świadczył, że w tej ciszy i spokoju coś się dzieje, że coś śpieszy, śpieszy, ku nieuniknionemu zakończeniu.

Przysunął taboret, oparł się łokciem o brzeg stołu i wpatrywał się w bladoniebieskie żyłki na zamkniętych powiekach dziewczyny.

Zrobił wszystko, co dyktowała mu jego umiejętność, co wskazywał rozsądek, a nawet

wbrew rozsądkowi, wbrew przekonaniu to, co podpowiadała rozpacz i ukryty gdzieś w zakamarkach duszy instynkt szukania pomocy i ratunku w niezrozumiałych i może nie istniejących potęgach czarów.

Mijał czas, za szybami noc gęstniała. Antoni Kosiba myślał, myślał o sobie, o swoim losie, o swoim życiu tak pustym dotychczas, tak jałowym i z niczym, ni z ludźmi, ni ze światem nie

109

związanym. Tak, nie związanym. Bo wiąże tylko uczucie. Nie chleb, nie byt, nie cudza dobroć i serdeczność, nawet nie przekonanie, iż komuś pożytek się przynosi, tylko własne uczucia. I wystarczyło, by pokochał kogoś całą duszą, a już los mu go zabiera, wydziera, ograbia...

– Znowu tak jak wtedy – odezwało się coś w nim i przetarł czoło. I nagle uświadomił sobie, że już kiedyś, niezmiernie dawno, jakby w poprzednim życiu, przeżył podobną stratę. O, był tego pewien. Los odebrał mu kogoś, kogo kochał, bez kogo nie mógł istnieć...

Załomotał puls w skroniach, pod czaszką w szalonym wirze załopotały myśli.

– Jak to było?... Kiedy?... Gdzie?... Bo przecie było... Na pewno było... Zacisnął zęby i palce, aż paznokcie do bólu wpiły się w dłonie.

– Przypomnieć... przypomnieć... Muszę przypomnieć... Umęczone nerwy zdawały się drgać w naprężeniu. Myśli rozbijały się w nieuchwytnie strzępki, w bezkształtną, białą pianę, jak woda na młyńskim kole, i nieuchwytnym, mglistym obrazem zaczęły występować rysy...

Łagodny owal twarzy... Półuśmiech zdobi usta, jasne włosy i wreszcie –oczy. Ciemne, głębokie, nieodgadnione...

Z suchej, ściśniętej krtani Antoniego Kosiby wyrwało się słowo nieznane i najbardziej znajome, imię nie słyszane nigdy, a najbliższe:

– Beata...

Powtórzył je w zdumieniu, w przerażeniu i w nadziei jeszcze raz. Czuł, że się w nim coś

dzieje, że odkrywa coś niezmiernie doniosłego, że jeszcze sekunda, a otworzy się przed nim jakaś wielka tajemnica...

Zwarł się w sobie, skurczył...

Nagle za oknami ostry, przeraźliwy krzyk ptasi rozległ się w ciszy. Jeden, drugi, trzeci...

Antoni Kosiha zerwał się z miejsca i w pierwszej chwili ,nie wiedział, co się stało. Dopiero po pewnym czasie zrozumiał.

– To Zonia zarzyna kurę... Białą kurę... To północ...

Prędko zbliżył się do Marysi. Jak mógł tak długo zostawić ją... Dotknął jej ręki, policzka, czoła... Zbadał puls, przysłuchał się oddechowi.

Nie ulegało wątpliwości: gorączka spadła, spadła gwałtownie. Policzki i dłonie były zaledwie ciepłe.

– Ona... stygnie, to już koniec – pomyślał.

Nie tracąc czasu, rozpalił w piecu ogień, do małego garnczka wsypał garść ziół. Po kilku minutach napój na wzmocnienie serca był gotowy. Wlał do ust chorej trzy łyżeczki, po upływie godziny puls wydał mu się jakby nieco silniejszy. Powtórzył dawkę.

Minął jeszcze kwadrans i Marysia otworzyła oczy. Zamknęła powieki i Znowu podniosła.

Jej wargi poruszyły się bezgłośnie i jakby uśmiechnęła się. Oczy patrzyły przytomnie.

Znachor pochylił się nad nią i szepnął:

– Gołabeczko ty moja, szczęście ty moje... Czy poznajesz ty mnie?... Poznajesz?...

Wargi Marysi poruszyły się, a chociaż słów niepodobna było dosłyszeć, wiedział, poznał z ruchu warg, że wymówiła te same słowa, którymi go nazywała zawsze:

– Stryjciu Antoni...

Zaraz potem odetchnęła głębiej, powieki zamknęły się i równy, rytmiczny oddech zaczął poruszać jej piersi. Zasnęła. Znachor upadł twarzą na ziemię i w wielkim szlochu szczęścia

powtarzał:

– Dzięki Ci, Boże... Dzięki Ci, Boże...

Świtało już. Mieszkańcy młyna powstawali. Witalis poszedł otworzyć zastawy, młody Wasil do stajni, Agata i Olga krzątały się przy kuchni, a Zonia siedziała na progu i skubała białą kurę.

110

Rozdział XIV

Po dwutygodniowej nieobecności w Radoliszkach, powrócił doktor Pawlicki i zaraz następnego dnia został wezwany do Rajewszczyzny państwa Skirwoynów, gdzie parobkowi sieczkarnia poszarpała rękę.

Wtedy to spostrzeżono brak neseseru chirurgicznego. Doktor zapewniał, że przywiózł wówczas w nocy walizkę, służąca zapewniała, a stara Marcysia przysięgała, że nie przywiózł. Przetrząsnięto dom od piwnic do strychu – bez rezultatu i doktor pojechał do wypadku zabierając narzędzia podręczne z gabinetu. Wracając wszakże z Rajewszczyzny, zboczył do Ludwikowa, by wypytać tamtejszego szofera.

Szofer pamiętał dokładnie, że pan doktor wyniósł z chałupy walizkę i położył ją w samochodzie, pamiętał, że w drodze powrotnej z wozu nie wyjmowano, ani w miasteczku, ani w Ludwikowie, ani na stacji. Przypomniał też sobie, że gdy panicza wynoszono z chałupy, koło auta kręcił się znachor.

– Jeśli kto wziął, to on – zakonkludował.

– Oczywiście. – Lekarz uderzył się dłonią w czoło. – Ze też od razu o tym nie pomyślałem! Naturalnie. To rzecz zupełnie jasna, przecie mówił, że próbowałby operacji na owej dziewczynie, gdyby miał takie narzędzia. No, teraz mam tego ptaszka! Nie wie pan, czy owa Marysia, co z panem inżynierem wówczas rozbiła się, żyje?

Szofer nie wiedział, ale w Radoliszkach było o tym głośno i zaraz na wstępie doktor Pawlicki ku swemu szczeremu zdumieniu usłyszał, że dziewczyna żyje i podobno wyzdrowieje. Jedni przypisywali tę zasługę znachorowi z młyna, inni owczarzowi z Pieczek, wszyscy jednak nie bez zadowolenia, właściwego ludziom prostym w takich wypadkach, podkreślali, że tajemna wiedza znachorska pomogła tam, gdzie medycyna orzekła stan beznadziejny.

Niezależnie od rozdrażnienia, w jakie te relacje wprawiły doktora, upewniły go one o słuszności powziętego podejrzenia. Badał przecie wówczas ową dziewczynę i stwierdził ponad wszelką wątpliwość wgniecenie podstawy czaszki. Gdyby nawet był chirurgiem, nie podjąłby się tej operacji, którą uważał za bezcelową. Nie wykluczał wszakże jakiegoś zupełnie wyjątkowego wypadku, w którym (jedna szansa na tysiąc) mogła się ona udać. Natomiast wykluczał z zupełną pewnością, by bez trepanacji i bez usunięcia odłamków kości ranna mogła wyżyć bodaj kilka godzin. Tym pewniej zaś wykluczał ewentualność przeprowadzenia pomyślanej operacji bez precyzyjnych narzędzi chirurgicznych.

A z tego wynikało, że jego własne narzędzia zostały skradzione przez znachora Antoniego Kósibę.

Takie też argumenty wytoczył nazajutrz rano na posterunku policyjnym wobec przewodnika Ziomka, żądając wszczęcia dochodzenia, przeprowadzenia rewizji i aresztowania znachora pod dwoma zarzutami: kradzieży i bezprawnej praktyki lekarskiej.

Przodownik Ziomek wysłuchał oskarżenia z uwagą i odpowiedział:

– Moim obowiązkiem jest zapisać do protokołu zameldowanie pana doktora. Pan doktor, ja sam tak sądzę, ma rację. Zabrać walizkę z narzędziami mógł tylko Kosiba. Pewnie, że nie ma on prawa praktyki lekarskiej i za to powinien być pociągnięty do odpowiedzialności. Ale z drugiej strony, jeżeli sam pan doktor mówi, że bez pańskich narzędzi on nic by tu nie wskórał, a przy ich pomocy uratował życie ludzkie, uratował, chociaż mu nie było wolno, to czy za to

chce pan zniszczyć człowieka?...

Lekarz zmarszczył brwi.

– Panie komendancie! Nie wiem, czy pan jako funkcjonariusz policji jest powołany do osądzania przestępstw. Ja jako obywatel wiem, że to należy do sądów. Kwalifikowanie złej czy dobrej woli przestępcy nie leży w naszej kompetencji. Dlatego, składając doniesienie, mam prawo oczekiwać, że nada mu pan bieg zgodny z procedurą. Żądam przeprowadzenia rewizji i aresztowania złodzieja.

111

Policjant skinął głową.

– Dobrze, panie doktorze, zrobię to, co nakazuje mi obowiązek służbowy.

– Czy ja, jako poszkodowany, mam możliwość asystowania przy rewizji?

– Oczywiście – sucho odpowiedział Ziomek.

– A kiedy zamierza pan komendant to zrobić? Ziomek spojrzął na zegarek.

– Natychmiast. Nie chcę być przez kogokolwiek pomówiony o opieszałość.

– Teraz mam obiad – zauważył lekarz. – Może pojedziemy do młyna za jakieś dwie godzinki?

– Nie, panie doktorze. Rewizja będzie przeprowadzona zaraz. Jeżeli pan chce być przy niej obecny...

– Trudno, pojedę z panem.

Ziomek wezwał jednego z dwóch swoich podkomendnych i kazał mu wyszukać furmankę.

W młynie nie spodziewano się wcale przyjazdu jakichś gości. Życie tu płynęło dawnym trybem, z tą jeno różnicą, że Antoni Kosiba prawie wcale nie przychodził teraz do młynarskiej roboty i że chorych mniej przyjmował niż dawniej, a i tych załatwiał na dworze lub w dnie słotne w sionce, nie wpuszczając do izby.

W izbie na czysto zasłanym łóżku leżała Marysia. Dziewczyna nadspodziewanie szybko wracała do zdrowia. Żywotność młodego organizmu zrobiła swoje. Pooperacyjna rana goiła się prawidłowo, apetyt wzrastał. Początkowe obawy znachora, że skutki wypadku mogą przejawiać się w szwankowaniu tych czy innych czynności, okazały się na szczęście niepotrzebne. Swobodnie poruszała ramionami i rękami, a także nogami. Widocznie mózg nie doznał żadnego trwałego uszkodzenia, gdyż wzrok i słuch działały bez zarzutu, a mówiła po dawnemu swoim dźwięcznym głosem, całe godziny spędzając na rozmowach ze swym opiekunem.

Pierwszą jej troską po odzyskaniu przytomności było: co się dzieje z Leszkiem? Gdy usłyszała, że nie odniósł żadnych niebezpiecznych obrażeń i że rodzice wywieźli go za granicę na kurację, odetchnęła z ulgą.

– Żeby tylko wyzdrowiał!

Przebiegu katastrofy nie pamiętała wcale. Nie zauważyła, by coś leżało na drodze. Wiedziała, że jechali dość szybko i że nagle wyleciała w powietrze. To wszystko. Nie czuła ani bólu, ani potem gorączki. Gdy ocknęła się, była zdziwiona, że znajduje się w nieznanej sobie izbie, nie zaś na motocyklu, wśród zarośli. Nie zdawała też sobie sprawy z tego, że była już jedną nogą na tamtym świecie. Antoni Kosiba nie wspominał jej ani słowem o swej tragicznej walce o jej życie, nie powiedział, jak poważnym i ciężkim uległa okaleczeniom.

– Masz, gołąbeczko, na karku tam jedną kostkę złamaną i dlatego ten niewygodny opatrunek ci założyłem. A nie ruszaj, złotko, głową, broń Boże, nie staraj się ruszać, bo się całe zrastanie popsuje.

Przyrzekła posłuszeństwo, lecz już nazajutrz zaczęła dopytywać się, czy prędko wstanie.

– Jakiś czas musisz poleżeć – wymijająco odpowiedział znachor. Wiedział, że jest to sprawa dwóch miesięcy, lecz nie chciał jej smucić. Toteż gdy biadała, że straci posadę u pani

Szkopkowej, jeżeli dłużej poleży, gdy napierała się, że spróbuje wstać, ofuknął ją:

– Nie kuś Opatrzności! Dziękuj Bogu, że żyjesz. A mnie słuchaj, bo nieszczęścia napytasz!

– Już dobrze, dobrze, kochany stryjciu Antoni. – Uśmiechała się doń, składając ręce. – Nie gniewaj się!

– Gdzieżbym się gniewał! – Rozpromienił się. – Jakże mógłbym gniewać się na ciebie, słoneczko ty moje!

– Tyle kłopotu sprawiam...

– Jakiego znowuż kłopotu! – oburzył się. – Toż dla mnie radość największa. A co do tej pani Szkopkowej, to i nie myśl o powrocie.

– Jak to?

112

– A po co ci to, gołąbeczko?. . Ot, wyzdrowiejesz i u mnie tu zostaniesz... Uśmiechnął się i dodał:

– Jeżeli zechcesz.

Antoni nie przyznawał się do kłopotów, o których mówiła Marysia, bo też tych wszystkich zajęć, jakie miał przy niej, za kłopot nie uważał. A zajęć tych było dużo. Codziennie brał ją na ręce, przenosił na swoje łóżko do alkowy, a jej pościel starannie prześcielał, codziennie ręcznikiem umaczanym w ciepłej wodzie wycierał jej twarz i ręce, no i przy pomocy łyżki karmił ją jak niemowlę.

Do innych zabiegów przy chorej wzywał którąś z kobiet, najczęściej małą Natalkę, która Marysię wręcz uwielbiała, lecz i sam musiał przy tym pomagać, bo żadna z kobiet nie miała by tyle sił, by Marysię unieść. Z początku dziewczyna bardzo krępowała się jego obecnością, przyzwyczała się jednak wkrótce uważając „stryjcia Antoniego” za opiekuna, niemal za ojca. Rozmawiała z nim szczerze o wszystkim, nie poruszając wszakże jednego tematu. Zauważyła, że na każdą wzmiankę o młodym Czyńskim jego twarz pochmurnieje. Domyślała się, że

uważa Leszka za winowajcę katastrofy i że przez katastrofę dowiedział się o ich samotnych wycieczkach do lasu, czego mu również nie wybacza. Gdybyż mogła powiedzieć otwarcie:

– Nie miej, stryjcium Antoni, żalu do niego, bo jest uczciwym chłopcem, kocha mnie i ożeni się ze mną.

Ale powiedzieć tego nie miała prawa. Musiała czekać na wiadomość od narzeczonego. I dlatego od czasu do czasu zapytywała, czy nie ma do niej listu.

Znachor odgadywał, jakiego listu wypatruje, i za każdym razem mrukliwie i krótko odpowiadał:

– Nie ma.

A mówił to takim tonem, jakby chciał dodać:

– I nie będzie.

Sam w głębi duszy był zupełnie tego pewny, tak pewny, jak Marysia pewna była czegoś wręcz przeciwnego.

– Bałamucił młodzik, lekkoduch dziewczynę – myślał znachor – omal na tamten świat nie wyprawił, pokaleczył, a teraz za granicą inną sobie znajdzie. Nawet słówka do niej nie napisze.

I przeświadczenia Kosiby zdawały się być uzasadnione. Od dnia katastrofy pół miesiąca już minęło, a listu nie było, nawet nikt nie przyjechał z polecenia Czyńskiego dowiedzieć się o zdrowie dziewczyny.

Marysia jednak nie traciła nadziei i wciąż tego oczekiwała. Ile razy po turkocie zbliżającym się do młyna rozpoznawała, że to nie zwykły wóz chłopski, lecz bryczka, tyle razy serce zaczynało jej mocniej bić.

– A nuż to bryczka z Ludwikowa.

Tak było i tego dnia. Nie była to jednak bryczka z Ludwikowa, lecz pożyczona przez po-

sterunek policyjny w gminie. A w bryczce siedział przodownik Ziomek, jeszcze jeden policjant i doktor Pawlicki.

Znachor właśnie zajęty był karmieniem Marysi i rzuciwszy spojrzenie przez okno, znowu zanurzył łyżkę w misce, gdy otworzyły się drzwi.

– Dzień dobry – powiedział od progu przodownik. – My w sprawie do was, panie Kosiba.

Jakże tam panna Marysia się miewa?

– Dziękuję, panie przodowniku. Już mi lepiej – wesoło odezwała się dziewczyna.

– To i chwała Bogu.

– Pozwólcie panowie – ponuro zaczął znachor – że dokończy chora obiadu.

– Cóż, niech dokończy. Zaczekamy – zgodził się Ziomek i usadowił się na ławie.

Doktor Pawlicki zbliżył się do łóżka i przyglądał się Marysi w milczeniu.

– Gorączki nie ma? – zapytał wreszcie.

– Była, ale nie ma – odpowiedział Kosiba.

113

– A nogi i ręce funkcjonują?... Porażenie nie wystąpiło nigdzie?

– Ależ, panie doktorze – zawołała Marysia. – Ja jestem zupełnie zdrowa. Tylko trochę osłabiona. Żeby nie ta kosteczka w karku, która ma zrosnąć się, zaraz bym wstała.

Lekarz zaśmiał się sucho.

– Kosteczka?... Dobra kosteczka! Nie rozumiesz się na tym, panieneczko. To było strzaskanie podstawy czaszki... Znachor przerwał:

– Jestem gotów. Czego panowie sobie życzą?

Odstawił pustą miskę i stanął tak, że odgradzał doktora od łóżka Marysi.

– Panie Kosiba – odezwał się przodownik. – Pan przeprowadziłeś po katastrofie operację?... Trepanację czaszki?... Znachor wbił wzrok w ziemię.

– A jeżeli tak, to co?

– Przecie pan nie jesteś dyplomowanym lekarzem. Pan wie, że prawo tego zabrania?

– Wiem. Ale wiem też, że dyplomowany lekarz, który według prawa ma obowiązek ratować, tu ratować nie chciał.

– To nieprawda – wtrącił się doktor Pawlicki. – Chciałem i zbadałem raną. Uważałem, że stan jest beznadziejny. To była agonia.

Znachor dostrzegł szeroko otwarte oczy Marysi i jej nagle pobladłą twarzyczkę.

– Wcale nie – zaprzeczył. – Nie było żadnego niebezpieczeństwa. Lekarzowi z oburzenia krew uderzyła do głowy.

– Jak to?! A cościesami wówczas mówili?

– Nic nie mówiłem.

– To jest łgarstwo! Znachor milczał.

– Mniejsza o to – wmieszał się przodownik. – Tak czy owak, panie Kosiba, jest pan za to odpowiedzialny. Chociaż muszę panu wyjaśnić, że odpowiedzialność jest niewielka, bo tu nie ma poszkodowanego. Nie tylko nie ma kogoś, kto by na pańskim przekroczeniu ucierpiał, ale jest ktoś, komu uratowało to życie. Ważniejsza wszakże będzie druga kwestia: przy pomocy jakich narzędzi dokonałeś pan operacji?

– Czy to nie wszystko jedno?...

– Nie. Bo oto pan doktor Pawlicki oskarża pana o przywłaszczenie jego narzędzi.

– Nie o przywłaszczenie, bo o kradzież – twardo podkreślił lekarz.

– Więc o kradzież – powtórzył przodownik. – Czy przyznaje się pan, panie Kosiba?...

Znachor opuścił głowę i milczał.

– Panie komendancie! – zawołał lekarz. – Niech pan przystąpi do rewizji. Walizka na pewno jest tu czy też ukryta gdzie w zabudowaniach gospodarskich.

– Przepraszam, panie doktorze – zastrzegł się policjant – ale proszę mi nie dyktować, co mam robić. To moja sprawa. Zrobił pauzę i znowu zwrócił się do znachora:

– Czy przyznaje się pan? Kiwnął głową po chwili wahania.

– Tak.

– Dlaczego pan to zrobił?... Czy z chęci zysku, czy dlatego, że bez tych narzędzi nie mógłby pan ratować ofiary katastrofy?

– To nie jest pytanie – zawołał doktor Pawlicki. – To podpowiadanie!

A zresztą naciągane, bo gdyby temu... znachorowi o to chodziło, zwróciłby walizkę, którą ukradł.

– Czy ma pan tę walizkę? – zapytał policjant.

– Mam.

– I zwróci ją pan dobrowolnie?

– Zwrócę.

– Gdzie ona jest?

– Zaraz ją przyniosę.

114

Powoli przeszedł obok nich, otworzył drzwi. Widzieli przez okna jego wysoką, pochyloną postać. W izbie nikt się nie odezwał słowem. Po upływie kilku minut Kosiba wrócił z walizką.

– Czy to ta? – zwrócił się przodownik do lekarza.

– Tak, to moja walizka.

– Może pan doktor sprawdzi, czy niczego w niej nie brakuje. Pawlicki otworzył i pobieżnie przejrzał zawartość.

– Nie, zdaje się, że nie brakuje niczego.

– Na „zdaje się” nie mogę się opierać – urzędowym tonem powiedział Ziomek. – Proszę o stwierdzenie z całą pewnością albo o podanie nazw przedmiotów, które zginęły.

– Niczego nie brakuje – poprawił się lekarz.

– Zatem spisujemy protokół.

Ziomek wyjął z teczki papiery i przystąpił do pisania. W izbie zaległa cisza.

Doktor Pawlicki był dość wrażliwy, by odczuć niechęć, z jaką odnosili się doń wszyscy obecni, nie wyłączając milczącego posterunkowego. Niechęć i potępienie. Czyż mieli rację? Przecie samemu sobie nie miał nic do wyrzucenia. Postępował zgodnie z sumieniem, postępował tak, jak mu nakazywał obowiązek obywatelski i lekarski. Jeżeli spełniając ten obowiązek, jednocześnie zyskiwał osobiście na utraceniu konkurenta, to i tu był w porządku. Walczyć o byt wolno, a on walczy w dodatku środkami legalnymi. Prawo i moralność publiczna jest po jego stronie. Gdyby nawet nie był lekarzem, gdyby ten znachor nie odbierał mu pacjentów, i wówczas musiałby żądać unieszkodliwienia tego człowieka.

Państwo otacza zdrowie swych obywateli opieką, setkami ustaw i rozporządzeń. Od lekarza wymaga długoletnich studiów, żmudnej praktyki, wiedzy i poziomu etycznego. Tymczasem tutaj zwykły, ciemny chłop łamie to prawo. Nie ma żadnego znaczenia, że mogło mu się udać kilka operacji. W tysiącu innych wypadków może okazać się wręcz zabójcą. W imię czego tedy doktor medycyny, który na swoje fachowe wykształcenie wydał moc pieniędzy i stracił wiele lat, ma wyrzekać się dobrowolnie przysługujących mu uprawnień, obojętnie przyglądać się szkodliwej i niebezpiecznej działalności jakiegoś prostaka, no i przymierać głodem?

– W imię czego?!

Czy dlatego, że nie pochwalają jego stanowiska ci poczciwi zapewne, lecz nieinteligentni ludzie?... Ależ właśnie jako inteligent, jako jedyny tu człowiek z wyższym wykształceniem

powinien by ich pouczyć, powinien im wytłumaczyć, że postępuje sprawiedliwie i słusznie, iż proceder znachorski stanowi niebezpieczeństwo publiczne, że prawa muszą być szanowane, że wreszcie kradzież jest zawsze kradzieżą, niezależnie od takich czy innych pobudek działania. Ze społeczeństwo cywilizowane, że państwo i wszyscy świadomi obywatele mają obowiązki przestrzegania w każdej okoliczności ustalonego porządku.

Oczywiście w motywach postępowania Kosiby znajdzie się wiele podstaw do łagodnego wyroku. Ale to zależy od sądów...

Nie, doktor Pawlicki nic tu sobie nie miał do wyrzucenia. Chyba tylko że wrodzona duma nie pozwalała mu zniżyć się do usprawiedliwiania się przed tymi ludźmi, co zresztą na nic by się nie zdało.

Stał w milczeniu, z podniesioną głową i z zaciśniętymi ustami, udając że nie dostrzega niezyczliwych spojrzeń.

Przodownik Ziomek skończył protokół, odczytał, obecni podpisali.

– Musi pan jeszcze podpisać zobowiązanie o niewydalaniu się – zwrócił się do Kosiby – o tutaj. Nie wolno panu wyjeżdżać bez zawiadomienia policji.

– Jak to? – zdziwił się doktor. – Pan go nie aresztuje?

– Nie widzę powodu. – Przodownik wzruszył ramionami.

– Chyba udowodniona kradzież?...

115

– I cóż z tego?... Aresztuje się wówczas, gdy są powody obawiać się ucieczki oskarżonego, a ja jestem pewien, że on nie ucieknie.

– Ta pewność może być zawodna.

– Za to już ja ponoszę odpowiedzialność, panie doktorze. Zresztą kieruję sprawę do sędziego śledczego. Może on zarządzi aresztowanie, jeżeli pan o to będzie zabiegał. Ale wątpię.

Po wyroku zamkną go, oczywiście w tym wypadku, jeśli wyrok będzie skazujący. No, to już

tu nie mamy nic do roboty. Do widzenia, panie Kosiba! Życzę zdrowia, panno Marysiu!

Wyszli i po chwili turkot bryczki oznajmił, że odjechali. Znachor stał nieruchomo przy drzwiach. Gdy odwrócił się, zobaczył Marysię zalaną łzami.

– Co ci, gołąbeczko, co ci? – zaniepokoił się.

– Stryci, kochany strygiu Antoni, co ja ci przykrości narobiłam. To wszystko przeze mnie!

– Uspokój się, gołąbeczko, nie płacz. Jakie tam przykrości. Nic mi nie będzie.

– Jeżeli wsadzą cię do więzienia, ja chyba umrę z rozpaczy!

– Nie wsadzą, nie wsadzą!... A jakby i wsadzili, to co? Korona mi z głowy nie spadnie.

– Nie mów tak, strygiu. To byłaby straszna niesprawiedliwość.

– Duszycko droga, na świecie więcej jest niesprawiedliwości niż sprawiedliwości. A tutaj, prawdę mówiąc, na karę zasłużyłem. Ukradłem.

– Żeby mnie ratować!

– To prawda, ale zawszeć to kradzież. Inna rzecz, że żalu nie czuję. Bo jak miałem zrobić?... Ale nie ma o czym gadać. Nawet przodownik będzie mnie bronić. – Tylko ten zły człowiek, ten doktor...

– Czy on zły, gołąbeczko?... Nie wiem, czy zły. Twardy jest. A za twardość nikogo winić nie można. Charakter już taki. Może jemu nikt serca nie okazał, to i jego stwardniało. A i to jeszcze pamiętaj, że jemu ciężko pogodzić się z myślą o tym, że on już na ciebie machnął ręką, a ja przy pomocy Boskiej odratowałem cię, gołąbeczko. Umyślnie nie mówiłem ci dotychczas, jak było już z tobą kiepsko. Chorym nie trzeba mówić takich rzeczy, bo przejmują się, a to przeszkadza w powrocie do zdrowia.

– Czym ja ci się wywdzięczę, strygiu Antoni, za tyle dobroci, za tyle poświęcenia!

Złożyła ręce i oczyma pełnymi łez patrzyła mu w oczy. A znachor uśmiechnął się i powiedział:

– Czym?... Ot, pokochaj mnie troszkę.

– Pokochać? – zawołała. – Ależ ja cię, stryjcium, tak kocham, jak tylko mamusię kochałam!

– Bóg ci zapłać, gołąbeczko – odpowiedział drżącym głosem.

Rozdział XV

Sprawa Zenona Wojdyłły odbyła się w połowie października w Wilnie. W Radoliszkach dowiedziano się o tym dopiero nazajutrz, po wyroku, gdyż wobec przyznania się oskarżonego świadków nie wzywano do sądu żadnych, poza poszkodowanymi, którzy z powodu stanu zdrowia stawić się nie mogli.

Jeżeli zaś w gazetach ze sprawy tej zrobiono wielką sensację, to dlatego, że oskarżony sam prosił o najsurowszy wymiar kary. Sąd jednak dopatrując się w tym żądaniu skruchy Zenona i uwzględniając wiele innych okoliczności łagodzących oraz będąc przeświadczonym o szczerym zamiarze poprawy ze strony oskarżonego, skazał go tylko na dwa lata więzienia.

Do młyna wiadomość o tym przyniósł Wasil, który z interesami ojca jeździł do Wilna i, korzystając z okazji, był obecny na rozprawie. Od niego też Marysia dowiedziała się, że młody Czyński nie stawił się w sądzie, gdyż przebywa na kuracji za granicą. Dokładniej miejsca jego pobytu określić nie umiał, bo chociaż słyszał w sali sądowej nazwę owej miejscowości, jako cudzoziemskiej nie zapamiętał.

116

Marysia zastanawiała się, czy nie poprosić go lub kogoś innego o wywiedzenie się adresu Leszka. W Ludwikowie na pewno adres ten znali nie tylko jego rodzice. Obawiała się jednak, że z takiego dowiadywania się mogą wyniknąć jakieś komplikacje, i postanowiła cierpliwie czekać na list.

Postanović było łatwo, trudniej wszakże było zdobyć się na cierpliwość.

Mijał tydzień za tygodniem, a Leszek nie pisał. Coraz smutniejsze myśli przychodziły do głowy, coraz bardziej topniały nadzieje.

Tymczasem stan zdrowia Marysi poprawiał się nadszpiewanie szybko. Już od dawna siadywała na łóżku, a w pierwszych dniach listopada znachor pozwolił jej wstać.

Rany nad skronią i pooperacyjne zagoiły się zupełnie. Po starciach skóry na nogach i rękach zostały ledwie widoczne blizny. Siły odzyskiwała stopniowo, lecz stale. Zaraz nazajutrz po wstaniu zaczęła się krzątać przy gospodarstwie znachora. Po tygodniu izba i alkowa już inaczej wyglądały.

– Nie męcz się, gołąbeczko. – Znachor usiłował ostudzić jej zapał. – Po co to wszystko?...

– Czyż teraz nie czyściej tu i nie ładniej, stryjciu Antoni?

– Sił twoich szkoda.

Zresztą na porządkowanie, szorowanie i odkurzanie niewiele było czasu. Jesienne chłody przysporzyły znowu znachorowi pacjentów. Bywały dni, gdy zjeżdżało się ich po trzydzieści i więcej osób. Wszyscy wiedzieli o tym, że Antoni Kosiba był wzywany do sędziego śledczego i że będzie miał sprawę sądową w Wilnie. Opowiadano, że zamkną go w więzieniu, toteż należało śpieszyć się z zasięgnięciem u niego porady.

Sam Antoni też spodziewał się wyroku skazującego i przygotować chciał do tego Marysię, lecz ona oburzała się i zapewniała, że mowy o tym być nie może.

– Przecież stanę jako świadek, któremu uratowałeś życie. Czy to nie wystarczy?

Po trochu i znachor liczył na to, liczył również na wielu innych swoich pacjentów, którzy zgłaszali się masowo, ofiarując się na świadków.

Termin rozprawy był wyznaczony na koniec listopada i wszystko zdawało się zapowiadać nieźle, gdy Marysia nagle zachorowała. Wydelikaceny przez długie przebywanie w łóżku jej organizm łatwo poddał się chorobie. Sprzątając w chłodnej sionce zaziębiła się. Bańki i zioła

na poty niewiele pomogły. Musiała leżeć w łóżku.

O jej wyjeździe na sprawę nie było co myśleć i Antoni Kosiba pojechał sam.

Zaraz po przyjeździe zgłosił się do poleconego mu przez Judkę z Radoliszek adwokata

Makłaja. Adwokat po rozejrzeniu się w sprawie określił swoje niewielkie na szczęście honorarium, lecz powiedział od razu, że uniewinnienia spodziewać się nie można.

– Postaram się uzyskać dla was jak najłagodniejszy wyrok.

Przyszedł dzień rozprawy. Już wchodząc do gmachu sądowego Antoni zobaczył doktora Pawlickiego i to napełniło go niedobrymi przeczuciami.

Istotnie, zeznając jako świadek, doktor Pawlicki, chociaż mówił szczerą prawdę, obciążył oskarżonego bardzo poważnymi zarzutami. Mówił o brudzie panującym w jego izbie, o zaduchu, o tym, że osobiście ostrzegał go przed prowadzeniem tego niebezpiecznego procederu, a wreszcie o kradzieży walizki z narzędziami chirurgicznymi. Przyznał, że Kosibie udało się kilka operacji nawet trudnych, lecz złożył to na karb przypadku.

Drugi świadek oskarżenia, delegat Izby Lekarskiej, przedstawił sądowi dane statystyczne dotyczące znachorstwa na Kresach Wschodnich. Dane te stwierdzały, że olbrzymi odsetek śmiertelności wśród ludności wiejskiej jest skutkiem leczenia znachorskiego. Dalej przytoczył wiele przykładów metod „lecniczych” stosowanych przez znachorów, a przykłady te wywoływały u słuchaczy zgrozę, wstręt i oburzenie.

Świadkowie wezwani przez obronę, wszystko chorzy wyleczeni przez Antoniego Kosibę, w pokaźnej liczbie dwudziestu kilku, znowu przechyłili swymi zeznaniami szalę nieco na stronę oskarżonego.

117

I zapewne inaczej skończyłaby się sprawa, gdyby nie to, że w procesie tym oskarżał młody, po raz pierwszy występujący prokurator, doktor praw Zgierski. Z sumiennością i z pasją

nowicjusza prokurator Zgierski przygotował swe oskarżenie. Ujął rzecz ze społecznego i prestiżowego stanowiska.

– Jak długo – wołał – będziemy pozwalać, by gnieździły się w naszym kraju potworne zaborony średniowiecza? Jak długo pozwolimy krzewić się ciemnocie i bezmyślnej zbrodni praktyk znachorskich?... Wyrok dzisiejszy powinien być odpowiedzią na pytanie, czy jesteśmy państwem cywilizowanym, czy nie tylko geograficznie, lecz i kulturalnie należymy do Europy, czy też tolerować chcemy nadal barbarzyństwo.

Mówił jeszcze dużo i pięknie o polskiej misji cywilizacyjnej na Wschodzie, o tragicznej ciemnocie ludu białoruskiego, o tysiącnych zastępach młodych lekarzy gotowych nieść pomoc cierpiącym, a skazanych na bezrobocie, o eugenicie i o podnoszeniu rasy, o wojsku potrzebującym zdrowego rekruta, a wreszcie o pedagogicznych celach wyroków sądowych i o tym, że ten wyrok winien się stać ostrzeżeniem dla innych hien żerujących na ciemnocie mas.

Na zakończenie potrącił też o strunę patriotyzmu regionalnego zaznaczając, że pobłażliwy wyrok na tego rodzaju przestępstwa dałby powód i podstawę opinii publicznej innych dzielnic Polski do mniemania, że ręka sprawiedliwości na Kresach Wschodnich toleruje zacofanie i groźne jego następstwa.

Mecenas Makłaj ani w dziesiątej części nie rozporządzał darem krasomówczym przeciwnika. Toteż jego przemówienie, aczkolwie rzeczowe, nie zdołało zatrzeć wrażenia po piorunującej mowie prokuratora. Nawet nie próbował odpierać jego argumentów, a obronę oparł na samej osobie oskarżonego, człowieka bezinteresowanego, który wprawdzie przywłaszczył narzędzia chirurgiczne, lecz wyłącznie w celu ratowania umierającej dziewczyny.

– Nie pokazano tu nam nikogo – zakończył – komu by pomoc lekarska Antoniego Kosiby zaszkodziła, nie wymieniono ani jednego nazwiska pacjenta, który by z jego winy stracił życie. Natomiast widzieliśmy cały korowód ludzi wdzięcznych, wyleczonych przez niego. Dla-

tego proszę o uniewinnienie.

Jeżeli w tej chwili odżyły w Antonim nadzieje, zgasły one bardzo szybko pod ciosami repliki prokuratora.

– Zdumiewa mnie – zaczął – zdumiewa i zawstydza stanowisko zajęte przez pana obrońcę. Zawstydza, gdyż usłyszałem w jego obronie zarzut, iż rozpatrując winę oskarżonego, zająłem się zagadnieniem, a zapomniałem o człowieku. Istotnie, Wysoki Sądzie, poważne to przeoczenie ze strony oskarżyciela publicznego. Ale zdumiewa mnie, że właśnie z ust pana obrońcy pada to przypomnienie. Tak! Bo czyż po przyjrzeniu się moralnej sylwetce Antoniego Kosiby możemy z czystym sumieniem nie uznać jego przewinień za tym bardziej zasługujące na surową karę?... Ten rzekomy dobroczyńca ludzkości sprzykrzył sobie pewnego dnia uczciwą pracę fizyczną i zatęsknił do lekkiego chleba. Z parobka młynarskiego stał się szarlatanem. Niewątpliwie, łatwiej jest wygłaszać nad ogłupionym chłopem bzdurne zaklęcia czy poić go odwarem z ziół niż dźwigać worki z mąką. I oskarżony to wybrał. Legendę zaś jego bezinteresowności rozwiewają świadkowie, którzy zeznali, że wprawdzie nie płacili za porady, ale przynosili... dobrowolne prezenty. Sam Kosiba na pytanie zadane przez pana przewodniczącego oświadczył, że żyje dostatnio. A to dość jest wymowne w czasach dzisiejszego kryzysu i nędzy wieśniaków. Ci tylko na wsi żyją dziś dostatnio, którzy obdzierają biedotę, którzy szalbierskimi praktykami wyludzają od niej resztki ubogich zapasów.

Prokurator uśmiechnął się.

– Tak, Wysoki Sądzie, to jest jedna strona sylwetki oskarżonego, to jego przeszłość. A jak będzie jego przyszłość? Co zrobi, jeżeli wolny wyjdzie z tej sali?... Co do tego nie możemy mieć wątpliwości. Sam oskarżony rozwiązał je doszczętnie, odpowiadając podczas przewodu sądowego na moje pytania. Przyznał, że do ostatniej chwili uprawiał swoją praktykę i że w razie uwolnienia będzie znowu „leczył” ludzi. Nie odczuwa tedy najmniejszej skruchy. Nie

obiecuję poprawy. A w sprawie kradzieży? Przyznał się do czynu, lecz otwarcie powiada, że ukradłby drugi raz, gdyby zaistniały podobne okoliczności. Jest to przestępca który nie może, a raczej nie chce zrozumieć swojej winy, przestępca, zacięty w swym uporze. Oto jest człowiek, którym na życzenie pana obrońcy musiałem się zająć. Człowiek ten, głuchy na wszelkie upomnienia, stanowiący niebezpieczeństwo publiczne, powinien być natychmiast odseparowany od społeczeństwa i unieszkodliwiony surową karą więzienia.

Po kolejnej replice mecenasa Makłaja sąd udał się na naradę.

W pół godziny potem, już późnym wieczorem, wyrok został ogłoszony.

Brzmiał on: trzy lata więzienia.

Prokurator Zgierski przyjmował w kularach gratulacje od swoich krewnych i znajomych.

Antoniego Kosibę aresztowano na sali i odprowadzono do więzienia. Adwokat zapowiedział wniesienie apelacji.

Wiadomość o skazaniu i uwięzieniu Antoniego Kosiby przywieziona została do młyna przez chłopów wracających z rozprawy. W pierwszej chwili nikt nie chciał wierzyć, a Marysia nawet zaśmiała się.

– Ale ludzie! Przekreśliście coś! To zupełnie niemożliwe!

– Może na trzy miesiące? – podpowiadał Wasil.

– Nie, na trzy lata – upierali się chłopci: – A to przez to, że prokurator już strasznie na niego nastawał.

I jak umieli, opowiedzieli przebieg rozprawy.

– Zmiłujcie się! – zawołał stary Prokop. – Toż to tak wychodzi, że ten, co pokaleczył ich, omal nie zabił, został wsadzony na dwa lata, a ten, co ratował, na trzy. Jakże to tak?

– Ano tak wychodzi...

Marysia rozplakała się. Właśnie tego dnia wstała z łóżka, chociaż kaszel jeszcze ją męczył.

– Co robić, panie Mielnik, co robić? – zwróciła się do Prokopa.

– A ja skądże wiedzieć mogę?...

– Trzeba jechać do Wilna, żeby mu jaką pomoc obmyślić.

– Jakąż tu pomoc? Więzienia nie rozwalisz. Wasil odezwał się rozsądnie:

– Ja pannie Marysi powiem: żadnej tu pomocy być nie może, ale jak będzie apelacja, to wtedy. Pewno ten adwokat kiepski. Od adwokatów dużo zależy... Innego, znaczy się, trzeba.

Trzeba dowiedzieć się, jaki tam jest w mieście najważniejszy, i do niego.

Radę Wasila wszyscy pochwalili.

– A kiedy może być apelacja?

– To nieprędko – powiedział jeden z chłopów. – Jak ja miałem sprawę za te chojaki z wickuńskiego lasu, to apelacja przyszła w cztery miesiące.

– To i tak szparko! – zauważył inny. – Czasem do roku trzeba czekać. Całą noc Marysia przepłakała, nazajutrz zaś zapakowała tobołek. Włożyła tam bieliznę stryjcia Antoniego, półkożuszek, cały zapas tytoniu, co było kielbas i słoniny.

Właśnie przy tym pakowaniu zastała ją Zonia.

– Co to? – zapytała. – Posyłkę dla Antoniego szykujesz?

– Tak.

– A przez kogo pošlesz?

– Będę pytać. Przecie często się zdarza, że zajężdza tu kto, co do Wilna się wybiera.

Zonia zamyśliła się, a po chwili wyciągnęła chusteczkę, rozwiązała węzeł i wydobyła dwie monety pięciozłotowe.

– Masz, to i te pieniądze jemu pošlij.

– Jakaś ty dobra, Zoniu! – powiedziała Marysia. Ale Zonia nastroszyła się.

– Dla jednych dobra, dla drugich niedobra. Jemu daję, nie tobie! Marysia od dawna uważała, że u Zoni nie cieszy się specjalnymi łaskami. Powiedziała pojednawczo:

119

– Więc dziękuję ci za niego. Zonia wzruszyła ramionami.

– Ty jemu taki swat czy brat, jak i ja. Co masz za niego dziękować. On sam podziękuje jak wróci. I za to, i za to, że tu koło jego dobytku będę chodziła, że mu tu wszystkiego dopilnuję, żeby nie zmarniało.

– Po cóż, Zoniu, masz się tym zajmować?

– A kto ma się zajmować?

– Ja.

– Ty?... Jakimże sposobem ty?... Czy ty myślisz przez trzy lata tu, u mego teścia, siedzieć?...

Marysia zaczerwieniła się.

– Dlaczego trzy lata?... W apelacji przecie uwolnią stryjcia Antoniego...

– Albo uwolnią, albo nie. A on tobie nie żaden stryj. Jakże ty myślisz żyć tu?... Z czego?...

Zobaczyła w Marysinych oczach łzy i dodała:

– No, nie płacz. Przecie nikt cię stąd nie wypędza. Dachy nad głową starczy... A jedzenia też. Tylko tak mówiłam. Przez ciekawość. Nie płacz, głupia. Czy ci kto żałuje? No?...

Pomimo tych zapewnień, Marysia uświadomiła sobie teraz swoje położenie. Istotnie, gdy zabrakło stryjcia Antoniego, nie miała tu prawa pozostać. Dano jej to do zrozumienia z większą delikatnością niż zwykle u prostych ludzi, ale wyraźnie.

Toteż gdy usłyszała wołanie na obiad, nie ruszyła się z miejsca. Drżała na myśl, że cała rodzina Mielników będzie przyglądać się jej przy stole, będzie liczyć łyżki strawy, darowanej

strawy i każdy kęs podnoszony do ust... Między sobą po cichu będą nazywać ją przybłądą, darmozjadem poty, póki nie powiedzą jej tego głośno.

– Muszę stąd odejść, muszę... Tylko dokąd?...

Wiedziała od ludzi, że w sklepie pani Szkopkowej pracuje już jakaś inna dziewczyna. W całej okolicy na żadną posadę nie mogła liczyć. Nikt przecie nie wiedział, że była zaręczona z Leszkiem, nikt by nie uwierzył, gdyby nawet zdobyła się na powiedzenie tego głośno. Natomiast wszyscy wiedzieli, zwłaszcza po katastrofie, że spotykała się z nim, że jeździli na samotne spacerunki do lasu... Z taką opinią nie mogła spodziewać się jakiegokolwiek posady.

A odejść... dokąd?...

Rzuciła się na łóżko i płakała. Płakała nad swoim okrutnym losem, nad swoją wielką, jedyną miłością, która nie dała jej nic tylko ból, nic tylko wstyd, nic tylko nieszczęście...

– Leszku, Leszku, dlaczego zapomniałeś o mnie!... – powtarzała zalewając się łzami.

– Hej, panno Marysiu, obiad! – rozległ się za oknem głos Wasila. Nie poruszyła się, a on po chwili wszedł.

– Czego panna Marysia płacze? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziała wśród szlochu.

– Jakże to tak?... Skrzywdził kto pannę Marysię?... No, proszę powiedzieć!...

– Nie, nie...

– To czego płakać?... Nie trzeba... Zadreptał na miejscu bezradnie i dodał:

– Jak panna Marysia płacze, to ja patrzeć na to nie mogę. No, dosyć... dosyć... A może kto co powiedział?

– Nie, nie... Chłopak nagle przypomniał sobie, że widział niedawno Żonie wychodzącą z przybudówki. Ogarnęła go złość.

– Dobrze – mruknął i wyszedł. Cała rodzina siadała już do stołu. Wasil stanął na progu

kuchni i odezwał, się spokojnie:

– Dlaczego Marysi nie ma?

– Wołałam, nie wiem dlaczego nie przyszła. – Olga wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz?...

– Nie wiem.

– To może Zonia wie?

120

Zonia odwróciła się doń plecami.

– Skąd ja?... Wasil wrzasnął nagle:

– To ja wiem, cholero ty zatracona!

– Co ty, Wasil, co tobie? – szczerze zdziwił się stary Prokop.

– A to mnie, że ona tam płacze! A przez kogo może płakać, jak nie przez tę wiedźmę?...

Coś jej tam nagadała?!

Zonia wzięła się w boki, podniosła wojowniczo głowę. – Co chciałam to i nagadałam. Rozumiesz?!

– Cicho! – zniecierpliwił się Prokop.

– To czego on na mnie!... Ja jej nic takiego nie powiedziałam, ale choćby, to co?... Na naszej łasce tu jest, to niech nie będzie taka honorowa.

– Nie na twojej łasce! – ryknął nie panując już nad sobą Wasil.

– To niech sobie idzie na cztery wiatry! – zawołała Zonia w podnieceniu.

– Ona?... – zaśmiał się Wasil, usiłując nadać swemu śmiechowi złowrogie brzmienie. –

Ona?... Pierwej ty pójdziesz. Jeszcze nie wiadomo, czy ona tu nie będzie większą gospodynią od ciebie, ty szlajo!... Nie zapominaj, że ojciec już stary, a potem moje panowanie. Ciebie wypędzę na cztery wiatry, ciebie! A zechcesz mój chleb jeść, to będziesz musiała buty jej

czyścić!

Zapanowało milczenie. Domyślili się wprawdzie już wcześniej, że Marysia podoba się Wasilowi. Ale teraz usłyszeli to wprost z jego ust. Podobanie zaś to było, widać, nie byle jakie, skoro spokojnego zazwyczaj chłopca przyprawiło o taki gniew, że zagroził nawet bratowej, którą przecie lubił, wypędzeniem.

Stał blady, ze skurczoną twarzą i wściekłym wzrokiem wodził po obecnych.

– Cicho! – odezwał się Prokop, chociaż w izbie i tak panowała zupełna Cicho, mówię! Ty, Wasil, wybij to sobie z głowy. Nie bądź durny.

cisza.

Nie dla ciebie ona, a ty nie dla niej. Sam pomyślisz, to i oprzytomniejesz.

A ty, Zonia, idź do niej i poproś. Niech przyjdzie. A patrz – pogroził palcem – patrz, żeby zechciała przyjść. I to jeszcze ci powiem, Zonia, że źle jest tak sierotę, biedaczkę krzywdzić!

Bóg za to karze.

– Jaz jej nie krzywdzę, Bóg świadkiem. – Uderzyła się w piersi.

– No to idź. A wiedz i to, iż Antoni ją jak rodzoną kocha. Jakże to?... Jego nieszczęście spotkało, a ja mu tymczasem mam chleba i dachu żałować dla tej dziewczyny?... Boga się bój, Zonia. Idź... idź.

– Co nie mam pójść? Pójdę.

Zonia pobiegła do przybudówki. Żal już ją odszedł, a może i myśl, że ta panienczka nie będzie jej rywalką, bo juści mając do wyboru starego Antoniego i Wasila, młodego i bogatego, raczej wyjdzie za niego, może i ta myśl sprawiła, że z rozczeniem zaczęła przepraszać Marysię, tulić ją i całować.

– Co, co, nie płacz, ja dla ciebie wszystko, nie to żebyś przeze mnie miała łzy wylewać.

Chcesz tę zieloną chustkę w kwiaty? Chcesz, to dam ją tobie... No, nie płacz, nie płacz...

Głaskała ją po plecach, po mokrej twarzy, po rękach, aż wreszcie Marysia uspokoiła się.

Gdy wróciły do kuchni, nie było już więcej mowy o całej sprawie.

Pomimo to, pomimo całej życzliwości, jaką rodzina młynarza otaczała Marysię, jej wrażliwość, raz zbudzona, nie dawała jej spokoju. Uczucie, że jest dla tych ludzi ciężarem, że korzysta z ich dobroci, nie mogąc niczym wywdzięczyc się za to, wciąż odzywało się z jednokową siłą. Wielokrotnie ofiarowywała się z pomocą w gospodarstwie, lecz kobiet tu było dość i żadna nie dawała się wyręczyć.

121

Dręczyła się więc myślą, co ma z sobą począć i coraz wyraźniej widziała, że jest bezradna. O wyjeździe bez grosza przy duszy i mowy być nie mogło. Pozostawała jedna tylko nadzieja, że pani Szkopkowa przyjmie ją z powrotem do siebie.

Na krótko przed świętami Bożego Narodzenia wybrała się Marysia wreszcie do miasteczka. Wyszła dość późno, by w Radolizkach nie pokazać się przy jasnym dniu. Nie chciała ludziom leżeć w oczy.

Toteż był już zmierzch, gdy stanęła przed domkiem pani Szkopkowej.

Nadeszła właśnie pani Szkopkowa.

– O, Marysia! – powiedziała z nadrabianą serdecznością. – Jak się masz, drogie dziecko.

Marysia pocałowała ją w rękę.

– Dziękuję pani, już teraz dobrze, ale omal nie umarłam.

– Tak, tak... Trzeba zapalić lampę...

– Zaraz zapalę. – Marysia ruszyła się, lecz pani Szkopkowa wzięła zapałki.

– Nie, daj spokój. U siebie w domu to już ja – powiedziała z wyraźną intencją. – A to wiem, żeś była umierająca. Cóż, własna twoja wina. Ja swój obowiązek spełniłam. Przestrzegalam, że nic z tego dobrego nie wyjdzie. Nie słuchałaś starej Szkopkowej. Tak... tak.. Przy-

szałaś pewno po rzeczy?

– Po rzeczy – potwierdziła Marysia i odwróciła głowę, by ukryć łzy.

– Możesz je zabrać. Nie podźwigasz się. Dawno już je spakowałam i miałam zamiar odeśłać ci je do młyna. Tylko okazji nie było. Zapanowało milczenie.

– Jakże ci tam? – zapytała Szkopkova, krzątając się przy komodzie.

– Tak sobie.

– No, to pewnie i nie szkodujesz, żeś tam u nich.

– Wolałabym, by było jak dawniej – bąknęła Marysia.

– I ja bym wolała – z naciskiem przytaknęła Szkopkova. – Cóż począć, kiedyś wybrała inaczej. Wolałaś śmierć na siebie ściągnąć i hańbę, a na mnie wstyd... Matka tam twoja w grobie się pewno przewróciła... Byłam na cmentarzu w Zaduszki, byłam, lampkę na mogiłce postawiłam i wianek z nieśmiertelników zaniiosłam, by ją biedną pocieszyć. Cóż, mówię, pani Okszyńska kochana, nie wiń mnie, bo nie raz, nie dziesięć upominałam córkę twoją. Ale młodość nie wierzy doświadczeniu starych. Módl się tam za opamiętanie swego dziecka... Pomodliłam się i ja, byś lepszych opiekunów ode mnie znalazła... No i tak.

Marysi po policzkach spływały łzy.

– Proszę pani, przysięgam pani, że nic złego nie zrobiłam, przysięgam!

– Moje dziecko. Chciałabym ci wierzyć. Ale cóż moja wiara pomoże? Wszyscy widzieli, żeś się zadawała z tym lekkoduchem, którego dotychczas Bóg miłosierny w swojej łaskawości jeszcze nie pokarał. Wszyscy wiedzą, że cię omal nie zabił, a potem rzucił... I jeżeli chcesz ode mnie rady, to ci ją dam: Jedź stąd jak najdalej, do obcych, na drugi zaś raz unikaj takich elegantów i wariatów. A żebyś miała za co jechać i żebyś nie wspominała mnie takim ciężkim sercem, jak ja ciebie, to tam w swoim koszyku znajdziesz parę złotych... Na początek ci wystarczy. Najlepiej do Warszawy jedź. Tam zajdź do jakiego księdza i poproś o radę. W wiel-

kim mieście o pracę łatwiej.

Wytarła nos i dodała:

– Tak sobie obmyślałam. Tylko pewno znowu na próżno. Nie posłuchasz ty mojej rady.

Marysia chwyciła ją za rękę i pocałowała.

– Na pewno tak zrobię. Dziękuję pani, dziękuję... Nigdy nie zapomnę...

– No to idź, dziecko, z Bogiem. Niech cię Najświętsza Panienska błogosławi i strzeże.

Uściskała Marysię, a odprowadziwszy ją za próg, krzyknęła jeszcze:

– A napisz tam do mnie!

– Napiszę.

122

Koszyk z wikliny nie był ciężki, uboga jego zawartość również, a przecież ręka wciąż drętwiała i coraz częściej trzeba ją było zmieniać.

Od paru dni mróz zelżał, a teraz zaczął padać śnieg wielkimi płatami, które spadały wolno, leniwie, lecz tak gęsto, że na kilka kroków wokoło nic już widać nie było. Na szczęście wysokie drzewa po obu stronach gościńca nie pozwalały zabłądzić. Jeżeli zaś Marysia szła coraz wolniej, to nie z obawy o zgubienie drogi. Tyle myśli przebiegało przez jej głowę, tyle sprzecznych uczuć odzywało się w sercu. Przyznawała zupełną słuszność dawnej opiekunce. Istotnie, należało wyjechać, wyjechać najdalej, choćby do Warszawy. Ma teraz pieniądze na drogę i każdy dzień zwłoki byłby nonsensem...

Ale porzucić te strony, ale wyrzec się raz na zawsze nadziei zobaczenia Leszka, choćby z daleka... I tak zostawić stryjcia Antoniego?!... On przecie tu wróci... Tyle dobroci jej okazał, tyle wzajemnych uczuć wzbudził... Oczywiście, trzeba jechać. Lecz raczej do Wilna. Pewno pozwolą jej odwiedzić go w więzieniu... Naradzą się, co począć... Tak, to najważniejsze, to przecie teraz jedyne. Cóż jej innego pozostało?...

Z trudem odszukała boczną drogę do młyna. Śnieg padał tak gęsto, że gdyby nie szum wody na kole i nie prychanie koni pod młynem, nie dostrzegłaby go wcale. Światła zobaczyła dopiero z bliska i zdziwiła się: w oknach przybudówki też było jasno.

– To chyba Natalka przysłała tu odrabiać lekcje – pomyślała Marysia. Otrzeptała w sionce buciki ze śniegu, otworzyła drzwi i stanęła jak wryta. Izba nagle zawirowała przed jej oczami, serce uderzyło gwałtownie, z ust wyrwał się cichy okrzyk i – straciła przytomność.

Rozdział XVI

W sanatorium doktora du Chateau w Arcachon zwykle z początkiem grudnia zaczynał się zimowy sezon i masowy napływ paryskich artretyków. Toteż gdy w połowie grudnia przybył pan Stanisław Czyński i oznajmił doktorowi, że chce zabrać syna do kraju, lekarz nie sprzeciwiał się wcale.

– Owszem – powiedział – pański syn jest właściwie zupełnie zdrow. Wykluczyłbym dlań na razie wszelkie forsowniejsze sporty, ale kości zrosły się bez zarzutu, mięśnie pod wpływem masażu zjędrniały dostatecznie, co zaś się tyczy usposobienia, myślę, że jest ono skutkiem nostalgii. Powrót do kraju, do rodziny ożywi go i rozrusza.

– I ja mam taką nadzieję. – Pan Czyński potrząsnął jego ręką. A teraz, siedząc w wagonie naprzeciw syna, nie miał już z tej nadziei nic. Umyślnie po naradzie z żoną wyjechał sam do Arcachon, by zabrać Leszka na święta. Przerażeni byli jego listami. Przesłał im po długim bombardowaniu tylko dwa, i to krótkie, kostyczne, obojętne.

Równie obojętnie powitał ojca i zgodził się na powrót.

– Wszystko mi jedno – powiedział tylko.

Siedział milczący, ze zgasłym od dawna papierosem w ręku i zdawał się nie słyszeć opowiadań ojca o polityce, o poprawie koniunktury, o nowych zamówieniach. Zdawało się, że nic go nie obchodzi, nic nie może zainteresować, nic poruszyć. Czyżby nerwowy wstrząs, jakiego

doznał przy tej nieszczęsnej katastrofie, miał na zawsze już zmienić tego wesołego chłopca w apatycznego melancholika?...

Pan Czyński na próżno wysiłał się, by czymkolwiek zająć uwagę syna. Leszek ograniczał się do krótkich odpowiedzi, bezmyślnie przyglądał się końcom własnych butów i był w nim jakiś zastygły, bezwładny spokój.

W nocy pan Czyński nie mógł zasnąć i zajrzał do przedziału syna. Miał jakieś złe przecucia i niewiele omylił się: Leszek pomimo mroźnej nocy otworzył okno i w cienkiej jedwabnej

123

pidżamie stał wychylając głowę na zewnątrz. Poryw lodowego wiatru przy otwarciu drzwi wtargnął do przedziału.

– Co ty wyprawiasz, synu! – przeraził się pan Czyński. – Dostaniesz zapalenia płuc!

Leszek odwrócił się.

– Możliwe, ojcze.

– Proszę cię, zamknij okno.

– Gorąco mi.

– Chcę z tobą pomówić.

– Dobrze.

Zamknął okno i usiadł.

– Jesteś bardzo nieostrożny, Leszku – zaczął pan Czyński. – Nie tylko nie dbasz o swoje zdrowie, lecz świadomie się narażasz. Milczenie było jedyną odpowiedzią.

– Czemu nie położyłeś się?

– Nie jestem senny.

– Jednak powinieneś. Twój stan zdrowia wymaga jeszcze dużej dbałości.

– Po co? – Leszek spojrzał ojcu w oczy.

– Jak to po co?!

– Tak, po co? Czy sądzisz, że zależy mi na tym?

– Powinno ci zależeć.

– Aha! – Machnął ręką.

– Leszku!

– Mój ojcze! Czy ty naprawdę sądzisz, że życie jest czymś godnym dbałości, niepokoju, zabiegów?... Wierzaj mi, że osobiście nie zależy mi na nim wcale.

Pan Czyński uśmiechnął się z przymusem.

– Gdy byłem w twoim wieku – skłamał – miewałem również tego rodzaju depresje, lecz miałem dość rozsądku, by zakwalifikować je jako stany przemijające.

– I w tym różnimy się, ojcze. – Skinął głową. – Ja wiem, że to nie jest przelotna depresja.

– Więc upewniam cię, że tak. Ufaj memu doświadczeniu. Oczywiście, szok fizyczny i psychiczny musi mieć swoiste następstwa. Ale to przejdzie. Przejdzie tym prędzej, im rozumniej ustosunkujesz się do swego obecnego usposobienia. Uświadomienie sobie powodów depresji jest najskuteczniejszym środkiem jej zwalczania.

Pan Czyński nie odniósł wrażenia, by jego przekonywająca argumentacja przemówiła do syna, i dodał:

– A jeszcze i to. Nie wolno ci zapominać o nas, o twoich rodzicach, dla których jesteś wszystkim. Jeżeli twój rozsądek nie może cię poruszyć, odwołuję się do twoich uczuć.

Leszek drgnął i po pauzie zapytał:

– Czy rzeczywiście uważasz, ojcze, uczucia za siłę tak potężną i godną szacunku, że należy je brać w rachubę wówczas, gdy zjawia się w nas hamletowskie zagadnienie: być albo nie być?...

– Oczywiście, Leszku.

– Dziękuję ci. Jestem tego samego zdania.

– A widzisz, synku. No, połóż się teraz i spróbuj zasnąć. Nad ranem będziemy w domu.

Tak... Nie możesz sobie wyobrazić, jak twoja matka tęskni za tobą. Zawsze usiłuje udawać naturę silną... Ale ty sam wiesz, ile pod tą powierzchnią kryje się najgłębszej czułości. No, śpij, synu. Dobranoc.

– Dobranoc, ojciec – drewnianym głosem odpowiedział Leszek.

Zgasił światło, lecz nie położył się. Miarowy stukot kół pociągu, lekkie kołysanie się wagonu, jaskrawe smugi iskier na czarnej szybie... Tak samo wtedy wracał. Tylko wtedy pragnąłby przyspieszyć bieg pociągu. Wiózł dla niej pierścioneńkę zaręczynową, a dla siebie szczęście.

124

Czy w Ludwikowskiej oranżerii są już bzy?... Tak, bzy i heliotropy, mocno pachnące...

Każde wszystkie pościnać. I może... Tam na pewno leży głęboki i biały śnieg. A na śniegu nawet śladu niczyjego nie ma. Zapomniany, mały wzgórek...

Będzie szedł po tej niepokalanej, białej powierzchni... Pierwszy i ostatni... Tam cel. A już stamtąd żadna droga nie prowadzi... Ułoży kwiaty, całą mogiłkę zasypie kwiatami... Czy przez śnieg, przez warstwę ziemi i przez drewniane wieko dotrze do niej zapach bzu i heliotropu?... Czy dotrze jego szept powtarzający najdroższe imię, najczulsze zaklęcia, najrozpaczliwsze przysięgi?... Czy usłyszy ona słabnące, zamierające tętno jego serca wśród umierających kwiatów, czy przygotuje się na przywitanie go, czy zarzuci mu, jak dawniej, ręce na szyję i pozwoli mu do syta patrzeć w te promienne oczy?... Już na zawsze, już na wieczność... Jakże błoga wiara ogarniała go, gdy o tym myślał. Jaki spokój spływał nań, odkąd się z tym pogodził. Ilekroć został sam, pogrążał się w tych beznamiętnych, ogromnych i jak pustka kosmiczna niezmiernych przestrzeniach śmierci. Należał już do nich bez reszty.

O ileż gorszy, o ileż boleśniejszy był pierwszy okres. Gdy tylko mógł wymówić kilka sylab, zapytał ich:

– Co z nią?

Matka wówczas drgnęła i powiedziała krótko:

– Nie żyje, ale nie myśl o tym. A doktor Pawlicki dodał:

– Strzaskanie podstawy czaszki. Z tym nie można żyć dłużej niż kilkadziesiąt minut.

Wówczas stracił przytomność ponownie. A ile razy odzyskiwał ją, świadomość śmierci Marysi zdawała się być zaprzeczeniem jego własnego życia. Leżąc z zamkniętymi oczyma słyszał rozmowę prowadzoną półgłosem. Doktor robił pani Czyńskiej wyrzuty:

– Nie należało mu mówić o śmierci tej dziewczyny. To było nieostrożne. Może pogorszyć stan nerwów. A matka na to:

– Nie należało mu mówić o śmierci tej dziewczyny. To było nieostrożne. Może pogorszyć stan nerwów. A matka na to:

– Nie umiem kłamać, doktorze. A jeżeli o mnie chodzi, zawsze wolałam bodaj przykrą prawdę niż złudzenie. Zresztą mój syn nie ponosi przecie odpowiedzialności za wypadek.

– Myślałem – zawahał się lekarz – o czym innym. Mógł mieć jakiś sentyment do tej Marysi...

– To jest wykluczone – przerwała pani Czyńska z takim naciskiem, jakby samo domniemanie było dla niej obrazą.

Stan fizyczny Leszka poprawiał się z dnia na dzień. W wileńskim szpitalu zrobiono wiele zdjęć rentgenowskich, rany i okaleczenia goiły się normalnie. Natomiast psychiczny stan chorego budził coraz większe obawy. Toteż skoro to tylko nie mogło zagrażać jego zdrowiu, przewieziono go najpierw do kliniki chirurgicznej w Wiedniu, następnie zaś na okres rekonwalescencji do Arcachon. W Arcachon wesołe międzynarodowe towarzystwo miało wpłynąć na usposobienie Leszka zbawiennie. Niestety, wyraźnie unikał ludzi. Nie brał udziału w za-

bawach i wycieczkach, a chociaż automatycznie stosował się do przepisanej kuracji, jego nastrój nie uległ żadnym zmianom.

Przynajmniej pozornie. W gruncie rzeczy i niewidocznie dla otoczenia dojrzewała w nim decyzja.

Dojrzała i przyniosła ukojenie...

Oczywiście kochał rodziców i zdawał sobie sprawę z tego, jaki ból im wyrządzi. Byłby nawet gotów do dużych poświęceń, lecz myśl o skazaniu siebie na całe życie, na długoletnią katorgę cierpień, których nic już złagodzić nie mogło, wydawała mu się czymś potwornym i o wiele przerastającym jego siły.

A nadto pragnął śmierci, właśnie takiej śmierci, pragnął jak ekspiacji. Przecie wtargnął w życie, w spokojne i radosne życie tej najcudowniejszej istoty, nie proszony, nie wołany, niemal przemocą. Gdyby nie on, wiodłaby do dziś dnia swoją, może prostą i ubogą, lecz pogodną egzystencję. On zburzył jej spokój, przez niego wreszcie zginęła i jeszcze po śmierci zo-

125

stała na jej pamięci zła sława. Przez niego. Nie miał dość odwagi, by stawić od razu czoła wszystkim przeciwnościom. Był zbyt małoduszny. Ukrywaniem swoich zamiarów chciał zapewnić sobie wygodny byt. Za cenę jej opinii!

To wołało o karę! I musiał ją sobie wymierzyć, bo tylko ta kara stanie się rehabilitacją dla Marysi, bo tylko ta kara oczyści pamięć kochanej ponad wszystko istoty...

Pociąg zatrzymał się na małej, jakże znajomej stacyjce. Na peronie stała pani Czyńska, Tita Zenowiczówna, jej siostra Anielka, kuzyn Karol, jego żona Znika i jeszcze kilka osób z rodziny, która do Ludwikowa zwykle zjeżdżała na święta Bożego Narodzenia.

Zdawkowy półuśmiech, z jakim Leszek witał wszystkich, nikogo nie wprowadził w błąd: był zaledwie konwencjonalny. Umyślnie wyjechali na jego spotkanie owacyjnie i gwarnie, by

z miejsca go rozruszać, rozbawić, wciągnąć w swoje bez troskie, codzienne sprawy. Jedną tylko Anielka przyglądała mu się w milczeniu i jakby ze współczuciem.

– Jak on zmizerniał i jaki jest smutny – powiedziała pani Czyńskiej półgłosem.

– Postaraj się go rozbawić i udawaj, że nie spostrzegasz w nim żadnej zmiany. – Pani Eleonora ścisnęła ją za rękę. – Zawsze cię bardzo lubił.

Czworo sań z pobrzękiwaniem janczarów zajechało przed ludwikowski pałac niczym kuligiem. Przez cały dzień nie zostawiano Leszka ani na chwilę samego. W salonie hałasowało na zmianę radio z gramofonem.

Po kolacji nareszcie znalazł się u siebie. Nic tu nie zmieniono podczas jego nieobecności.

Z niepokojem zajrzał do biurka. Pamiętnik Marysi leżał na swoim miejscu.

Przez całą noc czytał, po kilkakroć wertował te same stronic, których treść, ba, niemal każde słowo, tak dobrze pamiętał. Zasnął dopiero nad ranem i obudził się późno. Służący przyniósł śniadanie i oznajmił:

– Pan starszy jest w fabryce i kazał zapytać, czy panicz nie zechce tam wstąpić.

– Nie – potrząsnął głową. – Ale proszę zawołać ogrodnika.

– Słucham, paniczu!

– Czy w oranżerii jest dużo kwiatów?

– Jak zwykle na święta. Szczególniej róże w tym roku udały się. Po śniadaniu zjawił się ogrodnik i przeszli razem do oranżerii. Leszek

wskazywał nieco zdziwionemu człowiekowi coraz nowe kwiaty i na zakończenie powiedział:

– To wszystko proszę ściąć.

– Ściąć?...

– Tak. I opakować.

– A dokąd to pójdzie, proszę pana?

– Ja sam zabiorę.

– To pan inżynier wyjeżdża?

Leszek nic nie odpowiedział i skierował się do wyjścia.

– Proszę pana. – Ogrodnik zatrzymał go. – Ale pan kazał ścinać prawie wszystkie kwiaty.

To nie moja sprawa. Tylko że ja nie wiem, czy pani...

– Dobrze. Proszę powiedzieć pani i zapytać, czy nie ma nic przeciw temu.

– Pani wyjechała samochodem na stację i wróci dopiero na obiad.

– Więc po obiedzie Jan spyta. Ja też jadę dopiero po obiedzie. Leszek nie wątpił, że matka zgodzi się nawet na największe spustoszenie w oranżerii. Oczywiście od razu domyśli się, po co mu kwiaty są potrzebne. Wrócił do siebie i zabrał się do pisania listów. Najdłuższy był do rodziców.

Krótkie i serdeczne do paru przyjaciół, oficjalny do policji i wreszcie do pani Szkopkowej.

Na tym ostatnim szczególnie mu zależało. Miał on stanowić rehabilitację dla Marysi w opinii miasteczka.

126

Właśnie skończył pisanie, gdy do drzwi zapukała gospodyni, pani Michalewska. Wczoraj nie zdążyła przywitać się z Leszkiem. Była strasznie zapracowana, jak to przed świętami. A teraz dowiedziała się, że już po obiedzie Leszek wyjeżdża, więc oderwała się od ciast, zdając je na łaskę i niełaskę kucharza, by tylko zobaczyć się z panem Leszkiem i wyrazić mu swoją radość, że go znowu, dzięki Bogu, widzi w zdrowiu. Zaczęła opowiadać, jak tu wszyscy w okolicy dopytywali się o niego, co kto mówił, co kto zrobił...

Leszek słuchał tej paplaniny i przyszło mu na myśl, że ta kobiecina, ta żywa kronika całego powiatu musi wiedzieć dokładnie to, o co nie chciałby wypytywać w miasteczku.

– Moja Michalesiu! – odezwał się. – Mam do Michalesi prośbę.

– Prośbę?

– Tak. Czy Michalesia nie wie... – głos mu się załamał – czy Michalesia nie może mi powiedzieć... gdzie... pochowano...

– Kogo?

– Gdzie pochowano tę... panienkę, co zginęła wówczas w katastrofie?... Kobieta szeroko otworzyła usta.

– W jakiej katastrofie?

– No, razem ze mną! – zniecierpliwił się.

– Jezus Maria! – krzyknęła. – Co pan Leszek mówi! Jakże ją mogli pochować?!... Ta Marysia?... Od Szkopkowej?... Toż ona żyje!

Wszystka krew uciekła mu z twarzy. Zerwał się z krzesła i omal nie upadł.

– Co?!... Co?!... – zapytał przeraźliwym szeptem, aż załękciona Michalesia cofnęła się do drzwi.

– Klnę się Bogiem! – zawołała. – Jakże ją mieli grzebać? Wyzdrowiała. Ten znachor ją wyleczył i zamknęli go do więzienia. A ona w tym to młynie żyje. Przecież wiem od ludzi. A ot i nasz Pawełek, ten z kuchni, na własne oczy ją widział... Boże! Ratunku!...

Leszek zachwiał się, zatoczył i upadł na ziemię. Przerazona gospodyni sądziła, iż zemdlął, lecz usłyszała szloch i jakieś bezładne słowa. Nie różu, mając, o co chodzi, i w poczuciu własnej odpowiedzialności za to wszystko, wybiegła wołając o pomoc.

W hallu siedziało całe towarzystwo. Wpadła tu i zdyszczanym głosem opowiadała, że panu Leszkowi coś się stało.

Nim jednak zdążyła skończyć, wbiegł sam Leszek, przeleciał przez hali i nie zamykając za sobą drzwi, wypadł na taras.

– Jeszcze się zaziębi! – jęknęła Michalesia. – Bez palta! Co ja narobiłam!...

On tymczasem biegł ku stajniom.

– Prędzej zaprzęgać! – krzyknął pierwszemu spotkanemu fernalowi. – Prędzej! Prędzej!

I sam zabrał się do pomocy. Zrobił się ruch. Z pałacu nadbiegł lokaj z futrem i z czapką. W pięć minut później sanie mknęły drogą do Radoliszek, mknęły zaś jak szalone, bo Leszek odebrał stangretowi lejce i sam powoził.

W głowie mu się kręciło, serce waliło jak młotem. Myśli też wpadły w jakiś opętańczy galop. Wprost rozsadały go sprzeczne uczucia. Przepęniało go wielkie, radosne szczęście, a jednocześnie targał jego mięśniami taki gniew. Gotów był wszystkim wszystko przebaczyć, gotów był rzucić się w objęcia największemu swemu wrogowi i nagle wściekłość zaciskała mu szczęki. Okłamywano go! Tak niskiego, tak haniebnego użyto podstęp! Ukrywali przed nim przez tyle czasu, że ona żyje. Zemści się za to, .zemści się bez litości!

I nagle przychodziło rozczulenie: a ona ile wycierpieć musiała! Na pewno czekała od niego wiadomości, listu, znaku życia. Stopniowo traciła nadzieję, samotna, opuszczona, zapomniana w nieszczęściu przez człowieka, który przysięgał jej miłość.

– Czyż nie uważa mnie teraz za szubrawca?...

Zgrzytnął zębami.

127

I to przez nich! O, nie puści im tego płazem. Tego doktora Pawlickiego spoliczkuje i obetnie mu uszy w pojedynku. Niech wie na całe życie, że postąpił jak szelma. A matka?... O, ona jeszcze srożej odpokutuje za swój nędzny czyn. Powie jej tak:

– Twój syn przez twoje podłe kłamstwo byłby popełnił samobójstwo. Kłamstwo wydało się wbrew tobie. Uważaj zatem, żeś zabiła swego syna. A w każdym razie wszystkie jego synowskie uczucia. Na zawsze jestem i pozostanę ci obcy.

I więcej nigdy już nie odezwie się do niej ani jednym słowem. Wyjedzie, wyjedzie stąd na zawsze i to natychmiast. Bo i ojca nie chce już widzieć. Jak mógł on pokrywać milczeniem kłamstwo matki!

– Oto miłość rodzicielska, niech ją piekło pochłonie!

I tylko pomyśleć, jak bliskie było przez nią nieszczęście: przecie tam, we Francji, już dawno chciał z tym skończyć. Powstrzymało go tylko pragnienie spełnienia ostatniego obowiązku w stosunku do Marysi. Dlatego czekał, dlatego tu wrócił...

– Bóg widocznie kierował moimi krokami...

I nagle wydało się mu, że przenika tajemnicę swojego przeznaczenia, że przeznaczeniem tym ma być wielkie, niezmiernie szczęście i że ogromu tego szczęścia nie potrafiłby nigdy należycie ocenić, gdyby nie owe cierpienia, gdyby nie owa rozpacz bez granic, która przetrawiła jego duszę.

I zastanowił się: przecie w życiu nieraz spotykały go radości, powodzenia, pomyślność.

Przyjmował wszystko to jako rzecz naturalną, należną mu i zwykłą. I nie przypominał sobie, by chociaż w jednym wypadku odczuł wdzięczność, by obudziła się w nim chęć wplecenia do przyzwyczajenia odmawianych pacierzy jednego chociażby dziękczynnego westchnienia. Czyż trzeba było aż tak ciężkich doświadczeń, by nauczyć się cenić te wielkie dary?... By zrozumieniem ich wartości na nie zasłużyć?... By stać się dojrzałym do przyjęcia takiego szczęścia?...

Tak myślał sobie, a że myśl u niego musiała, jak zawsze, natychmiast znaleźć wyraz w czynie, na pierwszym rozstaju pod krzyżem ściągnął konie, aż tylnymi kopytami zaryły się w śniegu, rzucił lejce stangretowi, wyskoczył i klękawszy z obnażoną głową, wpatrzył się w małą figurkę Chrystusa wyciętą z blachy i szerniałą od rdzy.

– Dzięki Ci, Boże, dzięki Ci, Boże!... – powtarzał.

Zawsze uważał się za wierzącego, uważał się tym pewniej, że nie trapiły go nigdy żadne wątpliwości natury zasadniczej. Od dziecka wychowany religijnie, nie odznaczał się nigdy szczególniejszą gorliwością, lecz i nie zaniedbywał praktyk, nakazanych przez Kościół, w granicach dozwolonego minimum. Dlatego też ta modlitwa pod krzyżem, na rozdrożu, dla niego samego była rewelacją. Nie wiedział dotychczas, co to jest modlitwa i jak głębokich doznań może być źródłem.

Gdy wsiadł ponownie do sanek, czuł, że się w nim uciszyło, wypogodziło, pojaśniało. Złagodniały też myśli o postępku matki, przyszły refleksje. A jednocześnie jakby wzmożła się świadomość szczęścia, które go czeka.

Przez Radoliszki przejechali pędem i skręcili w gościniec ku młynowi Prokopa. Zapadł już wczesny, zimowy zmierzch, gdy stanęli przed młynem.

Przed drzwiami stał robotnik Witalis.

– Czy tu mieszka panna Wilczurówna? – zapytał go Leszek.

– Kto taki?

– Panna Wilczurówna.

– Nie wiem. Tu nie mieszka. Chyba że to ta panna Marysia?

– Tak, tak! – Wyskoczył z sanek. – Gdzież jest panna Marysia?

– A poszła do miasteczka. Jadąc do Radoliszek, musiał pan ją spotkać.

– Nie spotkałem. A czy prędko wróci?

– Pewno prędko.

128

– To ja zaczekam.

Z drzwi wychyliła się głowa Zoni.

– Jak pan łaskaw zaczekać, to może najwygodniej będzie w pokojach. Albo może w przy-

budówce, u Marysi... Proszę, pan pozwoli tutaj.

Obtarła ręce fartuchem i wprowadziła Leszka do izby w przybudówce. Znalazła na przy-
piecku zapałki i zapaliła lampę. Rozejrzał się po izbie. Było tu ubogo, lecz schludnie.

– Marysia na pewno niedługo przyjdzie. Do miasteczka poszła – zagaiła rozmowę Zonia. –

A pan inżynier, to widzę, wyzdrowiał całkiem, dzięki Bogu.

– Wyzdrowiałem.

– To szczęście prawdziwe. Jak pana inżyniera i Marysię tu przywieźli, to aż strach było
spojrzeć. Krwi tyle, że niech Bóg uchwaja! Już i modlitwy za konających odmawialiśmy. I
żeby nie Antoni!... Szkoda gadać! – Machnęła wymownie rękami.

– Jaki Antoni? – zastanowił się Leszek.

– Antoni Kosiba, znachor, co tu mieszka.

– Tu mieszka?

– No, a gdzie? Teraz to on w więzieniu. Ale tu mieszka, tu wróci. To przecież on tutaj, o,
na tej ławie, pana inżyniera ratował, a sklejał, a zszywał – zachichotała Zonia. – Plamy po
krwi to aż szkłem musiałam zeskrobywać. Zejść nie chciały. A ją, Marysię, to na tym stole
reperował. Z panem źle było, ale już z nią, to i nadziei żadnej nie było. I nie dychała wcale.
Kości w mózg powchodziły. Doktor, jak pana zabierał do samochodu, to mówił, że ona już
kaput. Dla tej biedaczki – powiada – tylko trumna – powiada – a szkoda, bo ładna. I prawdę
powiedzieć, to przez tydzień nikt nie myślał nawet, że ona odżyje. Antoni nawet czemodan z
tymi przyborami doktorskimi ukradł, żeby ją ratować. Dniami i nocami koło niej chodził. Już
sam nie wiedział, co począć. NaWet owczarza z Pieczek kazał wołać, żeby uroki odczynił. A
ona wciąż niczym martwa. Na koniec, jak ja białą kurę pod oknem zarznąłam, to i pomogło.
Leszek słuchał z największym zajęciem i przyszło mu do głowy, że być może niesłusznie
posądzał matkę i doktora Pawlickiego o świadome kłamstwo. Prawdopodobnie oboje byli

przeświadczeni, że umierająca podczas ich wyjazdu Marysia nie zdołała już wrócić do zdrowia. Opowiadanie tej młodej kobiety zdawało się świadczyć na ich korzyść. Później jednak matka niewątpliwie dowiedziała się, że Marysia żyje. Dlaczego tedy nie napisała mu o tym ani słowa?... Dlaczego ojciec nie wspomniał, dlaczego dopiero w Ludwikowie, i to przypadkowo, dowiedział się o tym!?... Tu była ich wina i o to do nich czuł żal. Żal ten jednak osłabiony teraz był poczuciem własnej niesprawiedliwości. Zbyt surowo i zbyt pochopnie osądził rodziców i Pawlickiego.

– A czy teraz już panna Marysia zupełnie zdrowa? – zapytał.

– Niczego jej nie brakuje. Nawet wyładniała po dawnemu – zaśmiała się Zonia. – Tylko wielkie zmartwienie ma, bo widzę, że zapłakana chodzi.

– Jakie zmartwienie?

– Ja tam nie wiem. Ale zmartwień, myślę, jej nie brakuje. Bo raz, że pracę straciła przez tę chorobę. Pani Szkopkova inną do sklepu wzięła. Podobnie swoją krewniaczkę.

– No, to głupstwo! A cóż jeszcze?...

– Ano przez Antoniego. Za tę to kradzież i za to niby, że bezprawnie leczy, do więzienia go na trzy lata wsadzili.

– To chyba niemożliwe!

– Możliwe, bo zamknęli.

I Zonia obszernie opowiedziała Czyńskiemu, jak i co było.

– Radzili, jak go ratować, ale jakież tu może być ratunek – zakończyła. – A teraz przepraszam, bo muszę już do gospodarstwa. Marysia pewnikiem niedługo nadejdzie.

Wyszła, a Leszek z rozczeniem zaczął przyglądać się wszystkim szczegółom urządzenia izby. Wszędzie tu było znać Marysine upodobanie do czystości i do estetyki. Ileż musiały się

napracować te biedne rączęta!

– Już teraz to się skończy! – myślał i ogarniała go ogromna radość. Za oknami padał śnieg wielkimi płatami, coraz gęściej i gęściej.

– Zęby tylko nie zabłądziła – zaniepokoił się.

Nagle usłyszał tupanie w sieni. Był pewien, że to ona. Stanął na środku izby i czekał.

Drzwi otworzyły się. Marysia zatrzymała się w progu, krzyknęła i byłaby upadła, gdyby w porę nie porwał jej w ramiona. Obsypywał pocałunkami jej usta, oczy, pod dotykiem jego rąk tajał śnieg na płaszczu.

Z wolna odzyskiwała przytomność.

– Kochanie moje jedyne – szeptał. – Szczęście moje... Nareszcie cię mam przy sobie żywą i zdrową, i moją... Wszystko się spiętrzyło przeciw nam, ale teraz już nic nas nie rozłączy, nic nie rozdzieli... Pewno myślałaś o mnie, że jestem zły, że zapomniałem cię... Ale to nieprawda! Przysięgam ci, że to nieprawda! Powiedz, że mi wierzysz!

Przytuliła się doń.

– Wierzę, wierzę, wierzę...

– I kochasz mnie jeszcze?...

– Kocham. Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek cię kochałam.

– Słońce ty moje! Cudzie mój! A powiedz, czy nie myślałaś o mnie źle?... Dostrzegł w jej oczach wahanie.

– Źle nie myślałam – odezwała się wreszcie. – Wcale nie. Tylko mi było ogromnie smutno.

Tak czekałam... Tak strasznie czekałam... Tyle dni.

– Wierz mi – spowaźniał nagle – żeś i tak była szczęśliwsza ode mnie. I ja tyleż dni przeżyłem, lecz były one stokroć, milionkroć cięższe od twoich. Bo ja niczego nie czekałem.

Umilkł i dodał:

– Wprowadzono mnie w błąd. Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem.

Jemu jednak trudno było powiedzieć prawdę. Wreszcie ją wykrztusił:

– Zatajono przede mną, żeś ty... ocalała. O, nie sądzę, że zrobiono to ze złej woli. Z początku twój stan był beznadziejny, a później... Przecie nikt nie wiedział, że ty dla mnie jesteś całym światem. Więc nie zawiadomili mnie.

Kiwnęła głową, a w oczach jej zaświeciły łzy.

– Teraz wiem, teraz rozumiem... I... i smutno ci było... że ja nie żyję?...

– Czy smutno?! – krzyknął. – Marysiu! Oto masz dowody! Masz!... Sięgnął do jednej kieszeni, do drugiej, obszukał wszystkie.

– Musiałem te listy zostawić w Ludwikowie na biurku. Ale przeczytasz je jutro.

– Pisałeś do mnie, Leszku? – zdziwiła się.

– Nie do ciebie, szczęście moje! – zaprzeczał, przygryzając wargi. – To były listy pożegnalne. Do rodziców, do przyjaciół. Przyjechałem wczoraj, dziś rano je napisałem. A wieczorem...

Spojrzał na czarne szyby, do połowy zasypane śniegiem.

– A o tej porze... już bym nie żył.

– Leszku! – zawołała ze zgrozą.

– Po cóż mi było żyć bez ciebie!

Przytulili się do siebie i łzy spływały im gęstymi kroplami po policzkach, mieszając się razem. Płakali nad minioną złą przeszłością, nad smutkami serdecznymi, nad rozpaczą, która w nich wypaliła się do dna, płakali nad szczęściem swoim, tak wielkim, tak nieogarnionym, że sami w jego ogromie czuli się zagubieni, małuczcy i nieśmiali.

Rozdział XVII

Leszek nie omylił się. Wyjeżdżając z domu półprzytomny, rzeczywiście listy zostawił na biurku obok nie zaadresowanych jeszcze kopert. Po jego wyjeździe w Ludwikowie zapanował chaos. Gospodyni, pani Michalewska, od nadmiaru wzruszeń sama dostała spazmów, a później doprowadzona do stanu jakiejś takiej równowagi, opowiadała przebieg rozmowy z Leszkiem tak zawiśnięcie, że minęło sporo czasu, zanim zdołano ustalić, co właściwie i dlaczego zaszło.

Ustalenie stanu faktycznego było zasługą pana Czyńskiego, po którego oczywiście natychmiast posłano do fabryki. Nie ograniczył się on do wybadania Michalesi. Od służby dowiedział się, że Leszek wzywał ogrodnika, od ogrodnika zaś, że ten otrzymał polecenie pościanania wszystkich najpiękniejszych kwiatów w oranżerii.

Ma się rozumieć, że nie zaniedbał pan Czyński również stwierdzenia, przy pisaniu jakich to listów zastała Leszka gospodyni. Był przy tym tak ostrożny, że mimo dość energicznych upominań się rodziny, nikogo do pokojów syna nie wpuścił. Dlatego też mógł w skupieniu listy przeczytać.

Skupienie nie wykluczało jednak bynajmniej tego, że podczas lektury ręce pana Czyńskiego zaczęły drżeć, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Treść listów, w zestawieniu z relacją gospodyni, nie zostawiała żadnych wątpliwości i aż nadto dobitnie wyjaśniała przyczyny apatii Leszka i potem nagłego jego wyjazdu.

Toteż gdy wróciła pani Czyńska i gdy pan Stanisław poprosił ją do gabinetu, mógł zwięźle opisać niedawne zdarzenia, a także przedstawić sytuację.

– Leszek dziś rano zaweźwał ogrodnika i polecił mu pościnać wszystkie niemal kwiaty w oranżerii. Oświadczył, że sam je zabierze i nie wyjaśnił dokąd. Potem siadł do pisania listów. Zanim ci je dam, droga Elu, do przeczytania, muszę cię zapewnić, że już nie są aktualne i że

to niebezpieczeństwo minęło.

– Jakie niebezpieczeństwo? – rzeczowo zapytała pani Czyńska.

– Samobójcze zamiary Leszka. Pani Elepnora zbladła.

– To nonsens! – marszczyła brwi.

– Czytaj! – odpowiedział jej mąż, podając zapisane arkusiki papieru. Czytała szybko i tylko przyspieszony jej oddech świadczył, że jest to wielkie dla niej przeżycie. Po skończeniu siedziała milcząca, z zamkniętymi oczyma.

Twarz jej nagle postarzała.

– Gdzie on jest? – zapytała cicho.

– Posłuchaj dalej. Otóż listy zostały tutaj, ponieważ do pokoju weszła Michalewska. Leszek zapytał ją, na którym cmentarzu pochowano ową dziewczynę, o której tak rozpaczliwie pisze w swoich listach. Oczywiście Michalewska była zdziwiona i wyjaśniła mu, że dziewczyna żyje. Powiedziała mu też, gdzie ją może znaleźć. Możesz sobie wyobrazić, jakie wrażenie ta wiadomość na nim wywarła. Dostał ataku nerwowego czy czegoś w tym rodzaju. Potem jak nieprzytomny pobiegł do stajen zaprzęgać konie. Nim odjechał, ledwie zdążono przynieść mu futro i czapkę. Pojechał w stronę Radoliszek, oczywiście do owego nieszczęsnego młyna, gdzie jak ci wiadomo, mieszka owa Marysia.

– Czy posłałeś za nim kogo? Pan Czyński wzruszył ramionami.

– Byłoby to bezcelowe. Zresztą jest z nim stangret. W oczekiwaniu na twój powrót nie powziąłem żadnej decyzji. Zastanawiałem się jednak nad sytuacją i doszedłem do pewnych wniosków. Jeżeli pozwolisz...

– Słucham cię.

– Otóż wiemy przede wszystkim, że uczucia Leszka do tej dziewczyny nie są przelotnym upodobaniem, lecz głęboką miłością. Pani Czyńska przygryzła wargi.

– To absurd!

131

– Osobiście zgadzam się z tobą. Ale musimy liczyć się z obiektywnymi faktami. Jest faktem, że on ją kocha. Nikt sobie nie odbiera życia z rozpaczy po kimś zaledwie sobie miłym. To jedno. Teraz dowiaduje się, że ona żyje. Doznaje takiego wstrząsu, że przeraża domowników. Nic dziwnego. Człowiek, który od paru miesięcy znajduje się w skrajnym przygnębieniu i obmyśla tylko rodzaj samobójstwa, nagle odzyskuje wszystko, co utracił. Wówczas przypomina sobie, że to właśnie ty, jego rodzona matka, powiedziałaś mu o śmierci owej panienki. Zdaje też sobie sprawę, że my oboje nie powiadomiliśmy go o jej powrocie do zdrowia. Zastanów się tedy, jak on nas osądza, jak musi osądzać!

Pani Czyńska wyszeptała:

– Przecież mu nie kłamałam. W każdym razie byłam przeświadczona, że mówię prawdę.
– Gdy jednak przekonałaś się, że to nie była prawda, postanowiłaś zataić to przed nim.
– Nie zataić. Po prostu nie uważałam, by to była sprawa o tyle obchodząca Leszka, by mu o tym pisać.

Pan Czyński zrobił nieokreślony gest ręką.

– Mylisz się, droga Elu. Wyraźnie powiedziałaś mi wówczas, że trzeba przed Leszkiem zamilczeć fakt wyzdrowienia Marysi.
– Przecież dla jego dobra.
– To inna kwestia.
– Dla jego dobra. Chciałam, by ten romans wywietrzał mu z głowy. Pan Czyński niecierpliwie poruszył się w fotelu.
– Czyż możesz to jeszcze teraz nazywać romansem?... Teraz, po przeczytaniu tego listu?...
– Nie kładłam wcale akcentu na tym słowie.

– Pisze poza tym, że był z nią zaręczony, nazywa ją swoją narzeczoną, zapewnia, że wkrótce miał się odbyć ich ślub.

– Nigdy nie zgodziłabym się na to – wybuchła pani Eleonora. – Nigdy nie dałabym swego błogosławieństwa!... Pan Czyński wstał.

– Teraz wątpię, czy on, czy nasz syn... przyjąłby nasze błogosławieństwo, choćbyśmy go o to błagali! Choćbyśmy błagali! Elu, czy ty nie rozumiesz, co się stało i co mogło się stać? Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że omal nie zabiliśmy naszego dziecka?!... Ze daj Boże, byśmy go i tak nie stracili na zawsze?!...

Spokój opuścił go zupełnie. Chwycił się za głowę i chodząc po pokoju powtarzał:

– Ja go znam. On nam tego nie przebaczy! Ja go znam. On nie przebaczy!

– Opanuj się. Stasiu – lekko drżącym głosem odezwała się pani Czyńska. – Rozumiem twój niepokój, a może nawet podzielam obawy. Chcę jednak podkreślić, że nic sobie nie mam do wyrzucenia. W dalszym ciągu uważam, że obowiązkiem rodziców jest dbać o przyszłość dziecka...

– On ma trzydzieści lat!

– Właśnie. Tym bardziej jeżeli pomimo swoich trzydziestu lat chce źle rozporządzać swoim życiem. Byłoby słabością i oportunizmem rezygnować z zasad dla egoistycznej przyjemności uzyskania aprobaty syna, który chce głupio ułożyć swoją przyszłość.

– Mówiąc inaczej – zaśmiał się pan Czyński – wolisz stracić syna niż zrezygnować z własnej koncepcji jego szczęścia?...

– Tego nie powiedziałam.

– Więc cóż powiedziałaś?!

– Ze powinnam trzymać się Zasad.. ale...

– Jakie ale?...

– Ale sama nie mam dość siły, u ciebie zaś, niestety, nie znajduje jej również.

Pani Eleonora ciężko opuściła głowę.

– Absurd., moja droga – z przekonaniem zawołał jej mąż. – Przypuśćmy,

132

że jesteśmy silni, że nie odstępimy od naszych zasad. Czymże wówczas będzie nasze życie?... Wykopiemy przepaść między nami a istotą, która jest jedynym celem naszej egzystencji, która jest jedynym jej owocem, „jedynym uzasadnieniem.

Położył żonie rękę na ramieniu.

– Powiedz, Elu, kto nam zostanie?... Co nam zostanie?... Czy wyobrażasz sobie nasze dalsze życie?...

Pani Czyńska skinęła głową.

– Masz rację.

– Niewątpliwie. A weź jeszcze i to pod uwagę: nie znamy tej dziewczyny. Swoją niechęć do niej opieramy tylko na jej niskiej pozycji socjalnej. Nie wiemy o niej nic poza tym, że była ekspedientką w sklepiku, ale wiemy jeszcze i to, że pokochał ją nasz syn. Czy sądzisz, że mógłby pokochać istotę wulgarną, nieinteligentną, głupią, słowem, pozbawioną wszelkich zalet? Czyż nie przypominasz sobie, żeś sama spostrzegła jego zmysł obserwacyjny, jego trafne uwagi o znajomych i krytyczne ustosunkowanie się do kobiet?... Dlaczego nic nie wiedząc o tej dziewczynie, którą on sobie wybrał, dopuszczamy rzeczy najgorsze? Równie dobrze mogliśmybyśmy mniemać, że jest ona nadludzkim zjawiskiem. I jestem przekonany, a wiesz, że słów na wiatr rzucać nie lubię, iż większość naszych uprzedzeń zniknie z chwilą, gdy ją poznamy.

Pani Czyńska siedziała, milcząc, z głową wspartą na ręku i zdawała się wpatrywać w dywan.

– Jeżeli zaś nasze zastrzeżenia przy tej sposobności wzrosną, to wierzaj mi – ciągnął pan

Stanisław – że i Leszek je z czasem podzieli, gdy będzie mógł obserwować ją na naszym tle,

w naszym środowisku.

– Co przez to rozumiesz?

– Sądzę, że najrozsądniej będzie zabrać tę Marysię do nas.

– Do nas?... Do Ludwikowa?...

– Naturalnie. I dodam jeszcze, że z tym zaproszeniem musimy się spieszyć.

– Dlaczego?

– Bo jeżeli nie okażemy Leszkowi natychmiast jak najlepszej woli, jeżeli przez jedną chwilę pomyśli, że działaliśmy z premedytacją i że w dalszym ciągu pragniemy oderwania go od Marysi... Wtedy będzie już za późno. Kto wie, czy nie zabrał jej z owego młyna i nie wywiózł do kogoś ze swoich przyjaciół?

– Więc co robić? – Ręce pani Czyńskiej zacisnęły się.

– Jak najprędzej jechać tam.

– Dokąd?... Do młyna?

– Tak. Jeżeli już nie jest za późno. Pani Czyńska szybko wstała.

– A więc dobrze. Poślij po szofera, by podjeżdżał. Przytulił ją do siebie.

– Dziękuję ci, Elu. Nie pożałujemy tego. Starzejemy się, kochanie, i coraz więcej nam trzeba ciepła.

Gdy wyszedł z pokoju, pani Czyńska otarła łzy.

W dziesięć minut później wielka, czarna limuzyna ruszyła sprzed ganku. Pogrążeni w swoich myślach państwo Czyńscy nie mówili ani słowa, zapomnieli nawet podać szoferowi cel podróży.

i On jednak sam dobrze wiedział. W Ludwikowie wszyscy wiedzieli, dokąd państwo jadą i po co. Bo jakżeby inaczej? Są prawa, które rządzą wszystkimi sercami jednakowo, przez wszystkich są odczuwane i dla wszystkich zrozumiałe.

Długa, ciężka maszyna z równego gościńca zjechała w boczną drogę. Tu liczne sanie ładowane zbożem pofalowały jezdnię w głębokie wyboje i trzeba było jechać wolno, ostrożnie. Jaskrawe światła reflektorów słupem błękitnej jasności wodziły z dołu do góry, wywołując, wyczarowując z pustki niespodziewane sylwetki olch, porośniętych śnieżną okiścią, czarne maczugi wierzb, czubate cienkimi gałązkami, wreszcie spadziste dachy zabudowań Prokopa i stalaktyty sopli lodowych, zwisające zmarznięte kaskadą.

133

Śnieg ustał i szofer już z daleka zobaczył stojące przed młynem sanki ludwikowskie.

– Nasze konie przed młynem – powiedział, nie odwracając się.

— Chwała Bogu, że są tu jeszcze – pomyśleli oboje państwo Czyńscy. Blask reflektorów wywołał z domu stangreta, który okrywszy konie derami, sam grzał się w kuchni przy piecu, oraz starego Mielnika, który uważał za swój obowiązek powitać ludwikowskich państwa.

– Syn wasz, panoczku – oznajmił – jest tu w przybudówce u panny Marysi. Pozwólcie, przeprowadzę.

– Dziękuję, Prokopie! – powiedział pan Czyński, a wzięwszy pod rękę panią Eleonorę, szepnął: – Pamiętaj, Elu, że chcąc serce pozyskać, trzeba całe serce okazać.

– Wiem, mój dobry przyjacielu. – Ścisnęła jego ramię. – I nie obawiaj się. Przełamała już w sobie, w głębi duszy pogodziła się z tym, co jeszcze tak niedawno uważałaby niemal za pohańbienie. Oto drugi raz w życiu los zmusił ją do przestąpienia tych progów. Jakieś fatum znowu odwróciło koło i znowu zatrzymało się w groźnej chwili, w momencie niepokoju i niepewności przed chatką o małych, kwadratowych okienkach.

Na pukanie do drzwi Leszek mocnym, pewnym, może nawet wyzywającym głosem odpowiedział:

– Proszę wejść!

Już przed paru minutami uprzedziły go o przybyciu rodziców światła reflektorów. Wiedział, że to oni. Ale nie wiedział, z czym tu przyjdą. Toteż zerwał się i stanął przed Marysią, jakby chcąc ją zasłonić przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Twarz mu się ściągnęła i przybladła. Zacisnął zęby, gdyż usta miał pełne słów ostrych, gwałtownych, bezlitosnych. I czekał. Drzwi otworzyły się. Weszli. Trwało to może sekundę, gdy tak zatrzymali się przy progu, lecz już ich rozumiał. Na twarzy ojca był dobry, cichy uśmiech, oczy matki były zaczerwienione od łez, a usta jej drgały.

– Synku mój! – szepnęła prawie bezdźwięcznie. Rzucił się jej do rąk i zaczął je całować porywczo.

– Mamo! Mamo!...

W tych dwóch stłumionych wzruszeniem okrzykach zawarło się wszystko: i ból, i wyrzuty, i nadzieja, i żal, prośba o przebaczenie i przebaczenie samo. Całe dzieje cierpień obojga, walk wewnętrznych, wzajemnych oskarżeń i dojmujących trosk, okrutnych postanowień i najtkliwszych rozczuleń, zamknęły się w tych dwóch słowach: synku, mamo, w tych wyrazach, którymi pisane są najtrwalsze traktaty, najbardziej niewzruszalne przymierza, najświętsze konkordaty.

Padli sobie w objęcia, już nic nie mówiąc, już nic nie myśląc, już niczego nie pragnąc poza tym jednym, by to, co w nich odżyło tak olśniewającą prawdą, już nigdy nie uległo najmniejszemu przyćmieniu.

Pani Czyńska ochłonęła pierwsza i odezwała się ciepło:

– Pozwól, Leszku, niechże poznam twoją przyszłą żonę.

– Mamo! Przyjrzyj się tej najbardziej kochanej dziewczynie na świecie... Kochanej jeszcze nie tak mocno, jak na to zasługuje.

Marysia stała z opuszczonymi oczami, zmieszana i onieśmielona.

– My z ojcem – powiedziała pani Eleonora – dodamy nasze uczucia do twoich, synu, a wówczas może jakoś się to zrównoważy. Zbliżyła się do Marysi, objęła ją i pocałowała serdecznie.

– Jesteś śliczna, moje dziecko, a wierzę, że twoja młoda duszyczka jest równie piękna.

Mam nadzieję, że zaprzyjaźnimy się i że nie zechcesz uważać mnie za swoją rywalkę, chociaż obie kochamy jednego chłopca.

Zaśmiała się i pogłaskała zarumienione policzki dziewczyny.

– Spójrz na mnie, chcę popatrzeć w twoje oczy, by sprawdzić, czy bardzo go kochasz.

– Och, jak bardzo, proszę pani! – cicho powiedziała Marysia.

134

– Nie jestem dla ciebie, drogie dziecko, panią. Chcę być twoją matką. Marysia pochyliła się i przywarła ustami do rąk tej wyniosłej damy, która tak niedawno była dla niej obcą, surową panią, groźną i niedosięgalną, a którą teraz miała prawo nazywać matką.

– Pozwólże i mnie – pan Czyński wyciągnął do Marysi obie ręce – bym podziękował ci za szczęście naszego syna.

– To ja dzięki niemu jestem szczęśliwa! – uśmiechnęła się wreszcie nieco ośmielona Marysia.

– Spójrzcie tylko, jaka ona piękna! – zawołał z egzaltacją Leszek, który dotychczas przyglądał się całej scenie w jakimś radosnym osłupieniu.

– Winszuję ci, chłopcze! – poklepał go po ramieniu ojciec.

– Jest czego, prawda? – Leszek zarozumiale potrząsnął głową. – Ale wy jej jeszcze nie znacie. Gdy ją poznacie tak jak ja, zobaczycie, że to prawdziwy klejnot, że to jest wprost ucieleśniony cud!

– Leszku! – zaśmiała się Marysia. – Jak ci nie wstyd tak kłamać! Po takie) reklamie pań-

stwo będą doszukiwali się we mnie bodaj czegoś na

jej uzasadnienie. Tym przykrzejsze będzie rozczarowanie, gdy się okaże, że jestem prostą i głupiutką dziewczyną...

– Twoja skromność – przerwała pani Czyńska – jest już dużą zaletą.

– To nie jest skromność, proszę pani. – Marysia potrząsnęła głową. – Proszę nie myśleć, że ja nie zdaję sobie sprawy z tego, czym jestem i jak bardzo trudno mi będzie, ile wysiłku, ile trudu będzie mnie kosztowało przynajmniej o tyle zbliżyć się do poziomu i Leszka, i państwa, i ich świata, by w nim nie razić i nie zawstydzać Leszka moimi brakami wykształcenia i wychowania. Przyznaję się otwarcie, że boję się tego, że nie wiem, czy temu podołam. A jeżeli odważyłam się na to, jeżeli pomimo wszystko zdecydowałam się na wszelkie możliwe... zawody... na upokorzenia... to tylko dlatego, że tak bardzo go kocham...

Mówiła szybko, nie patrząc na nich, a jej przyśpieszony oddech świadczył, że wypowiada najgłębiej nurtujące ją myśli.

Leszek powiódł triumfującym wzrokiem po twarzach rodziców, jakby mówił:

– Widzicie, jaką wybrałem dziewczynę?!

– I jeżeli jestem dziś taka szczęśliwa i taka dumna, że mam zostać jego żoną – ciągnęła

Marysia – to bynajmniej nie dlatego, że każda uboga dziewczyna sklepowa marzy o wyjściu za mąż za bogatego i wytwornego mężczyznę. Wprawdzie cieszę się, że on, znając tyle świetnych panien dorównujących mu i majątkiem, i pozycją, wybrał mnie, nikomu niepotrzebną sierotę, ale jestem szczęśliwa i dumna tylko dlatego, że to właśnie on, najszlachetniejszy i najlepszy człowiek, jakiego znam.

Pani Czyńska przygarnęła ją do siebie.

— Rozumiemy cię, kochane dziecko. I tym bardziej gotowiśmy cię zapewnić, że potrafili-
śmy już ocenić uczciwość twoich intencji. Bądź też przekonana, że nie tylko nie spotkają cię

wśród nas żadne przykrości, lecz znajdziesz otwarte serca i naj życzliwszą pomoc we wszystkim. Nie mów też nigdy więcej, że jesteś sierotą, gdyż od dzisiejszego dnia masz nas, kochane dziecko, i dom, który odtąd stał się również i twoim domem.

Marysia znowu pochyliła się do jej rąk, by je ucałować i by ukryć łzy, które zakręciły się w oczach.

– Taka pani dobra – szepnęła. – Nawet nie wyobrażałam sobie, że pani jest taka dobra... mamó.

Pan Czyński, jakkolwiek również przejęty, uśmiechnął się pod wąsem i chrząknął:

– No, a teraz – powiedział – skorośmy o istnieniu naszego domu przypomnieli, byłoby, sądzę, najlepiej, byśmy doń wszyscy pojechali. Pomożemy Marysi spakować jej lary i penaty i zabieramy ją do Ludwikowa.

– Oczywiście! – przytaknęła pani Eleonora. – Nie ma żadnego powodu, by zostawała tu dłużej.

Marysia zarumieniła się znowu, a Leszek powiedział:

135

– Widzisz, mamó... Obawiam się, że mojej Marysieńce byłoby trochę przykro. W Ludwikowie tyle gości, ludzi dla niej jeszcze zupełnie obcych...

– Więc chcesz pozwolić jej, by nadal została tu? – zdziwiła się pani

Czyńska.

– Broń Boże! Ale mam pewien pomysł. Chciałbym z Marysią pojechać do

Wilna.

– Teraz?... Na święta?

– Do świąt mamy jeszcze pięć dni. Musimy zaś tam pojechać, bo chodzi

o dwie rzeczy: po pierwsze, mamy dług wdzięczności wobec tego zacnego Kosiby, którego wsadzono do więzienia za to, że nam uratował życie. Chcę powierzyć jego sprawę Wackowi Korczyńskiemu. Taki adwokat jak on potrafi wszystko. A nie przebaczyłbym sobie najmniej-

szego zaniedbania w stosunku do człowieka, któremu tyle zawdzięczam i który okazał Marysi tak bezgraniczne przywiązanie.

– To zupełnie słuszne – przyznała pani Eleonora.

– A druga sprawa, to pewne uzupełnienia, jakich domaga się garderoba mojej królowej. Ja osobiście nie przywiązuję do tego najmniejszego znaczenia, ale nie chciałbym, by wśród ludwikowskich gości czuła się skrępowana. Toteż mam nadzieję, że przy pomocy Wackowej załatwimy to jakoś.

Pani Czyńska skinęła głową. – I tu przyznaję ci rację. Jednak nie całkowitą. Mianowicie nie polegamy bez zastrzeżeń na guście Korczyńskiej. Toteż sama z wami pojedę, by się tym zająć. – Mamo! Jesteś aniołem – zawołał Leszek.

I rzeczywiście był wdzięczny matce za to postanowienie. Wolał, by Marysia, zanim przyjedzie do Ludwikowa, zbliżyła się do kogoś z jego rodziny, by miała możliwość oswojenia się z nową swoją sytuacją. Znając prawdziwy talent matki w obcowaniu z ludźmi, nie wątpił, że pod jej wpływem dziewczyna tak inteligentna i tak wrażliwa jak Marysia nawet w tym krótkim czasie zyska wiele, a przede wszystkim tę swobodę bycia, która w nowym otoczeniu każdemu dość trudno przychodzi.

W pół godziny później państwo Czyńscy odjechali, gdyż pani Eleonora musiała spakować się do podróży. Leszek i Marysia zostali i mieli wyruszyć w dwie godziny później, by z matką spotkać się na stacji. Tymczasem w przybudówce zjawił się stary Prokop i zaprosił oboje na wieczerzę. Fakt, że młody dziedzic ludwikowski bierze żonę spod jego dachu, był dlań – jak zapewniał – zaszczytem godnym uczczenia. Toteż na stole zjawiała się nawet butelka nalewki wiśniowej, a na cześć narzeczonych gospodarz wypowiedział długą mowę, gęsto przetykaną sentencjami z Pisma Świętego i z osobistych rozważań filozoficznych.

Na nocny pociąg mało przybywało zwykle pasażerów. Tego dnia, jak to

w okresie przedświątecznym, w poczekalni było sporo kupców z miasteczka udających się do Wilna dla uzupełnienia zakupów. Zjawienie się Leszka z Marysią w towarzystwie pani Czyńskiej wywołało zrozumiałą sensację. Naczelnik stacji uważał za swój obowiązek przywitać się z panią Czyńska

i zapytać:

– Szanowna pani ucieka z naszych stron na święta?

– Nie. Wracamy za kilka dni – odpowiedziała pani Czyńska. – Jadę tylko z synem i przyszłą synową załatwić różne sprawunki.

Naczelnik aż usta otworzył ze zdziwienia. Leszek zaś uśmiechnął się i pomyślał z zadowoleniem:

– No, jutro będą mieli o czym gadać w Radoliszkach i w całej okolicy.

136

Rozdział XVIII

Za piekarnią więzienną pękła rura kanalizacyjna. Więźniowie, których wyroki jeszcze nie uprawomocniły się, nie mieli obowiązku pracy, ale Antoni Kosiba zgłosił się na ochotnika. Wolał ciężki, fizyczny trud niż bezczynność w dusznej celi, gdzie trzeba było wysłuchiwać opowiadań towarzyszków o różnych wyprawach złodziejskich, o bójkach i o planowanych przedsięwzięciach tegoż typu na przyszłość. Po takich pustych dniach przychodziły najbardziej męczące, bezsenne noce. Toteż napraszał się do każdej pracy. Gdy trzeba było zsypywać węgiel, oczyszczać podwórza lub dachy ze śniegu, nosić kartofle do kuchni – pierwszy zgłaszał się na ochotnika. Potem zmęczony zasypiał kamiennym snem i nie miał czasu rozmyślać o sobie ani o Marysi, ani o czymkolwiek.

Wyrok przyjął z rezygnacją. Aczkolwiek uważał wymiar kary za krzyżącą niesprawiedliwość, nie buntował się przeciw niej. Do niesprawiedliwości nawykł już od dawna. Nie obu-

rzała go, nie dziwiła, nie smuciła nawet. Wiedział, że człowiek biedny tak musi do niej przywyknąć jak do słoty i mrozów. Bóg, który je zsyła, stworzył też ludzi złych, zawziętych, surowych, nieczułych.

Po apelacji Antoni Kosiba też wiele sobie nie obiecywał. Jedno trapiło go tylko, jedno nie dawało mu spać po nocach, jedno zmartwienie: – Jaktam da sobie radę Marysia?

Wprawdzie znając Prokopa Mielnika nie przypuszczał, by w jego domu dziewczynę mogła spotkać jakaś krzywda, lecz czyż dla takiej panienki jak ona już sama samotność na odludziu nie jest krzywdą?... A tyle obiecywał sobie! Tak pięknie wyobrażał sobie ich wspólne życie pod jednym dachem. Oczywiście zacząłby brać od swoich chorych pieniądze, zwłaszcza od bogatych, by miała na książki, za którymi tak przepada, i na ładne sukienki, które bardziej pasują do jej delikatnej urody od zwykłych perkalikowych kiecek. Rano pracowałby w młynie, po południu przy jej pomocy przyjmowałby chorych, a wieczorami Marysia czytałaby głośno różne wiersze i powieści swoim dźwięcznym głosem.

I oto wszystko poszło w niwecz. Trzy lata to wielki kawał czasu. Przez trzy lata wiele może, wiele musi się zmienić. Po odbyciu kary wróci do młyna, ale jej już tam nie zastanie.

– I co wtedy?...

Wtedy znowu zacznie się puste, bezcelowe życie, życie ani dla siebie, ani dla ludzi, ani dla Boga, bo sam go nie pragnie, ludzie potępiają, a Bóg skądś z wysoka patrzy na to życie obojętnie.

– I co wtedy?... Tyle lat włóczył się po świecie, niczym wałęsające się zwierzę, które nie miało innego celu, jak tylko zdobyć na dzień każdy strawę i kąt do przespania się. Aż oto gdy zaświtało w tej pustce pierwsze, jedyne światło, gdy zaczął czuć w piersiach żywsze tętno serca, a w sercu ciepłe, ludzkie uczucie, gdy poznał, że jest też człowiekiem, że znalazł cel i potrzebę istnienia, spadł nań cios i wszystko zdruzgotał.

Jakże żywo przypominał sobie teraz owe straszne chwile konania Marysi, gdy półprzytomny z bezsilnej rozpacz siedział przy niej, niezdolny już do żadnego wysiłku, do żadnej nadziei, nawet do modlitwy. I tu podczas nocy więziennych przeżywał to samo. Tak samo i tu myśl jego uporczywie kołowała nad tym wirym, co wciągał w otchłań wszystko to, co kochał, dla czego chciał żyć, dla czego żyć mógł.

I powtórnie budziło się w nim wspomnienie, mgliste i niewyraźne, że już kiedyś, bardzo dawno przeżywał podobne nieszczęście, że już kiedyś utracił wszystko. I na próżno wysilał pamięć. Tylko jedno w niej rysowało się wyraźniej: owo imię dziwne, nigdy nie słyszane, a tak bardzo znajome – Beata. Dlaczego wracało tak niezmiennie, dlaczego samym swym dźwiękiem wzniecało niepokój? Co oznaczało?...

Leżał z otwartymi oczami na twardym sienniku więziennym i wpatrywał się w ciemność, jakby pragnąc ją przeniknąć. Lecz pamięć zatrzymywała się zawsze w jednym miejscu, zatrzymywała się przed jakąś niebotyczną ścianą, poza którą sięgnąć nie mogła.

137

...Była to jesień i błotnista droga, i zwykła chłopska furmanka z niewielką, brzuchatą szkapą... Leżał na wozie i spał, a głowa uderzała o deski, mocno, boleśnie. Ten ból właśnie go obudził.

Lecz co było przedtem?... Tak, tu zaczynała się owa niebotyczna ściana, a za nią kryła się tajemnica nie do odgadnięcia. Jakieś życie nieznanne, zapomniane, przekreślone, zmasane z rzeczywistości. Jedno wiedział: było ono inne od dzisiejszego. Musiało mieć jakiś związek z życiem ludzi bogatych i z tym zagadkowym imieniem: Beata.

W pierwszych latach swojej włóczęgi usiłował przeniknąć tę zaporę, która zamykała jego pamięci dostęp do przeszłości. Zdawał sobie przecie sprawę, że musiał mieć swoje lata młodsze i dziecięce. W ostrożnych rozmowach z przygodnie spotkanymi wywiedziały się, że

wszyscy pamiętają SWÓJ wiek dziecinny. Nie zdradzał się też później przed nikim ze swej dziwnej ułomności, bo nikt mu uwierzyć nie chciał. Wyśmiewano go tylko i wyrażano przypuszczenia, że musi mieć powody do niepamiętania własnej przeszłości, lecz sam wciąż wysilał mózg, wciąż ponawiał ataki na ową ścianę, by po każdym, zmęczony, wyczerpany do ostateczności, półobłąkany, wracać do rzeczywistości i przysięgać sobie, że już więcej żadne) próby nie zrobi.

Mijały lata. Przyzwyczał się, pogodził się z tym i już nawet przysięgać nie było trzeba.

Czasem tylko jakieś zdarzenie zewnętrzne mimo jego woli budziło w nim nagły niepokój i ten strach, który każdy człowiek odczuwa w obliczu niezrozumiałych dla siebie sił, które w nim samym działają.

Najlepszym sposobem oderwania myśli od tych spraw była zawsze prac.i i Antoni Kosiba dlatego tym chętniej brał się do najcięższej.

Tego dnia od wczesnego ranka wspólnie z kilkoma innymi więźniami zajęty był przy odkopywaniu pęknięte) rury kanalizacyjnej. Wskutek już kilka dni trwającej odwilży powierzchnia ziemi zmieniła się w błotnistą packę, za to warstwa głębsza pamiętała niedawne ostre mrozy i trzeba było ciężko pracować rydlem i kilofem.

Około dziesiątej od strony kancelarii nadszedł starszy dozorca, Jurczak.

– Oho, kogoś na „widzenie” wołają – zaopiniował jeden z bardziej doświadczonych więźniów.

I nie omylił się. Wzywano Antoniego Kosibę.

– Jacyś młodzi państwo do ciebie – wyjaśnił dozorca.

– Do mnie?... To chyba pomyłka!...

– Nie gadaj, tylko chodź do rozmównicy.

W rozmównicy Antoni jeszcze nigdy nie był. Nikt go przecie nie odwiedzał i teraz łamał

sobie głowę, kto to może być. Jeżeli Wasil z Zonią, dozorca nie nazwałby ich „państwem”.

W pierwszej chwili zmrok panujący w salce przedzielonej kratami nie pozwolił mu poznać Marysi, tym bardziej że ubrana była nie w swoje paletko i w beret, lecz w eleganckie futro i kapelusz. Obok niej zobaczył młodego Czyńskiego.

Nagłym ruchem Kosiba chciał cofnąć się. Przeczucie mówiło mu, że czeka go coś przykrego, jakaś zła nowina, jakiś niespodziewany cios. Dlaczego oni są razem i co znaczy to przebranie Marysi?...

– Stryciu Antoni! – zawołała dziewczyna. – Strycio mnie nie poznaje?...

– Dzień dobry, panie Kosiba – zawołał Leszek.

– Dzień dobry – powiedział cicho.

– No, widzi pan, nie ma czego się martwić – wesoło mówił Czyński. – Teraz wszystko pójdzie dobrze. Gdybym wcześniej dowiedział się o przykrościach, które pana przez nas spotkały, zająłbym się pańską sprawą. Teraz już niedługo będzie pan tu siedział. Zrobimy wszystko, by przyśpieszyć apelację, a po apelacji, jestem przekonany, wypuszczą pana. Jakże się pan czuje?

– Dziękuję, ot, jak w więzieniu...

138

– Kochany stryjcio tak zmizerniał – powiedziała Marysia.

– A tyś wydobrzała, gołąbeczko. – Uśmiechnął się do niej. Skinęła głową.

– To ze szczęścia.

– Ze szczęścia?...

– Tak, z wielkiego szczęścia, jakie mnie spotkało.

– Jakież to szczęście? – zapytał Kosiba. Marysia wzięła Leszka pod rękę i powiedziała:

– On wrócił do mnie i już nigdy nie rozstaniemy się.

– Marysia zgodziła się zostać moją żoną – dodał Czyński. Znachor chwycił się oburącz za kratę, która oddzielała go od nich, jakby bojąc się, że zachwieje się i upadnie.

– Jak to? – zapytał zdławionym głosem.

– Tak, stryjcium – z uśmiechem odpowiedziała Marysia. – Leszek wyleczył się i wrócił. Wiesz, że niesprawiedliwie go potępiałeś. On mnie bardzo kocha, prawie tak mocno jak ja jego...

– Przeciwnie – przerwał wesoło Leszek – ja znacznie mocniej!

– To niemożliwe. I wkrótce się pobierzemy. Przyjechaliśmy tu razem z mamą Leszka. I mama kupiła mi te wszystkie wspaniałości. Jakże ci się podobam, stryjcium?...

Dopiero teraz spostrzegła dziwne przygnębienie swego starego przyjaciela.

– Nie cieszysz się, stryjcium, moim szczęściem? – zapytała i nagle zrozumiała. – Ależ to bardzo niedelikatnie z naszej strony, gdy ty tutaj musisz przebywać. Nie gniewaj się za to!

Znachor wzruszył ramionami.

– A któż się gniewa... Ot... nie spodziewałem się... Daj wam, Boże, jak najlepiej...

– Dziękujemy, serdecznie dziękujemy – podchwycił Leszek. – Ale proszę nie smucić się swoim losem. Powierzyliśmy pańską sprawę najlepszemu tutejszemu adwokatowi, mecenasowi Korczyńskiemu. Korczyński twierdzi, że potrafi pana uwolnić. A jemu można wierzyć.

Kosiba machnął ręką.

– A, szkoda zachodu!...

– Co stryjcium mówi! – oburzyła się Marysia.

– Niczego nie szkoda – zapewniał Leszek. – Pan jest naszym największym dobroczyńcą.

Przez całe życie nie zdołamy wywdziękzyć się panu. I niech pan wierzy, że na głowie stanę, a odzyska pan wolność, panie Kosiba.

Na twarzy znachora zjawił się smutny uśmiech.

– Wolność?... A... co mi po wolności?...

Młodzi zdumieni spojrzeli na siebie i Leszek potrząsnął głową.

– To chwilowe przygnębienie. Niechże pan tak nie myśli...

– Dlaczego stryjcio tak mówi?

– Pewno, gołąbeczko – westchnął Antoni – i mówić nie trzeba. Nie ma o czym mówić. Daj ci, Boże, radość i spokój, gołąbeczko... No, na mnie czas, żegnajcie... A mną, starym, nie zwracajcie sobie głowy...

Skłonił się ciężko i zawrócił do drzwi.

– Panie Kosiba! – zawołał Leszek.

Lecz on przyspieszył kroku i już był na korytarzu. Szedł coraz prędzej, aż dozorca nie mógł za nim nadążyć i zirytował się:

– Co tak lecisz! Wolniej tam! Nogi mam przez ciebie pogubić? Znachor zwolnił i szedł z opuszczoną głową.

– Kto ona dla ciebie jest ta panienka? – zapytał dozorca. – Krewna czy dobra znajoma?...

– Ona? – Znachor spojrzał nań nieprzytomnie. – Ona?... Czy ja mogę wiedzieć...

– Niby w jaki sposób nie możesz wiedzieć?

– Ano człowiek dla człowieka jednego dnia może być wszystkim, a drugiego... niczym.

– Nazywała cię stryjem.

– Nazywać różnie można. Nazwa to pusta rzecz. Dozorca aż sapnął z gniewu.

139

– Za wielki jesteś dla mnie filozof... Tfu!

Czyż mógł domyślić się, co dzieje się w duszy tego człowieka. Czyż mógł przypuszczać, że więzień Antoni Kosiba przeżywa najcięższą chwilę w swoim ubogim życiu?... Zarówno on, jak i towarzysze z celi zauważyli tylko, że w znachora jakby coś uderzyło, jakby go coś

przywalilo i przygniotlo. Zaniemowil zupełnie, przez cala noc przewracal sie na swoim sieniu, a z rana nie zglosil sie na ochotnika do pracy i zostal sam w celi.

I nie bylo w tym klamstwa, gdy powiedzial Czyńskiemu, ze nie pragnie wolności. Nie pragnal teraz niczego.

Po wielu latach samotności wśród obcych ludzi po to tylko znalazł czyjeś serce, by je utracić. Gdy poznał Marysię, gdy odczuł tę sympatię, którą w niej wzbudził, gdy zrozumiał, że ta dziewczyna jest dlań drozsza niz wszystko inne – zaczął już wierzyć, że znalazł wreszcie cel życia.

Nie, nigdy nie robil żadnych planów. Podejrzenia Zoni o jego projektach małżeńskich wydawaly mu sie nawet dziwaczne. Po prostu, chcial miec Marysię przy sobie. Oczywiście gdyby zechciala zostac jego żoną, gdyby w ten sposob mógł zapewnic jej spokojny byt i jaki taki dostatek oraz opiekę i osłone przed złymi językami, poslubilby ja. Ale bodaj wolałby, zeby zwyczajnie zostala przy nim. Niechby nawet wyszla za maza za takiego Wasilke...

Mieszkaliby razem, nie rozstawaliby sie nigdy, codziennie widzialby jej niebieskie oczy, slyszalby JCJ dzwieczny glos, grzalby swoje stare serce jej wiosennym usmiechem. Kazdy dzien wowczas mialby jakis sens, wieczorem wiedzialby, dlaczego pracuje, po co zarabia...

I nagle rozbiły sie wszystkie nadzieje. Antoni Kosiba bynajmniej nie widzial szczescia Marysi w tym, ze zostanie ona wielka panią, ze bedzie miala bogatego maza. Nie lubil bogactwa, chociaz nie wiedzial dlaczego, nie ufal mu. Nie ufal tez mlodemu Czyńskiemu. W samym fakcie, ze ten pamczyk pokochal Marysię, nie bylo nic dziwnego. Ktoz bowiem poznawszy te dziewczynę przeszedlby obok niej obojetnie? Toz i w Radolizkach wszyscy mlodzi ludzie zalecali sie do niej. A to, ze Czyński zdecydowal sie na malzenstwo... Ano pańska zachcianka. Nie mógł inaczej jej zdobyć, ale czy potrafi, czy zechce zapewnic jej szczescie?... Czy zdoła pojac, jak wielki skarb posiada, czy oceni ten skarb nalezycie, czy go nie zmarnu-

je?...

Podczas pobytu Marysi w młynie Antoni Kosiba ani słówkiem nie wspominał o Czyńskim. Rozmyślnie milczał, a przecież widział strapienie dziewczyny, przecież nie uszło jego uwagi jej wyczekiwanie listu. Gdy mijały długie tygodnie, a list nie nadchodził, w głębi duszy cieszył się.

– Pocierpi, gołąbeczka – myślał – i zapomni. Tak lepiej będzie dla niej. Ale Czyńskiemu nie umiał przebaczyć milczenia. Potępił go najsurowiej. I teraz jeszcze nie mógł mu tego darować. Wyobrażał sobie, że gdy Leszek po wyzdrowieniu przyjechał, przypadkowo spotkał znowu Marysię, o której tak długo nie pamiętał, i odżył w nim dawny kaprys. A jak długo trwają kaprysy takich lekkoduchów?...

Zresztą nie tylko te obawy nękały Antoniego Kosibę. Dręczyła go jego własna klęska. Jakże będzie żył dalej i po co?... Marysia, zostawszy panią, nie będzie potrzebowała ani jego opieki, ani pomocy, wejdzie w krąg innego życia, stokroć dalszego od poprzedniego niż pałac ludwikowski od młyna Prokopa Mielnika.

– Nawet widywać jej nie będę – myślał.

Im dłużej myślał, tym bardziej gorzkie były te myśli, tym mniej chciało mu się żyć, starać się o zmianę wyroku, powracać do owej izby w przybudówce, gdzie tak pięknie, tak jasno, tak dobroczynnie zaczynała się układać przyszłość, gdzie każdy sprzęt, każdy przedmiot przypominałby Marysię od chwili, gdy wydarł ją śmierci...

– Moja była, tylko moja, a teraz mi ją odebrano...

140

Siedział całymi dniami skulony i milczący w kącie celi. Nie interesował się nawet przysyłanymi mu teraz często paczkami z żywnością i tytoniem. Bez sprzeciwu oddawał je do podziału towarzyszom.

Tak minęły święta.

Po świętach wezwano Antoniego do kancelarii. Okazało się, że przyszedł doń nowy jego obrońca, adwokat Korczyński. Był to wysoki i dość zażywny, chociaż młody jeszcze brunet o poważnej twarzy i żywym, przenikliwym spojrzeniu.

– No, panie Kosiba – wyciągnął na powitanie rękę – zaznajomiłem się już z pańską sprawą. Widziałem się z kolegą Makłajem, przejrzałem dokładnie akta. Proces w pierwszej instancji nie był przeprowadzony zachwycająco i jestem zdania, że wiele mamy tu do zrobienia. Jeżeli nie wygramy sprawy całkowicie, w co wierzę, to wyrok zmniejszy do paru miesięcy. Czyniłem nawet starania, by pana już wypuszczono...

– Nie zależy mi na tym – mruknął Kosiba.

– Otóż sądzę, że ma pan rację, tym bardziej że rozprawa apelacyjna wyznaczona została na pierwszego lutego. Pozostał zatem panu niecały miesiąc. Dla tak krótkiego czasu nie opłacało się załatwiać wszystkich formalności z kaucją...

– Ja nic nie mam, skądże kaucja?...

– Pan Czyński chciał ją założyć za pana.

– Zbytek łaski. Nie potrzebuję pomocy pana Czyńskiego.

– A dlaczego?... On jest dla pana bardzo życzliwie usposobiony. Zresztą to zrozumiałe.

Uratował pan życie jego narzeczonej i może jemu. O, w pełni oboje zasługiwali na to. Ale wróćmy do sprawy. Otóż zebrałem już trochę materiału, który posłuży mi do obrony. Nie mam wiele czasu i będę się streszczał. Zatem przede wszystkim kazałem zrobić zdjęcia rentgenowskie Leszka i jego narzeczonej. Pokazywałem je wielu lekarzom. Opinia wszystkich brzmiała jednogłośnie, że operacje przeprowadzone przez pana były nie tylko zupełnie prawidłowe, lecz świadczą o wprost wyjątkowej pańskiej umiejętności. Zwłaszcza ta podstawa czaszki. To było podobno fenomenalne. Muszę tedy wiedzieć, skąd i od kogo pan się tego na-

uczył...

Znachor wzruszył ramionami.

– Nie uczyłem się.

– Niechże pan tego nie zataja przede mną, panie Kosiba – łagodnie powiedział adwokat – jeżeli pan sobie życzy, mogę to zachować przy sobie, ale ja muszę wiedzieć. Może pan pracował kiedy jako pielęgniarz w jakim szpitalu? Albo był pan sanitariuszem podczas wojny?...

– Nie.

– A od jak dawna leczy pan ludzi?... W jakich stronach pan był, zanim osiedlił się w młynie pod Radoliszkami?

– Dawniej nie leczyłem. Dopiero tam.

– Hm... Nie wmówi pan przecie we mnie, że bez żadnej praktyki umiał pan zestawiać złamane kości, prymitywnymi narzędziami przeprowadzać amputacje i temu podobne rzeczy.

– Ja też niczego panu wmawiać nie chcę.

– Tym brakiem szczerości utrudnia mi pan obronę.

– A czy ja prosiłem pana mecenasa o obronę? Nie potrzebuję żadnej obrony.

Adwokat przyjrzał się mu z zaciekawieniem.

– Woli pan siedzieć w więzieniu.

– Wszystko mi jedno – ponuro odpowiedział znachor. Adwokat rozgniewał się.

– Ale mnie nie jest wszystko jedno. Postanowiłem sobie i obiecałem przyjacielowi, że pana z tego wyciągnę. I wiedz pan, że nie zaniedbam niczego. Nie chcesz pan sam mówić, dowiem się od innych.

141

– Nie warto się trudzić. – Znachor machnął ręką. – Mnie wolność nie jest potrzebna, a co komu innemu po mojej wolności?... Czy będę w więzieniu, czy na swobodzie, nikomu nic z

tego nie przyjdzie.

– Głupstwa pan mówi, ale chociażby miał pan słuszość, to i tak w interesie samej sprawiedliwości...

– Nie ma sprawiedliwości – przerwał Kosiba. – Skąd panu przyszło, że jest sprawiedliwość?... Adwokat skinął głową.

– Oczywiście nie mówię o absolutnej sprawiedliwości. Taka może istnieje, lecz nie posiadamy w naszym umyśle żadnego sprawdzianu, by jej istnienie skonstatować. Mówiłem o sprawiedliwości względnej, ludzkiej.

Znachor zaśmiał się szyderczo.

– Żadnej nie ma. Ludzka?... Ot, widzi pan mnie tu, skazanego na trzy lata. A absolutna?...

Pan mecenas w umyśle pewno nie znajdzie sprawdzianu jej istnienia. Nie w umyśle go trzeba szukać, ale w uczuciach, w sumieniu. A jeżeli ktoś w tym sumieniu znajdzie tylko krzywdę, jeżeli pozna, że całe jego życie jest krzywdą, to gdzież ta sprawiedliwość absolutna? Bo nie kara!... Kara przychodzi za winy. Tylko krzywda! Niczym nie zasłużona!

Oczy mu błyszczały, a grube palce rąk zaciskały się nerwowo. Adwokat milczał chwilę i niespodziewanie zapytał:

– Jakie jest pańskie wykształcenie?

– Żadnego nie mam wykształcenia.

– W pańskich papierach podano, że skończył pan dwa oddziały szkoły ludowej w powiecie kaliskim. Ale mówi pan jak człowiek inteligentny. Znachor wstał.

– Życie człowiekowi różne myśli podsuwa... Czy mogę już odejść?

– Zaraz, chwileczkę. Więc nie chce pan ze mną pomówić otwarcie?

– Nie mam o czym mówić.

– Jak pan chce. Nie mogę pana zmusić. A teraz... może panu tu czego potrzeba?... Ciepła

bielizna, może książki?...

– Niczego mi nie potrzeba – z naciskiem powiedział znachor – a jeżeli czego, to tylko żeby mnie ludzie zostawili w spokoju. Adwokat uśmiechnął się pojednawczo i wyciągnął rękę.

– No, dobrze. Do widzenia, panie Kosiba.

Wyszedłszy z więzienia, mecenas Korczyński miał już gotowe postanowienie: należało pojechać do Radoliszek, do młyna, do okolicznych wiosek, wyszukać świadków, byłych pacjentów znachora, i później sprowadzić ich do sądu na rozprawę.

– Przy sposobności wpadnę do Ludwikowa na dzień lub dwa – pomyślał – a z tej sprawy zrobię wielką sprawę i jeżeli jej nie wygram, okaże się, że jestem patałachem.

Korczyński był młodym adwokatem, wrodzone jednak zdolności, pracowitość, gruntowna wiedza prawnicza, no i stosunki wysuwały go szybko naprzód, ambicja zaś kazała mu wciąż iść w górę, by wybić się nie tylko w tutejszej palestrze, lecz zdobyć sobie nazwisko w całym państwie.

Sprawę Antoniego Kosiby przyjął nie tylko przez wzgląd na przyjaźń z Leszkiem Czyńskim, nie tylko dla dobrego honorarium, którego przyjęcia nie mógł odmówić, ale głównie i przede wszystkim dlatego, że sama sprawa zainteresowała go bardzo i że wyczuł w niej te efektowne walory, które pewnym procesom nadają szczególniejszy rozgłos, a obrońcy w razie zwycięstwa przynoszą sławę.

Ponieważ zaś raz podjąwszy się obrony, nie zaniedbywał nigdy niczego, już, nazajutrz wyjechał do Radoliszek. Dwa dni upłynęły mu na rozjazdach po okolicy, na żmudnych rozmowach z ludźmi, na zbieraniu materiałów. Dlatego też musiał skrócić swoją wizytę u Czyńskich.

Przyjęto go tu z otwartymi rękami. Świąteczni goście już rozjechali się i w domu byli tylko państwo Czyńscy, Leszek i Marysia.

Korczyński opowiadał szczegółowo, co udało mu się zebrać, i zacierał ręce.

– Staję się coraz silniejszy. Zobaczycie, że gdy wytoczę na wały wszystkie moje armaty i otworzę huraganowy ogień, z oskarżenia zostaną gruzy i popioły. Przecież ten Kosiba to świetny lekarz! Ani jednego śmiertelnego wypadku, a wyleczonych przedstawię sądowi kilkadziesiąt sztuk. Z tych prawie połowa takich, co nie tylko mu za leczenie nie płacili, lecz jeszcze od niego otrzymywali wsparcie. Motywy zysku zupełnie odpadają. Zobaczycie! Ale główny nacisk kłaść będę na jego umiejętność. Dlatego wpadłem na pewien pomysł.

– A mianowicie? – zapytał Leszek.

Oto wszystkich świadków, a przede wszystkim ciebie i twoją uroczą narzeczoną muszę mieć w mieście już w przeddzień rozprawy. Nie wiem, czy Sąd przyjmie mój wniosek i zechce powołać ekspertów. Toteż mam w zapasie coś równie mocnego, jeżeli nie mocniejszego. Mianowicie przyszło mi na myśl, by jakiś znakomity chirurg zbadał wszystkich pacjentów przedrozprawą. Oczywiście musi to być taka znakomitość, że gdy stanie przed Sądem jako świadek powołany przez obronę, Sąd tym bardziej będzie musiał uznać jego opinię za wiarygodną. Musi to być gwiazda chirurgii.

Pani Czyńska skinęła głową.

– Taki jest w Polsce tylko jeden. Profesor Dobraniecki z Warszawy.

– Zgadła pani! – Adwokat klasnął w ręce.

– No, to nie było trudne – zaśmiał się pan Czyński. – Myślę, że trudniej będzie nakłonić Dobranieckiego do przyjazdu.

– Jeżeli to kwestia honorarium – wtrącił Leszek – to proszę cię, Wacku, nie krępuj się.

– No, honorarium też nie będzie małe – zaśmiał się Korczyński – ale mam jeszcze i inne sposoby. Żona Dobranieckiego jest kuzynką mojej żony. Jakoś to się zrobi. Musi być zrobio-

ne, bo sprawę muszę wygrać.

Marysia uśmiechnęła się doń szczerze.

– Tak wdzięczna jestem panu za ten zapach i za otuchę. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem przywiązana do tego najlepszego na świecie człowieka, jak go kocham. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jakie on ma serce.

– Tego nie wiem, ale wierzę pani na słowo. Natomiast zdziwił mnie Kosiba swoją inteligencją. Mówi jak zupełnie wykształcony człowiek, co jakoś nie pasuje mi ani do jego wyglądu, ani do nie ukończonej szkółki ludowej, ani do zawodu parobka młynarskiego czy znachora.

– A widzisz! – zawołała Marysia, zwracając się do Leszka.

– Tak, tak – przyznał Leszek. – Wyobraź sobie, Wacku, że Marysia od dawna zwróciła na to uwagę. A ja nawet przeprowadziłem pewną próbę, która potwierdziła nasze przypuszczenia.

– I jakaż to była próba? – zaciekawiał się Korczyński.

– Dość naiwna w gruncie rzeczy. Zacząłem z nim rozmawiać, używając wielu słów, których znaczenia nie może znać prosty chłop czy choćby półinteligent.

– No i...?

– Rozumiał wszystko. Mało tego. Kiedyś zastał Marysię nad wierszami Musseta, w oryginale. I zupełnie poprawnie przeczytał całą strofę.

– Dałbym głowę, że nie tylko czytał, lecz i rozumiał – dorzuciła Marysia. Adwokat zamyslił się.

– Tak. To rzeczywiście dziwnie... Zdarzają się jednak takie samouki. Ta teza też mogłaby mi się przydać, gdyby Kosiba zechciał otworzyć usta.

– Jak to?

– No bo milczy uparcie. Nie chciał mi udzielić żadnych informacji. Popadł w jakiś pesymizm, mizantropię, diabli wiedzą co.

143

– Biedak – westchnęła Marysia. – Myśmy z Leszkiem też byli tym zaskoczeni. Dlatego nie chcieliśmy narzucać się mu powtórnie. Przyjął nas prawie opryskliwie. Nie dziwię mu się zresztą. Tyle przejść...

– To minie, gdy znajdzie się z powrotem na wolności – z przekonaniem powiedział Leszek.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – zapewnił adwokat.

– Jaki pan dobry! – zawołała Marysia.

– Ja?... Dobry?... Ależ proszę pani! Tu nie ma miejsca na dobroć. Zbijam na tej sprawie pieniądze...

– No, no – zaśmiał się Leszek. – Nie przesadzajmy...

– ...a po wtóre, gdy taki proces wygram, zdobędę jeszcze większą popularność, jeszcze lepszą markę i... więcej forsy.

– Fe – zgorszyła się pani Czyńska – wstydziłby się pan udawać karierowicza.

– O, ja nie udaję. Ja jestem karierowiczem. I wcale się tego nie zapieram. Wprost przeciwnie. Popisuję się tym, ile razy mogę. Jeszcze będąc studentem powiedziałem sobie, że zrobię karierę, i robię ją konsekwentnie. U nas panuje śmieszne, nagminne potępienie karierowiczów. Zrobiono z tej nazwy obraźliwe słowo. A tymczasem co znaczy robienie kariery? Znaczący dążenie do wyzyskania wszelkich atutów, którymi obdarzyły nas natura, środowisko, wychowanie, wykształcenie, do zdyskontowania w życiu swoich uzdolnień, inteligencji, energii, umiejętności obcowania z ludźmi. Kto nie umie wykorzystać posiadanych warunków, ten je marnuje. Jest marnotrawcą i gamoniem. Oczywiście są także nieuczciwi karierowicze, tak

samo jak są nieuczciwi bokserzy, używający w walce niedozwolonych ruchów. Ale to już inna sprawa. Ja na przykład najwięcej żywię zaufania do karierowiczów, wiem, że na nich nigdy się nie zawiodę, bo mają ambicję, mają pęd, mają wolę osiągnięcia najlepszych możliwości dla siebie, a zatem i dla sprawy, której służą.

Zaśmiał się i dodał:

– Gdybym był dyktatorem, wszystkie dygnitarskie stanowiska poobsadzałbym karierowiczami.

Pan Czyński potrząsnął głową.

– Rozumowanie pana wydaje mi się zbyt uproszczone, mecenasie.

– A to dlaczego?

– Bo w karierowiczu owa wola pchnięcia własnej kariery jest czasem tak silna, że znalazłszy się w konflikcie z poczuciem obowiązku, musi zwyciężyć.

– Czasem? – podchwycił adwokat. – Zgadzam się z szanownym panem. Aleczyż nie więcej strat ponosimy przez nieudolność i ospałość różnych niedojadów i dobrowolnych pariasów?... Myślę, że dlatego właśnie jesteśmy narodem ludzi biednych, że panuje u nas psychoza pogardy dla wszystkich tych, którzy zdobyli czy to majątek, czy pozycję. Mamy szacunek tylko dla tych, co otrzymywali to wszystko bez żadnej osobistej zasługi i bez żadnego wysiłku, to znaczy drogą spadku.

– Jest pan, widzę, zwolennikiem amerykańskiego kultu dla milionerów.

– W Ameryce nie wszystko jest głupie – uśmiechnął się Korczyński. Pani Eleonora jednak przerwała dyskusję, wracając znowu do sprawy

znachora. Potem poproszono do stołu, a wieczorem Korczyński odjechał na stację.

– Sprawia wrażenie człowieka, który nie umie ustępować z drogi – zaopiniowała po jego

wyjeździe pani Czyńska.

– O, tak – potwierdził Leszek. – Dlatego też jeżeli chodzi o sprawę, mam najlepsze nadzieje. I sędzę, że trzeba przyspieszyć odnowienie tego domku w ogródku, w którym ulokujemy Kosibę.

144

Domek istotnie był już od tygodnia remontowany pod pieczołowitym doглядem obojga narzeczonych, którym nawet do głowy nie przychodziło, że ich praca jest daremna i że przyszłość inaczej ułoży się, niż sobie uplanowali.

Rozdział XIX

Niewielka sala Sądu Apelacyjnego szybko się zapełniła publicznością o dziwnym składzie. Ceglaste kozuchy chłopów z okolic Radoliszek mieszały się z eleganckimi futrami panów z miasta. Sprawa wywołała wielkie zainteresowanie nie tylko w kołach prawniczych, gdzie już od dawna krążyły ekscytujące pogłoski o rewelacyjności obrony przygotowanej przez Korczyńskiego, lecz i w świecie lekarskim wzbudziła sensację, tak ze względu na swoje tło, jak i na fakt, że na rozprawie wystąpić miał w charakterze świadka profesor doktor Dobraniecki, najwybitniejszy chirurg polski, cieszący się powszechnym uznaniem, szacunkiem i sławą. Wśród obecnych w Sądzie lekarzy nie brakło dawnych wychowanków słynnego profesora, nie było zaś ani jednego, który by z najwyższą ciekawością nie oczekiwał jego opinii o praktykach znachorskich. Jeżeli dziwiono się, to dziwiono się tylko temu, że profesor został powołany do świadczenia przez obronę, nie zaś przez oskarżenie, i dlatego też spodziewano się usłyszeć rzeczy rewelacyjne.

Że tak miało być istotnie, można było wywnioskować i z miny mecenasa Korczyńskiego.

Wesoły i rozmowny pól siedział na swoim stole, w rozpiętej todze i z rękami w kieszeniach

spodni, gawędząc z paru kolegami z palestry. Obok na stole piętrzyły się stopy akt i notatek, do których jednak nawet nie zaglądał. Musiał tedy materiał opanować wyśmienicie i miał już szczegółowo opracowaną linię obrony.

I rzeczywiście, był pewien siebie, zwłaszcza od wczoraj. Wczoraj wczesnym rankiem przywitał na dworcu profesora Dobrameckiego i odwiózł go do jedne) z lecznic prywatnych, gdzie już byli zebrani dawni pacjenci znachora Kosiby. Prawie cały dzień z niedużymi przerwami spędził profesor na ich badaniu, na studiowaniu zdjęć rentgenowskich i na dyktowaniu scenotypistce orzeczeń.

Mecenas Korczyński nie zaniedbał niczego, co mogło się przyczynić do wygrania sprawy.

Dopilnował sprowadzenia wszystkich potrzebnych mu świadków, gruntownie przewertował akta i spokojnie mógł teraz czekać na rozprawę.

Wprowadzono oskarżonego, który apatycznie zajął swoje miejsce pod strażą policjanta.

Wygląd Antoniego Kosiby zdawał się być najjaskrawszym kontrastem pogodnego zadowolenia z siebie jego obrońcy. Usiadł zgarbiony, opuścił głowę i wpatrywał się nieruchomo w podłogę. Jego broda jeszcze bardziej posiwiała, skóra na twarzy żółkła, pod oczami zaznaczyły się wyraźne sinawe worki. Nawet nie rozejrzał się po sali, jakby nie słyszał życzliwych znajomych głosów wymawiających jego nazwisko, zresztą może nie słyszał ich rzeczywiście, gdyż na skierowane doń pytania obrońcy również nie zareagował wcale. Dopiero ostry odgłos dzwonka i rozkaz policjanta, który kazał mu wstać, rozbudziły Kosibę. Podniósł się ciężko i usiadł, znowu pogrążony w swoich myślach.

W tej sali był jedynym człowiekiem, którego zupełnie nie obchodził przebieg rozprawy i jej wynik.

Jak automat odpowiedział na skierowane doń pytania zmierzające do ustalenia personaliów i zatonął znowu w apatycznym bezruchu.

– Gdybym miał do czynienia z ławą przysięgłych – pomyślał z uśmiechem Korczyński – sam wygląd tego biedaka wystarczyłby mi do uzyskania uniewinnienia.

Tymczasem rozpoczął się korowód świadków. Przed pulpitem stanął przodownik Ziomek.

Na precyzyjnie skonstruowane pytania prokuratora musiał odpowiedzieć wyjaśnieniami silnie

145

obciążającymi oskarżonego. Kosiba przyznał się do kradzieży walizki z narzędziami, walizki tej nie zwrócił, ukrył ją i przetrzymał kilka tygodni, oddał zaś wobec groźby rewizji, która i tak doprowadziłaby do odnalezienia skradzionego przedmiotu.

Z kolei wystąpił z pytaniami obrońca.

– Czy świadek, jako komendant posterunku w Radoliszkach, otrzymywał jakieś zażalenia od ludności na Kosibę?

– Nie, żadnych.

– Czy przed wypadkiem przywłaszczenia narzędzi uważałby pan za możliwe wystawienie mu świadectwa moralności?

– Oczywiście. To był bardzo porządny człowiek.

– Dlaczego pan nie aresztował Kosiby po ujawnieniu kradzieży?

– Bo nie zachodziła, moim zdaniem, obawa ucieczki. Wystarczyło zobowiązanie się Kosiby do mewydalania się.

– Czy świadek wiedział, że Kosiba przybył do waszej okolicy względnie niedawno i że od wielu lat bardzo często zmieniał miejsce zamieszkania?

– Wiedziałem.

– I pomimo to ufał mu pan, że nie naruszy zobowiązania?

– Tak. Zresztą nie omyliłem się, bo przecie nie uciekł.

— Dziękuję. Więcej pytań nie mam.

Następnym świadkiem był doktor Pawlicki. Początkowo oświadczył z niechęcią, że nie dodać nie może do swoich poprzednich zeznań, jednak pod naciskiem prokuratora zaczął odpowiadać.

– Byłem trzykrotnie w izbie, gdzie mieszkał oskarżony.

– W jakim celu?

– Najpierw, by go ostrzec przed uprawianiem bezprawnej praktyki lekarskiej, później wezwany do wypadku i wreszcie celem odszukania skradzionych narzędzi chirurgicznych.

– Jakie warunki higieniczne zastał pan w tej izbie?

– Wręcz opłakane. Ubranie oskarżonego było wysmolone, ręce bardzo brudne. Pułap w wielu miejscach pokryty był pajęczynami. Zauważyłem, że garnki, w których gotowano zioła, porośnięte były tłustym brudem. Prawdopodobnie służyły również do gotowania stawy i robiły wrażenie nigdy nie mytych. Podłoga była zavalona śmieciami i różnymi rupieciami. Zaduch panował taki, że trudno było oddychać.

– Gdzie Kosiba przeprowadzał operacje?

– Właśnie w tej izbie.

– Czy w takich warunkach przy poważniejszych zabiegach może pacjentowi grozić zakażenie?

– Oczywiście, i to nie tylko w poważniejszych. Przy każdej najdrobniejszej ranie, jeżeli dostanie się do niej brud lub kurz czy coś podobnego, możliwe jest zakażenie lub tężec.

– Jak odpowiedział oskarżony na upomnienia pana doktora?

– Zignorował je całkowicie.

– Czy widział pan narzędzia chirurgiczne, których używał znachor do operacji?

– Widziałem, lecz nie były to narzędzia chirurgiczne. Widziałem zwykłe ślusarskie młotki, dłuta, obcęgi itp. Oraz zwykły nóż kuchenny i piłę ogrodniczą.

– W jakim stanie znajdowały się te narzędzia?

– Na niektórych była rdza. Na jednym dłutku zauważyłem starą, zakrzepłą

krw. Wszystkie czuć było naftą czy też benzyną, której używał oskarżony widocznie jako środka dezynfekcyjnego.

– Czy nafta lub benzyna mają wartość jako środek odkażający?

– Tak, ale w nieznacznym stopniu.

– Czy w okolicy Radoliszek praktykuje wielu znachorów?

146

– W bliższej kilkunastu. W całym powiecie jest ich chyba kilkudziesięciu. To istna plaga.

– Czym pan doktor to tłumaczy?

– Ciemnotą ludności.

– Czy śmiertelność wśród nich jest duża?

– Bardzo duża.

– Czy bywał pan doktor wzywany do wypadków, gdzie śmierć następowała wskutek zabiegów znachorskich.

– Nader często. W aktach sprawy znajduje się odpis mego memoriału, złożonego władzom, gdzie podaję liczby. Osobiście zanotowałem siedemdziesiąt dwa wypadki w ciągu dwóch lat. W całym powiecie, według danych wszystkich lekarzy, znachorskie zabiegi przyczyniły o śmierć dwieście kilkadziesiąt osób.

Teraz do świadka zwrócił się obrońca:

– Pan doktor powiedział przed chwilą, że nader często bywa wzywany do ofiar znachorskiego leczenia?

– Tak jest.

– Ile razy miał pan do czynienia z ofiarami Antoniego Kosiby?

- Nie przypominam sobie.
 - Ach tak. Czy przypomina pan doktor sobie wobec tego chociażby jeden wypadek tego rodzaju?
 - Nie.
 - To dziwne. Kosiba leczył w bezpośrednim sąsiedztwie Radoliszek, leczM w fatalnych warunkach higienicznych, używał najprymitywniejszych narzędzi do operacji i pomimo to nie słyszał pan doktor o żadnym wypadku śmierci z jego winy?... A może pan słyszał?
 - Nie – po chwili namysłu odpowiedział lekarz.
 - Czym to sobie należy tłumaczyć? Czy Kosiba miał małą praktykę?
 - Nie liczyłem jego pacjentów.
 - Pan się myli, doktorze. Pańskie zeznania w pierwszej instancji stwierdzają, że pan liczył. Upraszam Wysoki Sąd o odczytanie odnośnego ustępu zeznań świadka. Tom drugi strona trzydziesta trzecia, ustęp pierwszy.
- Przewodniczący skrzywił się.
- To dla sprawy nie jest istotne.
 - Chcę wykazać, że Kosiba miewał do dwudziestu pacjentów dziennie, według obliczeń świadka doktora Pawlickiego.
- Odczytano wskazany ustęp, po czym obrońca znów zwrócił się do świadka:
- Na pytanie pana prokuratora oświadczył pan, że był trzykrotnie w izbie Kosiby, w czym raz na wezwanie?
 - Tak jest.
 - Po co pana wzywano?
 - Po katastrofie motocyklowe) do dwojga ciężko rannych.
 - Kto pana wzywał?

– Niejaki Wojdyłło, jak się później dowiedziałem, właśnie sprawca katastrofy.

– A na czyje polecenie pana wzywał?

– Zdaje się, że na polecenie Kosiby.

– Czy nie przypomina pan doktor sobie, czym tłumaczył panu Kosiba, że go wzywał?

– Owszem. Było dwoje poważnie rannych i twierdził, że sam nie może dać sobie rady.

– Czy błagał pana doktora o ratowanie rannej dziewczyny?

– Tak, ale uznałem jej stan za beznadziejny. Zastosowałem tylko zastrzyk na wzmocnienie serca.

147

– Czy Kosiba prosił pana doktora o pozwolenie skorzystania z pańskich narzędzi chirurgicznych celem operowania rannej?

– Owszem, ale żaden lekarz na moim miejscu nie spełniłby takiej prośby.

– Czy też żaden lekarz nie zechciałby operować umierającej tylko dlatego, że pobieżne oględziny nasunęły mu przypuszczenie, że operacja nie uratuje chorej?

Doktor Pawlicki poczerwieniał.

– Pan nie ma prawa mnie obrażać!

– Uchylam to pytanie – powiedział przewodniczący. Adwokat skinął głową.

– Co skłoniło pana doktora do mniemania, że stan rannej jest beznadziejny?

– To było wgniecenie podstawy czaszki! Puls zanikł niemal zupełnie.

– A wie pan doktor o tym, że znachor Kosiba przeprowadził operację i uratował pacjentkę?

– Wiem.

– Czym to można wyjaśnić? Lekarz wzruszył ramionami.

– Najbardziej zdumiewający wypadek w mojej praktyce. Sądzę, że też stało się to tylko nader dziwnym przypadkiem.

– Czy gdy pan doktor przyjechał do młyna, znachor zakomunikował panu własną diagnozę?

– Tak.

– A była ona zgodna z pańską?

– Tak.

– Czy zatem nie wydaje się panu doktorowi, iż Antoni Kosiba, ustalając trafną diagnozę i pomyślnie przeprowadzając wysoce niebezpieczną operację, wykazał duży talent chirurgiczny?

Lekarz zawahał się.

– Owszem. Lojalnie muszę przyznać, że w wielu wypadkach zastanawiało mnie to.

– Dziękuję. Więcej pytań me mam. – Adwokat skinął głową i z uśmiechem spojrzał na prokuratora.

Z kolei odczytano zeznania kilku świadków oskarżenia z poprzedniej rozprawy, po czym jeden po drugim zjawiali się świadkowie powołani przez obronę. A więc zeznawał stary młynarz, jego syn, państwo Czyńscy, wreszcie cała seria byłych pacjentów Antoniego Kosiby.

Zeznania ich brzmiały niemal identycznie: byłem chory, groziło mi kalectwo, on mnie uratował, o zapłatę nie upominał się. Niektórzy oświadczyli, że jeszcze od znachora otrzymali to i owo, że w całej okolicy wiedziano o jego bezinteresowności. Zaświadczył to i pan Czyński, od którego Kosiba nie przyjął stu złotych, chociaż musiała to być dlań suma znaczna, a zasłużył na nią w zupełności.

Wzruszające były zeznania Prokopa Mielnika, który zakończył je słowami:

– Bóg go do mego domu sprowadził, czyniąc tym wielką łaskę mnie grzesznemu, mojej

rodzinie i ludziom sąsiedzki. A że od Boga on, nie od złego ducha przyszedł, to i stąd wiem, że od pracy, która jest Bogu miła, nigdy się nie uchylał. Mógł ode mnie wszystkiego żądać, mógł beczynie za piecem siedzieć, jeść i spać. Ale on nie taki. Do każdej roboty był pierwszy, czy do przemysłnej, czy do czarnej. I tak do końca, aż do sprawy. A człowiek przecie niemłody. Tak ot my prosim wielmożnego Sądu, żeby go uwolnił na chwałę Bogu i na pożytek ludzki.

Siwa głowa starca pochyliła się w niskim pokłonie, prokurator zmarszczył brwi, a wszyscy obecni spojrzeli na oskarżonego.

Antoni Kosiba jednak siedział wciąż obojętny, z opuszczoną głową. Nie słyszał ani zręcznych pytań prokuratora, ani kontrataków obrońcy, ani zeznań świadków. Na chwilę krótką obudził go cichy, drżący głos Marysi.

Podniósł wówczas wzrok i poruszył bezgłośnie wargami, by znowu zapaść w apatię.

148

– Nic mi nie zostało – myślał – nic mnie nie czeka... Tymczasem przed pulpitem stanął świadek najważniejszy, do którego zeznań mecenas Korczyński największą przywiązywał wagę. Nie tylko on zresztą, zarówno sędziowie, jak i publiczność, oczekiwali jego zjawienia się z napięciem. Miał zabrać głos luminarz nauki, świetny chirurg, a także pierwsza osoba w świecie lekarskim, persona gratissima, niejako reprezentant całego stanu, oficjalny reprezentant, prezes i opiekun.

Kto nie znał go osobiście lub nie widział go nigdy, pomimo to tak właśnie musiał sobie wyobrazić profesora Dobranieckiego. Wysoki, w sile wieku mężczyzna, o nieco zażywniej postawie, o pięknym, orlim profilu i wysokim czole. Z każdego jego ruchu, z brzmienia jego głosu, z pełnego powagi spojrzenia przebijała ta pewność siebie, którą daje tylko poczucie własnej wartości, wartości powszechnie uznanej i udokumentowanej pozycją w życiu.

– Zwróciło się do mnie jako do chirurga – zaczął – kilkanaście osób

z prośbą, bym zbadał stan ich zdrowia. Ulegli w swoim czasie różnym poważniejszym urazom, względnie schorzeniom, po czym poddali się zabiegom chirurgicznym, przeprowadzonym przez wiejskiego znachora nazwiskiem Kosiba. Auskultacja i prześwietlenia przy pomocy aparatu Roentgena wykazały, co następuje...

Tu profesor zaczął kolejno wyliczać nazwiska przed chwilą przesłuchanych świadków wraz z opisem uszkodzeń z oceną ich niebezpieczeństwa i z oceną dokonanych zabiegów operacyjnych oraz wyników kuracji. Gęsto padały łacińskie nazwy, lekarskie terminy, fachowe określenia.

– Reasumując – kończył profesor – muszę stwierdzić, że we wszystkich wyżej wymienionych przypadkach operacje przeprowadzone zostały zupełnie prawidłowo, z niewątpliwie gruntowną znajomością anatomii i uchroniły ofiary od śmierci względnie nieusuwalnego kalectwa. Przewodniczący skinął głową.

– A czym pan profesor może wytłumaczyć fakt, że człowiek, nie posiadający żadnego wykształcenia, mógł dokonać tak ryzykownych zabiegów z pomyślnym skutkiem?

– Sam sobie zadawałem to pytanie – odpowiedział profesor Dobraniecki. – Otóż chirurgia jest z natury rzeczą wiedzą empiryczną, opartą na doświadczeniach i obserwacjach tysięcy pokoleń. Początki zabiegów operacyjnych sięgają nader odległych okresów prehistorycznych. Archeologom znane są wykopaliska z epoki brązu, a nawet kamienia łupanego pozwalające stwierdzić, że już wówczas umiano zestawiać złamane kości, przeprowadzać amputacje kończyn itp. Otóż sądzę, że wśród ludności wiejskiej, obeznanej z anatomią zwierząt domowych, mogą się zdarzać wyjątkowo bystrzy obserwatorzy, którzy z czasem przychodzą z pomocą ludziom, nabierając wystarczającej w drobniejszych i mniej skomplikowanych wypadkach praktyki.

- Tu jednak – odezwał się przewodniczący – pan profesor określił większość przypadków jako uszkodzenia skomplikowane i groźne.
- Istotnie, Toteż przyznaję, że byłem zdumiony. Ten znachor musi mieć nie tylko doświadczenie, lecz i wręcz fenomenalny talent... Zamyślił się i dodał:
- ...intuicję... Tak, intuicję chirurgiczną, rzecz bardzo rzadko spotykaną. Osobiście znałem kiedyś jednego tylko chirurga o tak pewnej ręce i o takiej intuicji.
- A co oznacza pewność ręki?
- Pewność ręki?... Przede wszystkim trafne cięcia.
- Dziękuję – powiedział przewodniczący. – Czy strony mają pytania? Prokurator przecząco potrząsnął głową, zaś mecenas Korczyński zawołał:
- Ja mam. Czy pan profesor znalazł u któregoś z badanych przez siebie pacjentów Kosiby ślady zakażenia?
- Nie.
- Dziękuję. Więcej pytań nie mam.

149

Profesor skłonił się i usiadł w pierwszym rzędzie krzeseł obok państwa Czyńskich. Teraz też po raz pierwszy rzucił okiem na ławę oskarżonych. Zobaczył barczystego, wychudłego brodacza, wyglądającego na lat niespełna sześćdziesiąt.

– Więc taki jest ten znachor – pomyślał. Już chciał odwrócić głowę, gdy zastanowiło go dziwne zachowanie się oskarżonego.

Antoni Kosiba wpatrywał się weń intensywnym i jakby nieprzytomnym wzrokiem.

Na jego ustach zjawił się niezrozumiały uśmiech, niepewny i pytający.

– Cóż za dziwaczny jegomość – skonstatował profesor w myśli i odwrócił się. Po dłuższej chwili jednak znowu musiał spojrzeć na znachora. Wyraz jego wychudzonej twarzy nie zmie-

nił się, a oczy wprost wlepił w profesora.

Dobranieckinierwowo poprawił się na krześle i zaczął przyglądać się prokuratorowi, który właśnie rozpoczął swoją mowę. Mówił głosem dość monotonnym i to może odbierało sugestywność jego argumentom, plastykę jego krótkim, rzeczowym zdaniom, beznamiętnym, ale nieomylnie logicznym.

Prokurator przyznawał, że wyrok pierwszej instancji przez ludzi kierujących się uczuciami może być uznany za zbyt surowy. Przyznawał, że oskarżony Kosiba nie należy do najgorszego gatunku szarlatanów. Przyznawał nawet, że do uprawiania tego procederu mogły go skłonić pobudki szlachetne.

– Ale my tu – ciągnął – nie reprezentujemy miłosierdzia. Jesteśmy przedstawicielami prawa. I nie wolno nam zapominać, że oskarżony łamał je...

Profesor Dobraniecki starał się skupić uwagę na wywodach prokuratora, lecz nie dawało mu spokoju nieznośne wrażenie: wprost czuł na karku wzrok tego Rósłby.

– Czego on ode mnie chce? – irytował się w duchu. – Jeżeli w ten sposób wyraża wdzięczność za moje zeznania...

– ...Niewątpliwie, są tu okoliczności łagodzące – ciągnął oskarżyciel. – Ale nie możemy ignorować faktów. Kradzież zawsze pozostaje kradzieżą. Ukrywanie skradzionego przedmiotu...

Nie. Niepodobna było w tych warunkach ześrodkować uwagi. Oczy tego człowieka miały jakiś wpływ magnetyczny. Dobraniecki prawie z gniewem odwrócił się do niego i zdziwił się: znachor siedział z opuszczoną głową. Przed nim na balustradzie leżały bezwładnie jego wielkie ręce.

I nagle w umyśle profesora zrodziło się nedorzeczne przypuszczenie:

– Musiałem już kiedyś widzieć tego człowieka.

Pamięć zaczęła pracować. Profesor wierzył w swoją pamięć. Nigdy go jeszcze nie zawiodła. I teraz, po dłuższej chwili, doszedł do przeświadczenia, że przez moment złudziło go jakieś nieistotne podobieństwo. Zapewne do jakiegoś przelotnego pacjenta sprzed lat... Zresztą nie miał czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo właśnie wstał mecenas Korczyński i jego metaliczny baryton zabrzmiał elektryzująco:

– Wysoki Sądzie! Ślepe fatum tylko i nieporozumienie zrządziły, że ten oto człowiek znalazł się w tej sali i przed tym trybunałem. Nie tu jego miejsce, i nie ten areopag jest właściwy dla oceny jego czynów. Antoni Kosiba powinien w tej chwili znajdować się w auli naszego Uniwersytetu, powinien stać w obliczu senatu akademickiego i nie na wyrok powinien czekać, lecz na wręczenie mu dyplomu doktora honoris causa Wydziału Medycznego!

– O, nie, panowie sędziowie, nie ponosi mnie fantazja! Nie szukam oratorskich efektów. I bynajmniej nie sięgam do niepodobieństw. Jeżeli zaś niepodobieństwem byłoby dzisiaj nagrodzenie znachora doktoratem, to jedynie z tej racji, że nasze ustawodawstwo popełniło tu przeoczenie. Ze różną miarą do równie odpowiedzialnych zastosowało zawodów. Wysoki Sądzie! Nie możemy zgodzić się, by życie ludzkie zostało powierzone lekarzowi, którego wiedzy i umiejętności nie gwarantuje ukończona medycyna. Ale powierzamy je bez wahania

150

inżynierowi, budującemu maszyny czy mosty. A przecież tytuł inżyniera i wszystkie związane z nim prawa może otrzymać każdy, chociażby nie przechodził studiów w politechnice, jeżeli wykaże swoją pracą, że posiada dość wiedzy i dość umiejętności dla swego zawodu. Czyż mam tu wymienić ogólnie znane nazwiska tych uczonych, którzy w politechnikach polskich obdzielają tysiące słuchaczy swą wiedzą, a sami nawet świadectwem szkółki powszechnej poszczycić się nie mogą?

– Niestety, prawodawca nie zastosował tych możliwości dla zawodu lekarskiego. Gdyby tak było, stenogram dzisiejszej rozprawy wystarczyłby Antoniemu Kosibie do uzyskania doktoratu. Jakież lepsze, jakież wymowniejsze można by zebrać dowody jego wiedzy i jego umiejętności niż te, które zgromadził przewód sądowy, niż zeznania tych świadków, którzy właściwie zjawili się nie jako świadkowie, lecz jako dowody rzeczowe, jako żywe dokumenty lekarskich umiejętności oskarżonego.

– Zjawili się tu jako Łazarze, którym powiedział: – Wstańcie!... i przyszli dać świadectwo prawdzie, przyszli, by palcem wskazać na swego dobroczyńcę i zawołać: – Ten ci jest! Byliśmy kalecy, a on nam chodzić pozwolił, byliśmy chorzy, a on nas uzdrowił, byliśmy nad grobem, a on nam żyć kazał!

– Lecz pan prokurator widzi w tym grzech i winę, że Antoni Kosiba, nie posiadając dyplomu, ośmielał się ratować bliźnich. Czy jeżeliby skoczył do wody dla ratowania tonących, musiałby również posiadać świadectwo ukończenia szkoły pływackiej?...

– Nie jestem demagogiem i bynajmniej nie staję tu w obronie znachorstwa. Ale tym ostrzej protestować muszę przeciw użytemu przez oskarżenie sposobikowi. Mianowicie zestawiono tu pozornie przypadkowe dwie prawdy:

pierwszą, że Antoni Kosiba jest znachorem, i drugą, że znachorzy są szarlatanami, operującymi całym arsenałem trików i sztuczek, zaklęć, zamówień, odczyniania uroków i innej blagi. Za pozwoleniem! W tym zestawieniu tkwi perfidia, gdyż jak nam wiadomo z przewodu sądowego, oskarżony nigdy, ani w jednym wypadku nie posługiwał się bluffem.

– W świetle tegoż przewodu upadł też z kretesem zarzut, według którego Kosiba działał z chęci zysku. A skoro w jego działalności akt oskarżenia upatruje przestępstwo, jedyny zaś motyw tego przestępstwa rozwiewa się

niczym mgła, jedynym motywem do naszego użytku może być tylko mania. Tak, Wysoki

Sądzie! Ten człowiek jest maniakiem. Opanowała go mania pomagania cierpiącym, pomagania za darmo, ba, więcej! bo za cenę utraty własnej wolności, za cenę piętna zbrodniarza, za cenę twardej pryczy więziennej i hańbiącego miejsca na tej ławie.

– Nie będę tu dłużej zatrzymywał się nad kwestią, czy Antoni Kosiba był dobrym lekarzem. Wyręczyli mnie świadkowie, wyręczył przede wszystkim luminarz naszej chirurgii, którego opinia starczy za najcenniejszy atestat. Nie będę też wyzyskiwał łatwej możliwości podkreślenia, że doktor medycyny Pawlicki nie miał, jak sam zeznał, ani jednego wypadku, by zgłosił się doń o ratunek pacjent tego znachora, że natomiast ten znachor uratował od kalectwa w jednym wypadku i od śmierci w drugim dwie osoby, od których doktor Pawlicki odszedł bezradny.

– Chcę mówić, panowie sędziowie, o największej winie Antoniego Kosiby, chcę mówić o tym, co oskarżenie na pierwszy wysunęło plan; chcę mówić o anty-sanitarnych warunkach, jakie panowały w tej izbie, w której dokonywał on operacji. Otóż byłem w tej izbie i muszę przyznać panu prokuratorowi, że świadkowie, których powołał, z dużym umiarkowaniem scharakteryzowali antyhygieniczne warunki, które tam panują. Zapomniano dodać, iż w oknach są szczeliny, skąd zawiewa wiatr, że w wypaczonej podłodze są szpary, skąd ciągnie wilgoć, że pułap zacieka, że piec dymi, że w izbie nie tylko nie brakowało brudu, pajęczyn i kurzu, lecz gnieździły się tam również karaluchy!... Widziałem też i narzędzia, przy których pomocy Kosiba robił operacje. Jest to stare, zużyte i zardzewiałe żelastwo, poszczerbione i pokrzywione, powiązane drutem i sznurkami. W takiej to izbie i takimi narzędziami Kosiba operował ludzi.

– Lecz, na miły Bóg... przecie żaden z operowanych nie umarł? Przecie żaden nawet zaka-

żenia nie dostał!

– Widzę tu na sali kilkunastu wybitnych i doświadczonych lekarzy i zapytuję ich: Zasluga to Kosiby czy jego wina?!... Zapytuję ich: Czy sam fakt, iż tylu niebezpiecznych operacji dokonał ktoś w tak straszliwych warunkach, świadczy przeciw niemu czy za nim?!... Czy za to, właśnie za to ma dostać cztery ściany więzienne, czy wart jest sali operacyjnej z porcelany i szkła?!...

Przez salę przeszedł głośny szmer, gdy zaś ucichło, mecenas Korczyński mówił dalej:

– I jeszcze jeden zarzut ciąży na tym oto starcu, na którego życiu nie było dotąd żadnej plamy, na człowieku, któremu bez wahania ufała nawet podejrzliwa policja: popełnił kradzież. Tak. Skusił go połysk precyzyjnych, lśniących narzędzi chirurgicznych i ukradł je.

Najpierw wprawdzie próbował wyprosić pożyczenie tych narzędzi, a spotkawszy się z kategoryczną odmową – ukradł. Lecz po cóż to uczynił?... Co tego uczciwego człowieka pchnęło do przestępstwa?... W jakiej sytuacji i z jakich pobudek sięgnął po cudzą własność?...

– Oto w izbie w tej właśnie chwili konała na stole młoda dziewczyna, rozkwitające życie pogrążało się w otchłań śmierci, a on. Antoni Kosiba, wiedział, czuł, rozumiał, że bez tych lśniących narzędzi nie zdoła przyjąć ze skuteczną pomocą. Zapytuję: jak miał postąpić Antoni Kosiba?...

Adwokat powiódł rozplómiętym spojrzeniem po sali.

– Jak miał postąpić?! – zawołał. – Jak postąpiłby każdy z nas na jego miejscu?!... Jedną znajduję tylko na to odpowiedź: – Każdy z nas zrobiłby to samo, co Antoni Kosiba, każdy z nas ukradłby te narzędzia! Każdemu z nas sumienie wskazałoby, że to jest jego obowiązkiem, obowiązkiem moralnym!

Uderzył pięścią w stół i wzburzony umilkł na chwilę.

– W dawnej Austrii – ciągnął – istniał pewien szczególniejszy order wojskowy. Dawany

był za czyn dziwny, za meusłuchame rozkazu, za złamanie dyscypliny, za bunt przeciw kar-
ności. Był to jeden z najwyższych i najrzadziej rozdawanych orderów, lecz stanowił odzna-
czenie najchlubniejsze. Gdyby sądy polskie rozporządzały prawem rozdawania nie tylko kar,
lecz i nagród, taki właśnie order za złamanie prawa powinien by zawisnąć na piersi Antoniego
Kosiby, gdy będzie wychodził z tej sali.

– Ponieważ zaś nagroda ta, niestety, nie istnieje, niech mu nagrodą będzie to, że każdy
uczciwy człowiek za zaszczyt sobie będzie uważał uściśmęcie tej spracowanej i brudnej ręki,
tej najczystszej ręki na świecie.

Korczyński skłonił się i usiadł.

Profesor Dobraniecki nie bez zdziwienia zauważył w jego twarzy i spuszczonej powie-
kach wyraz wzruszenia. Sam zresztą był wzruszony, jak i publiczność. Jeden z sędziów raz po
raz nieznacznie ocierał zgiętym palcem kąciki ust. Drugi siedział z oczyma wbitymi w papie-
ry.

Wyrok uniewinniający zdawał się być przesądzony, tym bardziej że prokurator zrezygno-
wał z repliki.

– Oskarżonemu przysługuje prawo głosu – powiedział przewodniczący. Antoni Kosiba me
poruszył się.

– Ma pan prawo ostatniego słowa. – Mecenas Korczyński potrząsnął go za łokieć.

– Ja nic... nie mam do powiedzenia. Wszystko mi jedno...

I usiadł.

Gdyby czyjekolwiek oczy zwróciły się w tej chwili na profesora Dobranieckiego, zdziwił-
by się każdy. Profesor zbladł nagle, zrobił ruch, jakby chciał zerwać się z krzesła, i otworzył
usta...

Lecz nikt tego nie zauważył. Właśnie wszyscy wstawali, gdyż sędziowie udawali się na naradę. Po ich wyjściu głośne rozmowy wypełniły salę, wiele osób otoczyło Korczyńskiego, winszując mu świetnie przeprowadzonej obrony. Niektórzy wyszli na korytarz, by wypalić papierosa.

Profesor Dobraniecki poszedł za nimi. Drżały mu ręce, gdy wyjmował papierośnicę. Wyszukał pustą ławeczkę w dalszym kącie i ciężko na nią opadł.

Tak. Poznał go, wiedział teraz na pewno: znachor Antoni Kosiba był kiedyś profesorem Rafałem Wilczurem.

– Ten głos!

O, nigdy nie zapomniał tego głosu. Latami przecie wsłuchiwał się w jego brzmienie. Najpierw jako młody student medycyny, później jako asystent, wreszcie jako początkujący lekarz, przygarnięty przez wielkiego uczonego... Jakże mógł nie poznać tych rysów od razu! Jakże mógł nie widzieć ich pod tym szpakowatym zarostem!

Ba! Jakimż głupcem był już wcześniej, gdy jeszcze nie widział Antoniego Kosiby, gdy tylko zdumiony oglądał ślady pooperacyjne na jego pacjentach! Pojąć nie mógł, by wiejski znachor tak genialnie umiał dokonywać tak złożonych zabiegów, przed którymi zawahałby się on sam, profesor Dobramecki!

– Powinien był od razu poznać w tym jego rękę! Cóż za głupiec ze mnie! A miał przecie i inne poszlaki w tym kierunku. Między badanymi znajdowała się ta panienska operowana na wgniecenie podstawy czaszki. Dobra nieckiego wprawdzie zastanowiło jej nazwisko: – Wilczurówna, ale w pośpiechu nie pomyślał o wypyтaniu dziewczyny. Nazwisko to zresztą było dość częste, sam miał kilku pacjentów Wilczurów. Jednak należało zastanowić się. Wiek tej Wilczurówny zdaje się odpowiadałby wiekowi córki profesora Wilczura... Gdy zniknęła wraz z matką z warszawskiego horyzontu, miała lat... siedem. Tak, to jasne...

– To nie mogło być przypadkowe! Znachor Kosiba... i ona...

Profesor odrzucił nie zapalonego papierosa i przetarł czoło. Było wilgotne.

– Więc nie umarł, więc nie został zabity!

Ukrył się tu na kresach w przebraniu chłopskim i pod cudzym nazwiskiem, ukrył się razem z córką, lecz dlaczego jej nazwiska również nie zmienił?... Dlaczego ojciec i córka udawali tu obcych względem siebie ludzi?...

Teraz przypomniał sobie słowa wypowiedziane doń przez tę panienkę podczas badania:

– Strycio Antoni okazał mi więcej poświęcenia, niż tego można byłoby oczekiwać od prawdziwego stryja.

Po co ta komedia?... No, i jej ojciec! Wystarczyłoby przecie, by wstał i powiedział:

– Miałem prawo operować i leczyć. Nie jestem znachorem Kosiba. Jestem profesorem Rafałem Wilczurem. Byłby wolny.

– Więc dlaczego tak kurczowo trzyma się swej fałszywej skóry? Mógł ujawnić swoje prawdziwe nazwisko już w pierwszej instancji, a wolał przyjąć wyrok skazujący na trzy lata. Gdyby profesor Dobramecki nie znał tak dobrze swego dawnego szefa i nauczyciela, jak go znał, pomyślałby może, iż do ukrywania się skłoniło Wilczura jakieś popełnione przestępstwo czy zbrodnia. Ale i teraz wzruszyłby tylko ramionami, gdyby mu ktoś podobną myśl podsunął.

Nie, tu musiała kryć się jakaś głębsza tajemnica.

Jak żywe obudziły się w pamięci owe dni, pierwsze dni po zniknięciu profesora. Czyżby rzekoma ucieczka pani Beaty z córką i zaginięcie później profesora Rafała było ukartowaną komedią?... Jakież były tedy jej motywy?... Zostawili swoje bogactwo, swoją pozycję, jego sławę – wszystko. I uciekli, ale w jakim celu?

Pozytywny umysł Dobrameckiego me znosił żadnego tłumaczenia, którego nie dałoby się

ugruntować jakimikolwiek logicznymi przesłankami, którego nie wyjaśniałyby normalne, ludzkie pobudki działania.

153

Teraz jednak nie miał czasu na rozwiązywanie zagadek. Lada chwila wyrok będzie ogłoszony. Oczywiście będzie to wyrok uniewinniający, ale może być i skazujący.

– Moim obowiązkiem jest natychmiast zawiadomić adwokata i zażądać wznowienia rozprawy, by zeznać, kogo poznałem w znachorze Kosibie. Dobraniecki przygryzł wargi i powtórzył:

– Tak, to mój obowiązek.

Nie poruszył się jednak. Zbyt szybko tłoczyły się myśli, zbyt gwałtownie narastały w wyobraźni następstwa.

Przed powzięciem decyzji należało trzeźwo i gruntownie wszystko posegregować, przefiltrować, ułożyć... No, i przewidzieć konsekwencje. Nie lubił, nie umiał działać na ślepo pod wpływem impulsów.

– Przede wszystkim opanować się – mruknął do siebie z taką intonacją, jakiej używał do poskramiania nerwowych pacjentów.

Wyjął papierosa, uważnie go zapalił. Stwierdził, że tytoń jest zbyt wyschnięty, że dziś mniej wypalił papierosów niż zwykle i że należałoby ograniczyć się w ogóle do dwudziestu sztuk dziennie. Te proste czynności i uboczne refleksje przyczyniły się do przywrócenia mu równowagi, a skutek był natychmiastowy: oto przypomniał sobie szczegół niezmiernie ważny, szczegół, którego dotychczas nie brał w rachubę, a który z gruntu zmieniał sytuację. Przecie znachor Kosiba podczas rozprawy uśmiechał się doń, najwyraźniej uśmiechał się!

– Przyglądał się mi, jak komuś dobrze znajomemu, którego nie daje się zidentyfikować, i nie ukrywał bynajmniej tego, że usiłuje mnie poznać!... Cóż to może oznaczać?

Mogło oznaczać tylko jedno: profesor Wilczur nie obawiał się, że zostanie odkryty pod przebraniem znachora. Profesor Wilczur nie obawiał się! Dlaczego tedy nie przerwał procesu prostym oświadczeniem, że jest Wilczurem? – Na to zaś również jedna tylko mogła być odpowiedź:

– On nie wie sam, kim jest...

Pod wpływem tego odkrycia Dobraniecki zerwał się na równe nogi.

– Amnezja. Utrata pamięci. Boże! On przez tyle lat błąkał się... Spadł do poziomu prostego wyrobnika... Utrata pamięci...

Profesor Dobraniecki wiedział doskonale, co należy uczynić, by meszczeńsiwego uleczyć. Wystarczyło po prostu powiedzieć mu, kim jest, przypomnieć kilka szczegółów, pokazać jakiś znany mu przedmiot.

Oczywiście, może nastąpić skutek tego poważny wstrząs psychiczny. Lecz choćby wstrząs taki był najsilniejszy, nie może być niebezpieczny.

Po paru godzinach, czy po kilku dniach. Wilczur odzyska pełną świadomość...

– A co wtedy?...

I tu przed oczami Dobranieckiego wyraźnie zarysowała się kolejność nieuniknionych skutków. Więc przede wszystkim wiadomość o całej tej tragedii i o jej szczęśliwym finale rozbrzmi po całym kraju. Profesor Wilczur wróci do stolicy. Wróci do swojej willi, do swoich stanowisk, do swojej przodującej pozycji w świecie lekarskim. Wróci jeszcze sławniejszy, jeszcze bardziej uwielbiany, jeszcze znakomitszy, bo otoczony aureolą niesprawiedliwie doznanych krzywd i upokorzeń, aureolą znachoracudotwórcy, który potrafił być równie genialnym chirurgiem bez sal operacyjnych, bez sztabu asystentów, bez narzędzi...

– Wróci... a co wtedy ze mną się stanie?...

I profesor Dobraniecki poczuł w ustach smak goryczy. Co się z nim stanie?... Z nim, co

mozolną pracą lat kilkunastu wydzwignął się na szczyty, zdobył pierwszeństwo, osiągnął szczybel najwyższy?...

Niewątpliwie wszyscy przyjmą oklaskami jego odkrycie. Przeżyje jeszcze jeden dzień triumfu. Ale później?... Później będzie siłą rzeczy usunięty na drugi plan, siłą rzeczy znajdzie się w cieniu wielkości Wilczura... Katedry mu nie odbiorą co prawda, ale pod presją opinii

154

będzie musiał ustąpić z niej dobrowolnie. Zarząd lecznicy... gabinet dyrektora... Wszystkie od lat utrwalone innowacje... Prezesury w różnych stowarzyszeniach i związkach...

Tak, wejść tam na salę sądową i powiedzieć, że ten znachor jest profesorem Rafałem Wilczurem, to zrezygnować z własnych zdobyczy, z własnych osiągnięć, z własnych stanowisk. To przekreślić najświetniejszy okres swojej kariery i dobrowolnie wyrzec się wszystkiego, co tak ukochał...

I jeszcze jedno: w biografii profesora Wilczura znajdował się pewien niewielki ustęp, którego Dobraniecki przez tyle lat nie umiał zapomnieć, którego nie mógł sobie wybaczyć jako karygodnego wybryku próżności. Skłamał tam pisząc o pewnym przypadku w klinice uniwersyteckiej, o pewnej śmiałej a trafnej diagnozie, której zasługę przypisał sobie. I teraz jeszcze zarumienił się, gdy to głupie, niepotrzebne kłamstwo sobie przypomniął.

A kłamstwo to, chociaż drobne, chociaż w ogólniejszym sensie nieważkie, mogło być odkryte tylko przez jednego człowieka: przez profesora Wilczura.

Mogło być odkryte... tylko w tym wypadku, gdyby Wilczur odzyskał pamięć...

Ręce i nogi profesora Dobranieckiego były jak z lodu, ale w skroniach gwałtownie pulsowała krew. – Jak postąpić?... Czy popełni łajdactwo, jeśli nie powie?... Czy dla Wilczura będzie taką

tragedią pozostanie w tych warunkach, w jakich żyje, do jakich przecie musiał

już przyzwyczaić się?...

– Przecie to prosty przypadek, że mnie Korczyński wezwał na świadka! To przypadek, że na to, do stu diabłów, zgodziłem się! Gdyby nie to... Antoni Kosiba do śmierci zostałby Antonim Kosibą i wcale nie czułby się tym pokrzywdzony.

Właśnie! To należy wziąć jako miarę, jako sprawdzian. Skoro ktoś nie wie, że dzieje mu się krzywda, krzywdy nie ma. Wilczur nie zdaje sobie sprawy z tego, że był kimś innym. Swój los uważa za rzecz normalną. Nie ma szczęścia bez uświadomienia go sobie i nie ma nieszczęścia...

Ostry dźwięk dzwonka rozległ się w kularach.

– Proszę wstać, Sąd wchodzi – dobiegł uszu Dobranieckiego głos woźnego z progu sali.

Nie ruszył się z miejsca. Tam czytano wyrok.

– A co będzie, jeżeli zostanie skazany? – przebiegła mu przez rozpalony mózg dojmująca myśl. Zacisnął pięści.

– Nie będzie, nie może być skazany – wmawiał w siebie.

Po chwili z sali rozległ się gwar, hałas przesuwanych krzeseł i jakieś okrzyki. Drzwi otworzyły się. Publiczność wysypywała się na korytarz.

Nietrudno było z wyrazu twarzy tych ludzi odgadnąć, że zapadł wyrok uniewinniający.

Dobraniecki odetchnął z ulgą. Zdawało mu się, że cały ciężar odpowiedzialności spadł mu z serca.

Przechodzili obok niego, gestykulując i rozmawiając głośno. Chłopi w ceglanych kożuszkach, lekarze, adwokaci, młynarz z synem, państwo Czyńscy. Na końcu w największej grupie szedł znachor Kosiba ze swym obrońcą, z młodym Czyńskim i z jego narzeczoną.

Mecenas Korczyński zatrzymał wszystkich przy profesorze Dobranieckim. Coś mówił we-

soło, za coś dziękował.

Profesor starał się uśmiechać, ścisnął ich ręce, lecz oczy miał spuszczone. Przez krótkie mgnienie, gdy je podniósł, spotkał się z wzrokiem Antoniego Kosiby. Najwyższym wysiłkiem woli zapanował nad sobą, by nie krzyknąć. Wzrok Kosiby był niespokojny, natarczywy, półprzytomny.

Wreszcie odeszli i Dobraniecki, wyczerpany doszczętnie, opadł na ławkę.

Ciężką miał noc. Nie zmrużył oka ani na chwilę, przewracając się z boku na bok. W najlepszym hotelu wdzięczny Korczyński zarezerwował dlań najlepszy apartament. Cicho tu

155

było i wygodnie. Nie mógł jednak usnąć. Nad ranem, zmęczony bezsennością, nacisnął guzik dzwonnka: kazał sobie podać mocną herbatę i koniak.

Dopiero wypicie całej prawie butelki przyniosło pożądany skutek i zasnął. Obudził się późno z bólem głowy. Przyniesiono mu depesze z Warszawy.

W jednej asystent z lecznicy przypominał o terminie zjazdu w Zakopanem, gdzie profesor miał jutro przewodniczyć, druga była od żony. Nagliła do powrotu.

– Było jeszcze kilku panów –, oznajmił służący hotelowy. – Pytali, kiedy ich pan profesor może przyjąć.

– Nikogo me przyjmę. Jestem niezdrów. Proszę tak powiedzieć.

– Słucham, panie profesorze. A mecenasowi Korczyńskiemu?

– Wszystkim.

Wstał dopiero późnym wieczorem. Należało spakować walizki i wracać do Warszawy. Nie mógł jednak zdobyć się na żaden wysiłek. Kilka godzin włóczył się bez celu po mieście, po-

tem kupił wszystkie dzienniki i wrócił do hotelu. W dziennikach znalazł obszerny sprawozdanie z rozprawy sądowej J motywy wyroku uniewinniającego.

– No, więc wszystko w porządku – wmawiał sobie. – Po prostu jestem przewrażliwiony.

Trzeba się wziąć w. karby!

Postanowienie jednak niewiele pomogło. Gdy zabrał się do pakowania, ogarnęło go znowu zniechęcenie i takie rozdrażnienie, że kazał podać sobie znowu koniak do numeru. Pomimo to noc spędził prawie bezsennie.

Wczesnym rankiem wstał z gotową decyzją. Wyszedł bez śniadania, wsiadł w pierwszą spotkaną taksówkę i podał adres Korczyńskiego.

Zastał go jeszcze w szlafroku.

– Witam drogiego profesora – zawołał adwokat. – Byłem u pana wczoraj dwa razy, ale powiedziano mi, że profesor niezdrów...

– Tak, tak... Czy możemy, mecenasie, pomówić na osobności?

– Ależ proszę! – Wstał i zamknął drzwi gabinetu. – O co chodzi, profesorze?

– Jak się nazywa ta panna?... Ta narzeczona Czyńskiego?

– Wilczurówna.

– Czy Maria Jolanta?

– Ze Maria, wiem na pewno, a czy ma drugie imię, zaraz sprawdzimy. Wyjął z szuflady tekę z papierami. Szukał chwilę, wreszcie znalazł.

– Tak. Maria Jolanta Wilczurówna, córka Rafała i Beaty z Gontyńskich. Podniósł oczy.

Profesor Dobraniecki siedział blady, z przymkniętymi powiekami.

– Mecenasie – powiedział jakby z wysiłkiem. – Muszę panu zakomunikować, że to jest... że ona jest... jego córką.

– Czyją córką? – zdziwił się adwokat.

– Córka Antoniego Kosiby.

– Nie rozumiem, panie profesorze.

– Czy Kosiba o tym nie wiedział?... Czy ona też nie wiedziała?... Korczyński spojrzał nań nieufnie.

– Panie profesorze – zaczął – to jakieś nieporozumienie, Kosiba wprawdzie opiekował się tą panią, ona żywi dlań wiele serdeczności, ale upewniam pana, że żadnego pokrewieństwa tu być nie może...

Dobraniecki potrząsnął głową.

– A ja pana upewniam, że to ojciec i córka. Antoni Kosiba naprawdę nazywa się... Rafał Wilczur.

Wyrzucił to z siebie i oddychał ciężko.

156

– Jak to?

Profesor milczał długo.

– Tak – zaczął mówić jakby do siebie. – Poznałem go. Nie mogę się mylić i nie omyliłem się. Ten znachor jest profesorem Wilczurem, który zaginął przed trzynastu laty...

Nagle wstał.

– Gdzie on jest, niech pan zaprowadzi mnie do niego.

Adwokat obawiał się, że Dobraniecki uległ jakiejś przypadłości nerwowej.

– Niechże pan usiądzie, drogi profesorze – powiedział łagodnie – wydaje mi się, że zaszła tu jakaś pomyłka.

– Żadnej omyłki. To jest Wilczur. Czy słyszał pan kiedy o znakomitym chirurgu warszawskim tego nazwiska?

– Oczywiście. Przecie pan profesor prowadzi lecznicę imienia profesora

Wilczura.

– Tak. Przed trzynastu laty Wilczur zaginał. Wszyscy myśleli, że popełnił samobójstwo...

Miał pewną tragedię rodzinną. Zwłok nie znaleziono... Byłem jego asystentem, prawą ręką.

Objąłem po nim katedrę, zarząd lecznicy... Tak... To jest on.

– Nadzwyczajne! – już z większą wiarą powiedział Korczyński. – Ale myli się pan chyba, profesorze. Wynikałoby stąd, że przez trzynaście lat ukrywał się pod cudzym nazwiskiem?...

Dlaczego?

– Amnezja. Utrata pamięci.

– Chyba... nieprawdopodobne. Przez trzynaście lat?...

– Na pewno.

– Daruje pan profesor. Właściwie, słysząc to z pańskich ust, nie powinienem mieć żadnych wątpliwości, ale czy z naukowego punktu widzenia jest to w ogóle możliwe?

– Zupełnie. Amnezja retrograda. Medycyna zna wiele podobnych wypadków. Niepamięć wsteczna... Wymazuje z pamięci człowieka całe poprzednie życie. Po wojnie światowej zanotowano setki wypadków tego rodzaju.

– Czy to skutek wstrząsu psychicznego?

– Przyczyna nie odgrywa roli. Amnezja występuje zwykle po krótkiej lub dłuższej utracie przytomności.

– A czy to jest nieuleczalne?

– Zdarzają się i takie wypadki. Na ogół jednak... Lecz nie traćmy czasu. Gdzie on jest?

– Kosiba?... Wyjechał razem z Czyńskimi. Zabrali go. Ale to jest rzeczywiście rewelacja! I pan profesor jest tego absolutnie pewien?

– Absolutnie!

– Do licha! Gdybym to wiedział podczas procesu! Zastrzeliłbym prokuratora i sędziów!

Wyobraża pan sobie taki efekt?!...

Dobraniecki wszakże nie był usposobiony do zajmowania się tą stroną sprawy.

– Uprzytomniłem to sobie dopiero później – powiedział wymijająco. A teraz... Czy może mi mecenas podać adres tych państwa Czyńskich?...

– Z przyjemnością. Zamierza pan tam pojechać?

– Oczywiście.

– I ma pan nadzieję wyleczyć Kosibę, czy raczej Wilczura, z tej choroby?

– Tu nie potrzeba żadnego leczenia. Po prostu wystarczy przypomnienie mu, kim jest. Jeżeli to nie pomoże... to nie ma żadnej rady.

– Zastanawiające! Jednak coś niecoś musiał on pamiętać, skoro na przykład nie zapomniał swojej wiedzy lekarskiej)?

– Tak. Dlatego też mam najlepsze nadzieje – powiedział wstając Dobraniecki.

Rozdział XX

157

Pociąg, sapiąc, zatrzymał się na małej stacyjce. Był jasny, słoneczny ranek. Dachy budynków pokrywała gruba warstwa śniegu, gałęzie drzew uginały się pod obfitą okiścią. Szeroki widok roztaczający się z peronu zdawał się w swojej bieli i jasności czymś odświeżającym, zdawał się zalotnie uśmiechać i wabić swoją puszystą, przytulną ciszą.

Profesor Dobraniecki stał i wpatrywał się w tę białą przestrzeń. Tak dawno nie był na wsi.

Ten pejzaż wydał mu się w pierwszej chwili czymś sztucznym, jakąś dekoracją przesadnie realistyczną, pretensjonalną i piękną aż do nieprawdopodobieństwa. Upłynęło kilka minut, zanim w swej pamięci odnalazł dawne odczucia, dawne kontakty z tym na nowo odkrytym światem, dawne związki... Urodził się przecie na wsi, na wsi spędził dzieciństwo i pierwsze lata młodości.

– Też amnezja – myślał. – Człowiek żyjący życiem miejskim zapomina o tym świecie.

Wpada w chorobliwy rytm kariery, pracy, wyścigu... I po prostu przestaje wiedzieć o istnieniu tej pogody, tej ciszy... tej innej ziemi, gdzie prawda tak bezpośrednio przemawia do człowieka nie przez głośnik radia, nie czarnymi czcionkami druku... Zapomina się o tym...

Usłyszał za sobą lekko skrzypiące kroki i głos:

– A pan pewno do Radoliszek?

– Nie, do Ludwikowa. Czy można tu dostać jakąś furmankę?

– Dlaczego nie? Można. Jeżeli pan każe, skoczę tu do Pawlaka, on migiem zaprzęgnie.

– Proszę pana bardzo.

To „migiem” trwało jednak prawie godzinę. Jazda do Ludwikowa po nieprzetartej drodze dobre pół. Gdy sanki stanęły wreszcie przed pałacem, było już południe. Zwabiona szczekaniem psów, w drzwiach ukazała się pani Michalesia i przysłaniając oczy dłonią, bo blask był wielki, przyjrzała się nieznanemu.

– Pan zapewne w interesie do fabryki? – zapytała.

– Nie. Chciałbym widzieć się z panem Czyńskim.

– To proszę do środka. Ale państwa nie ma w domu.

– Nic nie szkodzi. Właściwie zależy mi na zobaczeniu się z narzeczoną pana Czyńskiego, z panną Wilczurówną.

– Jej też nie ma.

– Nie ma?

– Tak! Wszyscy, proszę pana, pojechali do Radoliszek. Profesor Dobraniecki zawahał się.

– A prędko wrócą?

– Nie wiadomo, proszę pana. Pojechali dać na zapowiedzi. No, to już pewno ksiądz proboszcz ich nie puści. Na obiedzie zatrzyma.

– Tak?... To niedobrze. A czy może mi pani powiedzieć?... Mecenas Korczyński w Wilnie poinformował mnie, że państwo Czyńscy zabrali do siebie niejakiego Antoniego Kosibę, zachora?

– A jakże, prawda, zabrali. Tylko że on nie chciał tu u nas zostać.

– Nie rozumiem...

– Ot, nie chciał. Taki ładny domek wyszykowali tu dla niego, o tam, za ogrodem. A on nie chciał.

– Więc gdzie jest?

– Gdzieżby? Do młyna pojechał, do Prokopa Mielnika. Powiadał, że tam mu najlepiej będzie. Zdziwaczał stary. Ale ja tu gadam na mrozie, choć co prawda mróz dziś niewielki, a pana do środka nie proszę. Niechże pan będzie łaskaw...

Dobraniecki zamyślił się.

– Nie, dziękuję pani. Muszę pojechać do Radoliszek. Mam bardzo mało czasu i czekać nie mogę.

– Jak pan woli. A jeżeli państwo chce pan zobaczyć, to na plebanię proszę wstąpić.

– Dobrze. Dziękuję pani.

158

Woźnica podciął konia, profesor szczerze owinał nogi baranicą i sanki ruszyły.

Widocznie jednak jakiś pech prześladował go tego dnia. Gdy zajechał przed plebanię, dowiedział się, że są tu tylko starsi państwo Czyńscy, do których właśnie żadnego interesu nie miał. Ich stangret poinformował profesora, że pan Leszek z narzeczoną pojechali na cmentarz, gdzie pochowana jest jej matka, a po drodze mieli wstąpić do młyna, żeby zobaczyć się ze znachorem.

– Albo tam, albo tam pan ich znajdzie – zakończył stangret i zwracając się do woźnicy

profesora, zapytał: – A ty, Pawlak, znasz ludwikowskie srokaty?

– Co nie mam znać...

– No, to uważaj. Młody panicz srokatymi pojechał. Jak je zobaczysz, to znaczy się, że i panicz tam jest.

– Wiadomo. – Woźnica kiwnął głową i cmoknął na konika.

Do radoliskiego cmentarza były dwie drogi. Bliższa, którądy zawsze pogrzeby chodziły, wiodła koło Trzech Gruszek. Nadkładając zaś około wiorsty można było jechać koło młyna Prokopa Mielnika. Tę właśnie drogę wybrał Leszek nie tylko dlatego, że była już dobrze przetarta, ale i w tym celu, by przy okazji odwiedzić znachora.

W głębi duszy Leszek był nań trochę rozgoryczony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Kosłba nie przyjął proponowanej mu gościny w Ludwikowie, dlaczego nie chciał zamieszkać w domku za ogrodem, nad którego odrestaurowaniem tyle kłopotali się z Marysią. Wiedział zresztą, jak Marysia lubi swego „stryjcia Antoniego” i jak bardzo chce mieć go przy sobie.

Dla obojga odmowa znachora była przykrą niespodzianką.

Toteż teraz, po daniu na zapowiedzi, uradzili zaatakować go prośbami jeszcze raz. Marysia wprawdzie, znając usposobienie „stryjcia Antoniego”, słabe miała nadzieje. Leszek jednak, z natury uparty, zapewniał ją, że zdoła go skłonić do przeprowadzki.

Znachora zastali przed młynem z workiem mąki na plecach. Właśnie ładowano sanie, zwane w tych okolicach „rozwalenkami”.

Przywitał się z młodymi bez uśmiechu, otrzepnął ręce i zaprosił ich do swojej przybudówki.

– Dzień niezimny – powiedział – ale zaraz samowar podgrzeję i herbata gorąca nie zaszkodzi.

– Z przyjemnością – zawołał Leszek. – My się tu u pana nie krępujemy... Jak u siebie w

domu.

– Dziękuję za łaskę.

– Łaski tu z naszej strony rzeczywiście wiele, bo pan pogardził naszą gością w Ludwikowie, a my pańską przyjmujemy.

Znachor nie odpowiedział. Wyciągnął zza pieca stary but, naciągnął go cholewą na rurę samowaru i zaczął rozdmuchiwać przygasłe wewnątrz węgle, aż z dołu wylatywał popiół i iskry.

– Pan, panie Antoni – odezwał się znowu Leszek – naprawdę robi nam krzywdę. Toż i koło Ludwikowa nie zabraknie chorych potrzebujących pańskiej pomocy. A my mamy tęsknić za panem?...

Kosiba uśmiechnął się blado.

– Żarty, panie! Po co ja wam potrzebny...

– Wstydziliby się pan. – Leszek udał oburzenie. – Już nie mówiąc o mnie, ale nie będzie pan przecie twierdził, że Marysia nie jest do pana przywiązana!

– Bóg jej zapłać!

– No, więc?

– A ot, przywiązanie przywiązaniem, a życie życiem. Nowe życie, nowe przywiązania.

– To ładnie! – zawołał Leszek. – Widzisz, Marysiu?... Pan Antoni daje nam do zrozumienia, że już ma dość nas, że sam do innych ludzi teraz przywiąże się.

159

– Stryjem Antoni – Marysia wzięła go pod ramię – ja tak proszę, tak bardzo proszę...

Znachor wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

– Gołąbeczko kochana... Ja dla ciebie wszystko, ale nie do was ja, me do was. Stary jestem i smutny. Samym swoim widokiem psułbym wam szczęście. Nie trzeba, nie. Nie trzeba. Ot,

jak zechcecie mnie zobaczyć czasami, zajedziecie tu do młyn.i .. Dajmy już temu spokój.

Odwrócił się do s.imowaru, z którego zaczęło się wydobywać mruczenie.

Leszek rozłożył ręce.

– Ha, to szkoda. Bo ja uplanowałem sobie, że na „nowosiele”, w dniu, kiedy by pan wprowadził się do Ludwikowa, ofiarowałbym panu komplet narzędzi chirurgicznych...

Czekał efektu, lecz znachor udał, że nie słyszy tego kuszenia. Zdjął szklanki z półki, przejrzał je pod światło i zabrał się do nalewania herbaty.

Gdy już siedzieli przy stole, Marysia powiedziała:

– Daliśmy dziś na zapowiedzi. Za cztery tygodnie nasz ślub.

– Ale na wesele to już pan Antoni musi do nas przyjechać! – zawołał Leszek.

– Obejdzie się tam i beze mnie. Nie pasuję ja do tych państwa, co tam będą. A i stąd żyć wam będę tak serdecznie, jak i z bliska.

– Nie chce pan być świadkiem naszej radości, naszego święta!

– Stryjciu Antoni!

– Czemu nie – kiwnął głową znachor. – Do kościoła przecie przyjdę, n świadkiem... Toż ja od początku jestem świadkiem wszystkich waszych zmartwień i radości. Dzięki Bogu, że po waszej myśli wszystko kończy się.

– O, panie Antoni – sprostował Leszek – to dopiero się zaczyna. Dopiero początek naszego wielkiego szczęścia, które zdobyliśmy po tylu przeszkodach, kosztem tylu łez i smutków, i rozpacz... Aż dziwno pomyśleć, ileśmy tego zła przecierpieć musieli...

– Tym lepiej dla was – powiedział poważnie znachor.

– Dlaczego tym lepiej?

– Bo szczęście poty trwa, póki je człowiek ocenia należycie. A dla człowieka wartość ma tylko to, co ciężko się zdobyło.

Zamyślił się wszyscy troje. Młodzi nad otwierającą się przed nimi szczęśliwą przyszłością, Antoni Kosiba nad swoją samotnością, w której już będzie musiał żyć do śmierci. I on przecie wiele przeżył, wiele przecierpiał, a nic dla siebie nie zdobył. Błuzniłby przeciw własnemu sercu, gdyby żałował, że oto tę cząstkę szczęścia, jakiego dla siebie pragnął, oddał im, dorzucił jak ubogi datek do ich wielkiego skarbu... Nie, nie żałował, ale przecie ciężko mu było na duszy, jak musi być ciężko każdemu, co już niczego nie oczekuje, niczego się nie spodziewa, niczego nie pragnie...

Zapukano do izby. To stangret wszedł z pudłem.

– Boję się, paniczu, że kwiaty zmarzną. Za długo są na mrozie.

– A dobrze. Niech tu postoją – powiedział Leszek. – Chociaż i tak niedługo musimy jechać.

– Dokądże to z kwiatami? – zaciekawiał się znachor.

Pojedziemy na cmentarz, na grób Marysinej mamy Chceros dzielić się z nią naszą radością i poprosić o błogosławieństwo – odpowie poważnie Leszek.

– Twojej matki, gołąbeczko?

– Tak

– To ładnie... Bardzo ładnie... Wspomniałaś mi kiedyś, że tu na radoliskim cmentarzu spoczywa. Tak, tak... Kiedyś tu, gołąbeczko, w tej izbie leżała między życiem i śmiercią, chciałem i ja pójść na jej grób, pomodlić się o twoje wyzdrowienie... Zawsze wstawiennictwo matki to nie tylko u ludzi, ale i u Boga musi najwięcej znaczyć... Ciężkie były to godziny... Tylko nie wiedziałem, gdzie jej mogiłka.

160

Zasepił się, potem przetaił czoło i wstał. Z kąta alkowy przyniósł wielki pęk nieśmiertelników.

– Macie i to. Zawieźcie. Te kwiaty nie pomarzną, nie powiędną. To kwiaty umarłych.

Złóżcie je tam ode mnie.

Marysia ze łzami w oczach zarzuciła mu ręce na szyję.

– Kochany stryjciu, kochany stryjciu...

– A może i pan, panie Antoni, pojechałby z nami. Złożyłby pan te kwiaty osobiście? – zaproponował Leszek.

Znachor spojrział w oczy Marysi, zastanowił się i kiwnął głową.

– Dobrze, pojedę z wami. Stąd do cmentarza niedaleko, to jak będę wiedział, gdzie ta mogiłka, czasami sobie pójde zieleśko powyrywać, kwiatki położyć.

Wiedział Antoni Kosiba, jaką przykrość robi Marysi nie chcąc przyjąć gościny w Ludwikowie, i pragnął teraz dać jej dowód, że nic, co ją blisko obchodzi, nie przestanie nigdy być bliskie i dla niego.

W kwadrans później we trójkę siedzieli w saniach. Konie ruszyły drobnym klusem i już po chwili znaleźli się na zakręcie, skąd jak na dłoni widać było kapliczkę i całe wzgórze, na którym znajdował się tak zwany Nowy Cmentarz. Z nowości właściwie pozostała mu tylko nazwa, o czym świadczyły rozsypujące się płoty, pochylone krzyże i świecące w wielu miejscach czerwoną cegłą ściany kapliczki świętego Stanisława Kostki.

Stary cmentarz, położony za kościołem niemal w środku miasteczka, od trzydziestu z górą lat był już tak przepełniony, że nie pozostało na nim ani metra wolnego od mogił. Tu natomiast, na kiedyś łysym, a obecnie gęsto drzewami porośniętym pagórku chowano zmarłych radoliskich i okolicznych wzdłuż alejek. Między alejkami duże kawałki były jeszcze wolne i od mogił, i od drzew. Snadź i drzewa w sybkim piasku nie chciały rosnąć.

Droga szła obok cmentarza i sanie zatrzymały się przy bramie. Stąd już trzeba było brnąć nietkniętym białym śniegiem, który miejscami sięgał do kolan. Nawiało go tu bez miary. Za to gdy tylko minęli wierzchołek wzgórza, mogli już iść bez trudu. Tylko przy mogiłkach po-

tworzyły się niewielkie zaspy.

Marysia zatrzymała się przy mogile swojej matki, uklękła w śniegu i modliła się. Leszek poszedł za jej przykładem. Znachor zdjął czapkę i stał za nimi w milczeniu. Była to zwykła, wiejska mogiłka z niewielkim czarnym krzyżykiem zawieszonym ze-schniętymi wianuszkami i do połowy zasypanym śniegiem. Właśnie młodzi skończyli modlitwę. Leszek wyjął z pudła kwiaty, Marysia zaś zaczęła oczyszczać z krzyża śnieg. Wówczas ukazała się blaszana tabliczka z napisem...

Antoni powiódł po niej wzrokiem i przeczytał:

„Śp. Beata z Gontyńskich...”

Zrobił krok naprzód, wyciągnął ręce przed siebie...

– Co panu, co panu jest? – krzyknął przerażony Leszek.

– Stryjciu!...

– Boże! – jęknął znachor. W jego mózgu z przeraźliwą jasnością odżyło wszystko.

Trząsł się na całym ciele, a z jego gardła wydobywał się jakiś głuchy, nieludzki jęk. Siły opuściły go zupełnie i byłby runął na ziemię, gdyby Leszek i Marysia nie chwycili go mocno pod ramiona.

– Co ci, co ci, stryjciu? – szeptała przerażona Marysia.

– Mariolo, córeczko moja... córeczko moja – wymówił rozdrzanym głosem i wybuchnął łkaniem.

Nie mogli utrzymać tego bezwładnego ciężaru i jak najostrożniej opuścili go na ziemię.

Słowa wypowiedziane przezeń napełniły ich zdumieniem, zwłaszcza zdziwiło Marysię, że nazwał ją imieniem, którym kiedyś, i to bardzo rzadko, w chwilach czułych pieszczot nazywała ją matka. Nie mieli jednak czasu na dociekania. Antoni Kosiba doznał widocznie jakie-

gość ataku nerwowego. Skulony na klęczkach w śniegu, z rękami przyciśniętymi do twarzy nie ustawał w łkaniu.

– Musimy go przenieść do sanek – zdecydował się Leszek – pobiegnę po stangreta, bo sami nie damy rady.

Już chciał iść, gdy w alejce ukazał się profesor Dobraniecki. Jego niespodziewane zjawienie się tutaj zaskoczyło ich, lecz i ucieszyło.

– Uszanowanie profesorowi – zaczął Leszek. – On dostał ataku nerwowego. Co robić?...

Ale Dobraniecki stał nieruchomo, wpatrując się w tabliczkę na krzyżu.

– Musimy go przenieść do sanek – odezwała się Marysia. Dobraniecki potrząsnął głową.

– Nie, niech pani pozwoli wypłakać się swemu ojcu. A widząc szeroko otwarte oczy obojga, dodał:

– To jest ojciec pani, profesor Rafał Wilczur... Dzięki Bogu, odzyskał pamięć... Chodźmy, odejdźmy dalej... Pozwólmy mu płakać.

Stali opodał i Dobraniecki urywanymi zdaniem opowiedział im wszystko. Tymczasem łzy przyniosły widocznie znachorowi ulgę. Podniósł się ciężko

z ziemi, lecz nie odchodził. Marysia podbiegła doń i przytuliła twarz do jego

ramienia. Nie widziała nic, bo łzy zalewały jej oczy, lecz słyszała jego cichy głos:

– Wieczne odpoczywanie racz jej dać. Panie...

Zachodziło słońce, czerwienią i złotem jarzyło się niebo na widnokręgu, na śniegu kładły się niebieskawe cienie, pierwsze muśnięcie wczesnego zimowego zmierzchu.

162

PROFESOR

WILCZUR

163

Rozdział I

Profesor Jerzy Dobraniecki powolnym ruchem odłożył słuchawkę i, nie patrząc na żonę, powiedział pozornie obojętnym tonem:

– W sobotę mamy ogólne zebranie Związku Lekarzy. Pani Nina nie spuszczać zeń oczu zapytała:

– I czegoż jeszcze chciał Biernacki? Bo to on telefonował?

– Ach, drobiazg. Pewne kombinacje organizacyjne – machnął ręką Dobraniecki.

Zbyt dobrze znała męża, by maska obojętności na jego twarzy była dla niej nieprzenikniona. Przeczynała, że oto znowu spadł na jego głowę jakiś cios, że oto znów poniósł klęskę, a przynajmniej dotkliwą porażkę, że oto znowu spotkało go niepowodzenie, które chce przed nią ukryć.

Ach, ten słaby człowiek, ten człowiek, który nie umie walczyć, który pozycję po pozycji oddaje innym i coraz bardziej spychany jest w cień, w szare szeregi drugoplanowych lekarzy. Nienawidziła go prawie w tej chwili.

– O co chodziło Biernackiemu? – zapytała z naciskiem.

Wstał i chodząc po pokoju zaczął mówić tonem wyrozumiałej perswazji:

– Zapewne... Oni mają rację... Należy się to Wilczurowi... A i mnie odpoczynek. Przez tyle lat byłem prezesem Związku... A przy tym nie możemy zapomnieć, że Wilczurowi należy się jakaś rekompensata moralna za wszystkie jego nieszczęścia...

Pani Nina zaśmiała się krótkim, ostrym śmiechem. Jej wielkie, zielone oczy błysnęły pogardliwą ironią. W skrzywieniu ust, tych pięknych ust, których wizji nie mógł się pozbyć nawet podczas swej pracy, zarysowała się linia niemal wstrętu:

– Rekompensata?... Ale już od dawna otrzymał ją z nadwyżką! Chyba jesteś ślepy! Odbiera ci jedno stanowisko po drugim. Wydarł ci kierownictwo lecznicy, słuchaczy, pacjentów,

dochody... Rekompensata!

Dobraniecki zmarszczył brwi i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Wszystko to mu się należy. Wilczur jest wielkim uczonym, genialnym chirurgiem.

– Tak, więc czymże ty jesteś? Gdy przed sześciu laty wychodziłam za ciebie, wierzyłam, że ty sam myślisz, iż jesteś najlepszym chirurgiem i sławą w nauce.

Dobraniecki zmienił ton. Oparł się o brzeg biurka, pochylił się nad żoną i zaczął łagodnie:

– Kochana Nino, musisz przecież zrozumieć, że są pewne gradacje, jest pewna hierarchia, są różne stopnie uzdolnień i wartości ludzkich... Jakże możesz mi robić zarzut z tego, że mam dość samokrytycyzmu, by ocenić, że Wilczurowi ustępuję i muszę ustępować pod wielu względami?... A zresztą...

– Zresztą – wpadła mu w słowo – nie mamy o czym mówić. Znasz dobrze moje zdanie w tej materii. Jeżeli tobie brak ambicji i woli zwycięstwa, ja mam jej aż nadto. Nie pogodzę się z rolą żony jakiegoś zera. I ostrzegam cię, że jeśli dojdzie do tego, że w końcu będziesz zmuszony przenieść się na praktykę do jakiegoś Pikutkowa – ja z tobą nie pojedę.

– Nino, nie przesadzaj.

– O, bo na tym się skończy” Myślisz, że nie wiem. Już teraz Wilczur forytuje docenta Biernackiego. Zepchną cię na sam dół! Ja nie mam za co wykupić mego futra od kuśnierza! Ciebie to oczywiście nic nie obchodzi, ale ja tego nie ścierpię, ja nie jestem stworzona do tego, by być żoną jakiegoś nędzarza. I ostrzegam cię...

Nie dokończyła, lecz w głosie jej zabrzmiała aż nazbyt wyraźna groźba. Profesor Dobraniecki powiedział cicho:

– Nie kochasz mnie, Nino, nigdy mnie nie kochałaś...

Potrząsnęła głową.

– Mylisz się. Ale kochać mogę tylko prawdziwego mężczyznę. Prawdziwego, to znaczy walczącego, zwycięskiego, takiego, który nie zna granic ofiarności dla swojej kobiety.

– Nino – odezwał się z wyrzutem w głosie. – Czyż nie robię wszystkiego, co w mojej możliwości?

– Nic nie robisz. Jesteśmy coraz biedniejsi, coraz mniej z nami się liczą, jesteśmy usuwani w cień. A ja nie jestem stworzona do życia w cieniu i pamiętaj, że cię o tym ostrzegłam!

Wstała i skierowała się do drzwi. Gdy już miała rękę na klamce, zawołał:

–. Nino!

Odwróciła głowę. W jej oczach, które przed chwilą jeszcze jarzyły się gniewem, dostrzegł przerażający chłód.

– Co mi chcesz jeszcze powiedzieć? – zapytała.

– Czego ode mnie żadasz?... Jak mam postępować?...

– Jak?... – Zrobiła trzy kroki ku niemu i powiedziała dobitnie: – Zniszcz go! Usuń z drogi!

Stań się tak bezwzględny jak on, a potrafisz zachować swoją pozycję!

Zatrzymała się przez chwilę i dodała:

– I mnie... Jeżeli ci na tym zależy.

Gdy został sam, opadł ciężko na fotel i zamyślił się. Nina me rzucała nigdy słów na próżno. A tak dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że ją kocha, że bez niej życie straciłoby dlań cały urok i całą wartość. Gdy przed sześciu laty prosił o jej rękę, mógł uważać, że nie prosi o

łaskę. Wprawdzie bowiem był znacznie starszy od niej, ale znajdował się w pełni powodzenia, rozgłosu, ba, sławy.

No i zdrowia.

Ostatnie trzy lata i pod tym względem odbiły się na nim fatalnie. Niepowodzenia zawodowe i pieniężne poderwały system nerwowy. Ukrywał wprawdzie przed Niną powtarzające się coraz częściej ataki wątrobiane, ale nie mógł ukryć ich skutków. Tył coraz bardziej, źle spał, na obrzmiałej twarzy wystąpiły zielonkawe worki pod oczyma.

Nina nawet nie domyślała się, jak ciężko przeżywa swoje porażki. Zarzucała mu brak ambicji, jemu, który przez całe życie właśnie ambicją tylko się kierował, którego ambicja wyniosła na szczyty!

Upadek zaczął się owego fatalnego dnia, gdy odnaleziono, gdy on sam odnalazł zaginionego profesora Rafała Wilczura. Jakże dobrze pamiętał ten dzień! Mroczna sala sądowa i na ławie oskarżonych brodaty chłop w zniszczonej sukmanie, znachor, wiejski znachor z dalekich kresów, sądzony za niedozwolone praktyki, za operacje przeprowadzane przy pomocy prymitywnych, zardzewiałych narzędzi ślusarskich, za operację, które uratowały życie wielu biednym chłopom na zapadłej wsi... Znachor...

Profesor Jerzy Dobraniecki pierwszy i jedyny poznał w nim swego dawnego szefa i nauczyciela, profesora Rafała Wilczura, po zaginięciu którego w ciągu lat kilkunastu stopniowo, lecz stale zajmował, zdobywał i osiągał jego stanowiska w nauce, w praktyce i w życiu.

Czyż miał wtedy prawo zataić swoje odkrycie, czyż miał prawo tym samym skazać Wilczura na dalszą wegetację w nędzy i w nieświadomości własnej osobowości, nazwiska, tytułów, pochodzenia?... Dziś profesor Dobraniecki nie chciał zastanawiać się nad tym. Wiedział jedno: ów pamiętny dzień przed trzema laty stał się przekleństwem jego życia.

Rafał Wilczur łatwo wyleczył się z wieloletniej amnezji. Pamięć odzyskał tak szybko, jak ją niegdyś utracił, a wraz z pamięcią odzyskał wszystko to, co było jego światem przed tragicznym wypadkiem. Powrócił na swoją katedrę, przy czym Dobraniecki w zamian otrzymał

drugorzędną, objął kierownictwo lecznicy, a także uniwersyteckiej kliniki chirurgicznej, a

165

głośne jego odnalezienie jeszcze więcej przysporzyło mu sławy. Sławy, pieniędzy, zaszczytów.

Ot, i dziś znowu domagano się od Dobranieckiego, by dobrowolnie ustąpił z prezesury

Związku i zaproponował kandydaturę Wilczura, która może liczyć na przyjęcie przez aklamację. Tak, oni wszyscy uważają to za rzecz zupełnie zrozumiałą. Oni, to znaczy koledzy, oni, to znaczy pacjenci, oni to znaczy słuchacze wydziału medycznego. Dla nich wszystkich jest rzeczą oczywistą, że prymat należy się Wilczurowi. I przecież on sam, Jerzy Dobraniecki, przed chwilą powiedział żonie, że i on to uznaje. Ale to nie była prawda.

Wszystko w nim buntowało się przeciw rzeczywistości, przeciw konieczności ustawicznego rezygnowania ze zdobytych pozycji. Im bardziej przyginały go do ziemi niepowodzenia, tym prężej i potężniej rósł w nim gniew,

rosła rozpacz, rosła nienawiść. I dlatego bał się rozmów z Niną na ten temat. Bał się, by z jej namiętnej i niepohamowanej natury nie przerzuciła się iskra wybuchu na zgromadzone w nim pokłady buntu.

, A gromadziło się ich coraz więcej. Dziś Nina po raz pierwszy powiedziała mu wyraźnie, powiedziała mu bezlitośnie, że nie ma za co wykupić futra. Wprawdzie miała ich wiele i bez nowego mogłaby się doskonale obyć, ale pomimo to jej słowa odczuł jak policzek. Przecież dumny był z tego, że nie odmawiał jej nigdy niczego, że zasypywał ją kosztownymi podarkami, że dla niej kupił ten pałacyk we Frascati, że dla niej trzymał liczną służbę, luksusowe samochody, że dla niej wydawał wspaniałe przyjęcia. Może nie tylko dla niej, może i dla siebie, ale w tym bogactwie największą rozkosz znajdował wtedy, gdy w jej oczach odnajdował ów znany błysk dumy, dumy z panowania, dumy z pierwszeństwa, jakie zapewniało jej w

świecie stanowisko i sława męża.

Nina... Utracić ją... To byłoby dla Dobranieckiego wręcz niepodobieństwem, a wiedział, że jeżeli nie stanie się jakiś cud, katastrofa będzie nieunikniona. Od trzech lat nieustannie topniały jego dochody, natomiast nigdy nie mógł się zdecydować na zmniejszenie stopy życiowej swego domu. Jeżeli brak pieniędzy zmuszał go do ograniczeń, ograniczał właśnie wydatki, starając się to ukryć przed żoną. Pracował coraz więcej, przyjmował coraz więcej operacji, nie gardząc nawet drobnymi honorariami, które kapały mu często nawet ratami od prawie niezamożnych pacjentów. Jednocześnie długi rosły. Na hipotekę pałacyku trzeba było zaciągnąć poważną pożyczkę, lecz nie było z czego płacić procentów.

– Mniejsza zresztą o to – myślał ponuro. – Umiałbym się z tym pogodzić, a nawet przenieść się do jakiegoś skromnego mieszkania, gdyby Nina mogła to przyjąć bez dramatu.

Sam Dobraniecki bardziej cierpiał nad utratą swojej wysokiej pozycji w świecie, którą, jak zdawało mu się, zdobył na zawsze podczas nieobecności Wilczura.

Nie dalej jak wczoraj przeżył nowe upokorzenie. Na wykład nie stawił się ani jeden student. Uciekł z auli, jakby go goniły szydercze spojrzenia pustych ścian. Bliski był myśli o samobójstwie. Skończyło się na bolesnym ataku wątrobianym i później przez cały dzień szumach w uszach po nadmiernych dawkach belladony. Na szczęście dnia tego miał szereg łatwych i prostych operacji, które nie wymagały szczególniejszego napięcia uwagi i inwencji i udały się zupełnie.

– Zniszcz go...

Tak powiedziała Nina. Zaśmiał się krótkim, smutnym śmiechem. Jakże mógł zniszczyć

Wilczura!... Czy na korytarzach uniwersyteckich łapać studentów za poły, by ściągać ich na swoje wykłady, czy mścić się na tych młodych lekarzach, którzy wolą asystować przy operacjach w klinice Wilczura, czy wykradać mu bogatych pacjentów, bo przecie konkurencja i tak

tu nie skutkowała, chociaż wszyscy wiedzieli, że Dobraniecki znacznie taniej

bierze za operacje i – o wstydzie – poniża się do ustępstw w cenie. Spojrzał na zegarek.

Zbliża się piąta. Dziś był dzień przyjęć Niny. Niedługo zaczną schodzić się goście. Coraz

166

mniej gości. Ich salon stawał się coraz mniej atrakcyjny dla znajomych. Tłumniej bywało

tylko wówczas, gdy uprzednio rozchodziła się wieść, że przyjdzie profesor Wilczur...

– Zniszcz go – powiedziała Nina.

Zniszczyć Wilczura to znaczyło zniszczyć jego sławę, to znaczyło zniszczyć wiarę pacjentów w nieomyślność jego diagnozy, w niechybność jego ręki.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Były i inne sposoby. Sposoby mrówczej, a raczej kreciej

pracy podrywania, żmudnego podkopywania tej wiary przy pomocy wykorzystywania tych

słabości, które pozostały Wilczurowi z okresu jego amnezji. Lecz Dobraniecki brzydził się

takimi środkami walki. Wiedział, że Wilczur zachował ze swojej praktyki znachorskiej szcze-

gólniejsze zamiłowanie do różnych ziół i maści wątpliwej wartości, wiedział jednak również,

że owe prymitywne środki nie mogą wyrządzić szkody chorym i nie pochwalał postępowania

Niny, która wyzyskiwała każdą sposobność, by wyśmiewać się z tego znachorstwa, i używać

wszystkich swoich uroków, by zarazić własną ironią różnych młodych, a bawiących w ich

domu lekarzy.

Uprawiana przez nią w ten sposób agitacja przeciw Wilczurowi dawała jednak pewne nikłe

rezultaty. Po szpitalach i klinikach zaczęły krążyć liczne anegdoty, w których, gdy do niego

docierały, Dobraniecki poznawał złośliwy dowcip swojej żony. Najmłodszy narybek lekarski

z właściwą swemu wiekowi niechęcią do wszystkiego, co nie tchnie nowoczesnością, chętnie

podchwytывał te ironiczne nuty, by przez umniejszenie prestiżu uznanego mistrza podnieść

własny. Zdarzało się też czasem, że tacy właśnie kategorycznie odradzali swym pacjentom

wzywania na konsylia Wilczura, lecz były to wypadki rzadkie.

Przed paru tygodniami w kilku dziennikach warszawskich ukazały się wzmianki i felietony, wykorzystujące materiał anegdotyczny. Nie podawano tam wprawdzie nazwiska Wilczura, ale i tak wszyscy łatwo mogli się domyślić, o kogo chodzi. O autorstwo tych rzeczy Dobraniecki również, i nie bez słuszności, posądzał Ninę. W ostatnich czasach spotykał w domku kilku dziennikarzy, którzy przedtem u nich nie bywali. Nagłe zainteresowanie się Niny ludźmi z prasy nie mogło ujść uwagi Dobranieckiego.

Nie tylko niesmak wzbudzała w nim cała ta akcja Niny. Wzbudzała w nim również i smutne przeświadczenie o bezsilności tych półśrodków w walce o byt.

– Zniszcz go – powiedziała – jeżeli zależy ci na mnie... Dobraniecki przygryzł wargi i zatrzymał się przy oknie. Przez nagie gałęzie jesiennych drzew przeświecały gęste, białe światła latarni, coraz jaskrawsze w gęstniejącym mroku. Dalekie miasto mrucało jednostajnym szumem. W pobliżu na mokrym asfalcie zaświergotały pneumatyki i przed drzwiami pałacyku zatrzymał się samochód. Pierwsi goście. Należało się przebrać.

Rozdział II

Profesor Wilczur umilkł na chwilę. Jego oczy z wolna przesuwały się przez wypełnioną po brzegi aulę. Panowała zupełna cisza. Czuł w tym audytorium, że każde jego słowo trafia wprost do serc, że każde serce odpowiada mu żywym oddźwiękiem.

– Bo powołanie lekarza – zabrzmiał znów jego głos – jest tworem tej największej i najszczytniejszej miłości, miłości bliźniego, jaką Bóg zasiał w naszych oschłych sercach. Powołanie lekarza to wiara w braterstwo, to szczytne świadectwo wspólnoty ludzkiej. I gdy pójdziecie w świat, by swe posłannictwo pełnić, pamiętajcie przede wszystkim o jednym: kochajcie.

Stał jeszcze chwilę nieruchomy i milczący, później uśmiechnął się, lekko skinął głową i

swoim ciężkim, sprężystym krokiem wyszedł z auli.

Ileż to razy, ileż setek razy po skończonym wykładzie przemierzał ten szeroki korytarz, goniony głośną falą wrzawy, która wybuchała w auli po jego wyjściu. Ale dziś nie był to

167

zwykły wykład i nie o zwykłych rzeczach mówił profesor Wilczur swoim słuchaczom. I sam nie był w zwykłym nastroju.

W ciągu ostatnich tygodni docierały do niego coraz dlań dziwniejsze i coraz boleśniejsze wiadomości. Pierwotnie zaskoczyły go tak dalece, że nie mógł się w nich zorientować. Wydały mu się czymś przypadkowym, niezrozumiałym, wręcz absurdalnym. Nie dlatego, że dotyczyły jego osoby: gdyby podobnie uwłaczające rzeczy opowiadano o profesorze Dobranieckim, o doktorze Rancewiczu, Biernackim czy bodaj o młodym Kolskim, wstrząsnęłoby to Wilczurem równie silnie.

Do dziś dnia nie chciał i nie mógł uwierzyć, by ta kampania oszczerstw przeciw niemu była akcją zorganizowaną i wychodziła z jednego źródła. Nie wierzył, gdyż nie miał przecie wrogów. Nikomu zła nie życzył, nikomu krzywdy nie wyrządził. Przez całe swoje życie wierny był tym wskazaniom, którymi zakończył dzisiejszy wykład.

– To niemożliwe – powtarzał sobie idąc jasnym korytarzem. Dopiero przed drzwiami dziekanatu spojrzął na zegarek. Była jedenasta.

W pierwszym pokoju ku swemu zdumieniu zobaczył kilku nie znanych sobie panów. Wstali, gdy wszedł, a sekretarz objaśnił:

– Właśnie to panowie z prasy. Chcieli prosić pana profesora o wywiad. Wilczur uśmiechnął się.

– Jeszcze panom mało? Sądziłem, że po trzech latach już wreszcie zdołaliście nasycić ciekawość waszych czytelników. Zanudzicie ich moją osobą i moimi przeżyciami.

– Nie, panie profesorze – odezwał się jeden z dziennikarzy. – Tym razem chodzi nam o pańskiego nowego pacjenta.

– O pacjenta? O którego pacjenta?

– O Leona Donata.

Wilczur rozłożył ręce.

– Cóż ja panom o tym mogę powiedzieć... To nic poważnego. O ile wiem z relacji moich mediolańskich kolegów, operacja będzie łatwa i nie grozi żadnymi, nawet błahymi następstwami.

– Jednak, panie profesorze, to jest operacja gardła, gardła, które daje kilka milionów złotych rocznie. No i popularność Donata. Pan profesor rozumie, że ta operacja jest zdarzeniem najbardziej interesującym dziś nie tylko Warszawę, lecz i całą Europę, ba, cały świat. Cokolwiek by pan profesor nam o niej zechciał powiedzieć, będzie zawsze sensacją.

– No, dobrze – zgodził się Wilczur. – Muszę jednak już jechać do lecznicy i po drodze służę wam wszystkimi informacjami.

Na dole czekała wielka czarna limuzyna profesora. Zajęli w niej miejsce i podczas gdy auto sunęło zatłoczonymi ulicami, dziennikarze skrzętnie zapisywali w notesach wywody Wilczura.

W nawale zajęć teraz dopiero uświadomił sobie, że istotnie na jego lecznicę w dniu tym będą zwrócone oczy milionowych rzesz wielbicieli wielkiego śpiewaka. Doktor Łucja Kańska już wczoraj mu mówiła, że cała prasa polska z wielkim zadowoleniem zanotowała wiadomość o decyzji Donata, który nie ufając chirurgom włoskim, francuskim i niemieckim, postanowił powierzyć operację swego gardła właśnie jemu, profesorowi Wilczurowi, i dlatego zdecydował się na daleką podróż do Warszawy.

Chociaż z opisów i zdjęć wynikało, że operacja w istocie była błaha i łatwa, Wilczur nie

mógł się dziwić obawom śpiewaka, dla którego głos był całą racją istnienia, a maleńkie drgnięcie ręki chirurga podczas zabiegu pozbawiłoby go sławy i kolosalnych dochodów. Po przybyciu do kliniki Wilczur zauważył, że i tu panuje podniecenie. Przede wszystkim przed bramą zebrał się ogromny tłum w oczekiwaniu na przyjazd śpiewaka. W hallu i na korytarzach panował wielki ruch. Wilczur pożegnał się z dziennikarzami i po drodze do swego gabinetu zajrzał jeszcze do pokoju dyżurnego internisty. Zastał tu pielęgniarkę i zapytał:

168

– Kto dziś ma dyżur?

– Doktor Kańska, panie profesorze.

Skinął głową. – To dobrze.

U siebie zastał profesora Dobranieckiego, dyskutującego o czymś z młodym Kolskim.

Obaj byli jakby podnieceni rozmową, lecz umilkli, gdy Wilczur wszedł. Przywitali się w milczeniu, po czym Kolski w krótkich i rzeczowych zdaniach zreferował Wilczurowi stan zdrowia kilku pacjentów i zakończył:

– Inżyniera Lignisa pan profesor miał sam dziś zbadać. Pani Laskowska i pan Rzymski również prosili, by pan profesor ich odwiedził osobiście. To wszystko na trzecim piętrze. Ten biedak, którego przywieziono wieczorem z pogruchotaną miednicą, miał nad ranem wylew wewnętrzny i jest w agonii. Zdaje się, że już mu nic nie pomoże.

– Dziękuję panu, kolego – odpowiedział Wilczur i spojrzawszy na zegar

rek dodał: – Muszę przede wszystkim obejrzeć gardło Donata. Czy mała sala operacyjna przygotowana?

– Tak jest, panie profesorze.

– Dużą pan dzisiaj, kolego, zajmie na dobre cztery godziny, prawda? – zwrócił się Wilczur do Dobranieckiego. – Cieszyłbym się, gdyby pan go zdołał uratować.

Dobramecki wzruszył ramionami.

– Rzecz zupełnie beznadziejna. Jedna szansa na sto.

Podczas gdy Wilczur nakładał kitel, pod oknami rozlegały się okrzyki coraz głośniejsze i głośniejsze. Lekarze uśmiechnęli się do siebie. Zrozumieli się bez słów. Kolski jednak uważał:

– Ludzie jednak wyżej cenią sztukę niż zdrowie. Żadnemu z nas nie robiono by takich owacji.

– Zapomina pan, kolego, o profesorze Wilczurze i o jego popularności – lekko rzucił Dobraniecki.

– Popularność tę zawdzięczam nie temu, że jestem lekarzem, lecz temu, że byłem pacjentem – odpowiedział Wilczur i wyszedł z gabinetu. Zaraz po nim wyszedł Kolski.

Dobraniecki ciężko opadł na fotel. Jego twarz jakby zastygła w skupieniu. Po chwili naciśnął dzwonek. Weszła pielęgniarka.

– W którym pokoju umieszczono Donata? – zapytał krótko.

– W czternastym, panie profesorze.

– Moja operacja o pierwszej?... Proszę dopilnować, by zawiadomiono doktora Biernackiego. Dziękuję pani.

Gdy wyszła, wstał i spojrzał na zegarek. Przeczekał pół godziny, po czym wyszedł. Na pierwsze piętro prowadziły szerokie marmurowe schody. Numer czternasty był tuż przy nich. Zapukał i wszedł. Donat przebierał się przy pomocy pielęgniarki. Ujrawszy Dobranieckiego zawołał wesoło:

– O, profesorze! Jakże się cieszę, że pana widzę. Będziecie mnie dziś zarzynali.

– Dzień dobry, mistrzu. Wygląda pan świetnie – przytrzymał rękę śpiewaka w swojej – ale dlaczego pan używa liczby mnogiej? Przecież wyraźnie pan zażądał, by operował pana Wil-

czur. Nie ma pan zaufania, drogi mistrzu, do swego dawnego lekarza.

– Pełne zaufanie mam do pana, profesorze – z przymusem zaśmiał się Donat.

– Dajmy pokój tym sprawom – swobodnym tonem odpowiedział Dobraniecki. – Niechże mi pan powie, co się z panem działo, oczywiście nie o swoich sukcesach artystycznych, bo tego jest pełna prasa, ale jak tam z pańskimi prywatnymi historyjkami. Czy wciąż pan tak niepohamowanie korzysta ze swoich sukcesów miłosnych?

Donat wybuchnął szczerym śmiechem:

– Ach, tego nigdy nie dosyć! – Zaświeciły mu się oczy.

169

– Powinien pan bardziej oszczędzać serca kobiet w przenośni i własne bez przenośni – żartował Dobraniecki.

Nie mówił tego bez podstaw. Donat mimo swego kwitnącego wyglądu, niemal atletycznej budowy i żywiołowego temperamentu już od lat młodzieńczych nie odznaczał się zbyt mocnym sercem. Jego matka, korzystając z zażyłych stosunków z Dobranieckim, nieraz zwracała się doń w owych czasach po poradę dla syna.

Donat z ożywieniem opowiadał właśnie o jakiejś swojej nowej przygodzie, gdy zapukano do drzwi. Była to doktor Kańska. Zgodnie z regulaminem miała zbadać pacjenta przed operacją. Zastawszy tu jednak profesora i pacjenta już przygotowanego do stołu operacyjnego, zatrzymała się w progu.

– Pani mnie szuka? – zapytał Dobraniecki. – To bardzo dobrze, że panią widzę. Niech pani będzie łaskawa, koleżanko, zbadać tego mego staruszka. Pani wie, pokój 62. Wkrótce idzie na stół. Parę zastrzyków wzmacniających, o ile uzna to pani za wskazane, przydałoby się. Dziękuję pani, niech się pani pośpieszy.

Doktor Łucja chciała o coś zapytać, lecz Dobraniecki odwrócił się już do Donata ze sło-

wami:

– I cóż dalej, mistrzu?

– Bardzo ładna dziewczyna – zaciekał się Donat. – Czy to lekarka?

– Tak, to nasza młoda internistka – wyjaśnił Dobraniecki. Po kilku minutach zjawił się doktor Kolski z pielęgniarem.

– Już czas, mistrzu, na salę operacyjną.

Punktualnie rozpoczęła się operacja.

Zabieg nie należał ani do ciężkich, ani do trudnych. Ze względu jednak na bezpieczeństwo gardła pacjenta zastosowanie miejscowego znieczulenia nie było wskazane i Donata poddano ogólnej narkozie.

Przy operacji asystowali doktor Januszewski i doktor Kolski. Silne światło prożektora odbijało się w lustrzanej tarczy i, zwielokrotnione, oświetlało wnętrze gardła operowanego. Z prawej strony, poza gruczołem, występowała nieco ciemniejsza od otaczającej błony śluzowej narośl w kształcie połowy orzecha laskowego. Na razie wprawdzie nie zagrażała ona głosowi Donata, a nigdy jako nowotwór dobrotliwy nie mogła zagrażać jego zdrowiu, jednakże wciąż się w ostatnich czasach powiększała i bezpieczniej było ją usunąć. Przy sposobności trzeba było załatwić się z niedużymi zrostami, pozostałością po zeszłorocznym zapaleniu gardła.

Wszystko razem, według przewidywań profesora Wilczura, nie powinno było zająć więcej niż dwadzieścia pięć, do trzydziestu minut.

W ciszy sali operacyjnej elektryczny zegar wybijał takty sekund z niezmienną ścisłością.

Dłuższa strzała zbliżała się właśnie do jedenastej minuty, gdy doktor Kolski, czuwający nad pulsem pacjenta, szybko odwrócił się do stojącej za nim sanitariuszki i dał ręką niecierpliwego znak.

Nie trzeba było słów.

Wprawne palce sanitariuszki już napełniły strzykawkę i po chwili igła

zanurzyła się pod skórę pacjenta. Minęły dwie dalsze minuty i zabieg trzeba było powtórzyć.

W osiemnastej minucie profesor Wilczur musiał przerwać operację.

Sala wypełniła się tupotem szybkich kroków. Wózek z aparatem tlenowym. Sztuczne oddychanie. Nowe zastrzyki.

W dwudziestej piątej minucie pacjent nie żył.

Przyczyna śmierci nie wymagała żadnych wyjaśnień. Dla wszystkich było jasne: serce operowanego nie zniosło narkozy. Profesor Wilczur zdjął rękawice i maskę, jego twarz zastygła w jakimś kamiennym wyrazie. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, a jednak śmierć czło-

170

wieka w jego lecznicy podczas przeprowadzanej przezeń operacji, operacji w dodatku tak błahej, była dlań ciosem.

Nie zastanawiał się jeszcze w tej chwili nad tym, jakie echa ten tragiczny wypadek wywoła, jakie skutki za sobą pociągnie. Dla niego osobiście było rzeczą straszną, że w lecznicy, której był kierownikiem, przez jakieś niezrozumiałe zaniedbanie, przez czyjś błąd czy niesumienność zadano śmierć człowiekowi, który jeszcze przed półgodziną uśmiechnięty i pełen ufności powierzał mu troskę o swoje zdrowie i życie.

W spojrzeniu personelu Wilczur odkrył odbicie własnych myśli. Bez słowa wyszedł z sali operacyjnej. W ubieralni powoli zdejmował kitel, jakby przygnieciony ogromnym zmęczeniem.

Gdy przyszedł do swego gabinetu, zastał w nim niemal cały wyższy personel zakładu:

doktora Rancewicza, docenta Biernackiego, który dostał swego nerwowego tiku, Dobranieckiego w milczeniu palącego papierosa. Kolskiego, bladego i z ponurą twarzą. Żuka, doktor

Łucję Kańską i jeszcze kilka osób. Panowało zupełne milczenie. Profesor Wilczur zbliżył się do okna i po dłuższej chwili, nie patrząc na nich, zapytał:

– Który z kolegów internistów miał dziś dyżur?

Odezwał się po krótkiej pauzie drżący i cichy głos doktor Kańskiej:

– Ja, panie profesorze.

– Pani? – jakby z lekkim zdziwieniem zapytał Wilczur. – Badała go pani przed operacją?

Teraz odwrócił się i patrzył na nią z wyrzutem w oczach. Właśnie ona, dla której żywił najwięcej sympatii, którą darzył największym zaufaniem, której rokował jako młodziutkiej lekarce najlepszą przyszłość, właśnie ona popełniła to straszliwe zaniedbanie...

– Czy pani zapomniała go zbadać? Doktor Łucja potrząsnęła głową.

– Nie zapomniałam, panie profesorze, ale kiedy przysłam do jego pokoju, zastałam tam pana profesora Dobranieckiego. Pan profesor Dobraniecki kazał mi zbadać innego pacjenta... więc sądziłam, że Donata zbadał już sam... Tak zrozumiałam, takie odniosłam wrażenie..

Oczy obecnych zwróciły się na Dobranieckiego, który zaczerwienił się z lekka i wzruszył ramionami.

– Czy kolega badał go? – zapytał go Wilczur. W spojrzeniu Dobranieckiego błysnął gniew.

– Ja? Z jakiej racji. Przecież to należy do obowiązków dyżurnego internisty.

Jego wyniośle podniesiona głowa i ściągnięte rysy wyrażały oburzenie.

– Zdawało mi się... – zaczęła doktor Łucja ze łzami w głosie – odniosłam wrażenie...

– I cóż z tego? – ironicznie zapytał Dobraniecki. – Czy pani zawsze spełnia swoje obowiązki, obowiązki, od których zależy życie pacjenta, tylko wtedy, gdy się pani nic nie zdaje, gdy pani nie odnosi jakichś tam wrażeń?...

Doktor Łucja przygryzła wargi, by nie wybuchnąć płaczem. W ciszy odezwał się wzburzony głos doktora Kolskiego:

– Spotkałem koleżankę na korytarzu i powiedziała mi, że pan profesor to załatwił... Że pan profesor jest osobistym znajomym Donata... Dobraniecki zmarszczył brwi.

– Właśnie, wstąpiłem doń jako do dawnego znajomego, by zamienić kilka zdań. Oczywiście zbadałbym mu serce, gdyby mi mogło przyjść na myśl, że pani tak lekkomyślnie zaniedba wykonania swego obowiązku.

Po twarzy Łucji spływały łzy. Wargi jej drgały, gdy mówiła:

– Nie zaniedbałam... Byłam przekonana, że... Nie mogę przysiąc, ale niemal jestem pewna, że dał mi pan do zrozumienia, że się sam tym zajmie, bo przecie... Ja... nigdy...

Ostatnie słowa zagmatwały się i rozplynęły się w łkaniu.

– Jeżeli tu jest czyjaś wina – wybuchnął Kolski – to w każdym razie nie panny Łucji!

Na twarzy profesora Dobranieckiego wystąpiły ciemne wypieki. Cofnął się o krok i zawołał:

171

– Ach, tak? Więc to są takie metody? Widzę, że knuje się tu przeciw mnie jakaś intryga!

To na mnie chcecie zwalić swoje winy! To może ja mam być odpowiedzialny za brak dyscypliny w lecznicy, za nieobowiązkowość niektórych uprzywilejowanych osób z personelu?...

Byłoby to oburzające, gdyby nie tkwił w tym zbyt oczywisty absurd. O, nie, moi drodzy państwo! Nie boję się intrygi i kłamstwa. Nie boję się odpowiedzialności, wtedy gdy istotnie spada ona na mnie, ale teraz, gdy mnie zmuszacie, nie zamierzam dłużej ukrywać tego, co myślę.

Tak, powiem otwarcie. Przez szereg lat kierowałem tą instytucją i u mnie podobne wypadki były absolutnie wykluczone. U mnie panowała absolutna dyscyplina, u mnie nikt nie cieszył się jakimiś specjalnymi względami, u mnie każdy ponosić musiał pełną odpowiedzialność za wykonanie swoich ściśle określonych obowiązków. Może uważano mnie z tego powodu za zwierzchnika zbyt surowego, wymagającego, bezwzględnego, ale za to nie igrało się wów-

czas życiem ludzkim!... Otóż Donat to ofiara tych porządków, które teraz tu panują. One za-
biły Donata i, na Boga, nie ja jestem za to odpowiedzialny!...

Nie tylko wypowiedziane słowa, lecz cała postawa, wzrok i wyraz twarzy

Dobranieckiego jakby tchnęły oskarżeniem, oskarżeniem skierowanym przeciw
wszystkim zebranym.

W ciszy rozległ się głos profesora Wilczura:

– Prosiłbym kolegę o więcej spokoju i o nieferowanie wyroków. Nikt tu przeciw panu nie
intryguje, nikt nie podaje w wątpliwość pańskich zasług, nikt nie obciąża pana winą. Za
wszystko, co się dzieje w lecznicy, odpowiadam
ja, ja ponoszę odpowiedzialność.

– Właśnie. I ja tak sędzę – z ironicznym półuśmiechem odpowiedział

Dobraniecki, skinął głową i wyszedł z pokoju.

W całej lecznicy na wieść o śmierci Donata na stole operacyjnym zapanował nastrój przy-
gnębienia. Oczywiście wiadomości szybko wydostały się na miasto i w niespełna godzinę
później hali lecznicy pełen już był dziennikarzy
i fotografów redakcyjnych.

Śmierć Leona Donata, tenora, którego sława znajdowała się właśnie
u szczytu, musiała wywrzeć na całym świecie wstrząsające wrażenie. Ponieważ zaś zgon
nastąpił w okolicznościach tak wyjątkowych, wypadek nabierał wszystkich cech wielkiej sen-
sacji. Skrzętnie pracowały ołówki reporterów, zbierając strzępy informacji od lekarzy, pielę-
gniarzy, a nawet od służby szpitalnej. Tylko profesor Wilczur nie chciał przyjąć żadnego z
reporterów, oświadczając, że nie ma nic do powiedzenia. Natomiast jego zastępca, profesor
Dobraniecki, chętnie udzielił wywiadu.

Podkreślił w nim z całą lojalnością swój szacunek i uznanie dla profesora Wilczura jako

świątecznego chirurga i dodał, że przeprowadzona przezeń operacja w żadnym wypadku nie mogła zakończyć się wynikiem śmiertelnym i nie zakończyłaby się, gdyby nie pewne niedociągnięcia w organizacji pracy na terenie lecznicy. Mimochodem zaznaczył też, że dawniej podobne wypadki nie zdarzały się nigdy, ani za owych czasów, gdy lecznicą kierował młody wówczas i nie dźwigający na swych barkach ciężaru przeżyć profesor Wilczur, ani wówczas, gdy on sam, profesor Dobraniecki, był tu dyrektorem.

– Chcę, by mnie panowie dobrze zrozumieli – mówił. – Kierowanie taką instytucją wymaga bardzo wielu wysiłków, nie nadwątlonej energii, nie nadniszczonej tragicznymi przeżyciami sprężystości. Każdy z nas, lekarzy, zdaje sobie sprawę, a przynajmniej zdawać sobie sprawę powinien, że ponosi wielką odpowiedzialność za życie powierzonych nam pacjentów, że szczytną swą misję godnie spełniać może tylko wówczas, gdy jest pewien pełni swoich sił duchowych i umysłowych, które przecież z biegiem lat wyczerpują się, nawet wtedy gdy życie płynie normalnie. Dlatego z całą stanowczością muszę stanąć w obronie profesora Wilczura i sądzę, że mam prawo wymagać dlań wyrozumiałości.

– Panowie i wasi czytelnicy wiedzą dobrze, jak ciężkie przeżycia wyrwały

172

go na długie lata z normalnego trybu egzystencji. Proszę mi wierzyć, że nie może pozostać bez śladu na psychice, na umyśle i na woli człowieka fakt kilkunastoletniej amnezji, utraty pamięci i wegetowania w strasznych warunkach wśród pospólstwa, w nędzy. I tak godne podziwu jest, że profesor

Wilczur zdobył się na tak wspaniały dowód siły i żywotności ducha, że po tylu latach potrafił przejść od praktyki znachorskiej, od najprymitywniejszych sposobów leczenia do kierowania wielką lecznicą, gdzie i najmłodszego, najbardziej energicznego człowieka mógłby przerazić nadmiar skomplikowanych zagadnień organizacyjnych, wymagających ustawicznej

czujności, ustawicznej kontroli. 2 naciskiem proszę panów o podkreślenie mego wielkiego szacunku dla profesora Wilczura, który będąc już w tych latach, gdy nawet każdy inny lekarz, któremu życie upłynęło normalnie i spokojnie, szuka odpoczynku, wciąż jeszcze trwa na stanowisku.

Żegnając się z dziennikarzami profesor Dobraniecki uwarunkował umieszczenie wywiadu tym, że będzie wydrukowany jak najściślej.

– Nie mam oczywiście i nie mogę mieć wpływu na rodzaj i jakość komentarzy, którymi Panowie zechcą ten wywiad i cały wypadek opatrzyć. Nie chciałbym jednak, by wskutek zniekształcenia wypowiedzianych tu przeze mnie słów ktokolwiek z czytelników mógł wyrobić sobie błędne zdanie o moim stosunku do sprawy.

O godzinie piątej po południu na ulicach Warszawy ukazały się nadzwyczajne dodatki, przynoszące wieść o śmierci znakomitego tenora. Korespondenci pism zagranicznych wysłali długie depesze, wszystkie linie telefonów międzymiastowych na Berlin, Wiedeń, Paryż przez długi czas były zajęte.

W mieście o niczym innym nie mówiono. W dodatkach nadzwyczajnych podano tylko suche fakty, ale same tytuły zawierały już osąd: „Wielki śpiewak Leon Donata zmarł pod nożem profesora Wilczura”, „Nie zbadano przed operacją serca”, „Ofiara karygodnego niedbalstwa w lecznicy profesora Wilczura”...

Warszawa się trzęsła. Przed gmachem lecznicy zgromadził się kilkutysięczny tłum wielbicieli zmarłego śpiewaka, z gęstwy ludzkiej raz po raz padały głośnie okrzyki pod adresem profesora Wilczura i w ogóle lekarzy. Omal nie poturbowano wychodzącego z lecznicy doktora Żuka, a policja z trudem zdołała tłum rozproszyć, by dać przejazd karetce pogotowia, która przywiozła jakiegoś pacjenta.

W samej lecznicy panował nastrój pogrzebowy. Jeden tylko bodaj profesor Wilczur nie

przerwał swoich codziennych zajęć. Zdawał się nie dostrzegać wyrazu twarzy podwładnych ani ich zdenerwowania, zdawał się nie wiedzieć o wzburzeniu na mieście, zdawał się nie słyszeć hałasującego pod oknami tłumu.

Kończył właśnie wieczorną wizytację pacjentów i schodził na dół, w chwili gdy przywieziono nowego. Asystujący profesorowi doktor Kolski chciał zająć się jego przyjęciem, lecz Wilczur sam zbliżył się do lekarza pogotowia, by pacjenta odebrać. Z noszy, z którymi dwaj sanitariusze skierowali się do sali przyjęć, rozległy się ciche pojękiwania, drogę znaczyły gęste krople czarnej krwi.

– Co to jest? – zapytał profesor Wilczur.

Lekarz pogotowia wyjaśnił: rozprawa nożowa, stan beznadziejny, kilka głębokich ran klatki piersiowej i brzucha. Tylko natychmiastowa operacja może coś pomóc. Dlatego właśnie przywiózł go tu, bo było najbliżej.

– Proszę go od razu na stół – zwrócił się Wilczur do Kolskiego. Kolski zatrzymał się przez sekundę.

– Czy ma go operować doktor Rancewicz?

– Nie, ja sam się tym zajmę – odpowiedział Wilczur. Kolski pobiegł wydać dyspozycje, po czym dopilnował rozebrania rannego z jego łachmanów. Był to jakiś włóczęga, o dawno nie

173

golonej twarzy, przeciętej zresztą teraz kilkoma niegłębokimi, lecz krwawiącymi ranami. Dogorywał. Nierówny oddech, przesiąknięty odorem alkoholu, ustał prawie zupełnie.

Sala operacyjna była gotowa. Przyszła doktor Łucja, blada jak papier, o oczach zaczerwienionych od długotrwałego płaczu.

– Niechże pani idzie do domu – prosząco odezwał się Kolski. – Już ja wszystkiego dopilnuję. A tutaj nie ma nawet po co badać. Nie wiem, czy go doniosą do sali operacyjnej.

Zjawił się profesor Wilczur. Pochylił się nad pacjentem i wyprostował się, przecierając ręką oczy.

– Kto to jest? Ja znam tego człowieka. Ja go na pewno kiedyś widziałem.

– Pogotowie podało tylko imię i nazwisko – wyjaśnił Kolski. – Nazywa się Cyprian Jemioł.

– Jemioł? – powtórzył profesor. – Skąd ja go znam? Na progu zjawił się sanitariusz i oznajmił, że wszystko gotowe. Po zdjęciu prowizorycznych opatrunków okazało się, że rany nie są ani tak głębokie, ani tak groźne, jak to określił lekarz pogotowia. Jedna tylko była wysoce niebezpieczna. Ostrze noża rozplatało mięsień brzuszny i dość szeroko żołądek. Płuca były nienaruszone, natomiast upływ krwi znaczny i długotrwały był najistotniejszym niebezpieczeństwem.

– Drugi trup w ciągu jednego dnia na tej sali – powiedziała szeptem jedna z pielęgniarek do doktora Kolskiego. – Dlaczego profesor sam robi tę operację?

Kolski nic nie odpowiedział. Tymczasem profesor Wilczur swymi wielkimi, niezgrabnymi rękami ze zdumiewającą wprawą zaszywał jedną ranę po drugiej. Myśl jego jednak wciąż pracowała, jakby szukając w pamięci podobizny tego człowieka.

– Jemioł – powtarzał w myśli. – Cyprian Jemioł... Znam go z całą pewnością.

Operacja była skończona. Pacjenta zabrano żywego ze stołu. Iskierka życia, która się w nim tliła, równie łatwo mogła zgasnąć, jak i ponownie się rozjarzyć. Umieszczono go na czwartym piętrze w oddziale nie płacących pacjentów, zaś profesor Wilczur musiał wprost z sali operacyjnej udać się do kancelarii, gdzie oczekiwał już go komisarz policji i sędzia śledczy. Władze pod naciskiem opinii publicznej musiały gruntownie zbadać sprawę śmierci Donata. Profesor Wilczur został poinformowany, że w aktach znajdują się już zeznania wszystkich ważniejszych w grę wchodzących osób, a sędzia śledczy dał mu do zrozumienia, że ciężar oskarżenia kieruje się ku doktor Łucji Kańskiej,

która podczas badania nie zaprzeczyła zresztą swojej winie. Potwierdzają to również zeznania profesora Dobranieckiego, ten jednak winę przypisuje w ogóle nieporządkom organizacyjnym, panującym w lecznicy.

Wiele trudu i argumentów zużyć musiał profesor Wilczur po to, by przekonać ich, że doktor Kańska nie ponosi tu żadnej odpowiedzialności, że profesor Dobraniecki również nie może być postawiony pod jakimkolwiek zarzutem. Wszystkiemu winno jest nieporozumienie i tylko nieporozumienie. O czyjejkolwiek złej woli nie może tu być mowy, ale nieporozumienia podobnego typu istotnie nie mogą zdarzać się w lecznicy i Dobraniecki ma rację, przypisując winę śmierci Donata złej organizacji.

– Za organizację zaś ja tu jestem odpowiedzialny – zakończył profesor Wilczur – i ja jeden jestem winowajcą.

– Oczywiście, panie profesorze – powiedział sędzia śledczy, składając papiery do teczki – nie może być tu mowy o jakimś procesie karnym. Musi pan być jednak przygotowany na ewentualność, że rodzina śp. Leona Donata lub też towarzystwa asekuracyjne, w których nieboszczyk był ubezpieczony, mogą rościć sobie poważne pretensje finansowe. Radziłbym też panu profesorowi zawczasu porozumieć się co do tych spraw ze swoim adwokatem.

– Dziękuję panu sędziemu – powiedział Wilczur.

Była już godzina dziesiąta, gdy Wilczur wyszedł z lecznicy. Na dole zobaczył oczekującą nań Łucję. Wzruszył go jej wygląd. Przez myśl mu przeszło, że ta biedna dziewczyna, zroz-

174

paczona i przybita zdarzeniami, w których kręgu mimo woli się znalazła, może popełnić jakieś szaleństwo.

Uśmiechnął się i wziął ją pod rękę.

– No, droga pani, więcej hartu, więcej hartu. Nie można tak się przejmować. Żaden czło-

wiek nie może być absolutnie pewien nieomyślności wszystkich swoich działań. I żaden lekarz. Stało się, trzeba nad tym ubolewać, trzeba odtąd zdwoić uwagę, ale nie można popadać w depresję.

Łucja potrząsnęła głową.

– Nie, panie profesorze. To nie jest depresja. To jest rozpacz na myśl o tym, że pan profesor może być istotnie przekonany o moim niedbalstwie. Wszystkie okoliczności składają się przeciwko mnie... Tak chciałabym, by pan pozwolił mi wytłumaczyć się...

Wilczur mocniej przycisnął jej rękę.

– Ależ, droga panno Łucjo...

– Nie, nie, panie profesorze – przerwała mu. – Obiektywnie rzecz biorąc, zasługuję na pozbawienie i wiem, że nie może pan nadal korzystać z mojej współpracy. Narazić się na współpracę ze mną. Jestem na wszystko przygotowana. Chodzi mi tylko o to, by pan uwierzył mi, by pan nie wątpił... Moją winą nie jest ani niedbalstwo, ani nawet lekkomyślność... Może tylko nadmiar zaufania do dobrej woli i lojalności... profesora Dobranieckiego... Poniosę wszystkie konsekwencje... Jeżeli mi nawet prawo praktyki odbiorą, niech będzie!... Ale niech mi pan uwierzy...

– Ależ wierzę, wierzę, droga pani – zapewnił Wilczur. – I może pani być spokojna, nikt pani niczego nie odbierze, zostanie pani po dawnemu w lecznicy i nie zmniejszy się moje zaufanie do pani ani odrobinę.

Szli przez chwilę w milczeniu i Wilczur odezwał się niezwykle surowym tonem:

– Pani jest młoda, bardzo młoda i dlatego wybaczę pani i to jedyne prawdziwe przewinienie, które pani popełniła. Które pani popełniła teraz... Postaram się zapomnieć, że mogła pani przez chwilę bodaj wątpić o dobrej woli profesora Dobranieckiego, o dobrej woli jakiegokolwiek lekarza. Lekarz może się mylić, ale nie ma takiego na świecie, słyszy pani, nie ma takie-

go, który by dla jakichkolwiek powodów mógł dopuścić się narażenia na niebezpieczeństwo śmierci pacjenta. To pani, jako lekarka, powinna zrozumieć... Pani powinna w to wierzyć! Z chwilą, gdy się przestaje w to wierzyć – trzeba przestać być lekarzem.

Łucja odezwała się tonem wyjaśnienia:

– Ja tylko chciałam zaznaczyć, panie profesorze, że profesor Dobraniecki...

– Nie mówmy o tym więcej – przerwał jej stanowczo. – Niech panią Bóg broni przed kimkolwiek zwierzać się z jakichś swoich... No, dajmy temu spokój. Niech pani patrzy, jaką piękną mamy noc. Ile gwiazd.

Pochylił się ku mej z uśmiechem.

– Lubię jesień. Lubię jesień. A pani?

Rozdział III

Treść porannych gazet przyprawiła panią Ninę Dobraniecką o wypieki. Kazała sobie przynieść wszystkie i nie było wśród nich takiej, która by nie podawała wywiadu z jej mężem.

Prawie wszystkie też zawierały ostre, potępiające komentarze o karygodnym niedbalstwie w lecznicy, która od lat słynęła z wzorowego porządku i z wysokiego poziomu lekarskiego.

Niektóre pisma występowały wręcz z żądaniem ustąpienia profesora Wilczura, inne wyrażały obawy, że jeżeli w tej lecznicy w tak niedbały sposób odniesiono się do pacjenta bogatego i słynnego na całym świecie, to w jakiż sposób traktuje się tam ludzi zwykłych. Wszystkie

dzienniki przypominały również, że wieloletnia amnezja profesora Wilczura nie mogła pozo-

175

stać bez wpływu na stan obecny jego władz duchowych, czego dowodem są chociażby pozostałości znachorskich upodobań w stosowaniu ziół, nawet takich, które oficjalnie nauka od dawna już uznała za bezwartościowe lub wręcz szkodliwe.

Wywiad udzielony przez męża wydał się pani Ninie za słaby. Ten człowiek pominął oto

najświeższą okazję do zdruzgotania, do ostatecznego zdruzgotania przeciwnika i usunięcia go z widowni. Niepotrzebne były te przesadne komplementy pod adresem Wilczura. Należało wyraźniej podkreślić

jego wiek i przytoczyć coś na dowód objawów nawrotu amnezji. Przewertowawszy pisma pani Nina nacisnęła guzik dzwonka.

– Czy pan profesor już wstał? – zapytała pokojówkę.

– Pan profesor wyszedł już przed godziną.

– Przed godziną? – zdziwiła się pani Nina.

Wczoraj nie widziała męża. O śmierci Donata dowiedziała się z dodatków nadzwyczajnych. Kilkakrotnie próbowała połączyć się telefonicznie z mężem, w lecznicy jednak odpowiadano jej zawsze, że nie może podejść. Wrócił do domu późną nocą, gdy już spała. A teraz przed ósmą wyszedł z domu, czego prawie nigdy nie robił.

– Możesz odejść i przygotuj mi kąpiel – odprawiła pokojówkę.

Pani Nina postanowiła nie próżnować. Przede wszystkim należało się dowiedzieć, jaki rezonans wśród znajomych wywołały artykuły porannej prasy, i postarać się o to, by usposobić różne wpływowe osobistości jak najkrytyczniej do osoby Wilczura. Nie było to zbyt trudne zadanie w tej atmosferze, jaką wytworzyły wypadki. Każdy z interlokutorów pani Niny zdawał sobie przecież sprawę, że pani Dobraniecką, jako żona zastępcy i najbliższego współpracownika Wilczura, może posiadać znacznie ściślejsze i obfitsze informacje o przebiegu operacji i przyczynach śmierci Donata niż prasa.

I pani Nina nie zawiodła tych oczekiwań.

Miała rozległe stosunki i umiała mówić przekonywająco. W rezultacie plotki i komentarze dookoła tragicznego zdarzenia wciąż narastały, przybierając formę najbardziej fantastycznych hipotez, domysłów i podejrzeń. Warszawa tak była nasiąknięta tą sprawą, że nie mogła ona

zniknąć również i z łamów prasy. Nie była to kampania skierowana wprost przeciw osobie profesora Wilczura, lecz w istocie godziła w jego pozycję w świecie lekarskim i w jego sławę chirurga.

Pani Nina nie należała do osób, które przebijają w środkach walki, me należała do osób cofających się przed jakimkolwiek krokiem, jeżeli krok ten mógł zbliżyć ją do celu. Po kilku dniach z tego właśnie powodu między nią i mężem doszło do ostrej scysji.

Profesor Dobraniecki podczas konsylium u jednego z pacjentów usłyszał od doktora Hryniewicza tak nonsensowny zarzut pod adresem Wilczura, że przez samo poczucie przyzwoitości musiał mu zaprzeczyć. Zarzut polegał na tym, że rzekomo Wilczur w niektórych wypadkach, zamiast leczenia, stosuje znachorskie „zamawianie”. Dobraniecki przez moment przypuszczał nawet, że w stosunku do niego Hryniewicz ucieka się do podstępnej prowokacji.

– Nonsens, panie kolego – powiedział krzywiąc się. – Jak pan może wierzyć podobnym niedorzecznościom?

– Moja siostra słyszała to od pańskiej żony – odpowiedział lekarz. • Dobraniecki bąknął coś o nieporozumieniu, które tu musiało zajść, jednak po powrocie do domu zaczął robić żonie gwałtowne wymówki.

– Ty doprawdy nie znasz miary i nie masz poczucia zdrowego sensu. Przecież w ten sposób tylko mnie kompromitujesz. Przecież me można

w ludzi wmawiać absurdów, którym nikt rozsądny nie uwierzy. Pani Nina wzruszyła ramionami.

– A jednak widzisz, że uwierzyli.

– Albo udawali, że wierzą – podkreślił z naciskiem.

176

– Mój drogi, bądź przekonany, że jeżeli o kimś mówisz źle, zawsze ci uwierzą.

– A jednak proszę cię, Nino, byś pohamowała swoją akcję. Wilczur doskonale się orientuje, komu może zależeć na psuciu jego opinii. W jego zachowaniu się w stosunku do mnie w ostatnich dniach dostrzegam coraz więcej rezerwy i chłodu. Gdy zostanie wyprowadzony z równowagi, może mi bardzo zaszkodzić.

– W jaki sposób?

– W bardzo prosty. Może mnie oskarżyć o kampanię oszczerczą przeciw niemu.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Przed kim oskarżyć?

– To obojętne. W senacie akademickim, w Związku, a bodaj w prasie. Nie zapominaj, że cieszy się on wciąż jeszcze wielkim autorytetem. A jedna operacja śmiertelna... nie może takiego autorytetu obalić.

Profesor Dobraniecki miał rację. Śmierć Donata nie zdołała obalić autorytetu profesora Wilczura, zachwiała nim jednak poważnie. Najdobitniej wyraziło się to na dorocznym zebraniu Związku podczas wyborów.

Pozycja Wilczura była wciąż jeszcze tak mocna, że Dobraniecki uważał za rzecz wskazaną cofnąć swoją kandydaturę na stanowisko prezesa i wysunąć kandydaturę Wilczura. Nastąpiło głosowanie i Wilczur został wybrany. Lecz o ile przed dwoma tygodniami wybór nastąpiłby jednomyślnie, tym razem przeszedł tylko nieznaczną większością kilku głosów przy wielu wstrzymujących się od głosowania.

Na zebraniu Wilczur nie był obecny. Głęboko przejęty swoimi troskami po prostu zapomniał o zebraniu, zaś zawiadomiony o wynikach, napisał krótki list do Związku, oświadczając, że wyboru przyjąć nie może. Tłumaczył się zmęczeniem i tym, że stanowiska publiczne powinni zajmować ludzie młodszy. W istocie przejmowała go wstrętem myśl, że przyjmując wybór, musiałby ustawicznie stykać się z tymi ludźmi, którzy głosowali przeciw niemu, któ-

rzy uwierzyli haniebnym plotkom i oszczerstwom, krążącym po mieście i znajdującym echa w wielu dziennikach, ba, nawet w pismach fachowych.

Miał jeszcze i inne kłopoty. Mianowicie pewnego dnia zgłosił się doń przedstawiciel towarzystwa asekuracyjnego, w którym Donat był ubezpieczony na kolosalną sumę. Towarzystwo stało na stanowisku, że odpowiedzialność za śmierć śpiewaka ponosi profesor Wilczur i że on też winien uiścić kwotę ubezpieczenia. A to dla Wilczura równało się – ruinie.

Pomimo to bez namysłu oświadczył, iż gotów jest pokryć całą sumę. Czy mógł narażać się na proces, na ekspertyzy, na wywlekanie na światło d/iemu tych wszystkich podejrzeń, które się nagromadziły przecież nie tylko w nim

samym, ale Łucji Kańskiej i w Kolskim, i zapewne w wielu innych? Musieliby stanąć przed sądem i na pewno ktoś z nich poruszyłby te sprawy, wystąpiłby z tymi podejrzzeniami, na myśl o których ogarnęło Wilczura przerażenie

i obrzydzenie.

Nie, na to się zgodzić nie mógł.

W ten sposób z dnia na dzień utracił niemal cały majątek. Lecznica, willa, kamienica na Puławskiej – wszystko to przeszło na własność towarzystwa asekuracyjnego. Dyrekcja tego towarzystwa wykazała i tak wiele życzliwości i dobre) woli, pozostawiając Wilczura na czele lecznicy i wyznaczając mu względnie wysokie pobory oraz pozostawiając mu prawo dożywotniego zajmowania willi. Dzięki tym okolicznościom sprawa została załatwiona cicho i bez rozgłosu, na czym Wilczurowi najbardziej zależało. Pozornie nic się nie zmieniło. O tym, że Wilczur przestał być w lecznicy wszechwładnym panem i zależał teraz od prezesa Towarzystwa Asekuracyjnego Tuchwica, nikt nie wiedział.

I sam Wilczur zresztą nie odczuwał tej zmiany. Od wielu lat nie przywiązywał do pienięd-

dzy wielkiej wagi. Kiedyś, gdy była z nim jeszcze jego żona, śp. Beata, umiał pracować po

177

kilkanaście godzin na dobę, wierzył, że przepychem luksusowych samochodów, drogich futer i biżuterii może dać jej radość, dać szczęście. I oto pewnego dnia zostawiła to wszystko, zostawiła i odeszła, zabierając małą Mariolę. Wraz z jej odejściem rozwiały się jego złudzenia.

Wszystkie dotychczasowe wysiłki, cała ciężka i zawzięta walka o byt wydała się śmiesznym nieporozumieniem, bezsensownym trudem,

tragiczną pomyłką.

A potem przyszły lata... zupełnie inne lata... Kto wie, czy nie należy ich błogosławić, tych lat spędzonych na szlakach włóczęgi, lat spędzonych wśród dobrych ludzi, gdy praca z siekierą w ręku lub z ciężkim workiem na plecach była pracą dla zwykłego kawałka chleba... Utrata pamięci. Tak. Przez długie lata nie wiedział, kim jest, skąd pochodzi, jak się nazywa. A czyż utrata pamięci wówczas nie była dlań dobrodziejstwem? Czyż nie powinien błogosławić Boga za to, że mu odebrał świadomość przeszłości, świadomość śmiertelnej rany zadanej w serce, w nieprzytomnie kochające serce, przez kobietę, przez ponad wszystko kochaną kobietę...

Popiół czasu przyprószył przeszłość, popiół czasu przyprószył włosy... Z przeszłości została mu tylko Mariola... Czy została?... Od trzech lat, odkąd wyszła za męża, widział ją tylko jeden raz. Nie miał do niej ani do Leszka o to żalu. Cóż, każdy ma własne życie. Młode ptaki wylatują z gniazd, zakładając własne, i już nigdy do dawnych nie powracają. Leszkowie zamieszkali w Ameryce, a chociaż pisują często, coraz bardziej znać w ich listach tę odległość wielu tysięcy kilometrów, tę przegrodę wielu tysięcy innych, odmiennych, obcych warunków bytu, jakie ich dzielą od niego.

– Nie jestem im potrzebny – myślał Wilczur – a przy ich bogactwie mc odczują nawet tej

straty, że w spadku po mnie nic nie dostaną.

W spadku. Pierwszy raz mu to przyszło na myśl, że jest już stary. Dotychczas nawał codziennej pracy i jego niezmordowana energia zasłaniały mu przed oczyma fakt, że dobiega już tego wieku, w którym większość ludzi myśli tylko o śmierci. Gdy przeczytał te słowa w wywiadzie Dobranieckiego, wydały mu się tak śmieszne i tak nikczemne, jak i reszta jego perfidnych wynurzeń. Mijały jednak dni i tygodnie, a coraz więcej myślał o swojej starości. Wprawdzie po dawnemu codziennie już o siódmej rano był na nogach, a o ósmej w lecznicy, ale już popołudnia najczęściej spędzał w domu. Przeważnie samotnie.

Czuł się zmęczony. W związku z nieustającymi napaściami, na które nie odpowiadał, pogarszał się wciąż jego stan nerwowy, a to odbijało się na zdrowiu i samopoczuciu.

W tym to okresie zaczął pić. Nie był to nałóg. Po prostu stary, doświadczony Józef, służący Wilczura, któregoś dnia zaproponował mu wypicie kieliszka koniaku.

– Zmarzył pan trochę, panie profesorze. Dobrze to panu zrobi.

Od tego dnia, gdy po obiedzie zasiadał przed kominkiem w gabinecie, zawsze obok czarnej kawy na stoliku stała butelka z koniakiem. Kilka kieliszków rozgrzewało go znakomicie, pozwalało oderwać myśl od przykrew rzeczywistości, dawało złudzenie pogody i zadowolenia. A przede wszystkim usypiało nerwy, nerwy, które w ostatnich czasach naprawdę potrzebowały spokoju.

Nieustające ataki na Wilczura musiały wyrzeć swój wpływ nawet na najbliższe jego otoczenie. W lecznicy, jak to zdołał zauważyć, część personelu odnosiła się doń krytycznie i wyraźnie oscylowała ku Dobranieckiemu, czy to z przekonania, czy po to, by pozyskać jego względy w przewidywaniu, że zbliża się ponownie okres jego władzy.

Stosunek Wilczura do Dobranieckiego nie zmienił się pozornie w niczym. Zmuszeni do codziennego stykania się na terenie lecznicy, po dawnemu konferowali z sobą, odbywali kon-

sylia i narady. Obaj jednak starali się ograniczyć wzajemny kontakt do minimum. Unikali też jakiegokolwiek zatargu. Toteż gdy profesor Dobraniecki zapowiedział sekretarzowi, by odtąd nie dawano mu pacjentów z czwartego piętra (oddział bezpłatny). Wilczur przyjął to do wiadomości bez protestu i odtąd sam wizytował ten oddział.

178

Na tym właśnie oddziale spotkało go niespodziewane przeżycie. Podczas jednej z wizytacji poznał człowieka, którego przywieziono mu pod nazwiskiem Cypriana Jemioła, a raczej Jemioł poznał Wilczura.

Było to tak: profesorowi dano znać, że pacjent ten odzyskał przytomność. Gdy Wilczur wszedł do jego pokoju i pochylił się nad chorym, ten uniósł powieki i przez dłuższą chwilę wpatrywał się przytomnym wzrokiem w twarz profesora, potem lekko się uśmiechnął i powiedział:

– „How do you do, darling.

– Skąd ja pana znam? – zapytał Wilczur. Pacjent w uśmiechu odsłonił spróchniałe zęby.

– Przedstawił nas sobie mistrz ceremonii na przyjęciu u księżnej Montecuculi.

Profesor zaśmiał się.

– Naturalnie, poznaję też pański głos i sposób mówienia.

– To nietrudno, mon cher. Mam zwyczaj zmieniać głos tylko jeden raz w życiu. W okresie pacholecej mutacji. Co zaś dotyczy sposobu mówienia, nie przestaję nigdy być wytworny.

Profesor przysunął sobie krzesło i usiadł.

– A jednak musiało to być dawno, bardzo dawno – powiedział w zamyśleniu.

Jemioł przymknął oczy.

– Gdybym się jeszcze umiał dziwić czemukolwiek na tym świecie, tobym się dziwił, że nie spotykamy się właśnie na tamym. Cóż za zbieg okoliczności! Dobrodzieja, o ile mnie pamięć

nie myli, wiele lat temu pozbawiono możliwości kontynuowania doczesnego życia i wyprawiono ad patres. Mnie kilku serdecznych przyjaciół wyekspediowało w tymże kierunku niedawno. I oto spotykamy się w ciepłym szpitalu. Pan jest doktorem?

– Tak – potwierdził Wilczur. – Operowałem pana. Był pan nieludzko pokrajany.

– Bardzo mi przykro, że pana trzymałem, signore. Mille grazzia. Ale skoro pan jest lekarzem, niechże mi pan przede wszystkim powie, czy mi nie ucięto jakiejś kończyny.

– Nie. Będzie pan zupełnie zdrow.

– To jest dość przyjemna wiadomość. Przyjemna dla Drożdżyka, który tam na pewno tęskni za mną i wypłakuje swoje piękne oczy. Przypomina pan sobie Drożdżyka, dottore?

– Drożdżyka? – Profesor zmarszczył brwi.

– Tak, my dear, mówię o słynnym etablissement Drożdżyk, rue Witebska quinze... Restauracja z punktu widzenia fiskalnego zaliczona do trzeciego rzędu, ale pierwszorzędna pod względem towarzyskim, obyczajowym i moralnym. Etablissement Drożdżyk. Nic to panu nie mówi? Rendezvous eleganckiej Warszawy. High lite... Tam właśnie mieliśmy zaszczyt i przyjemność.

Profesor Wilczur przetarł czoło.

– Czyżby?... to pan... pan mnie wtedy zaczepił na ulicy?...

– Si, amico. Toczno tak, tak imiennie. Wstąpiliśmy do Drożdżyka, by przy czterdziestopięcioprocentowym roztworze alkoholu poruszyć pewne zagadnienia abstrakcyjne, co się nam też w zupełności udało. O ile sobie przypominam, miał pan wówczas jakieś przykrości i, niestety, zbyt opasły pugilares w kieszeni. Od owego dnia używałem pańskiego przykładu jako argumentu, ilekroć głosiłem cnotę ubóstwa. Zawsze byłem zdania, że bogactwo me daje szczęścia. Gdyby pan nie miał wówczas tyle pieniędzy, nie udzielono by pana łomem po głowie i nie topiono w gliniance.

Jemiół spojrział w oczy Wilczurowi i dodał:

– Nein, mein Herr, vous vous trompez. Ja nie brałem w tym udziału. Do

wiedziałem się o wszystkim nazajutrz. Wieść gminna. Legenda. Jeszcze jedna legenda do rozmyślań nad znikomością rzeczy ludzkich.

Wilczur odruchowo sięgnął ręką do ciemienia, na którym pozostała blizna.

– Więc to tak było?

179

– Tak, wodzu. Nie śniło mi się nigdy, że ujrzę cię kiedyś jeszcze. Od owego dnia profesor dość często odwiedzał Jemiół, który zresztą szybko powracał do zdrowia. Poleciał go też szczególniejszej opiece panny Łucji, która zajęła się nim ze zdwojoną gorliwością. Wilczur nie mógł nie zauważyć, że ta młoda dziewczyna z nadzwyczajnym poświęceniem oddaje się pracy, jakby chcąc wynagrodzić błąd, który popełniła. Nie mógł również nie dostrzec, że Łucja darzy go szczególniejszą sympatią, że w jej wzroku znajduje wiele ciepła, serdecznego współczucia, przyjaźni i jakby jakiejś prośby.

Czasami wychodzili razem z lecznicy i wówczas odprowadzała go do domu. Mówił najczęściej o sprawach zawodowych, zdarzało się jednak, że rozmowa schodziła na kwestie osobiste. Dowiedział się, że Łucja jest sierotą. Pochodziła z Sandomierza, lecz od dziecka wychowywała się w Warszawie. Na wychowanie jej i wykształcenie łożyła stryjenka, która również umarła przed kilku laty. Opowiedziała mu też, że kiedyś była zaręczona, lecz po niedługim czasie przekonała się, że młody inżynier, który udawał przed nią miłość, był człowiekiem bezwartościowym, i wtedy z nim zerwała.

– A teraz widzę – zauważył Wilczur – że kolega Kolski jest panią bardzo zajęty.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Kolski, profesorze, jest właśnie kolegą, jest bardzo porządnym chłopcem, lubię go i

uznając jego wartości, ale to nie są te wartości, które mogłyby wywołać jakieś głębsze uczucie.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– A czyż w kobiecie wywołują uczucia jakieś wartości?... Nie uroda, nie młodość, nie...

czy ja wiem... wdzięk?... Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, profesorze. To, o czym pan wspomniał, może zainteresować tylko bardzo płytkie

kobiety. Sądzę, że my... że ja szukałabym w mężczyźnie przede wszystkim bogactwa jego

duszy, że chciałabym w nim znaleźć jakby wielką bibliotekę przeżyć, przemysłów, tragedii i

wzlotów, jakby muzeum, żywe muzeum... Nie umiem tego określić. Może to są złe porówna-

nia. Powiem tak:

chcę, by jego dusza była instrumentem wielostronnym, by zawierała w sobie tyle cech i

dźwięków, ilu bym przez całe swoje życie w nim odkryć i poznać nie mogła, i nie wydaje mi

się, bym miała być pod tym względem wyjątkiem. Zdaje mi się, że to jest bardzo kobiece,

ogólnokobiece... Ta chciwość, to pragnienie czuwania nad wieloma, wieloma skarbami, któ-

rych nasz umysł nie ogarnia, a które można cenić i czcić... Bo tylko czcząc można kochać.

Biały śnieg pokrył ulice Warszawy i lekko skrzypiał pod ich stopami. Światło latarni zała-

mywało się w sinawych smugach cienia. Upierzone drzewa stały ciche, nieruchome, dostojne.

– To nieprawda – powiedział po dłuższej pauzie Wilczur. – Przekona się pani kiedyś, że to

nieprawda.

– Nigdy się o tym nie przekonam – zaprzeczyła z przekonaniem, lecz on zdawał się jej

słów nie słyszeć i mówił dalej:

– To młodość dyktuje pani te słowa, to młodość podsuwa te myśli. Brak doświadczenia.

Miłość... miłość posłuszna jest ciału... posłuszna prawom natury, a duch? Duch jest duchem,

jego miejsce w abstrakcji i nic na to nie

pomoże.

W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy i Łucja powiedziała:

– Nie przekonałam się o tym i sędzę, że profesor zbyt pesymistycznie patrzy na te rzeczy.

– Bo ja się przekonałem – uśmiechnął się ze smutkiem. – Może kiedyś opowiem to pani, może kiedyś. Ku przestrodze. A teraz – oto mój dom. Dziękuję pani za miły spacer i rozmowę. Pani jest dobra, panno Łucjo.

Pocałował ją w rękę na pożegnanie.

Zdejmując futro w przedpokoju przejrzał się w lustrze i stwierdził, że jest nieogolony.

180

– Niech mi Józef – powiedział do służącego – codziennie rano przypomina, że muszę się ogolić.

– Codziennie wszystko jest przygotowane – z urazą w głosie zauważył służący.

– Tak, ale ja nie zawsze o tym pamiętam, nie zawsze pamiętam...

Wypowiedziane słowa przywiodły mu na myśl dzisiejszy artykuł w jednym z pism, znowu wałkujący sprawę śmierci Denata. Jakiś obskurant, ukrywający się pod literami doktor X.Y., dowodził tam, iż całkowite uleczenie z amnezji jest prawie niemożliwe. Pamięć nigdy, zdaniem tego ignoranta, całkowicie nie wraca i muszą się powtarzać napady.

Co za absurd. I posługując się takimi sztuczkami usiłują go zmusić do rezygnacji. Gdyby wiedzieli, że lecznica jest obecnie własnością towarzystwa asekuracyjnego, na pewno znalazłby sposoby nowych intryg.

Przebrał się w szlafrok i zasiadł przed kominkiem. Józef przyniósł gorącą, pachnącą kawę i wieczorne gazety. Może umyślnie je tak położył, a może był to tylko przypadek, że rzuciwszy na nie okiem Wilczur odczytał na pierwszej stronie złożonego dziennika tytuł:

„Profesor Wilczur wypłacił rodzinie śp. Leona Donata milionowe odszkodowanie”.

Upłynęło kilka minut zanim wyciągnął rękę po pismo.

„Dowiadujemy się – czytał – że towarzystwo, w którym był ubezpieczony tragicznie zmarły w lecznicy profesora Wilczura światowej sławy śpiewak polski Leon Donat, zagroziło niefortunnemu chirurgowi procesem o odszkodowanie. Wobec tego, że proces taki profesor Wilczur oczywiście by przegrał, gdyż śmierć wielkiego tenora nastąpiła wskutek karygodnego niedbalstwa i nieporządków panujących w zakładzie profesora, musiał on uiścić należność asekuracyjną, sięgającą zawrotnej sumy dwóch i pół miliona złotych. Jako pokrycie tej sumy na własność towarzystwa przeszła lecznica profesora, jego willa, niemal wszystko, co posiadał. Trudno nie współczuć znakomitemu chirurgowi, że dotknęła go nagła ruina, z drugiej jednak strony niech wypadek ten będzie przestrogą dla wszystkich tych lekarzy, którzy lekkomyślnie traktują życie powierzonych im pacjentów...”

Wilczur odłożył gazetę i szepnął do siebie:

– A więc stało się...

Znowu dolano oliwy do ognia. Czyjaś niedyskrecja sprawiła, czyjaś niedyskrecja albo zawzięte szpiegostwo, że podsycono znowu plotkę, że zacznie powiedział służącemu, gdy ten się nowa orgia napaści...

– Nie będę jadł, nie jestem głodny oznajmił, że kolacja jest na stole.

– Może chociaż filiżanka bulionu?

– Nie, dziękuję. Niech mi Józef jeszcze da kawy... Tak, i koniaku.

Tej nocy profesor Wilczur wcale nie położył się do łóżka. Nadmiar wypitej kawy i alkoholu sprawił, że rankiem ujrzał w lustrze swą twarz poszarzałą, zmęczoną i obrzmiałą. Pomimo zmęczenia zmusił się do tego, by ogolić się starannie, i punktualnie zjawił się w lecznicy.

Nietrudno było zauważyć, że wczorajsza wiadomość z pisma była tu już wszystkim znana.

Doktor Żuk, referując program dnia i stan chorych, nie ośmielił się wprawdzie zapytać Wilczura o nic, ale jego spojrzenia świadczyły, że pytania miał na końcu języka.

Program przewidywał sześć operacji: jedna trepanacja czaszki, trzy zestawienia złamanych kości w kończynach i wycięcie wyrostka robaczkowego czternastoletniej dziewczynce, którą przywieziono w nocy. Poza pierwszą wszystkie operacje były łatwe i zwykłe.

Po godzinnej wizytacji profesor przeszedł do sali operacyjnej. Od pamiętnego wypadku z Donatem każdego pacjenta dodatkowo badał osobiście, sprawdzając stan jego serca i badając, czy nie cierpi na idiosynkrazję do któregośkolwiek z środków usypiających. Zabierało to sporo czasu, lecz wolał polegać tylko na sobie.

181

Pierwsza operacja trwała przeszło godzinę i udała się doskonale. Pogrypowy wrzód w mózgu został przecięty i oczyszczony. Następne poszły również łatwo. Ostatnią jednak Wilczur postanowił przesunąć o pół godziny. Musiał odpocząć. Nie przespana noc i napięcie nerwowe zrobiły swoje. Gdy siedział w ubieralni, przyszedł Dobraniecki, przywitał się i powiedział:

– Mówił mi Rancewicz, że jest pan zmęczony. Może do tego wycięcia wyrostka robaczkowego wyznaczyć kogoś innego?

– Nie, dziękuję panu – blado uśmiechnął się Wilczur.

– Bo ja jestem teraz wolny... Ewentualnie...

– Nie. Dziękuję bardzo – nie mógł opanować poirytowanego tonu Wilczur.

Wstał i nacisnął dzwonek.

– Pacjentkę na salę – rozległ się za drzwiami głos sanitariusza.

Dobraniecki wyszedł. Wilczur otworzył podręczną szafkę, wyjął z niej słoik z bromem, wsypał dość dużą dawkę do szklanki, nalał wody i wypił.

Gdy przystępował do operacji, był już zupełnie opanowany i pewny każdego swego ruchu. Skośne cięcie było trafnie wymierzone. Kilka kropel krwi na białym podkładzie tłuszczowym i sinofioletowa gmatwanina kiszek. Rozżarzony drut aparatu elektrycznego krótkim, ostrym sykiem spełnił swoje zadanie i obrzmiały wyrostek robaczkowy znalazł się w szklance z formaliną. Operacja dobiegała końca. W czterdziestej piątej minucie profesor Wilczur założył klamry.

...Dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście – liczył doktor Żuk narzędzia.

Chorą wywożono z sali.

– Brak jednej sztuki – spokojnie powiedział doktor Żuk. Moment konsternacji. Profesor Wilczur, który już zdejmował maskę, powiedział ochrypłym głosem:

– Z powrotem na stół.

Trzeba było po raz drugi otwierać jamę brzuszną dla wydobycia ze zwojów kiszek małego metalowego przedmiotu, połyskującego niklem. Upał na sali operacyjnej i zmęczenie sprawiały, że Wilczur tylko ostatnim wysiłkiem woli utrzymywał swój mózg w świadomości, a ręce w sprawności. Czuł, że jest bliski omdlenia. Na szczęście wytrzymał do końca.

Pacjentkę zabrano już w chwili, gdy budziła się z narkozy. Zataczając się wyszedł za nią Wilczur na chłodny korytarz. Zdarł maskę i stał przez kilka minut oparty o parapet okna. Powoli odzyskiwał przytomność i siły. Zrozumiał też, że ten szum, który słyszy, jest skutkiem zbyt wielkiej dawki bromu. Z wolna skierował się do rozbieralni. Przy pomocy sanitariusza przebrał się, kazał sobie przynieść tu futro i kapelusz i nawet nie wstępując do swego gabinetu wyszedł na ulicę.

Tymczasem w lecznicy wrzało jak w ulu. Wprawdzie pozostawienie narzędzi operacyjnych w jamie brzusznej jest dość częstym wypadkiem, który się przytrafia wielu chirurgom, powodując konieczność powtórnej operacji, profesor Wilczur jednak słynął z tak niesłychanej

przytomności umysłu i spostrzegawczości, że nigdy mu się coś podobnego nie zdarzyło.

Oczywiście osoby asystujące przy operacji dostrzegły również osłabienie profesora, a

doktor Żuk obserwując go uważnie przewidywał nawet omdlenie i przygotował się do tego, że osobiście zastąpi profesora przy dokończeniu operacji w razie wypadku.

Teraz cała elita zakładu zebrała się w gabinecie profesora Dobrameckiego, który mówił:

– Szanujemy go wszyscy, uznajemy jego zasługi, mamy dlań wiele sympatii, ale to nie powinno nam zamykać oczu na fakty: to jest stary człowiek, należy mu się odpoczynek, a nie daje sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Przecież podobne wypadki będą mu się zdarzały teraz coraz częściej. Nie wiem doprawdy, co począć.

Wśród ogólnych potakiwań rozległ się drżący głos doktor Łucji Pańskiej:

– Tu nie trzeba nic robić. Tu trzeba pootwierać okna i wywietrzyć tę ohydną atmosferę, nad której wytworzeniem pracują ludzie złej woli. Trzeba przeciwdziałać wstrętnym plotkom, kłamstwom i oszczerstwom. Nie wiem, czy ktokolwiek zdołałby zachować spokój i równo-

182

wagę wśród tych kalumnii, podłych, podstępnych intryg i krecich podkopów, którymi otoczono profesora Wilczura. To hańba! To wstyd! Ale myślą się ci, którzy dla własnych brudnych korzyści chcą zmusić profesora Wilczura do upadku. Przeliczają się. Taki człowiek jak on nie ugnie się przed podłością nikczemnych intrygantów, wszyscy uczciwi staną po jego stronie!...

Profesor Dobranecki przybladł i zmarszczył brwi.

– Wszyscy stoimy po jego stronie – powiedział dobitnie.

– Tak? Czy i pan też, panie profesorze? – spojrzała mu wprost w oczy.

Dobranecki nie umiał ukryć wzburzenia.

– Moja droga pani. Wówczas kiedy pani jeszcze chodziła w pensjonarskim mundurku, ja wydałem biografię profesora Wilczura! Jest pani za młoda i zanadto pozwala pani sobie lek-

ceważyć pewne dystansy. Nie uważam, bym potrzebował wyjaśniać to pani dobitniej.

Doktor Łucja zmieszała się: rzeczywiście między nią a Dobranieckim był taki dystans, jak między generałem a szeregowcem i tylko nagłe oburzenie pozwoliło jej o tym zapomnieć na chwilę.

Korzystając z tego, że Dobraniecki po ostatnim słowie odwrócił się do docenta Biernackiego, Łucja wyszła z gabinetu. Kolskiego znalazła na drugim piętrze, kończył właśnie opatrunek. Była tak roztrzęsiona, że powiedział:

– Czy się coś stało? Potrząsnęła głową.

– Nie, nic. Nic ważnego. Tylko oni znowu coś knują... Chciałam z panem pomówić.

– Dobrze – skinął głową. – Za pięć minut będę wolny. Niech pani zaczeka w moim pokoju.

W jego oczach był smutek i niepokój. Gdy przyszedł, siedziała przy biurku i płakała.

– Jakiż obrzydliwy, jakiż wstrętny jest świat.

Kolski delikatnie wziął końce jej palców i odezwał się tonem perswazji:

– Zawsze był taki. Walka o byt nie jest dziecinną zabawą ani grą towarzyską, tylko wojną, nieustającą wojną, w której zarówno zęby, jak i pazury są równie dobrą bronią, jak słowa.

Trudno. Tak już widocznie musi być. No, niechże srę pani uspokoi, panno Łucjo, niechże się pani uspokoi.

Rozdział IV

Prezes Tuchwic w zamyśleniu stukał ołówkiem po pliku cienkich kartek, zapisanych maszynowym pismem.

– Przeczytałem pański memoriał, panie profesorze – mówił nie podnosząc oczu na siedzącego po drugiej stronie biurka Dobranieckiego – przeczytałem i muszę panu powiedzieć, że stawia pan mnie w niesłychanie przykrej sytuacji. Oczywiście muszę się zgodzić z niektórymi argumentami pańskimi, ale zarówno pod względem prawnym, jak i osobistym nie mogę tu nic

zrobić.

Dobraniecki poruszył się w fotelu.

– Wybaczy pan, ale nie zrozumiałem.

Na twarzy Tuchwica zjawiał się grymas zniecierpliwienia.

– Widzi pan, profesorze, ja się nie znam na tych waszych lekarskich rzeczach. Jestem finansistą i tu znam swoje zobowiązania. Otóż profesor Wilczur postąpił z nami bardzo fair. Postąpił jak dżentelmen. Oczywiście, mógł nie przyjąć na siebie winy, mógł zwalić ją na mternistkę, która nie zbadała Donata. Oczywiście wówczas miałbym prawo domagać się współodpowiedzialności właściciela lecznicy i sąd na pewno by to przyznał, jednak wątpię, byśmy wówczas mogli odzyskać całą kwotę, a poza tym sprawa ciągnęłaby się latami. To pierwszy punkt. Winienem mu jeżeli nie wdzięczność, to przynajmniej stosunek również fair...

– Ale chyba nie kosztem życia dalszych pacjentów – sarkastycznie wtrącił Dobraniecki.

183

– Oczywiście. Jeżeli jest tak, jak pan mówi i jak pan tu napisał, przyznaję, że profesor Wilczur powinien ustąpić. Ale ja go do tego zmusić nie mogę. Zawarłem z nim umowę, na mocy której pozostanie on kierownikiem lecznicy, póki sam zechce. To drugie. Jest i trzeci punkt.

Widzi pan, mam w stosunku do Wilczura obowiązek wdzięczności. Przed wielu laty leczył on moją matkę i wówczas uratował jej życie.

W gabinecie zapanowało milczenie. Prezes powoli zapalił fajkę.

– Z tych wszystkich argumentów – odezwał się Dobraniecki – istotnym argumentem jest jeden: pańska umowa z Wilczurem. Ale i tu znajduję wyjście. Czy nie mógłby pan prezes pomyśleć o czymś w rodzaju emerytury? Sądzę, że na takie rozwiązanie sprawy profesor Wilczur mógłby przystać. Oczywiście pod pewnym naciskiem.

– Ale ja nie mogę wywierać żadnego nacisku – zaproponował prezes. Dobraniecki zrobił

pauzę.

– Skoro towarzystwo, którego pan jest prezesem, jest właścicielem lecznicy, musi panu zależeć na renomie tej lecznicy, bo renoma i tylko renoma jest jej główną wartością. Z chwilą gdy lecznica zacznie tracić opinię najlepszego zakładu tego rodzaju w stolicy, spadną też jej dochody, a zatem i obiektywna wartość.

– Rozumiem to dobrze – przyznał prezes. – Dlatego też muszę za pewnić pana profesora, że bynajmniej nie zamierzamy zatrzymywać jej dla siebie. Gotowi jesteśmy sprzedać ją pierwszemu reflektantowi, który się zgłosi. Sprzedać nawet z pewną stratą. Wzrok Dobranieckiego ożywił się.

– Za kilka miesięcy moglibyśmy o tym pomówić.

– Czy pan profesor?... – zaciekawił się prezes. Dobraniecki zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Nie ja sam. Nie rozporządzam takimi funduszami. Ale spodziewam się znaleźć paru lekarzy, którzy weszliby ze mną do spółki. Naturalnie mogłaby być o tym mowa tylko wtedy, gdy kierownictwo przeszłoby w inne ręce. Niech pan mnie źle nie rozumie, prezesie. Nie zależy mi bynajmniej na tym, bym to ja właśnie miał objąć dyrekcję. Chodzi mi przede wszystkim o bezpieczeństwo pacjentów i o utrzymanie na poziomie instytucji, której, śmiało to mogę powiedzieć, jestem współtwórcą.

Prezes wstał.

– Zastanowię się nad tym wszystkim, panie profesorze, i wkrótce dam panu odpowiedź.

– Będę jej oczekiwał z niecierpliwością, usprawiedliwioną tym, że przedłużanie się obecnego stanu rzeczy doprawdy grozi poważnymi następstwami.

Prezes odprowadził Dobranieckiego do drzwi i znowu zagłębił się w swoim przepaścistym fotelu. Istotnie sprawa ta miała dlań nad wyraz przykry posmak. Gdyby to od niego zależało, gdyby nie był odpowiedzialny za finanse towarzystwa, wolałby na to wszystko machnąć ręką

i zostawić rzeczy ich własnemu biegowi.

Nie podobał mu się Dobraniecki. Oczywiście wiedział, że jest to osobistość ogólnie uznana i szanowana, uczony poważnej miary i człowiek odgrywający niemałą rolę w życiu towarzyskim Warszawy. Jednakże stosunek profesora do Wilczura wydał się prezesowi niesmaczny, a może nawet nielojalny.

Z drugiej wszakże strony o uszy prezesa nieraz się już obijały pogłoski potwierdzające dane zawarte w memoriale Dobranieckiego.

Tego wieczora prezes Tuchwic opowiedział przy kolacji żonie całą sprawę i usłyszał taką radę:

– Mój drogi, najlepiej postąpisz, jeśli zobaczysz się z Wilczurem i rozmówisz się z nim otwarcie.

– Masz rację – przyznał. – Zrobię to w przyszłym tygodniu. O złożeniu przez Dobranieckiego memoriału w lecznicy wiadano, gdyż przy jego redagowaniu brało udział kilku lekarzy, trzymających stronę autora. Oczywiście, rzecz nie dała się utrzymać w tajemnicy i wkrótce dotarła też do wiadomości Wilczura. Wysłuchał tego w milczeniu, uśmiechnął się,

184

wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Nazajutrz w obecności kilku osób zwrócił się do Dobranieckiego:

– Należy mi się krótki urlop. Ponieważ właśnie nadchodzą święta Bożego Narodzenia, chciałbym prosić kolegę o zastępstwo, jeżeli oczywiście nie ma pan innych planów.

– Żadnych. Zostaję w Warszawie na święta. A pan wyjeżdża? Na długo?

– Na dwa, może na trzy tygodnie. Mam przynajmniej takie zamiary.

– Może do córki, do Ameryki?

– O nie – odpowiedział niechętnie Wilczur – to zbyt daleka droga.

Przypomnienie Marioli sprawiło mu przykrość. Właśnie przed paru dniami otrzymał od niej obszerny list. Wiadomości o śmierci Donata dotarły już do nich, jak również i to, że Wilczur zapłacić musiał olbrzymie odszkodowanie, które go zrujnowało. Wiedziała również Mariola o kampanii prowadzonej w Warszawie przeciw jej ojcu, w liście jednak nie znać było tego współczucia, którego tak mu było brak.

„Zmartwiliśmy się bardzo kłopotami Tatusia – pisała Mariola. – Ale Leszek ma słuszość, gdy mówi, że to może i lepiej, że Tatuś nie będzie się przepracowywał. W wieku Tatusia trzeba już więcej dbać o swoje zdrowie niż o zdrowie innych. Dzięki Bogu, nasza sytuacja materialna pozwala na to, by Tatuś mógł odpoczywać. Leszek, który bawi obecnie za interesami w Philadelphii, telefonował wczoraj do mnie i prosił, bym zapewniła Tatusia, że będzie mu wysyłał co miesiąc tysiąc dolarów, a nawet i więcej, jeżeli Tatusiowi to nie wystarczy”. Poza tym jednym ustępem list zawierał garść informacji o materialnym powodzeniu Leszka i o jakichś nieważnych sukcesach towarzyskich ich obojga.

List ten głęboko zranił Wilczura. Jedyni bliscy mu ludzie uważali, że są wobec niego w porządku, jeżeli zatroszczą się o to, by nie brakło mu pieniędzy. I oni też, jak klika Dobranieckiego, uważali, że powinien wyrzec się swego umiłowanego zawodu, że nie jest już zdolny do pracy, że powinien ustąpić miejsca młodszemu.

Nie rozumieli tego, że dla niego wyrzeczenie się pracy byłoby gorsze od śmierci, że byłoby przyznaniem się przed światem i przed sobą do tego, że ani światu, ani sobie nie jest już potrzebny, że stał się rupieciem, ot, zużytym narzędziem, które się po prostu wyrzuca na śmietnik. I to wtedy gdy bardziej niż kiedykolwiek pragnie pracować, działać, być użytecznym...

Nieprawdę powiedział Dobranieckiemu.

Nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać. Cliciał po prostu na pewien czas odetchnąć w samotno-

ści od widoku ludzi, dać wypoczynek nerwom, odzyskać dawny spokój, skupić myśli i odnaleźć w sobie te siły, które pozwolą mu przetrwać kampanię wrogów.

Zapowiedział też służącemu, by wszystkim zgłaszającym się, wszystkim bez wyjątku mówił, że „profesor wyjechał na kilka tygodni nie wiadomo dokąd”, oraz by nikogo nie wpuszczał.

Stary Józef dokładnie zrozumiał polecenie pana i odprawiał od drzwi zarówno znajomych, jak i pacjentów profesora. Nic nudził go nawet zdawaniem relacji z tego, kto przychodził.

Profesor też nie pytał o to.

Dwa pierwsze dni spędził w łóżku, następnego zabrał się do lektury zaległych czasopism fachowych i paru dzieł naukowych, których jeszcze nie znał. Jego czynna natura zaczęła się jednak prędko buntować. Coraz częściej spo

giądał na zegarek, który teraz przecie do niczego go nie przynaglał. Wkrótce stwierdził, że to odpoczywanie w gruncie rzeczy męczy go bardziej niż praca. Skonstatowawszy to, zabrał się do porządkowania notatek i innych materiałów, które od roku zbierał do zamierzonej rozprawy o chirurgicznym leczeniu sarkomy. Gdy już był z tym gotów, natychmiast przystąpił do pisania, a że każda praca absorbowała go bez reszty, od wczesnego ranka do późnej nocy przesiadywał przy biurku, wstając tylko po to, by w pośpiechu zjeść obiad lub kolację.

185

Skutkiem tego po tygodniu praca była skończona, co bynajmniej nie ucieszyło Wilczura.

Zaczęła go ogarniać nuda. Myśli wciąż krążyły dookoła spraw związanych z lecznicą, a to bynajmniej nie wpływało dodatnio na stan jego nerwów. Wydobył z biblioteki kilkanaście tomów dawno zapomnianych, a niegdyś ulubionych poetów, lecz i to przecież nie mogło mu wypełnić nadmiaru wolnego czasu. Chodził bez celu po pokojach, godzinami stawał przed oknem, wyglądając w pustkę nieruchliwej ulicy.

Zaczął nawet skrupulatnie wypytywać Józefa o to, kto przychodził, kto telefonował i co mówił.

Pewnego dnia, stojąc przy oknie, zobaczył człowieka niosącego choinkę. Zajrzał do kalendarza i przekonał się, że to dzień Wigilii. Od lat od bardzo wielu lat, ta data straciła dlań to znaczenie uczuciowe, jakie miała wówczas, gdy dom ten był domem rodzinnym, gdy do stołu wigilijnego siadał z Beatą, gdy pod choinką piętrzyły się stopy podarków dla małej Marioli... I oto nagle ogarnęło Wilczura wprost bolesne poczucie samotności. Myśl przebiegła szybko przez galerię znajomych, współpracowników, kolegów.

Nie, żaden z nich nie był mu bliski, z żadnym nie łączył go cieplejszy stosunek...

Łucja... Profesor uśmiechnął się do siebie. Tak. To dobry, to genialny pomysł. Zatelefonuje do niej i zaprosi ją na wieczerzę wigilijną. Panna Łucja na pewno nie odmówi...

Ożywiony pomysłem, profesor Wilczur zaczął wertować szybko katalog telefoniczny. Gdy jednak znalazł numer Łucji, zawahał się.

Było przecież nie do pomyślenia, by ta młoda dziewczyna nie ułożyła już sobie jakiegoś planu spędzenia świąt, by nie została zaproszona przez kogoś już dawniej, przez kogoś na pewno ciekawszego, do jakiegoś wesołego, miłego domu, gdzie będzie choinka, gdzie są dzieci, gdzie zanurzy się w atmosferze rodzinnego ciepła, tego ciepła, za którym on właśnie teraz zatęsknił. Najprawdopodobniej zaprosiła ją rodzina Kolskiego, a może ci państwo Zarzeczy, o których tak często wspominała, i

Profesor złożył katalog. Stanowczo nie miał prawa wyzyskiwać jej przychylności – może z litości – i zabierać jej ten piękny wieczór dla zaspokojenia swojej zachcianki.

Pomimo jednak rezygnacji Wilczur nie mógł przestać myśleć o Łucji, o jej dobrym, czułym i wrażliwym stosunku do siebie, o stosunku, w którym tak wyraźnie dźwięczały najlepsze, najszlachetniejsze uczucia. Postanowił w każ

dym razie jednego z najbliższych dni zobaczyć się z nią, a dzisiaj należało w jakiś sposób sprawić jej przyjemność. Po namyśle nacisnął guzik dzwonka i powiedział do wchodzącego Józefa:

– Niech Józef pójdzie do najbliższej kwiaciarni, kupi tam jakieś dwadzieścia róż i każe odesłać pod adresem doktor Łucji Pańskiej. Adres jest w książce telefonicznej.

– Pan profesor napisze kartkę?

– Nie, nie – żywo zaprzeczył Wilczur – żadnej kartki.

– A jakiego koloru mają być róże? Wilczur z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

– No... mogą być, czy ja wiem, jakie tam bywają?

– Czerwone, żółte, białe.

– Białe? To niech będą białe.

– A jeżeli białych nie znajdę? – pedantycznie zapytał służący.

– Oj, oj, niech Józef mnie nie nudzi. Przecież ja nie mogę się na tym znać. Poradzi się Józef tej pani w sklepie.

– Tak jest, panie profesorze.

Wrócił po godzinie i oświadczył, że za radą pani w sklepie wybrał różowe.

– Bo ta pani pytała, dla kogo, więc powiedziałem, że to dla młodej i nader pięknej osoby, ale bez miłosnych zamiarów. Więc ona rzekła, że najstosowniej będzie właśnie różowe, bo...

– Dobrze, dobrze – zachrząknął Wilczur. – Dziękuję Józefowi. Gdy służący wyszedł, Wilczur powiedział do siebie:

186

– Strasznie gadatliwy zrobił się ten Józef.

W gruncie rzeczy Wilczur sam był temu winien, gdyż w ostatnich dniach z nudów wyciągał służącego na rozmówki. I tego dnia, gdy o zmierzchu posłyszał, że Józef kłóci się z kimś

w przedpokoju, zawołał go później, by wypytać, kto to był i czego chciał.

– To jakiś bezczelny obszarpaniec, panie profesorze. Domagał się, bym go wpuścił do pana profesora, i ośmielał się, za przeproszeniem, mówić, że jest pańskim przyjacielem.

– Przyjacielem? – zdziwił się Wilczur. – A nie podał swego nazwiska?

– Owszem, tylko jakieś dziwne nazwisko. Nie wyglądał na Żyda, a nazywa się zupełnie po żydowsku. Jakoś Szekspir. Profesor zaśmiał się.

– A na imię miał William?

– Tak właśnie, panie profesorze. A wódką od niego śmierdziało, za przeproszeniem, na trzy metry, więc widzę, że to człowiek nieodpowiedzialny, może nawet jakiś element. A nachalna bestia. Bo mu mówię, że pana profesora nie ma w Warszawie, to on mi powiada, za przeproszeniem, że jemu wystarczy jakieś, tylko nie pamiętam jakie, ale coś paskudnego, ciało spiralne, czy coś takiego. Dopiero jak mnie nazwał cemberem, nie wytrzymałem i wyrzuciłem go za drzwi. Oczywiście później zaraz ręce umyłem, bo od takiego to i różne bakterie mogą na człowieka przeskoczyć.

W tej samej chwili w zamkniętym pokoju, nie używanym podczas zimy, a wychodzącym na taras, rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Józef podskoczył do drzwi. Nim zdążył je otworzyć, na progu ukazał się Cyprian Jemioł.

– Szekspir! – wrzasnął Józef. – Włamał się! Policja! Ja cię nauczę! Chwycił przybysza za kołnierz, a górując nad nim wzrostem i siłą, trząśł nim, niczym pies królikiem.

Jemioł zawołał bez większego oburzenia:

– Prezydencie, każ swemu Atlasowi, by dał spokój temu trzęsieniu ziemi. Każ mu szybko, bo sam go unieszkodliwię.

Wraz z ostatnim słowem zdzielił Józefa błyskawiczną sójką między zebra. Ugodzony puścił go od razu i klnąc odskoczył o parę kroków.

– Niech Józef mu da spokój – odezwał się profesor Wilczur.

– Może zawołać policję, panie profesorze? – z najwyższym oburzeniem powiedział służący.

Jemioł zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Zawołaj, archaniele, i kaź się okuľbaczyć. Pozwól mu, prezydencie, oddać się w ręce policji. Rzecz nie do odżałowania, że taka fizys jak jego nie znajduje się dotychczas w albumie policyjnym. Album czułby się zachwycony jego dostojną fizys. A teraz odejdz, niegodny Leporello, i zostaw nas samych, albowiem ma się ku wieczorowi.

Profesor dał znak ręką i Józef, który szykował się do ponownego skoczenia w stronę Jemioła, wzruszywszy ramionami, skierował się do drzwi.

– Dawco wszelkich rozkoszy – zawołał pośpiesznie Jemioł. – Rozkaź swemu mamelukowi, darling, by przyniósł jakiś płyn żrący, którym byśmy mogli napełnić nasze trzewia. Jako chirurg powinienes wiedzieć, że mc tak dodatnio nie wpływa na gojenie się ran, jak czterdziestopięcioprocentowy roztwór alkoholu. Doprowadź kurację do końca.

Profesor uśmiechnął się.

– Kiedy cię wypisano z lecznicy?

– Dzisiaj, my beautiful friend. Aujourdhui. Mglistym, grudniowym porankiem wyszedłem w świat chłodny i obcy, i kaź mi dać wody, w imię miłości bliźniego lub jakiegokolwiek inne imię, jakie ci w danej chwili na myśl przyjdzie.

Na pytające spojrzenie służącego profesor odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy. Cyprian Jemioł swobodnie rozsiadł się w fotelu i gdy Józef wyszedł, zaśmiał się krótko.

– O profan, o ciemna masa. Sądził, że zamykając przede mną drzwi uniemożliwia mi zobaczenie ciebie, drogi mistrzu. Kiedyś wprawdzie były takie czasy, że drzwi istotnie stano-

wiły dla mnie jakąś zaporę. Upewniam cię, że to były czasy dawne. Mam zaś dziwne przyzwyczajenie nie wierzyć, że kogoś nie ma w domu, jeżeli go jednocześnie widzę przez okno.

A właśnie idąc tu, ujrzałem w oknie twoje popiersie, darling.

Profesor powiedział:

– Nie przyjmuję nikogo, bo chcę odpocząć. Dlatego służący otrzymał polecenie...

– Satis. Przebaczam ci. Jestem wspaniałomyślny i wyrozumiały. Też czasami szukam odosobnienia, dzieje się to jednak tylko w tych wypadkach, gdy rozporządzając stosunkowo tylko nieznaczną ilością alkoholu narażony być mogę na czyjś łaskawy współdział w konsumpcji. Jak sądzę, ukrywasz się, mój drogi eskulapie, z jakichś innych powodów. Mniejsza o nie. Ja jednak musiałem ci złożyć podziękowanie za to, żeś moje doczesne szczątki pozszywał jakoś i doprowadził do stanu użyteczności publicznej. Właściwie mówiąc, nie wiem, czyś przez to nie obraził wieczności, która czeka na mnie z rozgorączkowaniem. Wyobraź sobie chóry anielskie i nie mniej efektowne chóry szatańskie, przekrzykujące się wzajemnie według wszelkich zasad operowych w sporze o moją wzniosłą duszę. A tu tymczasem jakiś facet, jakiś homo simplex, rozporządzający dziwaczną umiejętnością cerowania ludzkich kiszek, wydziera im tę pożądaną zdobycz.

Wilczur zaśmiał się.

– Nie było to tak trudne.

– W każdym razie uważałem za stosowne złożyć ci, mon cher, wizytę. I składam. Wybacz mi, że mój żakiet ma nieco przykrótkie poły i że nic wyglądam może gentlemanlike, ale powierzchność jest stokrotnie zrekompensowana uroczystym nastrojem wewnętrznym. Patrz w moje oczy, a ujrzysz duszę moją w stroju galowym. Bez przesady muszę ci wyznać, drogi kardynale, że poczułem do ciebie niczym nie uzasadnioną sympatię i pociąg, który zaniepokoiłby mnie samego, gdyby nie pełnia przeświadczenia, że sprawy należące do departamentu

Erosa zlikwidowałem już dawno ku obopólnemu, to Znaczy mojemu i Erosa, zadowoleniu.

Miłość, cher ami, jest wynalazkiem ludzi, którzy nie lubią myśleć, którym myślenie sprawia znaczne trudności. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy w sobie tego nie zauważyłem. Myślę tak łatwo, jak ty na przykład łatwo scyzorykiem wycinasz w ludzkim ciele esyfloresy dla zaspokojenia swego instynku rzeźnickiego.

Wszedł Józef z miną wyniosłą i pogardliwą, niosąc na tacy dwie butelki, koniaku i wódki, oraz kieliszki i kawę. Na jego widok Jemioł zawołał:

– Witaj mi, palladynie, majordomusie i czcigodny fagasie. Cieszę się, żeś dla swego pana przyniósł wódkę, a dla mnie koniak. Dostrzegam w tobie jednak pewne przebłyśki inteligencji. Możesz liczyć na moją łaskę, stróżu domowego ogniska. Gdy cię profesor wyrzuci, zgłoś się do mnie. Kto wie, kto

Służący z niezmaconym spokojem postawił na stoliku tacę i majestatycznie wyszedł. Wilczur powiedział:

– Czy wiesz, przyjacielu, że dzisiaj jest dzień wigilijny? Może razem spędzimy ten wieczór?

Jemioł zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Mam już wprawdzie wcześniejsze zaproszenie do Prezesa Rady Ministrów i do księcia Radziwiłła, ale wolę zostać z tobą. Polubiłem cię, odkąd przekonałem się, że umiesz słuchać. Bo nie sztuka być zwykłym, głupim człowiekiem i chcieć ciągle gadać, by uzewnętrznić swoją pustkę duchową, sztuką jest umieć słuchać i dlatego, carissime, zostanę z tobą, pod warunkiem wszakże, że gościnność twoja nie ograniczy się do tej ilości alkoholu, jaką widzę w tych naczyniach, a twoja małomówność do obecnych granic.

Ściemniło się już bardzo i Wilczur zapalił światło. Z sąsiedniej jadalni dobiegały odgłosy

przygotowań do wieczerzy. Józef ustawiał nakrycia. Profesor zajrzał tam i powiedział:

– Józef nakryje na dwie osoby.

188

Był rad z towarzystwa tego dziwnego człowieka. Jego paplanina działała uśmierniająco.

Pod powierzchnią nieokiełznanego gadulstwa kryły się czasem jakieś głębokie lub nieoczekiwane myśli, jakieś zaskakujące skojarzenia, które odrywały myśl od spraw własnych, skłaniając ją do abstrakcji. Czegóż bardziej Wilczur mógł teraz pragnąć?

Gdy zasiedli przy stole, Jemioł jadł mało, natomiast pił i mówił dużo. Józef z nie ukrywanym obrzydzeniem zmieniał mu talerze i przystawiał na nowo napełnione karafki.

– Podobasz mi się, przyjacielu. – Poklepał służącego po ramieniu. – Możesz liczyć na mnie. Jeżeli cię twój patron pewnego pięknego dnia zdymisjonuje – zgłoś się do mnie. Polecę cię memu stałemu hoffiiferantowi, ze wszech miar czcigodnemu Drożdżykowi. Powiedz mi tylko, czy potrafisz dość sprawnie wyrzucać mniej sympatycznych gości za drzwi?

Na dostojnej twarzy Józefa wystąpił wyraz gwałtownego pożądania. Zrobił pół kroku naprzód, a jego ręce wykonały takie pół gestu, jakby natychmiastowym czynem chciał udowodnić, że niczego tak dobrze nie potrafi, jak właśnie wyrzucać niepożądanych gości za drzwi.

Jemioł jednak na to nic zwrócił uwagi i mówił do Wilczura:

– Czyś się zastanawiał kiedy, signore, nad dziwną tajemniczością mechanizmu socjologicznego, w którym zawsze jest pewne quantum ludzi, co upodobali sobie helotyzm? Predystynowani pariasi. Niewolnicy z przeznaczenia i z własnego musu. Ich posłannictwem – służyć...

– Każdy komuś lub czemuś służy – zauważył Wilczur. Jemioł potrząsnął głową.

– Tournement de tete, amigo. Nikomu nie służę. Ja. Oto masz mnie w całej okazałości przed sobą. Nikomu i niczemu. Wolność. Czy rozumiesz słowo „wolność”? Ja je rozumiem.

łem przed przeszło trzydziestu laty. Kiedyś i ja byłem niewolnikiem, niewolnikiem posiadającym niezliczoną ilość panów. A więc: państwo, a więc naród, a więc religia, a więc uczucia najrozmaitszego gatunku i kalibru, a więc honor, ambicje... Nic do przeliczenia. I nagle pewnego pięknego dnia zobaczyłem, jak straszliwie jestem w tym wszystkim uwikłany. Ogarnęło mnie zdumienie, a później śmiech pusty. I oto pełnym gracji susem wyskoczyłem z tego całego śmietnika, wyzwolony, niezależny, swobodny. Nawet nie obejrzałem się za siebie, by zobaczyć, jakie po sobie zostawiłem gruzy. I nic już dziś nie zdoła zakłócić mojej wolności.

Chba policja – mruknął pod nosem Józef. Jemioł dosłyszał tę uwagę. Podniósł palec do góry i zwracając się do służącego powiedział:

– O ciemna maso! Ssaku wszystkożerny, związany myślą ze swym cielskiem. Ty nigdy nie trafisz do beczki Diogenesa, ty nigdy nie wzniesiesz się na dirigeableu swego ducha ponad własny kadłub. Odi profanum vulgus!... Oczywiście często i chętnie siaduję w więzieniu, ale duch mój nic nie traci ze swej wolności. Spiritus flat ubi vult. Nawet wtedy, gdy brak spirytusu. Nalej mi jeszcze i oddal się, gdyż twoja doczesność przesłania mi perspektywę wieczności.

Wilczur skinął głową.

– Może już Józef iść.

Józef skwapliwie skorzystał z tego pozwolenia, zanim jednak poszedł do kuchni, starannie pozamykał wszystkie pokoje, szafy i szuflady. Ten Szekspir nie wzbudzał w nim najmniejszego zaufania. Józef skłonny był nawet przypuszczać, że byłoby wskazane natychmiastowe zadzwonienie do komisariatu, i długo nie mógł zasnąć zastanawiając się nad tym, czy nie popełnił błędu, zostawiając profesora sam na sam z tym obrzydliwym człowiekiem.

– Tak, cesarzu – mówił tymczasem Jemioł, chwiejąc przed nosem kieliszek opróżniony

przed chwilą. – Tak, cesarzu. I znowu cię widzę w nie najlepszej formie. Wtedy, o ile mnie

moja genialna pamięć nie myli, jakaś kobieta rozpruła ci serce... Posłuchaj mnie: oddaj diabłu, co jego, wszystkie kobiety, wszystkie, od najstarszej wiedźmy z Łysej Góry, aż do najmłodszej pensjonarki. To jego departament. Niech je wszystkie cholera weźmie! Co mogą inteligentnego człowieka obchodzić stworzenia po obu końcach uwięzione w ciasnocie? W ciasnocie mózgu i pantofli. A w środku brzuch i te tam części rodne. Jakąż satysfakcję może

189

dać człowiekowi przykładanie swoich ust, powtarzam, do umalowanego otworu gębowego istot o kurzym mózdzku, o instynktach zwierzęcych, wyzutych z sumienia! Nie, władco, to nie jest zajęcie dla przyzwoitego człowieka. Zły wybrałeś sobie temat do tragedii.

Profesor Wilczur uśmiechnął się blado.

– Mylisz się. Nie mam żadnej tragedii. Nie przeżywam żadnej tragedii. Jemioł przymknął lewe oko, a drugie, nabiegłe krwią, wlepił bacznie w twarz Wilczura.

– A jednak dręczy cię jakieś strapienie, darling. Jestem złym tenisistą nieszczególnie boksuję się, śpiewam podobno nie najpiękniej, a jeszcze gorzej gram na organach, ale psychologiem jestem wprost świetnym. Nie namawiam cię do zwierzeń. Nie lubię spowiedzi. Jedną z najnudniejszych rzeczy na świecie jest wysłuchiwanie cudzych grzechów. Ale tym razem zrobię ci łaski. Znaj pana. Bo trzeba ci i to jeszcze wiedzieć, hrabio, że jestem jedynym CZŁOWIEKIEM na świecie, przed którym możesz się bezpiecznie wywnęrrzyć bez obawy, że cię spotka ironia, współczucie, Schadenfreude, litość czy jakieś podobne paszkodztwa. Będę obojętny jak mur. Jestem bodaj do tego wynnkziony, chociaż Żydzi już przed paru tysiącami lat wynaleźli swoją ścianę

płaczu. Przysiadaj tedy, rabbi, u mego podnóża i płacz. Nad kim chcesz płakać, amigo?

Dzieci, wdowy, sieroty, niepowodzenia w interesach, krach giełdowy czy w ogóle mirowaja skorb?... Wilczur potrząsnął głową.

– Ludzie... Ludzie... Żli ludzie. Jemioł wybuchnął śmiechem.

– Krzysztofie Kolumbie! O Newtonie! O Koperniku! Odkrywco nowych prawd! Cóż za rewelacja, co za spostrzegawczość! Szanowny radca zauważył, że ludzie są źli? A jacyż mają być? Chciałbyś ich, maestro, zmienić w chóry anielskie? Wymagałoby to trochę wysiłku. Należałoby ich wysterylizować z tego wszystkiego, co jest treścią życia. Jesteś chirurgiem, przeprowadź więc trzy amputacje: amputację kieszeni, amputację żołądków, no i tak dalej. Wówczas staną się jako barankowie. Żli ludzie... Nie ma innych. To albo tłuste bydlęta, warujące nad swoją zdobyczą i przeżuwające własne sadło, albo wściekłe psy, skaczące do gardła. Nie ma innych.

Jemioł wstał i waląc pięścią w stół powtarzał w nagłym wybuchu furii:

– Nie ma, nie ma, nie ma!...

– Nie podzielam twego pesymizmu, przyjacielu – spokojnie powiedział Wilczur. – Sam znam innych...

– Na Marsie? Na księżycu?... Na jakiej planecie? – wrzasnął Jemioł.

– Na naszej. Na ziemi.

– Ach, tak? – zaśmiał się szyderczo Jemioł i nagle się uspokoiwszy, zapytał układnym tonem:

– Czy może mi szanowny pan podać adres? Wilczur wsparł podbródek na rękę.

– Dużo takich adresów musiałbym ci podać, przyjacielu. Dużo jest ludzi dobrych.

– W takim razie, ach, jakże świetnie się ukrywają... No, twoje zdrowie, święty Franciszku. Twoje zdrowie.

Jemioł wychylił duszkiem swój kieliszek, odłupał palcem kawałek łososia z półmiska, przełknął i machnął ręką:

– Reverendissime, adres znam tylko jeden: twój. Drugiego podać ci nie mogę, bo nie po-

siadam stałego miejsca zamieszkania. Kieruj zainteresowanych: Etablissement Drożdżyk.

Poste restante.

– To nieprawda – powiedział Wilczur. – Jest ich wielu. Tylko widzisz, trudno ich dostrzec.

Są mniej aktywni od złych. Nie zwracają na siebie uwagi. Zajęci swoją spokojną pracą zadowolają się zwykłym kawałkiem chleba, a tamci walczą o byt per fas et nefas.

– Ach – przerwał Jemioł. – Taki robisz podział, my dear, zgoda. Ale weź w takim razie pod uwagę, że ci aktywni po prostu żywią się tamtymi. Tamci, którzy nie walczą o byt, po prostu spełniają rolę paszy. Rośnie trawka, rośnie, a gdy wyrośnie na chwałę Bożą, przyjdzie

190

jakiś sukinsyn, zeżre ją, ot i po trawce. Cha, cha. Czyś się zastanawiał kiedy, co to jest miasto? Miasto to wynalazek szatana, a wieś to trawka. Miasta pożerają

wieś. Im więcej żrą, tym są chciwsze. L'appetit vient en mangeant. Pęcznieją te potwory, dławią się w gorączce pożerania, pławią się we własnych ekskrementach, bo przecież wszystkiego przetrwać nie mogą... Miasta... Nalał sobie znowu kieliszek i mówił:

– Nienawidzę miast, ale pociąga mnie potwornością swoich ohydnych procesów trawienia.

Tkwię w jego kiszka. I jeżeli nie duszę się, to tylko dlatego, że sam jestem jego produktem.

Oto dzieło!

Wstał, upozował się po napoleońsku. Jego zmierzwione włosy, błyszczące od potu, nie ogolona i brudna twarz, oczy szkliste i pijackie, łachmany jego ubrania, wszystko to składało się na wstrętą i groźną całość.

– Oto chefdoeuvre – zapał teatralnym tonem. – Oto arcydzieło miasta, oto kwiat naszej cywilizacji, oto kwintessencja postępu!...

Wilczur wzdrygnął się. Istotnie w słowach swego dziwnego gościa odczuł jakąś prawdę, istotnie tragikomiczna postać Jemioła kojarzyła się w jakiś sposób z tym, co mówił.

Profesor wstał i zbliżył się do okna.

– Miasto – myślał – miasto chciwych zwierząt... Ulica była pusta. Skądś z daleka dolatywały jakieś miarowe dźwięki. Minęła dłuższa chwila, zanim je rozpoznał: dzwony. Dzwoniono na pasterkę.

Rozdział V

Wróciwszy od znajomych z willi Łucja zastała w swoim pokoju dużą wiązaną róż. Przepadała za kwiatami, te jednak były dla niej przykrą niespodzianką. Oczywiście nie wątpiła, że przysłał je Kolski, chociaż przy kwiatkach nie było kartki.

– Po co on to robi, po co on to robi – pomyślała z przykrością.

W takim anonimowym przysłaniu kwiatów było coś studenckiego i coś mieszczańskiego zarazem. Przecież tyle razy dawała mu do zrozumienia, że z jej strony nie może liczyć na nic więcej poza sympatią i przyjaźnią. Lubiła go szczerze, szanowała jego prawość i charakter, ale był przecież dla niej tylko kolegą i tylko kolegą mógł pozostać.

Ileć raz zdarzało się tak, że zostawali sam na sam i właśnie oboje nie mieli pilnej roboty.

Kolski zawsze próbował skierować rozmowy na tory ściśle osobiste. Kosztowało ją to wiele trudu i dyplomacji, by nie dopuścić do tego. Nie chciała mu przecież sprawiać przykrości. On jednak zdawał się nie rozumieć motywów, jakimi się kierowała, lub nie czuć w jej postępowaniu tego, że na jej uczucia liczyć nie może, gdyż wciąż i uparcie powracał do swego tematu.

Właściwie nic nie miała mu do zarzucenia. Może tylko to, że całkowicie był pochłonięty swoją karierą, że wciąż pracował, uczył się i studiował, że starał się coraz lepiej zarabiać i wprost pojąć nie umiał jej postępowania.

Przecież nie dawniej jak przed paru dniami omal się z tego powodu nie pokłócili.

– Nie rozumiem pani stosunku do swojej przyszłości – powiedział. – Traci pani czas na

praktykę, która nie tylko nie przynosi pani ani grosza dochodu, ale i nie posuwa pani o krok naprzód w doświadczeniu czy wiedzy lekarskiej.

– Bo pan jest egoistą – odpowiedziała mu obojętnym tonem. Oburzył się szczerze:

– Wcale nie jestem egoistą, tylko uważam, że na to, by rozdawać, trzeba przede wszystkim mieć. Otóż gdy będę naprawdę lekarzem w całym znaczeniu tego słowa, gdy będę miał dobrą praktykę, pozwalającą mi i mojej przyszłej rodzinie na dostatni byt, zapewniam panią, panno Łucjo, że tak samo jak pani dzisiaj zaopiekuję się jakimiś ochronkami czy domami starców.

Profesor Wilczur, którego pani stawia tak wysoko, zapewniam panią, a zresztą wiem to ponad

191

wszelką wątpliwość, że na początku swojej kariery też nie miał szafu filantropii, tylko pracował nad sobą i dla siebie.

Łucja wzruszyła ramionami.

– Tu nie chodzi o filantropię. Jakże dalece pan mnie nie rozumie. Ja nie przez filantropię opiekuję się biedakami.

– No więc wszystko jedno. Możemy to nazwać, jeżeli pani z tym dogodnie, poczuciem obowiązku społecznego.

– Ależ nie, panie Janie. Nie może być mowy o obowiązku tam, gdzie jest przyjemność. Ja to robię dla siebie. Sprawia mi radość fakt, że mogę się na coś przydać, że jestem naprawdę potrzebna tym ludziom, których me stać na lekarza, na lepszego lekarza.

– Zgoda. Akceptuję z jednym zastrzeżeniem: najpierw trzeba się stać owym lepszym lekarzem, więcej czasu poświęcić studiom w klinice, a nie jakimś tam standardowym chorobom, które pani niczego me nauczą.

Spojrzała mu prostu w oczy.

– Niech pan mi powie, czy tacy właśnie gorsi lekarze, jak ja, nie będą tej biedocie zawsze

potrzebni? Zirytował się.

– Zapewne, ale dlaczego ma tym zajmować się pani, grzęznąc w tym kosztem swoich zdolności i możliwości na przyszłość!

– O, widzi pan: egoizm. Moich zdolności, moich możliwości. Ale nie liczy się pan z tym, że może właśnie nie szukam żadnych innych możliwości, że może właśnie największą znajduję przyjemność w takim, a nie w innym zużytkowaniu moich zdolności. Jakiż pan jest zabawny w swoim zaślepieniu. Wydaje się panu, że wszyscy ludzie muszą mieć te same upodobania i te same pragnienia, co pan.

– Nie te same, tylko rozsądne, rozsądne! Chciała mu odpowiedzieć, że rozsądek w jego interpretacji redukuje się do kwestii buchalteryjnych, ale pohamowała się.

W każdym razie rozmowa ta nieco oziębła ich stosunki i otrzymane

obecnie różę Łucja mogła uważać za formę jakby przeprosin. Domysł ten zirytował ją trochę. Z kilku względów. Po pierwsze, znała daleko posuniętą oszczędność Kolskiego, który ze swoich niedużych zresztą wpływów musiał wydać pokaźną sumkę na te kwiaty, oczywiście nie bez namysłu i nie bez tego, że wydatku tego długo nie zapomni.

Po wtóre, miała wrodzoną niechęć do przyjmowania czegokolwiek od ludzi, którym nie mogła lub nie chciała się zrewanżować. Wreszcie zdawała sobie sprawę, iż anonimowość przesyłki była szczególniejszym poświęceniem ze strony Kolskiego. Wierzyła, że należy on do tego typu ludzi, którzy może nie gonią specjalnie za rozgłosem, zawsze jednak dążą do podkreślenia swojej obecności w różnych sprawach, we wszystkich sprawach, w których biorą udział..

Te przywary Kolskiego nie wywoływały w Łucji oburzenia, raczej patrzyła na nie pobłażliwie. Pomimo to postanowiła zrobić mu wymówkę za przysłanie kwiatów i wyraźnie podkreślić, że nie życzy sobie podobnych dowodów pamięci.

Sposobność ku temu znalazła zaraz po świętach. Już w późnych godzinach wieczornych pracując w laboratorium lecznicy przy badaniu mikroskopowym krwi jednego z pacjentów, usłyszała za sobą kroki Kolskiego. Korzystając z tego, że może wygłosić swoje uwagi nie patrząc w oczy Kolskiemu, odezwała się z pełnią pewności siebie:

– Dobrze, że pan przyszedł. Właśnie chciałam z panem pomówić. Po co pan robi takie rzeczy? Proszę mi wierzyć, że nie mogę panu nawet podziękować, bo nie sprawiło mi to żadnej przyjemności.

Kolski zdziwił się szczerze:

– Nie wiem, o czym pani mówi, panno Łucjo.

– Niech pan nie udaje. Mówię o kwiatach. Robi pan bezsensowne wydatki, jakieś prezenty, które nie licują ani z panem, ani ze mną.

192

– Nic nie wiem o żadnych kwiatach – powiedział stanowczo. Przyszło jej na myśl, że sam ocenia teraz należycie bezsensowność swego pomysłu i wyzyska anonimowość przesyłki, by nie przyznać się do niej.

– Nie sądziłam, że ma pan tak mało odwagi cywilnej – powiedziała chłodno.

Kolski milczał przez dłuższą chwilę.

– Panno Łucjo – zaczął – na pewno zaszło tu jakieś nieporozumienie. Ktoś chciał zrobić pani czy mnie, czy nam obojgu kawał i podszył się pod moje nazwisko. Odwagi cywilnej nie brakowało mi nigdy, a zresztą dlaczegóżbym miał się wstydzić tego, że pani posyłam kwiaty? I zrobiłbym to na pewno – dodał po chwili wahania – gdybym nie wiedział, że u pani podobne objawy... przyjaznych uczuć nie znalazłyby aprobaty.

Łucja odwróciła głowę i spojrzała nań zdziwiona: nie ulegało wątpliwości, że mówił prawdę.

– Więc te róże to nie od pana?... Przysłano je anonimowo... Wobec tego przypuszczałam...

Bardzo pana przepraszam.

Sytuacja obojga była bardzo nieprzyjemna. Łucja czuła się tak, jakby usiłowała w tego człowieka wmówić, że ją adoruje w większym stopniu niż w rzeczywistości. Kolski był w rozpacz, że popełnił karygodny błąd i na święta nie ofiarował Łucji drobnego upominku gwiazdkowego. Mogło wyglądać na to, że wcale o niej nie pamiętał. A może Łucja umyślnie stworzyła

owe róże dla podkreślenia tej jego nieuwagi?...

Stał przy stole laboratoryjnym, patrząc z zażenowaniem na jej lekko pochyloną postać w białym lekarskim kitlu, na jasne włosy, na mocniej niż zwykle zarumieniony policzek, na bardzo białe ręce, za szerokie może i za muskularne, manipulujące przy mikroskopie.

– Bardzo pana przepraszam – powtórzyła.

– O, nie ma za co – odezwał się niezręcznie.

– Jest za co, bo posądziłam pana o robienie głupstw – odpowiedziała rzeczowo.

– To wcale nie było głupstwo – zaproponował. – Właściwie to ja panią muszę przepraszać, że nie pamiętałem o gwiazdce dla pani.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Nie widzę żadnej racji, by właśnie pan miał pamiętać o gwiazdce właśnie dla mnie. Najmniejszej.

Zawahał się.

– Racja jest w tym, że należy pamiętać o tych osobach, które uważamy za najbliższe sobie...

Domyślając się, do czego Kolski zmierza, Łucja przerwała mu śmiechem:

– Właśnie. Czy nie za długo jesteśmy blisko. Zdaje się, że pan już powinien być na swoim oddziale. Już za kwadrans jedenasta. Kolski jednak nie dał się zbić z tropu.

– Dlaczego pani nie chce mnie wysłuchać, panno Łucjo? Dlaczego za każdym razem, kiedy pragnę pani powiedzieć to, co czuję, co czuję już od dawna, czym żyję, co wypełnia moje myśli... Dlaczego pani...

Nie podnosząc głowy znad mikroskopu powiedziała prędko:

– Dlatego, że to jest niepotrzebne i bezcelowe.

– Przecież pani wie, pani nie może nie wiedzieć, że panią kocham – zawołał porywczo.

– Wiem, że się panu to wydaje. – Szybko wyjmowała szkiełka z mikroskopu. Zrobiła kilka notatek na formularzu i wstała.

On zagroził jej drogę.

– Panno Łucjo, nie odejdzie pani, póki mnie pani nie wysłucha. Dlaczego?... Co pani ma mi do zarzucenia?

– Nic panu nie mam do zarzucenia.

193

– Więc dlaczego?... Dlaczego pani z taką pogardą, z taką bojaźnią, czy ja wiem, sam tego nie umiem określić, odtrąca moje uczucie?

Potrząsnęła głową.

– Nie odtrącam. Po prostu nie mogę go przyjąć, bo nie jestem w stanie odplacić się panu tym samym.

– Czyż żądam od pani tego? Czyż żądam od pani czegokolwiek? Chcę tylko, by pani mi pozwoliła mówić sobie o mojej miłości. Chcę tylko mieć nadzieję, że kiedyś zasłużę sobie na to, że i w pani sercu odezwie się, już niech tam, nie miłość, lecz bodaj odrobina sympatii, życzliwości, łaskowości...

Spojrzała mu wprost w oczy.

– Panie Janku. Chcę, by pan mnie zrozumiał. Żywię dla pana dużo sympatii i dużo życzliwości, ale wiem, mam sprawdzian, że to jest bardzo mało w porównaniu z tym, co mogę, co musiałabym żywić dla człowieka, z którym pragnęłabym się połączyć. Nie jestem dzieckiem, mam JUŻ 26 lat. Powinien pan wiedzieć, że umiem na życie, na ludzi i na siebie patrzeć trzeźwo. Uważam pana za najmilszego z moich kolegów i jeżeli, jak pan to słusznie zauważył, tak długo starałam się nie dopuścić do tej rozmowy, to jedynie z tej przyczyny, że wcale nie chcę stracić pańskiej przyjaźni, którą bardzo cenię. Skoro pan jednak zmusił mnie do tego, obowiązkiem moim jest zapewnić pana, że nie kocham go, że nie kocham i że nigdy nie pokocham.

Kolski stał blady, z jakimś beznadziejnym uśmiechem na wargach. Żal ścisnął serce Łucji.

– Naprawdę przykro mi, panie Janku – wzięła go za rękę – ale sam pan przyzna, że lepiej postępuję, mówiąc to wszystko panu szczerze, niż gdybym zwodziła pana jakimiś obietnicami, których nie mogę i nigdy nie będę mogła dotrzymać.

– Więc nie zostawi mi pani nawet cienia nadziei? – zapytał cicho.

– Nawet cienia, panie Janku. I niech pan o to nie żywi do mnie żalu. Zebrała ze stołu formularze i skierowała się ku wyjściu. Gdy już była przy drzwiach, zawołał:

– Panno Łucjo, jeszcze jedno pytanie. Zatrzymała się.

– Pani... pani kocha innego?

– Czy to jest takie ważne? – zapytała po pauzie.

– Bardzo ważne – powiedział z naciskiem.

– Tak, kocham innego.

– Jeszcze jedno. Kocha pani... Wilczura?

Nic nie odpowiedziała. Kolski zbliżył się do niej.

– Ależ to szaleństwo, panno Łucjo... Przecież to człowiek stary... człowiek sterany życiem... Czego pani może się spodziewać po nim?... Pani sama wie, ile mam dla niego czci i uwielbienia... Nie mówiłbym pani tego wszystkiego, gdybym nie zdawał sobie sprawy z potwornej niedorzeczności samego zestawienia: on i pani. On, który kończy życie, i pani, która je zaledwie zaczyna. On, w którym już niejedno uczucie na pewno zrodziło się i umarło, i pani, która ich wcale nie zaznała. Przecież to szaleństwo. Szanuję go i wiele mu zawdzięczam, ale panią kocham i moim obowiązkiem jest powiedzieć to wszystko pani. Panno Łucjo, niechże się pani sama zastanowi, co on może pani dać! Co on może dać pani!...

Na twarzy Łucji zjawił się uśmiech.

– Dać?... Dać?... Jakże bardzo pan mnie nie zna... najwięcej mi da, wszystko mi da, gdy zechce przyjąć. Przyjąć to, co ja mu dać mogę.

Patrzyła na Kolskiego, lecz on czuł, że go jakby nie widzi. W jej wzroku był smutek i uśmiech jednocześnie.

Stała tak chwilę, potem z wolna odwróciła Się i wyszła. Kolski przez kilka minut nie ruszył się z miejsca. Jeszcze przed chwilą buntowało się w nim wszystko przeciw klęsce, teraz jednak ogarnęła go apatia. Stanął oto przed czymś, czego rzeczywiście nie mógł zrozumieć, nie umiałby osądzić kategoriami zwykłego rozsądku, miarami, które przyzwyczał się stosować

194

do rzeczy ludzkich, miarami opartymi na prawach, którym wierzył. I nagle uświadomił sobie, że zupełnie Łucji nie znał, że nie ma pojęcia o jej psychice, o psychice w ogóle kobiet. Pomimo ukończonej trzydziestki miał aż nazbyt skąpe zapasy doświadczeń z tej dziedziny.

Pochodząc z niezamożnej rodziny, od wczesnego dzieciństwa zdany na własny los, rozwinął w sobie instynkt przetrwania i zrozumienia dla tych praw, które rządzą walką o byt. A ponieważ niczemu nie umiał oddawać się połowicznie, wgrzył się w rzeczywistość, rzeczywisto-

ścią zaś dlań była praca i ustawicznie czynny bodziec: naprzód, więcej, lepiej!

Pod takim znakiem układało się też jego życie. Na osobiste przyjemności, na rozrywki udawało mu się uszczknąć z rzadka zaledwie kilka godzin, znajomości zaś z kobietami zaliczał właśnie do rozrywek. Do czasu poznania Łucji.

Na oddziale wszystko było w porządku. Noc zapowiadała się spokojnie. Mógł śmiało położyć się w dyżurce, by się przespać, do snu jednak nie miał najmniejszej ochoty. Stopniowo porządkował myśli, a z nich zaczął się coraz wyraźniej wyłaniać projekt: skoro Łucja jest tak dalece nierozsądna, należy zrobić wszystko, by utrudnić jej, by jej uniemożliwić popełnienie takich błędów, które mogłyby zaważyć na całej jej przyszłości.

Naturalnie wszelkie perswazje nie mogą odnieść żadnego skutku. Co do tego nie miał złudzeń. Pozostawało tedy tylko odsunięcie jej w jakiś skuteczny sposób od Wilczura. Ale w jaki?... Na to długo nie mógł znaleźć odpowiedzi. Gdyby był z profesorem w tak bliskich i zażyłych stosunkach, by móc sobie pozwolić na otwartą i szczerą z nim rozmowę, miałby pewne szansę przeprowadzenia swego planu. Kolski nie wątpił, że temu rozumnemu człowiekowi trafiłby łatwo do przekonania. Niestety, sama sprawa była zbyt intymna, zbyt osobista, by móc ją poruszyć, a w dodatku narażałaby Kolskiego na to, że Łucja, dowiedziawszy się o jego niewczesnej interwencji, w ogóle zerwałaby z nim wszelkie stosunki.

Nie, to było do niczego.

Zostawała otwarta inna kwestia. Wszyscy w lecznicy zdawali sobie sprawę z tego, że wkrótce, za rok, może za pół roku, profesor Wilczur pod presją opinii będzie musiał zrezygnować i z lecznicy ustąpić. Dotychczas Kolski myślał o tej ewentualności ze smutkiem, teraz jednak wydało mu się to możliwością nader pożądaną. Ze względu na Łucję. Co do niej był przekonany, że uda mu się, pomimo zatargu, w jakim znajdowała się z profesorem Dobranieckim, utrzymać jej pozycję w lecznicy. Wiedział, że Dobraniecki z nim się liczy, że li-

czy się z jego popularnością u kolegów i że w pierwszym okresie swej władzy nie odważy się na zbyt radykalne zmiany, że będzie unikał zatargów i że raczej postara się zjednać sobie personel. A później jakoś się rzeczy ułożą. Ostatecznie Łucja jako lekarz ma duże zalety: pracowitość, obowiązkowość, intuicję. Z czasem Dobraniecki pogodzi się z nią...

Rozmyślenia te doprowadziły Kolskiego do wniosku, że w interesie własnym, a przede wszystkim w interesie Łucji nie należy działać w kierunku zatrzymania Wilczura jak najdłużej na stanowisku. Przeciwnie, wskazane jest raczej współdziałać z tą grupą, która pracuje nad przyspieszeniem jego dymisji. Z ciężkim sercem powziął doktor Kolski tę decyzję, ale nie mógł powziąć innej.

I Łucja do późna nie mogła usnąć tej nocy. Wzburzyła ją i rozstroiła rozmowa z Kolskim, do której tak brutalnie i tak niepotrzebnie doprowadził. Żywiła doń wiele żalu za ten brak subtelności. Istotnie obawiała się przy tym, że ich stosunki teraz już nie będą mogły wrócić ani do dawnej swobody, ani do tej koleżeńskości, którą tak sobie ceniła. Swym mezgrabiastwem nic nie zyskał, a popsuł wszystko. Idąc do domu, robiła sobie wyrzuty, że potraktowała go zbyt łagodnie. Należało powiedzieć dobitniej, czym są takie wyznania i jak ocenia jego niewczesną natarczywość.

Zajęta tymi myślami, dopiero w swoim pokoju, ujrzawszy róże w wazonie, zastanowiła się: – Skoro nie pochodzą od niego, któż je przysłał?...

195

Nie miała wielu znajomych, wśród nich zaś bodaj nikogo, kto byłby upoważniony do czegoś podobnego. Wiedziała, że się podoba kilku kolegom i może młodemu Zarzeckiemu, lecz oni z całą pewnością wiedzieli również, że niczego od niej oczekiwać nie mogą.

Więc kto?...

I nagle krew uderzyła jej do głowy. Szalony, niedorzeczny, zuchwały pomysł! A jednak

coś jej mówiło, coś zapewniało, coś utwierdzało w najgłębszym przeświadczeniu, że to on, że to profesor Wilczur przysłał te kwiaty.

Serce uderzyło mocniej i szybciej. Wpatrywała się długo w różowy bukiet, jakby czekając odeń potwierdzenia swego domysłu. I wreszcie jakby to potwierdzenie otrzymała, rozjaśniła się w uśmiechu.

Nie, nie. Intuicja jej zawieść w tym wypadku nie mogła. Jakżeby chętnie z całej siły przytuliła te kwiaty do piersi...

Pochyliła się nad nimi. Nozdrza napełniły się lekkim już i ledwie wyczuwalnym zapachem. Chłodne płatki dotykały łagodnie rozpalonych policzków i wiele z nich gęstym deszczem opadło na stolik.

Więc jednak! Więc jednak pamiętał o me), więc jednak myślał o mej. Pamiętał właśnie w dniu wigilijnym.

I była tak łatwowierna! Uwierzyła mu, gdy powiedział, że wyjeżdża!... Oczywiście jest w Warszawie. Spędził tu całe święta. Samotnie. Zupełnie samotnie...

Gorączkowo spojrzała na zegarek. Było już po dwunastej. Pomimo to postanowiła zadzwonić. Wiedziała, że profesor nigdy wcześniej spać się nie kładzie, że w każdym bądź razie dowie się czegoś od Józefa.

Z nerwowym pośpiechem nakręcała tarczę aparatu. W słuchawce przez długi czas odzywało się miarowe buczenie, zanim wreszcie rozległ się jakiś ochrypły i nieznajomy głos:

– Duszo pokutująca, czego potrzebujesz?

– Czy to... czy to mieszkanie pana profesora Wilczura? – niepewnie zapytała Łucja.

– Istotnie. Zgadłaś, dziewczeczko. To jest właśnie jego doczesne mieszkanie. Und mein Liebchen, was wilist du noch mehr?

– A czy mogłabym prosić pana profesora? – po chwili wahania odezwała się Łucja, zasko-

czona.

– Zależy o co, turkaweczko. Jeżeli o złoty zegarek i o kostkę cukru, sądzę, że tak. Jeżeli o wycięcie robaczka wyrostkowego – nie radziłbym. Jeżeli o partię golfa – nie może być o tym mowy. Jeżeli o rękę, rzecz spóźniona o lat co najmniej trzydzieści. Jeżeli o kieliszek alkoholu, nic z tego nie będzie, bo ja postawię swoje veto. Więc chociaż pismo święte powiada „proście, a będzie wam dane”, zauważ, białogłowe, że bynajmniej nie jest powiedziane, że dane ci będzie to, o co prosisz. Prosisz na przykład o piernik z migdałami, a dostaniesz żółtej febry z komplikacjami. Prosisz o natchnienie, a przynoszą ci jajecznicę z czterech jaj na słońcu. Bolte a surprises. Ciuciubabeczka z przeznaczeniem. Surpriseparty z Opatrznością. Więc o co ci chodzi, mia bella?

– Chciałabym prosić pana profesora do telefonu – powiedziała przerażona Łucja.

– Niewykonalne – apodyktycznie orzekł chrypliwy głos. – Niewykonalne z trzech przyczyn. Primo, profesora nie ma w Warszawie. Secundo, nie dalej, jak przed kilku godzinami, zdołałem go przekonać i przyznał mi słuszność, że na rozmowy z kobietami szkoda czasu. I tertio, gdyby nawet był teraz w Warszawie i gdyby chciał stracić na rozmowę z tobą kwadransik, to i tak tego by zrobić nie mógł, gdyż leży tu pod którymś ze stołów, nie zdradzając najmniejszej ochoty do odzyskania przytomności. Ja gonię tu resztkami sił. Addio, signora, goodbye. Yale et me ama!

To rzekłszy położył słuchawkę.

196

Rozdział VI

Sekretarz prezesa Tuchwica zameldował mu:

– Pan profesor Wilczur powrócił dziś z urlopu i gotów jest pana przyjąć, choćby natychmiast. Pytał, czy panu prezesowi coś dolega. Odpowiedziałem, że nie wiem.

Tuchwic skinął głową.

– Dobrze. Dziękuję panu. Niech pan każe szoferowi zajeżdzać.

W dziesięć minut później był już w lecznicy. Natychmiast wprowadzono go do gabinetu profesora Wilczura, który wstał na jego powitanie.

– Czy przyjmuję pana jako gościa czy jako pacjenta, czy jako szefa? – zapytał z uśmiechem.

Prezes serdecznie i długo ścisnął jego rękę.

– Dzięki Bogu, na zdrowie nie narzekam. Chciałbym z panem profesorem pomówić trochę o interesach.

– Służę panu – skinął głową Wilczur wskazując jednocześnie gościowi fotel.

Tuchwic usadowił się wygodnie i ładując fajkę powiedział:

– Za krótko pan odpoczywał, drogi profesorze. Wygląda pan, że poczęstuję pana żydowskim komplementem, nieszczególnie.

Istotnie urlop nie przyczynił się do poprawy stanu zdrowia Wilczura, i było to po nim znać.

– Moim żywiołem jest praca – powiedział poważnie. – Nic tak nie nuży jak bezczynność.

– Wiem coś o tym – przyznał Tuchwic. – Wchodzi to w krew i kości. Staje się nałogiem, niebezpiecznym nałogiem. Wiem coś o tym. Jesteśmy, zdaje się, z panem w jednym wieku, a wciąż nie mam ochoty porzucić pracy, chociaż domyślam się, że i u mnie, tak jak u pana, profesorze, młodszy i ambitni chcieliby zepchnąć zwierzchnika, by zająć jego miejsce.

Profesor Wilczur zmarszczył brwi. Właściwie mówiąc, od początku był przygotowany na ten właśnie temat rozmowy.

– Przewidywałem – powiedział – że tutejsze intrygi przeciw mnie dotrą do pana w formie plotek czy zręcznie podsuniętych sugestii. Prezes potrząsnął głową.

– Nie, profesorze. Dotarły w sposób bardziej bezpośredni. Po prostu otrzymałem memoriał podpisany przez kilku lekarzy z naszej lecznicy, memoriał, o którym właśnie chciałem z panem szczerze i otwarcie pomówić. Niech pan oceni to, profesorze, że przyjechałem tu bez żadnego konkretnego zamiaru. Po prostu pragnę przedstawić tę sprawę panu i panu zostawić głos rozstrzygający. Mam do pańskiej uczciwości i do samokrytycyzmu absolutne zaufanie.

– Jestem za to wdzięczny panu prezesowi. – Wilczur skinął głową.

– Nie chcę na pańską decyzję wywierać najmniejszego nacisku. Najmniejszego – ciągnął Tuchwic. – Po prostu nie znam się na tym. Otrzymałem jednostronne naświetlenie sprawy. Dodam jeszcze, że mam wrażenie, o którym już wspomniałem przed chwilą, że pańscy przeciwnicy mniej się kierują pobudkami obiektywnymi, a bardziej swoją ambicją. Pomimo to uważam, że akcja wszczęta przeciw panu, drogi profesorze, przez podwładny panu personel lekarski nie może pozostać bez wpływu na dobre funkcjonowanie instytucji. Stosunki te wymagają uzdrowienia. Mówiąc krótko: albo uzna pan własne ustąpienie za wskazane, albo będzie pan musiał usunąć tych, którzy okazali panu dezaprobatę. Obecny stan nie może trwać dłużej.

Wilczur odpowiedział ponuro:

– Zgadzam się z panem prezesem w zupełności. Chciałbym teraz usłyszeć zarzuty, jakie mi postawiono. Prezes sięgnął do teczki.

– Mam tu przy sobie odpis .memoriału. Nie wziąłem ze sobą oryginału, gdyż są na nim podpisy. Oczywiście rozumie mnie pan, że obowiązuje mnie pewna dyskrecja.

– Bez wątplenia – przyznał Wilczur.

197

– Naturalnie w wypadku, jeżeli pan poweźmie decyzję numer dwa, wręczone panu oryginał, by mógł pan udzielić dymisji jego autorom. Na razie służę panu kopią.

Podał Wilczurowi kilka kartek maszynopisu. Profesor zagłębił się w czytaniu. Tak jak przewidywał, w memoriale nie znalazł żadnych nowych ani żadnych istotnych zarzutów.

Wszystko tu obracało się dookoła podejrzeń, że amnezja zostawiła w jego psychice trwałe ślady, że znachorstwo wypaczyło jego metody lekarskie, że szwankuje organizacja lecznicy wskutek zaniedbań, ślamazarnego administrowania i forytowania niektórych osób z personelu. Przytoczono szereg głosów prasy na potwierdzenie tego, że lecznica traci swoją nieskazitelną renomę, swoją od lat utrwaloną opinię najlepszego zakładu leczniczego w stolicy.

Wilczur złożył kartki i z ironicznym uśmiechem zwrócił je Tuchwiciowi.

– Jakież jest o tym pańskie zdanie? – poważnie zapytał Tuchwic. Profesor Wilczur wziął do ręki ołówek.

– Odpowiem kolejno na wszystkie zarzuty. A więc jeżeli chodzi o amnezję, żaden ze specjalistów nie wspomina ani słowem, by zdarzyło mu się kiedykolwiek dostrzec u któregoś z swych pacjentów jej nawroty. Żaden. Domyśla się pewno pan prezes, że sam musiałem bardzo interesować się tą kwestią i że po odzyskaniu świadomości przestudiowałem wszystko, co kiedykolwiek było na ten temat napisane.

– To zrozumiałe – potwierdził Tuchwic.

– Pierwszy więc zarzut odpada. Drugi, dotyczący mego znachorstwa, jest wręcz śmieszny.

Nie przypuszczam, by któryś z autorów tego memoriału rozporządzał większą wiedzą lekarską niż ja. A nie przypuszczam dlatego chociażby, że większość zatrudnionego tu personelu właśnie ode mnie tę wiedzę czerpała. Czerpała i czerpie. Otóż rzeczywiście podczas mojej praktyki znachorskiej poznałem kilka środków leczniczych, nie znanych w oficjalnej medycynie lub przez nią zarzuconych. Środki te w praktyce okazały się dobre i skuteczne. Dlaczegoż nie mam ich stosować? Medycyna nie pretenduje do nieomyślności. Ci panowie, którzy podpisali memoriał, widocznie uważają się za nieomyślnych. Pozostają jeszcze dwa zarzuty.

Pierwszy dotyczy złej organizacji lecznicy, wskutek czego traci ona swoją dobrą opinię. Panie prezesie! Tę lecznicę założyłem ja, ja ją zorganizowałem przed wielu laty i sądzę, że właśnie mam prawo twierdzić, iż jej dotychczasowa dobra opinia jest moim dziełem.

– Niewątpliwie – powiedział prezes.

– To prawda – ciągnął Wilczur – że w ostatnich czasach opinia ta zaczęła się psuć. Rozważmy obiektywnie, dlaczego. Otóż nie z żadnych innych powodów jak tylko dlatego, że ludzie, którzy postanowili mnie usunąć, starają się ją zepsuć. To jest zwykła agitacja. Nie będę wymieniał nazwisk. Nie będę wymieniał faktów. Upewniam jednak pana, że wiem kto i w jaki sposób działa na szkodę lecznicy. Nie wyciągnąłem dotychczas z tego żadnych konsekwencji. Miałem dużo wiary w ludzi. Sądziłem, że się opamiętają, że się zreflektują, że odezwie się w nich sumienie. Wreszcie i w to, że społeczeństwo dostrzeże owe grube nici, którymi jest szyta cała ta nieszlachetna robota. Zawiodłem się. Wreszcie zarzut ostatni. Powiadają, że jestem stary i przemęczony, że rozluźnienie porządku w lecznicy jest skutkiem wyczerpania się mojej energii i zdolności kierowniczych. Panie prezesie, przyznaję, że moja energia została w ostatnich czasach bardzo nadwątłona, że moje nerwy znajdują się w stanie pozostawiającym wiele do życzenia, że moje zdrowie zostało zachwiane. To wszystko prawda. Ale właśnie ten mój stan ma przyczynę, ma wyłączną przyczynę w tej brutalnej akcji oszczerstw i podkopów, którą prowadzą moi wrogowie. Rozumiem, że pana, jako przedstawiciela towarzystwa, do którego należy lecznica, mato może obchodzić, dlaczego umniejszyły się wartości kierownika instytucji. Dla pana jest ważny rezultat, fakt obiektywny: umniejszyły się. Otóż dlatego właśnie nie mogę teraz korzystać z pańskiej uprzejmości i powziąć decyzji, którą pan mi chciał zostawić. I proszę pana o nieobarczanie mnie rozstrzygnięciem tej kwestii.

– A jednak pozwoli pan profesor, że będę obstawał przy swoim. Powtarzam, że mam absolutne zaufanie do pańskiego obiektywizmu, i wiem, że decyzja pańska będzie jedynie słuszna.

Wilczur się zamyślił. Po dłuższej chwili odpowiedział:

– Więc dobrze, panie prezesie. Proszę mi jednak zostawić kilka dni czasu. Zastanowię się nad tym, a ponieważ zarzuty przeciwko mnie zostały sformułowane na piśmie, i ja pisemnie chcę na nie odpowiedzieć. Proszę mi wierzyć, że w tej chwili jeszcze nie mam żadnego postanowienia. Muszę całą tę rzecz przemyśleć, muszę gruntownie zbadać sytuację, muszę sprawdzić, czy po usunięciu malkontentów dysponowałbym dostatecznym aparatem dla prowadzenia lecznicy. Nie wspomniał mi pan prezes, ilu z moich podwładnych podpisało ten memoriał, lecz znając ich wszystkich względnie dobrze, mogę pana zapewnić, że znajduje się wśród nich na pewno większość takich, którzy z równą namiętnością staną w mojej obronie, jak tamci stanęli przeciw mnie.

Prezes wstał.

– I ja jestem o tym przekonany. Zostawiam panu ten odpis memoriału i będę oczekiwał pańskiej odpowiedzi. Jeszcze raz najgoręcej zapewniam pana, drogi profesorze, o moim szacunku i największej przyjaźni.

Po wyjściu Tuchwica Wilczur długo się namyślał. Czerwona lampka nad drzwiami jego gabinetu nie gasła i co chwila różne osoby, które chciały się z nim widzieć, na próżno zaglądały do poczekalni.

Na dwóch kartkach papieru Wilczur wypisywał nazwiska tych lekarzy, którzy opowiedzą się po tej czy tamtej stronie. Na początku pierwszej figurował profesor Dobraniecki, na początku drugiej doktor Kolski. Hipotetyczny ten spis wykazał, że Wilczur mógł liczyć na lojalność większości personelu. Postanowił natychmiast zabrać się do rzeczy i po kolei z każ-

dym odbyć konferencję. Pierwszego wezwał doktora Kolskiego.

Przywitał go bez słowa, wskazał miejsce i podając mu memoriał powiedział:

– Kilku kolegów złożyło taką właśnie motywację żądania, bym ustąpił z kierownictwa lecznicy. Może pan będzie łaskaw to przeczytać.

Kolski zarumienił się z lekka i pogрузzył się w czytaniu. Gdy skończył, podniósł oczy na profesora.

– Teraz mam do pana prośbę – odezwał się Wilczur. – Chodzi o pańską szczerłość, o bezwzględną Szczerłość. Niech pan wypowie swoje zdanie o tym elaboracie.

– Czy... czy – zająknął się Kolski – czy to jest konieczne, panie, profesorze?

Wilczur skinął głową:

– Dla mnie tak, i jeszcze raz proszę pana o bezwzględną szczerłość. Kolski był widocznie zdetonowany i zaczął niepewnie:

– No... ma się rozumieć... już sam fakt złożenia takiego memoriału, moim zdaniem, jest swego rodzaju nieprzyzwoitością... Przypuszczam, że nawet związek lekarzy mógłby wyciągnąć z tego jakieś konsekwencje... Czy ja wiem, dyscyplinarne. To nie po koleżeńsku. W każdym bądź razie uważam, że powinni byli uprzedzić o swoim kroku pana profesora. Jeżeli tego nie zrobili, nic ich nie tłumaczy. Wyciągnąć wewnętrzne sprawy lecznicy... to doprawdy nieprzyzwoitość.

Przełknął ślinę i umilkł.

– A co pan sądzi o treści memoriału? – zapytał Wilczur.

– Z treścią również nie można się pogodzić – odzyskując stopniowo panowanie nad sobą powiedział Kolski. – Zarzuty tu wysuwane przeciw panu profesorowi są niewątpliwie przejaskrawione...

– Przejaskrawione – półgłosem powtórzył Wilczur.

– Tak, panie profesorze. Przejaskrawione. Niektóre wręcz nie mają podstaw. Można by nawet w nich dopatrywać się złej woli autorów. Na przykład te nawroty amnezji albo skłon-
199

ność pana profesora do używania środków leczniczych na ogół obecnie nie stosowanych. To są całkiem niepoważne pretensje.

Wilczur, który spodziewał się u swego asystenta wybuchu oburzenia, ze zdumieniem słuchał jego spokojnego, rzeczowego, a nawet jakby chłodnego rezonowania.

– Nadto – ciągnął Kolski – memoriał jest zredagowany z wyraźną nieżyczliwością dla pana profesora. Gdybym ja był adresatem, już to wzbudziłoby we mnie nieufność i podważyło wiarę w dobre intencje autorów, nasunęłoby mi myśl, że dla osobistych korzyści, nie zaś dla dobra lecznicy wyzyskują istotne strony sytuacji.

Profesor Wilczur z lekka podniósł brwi i nie patrząc na Kolskiego zapytał:

– A jakie są te istotne strony sytuacji? Kolski zawahał się przez chwilę.

– Ponieważ pan profesor taki nacisk położył na to, bym szczerze wypowiedział swoje zdanie...

– Tylko o to mi chodzi – podkreślił Wilczur.

– Tedy będę szczery. Wie pan, profesorze, ile żywię dla pana czci, pietyzmu, wdzięczności. Jednak obiektywnie rzecz biorąc, nie można tym panom odmówić racji, gdy twierdzą, że stanowczo pan profesor jest przemęczony i że konsekwencje tego przemęczenia w bardzo niekorzystny sposób odbijają się na lecznicy. Pan profesor ostatnio rzadko i sporadycznie wgląda w to, co tu się dzieje. A tu źle się dzieje. Wśród personelu panuje podniecenie, nie ustają intrygi, plotki, wygryzania się wzajemne. Słowem, rozprężenie. Do kierowania tak dużą instytucją, sam pan to przyzna, trzeba mocnej i pewnej ręki, silnych nerwów, no i niemal

ustawicznej obecności na stanowisku. Ja wiem, że tym, co mówię, sprawiam panu profesorowi przykrość, ale skoro zostałem zapytany, wolę sprawę postawić otwarcie.

Skończył i zapanowało długie milczenie. Wreszcie profesor Wilczur wstał. Chciał uśmiechnąć się, podając Kolskiemu rękę. Nie mógł jednak wymusić na sobie tego uśmiechu.

– Dziękuję panu, kolego – powiedział.

Kolski bez słowa wyszedł z gabinetu. Gdy się za nim drzwi zamknęły,

Wilczur bezwładnie opadł na fotel.

Oto zniecka, ze strony najmniej spodziewanej ugodził go cios tym boleśniejszy, że zadany ręką, od której spodziewał się największej pomocy.

Czyżby więc naprawdę tak dalece zatracił samokrytycyzm?... Czyżby nie umiał w sobie dostrzec tego upadku, który tak jasno widzą w nim już nie tylko wrogowie, lecz i przyjaciele?

Czyżby naprawdę stał się już człowiekiem nieudolnym, szkodliwym ramolem, zawadą dla innych?... On, który tak wiele w sobie czuje wciąż siły, wiary, głodu pracy?...

Spojrzał ponuro na biurko, gdzie leżały dwa arkusiki papieru, dwie listy. Powoli wziął je w rękę, zmiął i wyrzucił do kosza. Po cóż miał się zwracać do innych? Wszyscy oni, jeżeli się zdobędą tylko na taką szczerłość jak Kolski, niewątpliwie powtórzą mu to samo. Po to wzywać ich, by doznać jeszcze kilku upokorzeń, by wysłuchiwać tych strasznych, miażdżących słów – wierzył w to – niesprawiedliwych, lecz wypowiedzianych z przekonaniem o ich słuszności...

Walka była przegrana. Zrozumiał to i potrafił postąpić tak, jak nakazuje mu sumienie.

Spokojnie też wyjął arkusz papieru i skreślił na nim:

„Szanowny Panie Prezesie! Po namyśle i zbadaniu sytuacji w lecznicy

doszedłem do przekonania, że jedynym słusznym rozwiązaniem kwestii będzie moje ustąpienie. Ponieważ po tej decyzji zbyt trudno byłoby mi pozostać tu dłużej bodaj przez kilka dni, pozwalam sobie zdać kierownictwo profesorowi Jerzemu Dobranieckiemu, dotychczasowemu memu zastępcy, który doskonale jest obeznany ze sprawami instytucji. Łączę wyrazy szacunku i poważania – Rafał Wilczur”.

200

Złożył arkusz na czworo, umieścił w kopercie, zaadresował ją do prezesa Tuchwica i nacisnął guzik dzwonka.

– Proszę to zaraz wyekspediować – powiedział woźnemu – i proszę zameldować panu profesorowi Dobranieckiemu, że chcę z nim mówić.

Niedługo czekał na Dobranieckiego. Zdążył jednak opanować się o tyle, że przywitał go zupełnie swobodnie:

– Proszę, niech pan siada. Chciałem z panem pomówić, jeżeli pan dysponuje czasem.

Dobraniecki spojrział na zegarek.

– Mam całe dwadzieścia minut do operacji.

– O, tyle panu nie zabiorę.

– O cóż chodzi? – zapytał Dobraniecki.

– Niedawno był tu u mnie prezes Tuchwic. Prezes Tuchwic powiedział mi, że niektórzy z lekarzy naszej lecznicy podpisali się na memoriale, żądającym mego ustąpienia. Nie podał mi żadnych nazwisk. Czytałem ten memoriał i mam powody przypuszczać, że to pan jest jego autorem. Autorem oraz inicjatorem.

Dobraniecki z lekka przygryzł wargi, lecz podniósł głowę i spojrział w oczy Wilczurowi.

– Tak. Nie mam zamiaru tego się zapierać.

– I nie ma pan powodu – podchwycił Wilczur.

– I nie mam powodu – potwierdził Dobraniecki. – Nie należę do ludzi, którzy czegokolwiek się boją i którzy oportunistycznie wolą pogodzić się z tym, co uważają za złe, zamiast wszelkimi środkami temu przeciwdziałać.

Wilczur uśmiechnął się.

– Bardzo pan to trafnie określił: wszelkimi środkami. Nie zaniedbał pan żadnego. Ale nie o tym chciałem z panem mówić. Otóż Tuchwic postawił przede mną alternatywę, zostawiając mi *plein pouvoir* co do wyboru:

albo zatrzymać kierownictwo lecznicy i usunąć z niej tych, którzy działają przez okłamywanie opinii publicznej na jej niekorzyść, albo samemu ustąpić.

Umilkł, oczekując pytania Dobranieckiego. Ten jednak tylko przybladł z lekka, lecz nie odezwał się ani słowem. Wilczur zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Tuchwic decyzję zostawił mnie. Już ją powziąłem. Przed chwilą wysłałem doń list z moją rezygnacją.

Na policzkach Dobranieckiego wystąpiły czerwone plamy.

– Komunikuję zaś to panu dlatego, że w tymże liście oświadczyłem, iż kierownictwo zakładu przekazuję w pańskie ręce. Otóż chciałem spytać pana, czy zrobi mi pan tę małą przysługę, by je przyjąć?

Dobraniecki poruszył wargami, lecz nic mu powiedział.

– Ułatwiłoby mi to ogromnie sytuację – mówił Wilczur spokojnym tonem. – Przekazując zarząd komuś innemu, musiałbym wiele czasu stracić na objaśnienia i podobne rzeczy, podczas gdy pan, zastępując mnie niejednokrotnie, świetnie jest obeznany z wszystkim. Przecież dopiero dzisiaj powróciłem z urlopu i mniej wiem o bieżących sprawach niż pan. Więc zgadza się pan?

– Zgadzam się – krótko odpowiedział Dobraniecki.

Wilczur wstał.

– Zatem sprawa załatwiona i żegnam pana. Dobraniecki wstał również i powiedział:

– Żegnam pana profesora.

Wyciągnął do Wilczura rękę, lecz ten potrząsnął głową.

– Nie, proszę pana. Ręki panu podać nie mogę.

Dobraniecki przez moment stał jak skamieniały, potem nagle odwrócił się

i szybko wyszedł z pokoju.

201

Profesor Wilczur dość wiele jeszcze miał tu roboty. Po szafach, w gabinecie, w biurku, w różnych szufladach miał sporo książek stanowiących jego prywatną własność, notatek, szkiców wykładów itp. Należało to wszystko posegregować, ułożyć i kazać zapakować. Gdy ukończył tę robotę, na dworze

zapadł już zmrok.

Ubrał się i przechodząc przez poczekalnię, zobaczył Łucję. Czekala tu na niego.

– Dobry wieczór, panno Łucjo – ucieszył się. – Myślałem, że pani dziś

•le ma w lecznicy. Dlaczego pani nie zajrzała do mnie?

– Ależ byłam tu, panie profesorze, mało kilkadziesiąt razy i wciąż nad pańskimi drzwiami paliła się czerwona lampka.

– A tak, tak. Byłem bardzo zajęty.

– Pan dziś skończył swój urlop?

– Dzisiaj – potwierdził Wilczur.

– Jaki pan niedobry, profesorze! Podczas świąt był pan przecież w Warszawie, a ja o tym

nic nie wiedziałam. Zaśmiała się do niej.

– A skądże się pani dowiedziała?

– Miałam aż dwa dowody pańskiej obecności. Wilczur zaciekał się.

– Aż dwa?

– Tak. Telefonowałam do pana profesora.

– Nic mi Józef o tym nie mówił.

– Bo to wcale nie Józef odebrał telefon, tylko jakiś dziwny człowiek. Zdawało mi się, że...

że... Przepraszam bardzo, ale zdawało mi się, że umysłowo

chory.

– Umysłowo chory?

– No tak. Gadał takie głupstwa i był zdaje się zupełnie pijany.

Profesor zaśmiała się i machnąła ręką.

– Ach, oczywiście. To Jemioł. Zna go pani. Były nasz pacjent. Przemiły człowiek.

– Przemiły? – zdziwiła się Łucja. – Zdaje się, że to był taki rzezimieszek na bezpłatnym oddziale.

– Ten właśnie – potwierdził Wilczur. – To jest jakiś zdeklasowany inteligent. Niepodobna żeń wydobyć, kim był kiedyś. Dziś rzeczywiście jest rzezimieszkiem. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Poznałem go kiedyś przed laty i wówczas nazywał się, o ile mnie pamięć nie myli, Obiadowski czy Obiedziński, dziś nosi nazwisko Jemioł, za rok prawdopodobnie zmieni je na jakieś wygodniejsze. Tak, to dziwny człowiek. Oczywiście, że jest rzezimieszkiem...

– I pijakiem – dodała Łucja. – Wstydziłabym się panu profesorowi powtórzyć to, co on mi nagadał... Czy rzeczywiście pan profesor z nim pił?

– Piłem trochę... trochę za wiele – uśmiechnął się Wilczur. – Ale co to, pani w futrze? Pani wychodzi?

– Tak. Czekałam tylko na pana profesora, bo mi woźny powiedział, że pan niedługo wyjdzie.

– To doskonale. Chodźmy więc.

Na dworze panował lekki przymrozek. Płuca oddychały z przyjemnością orzeźwiającym powietrzem. Przeszli na drugą stronę ulicy. Profesor Wilczur stanął tu i zaczął się przyglądać gmachowi lecznicy. Prawie wszystkie okna jaśniały łagodnym, białym światłem. Wysoka, wyniosła fasada gmachu miała w sobie coś dostojnego, spokojnego i niezmiennego.

Profesor stał nieruchomo. Mijały minuty. Zdziwiona jego niezwykłym zachowaniem się.

Łucja spojrzała na jego twarz i zobaczyła dwie łzy spływające po policzkach.

– Profesorze! – zawołała szeptem. – Co panu jest? Odwrócił do niej głowę i uśmiechnął się.

– Wzruszyłem się trochę. Wiele tu zostawiłem serca... wiele...

202

– Zostawił pan?

– Tak, panno Łucjo. Zostawiłem. Nigdy już tu nie wrócę. To pożegnanie.

– Co pan mówi, profesorze!

– Tak, panno Łucjo. Dzisiaj byłem tu ostatni raz. Podałem się do dymisji, przekazałem zarząd panu profesorowi Dobranieckiemu... Stary już jestem, panno Łucjo.

Łucja nic nie mogła odpowiedzieć, zacisnęło się jej gardło, trzęsła się cała jak w febrze.

Wilczur zauważył to i łagodnym ruchem wziął ją pod rękę.

– Chodźmy już. Ostatecznie nic tak ważnego się nie stało. Zwykły to porządek rzeczy, że starzy ustępują miejsca młodszym. Było tak od początku świata. Niech się pani tak tym nie przejmuje, panno Łucjo...

– To straszne... to straszne... – powtarzała drżącymi wargami.

– Nic strasznego. Wszyscy tak mnie zapewniali o tym, że powinienem

odpocząć, no i uwierzyłem im wreszcie. Dajmy spokój i nie mówmy już o tym. Jakże pani spędziła święta? Potrząsnęła głową.

– Och, profesorze, doprawdy nie mogę zebrać myśli. Spadło to na mnie jak piorun z jasnego nieba. Zaśmiał się krótko.

– No, niezupełnie jasnego. Już od dawna ta chmura wisiała nad moją głową i rozlegały się w niej nie tyle grzmoty, ile jakieś syki i gwizdania. Bardzo dziwna chmura. Pociesza mnie tylko to, że jedyny piorun, jaki z niej padł, padł z mojej woli... No więc, niech mi pani powie, jak pani spędziła święta.

– Po cóż pan profesor pyta? – odezwała się po chwili. – Przecież wie pan, że dla mnie nie mogły to być wesołe święta.

– Dlaczegoż nie? Jest pani młoda, zdolna, życie przed panią stoi otworem. Zaczyna je pani dopiero. Jakież zmartwienia pani miała?

Za całą odpowiedź przycisnęła łokciem jego rękę do siebie. Umilkł i szli tak czas dłuższy w milczeniu.

– Jedną tylko chwilę podczas całych świąt miałam szczęśliwą, bardzo szczęśliwą. To wtedy, kiedy odgadłam, że te róże pan mi przysłał. Profesor chrząknął zaskoczony.

– Ja wiem, że to pan – mówiła. – Chociaż był pan tak niedobry, że nie napisał nawet ani jednego słowa i że nie dał mi znać o tym, że jest w Warszawie. Ale to i tak nie zasłużona przeze mnie dobroć z pańskiej strony, że pan o mnie pamiętał, że pan o mnie pomyślał.

– Pomyślałem, stary egoista, pomyślałem o pani w dniu wigilijnym i przyznam się pani, że przyszedł mi nawet do głowy nedorzeczny koncept, by panią zaprosić na wieczerzę wigilijną.

Łucja przystanęła i spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu wyczytał tyle ciepła i radości, że aż ścisnęło mu się serce. By pokryć wzruszenie, zaczął

mowie:

– Siedziałem w tej samotności swojej jak borsuk w jamie, więc coś dziwnego, że najkarkołomniejsze pomysły przychodziły człowiekowi do głowy. I jeszcze akurat w dzień wigilijny. No, ale chodźmy, nie stójmy tu, bo tarasujemy ruch na ulicy. Dzień wigilijny, choinka, siano pod obrusem. Wspomnienia. Wszystko to wytrąca trochę człowieka z równowagi.

– I dlaczego, dlaczego pan mnie nie wezwał? – powiedziała ze szczerym wyrzutem w głosie.

– Zreflektowałem się w porę. Wprawdzie ja chciałbym mieć pani towarzystwo tego wieczora, ale pani na pewno znalazłaby miłsze i weselsze i bardziej odpowiadające pani wiekowi...

– Nie, nie, nie mówi pan tego szczerze – przerwała mu. – Przecież pan wie, że najbardziej pragnęłabym spędzić z panem nie tylko ten wieczór, ale wszystkie wieczory, wszystkie wieczory do końca mego życia.

Głos mu drgnął, gdy ją ofuknął:

– Niech pani nie opowiada głupstw!

203

– Do końca życia – powtórzyła. Zaśmiała się z przymusem.

– No, jeżeli o mnie chodzi, to niewiele by pani nawet ryzykowała, bo pewno niewiele już tych wieczorów do końca mego życia mi zostało. Ale niech pani o podobnych rzeczach nie mówi. Przecież to śmieszne, mógłby nas jeszcze ktoś podsłuchać i ubawić się szczerze. Mam córkę prawie w pani wieku i mógłbym być pani ojcem. Ba, i jak jeszcze.

– To przecież nie ma żadnego znaczenia – zaprotestowała żywo.

– Ma, i to duże.

– Dla mnie ma znaczenie tylko to jedno, że pana kocham, że pana uwielbiam, że wprost nie wyobrażam sobie, jak mogłabym żyć z dala od pana... Teraz Wilczur zatrzymał się.

– Panno Łucjo – powiedział poważnie, patrząc w jej rozjarzone oczy. – Pani jest jeszcze bardzo niedoświadczona. Niechże pani mi uwierzy, że uczucie pani w całym swoim pięknie i świeżości jest wynikiem li tylko nieporozumienia. Lubi mnie pani, wydają się pani godny podziwu, przyjaźni, wreszcie współczucia z powodu tych przeżyć, które mnie ostatnio spotkały. Ale to nie jest miłość. Za miesiąc czy za rok przeminie to, bo musi przeminąć, i wtedy przekona się pani, że w tej chwili, że dzisiaj nierozważnie zbliża się pani do przepaści. Na szczęście nad brzegiem tej przepaści jest bariera, która panią zatrzyma, bariera ta to moje doświadczenie i moja znajomość życia. Drogie dziecko, kiedyś będzie mi pani za to wdzięczna. Kiedyś przypomni pani moje słowa.

Łucja uśmiechnęła się smutno.

– Panie profesorze. Nie spodziewałam się wcale innej odpowiedzi. Wiem, że nie jestem pana warta. Pod żadnym względem. I wiedziałam, że tak mi pan odpowie. Tak, bo jakże inaczej można odpowiedzieć kobiecie, na której miłość nie znajduje się w sobie oddźwięku.

– Myli się pani, panno Łucjo. – Wilczur ściągnął brwi. – To, co pani mi powiedziała, to, co pani czuje, jest dla mnie wielkim, wielkim i cennym darem. Człowiek, który tak mało w życiu doznał cieplejszych uczuć, umie je cenić wysoko. Nie znaczy to jednak, panno Łucjo, że potrafi również odpowiedzieć na nie takimiż uczuciami. Życie robi swoje, lata robią swoje. Wysycha serce, dusza traci swoje soki ożywcze, staje się cierpka i łukowata, wysycha na pergamin. Trzeba to rozumieć, panno ŁUCJO.

– Nie wierzę – potrząsnęła głową. – Od trzech lat obcuję z panem, przyglądam się panu, widzę co dzień objawy wrażliwego pańskiego serca, wielkości i żywotności pańskiej duszy. Pańskie serce jest świeże jak serce dziecka. Przecież pan kocha ludzi?

Profesor w zamyśleniu ruszył naprzód.

– Tak, droga pani, ale to już jest coś innego. To nie jest osobiste, to nie przejmuję do dna,

to nie targa wszystkimi nerwami, nie stanowi treści dni i nocy. Jakby tu pani powiedzieć?

Między sercem kochającym człowieka;

młodego a moim jest taka różnica, jak między płonącym ogniskiem a cichym kościołem...

Widzi pani, to są te dwie miłości, dwie miłości różne... Znowu szli w milczeniu. Mijali ich nieliczni przechodnie.

– I nie kochał pan nigdy? – zapytała Łucja. Wilczur podniósł głowę, jakby wpatrując się w jakiś punkt między gwiazdami, i powiedział wreszcie:

– Kochałem kiedyś... Na imię jej było Beata.

Zdawał się zapominać o obecności Łucji i mówił jak do siebie:

– Była młoda i piękna, i nigdy mnie nie kochała. Była moją żoną. Dawno już temu, przed wielu laty... Była moją żoną... Nie żoną, skarbem, królową, dzieckiem. Już sam dziś nie wiem

– była treścią i celem mego życia. Każda myśl moja była myślą o niej, każdy mój uczynek –

uczynkiem dla niej. Kochałem. O, ja wiem, co to znaczy kochać. Pamiętam siebie z owych lat, pamiętam też, że nie umiałem, nie potrafiłem zdobyć jej serca. Byłem widocznie zbyt

gruboskórny, obsypywałem ją pieśzcotliwymi słowami, drżałem na myśl, że jakaś najdrobniejsza jej zachcianka nie będzie spełniona... Ale ona nie miała drobnych zachcianek. Pragnęła tylko jednego: chciała pokochać. A ja nie umiałem stać się tym, kogo by pokochać mo-

204

gła. Zawsze, codziennie widziałem w jej oczach tę jakby obawę przede mną, tę bezgraniczną odległość, jaka dzieliła jej myśli, jej świat od mego. Była najprzykładniejszą żoną, zdarzały

się nawet takie chwile, kiedy zaczynałem wierzyć w to, że się zbliżymy do siebie. Złudzenia jednak rozwiewały się szybko. I znowu stawałem bezradny wobec tej milczącej, niezrozu-

miałej dla mnie istoty, zapewne tak niezrozumiałej dla mnie, jak ja byłem dla niej. Zachowywała się w stosunku do mnie tak jak małe dziecko, które znalazło się w klatce słonia. Wpraw-

dzie ma doń zaufanie, lecz boi się każdego swego ruchu, każdego swego słowa, bo nie wie, jak na nie zareaguje to wielkie, ciężkie zwierzę. Umilkł, a po dłuższej chwili Łucja zapytała:

– Nie żyje?

Profesor skinął głową i nagle się ożywił.

– Chodźmy. Niech pani wstąpi do mnie, pokażę pani jej fotografię.

I tak jakby nie spodziewał się najmniejszego protestu ze strony Łucji, zawrócił od razu w stronę domu. Łucja szła obok niego, cała rozdygotana wewnątrz. Wyznania własne, a teraz wyznania profesora wznieciły w niej zamęt myśli i uczuć. Ach, czemuż nie żyła wcześniej, czemuż nie poznała go przed tamtą, przed tamtą głupią i niegodną, która nie umiała ocenić swego szczęścia.

Łucja wiedziała o tym, że Wilczur kiedyś był żonaty i że od wielu lat jest już wdowcem. Poznała nawet przelotnie przed trzema laty jego córkę, panią Czyńską, do której uczuła prawdziwą sympatię. Po mieście krążyło tak wiele sprzecznych historyjek o romantycznej przeszłości rodziny Wilczurów, że trudno było prawdę odróżnić od rzeczy zmyślonych. Łucja zresztą nie miała tej ciekawości, która skłania inne kobiety do grzebania się w cudzych sprawach. Woląca nawet, jeżeli chodziło o Wilczura, by nadal dla niej pozostał ową tajemniczą postacią, na wpół legendarną, na wpół rzeczywistą. Pragnęła go poznawać dzień po dniu, tak jak poznaje się karta po karcie historię tragicznych przeżyć uwielbianego bohatera, dzieje jego życia, labirynty jego duszy.

Łucja była już kilkakrotnie w willi profesora z okazji różnych spraw zawodowych. Przyjmował ją jednak zawsze w salonie. Tym razem po raz pierwszy wprowadził ją do gabinetu. Zapalił światło i nic nie mówiąc, wskazał wielki portret nad kominkiem.

Z szerokich, srebrnych ram spoglądała na Łucję wielkimi, jakby lekko zdziwionymi oczy-

ma piękną kobietą, o jasnych włosach i dziewczęcym owalu twarzy. Wokół niedużych ust układał się jakby smutek, piękna, wysmukła

ręka o długich, rasowych palcach leżała bezwładnie wśród fałd ciemnego jedwabiu sukni.

Zazdrość ścisnęła serce Łucji. Ta pani z portretu wydała się jej stokroć od niej piękniejsza, nieosiągalnie wytworna i subtelna.

– Na imię jej było Beata... – usłyszała za sobą cichy głos Wilczura. – Pewnego dnia wróciłem i zastałem dom... pusty. Odeszła, porzuciła mnie, porzuciła dla innego, dla miłości.

Łucja poczuła, że serce jej podchodzi aż pod krtań. Nagłym odruchem odwróciła się, chwyciła rękę Wilczura i gorączkowo, nieprzytomnie, wśród łkania, zaczęła ją całować, jakby tymi pocałunkami chciała mu nagrodzić ową krzywdę, ową zbrodniczą krzywdę, wyrządzoną przez tamtą...

– Co pani!... Co pani robi! Panno Łucjo! – zawołał z oburzeniem Wilczur, nagle ocknąwszy się z zamyślenia. – Niechże pani da spokój, to do niczego niepodobne.

Usadowił ją trzęsącą się od płaczu w fotelu, rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu kafejki z wodą. Na stoliku przy kominku stał koniak. Nalał kieliszek i podał Łucji, mówiąc stanowczym i łagodnym tonem, tym tonem, którym zwykle skłaniał pacjentów swoich do posłuszeństwa:

– Niech to pani zaraz wypije.

Posłusznie spełniła jego rozkaz i z wolna się uspokajała, podczas gdy on mówił:

205

– Trzeba panować nad swoimi nerwami, droga pani. Trzymać się w ryzach. Cóż to z pani za lekarz, jeżeli panią cudze cierpienia tak wyprowadzają z równowagi, że w starym, poczciwym profesorze widzi pani nagle kardynała, którego trzeba obcałowywać po rękach? A może pani chciała przez to uczić mój sędziwy wiek?... Odebrać mi resztę złudzeń? No i jak pani

teraz wygląda? Proszę zaraz powycierać sobie te nieprzystojne łzy.

Podał jej swoją wielką chustkę, a Łucja wycierając oczy powtarzała:

– Nienawidzę jej... Nienawidzę... Uspokajała się z wolna.

– No, może jeszcze jeden kieliszek? – zapytał Wilczur. Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dziękuję i bardzo pana przepraszam za ten wybuch hysterii. Zachowuję się rzeczywiście okropnie.

– Przez kurtuazję nie śmiem przeczyć – umyślnie gderliwym tonem powiedział Wilczur. –

Nie śmiem przeczyć. Zachowuje się pani jak pensjonarka z blednicą na podłożu skrofulicznym.

Chciał ją rozśmieszyć, lecz słowa jego nie dotarły do świadomości Łucji.

– Czy pan... czy pan ją wciąż kocha? – zapytała i przygryzła wargi, by się znów nie rozpłakać.

Brwi Wilczura ściągnęły się.

– Droga pani, tyle już lat minęło, tyle wody upłynęło, tyle razy wiosną grób jej porastał nową trawą... Czas robi swoje... Zostało mi po niej wspomnienie, bolesne i dojmujące wspomnienie. Ot, blizna. Przebaczyłem. To wszystko.

Zamyślił się, a po chwili dodał:

– Widzi pani, i stąd może pani czerpać naukę, co robi czas. Wszystko mija. To, co kiedyś mogło się nam wydawać wszechświatem, w lat kilka później widzimy jako mały pyłek i pojąć nie umiemy, dlaczego wówczas ulegaliśmy złudzeniu.

– O, nie – zaprzeczyła Łucja – przecież pan i dziś wie, że ta kobieta była dla pana wszechświatem. Prawdziwa miłość, choćby nawet wygasła, pozostaje czymś wielkim.

Wilczur machnął ręką.

– To u takich samotników jak ja. Kto wie, jakbym myślał dziś o Beacie, gdyby wkrótce po jej odejściu stanęła na mojej drodze jakaś inna kobieta... jakieś serce czułe, jakieś uczucie głębokie...

Uśmiechnął się i dodał:

– Ale na mojej drodze nie spotkałem serc czułych. Moją drogą nie chodzą kobiety.

Łucja uśmiechnęła się.

– Chodzą, ale pan ich nie dostrzega. Gdy zaś są tak natarczywe, że narzucają się same, zbywa je pan kazaniami o różnicy wieku.

– To nie kazanie – powiedział łagodnie. – To perswazja. I nie tylko o wiek chodzi, nie tylko o wiek, panno Łucjo. Trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę, że właściwie jestem człowiekiem skończonym...

– Co też pan mówi – zaprotestowała.

– No, tak. Starym gratem, wyrzuconym za burtę – przekonywał ją poważnie. – Niech się pani zastanowi, jakie mogę mieć przed sobą perspektywy. Mógłbym rozpocząć praktykę prywatną u siebie w domu, lecz oznaczałoby to nieustanny kontakt z tymi wszystkimi ludźmi, których sam widok jest dla mnie nie do zniesienia. Jestem chirurgiem. W domu przecież operacji nie mogę wykonywać, a co stąd wynika, byłbym zmuszony zabiegać o udzielenie mi sal operacyjnych. Sama pani rozumie, że po mojej dzisiejszej rezygnacji narażanie się na jakieś pytania, uwagi, komentarze czy choćby na spojrzenia byłoby ponad moje siły. Więc cóż mi pozostaje? Dogorywanie. Panis bene

206

merentium. I to bez masła. Bo trzeba pani wiedzieć, że jestem zupełnie zrujnowany. Ten dom, w którym teraz jesteśmy, też już nie jest moją własnością. Łaskawie zostawiono mnie tu na dożywocie... Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Na dożywociu w nadziei, że to niedługo już potrwa.

– Absolutnie nie zgadzam się z panem – energicznie zaprotestowała Łucja. – Pozostaje przecież panu, dopóki pan nie wyzbędzie się tej zrozumiałej zresztą drażliwości na punkcie stykania się z nimi, tak olbrzymia dziedzina pracy jak działalność naukowa. Wykłady uniwersyteckie, klinika, piśmiennictwo...

Wilczur zamyślił się.

– Nie, to nie leży w moim temperamencie. Mogę pisać tylko wtedy, gdy pisanie wypełnia mi wolne chwile od pracy aktywnej; co zaś do wykładów... Droga pani, i stamtąd mnie wygryzą. Nie, nic mi nie zostało. Ot, zamknąć się w domu i czekać na śmierć. Przyjdzie zresztą ona szybko. Tak już w przyrodzie to jest urządzone, że to, co niepotrzebne, samo się likwiduje. A ja czuję, że jestem niepotrzebny.

– Otóż właśnie o to mi chodzi, panie profesorze. O to mi chodzi, że pan się czuje niepotrzebny. Chcę pana przekonać, że to jest tylko chwilowy nastrój, który wkrótce minie. Chcę pana przekonać, że w niczym nie osłabła pańska żywotność, że nie umniejszył się wcale pański geniusz ani energia. To chwilowa depresja.

– Nie wierzę w to.

– Więc przekonam pana.

– W jakiż sposób?

– Ma pan zaczęta tę swoją wielką pracę o nowotworach...

– Nie tyle zaczęta, co zarzucona. Od roku już do niej nie zaglądałem. Brak mi wielu materiałów. Trzeba byłoby je zbierać, wyszukiwać, segregować, a przyznam się pani, że nie odczuwam do tego najmniejszej ochoty.

– Więc będę panu pomagała. Ja się tym zajmę.

– To byłoby poświęcenie z pani strony. Wie pani dobrze, panno ŁUCJO, że takiej ofiary

przyjąć me mogę.

– Ależ to żadna ofiara. Wydzielili mi pan za to część honorarium autorskiego. Albo na przykład umieści pan przy swoim nazwisku moje. „Przy współpracy dr Łucji Kańskiej”. Ten zaszczyt – to nie byle co.

Po długich naleganiach Łucji Wilczur, acz niechętnie, zdecydował się wreszcie i już nazajutrz rozpoczęli pracę. Przychodziła zwykle w godzinach poobiednich. Razem porządkowali rękopis, notowali braki, wykreślali z czasopism fachowych szczegóły bibliograficzne. Przed wieczorem gawędzili przy kawie, po czym Łucja żegnała profesora, by następnego dnia zjawić się z plikiem notatek czy książek, wybranych z biblioteki.

Praca posuwała się opornie, wbrew przewidywaniom Łucji depresja Wilczura nie mijała.

Nieraz odkładał pióro i wpadał w kilkugodzinne zadumy,

po których nie był już zdolny nie tylko do pracy, lecz nawet i do rozmowy z Łucją.

Pewnego dnia zastała go pijanego. Była bliska rozpacz, wciąż jednak nadrabiała miną i wciąż wierzyła niezłomnie, że stanie się coś, co zmieni sytuację, zmieni usposobienie Wilczura.

Tak minęły dwa miesiące. Czas upływał Łucji między pracą dla profesora a zajęciami w lecznicy i zabiegami o pracę w jakimś innym zakładzie, wprawdzie bowiem ze strony profesora Dobranieckiego nie spotykały jej przewidywane przez nią na początku szykany, czuła się tam jednak fatalnie. Pozornie w lecznicy wszystko szło dawnym trybem, nie następowały żadne zmiany ani przesunięcia. Jednakże atmosfera była zupełnie inna. Wrażliwsi, a do nich należała Łucja, wyczuwali to na każdym kroku. Nazwiska Wilczura nikt tu nigdy nie wspominał. W tym milczeniu wyrażał się jakby wstyd, że oto tak łatwo wyparli się go, wyrzekli, zapomnieli.

Z Kolskim stykała się nieco rzadziej. Od czasu ich decydującej rozmowy nie starał się powrócić do tego tematu, lecz nie zmienił się dla niej. O sprawach prywatnych nie mówili ze sobą wcale. Dlatego też nie wiedział, że Łucja współpracuje z profesorem Wilczurem. Nie wiedział też, że poszukuje innej posady. Tylko raz, gdy ją mimochodem zapewnił po rozmowie z Dobrameckim, że jej stanowisko w lecznicy nie jest bynajmniej zachwiane, odpowiedziała krótko:

– Nie zależy mi na tym.

W istocie musiało jej zależeć. Nadmiar lekarzy w Warszawie sprawił to, że o posadę było niezmiernie trudno. Jak dotychczas, odwiedziła kilkadziesiąt instytucji bez skutku. Zapisywano jej adres, telefon i obiecywano zawiadomić, gdyby wakans się otworzył.

Tymczasem przyszedł marzec, a z nim wczesna tego roku wiosna. Na ulicach coraz więcej widywało się kobiet w kostiumach i mężczyzn w marynarkach. Drzewa wypuszczały pierwsze pączki, niektóre krzewy już zieleniły się z lekka.

Jednocześnie Łucja nie mogła nie zauważyć, że z dniem każdym profesor staje się coraz bardziej posępny i że pogarsza się też jego wygląd. Postanowiła wyciągać go też na spacer. Początkowo nie chciał o tym ani słyszeć. Zgodził się wreszcie, pod warunkiem, że będą wychodzili wieczorami, unikając tych dzielnic, gdzie mogliby spotkać znajomych.

– Na wsi teraz musi być pięknie... Czy pani zna wiosnę na wsi?

– Mgliście ją sobie tylko przypominam z okresu dzieciństwa.

– To wiele pani straciła. Wiosna na wsi... Ziemia pachnie, rozumie pani? Ziemia pachnie i powietrze pachnie. Ptaki. Dużo ptaków. Zakłopotane, zaaferowane latają, ćwierkają, śpieszą się, dźwigają jakieś źdźbła, jakieś słomki, jakieś kłaczki mchu... A skowronki wysoko na niebie... I krowy wypędzają na pastwisko... Niebo takie jasnoblękitne... Spędziłem takich kilka wiosen na dalekich kresach, na Białorusi... Była pani tam kiedy?

– Nie, nigdy.

– Cichy kraj, piękny kraj. Ziemia lekko faluje pagórkami, między nimi leżą jeziora, lasy gęste, podszyte jałowcem i leszczyną. Chaty słomą kryte... Nie wszystkie. Te zamożniejsze – gontem lub dranicą. Ale na ogół biedota. Biedni ludzie, ubodzy, prości... Dobrzy ludzie. O, że też nie przypomniało mi się to, kiedym rozmawiał z Jemiołem. On twierdził, że wszyscy ludzie są źli. Ale on mówił o mieście. O! poznałby tamten kraj, poznałby tamtych ludzi... Może i miał rację. Miasto to potwór. Oddzieliło człowieka od ziemi asfaltem i betonem. Skądże ma czerpać uczucia? Uczucia idą z ziemi jak wszystkie soki żywotne. W mieście wysychają, kruszą się, zamieniają się w pył, zostaje tylko mózg, rozgorączkowany walką o byt, mózg, który niezdolny jest do myślenia, jeno do kombinowania! Do planowania jakichś machinacji. Aby prędeej, aby więcej, aby przebieglej. Człowiek nie widzi siebie, nie widzi świata. Niech pani spojrzysz na te domy. Zaslaniają widnokrąg. Otaczają nas ze wszystkich stron... Zostają tylko małe otwory, jakby tunele, którymi możemy się wydostać z wnętrza tego potwora. Kilka szos, kilka torów kolejowych.

Zamyślił się, a po chwili mówił dalej:

– Jest na Kresach takie małe miasteczko. Nazywa się Radoliszki. Kilka uliczek, kościółek, drewniana cerkiewka i coś tysiąc czy dwa tysiące mieszkańców. Przez Radoliszki idzie trakt szeroki, wysadzany starymi brzożami, brzoży grube, sękate, pokrzywione, korę mają ze starości popękana, szorstką. Trakt niby bity, ale jesienią i wiosną kałuże na nim stoją, a latem tużmany kurzu wiatr zrywa. Za miasteczkiem trakt skręca na południe i już po kilku minutach widać z daleka młyn, młyn starego Prokopa Mielnika. Młyn leży nad stawami, nad trzema stawami, to młyn wodny. Jeden staw jest wielki, gęsto obrosnięty wierzbiną i łozami, drugi mniejszy w kształcie jakby nerki. Tu brzegi są łagodne, łąka spadzisto spływa aż do samej prawie wody, dno piaszczyste, tu baby na desce kijankami piorą bieliznę, a po drugiej stronie,

gdzie bujnie krzewi się olcha, kąpią się... Ale to dopiero od świętego Jana. Wierzą tam, że wcześniejsza kąpiel nie może wyjść na zdrowie... Natomiast dolny staw jest okrągły, tak jak-

208

by go ktoś cyrklem wymierzył. Tu pławi się konie i poi się bydło. Z szumem spada kaskada pieniającej się wody, a z góry dobiega nieustannie warczenie żarn. Po stawach pływają gęsi i kaczkę, czasem siądzie na wodzie cyranka lub łabędź przelotny, lub nurek. Młyn Prokopa Mielnika... Dobrzy ludzie, prości ludzie. Od trzech lat tam nie byłem. O, tam pamiętają mnie na pewno. Dla nich nie byłem człowiekiem niepotrzebnym. Dla nich nie byłem zawadą...

Zamyślił się.

– Nie tęskni pan za nimi? – zapytała Łucja.

– Co pani mówi? – Ocknął się.

– Pytałam, czy pan za nimi nie tęskni. Twarz Wilczura rozjaśniła się uśmiechem.

– Chciałbym ich zobaczyć. Wiele się tam musiało pozmieniać. Trzy lata.

Wasył pewno się ożenił, Natałka podrosła. Olga i Zonia pewno też znalazły sobie mężów...

Poczciwe baby. Zaśmiał się i odwrócił do Łucji.

– Zonia nawet gwałtem wybierała się za mnie... Toż by była radość, gdybym tam zjechał...

Łucja pomyślała, że istotnie taka przejażdżka do owych Radoliszek, które tak ciepło wspomina, zrobiłaby doskonale profesorowi. Wpłynęłaby kojąco na jego nerwy, pozwoliła oderwać się od niedawnych przeżyć. Wróciłby z niej odświeżony i z nowym zapasem energii.

^ – Wie pan co, profesorze, a dlaczego nie miałby pan ich odwiedzić? –

powiedziała.

– Odwiedzić? – zdziwił się profesor.

– No, tak. Mówi pan o nich z takim ciepłem, wspomina pan ich tak mile. Byłaby to dla pa-

na przyjemna rozrywka. Od tak dawna nie wyjeżdżał pan z Warszawy.

Wilczur spojrzał na nią.

– Ha – powiedział – chce pani pozbyć się mnie bodaj na krótko. Zaśmiała się.

– Właśnie. Chcę się pozbyć pana. Widzi profesor, jaka jestem bezinteresowna. Namawiam pana do tej wycieczki, chociaż wiem, że tam, pod Radoliszkami, czyha na pana owa Sonia czy Zonia.

Śmieli się oboje. Profesor od dawna nie był w tak dobrym humorze i Łucja zdawała sobie sprawę, że w nastrój ten wprowadziły go wspomnienia o owym młynie. Postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Serio, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby pan odmawiać sobie tej przyjemności.

– A wie pani, że to wcale nie jest zła myśl, i sędzę, że tam ucieszyliby się z moich odwiedzin.

– A pan rozerwałby się trochę, obejrzał stare kąty, które tak lubi, odetchnął innym powietrzem. Właściwie mówiąc, nic pana nie trzyma teraz w Warszawie. A mamy taką śliczną wiosnę.

Od tego dnia pomysł Łucji nie dawał Wilczurowi spokoju. Rzeczywiście perspektywa odwiedzin w młynie Prokopa wydawała mu się coraz ponętniejsza. Był ożywiony, opowiadał Łucji coraz to nowe szczegóły o młynie i o swoim tam bytowaniu.

Po tygodniu, ustawicznie zachęcany przez mąż, powiedział jej wreszcie któregoś dnia:

– Zdecydowałem się. Jadę do Radoliszek. Musimy tylko przedtem dokończyć zbierania materiału do pierwszego tomu, a uporządkuje to już pani podczas mojej nieobecności.

Ucieszyła się bardzo tym jego postanowieniem i ze zdwojoną gorliwością zabrała się do pracy. Pomimo pośpiechu stało się widoczne, że przeciągnie się ona co najmniej na miesiąc,

co napępniało Łucję obawą, że tymczasem profesor może zmienić postanowienie.

I stało się tak rzeczywiście, lecz w kierunku zgoła nieprzewidywanym. Oto pewnego dnia, gdy Łucja jak zwykle po południu przysła, zastała w gabinecie profesora niebypwały nieład. Wszystkie szuflady były pootwierane, na otomanie piętrzyły się stosy książek, na parapecie okien stały pootwierane kasety chirurgiczne.

209

– Co się stało? – zapytała zdumiona. Wilczur zerwał się od biurka z wyrazem rozradowania i podniecenia na twarzy. Zapomniał nawet przywitać się z nią.

– Panno Łucjo – powiedział tonem uroczystym – znalazłem. Znalazłem wyjście dla siebie i wiem teraz już, co zrobię, i wiem, po co żyję. Porzucam Warszawę na zawsze. Tak, panno Łucjo. Byłem szalony czy otumaniony, żem wcześniej tego nie zrozumiał. Tak, powracam do nich. Już na zawsze. Tu wmówiono we mnie, że jestem nieprzydatny, ale tam, tam, wiem, że będę potrzebny. Tam dowiodę sobie i innym, że nie jestem bezużytecznym rupieciem, że jeszcze mogę pracować, długie lata pracować dla dobra ludzi. Tylko nie tych tutejszych, złych ludzi złego miasta. Przecież tam byłem taki szczęśliwy. Widzi pani, co to jest miasto. Zatrzuwa, ogłupia. Wśród tych ulic, tego zgiełku, pośpiechu, namiętności człowiek zapomina o tym, czym sam jest, zapomina o swoich upodobaniach i pragnieniach. Dostałem się w ten wir i jak opętany kręciłem się w nim, nie mogąc sobie uświadomić, że przecież nie tu jest moje miejsce, że wszystko mnie pociąga tam, do tamtych!

Podniecony chodził po pokoju, mówiąc:

– Już wszystko sobie ułożyłem. Sprzedaję rzeczy, meble, bibliotekę, różne graty, osiągnę w ten sposób taką sumkę, że będę mógł za te pieniądze jako tako urządzić sobie małe ambulatorium w młynie, podręczną apteczkę i temu podobne rzeczy. Nie może pani sobie wyobrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy. Tam w całej okolicy jest tylko jeden lekarz, który w dodat-

ku klepie biedę i nie może sobie pozwalać na darmowe leczenie chłopów. Zresztą on nie jest chirurgiem. Przypomną się im wszystkim dawne czasy, czasy mego znachorstwa, tylko że teraz będzie to zupełnie inaczej. Będę dysponował środkami dezynfekcyjnymi i pierwszorzędnymi instrumentami. Ho, ho, dużo tam na pewno znajdę roboty. Już teraz przypomniało mi się, że córka gajowego z radoliskich lasów ma guz na wątrobie od strony wewnętrznej, rozumie pani? Oczywiście, nie mogłem jej nic pomóc, nie rozporządzając przyzwoitymi narzędziami. Ale teraz spróbuję. Minęły trzy lata. Może jeszcze żyje.

Łucja stała nieruchomo i wodziła za nim przerażonym spojrzeniem. Mówił coś dalej, ale już tego nie słyszała, całkowicie opanowana myślą, że on wyjedzie, że wyjedzie na zawsze, że nie będzie go mogła codziennie widywać, pomagać mu, czuwać nad nim, dbać o jego sprawę, o jego zdrowie. Goryczą też napełniała ją świadomość, że powziął postanowienie wyjazdu i nie zastanowił się nawet, jakim to dla niej będzie ciosem. I nie przyszło mu do głowy, jak bardzo będzie cierpiała nad tym. Nie pomyślał o niej, nie wziął jej w rachubę. Oto i teraz zdawał się jej nie dostrzegać. Przemierzał szybkimi krokami pokój na ukos i mówił: – Popełniłem szalony błąd, że w ogóle stamtąd wyjechałem. Bo i po co, po co, skoro mi tam było tak dobrze. Tam moje miejsce, tam odetchnę od tego miasta, tam znajdę ufność i przywiązanie. Otóż to. W tym tkwi szczęście, a jeżeli nie szczęście, to w każdym razie poczucie zadowolenia, poczucie przydatności. To bodaj na jedno wychodzi.

Mówił o nich, mówił o sobie, tylko o niej nie wspomniał wcale. Łucja jednak nie zaliczała siebie do tych kobiet, które łatwo rezygnują z pozycji na pozór przegranych. Gdzieś w podświadomości zrodziła się nagle decyzja. Już w następnej chwili myśl skonkretyzowała się w słowach:

– Pojadę z panem, profesorze. W pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Co pani mówi? Powtórzyła dobitnie:

– Mówię, że pojedę z panem.

– A to doskonale – ucieszył się. – Ale wolałbym, żeby pani przyjechała mnie odwiedzić, kiedy już się tam zdomowię, kiedy wszystko urządzę. Ha, pokażę pani tam wszystko. Zobacz pani, jak tam pięknie i jak miło...

– Nie, profesorze – przerwała mu. – Ja chcę jechać z panem. Jechać i zostać tam z panem.

Spojrzał na nią niedowierzająco.

– Cóż to za żarty?

– Wcale nie żarty. Pojadę z panem.

210

– Cóż za nedorzeczny pomysł!

– Dlaczego nedorzeczny!

– No, bo gdzież pani w tym wieku na głuchą prowincję. Nie, nie ma nawet o czym gadać.

– A jednak pojedę – zacięła się. Wilczur zatrzymał się przed nią.

– A czy mogę wiedzieć po co? Po co pani tam ma jechać?

– Będę panu pomagala.

– Ale ja nie potrzebuję żadnej pomocy.

– To pan mówi nieprawdę. Przy każdej operacji potrzebna jest pomoc. Wilczur zachnął się.

– Do tego nie jest potrzebna pomoc lekarki. Wystarczy byle chłopak wiejski lub baba.

– W to nie uwierzę, by ktoś nieobeznany z medycyną mógł przydać się bardziej niż dyplomowany lekarz. A poza tym sam pan mówił, że będzie tam duży napływ chorych, że często musiał pan powierzać opatrunki komuś niewprawnemu. Wiem, że przydam się panu.

Zresztą i panu też przyda się kobieca opieka. Dlaczego nie miałabym jechać? Mnie też z Warszawą nic nie wiąże. Nic mnie tu nie trzyma.

Wilczur zirytował się.

– To bardzo źle, bo właśnie powinno panią tu trzymać. Tu jest szerokie pole działania, tu pani zrobi karierę, znajdzie pani sobie odpowiedniego męża. A w ogóle nie mamy po co tej sprawy wałkować, bo ode mnie zależy, czy zabiorę panią, czy nie, a ja z góry powiadam, że nie zabiorę. Nie miałbym chwili spokoju sumienia i uważałbym siebie za ostatniego łotra, gdybym zabijał pani świat deskami, gdzieś na dalekich kresach. Ja jestem stary i niczego już dla siebie nie pragnę. Mnie wystarczy to, że mogę służyć innym ludziom. Ale pani, młoda dziewczyna, ma jeszcze całe życie przed sobą, ma jeszcze prawo do osobistego szczęścia. Łucja potrząsnęła głową.

– Pięknie. Ale nie bierze pan profesor pod uwagę tego, że moim osobistym szczęściem jest właśnie pomaganie panu.

– To są banialuki. Za kilka miesięcy czy za rok wywietrzeje to pani z głowy i wtedy dopiero poczuje się pani nieszczęśliwa, znudzona, zgorzkniała. A ja będę musiał to znieść w dodatku z pełnym poczuciem własnej winy. Złe mówię, że będę musiał. Bo nie będę. A nie będę dlatego, że pani nie zabiorę, i kwestia skończona. Jeżeli pani chce mi okazać swoją dobroć – pomoże mi pani przy likwidacji całego tego kramu. Z tym będzie dużo roboty, a już pali mnie niecierpliwość. Chciałbym jak najprędzej wyjechać.

Apodyktyczność profesora sprawiła to, że Łucja nie powracała już więcej do tego tematu. Polemizowanie z Wilczurem byłoby zupełnie beznadziejne. Pomimo to nie starała się przewlec przygotowań do jego odjazdu. Zajęła się gorliwie wyszukiwaniem nabywców i targowaniem się z nimi. Jednocześnie pomagała profesorowi przy robieniu zakupów.

Wreszcie wszystko zbliżało się do zakończenia. Wyjazd został ustalony na 14 kwietnia; poprzedniego dnia wieczorem Wilczur pożegnał się z Łucją. Jego pociąg odchodził o siódmej rano, i nie chciał, by tak wcześnie zrywała się z łóżka dla odprowadzenia go na dworzec.

– Gdy już jakoś się tam uplasuję – mówił – napiszę do pani z zaproszeniem. Ucieszę się

bardzo, jeżeli przyjedzie pani tam na kilka dni, a choćby i na spędzenie całego urlopu.

Pożegnała go bardzo serdecznie. Z miłym zdziwieniem stwierdził, że nawet nie próbowała upierać się przy odprowadzeniu go na dworzec. Była wesoła, a może tak umiejętnie nadrabiała miną, nie chcąc sprawić mu przykrości.

– Jakie ona ma dobre serce – myślał Wilczur, gdy się rozstali. – To złota dziewczyna.

I nagle żal mu się zrobiło, że tak kategorycznie odrzucił jej ofiarną gotowość towarzyszenia mu na kresy. Natychmiast jednak siebie zreflektował:

– Nie, to musi być nowe życie, nowa faza. To już nie dla mnie, to dla innych.

Nazajutrz już o godzinie szóstej był na dworcu wraz z Józefem i z wieloma kuframi, które trzeba było nadać na bagaż. Gdy przed odejściem pociągu przechadzał się po peronie, wciąż spoglądał na zegarek. Sam wprawdzie prosił, sam nalegał, by Łucja nie przychodziła, doznał

211

jednak przykrego rozczarowania, że jej nie było. Na chwilę nawet opanował go głęboki smutek, graniczący ze zniechęceniem.

Konduktorzy oznajmili, że czas wsiadać. Pożegnał się z Józefem i wyszedł do swego przedziału. Przez otwarte okno wpadł jasny snop słońca. Oparł się i patrzył na pustawy peron. O oznaczonej minucie pociąg ruszył z miejsca. Wilczur stał w oknie, patrząc na oddalającą się Warszawę, na to złe miasto, które go zmogło, złamało i oto wypluwało ze swego wnętrza jako coś zbędnego już, wyssanego, bezużytecznego...

– Niech im Bóg przebaczy, niech im Bóg przebaczy – powtarzały jego usta, ale w sercu słowa te nie znajdowały żadnego echa. Serce było ściśnięte bolesnym skurczem, zapiekła się w nim krzywda, zaskorupiał żal.

I to straszne poczucie samotności...

» Wiedział, że po przybyciu na miejsce uczucie to minie, ale teraz było mu z nim nad mia-

rę ciężko.

Koła wagonu dudniły już na ostatnich zwrotnicach, ostatnie domki miasta oddalały się z przyśpieszoną szybkością, ostatnie dymy kominów fabrycznych potwora roztopiały się w horyzoncie.

Za plecami posłyszał odgłos otwieranych drzwi przedziału.

Odwrócił się.

Przed nim stała Łucja z neseserem w ręku.

Rozdział VII

Doktor Jan Kolski przyszedłszy z rana do lecznicy znalazł na swoim biurku list, zaadresowany ręką Łucji. Od razu poznał jej charakter pisma i z najwyższym zaciekawieniem otwierał grubo wypchaną kopertę. Zawierała kilka banknotów i dwa arkusze papieru.

Na pierwszym przeczytał:

„Drogi Panie Janie! Ponieważ mój wyjazd następuje dość nagle, nie zdążyłam się z panem pożegnać osobiście, o co proszę nie mieć do mnie żalu. Okoliczności tak się złożyły, że muszę na czas długi, może na zawsze opuścić Warszawę. Na pożegnanie chcę pana obarczyć moją prośbą. Mianowicie nie zdążyłam również zgłosić swojej dymisji w zarządzie lecznicy. Załączam ją na piśmie, a wraz z nią zwracam pobraną do końca miesiąca pensję, którą proszę łaskawie wpłacić do kasy. W stosunku do tej instytucji chcę być zupełnie w porządku, chociaż należy mi się urlop. Jestem przekonana, że pan profesor Dobraniecki wiadomość o moim ustąpieniu przyjmie z prawdziwym zadowoleniem. Muszę panu dodać, że i mnie rozstanie się z lecznicą, taką jaką ona jest dzisiaj, sprawia wielką ulgę. Przesyłam panu najlepsze życzenia. Jestem pewna, że się spełnią, bo są szczerze, no i dlatego, że pan na spełnienie tych życzeń zasługuje. Będę o panu pamiętała. Jeżeli zajdzie w moim życiu coś godniejszego uwagi – może do pana napiszę. Pozdrowienia dla wszystkich. Specjalnie niech pan pozdrowi ode mnie

pacjenta z pokoju 116 i życzy mu rychłego wyzdrowienia. Serdecznie ściskam dłoń – Łucja”.

Kolski trzy razy przeczytał ten list, nie mogąc zrozumieć jego treści.

Spadło to nań tak nieoczekiwanie, że cała jego świadomość wzbraniała się przeciwko przyjęciu tego, co się stało, przeciwko wytworzonej rzeczywistości.

Po otrzeźwieniu natychmiast zatelefonował do Łucji, lecz aparat jej nie odpowiadał. Wybiegł z lecznicy, wskoczył do pierwszej spotkanej taksówki i pojechał na Polną. Dozorca domu też nie umiał dać żadnych wyjaśnień. Pani doktor meble sprzedała, a z rzeczami dziś rano wyjechała na dworzec. Gdy ją pytał, dokąd ma ją wymeldować, oświadczyła, że jedzie w podróż i że sama jeszcze nie wie.

– W podróż? – zapytał Kolski.

– Ano tak powiedziała.

212

– A na jaki dworzec pojechała?

– Tego już nie wiem, proszę pana.

– Dziękuję – bąknął Kolski, wciskając mu do ręki napiwek. 2 ulicy jednak zawrócił. Dogonił dozorcę i zapytał:

– A o której pani doktor wyjechała? Która to mogła być godzina? Dozorca podrapał się w głowę.

– Ano chwba jeszcze szóstej nie było.

– Tak wcześnie – bez sensu zauważył Kolski. – A może mi pan powiedzieć, czy... odjechała sama, czy może ktoś odprowadzał? Dozorca potrząsnął głową.

– Nie, nikt, proszę pana.

Wprost z Polnej Kolski pojechał na dworzec i sprawdził, że w okresie między godziną szóstą a siódmą pociągi odchodziły we wszystkich niemal kierunkach i niepodobna było ustalić,

który był pociągiem Łucji. Obiecywał sobie jeszcze szczegółowsze studia nad rozkładem jazdy, na razie jednak musiał wracać do lecznicy. Po drodze łamał sobie głowę nad tym całym przygnębiającym zdarzeniem. Pierwsza rzecz – to motywy – starał się rozmyślać metodycznie – motywy wyjazdu. To, że porzuciła lecznicę, było zupełnie zrozumiałe. Nie zносиła Dobranieckiego, nie umiała mu i innym przebaczyć sprawy Wilczura. Dlaczego jednak porzuciła Warszawę? Przecież w każdej chwili Kolski przez swoje stosunki, przez kolegów i przyjaciół mógłby dla niej znaleźć ostatecznie nie gorszą posadę gdzie indziej. Więc dlaczego nie wspomniała o tym ani słowa? W dodatku nie napisała prawdy. Bo jeżeli miała czas na zlikwidowanie mieszkania i na sprzedanie mebli, to również mogła chociażby telefonicznie pożegnać się z nim. Wszystko to wyglądało bardzo tajemniczo.

Kolski wątpił, by mógł tu w grę wchodzić jakiś mężczyzna. Łucja me należała do typu kobiet, które ulegają nagłym oczarowaniom, a poza tym kochała się przecież w Wilczurze. W grę tu nie mogła wchodzić jej rodzina, z którą nie utrzymywała żadnych stosunków, dalsza rodzina, osiadła gdzieś pod Sandomierzem czy też pod Sieradzem.

Przez cały dzień Kolski chodził i pracował z posępną twarzą. Przed wieczorem zameldował się u Dobranieckiego i wręczając mu list z dymisją Łucji, powiedział:

– Nie umiem sobie wytłumaczyć nagłego wyjazdu doktor Kańskiej. Musiało zajść coś ważnego. Czy profesor nic o tym nie wie?

Dobraniecki uważnie przeczytał oświadczenie Łucji i wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem i nawet dziwię się, że doktor Kańska w ten sposób rozstaje się z zakładem.

Oczywiście te pieniądze będzie pan łaskaw jej odesłać. Mniejsza o nie. Może pan też napisać, że wyraziłem swoje zdziwienie.

– Nie będę mógł napisać, panie profesorze, gdyż nie zostawiła mi swego adresu. Jestem bardzo niespokojny, bo przypuszczam, że musiało się stać coś złego. Nagle zlikwidowała

swoje mieszkanie i wyjechała w niewiadomym kierunku. Telefonowałem do wszystkich jej znajomych i od nikogo nie mogę się dowiedzieć.

Dobraniecki spojrział nań z półironicznym uśmiechem.

– Czy i pan profesor Wilczur nie mógł panu udzielić żadnych informacji? Kolski szeroko otworzył oczy.

– Nie zwracałem się do profesora Wilczura. Skądże on może coś wiedzieć? Dobraniecki zaśmiał się.

– Pan jest jeszcze bardzo niedoświadczony, kochany panie kolego. Gdybym wiedział, że słowo naiwny nie obrazi pana, powiedziałbym właśnie naiwny.

– Zupełnie nie rozumiem, panie profesorze...

– Ach, to nie jest wcale takie skomplikowane – niedbale rzucił Dobraniecki. – Zazwyczaj osobą najbardziej poinformowaną o poczynaniach kobiety jest „kochanek.

213

Kmskiemu gwałtownie krew uderzyła do głowy. W pierwszej chwili chciał zerwać się i uderzyć w twarz Dobranieckiego, w następnej jednak wzrok jego spotkał szydercze spojrzenie profesora. Poczł nagle jakby zwiotczenie wszystkich mięśni, jakby paraliż nerwów.

– Ależ tak – tłukło mu się po głowie. – Ten łotr ma rację... Jakież ja byłem głupi, jaki naiwny...

Dobraniecki niedbale bawiąc się ołówkiem mówił:

– Nie sądzę też, by nasza pupilka wyjechała z Warszawy. W tym, że zlikwidowała mieszkanie, nie widzę jeszcze żadnego dowodu. Mieszkanie się likwiduje nie tylko w wypadku przeniesienia się do innego miasta, lecz i wtedy, gdy się, powiedzmy, przenosi do mieszkania przyjaciela. Mam wrażenie, że odszukanie panny Kańskiej nie sprawi panu ani zbyt wielkich trudności, ani specjalnej... przyjemności.

Z gabinetu Dobranieckiego Kolski wyszedł półprzytomny. Podsunięte przez profesora po-

dejrzenie rosło w nim i pęczniało, zalewało mózg krwią, zaciskało pięści w bezsilnej wściekłości, wyło o zemstę, o karę, lub na zmianę zrywało się szlochem. Kilka razy w ciągu nocy zrywał się, ubierał i chciał biec do willi profesora Wilczura. Układał już w głowie druzgocące oskarżenie, które mu rzuci w twarz, słowa pogardy, którymi ją napiętnuje, a potem znowu płakał i rozpaczał nad tym, że przecież nie ma żadnych praw nie tylko do jej uczuć, ale i do sądzenia jej postępków. Nie jest dla niej nikim. Zwykłym kolegą, przed którym nie jest obowiązana tłumaczyć się ze swoich postępków. Pójdzie tam i cóż jej powie?... Skłamała mi pani w liście... Zawiodłem się na pani...

Wszystko puste słowa. . .

Nad ranem opanowały go optymistyczne refleksje. Dobramecki jest złym człowiekiem i dlatego innych źle sądzi. To jest niemożliwe, by Łucja była czyjąkolwiek kochanką. Jej oczy patrzyły zbyt śmiało, zbyt jasno. Nic w mej nie było z dziewczki. Wyłączając ową adorację, oczywiście platoniczną adorację Wilczura, była w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem.

Zmęczony i rozbity, przyszedł rano do pracy. Długa wizytacja chorych, później asystowanie przy kilku operacjach. Czuł się niezmiernie zmęczony. Mimo woli przechodząc korytarzem kilkakrotnie zaglądał do pokoju internistów. Siadywała przy tym biurku, taka śliczna w białym kitlu, z poważną i rozumną twarzą, z jasnymi włosami...

Tak minęły trzy dni. Sto razy brał do ręki słuchawkę, by zatelefonować do profesora Wilczura, sto razy szedł i zawracał w pół drogi do Alei Bzów. Bał się. Wolał niepewność niż potwierdzenie ohydnych podejrzeń Dobranieckiego. Wreszcie dnia czwartego, ostatecznie złamany, gotów na wszystko, zrezygnowany postanowił dowiedzieć się prawdy. Bodaj najgorszej prawdy. Przynajmniej zobaczy ją, przynajmniej zamieni z nią kilka słów, usłyszy jej głos.

Zbliżając się do willi profesora, zawahał się jeszcze przez chwilę, lecz wahanie minęło szybko. Był wieczór. Spodziewał się zobaczyć oświetlone okna, lecz willa tonęła w mroku. Stał przy sztachetach i długo nadśluchiwał, nim nacisnął dzwonek. Wśród ciszy panującej dookoła usłyszał jego dźwięk wewnątrz willi. Czekał kilka minut i znowu zadzwonił. Jeszcze raz i jeszcze. Wewnątrz albo spano, albo nie było nikogo.

W tym momencie zobaczył na furtce zawieszoną tabliczkę. Zapalił zapałkę i przeczytał: „Willa od zaraz do wynajęcia”.

Dogasająca zapałka sparzyła mu palce. Nawet nie dostrzegł tego. Jak błyskawica przebiegła mu przez mózg myśl:

– Wyjechał. Wyjechali razem...

Nazajutrz rano znowu był w Alei Bzów. W ogródku przed willą jakiś człowiek przekopywał grządki. Niewiele można się było od niego dowiedzieć. Willa rzeczywiście jest do wynajęcia, bo profesor Wilczur wyprowadził się.

– Kiedy profesor wyjechał?

– Ano, czternastego.

214

Data zgadzała się z datą wyjazdu Łucji.

– Czy rano?

– Wczesnym rankiem.

– I nie wie pan dokąd?

– Skądże mogę wiedzieć. Jeżeli kto może, to chyba Józef. On pana profesora na dworzec odprowadzał.

– A gdzież jest ten Józef?

– Też panu tego nie powiem. Skończyła mu się tu służba, to pewnie służy gdzie indziej.

Mnie nie mówił gdzie. Ale niech pan poczeka... Zaraz, zaraz... On na Tamce ma jakich krew-nych, co mają pralnię. To może się pan od nich dowiedzieć.

Na Tamce było kilka pralni. Odwiedzając każdą po kolei, wreszcie dotarł do właściwej.

Należała istotnie do ciotki byłego służącego profesora Wilczura. Gruba baba o bardzo czerwonych policzkach i małych świdrujących oczkach przyjęła Kolskiego nieufnie.

– A pan jaki ma interes do niego?

– Chciałbym się z nim zobaczyć – wyjaśnił Kolski. – Pan z policji, czy co?

– Ale gdzie tam.

– To może względem posady? Jeżeli tak, to za późno, bo mój siostrzeniec posadę już znalazł. Do września jest zajęty. A jeżeli pan chce, to proszę zostawić adres, to we wrześniu on się zgłosi.

– U kogo on ma posadę? Może mi pani podać adres?

– A tego to ja nie wiem. Mówił mi tylko, że na jakimś okręcie. Za stewarda poszedł.

– Na okręcie... Hm... A czy pani nie wie, mógł pani wspominać, dokąd wyjechał profesor Wilczur.

Babina wzruszyła ramionami.

– A cóż on mnie ma o takich rzeczach wspominać. Skądże ja mogę wiedzieć?

– Przepraszam panią. – Kolski uklonił się i wyszedł.

Na tym skończył się ostatni ślad.

Tegoż wieczora Dobranieccy wydali pożegnalne przyjęcie, na które był zaproszony i Kolski. Pani Nina wyjeżdżała na lato za granicę, jak mówiła, dla poratowania zdrowia. Pani Nina wyglądała kwitnąco. Ożywiona, wesoła, pełna dowcipu i wdzięku, flanowała od jednej grupki gości do drugiej.

Gdy zobaczyła Kolskiego, stojącego samotnie przy drzwiach buduaru, wzięła go pod rękę i

wyprowadziła na taras. Miała już od męża szczegółowe relacje o jego zmartwieniach. Wydał się jej teraz bardziej interesujący i nawet przystojniejszy niż dawniej. Urok romantyzmu zawsze podniecał ją do zdobywczości. Ten młody lekarz, zakochany w koleżance, która porzuciła go dla starego profesora, mógł zaciekawiać jako trudna do zdobycia pozycja. Zawsze go zresztą wyróżniała.

– Nie będę chyba zbyt niedyskretna – zaczęła – jeżeli przyznam się panu, że domyślam się, dlaczego pan jest taki smutny. Nic nie odpowiedział.

– Może użyłam złego wyrażenia. Pan określiłby to słowem znacznie mocniejszym, prawda?... Przygnębienie, a może nawet rozpacz czy tragedia?... Rozumiem pana. Sama kochałam kiedyś – nieszczęśliwie. Wiem, co się przeżywa w te dni. Ma się takie uczucie, jakby się wisiało nad przepaścią, prawda?

Jej miękki, ciepły głos i serdeczność sprawiały wrażenie szczerego współczucia. Powietrze było pełne zapachu bzów, gęstymi kępami rosnących przy pałacyku. Lekkie powiewy przynosiły z parku inne jeszcze zapachy. W Frascati wiosna była w pełni, a wieczór ciepły.

– Prawda – powiedział Kolski. Oparła się o balustradę i mówiła:

– Pamiętam, była to też wiosna. Siedziałam tu, na tymże tarasie, gdy mi przyniesiono list.

List od niego. Jakże straszliwie zimne są takie listy. Trzyma się je w ręku jak kawałek lodu, aż parzą swoim chłodem. A wewnątrz banalne słowa, poprawne, sztywne, uprzejme. Usta-

215

wione w szeregi jak wygalonowani lokaje o nieruchomych twarzach. Ze żałuje bardzo... że okoliczności... że obowiązek... że nie może osobiście, bo konieczność powstała niespodziewanie. A z tego wszystkiego wyziera jedno mordercze „nie kocham”. Jedno bezlitosne „porzucam”... I po cóż marnować tyle okrągłych zdań, tyle wyszlifowanych frazesów.

Zrobiła pauzę i dodała:

– Nie może pan sobie wyobrazić, jak bardzo byłam nieszczęśliwa... Kolski spojrzał jej w oczy i powiedział:

– Ja mogę, proszę pani.

– Czy bardzo pan ją kochał?

– Czy bardzo? – po namyśle odpowiedział Kolski. – Nie wiem, czy bardzo. Nie mam żadnych porównań. Kocham tylko ją i nigdy nikogo poza nią nie kochałem... I nigdy nie pokocham.

– O tak – skinęła głową. – To jest prawdziwa miłość. Poznaje ją. Bo i sama wówczas tak myślałam. Właśnie ta wiara, że już się nigdy nikogo nie pokocha, jest sprawdzianem wielkości uczucia, jego szczerości i głębi. I oburzam się na tych, którzy nie umieją pojąć, że człowiek, który drugi raz pokochał, mógł i pierwszy raz kochać prawdziwie.

Kolski spojrzał na nią.

– Nie rozumiem, co pani przez to chce powiedzieć.

– Przede wszystkim to, że człowiek żyje, że wszystko, co żyje, zmienia się. Bo przecież samo życie nie jest niczym innym jak ustawiczną przemianą, nieprawdą?

– Tak. Z naukowego punktu widzenia...

– Nie tylko z naukowego – przerwała mu. – Zmieniamy się. I niechże pan sam powie, czy moja miłość sprzed lat kilku zostałaby obrażona, pomniejszona czy przekreślona przez to, że pokochałam teraz kogoś innego? Po stokroć nie. Wówczas kochałam pełnią uczuć i myśli, całą sobą, niepodzielnie, i nie było we mnie miejsca na nic innego, byłam całkowicie owładnięta kochaniem. Ale nie byłam to ja, ja dzisiejsza, jaką pan widzi przed sobą. To już jest zupełnie inna istota. Nawet ciągłość między tamtą i mną została przecięta, brutalnie zerwana. Natura zaś nie znosi próżni. Jest takie przysłowie łacińskie...

– Natura horret vacuum – odpowiedział Kolski.

– Tak właśnie. Można kochać niezmiennie i wiernie przez całe życie, ale wtedy tylko, gdy miłość ta jest podsycana, wtedy gdy żyje w nas. Żyje. To znaczy nie jest jakąś mumią czy relikwią, lecz częścią naszej żywej duszy, gdy wraz z nią przechodzi wszystkie nasze przemiany. W przeciwnym razie stopniowo mumifikuje się, wnosimy dla niej gdzieś, w którejś z kapliczek serca smutny ołtarz, gdzie kult jej oddajemy w momentach wspomnień. Jej miejsce zaś zajmuje nowe życie, jeżeli jesteśmy tak szczęśliwi, że uda się nam je spotkać.

– Bardzo dziwnie pani mówi – odezwał się niepewnie Kolski.

– Dziwnie?... Mówię prawdę, mówię to, co przeżyłam, co przemyślałam, GO widzę w sobie samej. A mówię to panu dlatego, że wiem, w jakim pan obecnie znajduje się nastroju, wiem, że pan mnie zrozumie, przy pańskiej subtelności i delikatności uczuć.

Kolski był tym nieco zaskoczony. Dotychczas odnosił wrażenie, że pani Dobraniecka niewiele więcej zwraca nań uwagi niż na innych współpracowników jej męża. Nie mogło mu nie pochlebić, że ta świetna pani, słynąca z urody i z elegancji, tak się na nim poznała.

– Naprawdę bardzo jestem pani wdzięczny za ten dowód... za łaskawe... za tak miły sąd o mnie.

– Niech pan nie dziękuje. Będę z panem zupełnie szczerą. Przyznaję się, że to jest nawet nieładnie z mojej strony, iż mówię o tym z panem, o tym, co rozkrwawia panu tak świeżą ranę. I proszę mi darować ten akt egoizmu.

– Egoizmu?... – zdziwił się Kolski.

– Tak, pani Janie. Nie wiem, jakie pan sobie wyrobił o mnie zdanie. Prawdopodobnie sądzi pan jak wszyscy, że brakuje mi tylko ptasiego mleka, że jestem szczęśliwa i niczego więcej

nie pragnę. Gdybyż tak było!... Och, oczywiście Jerzy mnie kocha, otacza mnie zbytkiem, nie odmawia niczego. Niczego, co dla większości ludzi jest cenne. Ale my, kobiety, najwyżej

cenimy tę czułą bliskość duchową, którą dać nam może kochany mężczyzna. Pan rozumie?

– Oczywiście, proszę pani.

– Mój mąż zbyt pochłonięty jest nauką i pracą, a zresztą ma bardzo rygorystyczny pogląd na sprawy ludzkie. W tych rzeczach jest bezkompromisowy. Czyż mogłabym wobec niego pozwolić sobie na zwierzenia, na wypowiedanie swoich myśli o sprawach tak dla mnie istotnych? Nie, to ja panu jestem wdzięczna, że chce mnie pan słuchać. To może okrutne z mojej strony, ale proszę mi wybaczyć. Wśród tych setek znajomych nie znalazłabym nikogo, z kim mogłabym tak mówić, czyjej dyskrecji byłabym tak pewna.

Kolski chrząknął.

– Pod tym względem może pani na mnie absolutnie liczyć. Lekko dotknęła jego ręki końcami palców.

– Nie wątpiłam o tym ani przez chwilę. I ponieważ dzisiaj jest noc szczerości, niczego już nie chcę przed panem zatajać. Otóż wtedy, w owych smutnych dniach, gdy otrzymałam ten lodowaty list, bliska byłam samobójstwa. I nie wiem, jakby się to skończyło, byłam wtedy jeszcze bardzo młoda i bardzo nie-doświadczona, było to moje pierwsze wielkie uczucie. Na szczęście los mi zesłał wówczas ratunek. Poznałam pewnego człowieka. Był to dobry i mądry człowiek, który sam wiele w życiu przeszedł, który umiał patrzeć w cudze serce. Było to piękne z jego strony. Niczego nie chciał ode mnie, niczego me chciał dla siebie. Po prostu pragnął pomóc mi w kojeniu mojej rozpacz. Ach, te długie z nim rozmowy, te zwierzenia, te dobre, serdeczne rady, ta umiejętność wejrzenia w najskrytsze zakątki mojej duszy. Zresztą nie zamykałam się przed nim.

Przeciwnie. Mówiłam to, co czułam. A on był dla mnie lekarzem. Uśmiechnęła się.:

– Nazywałam go lekarzem mego serca. Kolski zapytał:

– A on rzeczywiście był lekarzem? Pani Nina prze~~z~~ęca potrzęsnęła głową.

– Nie. Był właściwie niczym. Ale dla mnie w owym czasie stał się wszystkim. Był wielkim darem od losu. Wciąż czuję się wobec wszechświata dłużniczką. Tak pragnęłabym móc odplacić się komuś równym darem. Oczywiście wiem, że nie potrafię być tak dobrym lekarzem serc jak tamten człowiek. Brak mi i tego rozumu, i tej głębokości spojrzenia, i tej łagodzącej miękkości dotyku.

Ponieważ umilkła, Kolski uważał za stosowne zaoponować.

– Cóż znowu, proszę pani.

– Sądzi pan więc?...

Kolski nic me sądził. Czuł się nieswojo i odnosił takie wi żenię, jakby pani Dobraniecka przez pomyłkę jedynie zwróciła się doń z tym wszystkim, biorąc go za kogoś innego. Tym niemniej wydała mu się urocza i bardzo dobra. Nie domyślał się w tej wyniosłej, pięknej pani tylu sentymentalnych możliwości.

– Pani jest bardzo dobra – powiedział. Zapanowało milczenie. Z salonu dobiegły strzępy muzyki. Pierwsza odezwała się pani Nina.

– Bardzo mało znałam pannę Kańską. Była kilka razy u nas, wywarła na mnie dodatnie wrażenie. To, zdaje się, jedna z tych dojrzałych współczesnych kobiet, które chcą i umieją samodzielnie walczyć o byt. Mój mąż wysoko ceni jej uzdolnienia. Słyszałam od niego zawsze słowa uznania, a pan wie, że nie jest on człowiekiem pobłażliwym.

– O tak – przyznał Kolski.

– Nie dziwi to pana, że z zainteresowaniem przyglądałam się tej czarującej dziewczynie. Nieobojętnie też dowiedziałam się o tym, że łączy pana z nią nic wzajemnej sympatii.

– Niestety, nie wzajemnej – z goryczą powiedział Kolski.

– Teraz się to okazało i było to dla mnie niespodzianką. Któż by to mógł przypuszczać?

Wprawdzie nieraz z lecznicy i spoza lecznicy dobiegały

mnie pogłoski uwłaczające jej opinii. Prostowałam to z oburzeniem. Byłam przekonana, ach, nie mniej niż pan, że jej stosunek do Wilczura polega wyłącznie na admiracji. Wziąwszy chociażby pod uwagę jego wiek. Przecież to już niemal starzec. Kto by to przypuszczał! Młoda, ładna, niezależna, na pozór nieskazitelna, bezinteresowna... I nagle jak piorun z jasnego nieba pada takie odkrycie...

– Nie wszystko złoto, co się świeci – sentencjonalnie powiedział Kolski. Miał gorycz w ustach, wstręt i pogardę dla całego świata. Pani Nina znowu dotknęła jego ręki.

– O, nie, panie Janie, nie wolno panu jej potępiać. Skądże pan może widzieć, jakie okoliczności moralne czy nawet... materialne skłoniły ją do tego, by zostać przyjaciółką starszego przecież i bynajmniej niepociągającego pana. Życie, nawet życie takiej młodej dziewczyny jest pełne zagadek i tajemnic. Nie można tego brać powierzchownie, nie można a la lettre. Zbyt surowo pan ją sądzi. Przyznaję panu rację, że dla obojętnego widza będzie ona tylko metresą pana Wilczura. Ale my, którzyśmy ją znali, nie możemy sprawy tak symplifikować. Z jakichś powodów musiało jej zależeć na nim. Ostatecznie Wilczur nie pożyje już długo, a podobno posiada jeszcze znaczny majątek.

To pociągnięcie było jednak już zbyt silne. Pani Nina wymierzyła źle swój cios, który nie tylko chybił, lecz wywołał gwałtowną reakcję.

Kolski zmarszczył brwi i powiedział nieco podniesionym głosem:

– To nieprawda, proszę pani. Wiem z całą pewnością, że profesor Wilczur jest zupełnie zrujnowany. A zresztą chociażby był milionerem, nie miałoby to dla panny Łucji najmniejszego znaczenia. Zapewniam panią, bo wiem, że dla niej względy materialne w ogóle nie istnieją. O, nie, ona jest zbyt szlachetna, proszę pani, a jej bezinteresowność nawet mnie zdumiewała. Przecież sam nieraz dawałem jej dobrych pacjentów, a ona wymawiała się brakiem

czasu, i wie pani, w jaki sposób ten czas zużywała?... Za darmo leczyła po różnych ochronkach i przytułkach.

Pani Nina cofnęła się na dawne pozycje.

– Zawsze byłam o niej takiego zdania – powiedziała z naciskiem. – Zawsze. Przyzna pan jednak, że sam musi gubić się w poszukiwaniu motywów jej postępuku. Wszystko tłumaczyła-by tylko bezgraniczna miłość. Owszem, zdarzają się wypadki, że młode dziewczęta durzą się czy nawet kochają się w starszych panach. Możliwe, że i tu zachodzi taki wypadek, chociaż nie przypuszczam, chociażby dlatego, że doktor Kańską robiła zawsze na mnie wrażenie istoty wyjątkowo zdrowej zarówno fizycznie, jak i psychicznie, nie ulega zaś wątpliwości, że miłość do człowieka tak starego uważana być musi za coś nienormalnego, za coś sprzecznego z naturą...

Znowu zapanowało milczenie.

– Mówiono mi kiedyś, że znachorstwo polega nie tyle na leczeniu, ile na sugestionowaniu chorych, że się czują lepiej. Podobno zdemaskowano nawet niedawno gdzieś w Małopolsce znachora, który posiłkując się umiejętnością hipnotyzowania, wymuszał od naiwnych wieśniaków pieniądze,

a od ich żon i córek to, co mu dać mogły. Świat jest pełen tajemnic i nigdy nie kusiłam się, by je rozwiązywać. Wie pan, jaki ustaliłam dla siebie przepis?

– Jaki, proszę pani?

– Po prostu gdy stykam się z czymś niezrozumiałym, z czymś, co pod pokrywką niezwykłości może kryć jakąś ohydę, szybko przechodzę mimo. Wolę zachować przeświadczenie, że świat jest piękny, a postępowanie ludzi szlachetne i mądre. W ten sposób ratuję siebie przed wszelkim brudem. Przechodzę mimo i choćby mi najbardziej zafeżało na wniknięciu w nieznane – rezygnuję. Proszę mi wierzyć, że, to jest dobra recepta.

– Nie od wszystkiego tak łatwo można odejść, proszę pani – poważnie zauważył Kolski.

– Któż mówi o rzeczach łatwych. Chcąc cenić siebie i wzmacniać swe wartości ludzkie, trzeba się zdobywać na rzeczy trudne. Nie sztuka jest złamać słomkę, nie sztuka odwrócić się

218

od potrawy, która nam nie smakuje. Moim zdaniem człowiek typu pana jest właśnie stworzony do pokonywania w sobie największych trudności. Pan jest dzielnym człowiekiem. Gdyby pan żył w czasach kolonizacji Ameryki, na pewno byłby pan jednym z pierwszych pionierów.

Na taras wszedł profesor Dobraniecki i zawołał:

– Nino, pan minister wychodzi, chciał ciebie pożegnać.

– Idę w tej chwili – odpowiedziała, wstając i wyciągając rękę do Kolskiego. – Dziękuję panu. To była cudowna rozmowa. Tak mało mam podobnych chwil w życiu. Niezmiernie żałuję, że wyjeżdżam. Niestety, wszystko już postanowione i przygotowane. Nie mogę opóźnić swego wyjazdu. Ale postaram się skrócić mój pobyt za granicą. Tyle mam jeszcze panu do powiedzenia, tyle jeszcze chcę od pana usłyszeć. Czy pozwoli pan, że do niego napiszę?...

Kolski, od początku zdetonowany, zmieszał się do reszty.

– Ależ proszę pani. Będę niezmiernie wdzięczny.

Nisko pochylił się całując ją w rękę. Gdy się wyprostował, nie było już jej na tarasie.

Wracał do domu oszołomiony. By zebrać myśli, minął swoją kamienicę i wybrał się na dłuższy spacer w Aleje. Już świtało. Nad Łazienkami szarym srebrem przecierało się niebo.

Usiadł na jednej z ławek i zaczął segregować wrażenia. Nie uważał siebie za człowieka głupiego i nie był nim w istocie. W tym, co mówiła pani Nina, wyczuł od razu żądło nienawiści do Łucji, zamaskowane jakże zręcznymi komplementami. Broniąc jej pozornie, w istocie chciała ją zdyskredytować w jego oczach. Ale w jakim celu? Czyżby wyjazd Łucji w jakiś sposób wiązał się z osobą pani Dobranieckiej?... Nie, to nonsens. Było jeszcze jedno wyflu-

maczenie, ale Kolski zbyt skromne miał mniemanie o sobie, by móc przypuścić, że ta świetna dama zakochała się właśnie w nim.

W każdym razie rozmowa z nią musiała zostawić i zostawiła bardzo silne wrażenie. Pani Dobraniecka zjednała go sobie zwierzeniami, olśniła sposobem; bycia i poziomem ujęcia tych trudnych i skomplikowanych spraw, na określenie których on osobiście miał tylko tak proste słowa jak miłość, nienawiść, zazdrość.

Zasypiając myślał:

– Dziwna, niezwykła kobieta...

Rozdział VIII

Łucja śmiała się jasnym beztroskim śmiechem.

– A widzi pan, że i tu przydam się – mówiła otwierając walizkę i wyjmując z niej zgrabnie popakowane w woskowany papier kanapki. – Zasłabłby pan z głodu.

– Że też pani o tym pomyślała – dziwił się Wilczur.

– Wcale nie pomyślałam. Po prostu zadzwoniłam do informacji kolejowej i dowiedziałam się, że w tym pociągu nie ma wagonu restauracyjnego. A stąd już nietrudno było wyciągnąć dalsze wnioski. Ponieważ zaś wiedziałam również, że wyjechał pan z domu, oczywiście, bez śniadania, przezornie zaopatrzyłam się w to wszystko.

– Ależ to cała spiżarnia.

– Niech się pan nie obawia, profesorze. Najbliższa duża stacja zaopatrzona w bufet, gdzie pociąg na dłużej się zatrzymuje, będzie dopiero o jedenastej. Upewniam pana, że do tego czasu niewiele z tej spiżarni zostanie.

Przepowiednia Łucji sprawdziła się w zupełności. Dobremu apetytowi sprzyjał nie tylko wczesny ranek i podróż, ale i nastrój obojga. Po krótkiej konsternacji i serii wyrzutów, jakie Wilczur zrobił Łucji, musiał pogodzić się z faktem dokonany, pogodzenie to przyszło mu

tym łatwiej, że w gruncie rzeczy, chociaż sam przed sobą do tego się nie przyznawał, uszczęśliwiony był jej niesubordynacją.

219

Z uwagą słuchał jej projektów na przyszłość. Nie zamierzała ograniczyć swojej pracy na wsi do pomocy Wilczurowi. Ułożyła już sobie cały plan działania. Zajmie się na szerszą skalę propagandą higieny w okolicznych osiedlach, w szczególności mieszkań. Z kolei Wilczur zaznajamiał ją z warunkami, jakie zastań na miejscu. Opisywał ludzi, stosunki, zwyczaje i obyczaje panujące w młynie, w miasteczku i w okolicy.

Byli tak zajęci rozmową, że nie dosłyszeli szmeru lekko rozsuwających się drzwi przedziału i nie dostrzegli ręki, która się przez szparę wsunęła. Wsunęła się zresztą na krótko, po to tylko, by wprawnym ruchem zanurzyć się w wewnętrznej kieszeni palta Wilczura, niebacznie umieszczonego na wieszaku tuż przy drzwiach.

Właściciel tej ręki cofnął ją wraz z zawartością bezszelestnie i również bezszelestnie przymknął drzwi. Następnie nie tracąc czasu, szybko wycofał się z wagonu, przezornie minął jeszcze dwa i w trzecim zatrzymał się na pustym korytarzu. Rozejrzał się uważnie, po czym wydobył z zanadrza dość gruby

pugilares. Gwizdnął z cicha i przeciągle na widok poważnego pliku banknotów, po czym precyzyjnym ruchem umieścił je w kieszeni. Wewnątrz pozostały tylko papiery, nie przedstawiające żadnej wartości. Już chciał pugilares wyrzucić przez okno, gdy wpadł mu w oko zielony papierek przypominający dolary. Wyciągnął go spośród innych i przeczytał:

„Otrzymaliśmy od profesora Rafała Wilczura złotych...”

Ręka gotowa już do ruchu zastygła w powietrzu. Ponowne gwizdnięcie wydobyło się z jego ust, zanurzył palce w portfelu. Paszport, legitymacja, bilety wizytowe... Nie ulegało wątpliwości, czyją pugilares stanowił własność.

Powolnym ruchem sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej świezo zainkasowane banknoty i ulokował na ich dawnym miejscu, po czym wsunął portfel do kieszeni i już znacznie wolniej ruszył z powrotem. Z łatwością odszukał ten przedział. Przez rozchylone firanki widać było brązowy płaszcz.

Tym razem już bez zachowania ostrożności otworzył drzwi i wszedł do przedziału.

W pierwszej chwili nie poznali go. Miał na sobie prawie wytworny garnitur, granatowy w szarą kratę, i nieznacznie tylko wygniety melonik. W takim stroju jeszcze go nie widzieli.

Profesor Wilczur wpatrywał się weń przez chwilę z niedowierzaniem, aż zawołał:

– Jemioł!

– Ha, zgadłeś cesarzu. Trudno. Zostałem zidentyfikowany. Coraz trudniej w tej Polsce podróżować incognito. Moje uszanowanie pani. Cóż to za wyprawa lekarska? Jedziecie państwo kogoś zarzynać na prowincji? Czy już zabrakło mięsa w Warszawie?...

Przyjrzał się uważnie i zapytał, podnosząc kapelusz nad głową:

– Hej, a może to właśnie najsposobniejsza okazja do złożenia życzeń? Per Bacco! To mi wygląda na podróż poślubną.

Wilczur zaczerwienił się, Łucja zaś wybuchnęła śmiechem.

– Niestety, nie.

– Nie?... – odetchnął jakby z wielką ulgą Jemioł i rozsiadając się wygodnie powiedział: –

W takim razie bez ujmy dla mojej godności mogę z wami pozostać.

– A dokądże pan jedzie? – zapytała Łucja.

– Jest to tak modna dzisiaj „podróż w nieznane”. Oryginalnością moją jest fakt, że czynnikiem regulującym staje się naprawdę przypadek, to jest ten moment, gdy konduktorowi uda się stwierdzić, że nie posiadam biletu. Konduktorzy mają przesąd, że pociągami jeździć mogą ludzie zaopatrzeni w bilety. Zawsze podczas letnich wakacji usiłuję ich przekonać, że jest

inaczej. Niestety, są to ludzie niezdolni do absorbowania nowych pojęć i dlatego nader często muszą wysiadać na najbardziej nieprawdopodobnych stacjach. Ma to wprawdzie ten plus, że stopniowo poznają drogą ojczyznę, ale i ma wady. Mianowicie niektóre jej rejony stają się wręcz niedostępne.

– Czy pan tak lubi podróżować? – zapytała Lucja.

220

– Podróże kształcą – wyjaśnił. – Ja zaś zawsze miałem zamiłowanie do turystyki. Jestem uspołeczniony. Widząc wszędzie plakaty nawołujące wielkimi literami: „Zwiedzaj Polskę”, „Poznaj swój kraj” – jakże mógłbym się nie skusić.

– Ale plakaty – zauważyła Lucja – nie zalecają podróżować na gapę.

– To tylko niedopatrzenie – oświadczył Jemioł. – Ostatecznie jaka jest różnica między jazdą na gapę a jazdą z biletem? Quelle difference? Ludzie o uproszczonym sposobie myślenia jedno nazywają włóczęgostwem, drugie zaś turystyką. Czy sam osobnik, który w taki czy w inny sposób podróżuje, zmienia się? Bynajmniej. O różnicy decyduje po prostu jego kieszeń, pugilares. Człowiek uprawiający turystykę bez pugilaresu jest włóczęgą, człowiek włóczący się z pugilaresem jest turystą. Dla wykazania państwu, jak nieściśle i pod względem naukowym nie wytrzymujące krytyki jest tego rodzaju definiowanie, pokażę wam coś...

Nie dokończył. Do przedziału wszedł konduktor i stereotypowym tonem powiedział:

– Poproszę o bilety do kontroli.

Bilety Lucji i Wilczura zostały przedziurkowane. Z kolei konduktor zwrócił się do Jemioła, patrząc nań nieufnie:

– Pański bilet?

– Charonie, perfidnie eksploatujący twórczą inwencję Stevensona dla niskich celów kapitalizacji etatystycznej. Czy nie budzi się w tobie spontaniczna dezaprobata tycu tendencji cy-

wilizacyjnych, które wplątały cię w tryby fiskalizmu, paraliżującego liberalizm lokomocyjny i intensywną penetrację interregionalną?

Strapiony konduktor powiódł wzrokiem po obecnych i odezwał się już całkiem niepewnie:

– Mnie tam wszystko jedno. Pan będzie łaskaw bilet do kontroli.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się Jemioł. – Więc naprawdę pieścisz w swej duszy słodkie złudzenie, że mogę posiadać coś takiego?

– Ja tu nie na żarty przyszedłem – obruszył się konduktor – i niech pan mnie nie tyka, bo z panem świń nie pasłem. Proszę o bilet albo wysadzę pana na najbliższej stacji.

– Nie przyjdzie ci to tak łatwo, carissime, albowiem przepisy, którym musisz niewolniczo ulegać, powiadają, że pasażer, który nie zdążył kupić biletu, może to uskutecznić w wagonie z pewną nieznaczną dopłatą. Ja właśnie jestem takim pasażerem.

To rzekłszy, przybrał pogardliwy wyraz twarzy i wydobywszy z kieszeni pękaty portfel

Wilczura, wyciągnął z pliku banktów jeden, wręczając go konduktorowi.

Obfita zawartość pugilaresu skonsternowała konduktora. Była dlań zupełną niespodzianką, gdyż swoim wprawnym okiem, już wchodząc do przedziału, ocenił tego pasażera w meloniku jako włóczęgę bez grosza przy duszy. Teraz przyszło mu na myśl, że może to być jakiś dziwak.

– Czy pan też jedzie do Ludwikowa? – zapytał rzeczowo.

– Do Ludwikowa? – zaciekawił się Jemioł. – Tak, przyjacielu, podziwiam twoją intuicję.

Istotnie jadę do Ludwikowa. Natomiast będę ci wdzięczny, Archimedesie, jeżeli mi powiesz, po kiego diabła.

Konduktor podał mu bilet i wzruszył ramionami.

– Pan tak do mnie doprawdy dziwnie mówi. Gdy się wycofał, Jemioł westchnął:

– No i widzisz, generale, sam o tym nie wiedząc, zafundowałeś mi bilet do jakiegoś par-

szywego Ludwikowa. A to przyjm ode mnie w darze, jako skromny rewanż.

Powiedziawszy to, podał Wilczurowi jego portfel.

– Ależ... ale to mój portfel – zdziwił się profesor.

– Tak – przyznał Jemioł – i tej właśnie okoliczności zawdzięczam to, że nie stał się moim.

Ach, faraonie, wzbudziłeś słabość w moim lwim sercu. Niech tam. Wspaniałomyślnie zwracam ci ten opasły przedmiot, zdobyty nakładem znacznego doświadczenia i niejakiej wprawy palców. A na przyszłość nie radzę ci, Midasie, wieszac palta tuż przy drzwiach przedziału.

221

Wilczur był widocznie zażenowany całym tym zdarzeniem, natomiast Łucja spoglądała na Jemioła z nie dającym się ukryć niepokojem. Nie zwracając na to uwagi, perorował dalej. W pewnej chwili zapytał:

– Czy to czcigodni państwo jadą do owego Ludwikowa?

– Tak – potwierdziła Łucja.

– W każdym razie proszę mnie uprzedzić, kiedy będzie ta stacja, bo muszę kazać służbie zapakować moje liczne kufry.

– Ma pan dość dużo czasu – powiedziała Łucja. – Jakies jeszcze dwanaście godzin.

– Ach tak? Więc jest to gdzieś w pobliżu bieguna północnego.

– Nie, przyjacielu – zaśmiał się Wilczur. – Nie dojeżdżamy nawet do kręgu polarnego.

– To świetnie, bo nie zabrałem ze sobą psów pociągowych, sań ani innych Eskimosów.

Ale czy możecie mnie poinformować, po kiego licha tam jedziecie? Na letniaki, cesarzu?

– Nie, przyjacielu. To przenosiny, i po części ty jesteś ich sprawcą. Obrzydziłeś mi miasto...

– Recte, uświadomiłem ci, my dear, twoje obrzydzenie do miasta. W człowieku jest cała dżungla nieświadomych upodobań, zagłuszonych zachcianek, sympatii i awersji. Forte-

pian stoi jak głupia krowa i nic nie wie o swoim wnętrzu, o tych setkach strun, które zdolne są wydawać najprzeróżniejsze dźwięki. Gdy jednak do tego pudła na pozór martwego zabierze się wirtuoz, wydobędzie zeń umiejętnymi manipulacjami całe piekło i niebo muzyki. Tak i ja zabieram się do dusz ludzkich. Morał?... Przystawaj ze mną, a osiągniesz ideał poznania siebie.

Wilczur uśmiechnął się.

– Nic nie mam przeciwko temu.

– Przeciw czemu?

– Przeciw przestawaniu z tobą. Jedź z nami, przyjacielu, i zostań.

– A, za przeproszeniem, po kiego diabła?

– Chociażby w charakterza wirtuoza. A zresztą nie masz przecież ani rodziny, ani nic cię nie zmusza do powrotu do Warszawy. Posiedzisz sobie na wsi wśród innych ludzi. O, właśnie! Tam cię naocznie przekonam, ilu ludzi jest dobrych. Nie chciałeś wierzyć w ich istnienie.

Po krótkich certacjach Jemioł zgodził się. Ostatecznie było mu wszystko jedno, gdzie czas spędza, ponieważ zaś rozmowy z Wilczurem sprawiały mu przyjemność, powiedział:

– No cóż, na jakiś czas mogę skorzystać z twoich propozycji, milordzie. Profesor ucieszył się.

– No widzisz, przyjacielu. Nasza ekipa wzmacnia się. I jestem przekonany, że poznawszy radoliskie strony już nie zechcesz stamtąd wyjeżdżać. Sądzę też, że obrzydnie ci próżniactwo i wraa z koleżanką Kańską będziesz mi pomagał.

– Z kim? – zapytał nieswoim głosem.

– Z doktor Łucją Kańską – powiedział Wilczur, ruchem ręki wskazując swoją visavis.

Wykrzywiona błazeńsko i cynicznie twarz Jemioła przybrała nagle skupiony, poważny

wyraz. Wzrok długo błędził po twarzy i postaci Łucji.

– Pani nazywa się Kańską?... Nie wiedziałem o tym.

– Od urodzenia – zaśmiała się nieco zaskoczona jego tonem Łucja.

– Czy... czy pani pochodzi z Sandomierza? – nie spuszczał z niej oczu.

– Nie. Z Miechowskiego, ale w Sandomierzu miałam rodzinę. Zapanowało milczenie.

– Zna pan tamte strony? – zapytała Łucja.

Jemioł długo nie odpowiadał. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Człowiek włóczy się wszędzie.

Widocznie jednak nazwisko Łucji odezwało się w nim nader silnym wspomnieniem, gdyż od tej chwili umilkł i siedział zgarbiony, ponury.

222

– Byłem kiedyś w Sandomierzu – zaczął Wilczur, jakby nie dostrzegając zmiany w nastroju towarzysza. – To jeszcze za studenckich czasów. Ładne miasto. Stare mury... Pamiętam ratusz, piękny ratusz. I tę uliczkę na prawo, i dom z czerwonej cegły, cały tonący w zieleni.

Tam zatrzymaliśmy się z kolegą... A później kupiliśmy niewielką łódź i już łodzią w dół Wiśły aż do Warszawy. Za owych czasów była to, ba, cała wyprawa i ogromnie byliśmy z siebie dumni. To na pewno jedne z najmilszych wakacji, jakie pamiętam. Byłem wtedy na pierwszym roku. Później przyszły już lata ciężkiej pracy. Lato wyzyskiwało się na praktykę w klinikach zagranicznych albo po prostu na zarabianie, by było czym w roku szkolnym opłacić mieszkanie i utrzymanie...

Pociąg zatrzymał się na jakiejś niedużej stacji.

– Czy pani znała panią Elżbietę Kańską? – cicho odezwał się Jemioł.

Łucja skinęła głową.

– To moja stryjenki.

– Stryjenka – powtórzył Jemioł. – Więc Michał Kański był pani stryjem..

– Tak – potwierdziła Łucja. – Znał ich pan?

– O tyle, o ile człowiek może znać drugiego człowieka... Michał Kański. Uczniowie nazywali go tapirem. Na starość musiał się spaść. Wygląda pewno teraz jak nosorożec, tyjąc i pochrzakując w ciepłym oparzelisku mieszczańskiego gniazdka.

Łucja potrząsnęła głową.

– Nie żyje już od lat dwudziestu. Byłam małą dziewczynką, gdy umarł. Oboje umarli. Bo i stryjenka przed paru laty. Zrobiła pauzę i dodała z naciskiem:

– Bardzo ją kochałam i wiele jej zawdzięczam. Była to najszlachetniejsza kobieta, jaką znałam.

Powiedziała to w intencji uchronienia pamięci zmarłej przed jakimiś niestosownymi żartami Jemioła. On jednak parsknął krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

– O, ja też jej wiele zawdzięczam.

Następnie jednak odsunął się w kąt przedziału i pogrzyży się w ponurym milczeniu. Wilczura również opanowały jakieś myśli czy wspomnienia. Łucja wyjęła książkę i zaczęła czytać.

Pociąg pędził pośród łagodnie sfalowanych wzgórz, porośłych młodym lasem i krzewami. Z rzadka wśród nich migwały jasnozielone pólka wschodzącego zboża i szare, puszyste strzechy wiosek.

Słońce przeszło już na zachodnią stronę nieba, jego promienie wpadały do przedziału długimi, niskimi smugami.

Rozdział IX

Wcześniej śniadano w młynie Prokopa Mielnika. Mieszkali tu ludzie pracy, a wiadomo, że do pracy sił trzeba, których znikądinąd, jak tylko ze stawy nie weźmiesz. Toteż zanim jeszcze rudy Witalis poszedł podnieść zastawę, a stary Prokop obudził syna, baby postępując i

drapiąc się po odleżałych bokach, ziewając i siąkając nosami, krzątały się przy wielkim piecu. Zonia rozdmuchiwała wczorajsze węgle, w boczny podpiecek zagarnięte. W czarnej masie gdzieś w głębi tlił się mały tylko ogieniek, lecz nie upłynęły i dwa pacierze, gdy pod wpływem jej wysiłków cała kupa węgla rozżarzyła się i przesunięta na środek pieca, buchnęła jasnym płomieniem w garści smolistych szczapek. Olga przydźwigała z sieni potężną naręcz polan brzozowych i z hurkotem rzuciła je na podłogę. Dobre drzewo, suche, jeszcze zeszłego lata w lesie zrąbane i zimą zwiezione, popiłowane, porąbane w zgrabne polana, w przewiewne sagi ustawione, teraz zajęło się szybko i łatwo, od czasu do czasu tylko wydając głośne trzaski i strzelając iskrami.

223

Stara Mielnikowa od dawna już była na nogach. Z kurami spać się kładła, a jeszcze przed kurami wstawiała. Nie do snu jej było. Z biegiem lat, w miarę jak rosła zamożność jej Prokopa i domu, zdawało się jej, że coraz więcej trosk nad nią ciąży, bała się, że byle niedopatrzenie pociągnie za sobą nieobliczalne straty, że gdy czegoś sama nie dopilnuje, wszystko popadnie w ruinę. Toteż od świtu w chacie i w obejściu rozlegał się jej skrzypiący, gderliwy głos, strofujący zarówno domowników, jak i przedmioty martwe, zarówno ludzi, jak i zwierzęta. W jej mniemaniu wszystko sprzysięgåło się, by jej dokuczyć, a gospodarstwu szkodzić.

, Zrządzenie jej stałoby się dla wszystkich nieznośnie, gdyby ktokolwiek na nie zwracał jakąkolwiek uwagę. Zonia i Olga same wiedziały, że o świcie muszą w piecu napalić i ogromny, pękaty garnek do ognia wstawić, by wczorajsza smakowita i dobrze wędzonką okraszona kapusta przygrzała się, stół nakryć, miski postawić, chleba z komórki przynieść.

Natalka i bez popędzania, zaspana jeszcze, biegła do obory, by Białoszkę i Lawonicę na pastwisko wygnać, gęsi i kaczki na wodę wypuścić, dla świń i rozkwiczanych parsiuków zielska i kartofli nasiekać w wielkim korycie, stojącym przed chlewem. Wasyl młyn otwierał i w ruch

puszczał, a jeśli na dziedzińcu nie było jeszcze furmanek z nowym zbożem, wychodził z taką miną, jakby gospodarskim okiem obejścia oglądał, dreptał w pobliżu tego okna, które już z daleka wyróżniało się pośród innych okien domu. I jakże miało się nie wyróżniać. Szczelnie zakrywały je firaneczki z białego, czyściutkiego perkalu, pięknie ozdobione taśmami różowego i niebieskiego papieru gufrowanego, upiętego w środku w dwie prześliczne kokardy. Było to jedno z okien świątecznej izby, czyli pokoju, a raczej tej jego części, która nazywała się „za przepierzeniem”. Od trzech miesięcy mieszkała tam Donka Soleniówna, daleka, ot, dziesiąta woda po kisielu, krewna Prokopa i jego rodziny. Daleka, a przecież bliska. Nie od razu dobrze ją przyjęto w młynie. Z początku to Stary Prokop musiał nieraz i fuknąć porządnie na baby, a Oldze to nawet raz wlepił zdrowego kuksańca, gdy miejskiej przywłoce, jak ją nazywała, tak podała miskę z grochówką, że połowa na kolana jej chlusnęła. Miał swoje powody stary Prokop, że do domu tego darmozjada sprowadził. Podobno kiedyś z rodzonym bratem i z jego rodziną tak postąpił, że z torbami poszli, o czym, choć to już lata minęły, do dziś dnia w okolicach Radoliszek często mówiono, zarzucając Mielnikowi chciwość, nieużytość i obojętność na niedolę i nędzę krewnych. Jak tam było kiedyś naprawdę – trudno wiedzieć, ale lata minęły, lata mijały, a wraz z nimi jakieś nowe myśli do osiwiątej głowy Prokopa przychodziły, a w jego sercu jakieś nowe odzywały się uczucia. Toteż gdy dowiedział się, że w dalekim Wilnie zmarł jego pociotek, Teofil Soleń, i młodą córkę na łasce losu zostawił, po krótkich medytacjach postanowił zabrać ją do siebie. Nic nikomu nie mówiąc, zapakował tobolek i do Wilna wyruszył. Gdy dziewczynę zobaczył, to choć tego nie okazał, żalność się w nim wzmogła.

Młode to było, zaledwie osiemnaście lat liczące, a chuchrowate, blade i na piersi słabujące. Donka i pracy dlatego żadnej znaleźć nie mogła, chociaż i wykształcenie niemałe miała, bo szkołę powszechną z nagrodą skończyła, a potem jeszcze przez dwa lata do gimnazjum cho-

dziła. Jej ojciec za woźnego u jednego pana służył, póki się nie rozchorował na płuca i nie umarł. Taka to już była piersiowa rodzina. Pomyślał tedy stary Prokop, że dziewczyna odkarmi się w młynie, odżyje, że i przydać się też może, bo Natalkę w tym i owym poduczy. Może i inne jeszcze plany żywił, ale o nich nawet i sam myśleć nie chciał.

Zjechała tedy Donka do młyna. Nieśmiała i zahukana, zdawała się bać wszystkich, zaczynając od wielkiego psa Rabczyka, a kończąc na dziadziu, bo tak Prokop kazał się jej nazywać. Mijały jednak tygodnie i dziewczyna zmieniała się w oczach. Tyła, rozrastała się, jej czarne oczy straciły swoje zamglone i pokorne spojrzenie i coraz częściej strzelały żywymi iskrami. Policzki zarumieniły się, a gęste, kasztanowate włosy jakby jeszcze bardziej zgęstniały i nabrały połysku niczym sierść u zagłodzonego konia, którego uczciwie się odkarmi, nie żałując owsa.

224

A właśnie Donce po początkowych fumach i afrontach nikt teraz w młynie niczego nie żałował. Spała dłużej niż wszyscy, dopiero na samo śniadanie się podnosząc, do żadnej roboty nikt jej nie zapędzał. Gdy sama chciała, szła to i owo dla Natalki, dla Zoni lub Olgi, czasem przepiórkę mniejszą zrobiła, ciasto zagniotła lub w sprzątaniu pomogła. Jedną tylko miała pracę stałą: z Natalką nauki odbywać. Ale i tego nie było wiele. I tak jej obecność w młynie nikomu nie ciążyła, a już Wasylowi szczególnie w smak poszła, chociaż bynajmniej się tym nie przechwalał. Już z racji samego swego młodego wieku tęsknił za towarzystwem, a tak się mu jakoś układało, że towarzystwa tego nie miał. Panienki z miasteczka co lepsze kręciły nosem i z synem młynarza, chociaż i zamożnego, zadawać się nie chciały, że żadnych szkół nie ukończył. Na dziewczęta znowu z sąsiednich wiosek on niechętnym patrzył okiem. Za proste mu były. Donka zaś, choć panna z wielkiego miasta, obyta i kształcona, nie tylko nie okazywała mu niechęci czy swojej wyższości, ale traktowała go jak równego. Z przyjem-

nością słuchała jego piosenek, zawsze rada była iść z nim na ryby, a i sama takie mu piękne wiersze opowiadała, że po niektórych to i długo zasnąć nie mógł, rozmyślając nad losami pana Tadeusza, Hrabiego i Zosi.

W młynie Prokopa Mielnika spożywanie Bożych darów nie było, tak jak u innych, li tylko zaspokajaniem głodu. Śniadanie, obiad czy wieczerzę uważano za rodzaj obrządku, od modlitwy się zaczynającego i na modlitwie kończącego. Do stołu zasiadali wszyscy razem, a gdy kogoś nawet i z ważnego powodu przy stole nie było, stary Prokop nie ukrywał swego niezadowolenia. I tego dnia wszyscy razem zasiedli. W pośrodku stołu stała wielka misa parująca sytym zapachem wędzonki i kapuśniaku, w drugiej dymiły kartofle, i choć to był przednówek, na stole leżał ogromny bochen chleba. W młynie chleba nigdy nie brakowało. Drewniane łyżki zanurzały się kolejno w obu misach, bez pośpiechu, by żarłoczności nie okazać. Tylko trzem osobom podawano strawę na oddzielnych talerzach: głowie rodziny, Wasylowi i Doncc. Uprzywilejowanie tej ostatniej również początkowo wywoływało mrukiwe protesty Olgi i Zoni. Z biegiem czasu jednak pogodziły się z tym wyróżnieniem. Jedno, że wiedziały, jak dalece nic nie może zmienić woli Prokopa, drugie, że same ją polubiły i nic mogły jej nie przyznać niejkiej nad sobą wyższości.

Śniadanie dobiegło końca. Prokop, otarłszy wąsy i brodę rękawem, zamierzał właśnie przystąpić do modlitwy, gdy drzwi izby otwarły się i na progu okazała się wysoka, nieco przygarbiona, lecz barczysta postać. Przybyły miał na sobie miejskie ubranie i miejski kapelusz. Przez chwilę stał, uśmiechając się, potem zdjął kapelusz i powiedział:

– Niech będzie pochwalony...

Dopiero teraz go poznali. Ani po twarzy, ani po ubiorze nie mogli go przecie poznać. Kiedy tu żył z nimi, nosił zwykłą siermięgę lub kozuch, miał brodę, co mu pół policzków zasła-

niała...

– Antoni! – zerwała się pierwsza Zonia, aż wywracając ławę. Natałką podskoczyła i już była przy nim. Prokop, tak czerwony z wrażenia, jakby go krew zalać miała, szedł ku Wilczurowi z wyciągniętymi rękoma.

Wasył powtarzał z rozradowaniem:

– Boże drogi... A to gość, a to gość...

Stara Mielnikowa, sama nie wiedząc dlaczego, zaczęła zmiatać okruszyny ze stołu, a Olga stała z szeroko otwartą gębą.

Nie było końca powitaniom. Z początku nieśmiało, ale później już wszyscy na zmianę ścisłali go jak rodzzonego. Żył tu przecież z nimi szmat czasu, z nimi i jak oni. Cóż im z tego, iż potem się okazało, że jest bogatym panem, że sławnym profesorem. W ich pamięci pozostał takim, jakim był. Antonim z przybudówki, dobrym, serdecznym przyjacielem, dla każdego życzliwym, dla każdego usłużnym, przez każdego lubianym.

225

Wilczura usadzono przy stole. Rozbiegane baby przyniosły ser, wędliny, postawiono butelkę nalewki na jarzębinie. Znalazł się i biały chleb. Zaparzono herbatę.

– Prędzej bym się świętego Prokopa, patrona mojego, spodziewał niż ciebie – mówił gospodarz. – Tu i dnia nie ma, żebyśmy cię nie wspominali. Ile razy na przybudówkę, bywało, spojrzę, tyle razy pomyślę: ot, zapomniał o nas, z serca wyrzucił. I żał się robiło.

Wilczur ścisnął jego rękę.

– Nie zapomniałem. A najlepszy dowód, że przyjechałem.

– Bóg ci zapłaci za te odwiedziny. Hej, hej, naschodzi się tu ludzi, jak się dowiedzą, żeś przyjechał nas odwiedzić! Olga zamachała rękami.

– O, naschodzi się! Wilczur spojrzął po obecnych.

– Nie przyjechałem was odwiedzić – potrząsnął głową.

– Jakże to tak? – zdziwił się Wasyl.

– Przyjechałem tu, by już zostać z wami, by już zostać na zawsze... W izbie zapanowało milczenie. Wszyscy spoglądali na Wilczura, to nawzajem na siebie z niedowierzaniem i zdziwieniem. Pierwszy odezwał się

Prokop:

– Chyba nie żartujesz z nas?... Gdzież tobie teraz do nas?... Wilczur przecząco potrząsnął głową.

– Nie żartuję. Zostaję z wami, jeżeli mnie tylko przyjmiecie.

– Boże drogi – jęknęła Zonia.

– O, tobie i sztuka! – Z podziwem potrząsnął rudą czupryną parobek Witalis.

Tylko jedna Natalka nic się nie zdziwiła. Pisnęła radośnie i rzuciła się Wilczurowi na szyję.

– Zostań, zostań.

Prokop poskrobał się po głowie, pogładził brodę, nieufnie spojrział na Wilczura i zaczął:

– Bóg mi świadkiem, zem ci rad, żeśmy wszyscy ci radzi, ale nijak mi się to w głowie pomieścić nie może, żebyś do nas chciał wrócić. Czymże my, biedni, ciemni ludzie, dla ciebie?... Toż ty pan jesteś wielki. U ciebie tam domy kamienne i pałace. Jakże my cię tu przyjmujemy, gdzie posadzim, gdzie spać położym, czym karmić będziem?... Nijak tego pojąć nie mogę...

– Jeżeliście mi tylko radzi – odpowiedział Wilczur – to i nie ma się czym martwić, bom i ja rad, zem nareszcie tu między wami. Nie domów mi potrzeba i pałaców, ale tego serca, którego tam, w wielkim świecie, nie znalazłem, ale tej dobroci, której mi tam nie dali. Żli tam ludzie w mieście... ludzie chciwi, zawistni... Ciężko mi było wśród nich, a jak już zrobiło się

– tak ciężko, że wytrzymać dłużej nie mogłem, to i pomyślałem, że tu mnie po dawnemu serdecznie przyjmiecie, że u was po dawnemu kąt znajdę, że tutejszym ludziom przydam się. Tam, w mieście, dużo jest lekarzy, może lepszych, może rozumniejszych, a na pewno młodszych ode mnie. Niepotrzebny ja tam. Więc pomyślałem sobie: wrócę do was, no i wróciłem. Zonia rozplakała się i pochlipując ocierała oczy wierzchem dłoni. Natomiast Wasyl, nie umiejąc ukryć radości, zawołał:

– Oj, szczęśliwy dzień przyszedł! Toż to dla całej okolicy będzie nowina! Prokop zrozumiał, że Wilczur mówi poważnie, że rzeczywiście postanowił osiedlić się tu w jego młynie.

– Więc zostaniesz? – zapytał.

– Zostanę. – Wilczur kiwnął głową.

– I ludzi będziesz leczył? – Natałka pociągnęła go za rękaw.

– Będę.

– To i przybudówkę trzeba na nowo wyprzątnąć – zauważył Witalis.

– Szyby tam dwie wybite – wtrąciła Olga – może po szklarza polecę do miasteczka?

– Idźże ty ze szklarzem – oburzył się Wasyl – przecież nie w przybudówce będzie mieszkał, tylko w pokoju.

226

– I pewno – potwierdziła Olga. Wilczur zaśmiał się.

– Nie, nie chcę. Tylko w przybudówce. Tak, .ż do niej przywykłem. Dobrze mi tam było.

Lepszego mieszkania mi nie trzeba. A zresztą mam wielkie plany. Ho, ho, jakie plany... Zostało mi trochę pieniędzy i myślę, żeby tu w pobliżu domek pobudować, ambulatorium tam urządzić, że dwa albo trzy łóżka postawić dla tych chorych, których od razu po operacji na wóz położyć można...

– To jakby lecznica – odezwała się Natałka.

– Ano, jakby – potwierdził. – Tylko mała lecznica, na miejscowe

potrzeby.

Projekt ten zastanowił i olśnił wszystkich. Po dłuższej dopiero chwili milczenia powiedział

Prokop:

– Dziwny z ciebie człowiek. Bóg mnie natchnął, kiedym cię wtedy przyjął do roboty. Ot, nawet już nie myślę, w rachunek nie biorę tego dobra, com od ciebie zaznał...

– Jakiego tam dobra – przerwał mu Wilczur.

– Nie przecz, nie przecz – z powagą zaproponował młynarz. – Do śmierci ci się nie wywdzięczę za to, żeś od kalectwa uwolnił mojego syna, żeś go .wyratował, że – nie kusząc miłosierdzia Boskiego – mogę teraz spokojnie do trumny się położyć, wiedząc komu dorobek całego życia swojego zostawię. Ale mówię, nie to tylko dla mnie dobro ważne, któregom ja od ciebie doznał. Ważne dla mnie i to, coś tu sąsiednim ludziom wyświadczył, nijakiej z tego korzyści nie biorąc. Toż przez ciebie ludzie już krzywo na mój dom nie patrzą, a który się obejrzy z gościńca, to i mówi: tutaj ten znachor mieszkał, tu ludzi leczył... A teraz słyszę, chcesz rzucić miasto i wielkie zarobki, żeby tu z powrotem zamieszkać. Dziwny z ciebie człowiek, święty człowiek. Niejeden tu tak powiadał...

– Nie gadajże byle czego, Prokopie, przyjacielu – wesoło przerwał mu Wilczur. – Dużo jest takich ludzi jak ja. Ot, masz i przykład. Nie sam tu przyjechałem. Przyjechała ze mną jedna lekarka, doktorka, która chociaż młoda i nie znała was, a więc do was mojego przywiązania mieć nie mogła, jak tylko się dowiedziała, że tu jadę, tu chce się osiedlić, sama się zgłosiła mi do pomocy.

– A gdzież o’ra? – Wasyl poderwał się, wyglądając przez okno.

– W Radoliszkach, w zajęździe tymczasem została. Zonia nieznacznie wzruszyła ramio-

nami i nieśmiało, ale z widocznym niezadowoleniem zauważyła:

– Dawniej nijakiej doktorki nie było ci potrzeba... Moja pomoc albo

i Natalki wystarczała. Wilczur zaśmiał się.

– Ho, teraz będzie inaczej. Nic to co dawniej. Teraz tu i apteczkę

maleńką założymy, i narzędzia mam, i aparaty lekarskie takie, o jakich mi się dawniej nie śniło. Leczenie teraz inaczej pójdzie. Niejednego teraz uda się odratować takiego, któremu dawniej nic pomóc nie mogłem... Nagle Prokop opamiętał się.

– Co wy, baby, poszalały? – krzyknął – gadacie i gadacie, a człowieka nie częstujecie, głodem chcecie zamorzyć. A ruszcieże się.

Kobiety poderwały się wszystkie razem i nuż przysuwać Wilczurowi talerze, nalewać herbatę i prosić jedna przez drugą, by nie odmawiał, by jadł i pił. Prokop przepił do gościa szklaniczkę jarzębinówki i w drodze wyjątku synowi również przepić pozwolił.

– Nu, niech tam – mruknął – jak taki gość w domu, to i ty jedną wypij, chociaż to dzisiaj nie święto.

Znowu izba wypełniła się gwarem pytań, okrzyków i odpowiedzi.

— Powiedzcie mi teraz, co u was słychać? – zapytał Wilczur, gdy nieco się uspokoiło.

– Ano, wszystko po staremu – machnął ręką Prokop. – Żyje się, pracuje się przy pomocy Boskiej.

Wilczur spojrział na Olgę i Żonę.

227

– Myślałem, że już dawno wybrałyście się za mąż.

Zonia poczerwieniała i niecierpliwie poruszyła swoimi szerokimi biodrami.

– Mnie tam nie w głowie był ożenek, a Olga to przez te trzy lata drugi raz zdążyła iść za mąż i owdowieć.

– Owdowieć? Nie może być!

– Prawda, prawda – potwierdził Prokop. – Wyszła za jednego tu kolejarza. I pół roku z nim nie pożyła. Nie ma szczęścia do mężów. Olga wyszczerzyła zęby.

– Teraz już na pewno żaden się ze mną nie ożeni.

Wilczur pogłaskał po głowie Natalkę, która stała tuż obok niego.

– Niedługo z córką będziesz miała kłopot. Trzeba będzie i ją za mąż wydawać.

– Nie chcę za mąż” – rezolutnie zaprotestowała.

– Ot, durna – z przekonaniem oświadczyła stara Mielnikowa. Wzrok Wilczura zatrzymał się na twarzy Donki, później przeszedł na Wasyla i znowu powrócił do Donki:

– A ty, Wasyl, widzę, że pomyślałeś o sobie? Wasyl poczerwieniał i nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Donka się uśmiechnęła, a Prokop uważał za stosowne wyjaśnić:

– To moja daleka krewna, Donka Soleniówna. Sierotą została w mieście, to ją i zabrałem.

Żyje u nas. Natalkę uczy... Zrobił pauzę i dodał:

– Bo kształcona.

– Kształcona? – uprzejmie zapytał Wilczur.

– Gdzie tam, proszę pana – swobodnie odpowiedziała dziewczyna. – Zaledwie skończyłam szkołę powszechną. Dwa lata byłam w gimnazjum.

Uczyłam się, póki tatunio żył, a później wiadomo, nie było za co...

– I pewno – sentencjonalnie zauważył Witalis. – Bez pieniędzy nie ma nauki.

– A cóż tu w okolicy słyszeć? Jakie zmiany?

Teraz Prokop zaczął wyliczać systematycznie, kto umarł, kto się ożenił, kto wyemigrował.

– A córka leśniczego żyje? – zainteresował się Wilczur.

– Żyje, ale takie to i życie. Lepiej by już było, żeby umarła, tylko kłopot rodzicom, leży i stęka. Już z niej same kości zostały.

– No, a doktor Pawlicki w Radoliszkach mieszka?

– A jakże, tylko powodzi mu się teraz dobrze. Ożenił się. Folwark za żonę wziął, siedem włók, nie byle co. Samych krów osiemdziesiąt. Ziemia to nieważna, piaski, ale łąki ho, ho. I lasu dobry kawałek. Będzie ze trzydzieści dziesięcin.

– A może i czterdzieści – poprawił Wasyl.

– Jak mówię, że trzydzieści, to trzydzieści – rozgniewał się Prokop. – Od Czarnego Kamienia do Brodu będzie ci czterdzieści! Zdumiałeś chyba, czy co?... Dom ten, w którym mieszkał w Radoliszkach, wyremontował, blachą pokrył. Żyje teraz jak pan. Własnymi końmi do chorych jeździ.

– Ale żona to od niego najmniej o dziesięć lat starsza – pogardliwie wydeła usta Zonia.

– To i co, że starsza? – obruszyła się na nią Mielnikowa. – Panna gospodarna, porządna, nie żadna szlaja, co po wieczorynkach lata, a gospodarstwa nie patrzy.

Zonia wzięła się pod boki i zawołała wojowniczo:

– A niby kto się szlaja po wieczorynkach?

– A ty! – wrzasnęła staruszka.

– Ja?... Ja?... Ze raz na rok pójdę do szkoły...

– A nieprawda!...

228

– Cicho, baby! – huknął Prokop szczerze oburzony – ot, czas znalazły na swoje babskie kłótnie. A do roboty! Co stoicie tutaj? Patrzcie, gęby rozpuściły. Tfu!

Interwencja Prokopa podziałała błyskawicznie. Kobiety jak na komendę zabrały się do swoich codziennych zajęć. Stary Mielnik umiał w swym domu utrzymać dyscyplinę, a jego autorytet nie osłabł z wiekiem.

Przy Wilczurze prócz niego pozostali jedynie Wasyl i Donka. Z niejakim niezadowoleniem dowiedział się Prokop, że Wilczurowi towarzyszy jeszcze jedna osoba, i to człowiek bez fachu. Pogodził się z tym, bo nie mógł się nie pogodzić. Uradzono, że Wilczur wraz z Jemiołem zamieszkają w przybudówce, póki się dla Jemioła nie wyrychtuje izdebki na strychu. W zimie wprawdzie izdebka była nie do zamieszkania, latem jednak nieraz nawet Wasyl tam sypiał.

Następnie wszyscy razem obejrzeliby przybudówkę i omówili niezbędne poprawki, przy czym Wilczur postawił na swoim, że wszystkie koszty sam poniesie. Dogodniejsze to było dlań i z tego względu, że nie chciał być skrepowany w wprowadzeniu różnych ulepszeń. Chciał mianowicie wytynkować wnętrze izby i alkowy, pomalować podłogi, a w sieni podłogę położyć, przebić okno i ławy ustawić dla spodziewanych pacjentów: prowizoryczna poczekalnia.

Do czasu ukończenia tych robót Wilczur miał pozostać w radoliskim zajeździe. Remontem przybudówki postanowił zająć się sam Prokop, twierdząc, że nikt tego lepiej nie dopilnuje, lepszych majstrów nie postawi i prędzej nie załatwi niż on. Nie można było mu odmówić słuszności.

Tymczasem w Radoliszkach przyjazd profesora Wilczura stał się już powszechnie wiadomą sensacją dnia. O niczym innym nie mówiono, gubiąc się w domysłach, co go tu sprowadza. Jedni twierdzili, że przybył w te strony, by odkupić dla córki Ludwikowo, które młody pan Czyński po śmierci swoich rodziców sprzedał. Inni utrzymywali, że nie dla córki, tylko dla siebie zamierza kupić w okolicy majątek i ożenić się z tą panią, z którą przyjechał. Jeszcze

inni zapewniali, że profesor przeprowadzi ekshumację zwłok swojej żony na radoliskim cmentarzu, by przewieźć je do Warszawy, lub też że pomnik tu na jej grobie postawi. Znaleźli się nawet poinformowani, którzy ten pomnik na stacji ludwikowskiej widzieli na własne oczy. W rezultacie całej tej gadaniny w miasteczku ruch się zwiększył w dwójnasób, bo komu tylko czas na to pozwalał, nie mógł wytrzymać, by nie pobiec do zajazdu i tam od właściciela dowiedzieć się tych kilku szczegółów dotyczących profesora, które znał. A szczegółów tych nie było wiele. Przyjechali późną nocą i śpią jeszcze, z wyjątkiem profesora, który o świcie już wstał i poszedł pieszo do młyna Prokopa Mielnika.

Zresztą już przed południem miasteczko zostało zelektryzowane powrotem Wilczura.

Wszyscy zauważyli, że postarzał się bardzo. Szedł wolno, rozglądając się z uśmiechem dookoła i kłaniając się znajomym, a wielu ich było, bo przecież z okresu swego znachorstwa znał tu niemal wszystkich. Nikt jednak nie ośmielił się zatrzymać go na pogawędkę. Profesor doszedł do rynku, przystanął przed sklepikiem pani Szkopkowej i wszedł do środka.

Wzruszenie ścisnęło mu serce, gdy spojrzał po tych starych ścianach, po półkach zastawionych przeróżnymi towarami, na których z naiwną dekoracyjnością rozłożone były paczki gilz i tytoniu, ołówki, piórniki, kajety, arkusze kalkomanii, pretensjonalne ozdoby na biurko, przypłowiałe rolki kolorowej bibułki i wszystko to, co kiedyś Marysia tu układała, co sprzedawała, czego dotykały jej ręce... Lada nieco wykrzywiona, koło żelaznego piecyka poręcz schodów wiodących do piwniczki.

Za ladą siedziała młoda, tęga dziewczyna o twarzy zrytej śladami ospy, lecz o miłym spojrzeniu niebieskich oczu. Zerwała się na widok wchodzącego, domyślając się od razu kim jest.

– Czym mogę służyć, panie profesorze? Przyjrzał się jej zdziwiony.

– Skądże panienka mnie zna? Zaśmiała się.

– Tu miejscowych wszystkich znam, więc jak ktoś nowy przyjedzie, to zaraz wiadomo kto.

– I panienska wie, kim jestem?

– Naturalnie, że wiem. Wszyscy już wiedzą, że pan profesor przyjechał. Od rana. Pani Szkopkowa mówi, że na letniaki do dworu w Zielonej, ale ja wiem, że to nieprawda.

Rozbawiło to Wilczura.

– Skądże panienska wie? – zapytał z uśmiechem.

– Ano, bo strasznie dużo rzeczy pan profesor ze sobą przywiózł. To na letniaki tyle się nie wozi.

– Powinna panienska zostać detektywem. A jakże się miewa pani Szkopkowa?

– Jak to ona. Kwęka po trochu, narzeka na zastój, że się dzieci łobuzują, ale dobrze. Może ja skoczę po nią?

Nie potrzebowała jednak skakać. W miasteczku wszystkie wieści docierały z krańca na kraniec z szybkością telegrafu bez drutu. Toteż w minutę po wejściu Wilczura do sklepiku pani Szkopkowa została już zaalarmowana i nie zważając na zadyszkę, pędziła truchtem przez rynek, by profesora powitać. Honor to dla niej był niemały, że taki człowiek ją właśnie pierwszą w Radolizkach zaszczycił odwiedzinami. Będzie z tego powód do dumy własnej i do zawiści ludzkiej na dobrych parę miesięcy. I tak zresztą miała prawo pani Szkopkowa uważać się za bliższą profesorowi niż inni w miasteczku. Raz, że córka jego pod jej opieką przebywała lat kilka, drugi, że przed dwoma laty pani Szkopkowa jeździła do Warszawy i tam osobiście profesora widziała.

Powitała go też teraz z całą wylewnością i rozrzewnieniem, przede wszystkim pytając o córkę.

Profesor zasępił się nieco, lecz opanował się i powiedział:

– Ha, cóż. Jest szczęśliwa. Siedzą w Ameryce, on zarabia ogromne pieniądze. Prowadzą

wesołe życie. To im wystarcza.

– A nie wybiera się pan do nich w odwiedzinie?

– Nie... Droga daleka, a ja już stary...

– Komu to o starości mówić – kurtuazyjnie przerwała mu pani Szkopkova.

– W każdym razie – ciągnął profesor – nie zajęłoby mnie to, co ich zajmuje. Nie chciałbym ich krępować swoją osobą. Starzy nie powinni się narzucać młodym. A jakże się pani powodzi?

Szkopkova zaczęła obszernie opowiadać o sobie, o swoich dzieciach, o stosunkach w miasteczku, o tym, że się proboszcz zmienił, że ktoś kogoś wyprocesował i tak dalej.

Gdy się dowiedziała od Wilczura, że zamierza on na stałe osiąść w młynie, uszom nie chciała wierzyć i od tej chwili niecierpliwie spoglądała na drzwi, by jak najprędzej wybiec i podzielić się tą sensacyjną wiadomością z możliwie jak największą liczbą osób.

Po powrocie do zajazdu Wilczur zastał Łucję nieco zaniepokojoną. Okazało

się, że Jemioł zaraz po przebudzeniu kazał sobie podać butelkę wódki, która natychmiast wypróżnił, i wyszedł do miasteczka.

– Obawiam się – mówiła – by po pijanemu nie wywołał tu jakiejś awantury.

Profesor zaśmiał się.

– Niech pani będzie spokojna, panno Łucjo. Jedna butelka nie grozi żadnymi konsekwencjami.

– Jemu może nie, ale innym.

– Wykluczone. Ręczę, że jest zupełnie trzeźwy. Zamyśliła się i powiedziała:

– To też mnie nie pociesza. W ogóle mam wrażenie, że postąpiliśmy lekkomyślnie, zabierając go ze sobą. Nie twierdzę, że jest to człowiek zły z gruntu, przypuszczam, że nawet

gdzieś na dnie tłą się w nim jakieś zapomniane iskierki uczuć, ale przecież sam cynicznie się przyznaje, że „cudza własność jest to taka własność, której jeszcze sobie nie zdążyliśmy przywłaszczyć”. Bóg wie, co gotów tutaj narobić. Może nam popsuć całą opinię na początku.

230

– Nie podzielam pani obaw – po namyśle odpowiedział Wilczur. – Jemioł nie jest człowiekiem, który kradnie z zamiłowania czy nałogu. Sięga po cudze wtedy, gdy nie może zaspokoić swoich potrzeb, a przyzna pani, że potrzeby jego są bardzo małe. Byle jakie ubranie, byle jakie jedzenie. No i ta wódka, jedyny zbytek... Czy zresztą można to nazwać zbytkiem?...

Zastanawiałem się nad tym, może to jest dlań koniecznością taką, jak dla innych chleb. Proszę mi wierzyć, panno Łucjo, że świadomość czasem bywa największą torturą. Zwłaszcza wtedy, gdy człowiek przestanie wierzyć w siebie, gdy nabierze do siebie pogardy i wstrętu, gdy cynizmem jak kubłem śmieci chce zasypać to, co w nim zostało szlachetnego, a co sam uważa za bezużyteczne. Droga panno Łucjo, możliwe, że swoim zachowaniem się Jemioł narobi tu nam kłopotu, ale proszę pomyśleć, co by się z nim stało, gdybyśmy go zostawili swemu losowi...

Pokiwał głową i dodał:

– Biedna, schorowana dusza. Niechże odżyje w tym klimacie dobra i prostoty. Schorowana dusza, a my przecież jesteśmy lekarzami!... Łucja z powątpiewaniem podniosła brwi.

– Tylko że tym razem pacjent jest nieuleczalnie chory. Wziął ją za rękę.

– A chociażby... Czy beznadziejnie chorego zostawiłaby pani bez opieki?...

Nic nie odpowiedziała, ale rozmowa ta odkryła przed nią nowe strony duszy profesora.

Zrozumiała teraz, że człowiek ten nie zawaha się przed niczym w wypełnianiu swego powołania, które pojmował znacznie szerzej i głębiej, niż mogła się dawniej domyślać.

Zresztą obawy o Jemioła przynajmniej na początku okazały się na szczęście nieistotne.

Większą część dnia spędzał wprawdzie w miejscowym szynku, lecz

będąc z natury człowiekiem spokojnym, pozbawionym awanturniczych instynktów, nie wywoływał żadnej burdy. Sprawdziły się również przewidywania profesora co do jego względnej uczciwości. Nikomu nic nie ginęło z tej prostej przyczyny, że Jemiołowi nie brakło pieniędzy na jego skromne wydatki. Najzwyczajniej w świecie, idąc do szynku, bezceremonialnie zwracał

się do Wilczura:

– Wyasygnuj, włodarzu, jeszcze pół piąta na iniekcje. I tylko nie myśl, że korzystam u ciebie z nieograniczonego kredytu bez rachunku. Każdy wpływ zapisuję skrupulatnie, a co piątek podliczam. Jeżeli potem kartkę wyrzucam za okno, to tylko dlatego, że nie posiadam znajomości wyższej buchalterii. W każdym razie możesz liczyć na to, że mianuję cię moim jedynym spadkobiercą.

A gdy Wilczur śmiał się, Jemioł dodawał:

– Nie śmieję się, arcybusteru. Nie zapominaj: rira bien qui rira par derriere. Możliwe, że mój piękny strój i nakrycie głowy nie wydają ci się przedmiotami zbyt cennymi w doczesnej skali ekonomicznej. Posiadam jednak jeszcze moje boskie ciało, które możesz różnorodnie zużytkować. Byle rzeźnik da ci za nie pokazać sumkę. Pomyśl tylko: kiełbasa od razu nasycona alkoholem. Możesz też mnie kazać zabalsamować i wystawić w jakiejś galerii jako ostatnią replikę Apollina albo zużytkować osobiście, pokrajać lancetem na drobne strzępki i poszukać w nich duszy czy innych takich gazów szlachetnych, w których istnienie wierzysz święcie, nieustannie i głupio.

– I ty w nie wierzysz – pobłaźliwie uśmiechnął się Wilczur. – Gdybyś nie wierzył w gazy szlachetne, nic tęskniłbyś tak do nieszlachetnych oparów alkoholu. To przecież jasne.

– Giędzisz, amigo – starając się ukryć irytację mówił Jemioł. Nie cierpiał, gdy ktoś go podejrzewał, że pije z jakichś innych powodów, nie zaś ze zwykłego zamiłowania do alkoholu.

– Primo, alkohol jest gazem najszlachetniejszym.

I zaczynał wyliczać swoje stare argumenty. Rozmawiali tak nieraz chodząc do młyna, gdzie już remont był na ukończeniu. W młynie, jak to było do przewidzenia, przyglądano się

231

Jemiołowi niechętnie i podejrzliwie, a już sposób jego wysławiania się napełniał wszystkich, poczynając od Prokopa a kończąc na Donce, niepokojem.

– Słucha go, czorta, człowiek, słucha. On niby po ludzku gada, a nic z tego nie wyrozumiesz, chociażbyś pękl. Takich ludzi my tu nigdy nie widzieli.

W ten sposób opinię ogółu mieszkańców młyna zdefiniowała Zonia.

Natomiast Łucja z miejsca i bez trudu pozyskała ogólną sympatię. Jej świeża młodość i bezpośredniość w obcowaniu z ludźmi wzbudzały zaufanie. Nawet Zonia, która początkowo przypuszczała, że ta doktorka jest konkurentką do ręki Wilczura, uspokoiła się, gdy ją zobaczyła. Różnica wieku między profesorem a Łucją zdawała się Zoni dostateczną gwarancją bezpieczeństwa.

Dzięki zabiegom starego Prokopa remont przybudówki został szybko ukończony i Wilczur wraz z Jemiołem przeprowadzili się do młyna. Łucja

tymczasem została w miasteczku. Wynajęła pokój u pani Szkopkowej, która sama wystąpiła z tą propozycją. Codziennie rano szła do młyna, wracała dopiero wieczorem.

Wiść o przybyciu „znachora” szybko rozeszła się po okolicy, gminie, po całym powiecie.

Przed młynem Prokopa Mielnika znowu zaczęły się gromadzić furmanki, przywożące chorych z bliskich i coraz odleglejszych stron. Sława Wilczura przez lata jego nieobecności nie tylko nie uległa umniejszeniu, lecz wzrosła jeszcze bardziej, a historia jego życia stała się

niejako miejscową legendą upstrzoną najfantastyczniejszymi dodatkami. Już nie tylko przypisywano mu własności cudotwórcze, lecz dopatrywano się w nim tajemniczego wysłannika nieziemskich mocy. Toteż powrót jego przyjęto z religijnym niemal entuzjazmem. Chłopi, bez różnicy wyznań, już na podwórzu młyna odkrywali głowy i żaden z nich nie ważył się krzyknąć czy nawet mówić głośniej. Przyjęcia chorych zaczynały się od wczesnego ranka i z niewielkimi przerwami trwały niemal do zachodu słońca.

Już po paru tygodniach Wilczur przekonał się, że zasoby jego apteczki wyczerpują się nader szybko i wymagają poważnych uzupełnień. Nowe zakupy pociągnęły za sobą konieczność pokaźnych wydatków. W świetle tej rzeczywistości Wilczur zrozumiał, że w żadnym wypadku nie wystarczy mu pieniędzy na wybudowanie i zaopatrzenie choćby miniaturowej lecznicy.

– Wie pani – powiedział pewnego dnia Łucji – że zdaje się nic nie będzie z naszej lecznicy, a pani będzie skazana na mieszkanie w Radoliszkach już na stałe, bo tu przecie miejsca nie ma.

– Nie narzekam na pobyt u tej poczciwej kobieciny – pogodnie odpowiedziała Łucja. – A co do miejsca tutaj... znalazłoby się dla mnie, gdyby mieszkańcy młyna byli bardziej gościnni.

Profesor oburzył się.

– Co też pani mówi. Mógłbym ich postawić jako wzór gościnności każdemu.

Zaśmiała się.

– Ach, ja nie mówię o nich. Wilczur nie zorientował się jeszcze.

– Nie o nich? Więc o kim?

– Nie mówię o dawnych mieszkańcach młyna, lecz o nowych. – Spojrzała mu w oczy.

Wilczur zrozumiał i zażenowany odwrócił głowę. By czym prędzej uniknąć drażliwego

tematu, zaczął mówić:

– Widzi pani, nie przewidywałem aż tak dużego napływu pacjentów i ekspensu lekarstw.

Niektóre są, niestety, bardzo drogie... No i muszę teraz pożegnać się, oczywiście, z nadzieją wybudowania lecznicy...

Martwił się tym szczerze, gdyż rzeczywiście często przywożono chorych, których czy to przed operacją, czy po niej należało mieć przez kilka dni w pobliżu. Na szczęście lato tego roku było ciepłe i pacjenci mogli nocować pod gołym niebem na wyprężonych wozach lub też w stodółce.

232

Któregoś dnia Prokop, idąc wieczorem do miasteczka wraz z Łucją, zapytał ją:

– A cóż to profesor taki markotny w ostatnim czasie?

– Smuci się, że nie mamy dość pieniędzy na wybudowanie lecznicy – wyjaśniła Łucja.

Prokop zdziwił się.

– Tak? A ludzie mówili, że on bogaty człowiek.

– Był bogaty, ale na bogactwie mu nie zależało. Część porozdawał, resztę zabrali mu i niewiele zostało.

„ Prokop nic nie odpowiedział i zamyślił się głęboko. Przez kilka następnych dni chodził milczący, wreszcie kazał Witalisowi zaprząć kobyłę do bryczuszki i nic nikomu nie mówiąc, wyjechał. Wrócił dopiero wieczorem, ale nazajutrz znowu powtórzyło się to samo. Wszyscy w młynie zaintrygowani byli zachowaniem się Prokopa. Powstały różne domysły, nikt jednak nie ośmielił się zapytać go wprost, on zaś sam nie kwapił się z udzielaniem wyjaśnień.

Najbardziej zaniepokojony manewrami ojca był Wasyl. Nie wiadomo skąd nasunęło mu się przypuszczenie, że chodzi tu o jego osobę, że ojciec odbywa swoje tajemnicze podróże w poszukiwaniu przyszłej synowej. Z wielu względów Wasyl z góry był przekonany, że wybór

ojca nie przypadnie mu do smaku. Wychowany jednak od dziecka pod ręką Prokopa, pod ręką twardą, mocną i nieustępliwą, wprost nie wyobrażał sobie .jakiegoś zasadniczego oporu przeciw woli ojca. Tu coś zdziałać mogła jedynie perswazja, i .o perswazja kogoś, z czym zdaniem ojciec zechciałby się liczyć.

Rezultatem tych niepokojów Wasyla było to, że kiedyś wieczorem, gdy już chorzy się rozjechali, zapukał do drzwi przybudówki. Wilczur zajęty był właśnie porządkowaniem różnych przyborów lekarskich. Jemioł ustawiał na półkach flaszki i słoiki.

– No cói powiesz, Wasyl? Jakże tam, dużo miałeś dzisiaj przemiału? – zapytał Wilczur.

– E tam, niewiele. Wiadomo, jak na przednówku. Na przednówku to zboża mniej, ale za to chorych więcej. Głodnego łatwiej choroba się chwyta. Zapanowało milczenie.

– Siadaj, Wasyl! – powiedział Wilczur. – Masz pewno do mnie jakiś interes.

– Interes, nie interes. – Wasyl podrapał się za uchem. – Ot, pogadać chciałem, rady spytać.

– Rady? – Wilczur spojrzał nań. – W czymże ci mogę poradzić? Wasyl zerknął na Jemioła i ociągając się, powiedział:

– Takie zaufane sprawy... Wilczur uśmiechnął się.

– No dobrze. Zaraz skończę i pójdźmy pod las. Muszę zobaczyć, czy macierzanka zakwitła. Po drodze pogadamy.

Jemioł odezwał się tonem pozornie obojętnym:

– 2 przyjemnością będę wam towarzyszył. Lubię macierzankę i zaufane sprawy. A tu już nic nie mam do roboty... Wytrzymał pauzę i dodał:

– Wprawdzie należałoby dzisiaj jeszcze zrobić nalewkę na tych korzonkach walerianowych, ale jakiś pijak wypił cały spirytus i nie mam ani kropli w domu. Więc już pójdę z wami.

Wasyl chrząknął.

– Hm... Matka tam jeszcze ma pół butelki spirytusu.

– Ma?... – zainteresował się Jemioł. – Oto czasy, kiedy nawet matki zamiast mleka mają spirytus. Ale jakże, mój drogi Rochu Kowalski, wydostanę od twojej zacnej macierzy ten płyn? Jest to kobieta nieużyta i gotowa mnie posądzić o jakieś osobiste zainteresowania w kierunku tych kartofli w stanie ciekłym. Czy mogę zaufać twojej przebiegłości, młodzieńcze, i powierzyć ci funkcję transpatriacji owej butelki?

Wasył popatrzył nań niepewnie.

– Co to, to nie. Ale przynieść ją panu mogę.

– Więc śpiesz się. Na co jeszcze czekasz? Czy nie widzisz, jak czas ucieka w klepsydrze terażniejszości? Time is money. Gdy Wasył wyszedł, Jemioł ciągnął dalej:

233

– W twoim milczeniu, cesarzu, mogę domyślać się dezaprobaty mego postępowania. Wołałbyś, oczywiście, bym napoił alkoholem te nędzne korzonki. Oto twój humanitaryzm! Z jednej strony radix valerianae, z drugiej homo sapiens, serenissimi mus rex naturae! I ty wybierasz korzonki. Oczywiście korzonki. I w jakim celu? Żeby poić tą tynkturką rustykanów, pejzanów, kmieci, którzy i tak nerwy mają przytępione.

– Nie zawsze – zaproponował Wilczur.

– Zawsze, maharadzo. Obserwuję ich już od dłuższego czasu. To są stworzenia o wrażliwości ameby. Obcinasz im różne kończyny, zaszywasz brzuchy, dziurawisz epidermę, a oni nawet nie pisną.

– Ciężka praca od dzieciństwa nauczyła ich cierpliwości i wytrzymałości na ból – zauważył Wilczur. – Weź, przyjacielu, pod uwagę, że już kilkuletnie dzieci na wsi nie próżnują. Nieraz taki mały szkrab dźwiga ciężary, których i ty byś zbyt daleko nie uniósł. Chodzą po rżysku i po kamieniach boso. Przyzwyczajają się do upałów, mrozów i słoty. To wszystko

hartuje.

– I przytępia, przytępia wrażliwość, milordzie. Nie tylko fizyczną. Czyś zastanawiał się kiedy, czcigodny eskulapie, nad kwestią dostrzegalności zjawisk?... To jest sprawa rozmiarów świata. Rozmiarów i bogactwa. Z czego składa się, na przykład, świat takiego perzu, zwykłego perzu, który tu rośnie pod oknem? Z gleby mniej lub bardziej soczystej, zawierającej mniej lub więcej soli odżywczych i wody, oraz z powietrza plus światło. To wszystko. Można by tu dodać jeszcze moment epilogu: pysk krowy i kilka ruchów jej dolnej szczęki. I weź teraz swój świat. Już w samych realiach l'embarras de richesse: kolory, dźwięki, subtelności smaku i powonienia, poczucie ruchu, temperatury, położenia w stosunku do centrum ziemi i dotyk, wspomagany wzrokiem, a więc kształty! Dalej świadomość czasu, przestrzeni, przemian w środowisku, nie licząc już rzeczy perzowych: głodu, nasycenia, powietrza i światła. Słowem – perz plus nieskończoność. Nieskończoność oczywiście w skali perzu. A całe życie duchowe. Zewnętrzne i wewnętrzne. Tu już nawet w skali ludzkiej możemy mówić tylko o nieskończoności. I otóż maestro, są gradacje. Nie będziesz się przecież upierał przy tym, że dostrzegalność zjawisk jest jednakowa u ciebie i u Wasyla lub też u mnie i u ciebie. Nie obrażaj się, darling, ale mój świat przy twoim jest tak wielki jak galaktyka przy meteorycie lub, jeżeli wolisz, jak glob ziemski przy główce od szpilki. Jakże, tu ocenić wartość świata zwykłego pejzana? Gdzie go umieścić na dystansie między perzem a mną?... Wilczur potrząsnął głową.

– Możesz się mylić, przyjacielu.

– Mogę, ale wolę nie.

– Nie zawsze w człowieku brak jest tego, czego nie wyraża lub czego nie umie wyrazić.

Nie każdy potrafi słowami skonkretyzować swoje myśli, swoje uczucia czy odczucia...

Jemioł wzruszył ramionami.

– Opierając się na twojej hipotezie możemy przyjąć równie dobrze, że perz, ślimak lub główka kapusty przeżywa niesłychane wzruszenia i dostaje zawrotu głowy z rozkoszy, słuchając koncertu emoll Szopena. Nie, darling. Wybacz, ale nie mogę przyjąć tej koncepcji. Pozwól, że nadal będę opierał się na tym, co mogę empirycznie stwierdzić. Jeżeli komuś pakuję szpikulec w najmniejszą część ciała na głębokość paru centymetrów, a ten ktoś ani głosem, ani wyrazem twarzy nie zdradza, że to zauważył, będę utrzymywał, że tego nie dostrzegł. Jeżeli mówię do kogoś wyraźną angielszczyzną:

„Vous etes, mon cher, le plus representable cretin au monde”, a on mi na to odpowiada, że nie ma przy sobie zapalek, pozostanę w przekonaniu, że włoski język jest dlań obcy. Innego sprawdzenia nie mam. Po jakąż zresztą cholere mam szukać innego? Jeżeli ci taki rustykan wychodzi rano z domu i widzi purpury wschodzącego słońca, draperie rozwieszonych mgieł, rozfalowane lekko pola zbóż i zamiast stanąć z otwartą gębą w zachwyceniu, woła: – Znowu parsiuki na nic cebulę zryli!... – to daruj mi, hrabio, ale nie widzę żadnych dowodów tego, że

234

wschód słońca został przezeń dostrzeżony. Jakiś facet w starożytności powiedział, że ile języków znasz, tyle razy jesteś człowiekiem. Zmieniłbym to: – O ile szersza jest twoja zdolność dostrzegania zjawisk, o tyle bardziej jesteś człowiekiem. Naturalnie tylko w tym wypadku, jeśli dostrzeganie staje się podłożem myśli. Zastanów się nad tym, dottore, a przyznasz mi słuszność...

Dalsze wywody Jemioła uciął powrót Wasyla, który przyniósł zapowiedzianą butelkę. Od tej chwili cała uwaga Jemioła skoncentrowała się na niej i nawet zaczął zachęcać Wilczura, by już szedł obejrzeć ową macierzankę.

– Sam tu resztę uporządkuję – zapewniał.

Gdy Wilczur z Wasylem znaleźli się na ścieżce idącej wzdłuż stawu, profesor zapytał:

– No i o cóż ci chodzi?... Z ojcem masz jakieś przykrości?

– Przykrości, nie przykrości – po namyśle powiedział Wasyl – bo jeszcze nic na pewno nie wiem. Ale ojciec w ostatnich czasach coś sumuje w sobie, milczy i ciągle wyjeżdża.

– Więc cóż z tego?

– Właśnie nie wiem – ociągając się bąknął Wasyl.

– Dlaczegoż to cię niepokoi? Jeździ, ma swoje sprawy i koniec. Wasyl, pogryzając zerwaną trawkę, milczał czas dłuższy.

– Może swoje sprawy – odezwał się wreszcie – a może i mc je... Ojciec jeszcze w wielkim poście wspominał, że czas byłby mi się ożenić. Wilczur zaśmiał się.

– A ty nie chcesz?

– Co mam nie chcieć. Wiadomo, jak pora przyjdzie, każdy musi się ożenić. Ale nie tak.

– Tylko jak? – zapytał Wilczur, ubawiony przejrzystą dyplomacją Wasyla.

– No, nie tak, żeby ojciec wyszukał. Ojciec będzie patrzył na to, żeby bogata i robotna.

– A ty chciałbyś biedną i taką, co nie lubi pracować.

– A bo i po co ma pracować? Mało to bab w domu? Chleb jedzą, to niech i pracują. A czy biedna, czy bogata, co mi tam. Pieniądze rzecz nabyta.

Profesor nachylił się nad zboczem rowu,, okrytym gęsto drobnymi fiołkowymi kwiatami.

– O, jak zakwitła... Tyle jej tu... No więc i cóż, co ja mogę ci doradzić, w czym pomóc?

– Zęby tak pomówić z ojcem. Niech da spokój... Bo później, jak uprze się, to sposobu na niego nie będzie. A jak mu teraz przemówić, to może i machnie ręką. Powie: Nie będę się mieszał, wybieraj sobie sam po swoim sercu...

Macierzanki było tyle, że Wilczur przysiadł i garściami rwał ją do swego koszyka.

– No, dobrze – odpowiedział po namyśle. – Pomówię z Prokopem. Wiesz sam, że ci dobrze życzę. A oczywiście żonę każdy sam sobie musi wybrać według własnego serca... To

masz rację, że pieniądze szczęścia nie dają... Masz rację... Pogadam z Prokopem.

Do spełnienia tej obietnicy nadarzyła się okazja jeszcze tegoż wieczora. Mielnik, jak to robił często, przyszedł do przybudówki na pogawędkę. Pogawędka ta wprawdzie polegała poważnie na milczeniu zarówno Wilczura, jak i Prokopa, milczeniu, w które od czasu do czasu padała jakaś uwaga lub informacja o zdarzeniach dnia, o ludziach, o sprawach w OKolicy.

W pewnej chwili Wilczur zapytał:

– Powiedz, Prokopie, co to knujesz ostatnimi czasy? Ciągłe jeździsz i jeździsz, w młynie cię całymi dniami nie ma. Aż dziwią się wszyscy.

Prokop zerknął chytrze na Wilczura i by zyskać na czasie, zaczął z wielką uwagą skręcać papierosa. Powoli sypał machorkę na duży płat bibułki, powoli grubymi palcami układał ją równomiernie, zwijał, lizał brzeg, zaklejał i zapalił. Wreszcie odrzekł:

– A ot tak, jeździ się popatrzeć, co ludzie robią, jak żyją. Cóż to, me wolno?

– Pewno, że wolno, ale uważaj, żeby ludzie czego złego nie pomyśleli.

– A cóż złego mogą pomyśleć?

– Kto to może wiedzieć. Może znajdą się i takie, co będą posądzać, że do jakiej dziewczuchy jeździsz.

235

Wilczur zaśmiał się, lecz Prokop splunął, nie ukrywając zgorszenia. – Tfu, na złe języki rady nie ma. Gdzie mnie tam do dziewczuchy. Do grobu bliżej. Mnie tam nie w głowie babskie rzeczy.

– No to może nie dla siebie dziewczuchy szukasz? – podstępnie zapytał Wilczur.

– A dla kogóż mógłbym szukać? Co ty myślisz, że zdumiałem?

– No, może dla Wasyla. Stary wzruszył ramionami.

– Cóż ja dla niego mam szukać? Niech sam sobie szuka. On z nią będzie żyć, nie ja.

– Toś słusznie powiedział, Prokopie. Ale teraz to już ja naprawdę się dziwię, co ty za wyprawy robisz, co tam szykujesz... No, przyznaj się. Mielnik spojrzał nań z ukosa i uśmiechnął się.

– Zanadto ciekawy jesteś, ale przyjdzie czas, to i dowiesz się. O to i chodzi, żeby to dla ciebie tajemnica była.

– Dla mnie? – niedowierzająco zapytał Wilczur.

– A dla ciebie.

Więcej nic z Prokopa nie można było wydostać. Wilczur zresztą nie bardzo się też wysiłał, zadowolony był z pomyślnej wiadomości dla Wasyla, którą mu zaraz następnego ranka zakomunikował. Nie sądził, że chłopak przyjmie ją aż z tak wielką radością. Istotnie Wasylowi aż oczy się zaiskrzyły i poczerwieniał.

– Naprawdę ojciec powiedział, że nie chce się w to mieszać i żeby sam sobie żony szukał?

– Naprawdę. Powiedział: „Nie ja będę z nią żył, tylko on. Niech sam sobie wybiera”.

Wasyl zamyslił się i pokiwał głową.

– Ot... ojciec mądry... Nie na próżno żył tyle lat na świecie... I poczuł dla ojca od tej chwili nie tylko jeszcze większy szacunek, nie tylko większe przywiązanie, lecz i jakieś nowe uczucie, serdeczne a głębokie. Wasyl wprawdzie nie miał jeszcze żadnych konkretnych planów co do swej przyszłości. Donka wprawdzie podobała mu się od pierwszego wejrzenia i z każdym dniem podobała się więcej. Jednak będąc z natury bardzo ambitny, bał się układania jakichś planów, poty przynajmniej, póki nie miał pewności, że na drodze ich wykonania nie spotka zdecydowanego sprzeciwu ojca albo drwin ze strony Donki.

Po jej zachowaniu się w żaden sposób nie mógł wymiarkować, jakby się odniosła doń,

gdyby zaczął jej wyraźnie nadskakiwać. Dziewczyna była wesola, żywa jak mały szczeniak, dla wszystkich jednakowo życzliwa, wszystkim jednakowo szczerząca zęby w uśmiechu, gdy jej ten czy ów młodzieniec powiedział jaki żart albo pochlebstwo. Żadnej pewności z nią mieć nie było można. Już nieraz Wasyl miał na końcu języka pytanie, czy się jej który z młodych ludzi podoba, i za każdym razem nie pytał. Bał się, że usłyszy taką odpowiedź, która mu nie po myśli przyjdzie, bał się, że Dońka zostawiła może w mieście jakiegoś chłopca, którego wspomina. Dlatego też nie mógł się zdobyć na wewnętrzne postanowienie, ba, nawet na wyraźne powiedzenie sobie: żadna mi się tak nie podoba jak ona i żadnej za żonę nie chcę, tylko ją. Były i inne obiekcje: czy taka inteligentna, kształcona dziewczyna miejska, prawie panienka, zechce wyjść za prostego chłopca wiejskiego, który nawet po miastach nie bywał i obejścia żadnego zachować nie umie. Nie uszło uwagi Wasyla, że przed paru tygodniami, gdy do młyna zajechał po drodze pan Latosik, pisarz gminny, ona na głowie jedwabną chusteczkę zawiązała, a rozmowę z nim prowadziła jakoś inaczej i śmiała się więcej, i Latosik, co niby wpadł na chwilę, do samego zachodu słońca przesiedział.

Przychodziła wówczas Wasylowi myśl, by panu Latosikowi, który z Donką na przyzbie młyna siedział, z góry przez klapę worek otrębów na łeb wysypać. Nie zrobił jednak tego, choć mógłby się później tłumaczyć, że to nieumyślnie. Nie zrobił z tej przyczyny, że ścisnęło mu serce przypuszczenie: a nuż pan Latosik się jej podoba?... Wtedy nie pomogłoby i dziesięć worków ani nawet tęgi kij... Pan Latosik, choś skromny urzędnik, szkoły pokończył, eleganc-

236

ko wyrażać się umie, czy dzień powszedni, czy święto w kołnierzyku i w krawacie chodzi, i perfumami pachnie.

Po jego wyjeździe Wasyl bacznie przyglądał się Donce, usiłując pomiarkować, czy po zalotach takiego szykownego kawalera nie będzie go traktowała inaczej. Ale Donka nie zmie-

niła się w niczym. Tyle tylko, że jedwabną chusteczkę z włosów zdjęła.

Natura kobieca po raz pierwszy w życiu wydała się Wasylowi pełną niezgłębionych tajemnic i zasadzek.

Na to jednak nie było rady. Z drugiej strony Wasyl zdawał sobie sprawę z własnych walorów. Wiedział, że niejedna dziewczyna w okolicy chętnie by się zań wydała, już nie tylko dlatego, że dziedziczył po ojcu młyn, zasobne gospodarstwo i, jak ogólnie mówiono, sporo oszczędzonych pieniędzy, ale i z tej racji, że cieszył się najlepszą opinią. Za spódnicami nie latał, po karczmach nie chodził, pracę swoją znał, a przy tym nosił się czysto, zgrabny był, uchodził za przystojnego i nikt go jeszcze niezdarą ani głupim nie nazwał.

Toteż w medytacjach swoich i te atuty brał pod uwagę, nie tylko strony ujemne, a teraz, gdy dowiedział się od Wilczura, że ojciec żadnych konkretnych zamiarów co do jego przyszłości nie ma i że synowej mu wybierać nie

myśli, uczuł się znacznie wzmocniony w SWOJEJ pozycji. Następstwem tego poczucia było uświadomienie sobie nieprzewartego przekonania, że żyć na świecie nie potrafi bez tej właśnie dziewczyny. Przez cały dzień pracy układał sobie w głowie, jak do Donki przystąpić, jak zacząć z nią rozmowę, co powiedzieć. Wieczorem, gdy się już przebrał, miał wszystko ułożone i niby od niechcienia zaproponował Donce, gdy znaleźli się razem przed domem:

– Haki na ryby mam przygotowane. Czy nie pojechałabyś ze mną łódką zastawiać je na górnych stawach?

.Nie patrzył jej przy tym w oczy, jakby się obawiał, że z jego spojrzenia wyczyta całą niezwykłość tej pozornie zwyczajnej propozycji. Donka jednak widocznie nie miała żadnych podejrzeń, gdyż zgodziła się od razu.

– Za chwilę – powiedziała. – Tylko wezmę stare kapcie.

– A spiesz się – krzyknął za nią – bo najlepiej zastawiać o samym zachodzie.

– Dobrze, dobrze – krzyknęła mu już z sieni. – Poczekaj minutkę.

– Pójdę do łodzi, wodę wyleję – zawołał.

Chciał jeszcze trochę zyskać na czasie i ruszył w kierunku stawu. Łódka istotnie trochę przeciekała i trzeba było czerpakiem wodę z dna wylać, potem zsunąć ją z brzegu, na dziobie ułożyć haczyki z przynętami tak uważnie, by sznurów i włosia nie poplątać. Nim skończył te zabiegi, nadeszła Donka. W różowej perkalowej sukience w czerwone kwiatki, suto marszczonyj w pasie, i białym kołnierzykiem spiętym pod szyją, wyglądała tak ładnie, że Wasyl wolał wcale na nią nie patrzeć.

– Całkiem mi się wszystko pokręci – myślał – i nic mądrego nie powiem. Łódź ześliznęła się chyba po piasku i wiosła zanurzyły się w wodę. Nad lasem wisiała wielka, czerwona, napęczniała kula słońca, dotykając rąbkiem najwyższych koron drzew. Na lekko pomarszczonej powierzchni stawu droga ku słońcu znaczyła się purpurowymi rozpryskami na tle seledynowego odbicia nieba.

– Powinna chwytać – odezwał się Wasyl przy trzecim czy czwartym zarzuceniu wioseł.

– Co mówisz? – spytała obudzona z zamyślenia.

– Mówię, że ryba będzie dobrze chwytać. Pora taka. W zeszłym roku szczupaka złapałem.

Takiego na metr.

– A dużo ich tu jest?

– Pewno niemało. Ryby dużo, i to szczupaków dużo. Rozmowa się urwała. Wasyl gorączkowo poszukiwał w głowie tematu. Wreszcie odezwał się:

– U Szymona w Koziatkach krowa dziś padła. Dobra krowa była. I padła.

– A dlaczego? – dość obojętnie zapytała Donka.

– Któż ją może wiedzieć. Pewno zjadła coś nie takiego. Znowu zapanowało milczenie. Tym

razem jednak Wasylowi nic nie przyszło do głowy i zaczął sobie nucić pod nosem jakąś piosenkę. Tak dopłynęli do przeciwległego brzegu. Korzenie olch powikłanymi czarnymi sznurami zanurzyły się tu w wodzie. Brzeg opadał stromo i niedaleko od niego zaczynała się już głębia. Wasyl z uwagą i z wprawą przyczepiał do długiego sznura poszczególne haki, potem zaczął je ostrożnie wypuszczać kolejno do wody. Koniec sznura przymocował grubym węzłem do mocnego korzenia i robota była skończona. Wytarł ręce, rozejrzał się i powiedział:

– A może posiedzimy tu na brzegu? Taka ładna pogoda i kwiaty pachną... , – A posiedzimy – zawołała wesoło. – Może zobaczymy, jak która chwyci. Przywiązali łódkę i wyszli na brzeg. Między olchami rosła gęsta, wysoka trawa. Na tę stronę nie wypędzano ani bydła, ani świń, ani koni na nocleg. Usiedli obok siebie i właśnie Wasyl zaczął się głowić nad tym, od czego ma zacząć, gdy Donka spytała:

– A twój ojciec jeszcze nie wrócił. Dokąd on tak jeździ? Wasyl uchwycił się nadarzającej się sposobności jak zbawienia.

– Właśnie – powiedział. – I ja nie wiem, dokąd jeździ. Nikomu nie mówi. Do wczorajszego dnia to nawet bałem się. Donka zdziwiła się:

– Bałeś się? Czego?

– A tak... Nie wiedziałem, po co jeździ. To i myśli różne przychodziły.

– A teraz wiesz po co?

– Teraz nie wiem. Ale wiem, że nie o mnie chodzi.

– Jak to nie o ciebie? A dlaczego miało chodzić o ciebie? Wasyl rozstawionymi palcami czesał trawę, wpatrując się w nią z taką uwagą, jakby chodziło o wykonanie nader ważnego i pilnego zadania.

– Widzisz, Donko, lata już swoje mam. Ojciec kiedyś wspominał, że zenić się mi pora. To teraz, jak zaczął jeździć po okolicy... Myślałem: może żony dla mnie szuka. Jeździ tam i ów-

dzie, żeby sobie synową wybrać.

Donka zaśmiała się.

– Jak to tak?... Szukać? Na drodze jaką spotka i patrzy, czy będzie dobra na żonę dla ciebie, czy nie?... To zabawa.

– Wcale nie – ujął się za ojcem Wasyl. – Przecież zna ludzi tych i owych. Wie, że ten ma córkę czy tamten. To trzeba zobaczyć, jaka ona w domu. Czy ładna, czy gospodarna, czy zdrowa, jak jest koło niej. To się zajeżdża, niby przypadkiem, na pogawędkę i patrzy się.

Wszyscy tak robią. Taki zwyczaj na świecie.

Donka była ubawiona. Iskrzyły się jej oczy i rozchyłały w śmiechu wargi.

– No i co? – zapytała przechylając kokieteryjnie głowę. – Wypatrzył coś dla ciebie?

– Nie wypatrzył, bo i nie o patrzenie mu chodzi. Swoje jakieś sprawy miał.

– To ty, biedny, jesteś zmartwiony – chichotała Donka, której nie opuszczał dobry humor.

Wasyl powiedział ponuro:

– A tobie, Donka, w głowie tylko jedno: naśmiewać się ze mnie.

– Wcale się z ciebie nie naśmiewam – spoważniała nagle. – Ot, po prostu wesoło mi.

– To dlaczego mówisz, że ja się mam martwić? Przecież wiesz, że się cieszę.

– Wcale nie wiem, że się cieszysz. Skąd mogę wiedzieć? Siedzisz smutny, w trawę oczy wbiłeś, skąd mam wiedzieć, że się cieszysz? Wasyl chrząknął kilka razy i spod oka spojrzał na nią.

– Cieszę się, że obawa przeszła, że mi ojciec dziewczynę nie po sercu wybierze. Pomyśl sama: gdyby tobie na przykład takiego chłopaka gwałtem dawali, którego ci się nie podoba.

Donka lekko wzruszyła ramionami. »– E, który by tam mnie chciał. I nie w głowie mi takie rzeczy.

Wasyl znowu spochmurniał.

– Bo pewno w mieście zostawiłaś jakiegoś, który ci się podoba?

– Nikogo nie zostawiłam.

238

– Nikogo? – zapytał nieufnie. – A może i nikogo. Bo ci się tak ten pisarz z gminy, pan Latosik, podobał... Wiadomo, krawat zielony nosi, perfumami od niego zalatuje.

Donka prychnęła jak kotka.

– To i co, że zalatuje? Czy to ja perfum nie wąchałam?

– A jednak jedwabną chusteczkę nałożyłaś.

– A cóż to, nie wolno mi chusteczki nałożyć?

– Pewno, że wolno. Czemuż nie? Głównie wtedy, kiedy jest dla kogo.

– Każdy gość jest gościem. A ten pisarz to nawet zezowaty.

– Zezowaty, nie zezowaty – zauważył Wasyl. – A wszystkie za nim latają.

– Jak wszystkie to nie ja. Coś ty, Wasyl, do niego upatrzył? A choćby mi się podobał, to dla ciebie przecież rzecz obojętna.

Wasyl wywiercił palcem w darni sporą dziurę, zanim odpowiedział: :

– Jakby było obojętne, to ja by nic nie mówił. Widać nieobojętne.

– Nie rozumiem, co ci może na tym zależeć – z niewinną minką powiedziała Donka.

– Widać zależy.

– A dlaczego?

Wasyl opuścił głowę i posępnie odpowiedział:

– Bo ty, Donka, bardzo mi się podobasz.

– Ja? – zawołała z największym zdziwieniem, na jakie ją było stać.

– Pewno, że ty – mruknął Wasyl.

– Boże drogi, co tobie we mnie może się podobać!

– Nie wiem co... Skąd mogę wiedzieć... Wszystko mi się podoba.

– E, żartujesz ze mnie – zaśmiała się swobodnie. Wasyl poczerwieniał.

– Jakież to żartowanie – powiedział prawie ze złością – kiedy chcę się z tobą ożenić? Ożenek to żadne żarty.

– Ty ze mną? – zapytała prawie szeptem. – Nie mogę uwierzyć.

Wasyl niecierpliwie machnął ręką.

– Ot, takie i gadanie z babami. Mówię jej wyraźnie, to ona nie chce wierzyć. Ojciec ma rację. Z babami najtrudniej. Gdybym chłopu powiedział:

chcę się z tobą żenić, to ten dałby mi ludzką odpowiedź: tak albo nie.

Danka wybuchnęła długim, głośnym śmiechem.

– Oj, Wasyl, Wasyl. Z chłopem byś się żenił. Co ty opowiadasz! Aż skuliła się ze śmiechu.

Objęła swoje kolana, ukryła twarz między nimi i śmiała się bez przerwy. Nawet gdy umilkła, nie podniosła głowy. Wasyl zapytał:

– No więc, jak będzie z nami?

Ponieważ nie odpowiadała, ponowił pytanie:

– Donka, no jakże?...

Wobec jej dalszego milczenia serce mu wezbrało goryczą i zaczął mówić jakby do siebie:

– Ja wiem, że nie przypadłem tobie do gustu... Prosty ja chłop, a ty kształcona panna. I z miasta... Pewno, że w mieście przyjemniej jest żyć... Kto już raz miasta zakosztuje, temu wieś nie w smak... Chociaż na przykład profesor na odwrót, a to nie byle kto... Człowiek rozumny, bywały... Ale u ciebie inna sprawa, no, i niejednego lepszego ode mnie znajdziesz... Jak woli w sercu nie ma, to i sposobu nie ma... Wiedziałem ja to, wiedziałem, że mnie nie zechcesz...

Głos mu drgnął i umilkł. Po chwili dodał tonem rezygnacji:

– Ale cóż, myślałem, popytać nie grzech...

Znowu zapanowało milczenie. U góry stawu, przy rzeczce rozlegały się pierwsze żabie

głosy. Słońce skryło się już zupełnie, od łąk spłynął chłodny powiew.

Donka wstała i powiedziała cicho:

– Późno już. Czas do domu.

239

Po chwilowej radości, która opanowała ją, gdy usłyszała wyznanie Wasyla, ogarnął ją nagły Smutek. Zrozumiała, że chłopak ten, który tak bardzo się jej podobał, nigdy nie zostanie jej mężem. Przeraziła ją nawet myśl, że stary Prokop, gdy dowie się o wszystkim, nazwie ją niewdzięczną. Przygarnął ją pod swój dach, a ona tak mu się odplaciła, że zbałamuciła mu syna. Bo cóż, nie mogła tego przed sobą ukrywać, że od początku robiła wszystko, by się przypodobać Wasylowi. A rodzice jego gotowi pomyśleć, że robiła to, by złapać bogatego męża. Może to i prawda, co mówił Wasyl, że ojciec nie chce wtrącać się w wybór synowej, ale przecież nigdy się nie zgodzi, by została nią biedna sierota, uboga krewna, którą wziął na łaskawy chleb.

Wolno schodziła do łodzi. Już przy samym brzegu Donka odwróciła się i zobaczyła tuż za sobą Wasyla. Błady był i wyraz twarzy miał tak smutny, jakim go jeszcze nigdy nie widziała. W niespodziewanym dla samej siebie porywie nagle zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do jego ust. Czowała, jak obejmują ją mocno i coraz mocniej jego ramiona, jak unoszą ją w górę, tak że ledwie palcami nóg dotykała darni.

Nagły plusk wody przywołał ich do przytomności. Najbliższy pływak raz po raz zanurzał się pod powierzchnią wzburzoną gwałtownymi ruchami ryby, która połknęła haczyk.

– Musi być jakaś duża sztuka – powiedział Wasyl, lecz nawet nie ruszył się z miejsca i nie rozluźnił objęć.

– Puść już – odezwała się cicho Donka. W odpowiedzi przygarnął ją mocniej, mówiąc:

– Widzisz, jaka ty jesteś... A już myślałem, że mnie nie lubisz. I tak ciężko mi się zrobiło

na sercu...

– Lubię cię, Wasyl, strasznie cię lubię, ale co nam obojgu z tego przyjdzie? Zaśmiał się.

– Co nam przyjdzie? Co ma przyjść? Pobierzemy się i zostaniesz moją żoną, i tak nam dobrze będzie na świecie jak nikomu. Ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Nie, Wasyl. Nie mogę zostać twoją żoną. Twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

– Nie zgodzi się? Dlaczego?... Przecież sam powiedział, że to moja sprawa. Sam profesorowi tak powiedział. Dlaczegożby się miał teraz nie godzić?

– Bo jestem biedna.

– No więc co? – już mniej pewnie zaproponował Wasyl. – Tego, co mam, dla nas obojga starczy...

– Tak, ale twoi rodzice zechcą dla ciebie żony z posagiem...

– A ja nie chcę żadnej innej – zawołał porywczo. – Albo ty, albo żadna. Mam już swoje lata, nie jestem niedorostkiem i sam mam prawo wybrać sobie taką żonę, jaką chcę. Ot i wszystko. A jak ojcu się nie podoba, to jego łaski nie potrzebuję. Jestem zdrowy, silny, na chleb zarobię sam. Bo to mały świat?...

– Co ty opowiadasz, Wasyl – westchnęła Donka. – Sam wiesz, że przeciwko woli ojca nic nie zrobisz.

Wasyl zasępił się. Istotnie, jego stosunek do ojca polegał na bezwzględnej uległości i chociaż w nagłym porywie mogło mu przyjść na myśl, by się przeciw ojcu zbuntować, wiedział, że tego nie potrafi, że gdyby przyszło co do czego, podporządkuje się jednak jego woli.

– Tak czy owak – powiedział – najpierw trzeba ojca zapytać. W głowie mi się nie mieści, żeby raz mówił profesorowi, że to moja sprawa, a drugi raz zabraniał mi wyboru według mego serca.

– Bo i na myśl mu nie przyjdzie, że możesz wybrać sobie taką biedną jak ja. A co do pyta-

nia, to lepiej nie pytaj.

– Dlaczego mam nie pytać?

– Bo co ja nieszczęsna wtedy zrobię? Twój ojciec przepędzi mnie z domu, nazwie niewdzięcznicą, powie, że mu się tak odplaciłam za jego dobroć. Nie, Wasyl, lepiej nie pytać.

Wracali do domu w ponurym nastroju. Wasyl milcząco i wolno poruszał wiosłami. Ani przez moment nie godził się z rezygnacją Donki. Rzeczywiście, zawiadomienie ojca o mał-

240

żeńskich zamiarach w stosunku do Donki mogło pociągnąć za sobą jego gniew i gniew ten mógł się skierować właśnie przeciw Donce. Na to Wasyl nie mógł jej narażać. Należało wymyślić taki sposób załatwienia sprawy, by w żadnym wypadku nic Donce nie groziło. A sposób taki był tylko jeden: wybadać opinię ojca, zanim mu się coś konkretnego powie. Tu oczywiście Wasyl nie mógł liczyć na własne siły i postanowił znowu udać się o pomoc do profesora.

Przywiązując do palika łódź, powiedział Donce:

– Zobaczysz, wszystko jeszcze będzie dobrze. Najważniejsze jest to, że teraz już wiem, że jesteś dla mnie przychylna.

– Jak dla nikogo innego – szepnęła ledwie dosłyszalnie. Chciał ją znowu przytulić do siebie, ale właśnie na mostku ukazał się rudy Witalis.

– Pójdziesz, Donka, ze mną po wieczery do Radoliszek? Dziś sobota i kino puszczają.

– Lepiej nie chodźmy – powiedziała po chwili wahania. Nalegał jednak poty, aż się zgodziła.

Rozdział X

Nie była to taka niedziela jak inne. Prokop wcześniej niż zwykle wrócił z nabożeństwa. Z domu wnoszono pośpiesznie wszystkie ławy, stołki, krzesła, ustawiając je w cieniu pod

drzewami. Nie upłynęła godzina, a podwórze zaroilo się od wozów i bryczek. Większość przyjezdnych byli to starsi, poważni gospodarze z okolicy najbliższej, nie brakło jednak i takich, którzy przybyli z wiosek odległych o dwadzieścia czy nawet trzydzieści kilometrów. Narada snadź nie miała trwać długo, gdyż koni nie wyprzęgano. Baby zostały na wozach, chłopci zaś udali się pod drzewa i tu zasiedli.

Obrady zagał pan Walenty Szuba, .najpowaźniejszy wśród wszystkich wiekiem i powszechnie ceniony gospodarz z Paczkowie:

– Zebrali my się tu na obgadanie pożytecznej sprawy, po myśli Prokopa Mielnika, a na pożytek ludziom i na chwałę Bogu. Wszystkim wam wiadomo, o co chodzi, a choć my ludzie i niebogaci, i samych pewno nie byłoby stać na taką budowlę, ale wierzym, że jak się już znacznie, to niejeden do nas się przyłączy, czy to swoją pracą, czy materiałenii czy pieniędzmi. Tylko durny człowiek nie rozumie, że to nam wszystkim na korzyść wyjdzie, nam i całej okolicy. A przy tym i wdzięczność należy się profesorowi okazać, bo zaszczyt to dla nas wielki, że w nasze strony powrócił, choć mógł w dalekim mieście siedzieć.

– Pewno, pewno – odezwały się liczne głosy. Szuba ciągnął dalej:

– Tedy i jemu życzliwość okazać i sobie pożytek zrobić musimy. Na żadne wielkie rzeczy nas nie stać, ale myślę, że dom czteroizbowy postawić możemy, gontem kryty. Nasz gospodarz, Prokop Mielnik, ofiarował się odpisać pod dom dziesięcinę placu, gromada z Rudziszek obiecała drzewo. A teraz musimy uradzić, kto podejmie się zwózki, kto zadeklaruje murarską robotę przy fundamentach, ciesielską i inne. O cegły do pieców i kominów, a także samo o szkło do okien nie kłopotcie się już, bo to my z moim szwagrem Zubarem bierzemy na siebie.

Szuba skończył i zaległo milczenie tak długie, że zdawać by się mogło, że zebrani bynajmniej nie są zwolennikami wysłuchanego projektu. Myliłby się jednak, kto by tak sądził.

Ludzie tutejsi nie lubią pośpiechu, nie lubią też wyrywać się pierwsi przed innymi. Nie jest to przyjemne być posądzonym o brak opanowania i wysuwanie siebie przed sąsiadów.

Pierwszy odezwał się brodaty osiłek Iwan Bałabun, staroobrzędowiec z Nieskupy, nie tylko dobry rolnik, ale i stolarz ceniony w całej okolicy. Ten w imieniu własnym jak i swoich braci przyrzekł wykonać wszystkie roboty stolarskie, czego zresztą po nim ogólnie się spodziewano. Następnie pan Józef Petrunis ze wsi Bierwinty obiecał w imieniu swojej gromady

241

(jako że piastował godność sołtysa) gonty i robotę przy pokryciu dachu. Ludzie z Wiczkun, najlepiej w ciesielstwie obeznani, zadeklarowali, że zrąb postawią. I tak jedne po drugich sypały się zgłoszenia, a Prokop Mielnik detalicznie wszystko spisywał na wielkim arkuszu papieru. Gdy już wszystko było wyszczególnione, obecni jeden po drugim składali pod spodem swoje podpisy. Niewiele ich było. Na kilkudziesięciu zebranych zaledwie kilku naliczyć można było piśmiennych. Reszta zamiast nazwisk stawiała po trzy krzyżyki. Nic to jednak nie umniejszało ważności zobowiązania. Raz, że po długim namyśle zostało uczynione, a dwa, że z dobrej woli.

Teraz dopiero wszyscy hurmem udali się pod przybudówkę, a Prokop wszedł do środka.

Chociaż to była niedziela, zastał Wilczura przy pracy, zajętego warzeniem jakichś ziół.

– Cóż tam, Prokop? – Wilczur podniósł głowę. – Zdaje się, że masz wielu gości.

– Nie goście to – zaprzeczył ruchem głowy młynarz. – W sprawie zajechali i już więcej do ciebie jak do mnie.

– Do mnie? – zdziwił się Wilczur.

– A tak. Ciekaw byłeś, dokąd jeżdżę i po co, to teraz wyjdź przed chatę, to się i dowiesz.

Już tam czekają wszyscy.

Wilczur, zaintrygowany, pojęcia nie miał, o co chodzi.

– Cóż tam knujecie? – zapytał nieufnie.

– Ano chodź, to i będziesz wiedział.

Zebrani wieśniacy przyjęli Wilczura niskimi ukłonami. Najwymowniejszy zaś z nich wszystkich, Szuba, wystąpił naprzód i powiedział:

– Ot, przyszli my, panie profesorze, podziękować panu za to, żeś do nas wrócił. Ale że dziękowanie dziękowaniem, to wiadomo. Najlepsze słowa po wietrze się rozejdą i nic z nich nie zostanie. Tak ot, my uradzili, żeby nasza wdzięczność nie tylko w słowach była. Pieniędzy ty od nas, panie profesorze, za leczenie brać nie chcesz, a jeszcze i lekarstwa darmo rozdajesz. A słyszeli my od Prokopa, że zamiarowałeś tu w naszych stronach wybudować lecznicę, ale że tobie wszystkie pieniądze rozeszły się na te lekarstwa. Tak ot, Prokop przyjechał do mnie i mówi, żeby my tu sami dla twojej wygody i dla naszego, wiadomo, pożytku wspólnymi siłami pobudowali lecznicę. Radziliśmy, radzili i ot z narady tej co wyszło...

Tu Szuba rozwinął arkusz papieru, nałożył okulary i jękając się zaczął czytać, co kto przyrzekł i ofiarował. Następnie papier z szacunkiem złożył i podał profesorowi, mówiąc:

– Niewielka to rzecz, ale myślimy, że i tobie będzie miło, a i zaszczyt to dla naszej okolicy niemały, bo i w samym miasteczku lecznicy nie ma. Przyłożym się każdy, czym może. Bogatsi pieniędzmi czy materiałem, biedniejsi pracą, czyli też zwózką. Przyjm to od nas, panie profesorze, bo z serca dajem, co kto może. Niewielka to będzie chata, ale żyj w niej i lecz nas długie lata.

Wilczur był tak wzruszony, że nawet końcowa inwokacja rymowana nie powstrzymała łez, które mu napłynęły do oczu. Znał tych ludzi od dawna i dobrze, nie przypuszczał jednak, że żywią dlań tyle życzliwości, że zdolni są do tak poważnych ofiar. Uściskał kolejno Prokopa, Szubę, Bałabuna, Petrunisa i całą resztę.

– Nigdy wam tego nie zapomnę, dobrzy ludzie – powtarzał, nie ukrywając rozczulenia.

Natychmiast też przystąpiono do narad, jak ma być budynek lecznicy rozplanowany. Dla lepszej orientacji ruszyli wszyscy na wzgórek, gdzie miał stanąć. Budowlą miał kierować doświadczony cieśla z Wickunów, pan Kurkowicz, ogólny zaś nadzór powierzono Szubie i Prokopowi Mielnikowi.

Gdy się już wszyscy rozjechali, Wilczur powiedział:

– Toś mi naprawdę wielką niespodziankę zrobił, Prokopie. Domyślam się teraz, że jeździłeś wszędzie po sąsiedztwie, by namówić ludzi na tę lecznicę. Niełatwo to ci pewno przyszło...

242

– Z początku, póki nie wytłumaczyłem co i jak, to pewno, że niełatwo. Ale później, jak się zwiedzieli, że ten i ów już się zgodził, ten obiecał to, a inny tamto, to i więcej się znalazło. Jak zacznem roboty, na pewno zgłosi się jeszcze niejeden.

– A kiedy chcecie zacząć? – zapytał Wilczur.

– Nie ma po co odkładać. Jutro już zaczną kamienie zwozić na fundamenty, więc i kopanie jutro zaczniemy.

Prokop mówił zwykłym tonem i starał się nie okazywać tej dumy, jaką czuł wobec realizacji swego zamierzenia. Istotnie, w poniedziałek od wczesnego rana zaczęły zajeżdżać furmanki z kamieniami, przyszło też kilku ludzi z Nieskupy, kilku z Radoliszek i trzech Litwini z Bierwintów z łopatami i oskardami. Pan Kurkowicz z żółtą calówką, wystającą z cholewy, i ze zwojem szpagatu

wymierzał, obliczał i znaczył teren. Od rana wprawdzie padał niewielki deszcz, lecz to nie przeszkadzało pracującym.

Cały młyn i wszyscy jego mieszkańcy przejęci byli rozpoczętym dziełem. Ludzie, którzy przyjechali po poradę lekarską, o ile się czuli na siłach, też zabrali się do pomocy przy budo-

wie. Wzgórze, na którym pracowano, oddalone było od młyna zaledwie o kilkaset kroków i widać je było jak na dłoni. Toteż gdy Łucja, o niczym jeszcze nie wiedząc, przyszła z miasteczka, była zaintrygowana tym nowym widokiem. Oczywiście w ciągu dnia podczas przyjmowania pacjentów, robienia drobnych operacji, nakładania opatrunków i temu podobnych czynności zdążyła dowiedzieć się od profesora, o co chodzi li tylko w dorywczych informacjach. Wieczorem jednak profesor zaprowadził ją na miejsce budowy i objaśnił o wszystkim. Był podniecony przedsięwzięciem, ożywiony, usposobiony niemal entuzjastycznie. Z młodzieńczą energią snuł plany na przyszłość.

– To dopiero początek, panno Łucjo. To dopiero początek. Zobacz pani! Za naszym przykładem pójdą inne okolice. Setki lekarzy, skazanych na próżnowanie w mieście, zrozumie nareszcie swoje posłannictwo i poświęci się cichej pracy na dalekich prowincjach, gdzie ludność jest prawie zupełnie pozbawiona opieki lekarskiej, gdzie śmiertelność wśród dzieci osiąga wręcz przerażające liczby.

Potakiwała mu z zachwytem, a on mówił dalej:

– Niech pani patrzy. Bez niczyjego nacisku ludzie ci wykazali, że wcale nie są obojętni na sprawy higieny, że rozumieją obowiązek społeczny, że chcą iść naprzód. O, widzi pani, deklaranci prawie wszyscy podpisali się na tym papierze krzyżykami. Prawie wszyscy są niepiśmienni. Są ciemni, ale pragną światła. Pragną postępu. I każdy w miarę swoich możliwości chce się doń przyczynić. Nic ich przecie nie zmuszało do żadnych ofiar, żadne nakazy władz, żaden nawet obowiązek. A niech pani weźmie pod uwagę to, że mieszkają tu przeważnie ludzie biedni...

Zaśmiał się i dodał:

– A największy kawał zrobili Jemiołowi! Mam doprawdy z nim teraz sto pociech. Udaje, że niby nic, ale jest wyraźnie wytrącony z równowagi tą historią. Jego cynizm i sceptycyzm

gwałtownie tracą grunt pod nogami. Rzecz nie do wiary. Nie zdobył się dotychczas na żadną zjadliwą uwagę. Mruczy tylko pod nosem.

– Nie ma obawy – śmiała się Łucja. – Szybko odzyska swoją elokwencję. Niech tylko się oswoi z tą nową dlań rzeczywistością. Ale przyznam się profesorowi, że i ja się nie spodziewałam ze strony tych ludzi gotowości aż do takiego wysiłku, chociaż znam ich może lepiej niż pan.

Profesor oburzył się.

– Pani lepiej niż ja? Chyba pani żartuje? W ciągu paru miesięcy! Łucja spostrzegła, że palnęła gafę, i zawołała:

– Ależ oczywiście żartuję!

243

W istocie wcale nie żartowała. Od czasu przyjazdu w te strony zgodnie ze swoimi pierwotnymi planami nie ograniczała się do pomagania profesorowi, lecz bardzo często wybierała się w odwiedziny do pobliskich osiedli. Pod różnymi pozorami zaglądała do chałup, знаjomiła się zarówno z dziećmi, jak i ze starszymi. Przy sposobności rozdawała lekarstwa, leczyła drobniejsze schorzenia, opatrywała zaniedbane skaleczenia. Ale głównie zajmowała się czymś innym. Tłumaczyła babom wiejskim znaczenie czystości, nakłaniała do częstszego mycia naczyń, do używania bielizny pościelowej, do używania kąpieli, nakłaniała do otwierania okien i wietrzenia dusznych izb, tłumaczyła, że trzymanie zwierząt domowych i drobiu w chałupie wpływa źle na zdrowie nie tylko ludzi, ale i owych zwierząt. Ponieważ zaś obdarzona była zdolnością wpływania na otoczenie, te wsie, do których zaglądała częściej, stopniowo zaczęły coraz porządniej wyglądać. Oczywiście nie bez wpływu na miejscową ludność pozostawał fakt, że Łucja była asystentką Wilczura i działała niejako w promieniu jego autorytetu. W każdym razie dość szybko zyskała zaufanie w pobliskich osiedlach i życzliwość ludzką.

Często zwracano się do niej o radę w różnych sprawach, nie mających już nic wspólnego z jej fachem. I rzeczywiście miała prawo powiedzieć, że lepiej od profesora znała okolicznych mieszkańców.

Toteż nie bez słuszności zauważyła teraz:

– Wie pan, profesorze, że nie należy żywić zbyt wielkiej nadziei na to, że czyn tych ludzi znajdzie szerokie naśladownictwo. Chyba że po kraju rozsiedli się kilka tysięcy profesorów Wilczurów.

– Mówiłem przecież, że lekarze na pewno ruszą na wieś.

– Tak – zaoponowała. – Ale chodzi tu właśnie nie o byle lekarza, lecz o człowieka, dla którego ludność będzie żywiła pietyzm, taki jaki żywi dla pana.

– Myli się pani, panno Łucjo. Moja osoba odgrywa tu bardzo drugorzędną rolę. Nie ja dałem inicjatywę ani też nie zachęcałem ich do budowania lecznicy. Sami to wymyślili, postanowili i zorganizowali. Ja nawet palca do tego nie przyłożyłem.

– Ale oni zabrali się do tego jedynie z tej racji, że pan tu jest, że pana uważają za swojego wielkiego dobrodzieja, że wierzą panu bezgranicznie, że chcą mu ułatwić pracę. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak wielkim mirem cieszy się pan u nich. Nie tylko mirem: czcią, uwielbieniem.

Wilczur machnął ręką.

– Przesadza pani. Nie trzeba przesadzać, panno Łucjo.

– Nie przesadzam. Gdyby było inaczej, niż mówię, nie przychodziliby do pana, jak Żydzi do rabina, z prośbą o rozstrzygnięcie ich sporów, o mediacje, o poskramianie opornych lub przemawianie do rozsądku tym swoim bliskim, którzy chcą popełnić coś złego. I nie powinien

pan, profesorze, pomniejszać swojej roli i swego znaczenia wśród nich. Nie powinien pan im odbierać wiary, że sama Opatrzność im pana zesłała. Taka wiara jest twórcza i pożyteczna...

– Ale nie uzasadniona – przerwał Wilczur. – Niczym nie uzasadniona.

Łucja patrzyła przed siebie w milczeniu i po chwili odezwała się cicho:

– Kto to może wiedzieć, profesorze?... Czy pan sam może wiedzieć?... W jaki sposób zdobyć pewność, czy nie jesteśmy zawsze tylko narzędziem ponadludzkich mocy, które przez nas działają, które nami kierują?

Wilczur machnął ręką.

– Toteż i nie potrzebujemy wiedzieć – powiedział prawie surowo.

– A jednak – zaczęła Łucja. Przerwał jej:

– Nie trzeba. Nie trzeba zagłębiać się w to, co jest poza nami. Należy w sobie szukać i praw, i busoli. I po prostu robić swoje. Robić to, co sumienie nam nakazuje. Być w zgodzie z sobą. Tak zawsze myślałem...

244

– Tak, profesorze. Wiem o tym – odpowiedziała Łucja. – Trzeba jednak mieć tyle wewnętrznej wartości i równowagi ducha co pan, by sobie wystarczyć, by nie szukać na zewnątrz usprawiedliwień i wyjaśnień, by mieć poczucie własnej prawdy. Widzi pan, to w panu jest właśnie siłą, która pociąga, która narzuca innym nie tylko szacunek, ale i tę serdeczną, tę głęboką życzliwość, jaka pana otacza.

– Niechże pani nie opowiada takich rzeczy, panno Łucjo – powiedział prawie zażenowany.

– Jestem najzwyczajszym człowiekiem pod słońcem i Bogu za to dziękuję. Jemioł powiada, że trzeba być niczym, że dopiero wtedy można być szczęśliwym. Ja sądzę, że w tym jest dużo przesady. Trzeba być czymś, lecz czymś niewielkim. Ot, dobrym chirurgiem, dobrym młynarzem, dobrym budowniczym, mieć jakąś swoją małą pozycję we wszechświecie, cenić ją, w

miarę możliwości udoskonalać i żyć po prostu, później umrzeć po prostu i zostawić po sobie pamięć dobrze spełnionego obowiązku... To wszystko.

Siedział na dużym kamieniu i patrzył przed siebie w zamyśleniu.

Łucja powiedziała:

– Jednego brak w tym programie...

– Brak?...

– Tak. To jest program bardzo samolubny. Trzeba być przynajmniej tak bogatym i tak szczodrym, by się z kimś drugim podzielić sobą, by komuś drugiemu dać bodaj cząstkę swoich uczuć, swoich przeżyć...

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Jeżeli są coś warte – powiedział. – Jeżeli nie są to strzępy, tylko strzępy, tylko resztki czegoś, co już od dawna spłowieło, zużyło się, zamarło...

Nie mówił zupełnie szczerze. Wyrażał tylko swoje obawy i oczekiwał od Łucji zaprzeczenia. Ona jednak milczała długo i potem powiedziała:

– Przecież pan wie, jak bardzo pana kocham. Przecież pan wie.

– Odprowadzę panią do Radoliszek. – Wilczur podniósł się. Gdy już minęli młyn, zaczął mówić:

– Wiem, że pani tak się zdaje. Wiem, że pani wierzy w to, co mówi, droga panno Łucjo.

Jakże jednak ja, który znajduję się u schyłku życia, mogę przyjąć od pani ten dar, dar pani młodości, urody, uczuć?... Muszę być uczciwy. Może nie jestem aż tak stary, by pragnienie jakiegoś osobistego szczęścia wyglądało u mnie na groteskę. Ale chcę być z panią szczerzy. Zbyt wiele żywię dla pani serdeczności i przyjaźni, bym miał odwagę sięgać po to, co pani mi tak lekkomyślnie chce ofiarować.

– Lekkomysłnie!

– Tak – powtórzył z naciskiem. – Lekkomysłnie. Pani jest jeszcze bardzo młoda. Nie wątpię, że żywi pani dla mnie wiele dobrych uczuć. Rozumiem też, że wydają się one pani czymś godnym miana miłości. Ale się pani myli!...

Potrząsnęła głową.

– Nie myślę się...

– Może pani dzisiaj tak sądzić, droga panno Łucjo. Ale za rok czy dwa zmieni pani zdanie i wtedy będzie pani nieszczęśliwa, bo będzie uważała, że wycofanie się, rozstanie, że po prostu porzucenie mnie byłoby z pani strony czymś nieuczciwym... Znam przecie panią...

Wzięła jego rękę i powiedziała:

– Nigdy pana nie porzucę. I nigdy się z panem nie rozstanę. Dlaczego pan tak mało ma wiary w to, że jestem świadoma swoich uczuć i pragnień? Ze nie są to jakieś przelotne i chimeryczne zachcianki, lecz cel życia, cel, który sobie postawiłam od dawna i który się nigdy nie zmieni. Jestem dojrzałą kobietą, jestem dojrzałym człowiekiem. Rozumiem siebie, ale nie mogę zrozumieć pana. Wiem przecież, że nie jestem panu wstrętna, że nie jestem panu obca. A z drugiej strony, nie oczekuję od pana takich uczuć, jakich pan mi dać nie chce czy nie może. Najzwyczajniej w świecie pragnę być przy panu, pragnę być panu pomocna... Może nie

245

zasłużyłam na to szczęście, by zostać pańską żoną, może sięgam po wartości, do których nie dorosłam, ale niech mi pan nie zabrania przynajmniej pragnąć tego.

Wilczur ścisnął jej dłoń.

– Panno Łucjo – zaczął, lecz mu przerwała:

– Nie, niech pan nie powtarza swoich perswazji. Umiem już je wszystkie na pamięć.

Podniosła nań oczy z uśmiechem.

– Profesorze! Jest pan pierwszym człowiekiem, którego usiłuję uwieść. Niech się pan uli-

tuje nad moim brakiem wprawy! Zaśmiał się szczerze.

– Droga panno Łucjo. Ja też jestem uwodzony po raz pierwszy w życiu. Nie mam żadnego w tym względzie doświadczenia.

– Zapomina pan o Zoni.

– Ach, o Zoni! Ta poczciwa kobieta zawsze darzyła mnie nadmiarem uczuć.

– Nietrudno to spostrzec. Zonia spogląda na mnie bardzo niechętnym okiem, przeczuwając we mnie rywalkę. Profesor obruszył się.

– Cóż za zestawienie?!

– W tych sprawach wszelkie zestawienia są możliwe. Sama nie wiem, która z nas ma więcej szans.

Powiedziała to z wyraźną kokieterią i Wilczur odpowiedział zażenowany:

– Żartuje pani.

– Wcale nie żartuję. Tak się pan broni przede mną, jakbym była jakąś groźną megierą.

Potrząsnął głową.

– Bronię pani przed sobą.

– I wykazuje pan w tym zdumiewającą wytrwałość.

– Podyktowaną przeświadczeniem o słuszności bronionej sprawy – zauważył z uśmiechem.

– Raczej nieuzasadnionym uporem.

– Nie zdaje sobie pani nawet sprawy, jak trudno jest trwać w tym uporze.

Kusi pani przeznaczenie. Ostrzegam!

– Nie boję się przeznaczenia.

– To właśnie jest dowodem lekkomyślności.

– Albo wiary, że przeznaczenie to jest nieuniknione!

– Nieuniknione – powtórzył po namyśle Wilczur.

Mówił prawdę. Istotnie, im dłużej przebywał z Łucją, tym częściej łapał siebie na wyszukiwaniu argumentów przemawiających za małżeństwem, tym mniej znajdował w sobie sprzeciwów, tym więcej wyszukiwał rozsądnych uzasadnień. Z zachowania się i ze słów Łucji miał prawo wnioskować, że me jest to jej chwilowym i przemijającym pragnieniem, że naprawdę go kocha, że naprawdę chce zostać jego żoną. Kwestia różnicy wieku me wyglądała zbyt straszająco. Ostatecznie na świecie wiele jest małżeństw właśnie takich. Nawet z punktu widzenia przyrodniczego dawało się to wytłumaczyć, chociażby tym, że u zwierząt na przykład samice wyraźnie wolą i poszukują samców starych. Zresztą nie mógł uważać swego małżeństwa z Łucją za zawiązanie jej życia. Zwróciłby jej przecież wolność, gdyby tylko tego zapragnęła.

Właściwie mówiąc decyzja dojrzała w nim już od dawna, nie mógł jednak zdobyć się na jej wypowiedzenie, jakby oczekując czegoś niespodziewanego, jakby przewidując, że nastąpi coś, co rozstrzygnie sprawę poza jego wolą i poza jej dążeniem. Dlatego też starał się uniknąć rozmowy z Łucją, o ile tylko ta rozmowa mogła dotknąć niebezpiecznego tematu. Tym razem nie zdołał tego uniknąć i jak mu się wydawało, posunął się zbyt daleko. Dopiero słowo „nieuniknione”, które padło z jej ust, otrzeźwiło go. Nieraz już o tym myślał, że życie jego układa

246

się zawsze w kategoriach nieuniknionych przeznaczeń. Małżeństwo z Beatą, kariera naukowa, rozgłos, sława, majątek, ucieczka Beaty, utrata pamięci, długie lata włóczędzy, potem intrygi Dobranieckich, upadek, Łucja i powrót do Radoliszek – wszystko to działo się poza jego wolą, było gdzieś zapisane, ułożone i nie miał na to żadnego wpływu. Rozumiał to, że w rze-

czywistości każde jego posunięcie, każdy czyn, każda decyzja były jakby podyktowane, były jakby następstwem takich okoliczności, które uniemożliwiały mu wybranie jakiegokolwiek innej drogi. Zawsze zostawała mu jedna, narzucona, wskazana, jedyna.

– Nieuniknione – myślał. – Czy jestem pod tym względem wyjątkiem, czy. też każdy człowiek od urodzenia znajduje się już na jakimś torze, który go niechybnie zaprowadzić musi do miejsc wytkniętych przez przeznaczenie?... Nieuniknione... A taki na przykład Jemioł... Ten człowiek nie zadaje sobie nawet najmniejszego trudu myślenia o dniu jutrzejszym... Po prostu zdał się na los i pozwala mu rzucać sobą w każdym kierunku. Jak liść na wietrze. 2 jakąż doskonałą obojętnością ulega on wszelkim narzuconym przez życie zmianom czy trwaniem. Nawet nie zastanawia się nad nimi.

Przypomniawszy sobie teraz Wilczur to, czego jeszcze w latach dziecińczych nauczył się w szkole, co niejako automatycznie przyjął jako dogmat: – Człowiek jest kowalem swojego losu... Cóż za absurd! Zapewne w niektórych drobniejszych sprawach przeznaczenie zostawia człowiekowi wolność decyzji, ale wolność ta jest uwarunkowana przecie niezliczoną masą czynników psychicznych, uwarstwionych i sformowanych przez życie, czyli właśnie przez obcą, narzuconą wolę...

– Nieuniknione...

Ileż w tym słowie mieści się tragedii i jednocześnie ile spokoju.

Droga skręcała tu w lewo, a tuż za zakrętem zaczynały się już pierwsze domki miasteczka.

– Do widzenia, panno Łucjo – powiedział Wilczur. – I niech pani nie zapomni, idąc jutro do młyna, wstąpić na pocztę i dowiedzieć się, czy nie przyszła paczka z bizmutem.

Pocałował ją w rękę i szybko zawrócił do domu, jakby się bał, że Łucja zechce ponownie wszcząć rozmowę. Nim doszedł do młyna, spotkał Wasylę, który nań widocznie czekał.

Chłopak był ponury i zatroskany.

– Cóż, Wasyl, masz jakieś nowe zmartwienie? – zagadnął go Wilczur rad, że może się ode-
rwać od własnych myśli.

– Pewno, że mam, panie profesorze. Jakże mogę nie mieć zmartwienia z tą dziewczyną –
odpowiedział Wasyl. Wilczur nie od razu się zorientował.

– Z jaką dziewczyną?

– Ano z Donką.

– Co, nie chce ciebie?

– I chce, i nie chce.

– Jakże to tak? – zaciekawił się Wilczur.

– Ano powiedziała, że ma do mnie skłonność i że jej się podobam, ale że za mąż za mnie
nie wyjdzie.

– Ze nie wyjdzie? A to dlaczego? Może już komuś przyrzekła rękę. Wasyl przecząco po-
trząsnął głową.

– Nie, nie to. Tylko ona się boi, że mój ojciec na nią się pogniewa i że wyrzuci ją z domu.

– Niby za co ma się pogniewać? – zdziwił się Wilczur.

– Ja też nie myślę, że się pogniewa. To ona takie przypuszczenie ma. Zdaje się jej, że jak
ojciec wziął ją do nas, to nigdy by się nie zgodził, żeby ona została moją żoną, że jej nawet i
myśleć o tym nie wolno, bo ona jest
biedna.

– Więc poradzę ci: po prostu zapytaj ojca. Nie zdaje mi się, by Prokop
nieżyczliwie na nią patrzył. Wasyl podrapał się w głowę.

247

– Kiedy właśnie mi zabroniła. Ona mi zabroniła. Powiada, że ojciec się

rozniewa na nią za to, że mnie zbałamuciła. » – A cóż to ty smarkaczem jesteś, który sam nie wie czego chce? – obruszył się Wilczur.

– Pewno, że nie – potwierdził Wasyl. – Mam już swoje lata. A wiem to, że bez niej i żyć mi się nie chce.

Wilczur położył mu rękę na ramieniu.

– Więc mówię ci, nie zważaj na jej zakazy i pogadaj z ojcem otwarcie.

– I pogadałbym – powiedział Wasyl. – Ale jej obiecałem, że ani słowa nie pisnę. I teraz sam nie wiem, co mam robić. Jedyne nadzieje moja to w panu, panie profesorze.

– Ależ dobrze, mój chłopcze – zgodził się Wilczur. – Pomówię z Prokopem i jestem przekonany, że nie będzie ci robił trudności.

– Już i sam nie wiem, jak mam panu dziękować.

– Nie masz po co dziękować. To przecie rzecz naturalna, gdy jeden człowiek drugiemu pomaga, o ile tylko może. Pomówię z Prokopem. A tobie wieszczę wyboru. Ładna i dobra dziewczyna. A że biedna, to przecie nie ma żadnego znaczenia.

Wasyl odszedł uradowany i pocieszony.

Do obiecanego jednak interwencji Wilczura nie doszło. A stało się tak dlatego, że wypadki potoczyły się własnym torem.

Po wieczery, a przed udaniem się na spoczynek Prokop Mielnik przypomniał sobie, że zostawił swój kij przy mostku. Nie był to żaden cenny kij. Zwyczajny, tęgi dębczak, jakich w lesie wickuńskim można było wyciąć setkę. Ale Prokop przyzwyczał się doń, od lat go używając, i nie chciał, by teraz mu zginął. Do mostku szedł prostą ścieżką i kij istotnie znalazł.

Wracał jednak brzegiem stawu, bo noc była ciepła i księżycowa. A właśnie dlatego, że była księżycowa, na ławce pod czeremchą zobaczył dwie przytulone do siebie postacie i mógł je rozpoznać.

Byli to Wasyl i Donka. Prokop zawahał się przez chwilę i przyspieszył kroku.

– Co wy tu robicie? – zawołał groźnie.

Młodzi odskoczyli od siebie. Tak byli zajęci sobą, że nie zauważyli zbliżającego się Prokopa.

Stary młynarz gniewnie i surowo przyglądał się im przez chwilę, zaciskając w ręku kij. Wreszcie krzyknął:

– Donka! Marsz mi zaraz do domu.

nią:

Gdy dziewczyna z opuszczoną głową odchodziła powoli, rzucił jeszcze za

Durna!

Wasyl stał zupełnie skonfundowany, skubiąc listki czeremchy. Wiedział, że z ojcem nie ma żartów, i był przygotowany na najgorsze. Rzeczywiście Prokop sapał ciężko, a jego wzrok nie zapowiadał nic dobrego.

– Ja przecież nic... – odezwał się wreszcie Wasyl. Ojciec huknął nań:

– Milcz, ty czartowskie nasienie! Zaraz ja cię tu nauczę!...

– Niech ojciec... – spróbował znów bronić się Wasyl, lecz umilkł, gdyż Prokop podniósł nad głową laskę.

– Przyznaj mi zaraz, czyś ją ukrzywdził? Ale mów prawdę, bo cię zabiję! Wasyl z oburzeniem uderzył się w piersi.

– Ja bym ją ukrzywdził?... Wolałbym skonać.

Młynarz w jego głosie usłyszał nutkę szczerości, ale kija jeszcze nie opuścił.

248

– Przysięgnij – powiedział.

– Przysięgam!

Prokop sapnął głośniej i wyrzucił z siebie z ulgą:

– Ach, czartowskie nasienie!

Otarł spocone czoło i ciężko usiadł na ławce.

– Ojciec to zaraz na mnie z kijem, zanim da się wytłumaczyć...

– Żadnych tu nie może być tłumaczeń! Jak ci nie wstyd! Pod własnym dachem takie rzeczy! Hańbę chcesz na mnie sprowadzić, żeby mnie ludzie palcami wytykali, żeby opowiadali głośno, że ja niby to pod opiekę sierotę wzięłem, żeby synowi na rozpustę!... Tfy, czartowskie nasienie! I to w moim domu! Na moje stare lata! Takiej się pociechy doczekałem od ciebie.

Ale słuchaj mnie: niech ją tylko od ciebie krzywda spotka – zabiję. Jak psa zabiję! Wiesz chyba, że ja na próżno słów nie rzucam.

Wasył nagle zbuntował się.

– Cóż mi ojciec grozi. A ja ojcu i tak mówię, że bez niej żyć nie mogę. Nie mogę i nie chcę. Ot i cała sprawa! Taka sprawa!

Prokop zerwał się i z całej siły uderzając kijem o ławkę zawołał:

– To nie wiesz, czartowskie nasienie, jak po chrześcijańsku postąpić?

Żyć bez niej nie możesz? To się z nią ożeń! Ożeń się, durniu, a nie romanse mi tu po krzakach!

Przez chwilę Wasył stał osłupiały. Wprost nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nagle zrozumiał, skoczył i chwycił ojca za rękę i zaczął ją całować. Stary nie zorientował się, wyrwał rękę i krzyknął:

– Co ty znowu?...

– Dziękuję ojcu... Toż ja niczego więcej nie chcę... Tylko myślałem, myśleliśmy, że ojciec nie zgodzi się...

– Co ty, durny, gadasz? Że na co się nie zgodzę?

– A na mój ożenek z Donką.

Stary spojrział nań podejrzliwie.

– Oj, coś widzi mi się, że kręcisz.

– Gdzież ja mogę kręcić? Co ojciec mówi? Od dawna mnie ona do serca przypadła i ja jej też. Ja nawet chciałem ojca zapytać, czy da pozwolenie na nasz ślub...

– Więc czemuś nie zapytał? – przerwał mu Prokop.

– A bo Donka...

– Co Donka?

– Donka nie pozwalała. Mówiła, że ojciec się na nią strasznie pogniewa. – Ot, głupstwa jakieś. Za cóż miałbym się gniewać?

– Ano za to, że ojciec może ją posądzić, że ona dla bogactwa chce wyjść za mąż. Powiada, że ojciec ją z łaski przygarnął, a ona taką niewdzięczność pokazała, że mu syna zbałamuciła.

Prokop niecierpliwie machnął ręką.

– Ot, zdumiała i tyle.

Chrząknął i podniósł się z ławki. W zamyśleniu rozejrzał się dokoła i bez słowa ruszył w stronę domu. Gdy już był o kilkadziesiąt kroków od

ławki, odwrócił się i zawołał:

– A żeby jutro Romaniuki te cztery worki oddali. Mnie worki darmo nie przychodzą.

– Dobrze – odpowiedział Wasyl. – Jak nie oddadzą, to mąki nie wydám.

Gdy kroki ojca ucichły, opadł na ławkę i zamyślił się. Wszystko stało się tak niespodziewanie i tak nieprawdopodobnie szczęśliwie. Minęło jednak kilka minut, zanim zdołał to sobie dokładnie uświadomić. Wtedy zaczął się śmiać i z całej siły klepać po kolanach.

249

Gdy w pół godziny później, najostrożniej stąpając, zbliżał się do domu, w pokojach było już ciemno. Widocznie ojciec od razu poszedł spać i z Donką już nie rozmawiał. Biedna dziewczyna pewno i oka zmrużyć nie może, przewidując dla siebie na dzień jutrzejszy najgorsze rzeczy.

Długo głowił się Wasyl, jak ją wywołać. Niczego jednak nie wymyślił. Najłżejsze zapukanie w okno obudziłoby wszystkich śpiących.

Istotnie, po przyjściu do domu Prokop Donce nic nie powiedział. Ani Donce, ani nikomu.

Natomiast nazajutrz po śniadaniu, gdy wszyscy byli w izbie, wydobyl z kieszeni opasłą portmonetkę z niegdyś brązowej skóry, z niej wy dostał dwa papierki stużłotowe i kładąc je przed

Donką powiedział:

– Masz tu dwieście złotych. Musisz sobie przecież jakieś tam łaszki przed ślubem posprawiać.

Pod wpływem tych słów wszyscy obecni zamarli w bezruchu. Stara Agata stała z szeroko otwartymi ustami, Olga popatrzyła na ojca jak na wariata, twarz Wasyla rozpływała się w uśmiechu, a Donka zbladła śmiertelnie.

– Przed ślubem? – jęknęła Zonia. – Przed jakim ślubem? Prokop nie uważał za stosowne odpowiadać i podniósł się z ławy.

– Przed moim ślubem – nie bez chętności odpowiedział Wasyl. – Ja się żenię z Donką.

Obdarowana bez słowa rzuciła się do rąk Prokopa. Po twarzy jej ściekały łzy.

– Ot tobie i sztuka! – powiedział rudy Witalis z podziwem. Prokop, opędzając się od podziękowań Donki, wyszedł z izby. Dopieroż tu zawrzało. Izba pełna była okrzyków i gwaru.

Każdy chciał jak najprędzej dowiedzieć się, jak się to stało. Wasyl z dumną miną udzielał wyjaśnień. Natałka szarpała Donkę za spódnicę pokrzykując:

– **Czego płaczesz, Donka? O durna, czego płaczesz?! Odpowiedź Donki ginęła w chlipaniu.**

Rozdział XI

Budowa lecznicy posuwała się szybko. I nie dziwota. Nie brakło rąk do pracy. Mało było w okolicy takich, którzy nie chcieliby się czymkolwiek przyczynić do wzniesienia tego domu.

Sława przedsięwzięcia rozeszła się

szeroko. Nawet gazety o nim pisały, wychwalając szeroko uspołecznienie ludności wiejskiej.

Do zniw budynek już stał pod dachem. A teraz śpieszono się z układaniem podłóg, wprawianiem okien, by na gorący, zniwny czas zdążyć. Większość bowiem zatrudnionych przy budowie ludzi byli to chłopcy, którzy podczas sprzętu ani myśleć nie mogli o oderwaniu się od swego gospodarstwa.

W tymże czasie w miasteczku wykończono meble dla lecznicy, a Łucja wyjechała do miasta, by nabyć niektóre urządzenia. Nie wszystkie można było w mieście dostać, dlatego też napisała do doktora Kolskiego z prośbą, by resztę nabył w Warszawie i wysłał za zaliczeniem pocztowym.

Do Kolskiego pisywała dość często. Lubiła jego listy. A przy tym wyczuwała w nich szczery jego smutek i tęsknotę za nią. Niemal w każdym ją prosił, by pozwoliła mu przyjechać do Radolizsek bodaj na jeden dzień. Odmawiała zawsze stanowczo. Uważała, że nie ma najmniejszego sensu budzić w nim znowu jakieś nadzieje, rozdrażniać znowu jego serce. Nic mu przecież poza przyjaźnią i sympatią ofiarować nie mogła, a przyjaźń i sympatia znajdo-

wały dostateczny wyraz w listach i nie wymagały osobistego zetknięcia się.

Zwłaszcza teraz, w tym okresie, przyjazd Kolskiego byłby nie tylko dla niej, lecz i dla niego wyjątkowo przykry. W jej stosunku z profesorem wiele się zmieniło od pewnego czasu. A mianowicie od owego dnia, gdy Prokop ogłosił zaręczyny swego syna z daleką krewniaczką

250

Donką. Ślub wprawdzie miał się odbyć dopiero po Bożym Narodzeniu, ale młoda, kochająca się para jakby przesycała swoją miłością atmosferę w młynie i wszyscy jego mieszkańcy, oddychając tą atmosferą, mimo woli żywiej odczuwali własne sprawy sercowe. Atmosfera ta przyczyniła się też do tego, że wreszcie między

Łucją a Wilczurem doszło do czegoś, co ona mogła, co chciała uważać za zgodę z jego strony na małżeństwo.

Pewnego wieczora, jak to często zresztą robiła, po drodze do miasteczka wstąpiła na radiolski cmentarz, na grób Beaty. Jeszcze wiosną doprowadziła ten grób do porządku, zasadziła kwiaty i krzewy spiręi. Teraz tylko należało od czasu do czasu powyrywać perz i inne zielska. Lubiała tu przychodzić. W ciszy i w szumie wysokich drzew tak dobrze było rozmyślać o życiu tej tragicznej kobiety, o głębokich, śmiertelnych niemal ciosach, które zadała swemu mężowi i sobie. O potędze, o straszliwej, niszczycielskiej potędze miłości, która przecież jednocześnie jest największą potęgą tworzenia. Ó własnych uczuciach wreszcie i o tym, co dać mogą, co przyniosą jej samej,

a przede wszystkim jemu.

Czy zdoła mu wynagrodzić krzywdę sprawioną przez tamtą?... Czy ciepłem i czułością zdoła ożywić w jego sercu zdolność kochania? Czy usłyszy kiedyś słowa: – Jestem szczęśliwy przez ciebie... Jestem bardziej szczęśliwy niż z tamtą.

Na to wszystko szukała Łucja odpowiedzi, wpatrując się w czarny krzyż u wezłowania mogiły. Mn^{ej} myślała o sobie. O swoim szczęściu. Od dawna zakreśliła wyraźnie granice tego szczęścia w służeniu jemu. W służeniu, pomaganiu, w dbałości o jego sprawy, o jego spokój, pogodę ducha... Czowała w sobie niemal powołanie, wzięła na siebie niemal misję wynagrodzenia temu człowiekowi o wielkim sercu bodaj części tych krzywd, których zaznał. Oto wszystko, czego pragnęła.

Owego dnia, gdy pogrążona w takich rozmyślaniach wyrywała zielska na mogile Beaty, usłyszała za sobą kroki. Obejrzała się i zobaczyła Wilczura.

Stał chwilę w milczeniu, wreszcie powiedział:

– Domyślałem się, że to pani... Ze to pani dba o ten grób.

– Nikt się nim nie zajmował. – powiedziała jakby na swoje usprawiedliwienie.

Zdawało mu się, że w jej głosie dosłyszał jakby wyrzut, i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Dla mnie ten grób jest naprawdę... grobem. Odezwała się po chwili:

– W grobach zamknięte są wspomnienia. Potrzęsnał przecząco głową.

– Nie dla mnie... Nie mówię specjalnie o tej mogile, lecz w ogóle. Wspomnienia moje nie wiążą się prawie nigdy z cmentarzem. Czymże jest cmentarz?... Ot, śmietnisko, gdzie zsypało do dołów resztki, zużyte, niepotrzebne resztki po ludziach, którzy kiedyś żyli. Tak to rozumiem może dlatego, że jestem lekarzem. Ze obcując od tylu lat z materią, nauczyłem się patrzeć na nią jak na futerał, w którym zamknięty jest człowiek... Ciało. Tylko ciało. Mechanizm obdarzony zdolnością ruchu, odżywiania się i wydzielania. Ale tylko mechanizm.

– Jestem również lekarką – zauważyła tonem opozycji.

– No właśnie, i powinna pani tak patrzeć na te sprawy jak ja. Niechże mi pani powie, czy

uważa pani, że trzeba otaczać pietyzmem na przykład palec albo rękę, którą pani komuś amputowała?

– To co innego.

– Jak to co innego?

– Po prostu to są części ciała, w dodatku chore.

– Nie chore, lecz umarłe. Jeżeli zaś pani uważa, że na przykład martwa ręka nie zasługuje na szacunek, to niechże pani mi powie, którą część ciała powinniśmy czcić?

251

– Profesor żartuje.

– Przypuśćmy – ciągnął Wilczur – że bomba rozszarpała kogoś na kawałki. Przy którym z nich mieści pani swoją adorację? Łucja zachnęła się.

– Ależ ja nie mówię o adoracji. Chodzi po prostu o związanie wspomnień o jakimś bliskim zmarłym z określonym miejscem.

– Właśnie tu się różnimy – zaprotestował Wilczur. – Zmarły nikomu nie może być bliski.

Zmarły w znaczeniu zwłok. Bliski nam pozostaje człowiek, człowiek żywy. Dlaczegoż tedy wiązać swoje wspomnienia, wspomnienia o człowieku żywym z czymś, co jest po prostu antytezą życia, z trupem?... W mojej wyobraźni pamięć o kimś raczej kojarzy się z domem, w którym ten ktoś mieszkał, z przedmiotem, którego używał, z fotografią, nie z cmentarzem.

– A jednak... – zawahała się Łucja. – A jednak pan tu przychodzi.

– Przychodzę, gdyż miejsce to lubię, gdyż lubię szum tych starych drzew, ciszę i spokój, a po wtóre dlatego, że wiąże się ono z moim życiem. Jak pani wie, tu właśnie odzyskałem pamięć... Bywam na tym cmentarzu dość często i nigdy nikogo nie spotykam. Czasami trzeba szukać oddalenia od ludzi. Nawet od najbliższych i najmilszych;

– Wobec tego, przykro mi, że pan tu mnie spotkał, gdyż zakłóciłam mu samotność. Już

uciekam i zostawiam pana samego.

– Ależ nigdy w świecie – nie zgodził się Wilczur, przytrzymując jej rękę. – Pójdę z panią.

Tuż za furtką kołysały się lekko w słońcu wysokie łany żyta.

– Nie zdaje sobie pani nawet sprawy, jaką radością jest dla mnie pani towarzystwo.

Uśmiechnęła się.

– Więc nie zalicza mnie pan do najdroższych i najbliższych? Zamyślił się i patrząc jej prosto w oczy powiedział:

– Właściwie mówiąc... pani jest jedyną drogą mi i bliską istotą na świecie... Łucji łzy napłynęły do oczu i ruchem spontanicznym zarzuciła mu ręce na szyję.

Pochylił się nad nią i z wielką serdecznością pocałował ją w policzek. W następnej jednak chwili zdecydowanym ruchem uwolnił się z jej objęć, mówiąc:

– Chodźmy... Czy czuje pani, jak to żyto pachnie?... Taki piękny

wieczór... Myślę, że jego piękno odczuwam tym głębiej, że tak mało miałem pięknych chwil w życiu. Oczywiście, nieraz się cieszyłem. Ale najczęściej radością cudzą...

Szli wąską polną drogą, wijącą się kapryśnymi skrętami między żytem, u brzegów barwnie podszytych gęsto rosnącymi bławatkami i kąkolem. Tu i ówdzie jarzyły się sute kiście rumianków.

– Nie jestem filozofem – mówił Wilczur – i nawet czasu nie miałem, by zastanawiać się dłużej nad tymi sprawami. Ale teraz właśnie zadałem sobie pytanie, co to jest szczęście. Co należy nazwać szczęściem. I stwierdziłem rzecz zdumiewającą. Wie pani, panno Łucjo, że chyba nie można dać ścisłej definicji szczęścia, bo w różnym wieku człowiek zupełnie różnie je pojmuje. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze w gimnazjum, uważałem, że mogę być szczęśliwy tylko wtedy, gdy stanę się podróżnikiem, żeglarzem dalekich oceanów. Później, jako student,

wyobrażałem sobie szczęście w zdobywaniu sławy. Następnie do sławy dodawałem jeszcze i pieniądze, po to oczywiście, by móc to wszystko złożyć u stóp kochanej dziewczyny... Ileż ewolucji,
a raczej jaka nieustanna ewolucja.

– A jak pan teraz sobie wyobraża szczęście? – zapytała Łucja.

Nie odpowiedział od razu.

– Teraz... – uśmiechnął się do niej. – Tak właśnie wyobrażam sobie szczęście; tu wieczór ciepły i pogodny, i żyto pachnące, i pani dobre, kochane serce, tam życzliwi, zacni ludzie, potrzebujący naszej pomocy, i ciche życie bez burz, bez wstrząsów, bez niespodzianek. Tak. Tak właśnie rozumiem szczęście dzisiaj... I chyba to już jest ostatnia jego edycja dla mnie.

252

Doszli do gościńca.

– Do widzenia, panno Łucjo, dziękuję pani bardzo – powiedział Wilczur i kilkakrotnie ucałował jej rękę.

Chciała znowu przytulić się do niego, lecz wydało się to jej czymś niezręcznym. Idąc w stronę Radoliszek, myślała:

– No, nareszcie, nareszcie...

Była tak rozpromieniona, że aż zwróciło to uwagę pani Szkopkowej, która podając ŁUCJI zsiadłe mleko i kartofle, zauważyła:

– A pani to dzisiaj musiało się coś pomyślnego zdarzyć. Taka pani wesoła.

Łucja zaśmiała się.

– Zgadła pani. Rzeczywiście zdarzyło mi się coś bardzo pomyślnego. Pani Szkopkowa nie byłaby kobietą, gdyby nie przyszło jej na myśl, że musi tu chodzić o jakiegoś mężczyznę.

Ponieważ zaś lubiła swoją lokatorkę

szczerze, powiedziała:

– Tak się głowię i głowię, kogo tu pani doktorka w naszej okolicy mogła sobie upatrzeć. Tu przecież nie ma żadnego odpowiedzialnego pana. Łucja wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– A jednak ja znalazłam.

Szkopkowa przymrużyła w zamyśleniu jedno oko.

– Bo chyba nie młody pan Czarkowski. To przecież jeszcze dzieciak.

– Nie, nie...

– I nie brat księdza proboszcza? Człowiek, ma się rozumieć, porządny, ale to nie dla pani.

A może dziedzic z Kowalewa?

Łucja zaprzeczyła ruchem głowy, nie przestając śmiać się.

– No to już doprawdy nie wiem kto – z nieukrywaną troską w głosie powiedziała pani

Szkopkowa. – Doprawdy nie wiem kto. Nikogo tu więcej takiego nie ma. To może ktoś dalej mieszkający?

– Nie, owszem, ktoś mieszkający blisko.

– No to już nie odgadnę – z rezygnacją orzekła Szkopkowa. – Ludzie tu, jakwidzieli panią doktorkę z tym młodym Czarkowskim, to już coś tam gadali. Inni wspominali, że dziedzic z Wickunów chce się z panią żenić. Ale to znowu zakamieniały stary kawaler, więc nie wierzyłam. Tak samo nie wierzyłam, kiedy pani Jankowska opowiadała, że pani doktorka za profesora Wilczura się wybiera. Powiedziałam jej: – Moja pani Jankowska. Co też pani za głupstwa gada. Przecież to człowiek wiekowy. Do trumny mu bliżej jak do ślubu. Tak samo i z tym bratem księdza proboszcza. Nie nadaje się. Za mało wykształcony i co to za mężczyzna, co na łaskawym chlebie u kogoś żyje, a sam nic nie robi.

Łucja nic nie odpowiedziała. Skończyła właśnie kolację i wstając dała do zrozumienia pani

Szkopkowej, że nie ma czasu na dalszą rozmowę.

W istocie wzmiankę tej kobiety o Wilczurze odczuła boleśnie. Czyż istotnie ludzie uważają go za tak starego?... Jego, jego tak pełnego energii,

tak niestrudzonego w pracy, tak młodego duchem. A przecież i krzepkiego ciałem...

Przez kilka dni nie mogła przetrwać tego wrażenia. Pozbyła się go wreszcie podczas wyjazdu do miasta. Ostatecznie byłoby śmiesznością brać pod uwagę czyjekolwiek zdanie w tej sprawie. A już szczególnie ludzi prostych, rozumujących kategoriami najprymitywniejszymi.

Po powrocie zastała list Kolskiego. Donosił, że zakupił już wszystko to, o co go Łucja prosiła, i wysłał pocztą. O sobie pisał niewiele: pracuje bardzo dużo, zarabia coraz lepiej. W lecznicy ma stosunki dobre, gdyż popiera go doktor Rancewicz, który jest obecnie zastępcą profesora Dobranieckiego. Dobraniecki rzadziej teraz i krócej bywa w lecznicy. Narzeka na jakieś dolegliwości. Skarży się na bóle głowy. Za radą Rancewicza zwołano nawet konsylium, które nic istotnego nie znalazło i orzekło, że przyczyną jest prawdopodobnie wątroba i

253

ogólne wyczerpanie. Prawdopodobnie w tych dniach Dobraniecki wyjedzie na wątrobianą kurację do Marienbadu. Na czas jego

nieobecności kierownictwo obejmie Rancewicz, stanowisko zaś Rancewicza Kolski.

„Dlatego – pisał dalej – nie proszę Pani tym razem o pozwolenie na przyjazd do Radolizszek. Nie puszczą mnie stąd nawet na jeden dzień. Dręczy mnie nieznośna tęsknota. W pani dawnym mieszkaniu zainstalowało się jakieś młode małżeństwo. Przechodzę często tamtędy.

Przy oknach zawsze

pełno kwiatów. Pewno są szczęśliwi. Im częściej myślę o pani, tym do głębszego dochodzę przekonania, że jednak Pani ma rację. Szczęście polega na możliwości ofiarowania wszystkiego, co się posiada, kochanej istocie. Dawniej nie umiałem tego zrozumieć. Widocznie trzeba

cierpieć, jeżeli człowiek chce się czegoś nauczyć. Nie wspomniała mi Pani w swoim ostatnim liście ani słowem o własnych, o osobistych projektach. Wie Pani, o czym mówię. Jakże bardzo pragnąłbym mieć Pani fotografię. Zobaczyć, jak Pani obecnie wygląda. Chyba to nie jest prośba, której Pani spełnić nie może?...”

W post scriptum jak zwykle były zdawkowe pozdrowienia dla profesora Wilczura, pozdrowienia, które Łucja, powtarzając Wilczurowi, musiała ubarwiać zmyślonymi serdecznościami.

Tym razem Kolski musiał dłużej czekać na odpowiedź Łucji niż zwykle. Po pierwsze, wykonanie zdjęć u miejscowego fotografa półamatora zabierało dużo czasu, po wtóre, Łucja była bardziej niż kiedykolwiek zajęta instalowaniem lecznicy. Wyłoniły się przy tym jeszcze potrzeby załatwienia różnych formalności urzędowych w związku z otwarciem instytucji. Musiała nawet pojechać do starostwa odległego o dobre czterdzieści kilometrów.

Lecznica, jak na miejscowe warunki, wyglądała nader dobrze. Z ganku wchodziło się do obszernej sieni, która miała spełniać rolę poczekalni. Po lewej stronie były dwa duże pokoje. Jeden urządzony był jako sala szpitalna z czterema łózkami, drugi jako ambulatorium i, za przepierzeniem, sala operacyjna. Z sieni po prawej znajdowały się trzy mniejsze pokoje: jeden, osobny, miał służyć jako apteczka i skład ziół. Tu również przeznaczono locum dla Jemioła. Dwa pozostałe miały stanowić mieszkanie dla Wilczura i dla Łucji. Oczywiście ani profesor, ani ona nie mówili o tym z sobą. Gdy jednak podczas budowy pan Kurkowicz zapytał profesora, czy połączyć te pokoje drzwiami, Wilczur odpowiedział:

– Sądzę, że tak. Jeżeli nie będą potrzebne, to je zawsze można przecież zamknąć.

W istocie nie miał wielkiej ochoty na przeprowadzenie się do lecznicy. Chętniej pozostałby w starej przybudówce, do której się przyzwyczał. I tak jednak nie mógłby tam długo

mieszkać, gdyż po Bożym Narodzeniu miał się odbyć ślub Wasyla i można się było domyślać, że młoda para zainstaluje się właśnie w przybudówce, chociaż nikt o tym Wilczurowi ani słowem nie wspomniał.

Pierwszej niedzieli po żniwach odbyło się poświęcenie lecznicy i jednocześnie jej otwarcie. Zebrały się tłumy ludzi z kilkunastu okolicznych wsi, przyjechał nawet z odległego starostwa lekarz powiatowy, który chciał poznać profesora Wilczura. Doktor Pawlicki, chociaż zaproszenie również otrzymał, demonstracyjnie świecił swoją nieobecnością. Poświęcenia dokonał proboszcz radoliski, ksiądz Grabek, który też wygłosił piękne przemówienie, dziękując Wilczurowi za to, że postanowił osiedlić się w tych stronach i pracować dla ludu tutejszego, oraz podkreślając zasługi tegoż ludu, który budując lecznicę, dał tak piękny przykład innym. Następnie Wilczur powie

dział kilka serdecznych słów i uroczystość była skończona. Ludzie jednak długo nie rozjeżdżali się, oglądając wszystko dokładnie, interesując się szczegółami i chwając solidną budowę domu.

Właściwie nowo wzniesiona lecznica była bardzo podobna do tych lecznic wiejskich, których setki i tysiące znajdują się na Zachodzie. Różniła się od nich tylko tym, że w sieni stała

254

skrzynia, do której pacjenci mogli, jeżeli chcieli i było ich stać na to, składać przywiezione honoraria pod postacią czy to masła, czy jajek, czy kawałka słoniny, czy torby zboża. Zapasy te miały zarówno służyć dla żywienia obłożnie chorych, jak i na utrzymanie lecznicy. Obok skrzyni ustawiono też blaszaną skarbonkę na datki pieniężne, chociaż te zdarzały się bardzo rzadko.

Już nazajutrz po uruchomieniu lecznicy okazało się, jak bardzo była potrzebna. Przywieziono z Nieskupy córkę jednego z gospodarzy, która się nadziała na widły i była prawie umie-

rająca. Pod wieczór z Wickunów przytransportowano parobka dworskiego ze zmiążdżoną nogą: wpadł do młocki. Ten pacjent różnił się tym od innych, że właściciel majątku obiecał opłacić jego kurację. Lecznica z zasady miała służyć wyłącznie ludziom biednym, okolicznym chłopom, którzy własnymi rękami lub rękami krewnych przyczynili się do jej wzniesienia.

Przeprowadzka profesora i Jemioła odbyła się dopiero w czwartek, a w piątek przywieziono z Radoliszek rzeczy Łucji. Ponieważ fama o otwarciu lecznicy rozeszła się szeroko, zwiększał się też napływ pacjentów. Toteż profesor z wdzięcznością przyjął propozycję Donki, która ofiarowała się z pomocą przy opatrywaniu chorych.

Praca w lecznicy weszła w normalny tryb. Od wczesnego rana przyjeżdżali chorzy. Wilczur i Łucja niewiele mieli czasu na rozmowy w ciągu dnia. Natomiast wieczory zawsze spędzali razem. Wtedy chodzili na długie spacery. Czasami towarzyszył im Jemioł. Wolał jednak przesiadywanie w karczmie w Radoliszkach. Swoje funkcje w lecznicy traktował z właściwą mu nonszalancją. Często bywał nieobecny wtedy, gdy go potrzebowano, lub też z podium ganku wygłaszał do chłopów przemówienia, naszpikowane obcojęzycznymi zwrotami.

– To dziwne – mówiła Łucja. – Nie wiedziałam jeszcze nigdy tego człowieka w stanie trzeźwym, lecz równie nigdy nie widziałam go pijanego. Zdaje się, że on zupełnie świadomie utrzymuje się w stanie podniecenia alkoholowego.

– Tak – potwierdził Wilczur. – To jest swego rodzaju próba ucieczki od rzeczywistości, świadoma chęć deformowania wyobrażeń o otaczającym świecie. Oczywiście podłożem tu jest jakaś tragedia, którą ten biedny człowiek musiał przeżyć. Czy nie przypomina pani sobie niczego ze swoich sandomierskich czasów, co mogłoby naprowadzić na ślad jego przeżyć?

Łucja przecząco potrząsnęła głową.

– Byłam wtedy małą dziewczynką. Stryjenka wówczas miała już przeszło

trzydziestkę. Nie pamiętam, by kiedyś w jej domu wymówiono nazwisko

Jemioła.

– Nazwisko zapewne nie. Nie wiem zresztą, jak się on nazywa. Prawdopodobnie rozmyślnie ukrywa swoje nazwisko prawdziwe, podając pierwsze lepsze, jakie mu na myśl przyjdzie.

Czy przypomina pani sobie naszą rozmowę w wagonie?

– Owszem – Łucja skinęła głową.

– Pamięta pani, jak wielkie wrażenie na nim zrobiło pani nazwisko. Nigdy przedtem ani później nie widziałem go tak wstrząśniętego. Nawet przestał się cynicznie uśmiechać. Wyzbył się na pewien czas pogardliwie ironicznego gadulstwa.

– Pamiętam – powiedziała Łucja. – Przyznam się panu, że sama byłam bardzo zaintrygowana wówczas. Wiem tylko jedno: że stryjenka przed ślubem uchodziła za jedną z najpiękniejszych panien w Sandomierzu i że cieszyła się dużym powodzeniem.

– Była piękna?

– O tak. Mój stryj kochał ją bardzo.

– A ona? – zapytał Wilczur.

– Sądzę, że była najlepszą żoną. Należała do tych kobiet, o których nawet przypuścić nie można, by zdradzały męża. Jeżeli kiedyś coś zaszło między nią a tym człowiekiem, jestem pewna, że nie był to romans.

– W tych sprawach nie można mieć nigdy żadnej pewności – zauważył

255

Wilczur.

– Oczywiście – przyznała Łucja.

– Ta gorycz, z którą Jemioł wspominał pani stryjenkę, świadczy o tym, że musiało go z nią coś łączyć. I – jak sądzą – coś nieprzeciętnego. Mam wrażenie, że to właśnie zawążyło na

całym jego życiu.

Łucja zamyśliła się i powiedziała:

– Po stryjence zostały papiery, których nie przeglądałam. Może w nich znajdę wyjaśnienie tej sprawy. Wilczur zaciekał się.

– Papiery?... Ma je pani tutaj? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. W Warszawie u państwa Zarzeckich. Jest to kufer z książkami, listami i różnymi drobiazgami stryjenki. Nie przeglądałam tego. Teraz jednak napiszę do Misi Zarzeckiej, by mi przysłała ten kufer wraz z resztą moich rzeczy.

Wilczur powiedział:

– Naprawdę radziłbym pani, droga panno Łucjo, wstrzymać się jeszcze ze sprowadzaniem tutaj swoich rzeczy. Kto wie, czy nie sprzykrzy się tu pani prędzej, niż pani sądzi, i czy nie zapragnie pani powrotu do Warszawy.

Mówił to jednak prawie żartobliwie. W rzeczywistości był przekonany, że postanowienie Łucji jest już ostateczne, że kwestia ich małżeństwa jest już tylko kwestią czasu, gdy oboje przesądzi ją pozytywnie.

Łucja nawet nie oburzyła się.

– Ależ oczywiście! Jeżeli zdecyduje się pan na powrót, wrócę z panem. Zaśmiał się i pocałował ją w rękę.

– Nie, to już niech pani lepiej sprowadzi te rzeczy.

Po tygodniu nadeszły. Oprócz kufra stryjenki przyszła też wielka paka, zawierająca różne drobiazgi z dawnego mieszkania Łucji. Po paru dniach jej pokój w lecznicy przybrał zupełnie inny wygląd. Na nagich drewnianych ścianach rozwieszono zostały obrazki, makaty, na podłodze rozłożone kilimy, zjawily się wazony do kwiatów i dużo podobnych rzeczy, dzięki którym pokój stał się zakątkiem miłym i prawie wygodnym. Minęło sporo czasu, zanim Łucja

zabrała się do zbadania papierów i listów. Z właściwą starszym osobom systematycznością stryjenka zostawiła wszystko w idealnym porządku. Listy były powiązane w paczki, notatki ściśle datowane. Kilka grubych zeszytów zapisanych drobnym pismem nosiło kolejną numerację. Były to pamiętniki stryjenki jeszcze z jej szkolnego okresu.

Łucja z dużym zainteresowaniem zabrała się do ich lektury. Pisane były ze zwykłą u młodych dziewcząt afektacją i naiwnością. Opisywały stosunki w szkole, drobne sprawy domowe, przyjaźnie i zatargi z koleżankami. Poczynając od klasy czwartej, pojawiły się nowe motywy: pierwsze budzące się uczucia.

Na przestrzeni wielu kartek mowa jest o jakimś panu Lucjanie, który swoją osobą zaprzętał całą wyobraźnię dziewczynki. Dopiero przy końcu zeszytu okazało się, że owym nadzwyczajnym panem Lucjanem był uczeń z ósmej klasy, którego autorka zresztą osobiście nie znała. Następnym obiektem westchnień staje się profesor geografii, wkrótce jednak musi ustąpić miejsca księdzu prefektowi. Poważne uczucie wywołuje jednak dopiero jakiś pan Juliusz. Jest to młody nauczyciel, polonista, który wraz z nowym rokiem szkolnym zjawia się w gimnazjum. Nie podoba się ogółowi uczennic siódmej klasy. Jest niepozorny i według powszechnej opinii brzydki. Autorka pamiętnika jednak odnajduje w nim takie wartości, o jakich ani marzyć nie mogliby ani ksiądz prefekt, ani maturzysta Lucjan, ani profesor geografii. Pan Juliusz jest poetą. Godzina lekcji, tylko jedna godzina – to tak mało. Jakże pięknie on mówi! Jak głęboko wyczuwa myśli wieszczów, ile z obojętnych strof, których należało dawniej ze wstrętem uczyć się na pamięć, wydobywa blasku i ciepła.

Nie lubią go w szkole. Koledzy profesorowie odnoszą się doń jakby lekceważąco. Uczennice stroją zeń żarciki za jego plecami, a nieraz płatają mu wstrętne figle. Lecz za to tym bar-

dziej trzeba go kochać. Trzeba mu wynagrodzić to wszystko uczuciami wprawdzie nie wy-

znany, wprowadzie głęboko tajnymi, lecz tym niemniej wyrównywanymi gdzieś, poza rzeczywistością, te krzywdy, które go spotykają. Trzeba uczyć się pilnie, trzeba by wypracowania wykonane były z największą starannością, by odpowiedzi przy tablicy zadowolić mogły wysoki poziom jego wymagań.

Przez okres siódmej klasy wszystko pozostaje w takim stadium. Natomiast w ósmej następuje pierwsze spotkanie poza szkołą. Po spotkaniu tym pamiętnik przybiera ton egzaltowany, kartki gęsto pstrzą się od superlatywów, od płomiennych wyznań miłosnych, od marzeń o przyszłości.

Z wiernie powtórzonych tu rozmów widać, że między uczennicą a nauczycielem rozwinęło się naprawdę głębokie i wielkie uczucie. Pan Juliusz widuje się z nią codziennie. Często przynosi jej kwiaty, napisał dla niej, wyłącznie dla niej piękny poemat, którego nie wydrukuje nigdy, bo jest tylko dla niej napisany. Poemat nosi tytuł „Anemona”. Jest strasznie mądry, a tak trudno się przyznać, że się nie wszystko rozumie. Pan Juliusz pomimo swego młodego wieku, bo starszy jest od niej zaledwie o siedem lat, jest bez wątpienia najmądrzejszym człowiekiem, jakiego można spotkać na świecie. Nie tylko najmądrzejszym. Przede wszystkim najszlachetniejszym. Dopiero przez jego oczy zobaczyła świat tak piękny, jakim świat jest naprawdę. Dopiero przez serce odczuła bezgraniczną dobroć Boga, dopiero dzięki niemu potrafiła pojąć, jak wiele trzeba mieć w duszy miłości bliźniego.

Łucja ze szczerym wzruszeniem zamknęła pamiętnik. Kończył się on wraz z końcem szkoły, wraz z maturą. Ostatnie zdanie zawierały radosną informację, że na okres wakacyjny autorka wyjeżdża z rodzicami do Szczawnicy i że tam również przyjedzie on.

Wśród listów stryjenki najwięcej pozycji zajmowały listy stryja. Nie były to listy specjalnie ciekawe. Pisał często, lecz krótko i rzeczowo. Nawet listy z okresu narzeczeństwa, podpiswane sentymentalnie „Twój wierny paż Adam”, wydawały się trochę oschłe.

Czytając te listy Łucja nie mogła pozbyć się uśmiechu. Przypominała sobie przecie stryja. Nie robił wrażenia pazia. Miał okazałą łysinę, duży brzuch i łopaciastą szpakowatą brodę. Całymi nocami grywał w winta i pił dużo piwa.

Dalej były listy od krewnych, od znajomych, od przyjaciółek, zawiadomienia o śmierci, zaproszenia na śluby, barwne kartki pocztowe z imieninowymi i świątecznymi życzeniami.

Na próżno wśród tych stert papieru Łucja szukała imienia Juliusza. Znalazła je wreszcie na samym dnie szkatułki. Była to sporych rozmiarów paczka związana sznurkiem i starannie zalakowana. Na wierzchu widniał napis zrobiony ręką stryjenki: „Własność JWPana Juliusza Polańskiego. – Gdyby się nie zgłosił, proszę spalić po mojej śmierci”.

Łucja długo wahała się, co ma zrobić. Cos jej mówiło, że znajdzie tu rozwiązanie wielu tajemnic nie tylko z życia stryjenki.

Przez kilka dni nie mogła się zdobyć na decyzję. Nieraz brała do rąk nożyczki i nieraz je odkładała. Wreszcie pewnego dnia zapytała Wilczura:

– W papierach stryjenki znalazłam paczkę przeznaczoną dla człowieka, którego kochała będąc młodą dziewczyną. Na paczce jest napis dysponujący nią w ten sposób, że jeżeli się po jej odbiór nie zgłosi niejaki pan Juliusz Polański, należy ją spalić bez otwierania. I teraz sama nie wiem, jak postąpić. Mogę się domyślać, że owym Juliuszem jest właśnie nie kto inny jak nasz przyjaciel Jemioł.

– Bardzo prawdopodobne.

– Obawiam się jednak – ciągnęła – że może być to moje przywidzenie. A sprawdzić rzecz można tylko otwierając paczkę wbrew życzeniu zmarłej.

^ Jest jeszcze inny sposób – zauważył Wilczur. – Można zapytać Jemioła, czy to jego nazwisko.

Łucja potrząsnęła głową.

- Widzi pan, i co do tego mam wątpliwości. Czy wskazane jest budzić w nim znowu wspomnienia, jak to się banalnie nazywa: rozkrwawiać blizny. Wilczur zamyślił się.
- Co do tego nie mogę mieć zdania i w ogóle nie może być zdania obiektywnego. W każdym razie uważam, że ani pani, ani ja nie mamy po prostu prawa dysponować czymś, co nie należy do nas. Jeżeli paczka jest przeznaczona dla niego, sądzę, że należy mu ją oddać. Postąpi z nią tak, jak będzie chciał. Może nie czytając wrzuci w ogień, a może zechce właśnie powrócić pamięcią do tamtych lat. Widziała pani przecież, że tkwią w tej pamięci bardzo mocno.
- Przeczytałam pamiętniki stryjenki z jej czasów szkolnych. Wynika z nich, że kochała się przez dwa lata, aż do ukończenia gimnazjum w tym Juliuszu. Trudno mi uwierzyć, że opisywany przez nią tam człowiek może być Jemiołom. Stryjenka charakteryzuje go jako istotę ponad ludzką miarę szlachetną, o idealistycznym światopoglądzie, o chrześcijańskiej etyce, o poetyckim usposobieniu. Wątpię, by tak dalece ktoś mógł się zmienić.
- Droga panno Łucjo. Bywają takie przeżycia, które ze zbrodniarzy robią aniołów i z aniołów zbrodniarzy.
- Zapewne – przyznała. – W tym jednak wypadku wydaje mi się to zbyt rażące.
- Nazajutrz po tej rozmowie Łucja wieczorem zastała Jemioła siedzącego na ławce przy ganku lecznicy. Usiadła obok i powiedziała:
- Przysłano mi rzeczy po mojej stryjence. Wśród nich znalazłam paczkę, zawierającą prawdopodobnie listy. Paczka jest zalakowana, a na niej jest umieszczony napis, by zwrócić ją komuś, jeżeli ten ktoś po nią się zgłosi. W przeciwnym zaś razie paczkę spalić.
- Rysy Jemioła ściągnęły się. Spojrzał ostrym wzrokiem na Łucję i po chwili odezwał się cicho:

– I jakież nazwisko jest na tej paczce? Może mi to pani powiedzieć?

– Oczywiście. Polański, Juliusz Polański.

Zapanowało milczenie. Łucja JUŻ wiedziała teraz, że nie zachodziła tu pomyłka. Jemioł, usłyszawszy to nazwisko, skurczył się, zgarbił, zdawało się, zmniejszył o połowę. Jego palce kurczowo zacisnęły się na poręczy ławki. Wilczur miał rację, mówiąc, że wspomnienia muszą w tym człowieku być bardzo silne.

– Sama nie wiem, jak mam postąpić. Dotychczas nikt się nie zgłosił po te papiery...

Jemioł milczał.

– Minęło wiele lat – ciągnęła. – Może już ten człowiek nie żyje, może jest gdzieś daleko, za granicą. Może się nigdy nie zgłosi. Mówię o tym panu dlatego, że znał pan moją stryjenkę za czasów jej młodości, o ile mi się zdaje. Może pan wie coś o owym panu nazwiskiem Polański... Może pan go znał?

Zrobił krótki, przeczący ruch głową i powiedział:

– Nie znałem. Nie... Nie znałem...

W jego głosie była jakaś nutka okrucieństwa.

– Wobec tego chyba spalę te papiery.

– Niech je pani spali jak najprędzej. Wszystkie papiery należy palić. Łajdactwem jest przechowywanie papierów. Prawda nie daje się przechować! Rozumie to pani? Prawda z biegiem czasu staje się kłamstwem! Obrażliwym kłamstwem, oszczerstwem, potwarzą. Drwiną!...

Przyglądała mu się z zainteresowaniem, on jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

– Tylko głupcy i ludzie nieuczciwi przechowują cudze myśli, cudze słowa, cudze uczucia, by delektować się nimi, wtedy gdy już nie mają do tego żadnego prawa, kiedy to jest zwykłą kradzieżą, rabunkiem, dokonany na kimś bezbronny. Przecież pani to musi rozumieć.

– Rozumiem to – przyznała Łucja. – Ale to, co pan złego mówi o ludziach zatrzymujących

czyjeś listy, nie może się odnosić do mojej stryjenki. Paczka zalakowana była od dawna i stryjenka zapewne nie zaglądała do niej wcale od czasu, gdy znała autora owych listów.

258

Zresztą nie wiem, czy tam są wyłącznie listy. Paczka może zawierać również jakieś pamiątki...

– To jest zupełnie to samo – przerwał jej gniewnie. – Jakaż różnica? Pamiątki też pochodzą z jakichś uczuć, z jakichś myśli. Z chwili. Z danego momentu. Z danego nastroju.

Łucja udając, że nie dostrzega jego aż nazbyt osobistego stosunku do sprawy, zapytała:

– Więc sądzi pan, że raczej powinnam spalić?

– Nie raczej, lecz koniecznie i to jak najprędzej.

– Może i ma pan słuszość – powiedziała obojętnym tonem. – Zastosuję się do pańskiej rady. Po chwili dodała:

– Miałam początkowo wprawdzie ochotę otworzyć paczkę i zobaczyć, czy wewnątrz nie znajdę bliższych wiadomości o adresacie. Pomyślałam sobie jednak, że może być to niedyskrecja, która kogoś skrzywdzi. Tak. Najlepiej będzie to spalić.

Jemioł zaśmiał się ironicznie.

– Gdyby ludzie byli mądrzejsi, paliliby takie rzeczy znacznie wcześniej:

jeszcze przed ich wysłaniem. Później już trudno odzyskać listy. A niedyskretni szperacze z czasem je odszukują, ogłoszą drukiem. Najintymniejsze, najświętsze tajemnice człowieka rozwłóczą po swoich śmierdzących ulicach i rynkach jak psy, które odgrzebały kości nieboszczyka!... Oczywiście, żeby dostąpić tego zaszczytu, trzeba być sławnym. Trzeba przez całe życie

wypruwać z siebie flaki, być bohaterem czy wielkim poetą, obdarowywać naród swoją duszą, swoim umysłem, swoją krwią. Wtedy dopiero wdzięczni potomni uczczą cię wywleka-

niem twoich tajemnic, twego prywatnego życia, twoich świętości. Jeżeli ktoś za życia sławy nie zdobył, musi się komentować mniejszym. Musi się ograniczyć do nadziei, że jego listy dostaną się do rąk nielicznej tylko garstki kochanych spadkobierców.

– Czasami bywa i inaczej – zauważyła Łucja. – Jak na przykład w tym wypadku. Sama adresatka, moja stryjenka, bynajmniej nie chciała, by listy owego człowieka dostały się do czyichś rąk.

Wzruszył ramionami.

– Dlaczego w takim razie ich nie spaliła?

– Zapewne dlatego, że sądziła, iż autor może zażądać zwrotu. I widzi pan, dostały się do moich rąk i ja również nie zajrzałam do nich. Wkrótce przestaną istnieć, nie narażając się na ciekawość ludzką.

Jemioł wstał. Twarz jego wyrażała dawny, cyniczny i obojętny stosunek do otaczającego go świata.

– Bardzo miło rozmawia się z panią, carissima, ale już więcej pani czasu poświęcić nie mogę. Wzywa mnie obowiązek. Muszę przyczynić się do dobrobytu ojczyzny, przelewając do swego żołądka pewną dozę płynnych kartofli.

– Oby tylko ta doza nie była zbyt wielka – z uśmiechem zauważyła Łucja.

– Nie ma obawy. Ograniczę się ściśle do takiej, która przypada na mnie jako na jedną głowę według urzędowej statystyki spożycia alkoholu. Jeżeli będzie to doza podwójna, proszę mi tego za złe nie brać. Różnica wynika stąd, że głowa taka jak moja warta jest dwa razy więcej.

Patrzyła za nim, gdy się oddalał. Jego dowcipkowanie nie wprowadziło jej w błąd. Wiedziała dobrze, że wszystkie jego myśli skupiają się wokół minionych przeżyć. Wydał się jej teraz bardziej zbliżony do owego Juliusza z pamiętnika stryjenki.

Tegoż wieczora powiedziała Wilczurowi:

– Teraz już wiem ponad wszelką wątpliwość, że Jemioł jest owym człowiekiem, który był pierwszą miłością mojej stryjenki. Wilczur zapytał:

– Czy chciał, by pani mu zwróciła paczkę z listami? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

Wilczur uśmiechnął się.

259

– Spodziewałem się tego.

– Serio? Przyznam się, że dla mnie była to prawdziwa niespodzianka.

– Bo za mało go pani zna. Ludzie jego typu nie lubią grzebać się w przeszłości, którą raz przekreślili sami lub którym los tę przeszłość przekreślił.

– Przekreślić to nie znaczy jeszcze zapomnieć – zauważyła Łucja.

– Tak. Ale to znaczy chcieć zapomnieć. Co prawda w takich wypadkach chcieć nigdy nie oznacza móc...

Tegoż dnia Łucja spaliła wszystkie listy i papiery stryjenki. Nie po

wiedziała o tym Jemiołowi ani słowa, oczekując, że sam zapyta. On jednak dopiero po tygodniu podczas rozmowy rzucił niedbale pytanie:

– I cóż pani, seniorita, zrobiła z pozostałościami po swej czcigodnej krewniaczce?

– Zrobiłam tak, jak pan radził – odpowiedziała. – Spaliłam wszystko. Ale przyznam się

panu, że się boję, czy nie będę tego żałowała. Kto wie, czy osoba, której na tych papierach mogło zależeć, nie zgłosi się kiedyś i nie zapragnie zabrać tych rzeczy.

Jemioł wykrzywił usta.

– O darling. O ile znam ludzi, na pewno to się nie przytrafi. i, – Gdybym tak tego była pewna jak pan, nie miałabym wyrzutów sumienia, że postąpiłam zbyt lekkomyślnie.

– Lekkomysłności nie powinno się nigdy żałować. Przez całe życie byłem lekkomyślny i

widzi pani, jakie wspaniałe rezultaty. Opływam w dostatek, kobiety mnie kochają, mam rozum i wieś, jak powiada Fredro, czegoż mi jeszcze brak?... Lekkomyślność to zaleta prawdziwych filozofów. Niech pani to weźmie przez przeciwstawienie: ciężkomyślność! Ciężko myślą ludzie tępi i ponurzy.

Łucja uśmiechnęła się.

– I pan bywa czasami ponury. Podniósł wskazujący palec.

– Ale tylko podczas niedyspozycji żołądkowych.

– Albo pod wpływem jakichś refleksji. Potrząsnął przecząco głową.

– Refleksje są właśnie prostym skutkiem złego trawienia. Jako lekarka powinna pani to wiedzieć. Zaśmiała się.

– Jako lekarka protestuję.

– Jest pani w błędzie. Przecież nic nie wiemy o istnieniu naszego organizmu, o istnieniu naszych organów, póki nie zaczną się nam przypominać przy pomocy bólów. Wtedy człowiek, jak powiada mędrzec Pański, patrzy w siebie. A patrzenie w siebie to właśnie refleksje. Podejrzewam, że Budda, zapatrzony we własny pępek, musiał cierpieć na niestrawność, na co zresztą wskazuje wyraźnie wzdęcie jego brzucha. W ogóle ludzie zbyt mało uwagi zwracają na łączność spraw duchowych z procesem trawienia. Freud łączy wszystko to ze sprawami płciowymi. Niech pani mu zrobi konkurencję i zwróci uwagę ludzkości na żołądek. Wówczas może się okazać, że cierpienia młodego Wertera powstały pod wpływem dyspepsji, na jaką w owym czasie cierpiał pan Goethe, że „Smutno mi. Boże” zrodziło się nie z nostalgii, lecz z nadmiaru makaronów w żołądku pana Słowackiego. Tak, illustrissima, więcej uwagi skierować należy na jamę brzuszną. Kto wie, jakby wyglądał dziś świat, gdyby Napoleonowi przed bitwą pod Waterloo nie dano jajecznicę z sześciu jajek. Kto wie, co by się stało z potęgą Anglii, gdyby Filipek hiszpański nie cierpiał na nadkwaśność żołądka.

– Kto wie – żartobliwie podchwyciła Łucja – jakby wyglądał pan Cyprian Jemioł, gdyby jego żołądek nie pochłaniał takich ilości alkoholu. Wzruszył ramionami.

– Zaraz to pani powiem.

– Słucham.

– Wyglądałby jak jakaś bardzo sztywna rzecz, opięta w tużurek, ubrana w buty o tekturowych podeszwach i trzymająca rączki grzecznie złożone na własnym popiersiu, a głowę na poduszce z siana. Mówiąc krócej, byłby to normalny standardowy trupek, zielony i smutny, w czterech deskach trumny. Zgadła pani. Istotnie, alkohol ma wielki wpływ na kwestie pozo-

260

stawania przy życiu osobnika zwanego Cyprianem Jemiołem. To jest jedyny płyn, który się krystalizuje w ten sposób, że przez jego pryzmat można jeszcze jako tako oglądać parszywą rzeczywistość dnia codziennego, twarze i pyski hołoty zamieszkującej ten glob i słońce, które bezmyślnie żywi na nim tak wiele niepotrzebnych stworów.

Łucja powiedziała poważnie:

– Może właśnie dlatego rzeczywistość wydaje się panu parszywą, że spogląda pan na nią przez pryzmat butelki.

– Droga pani. Są dwa rodzaje butelek: pełne i puste. A ja umiem porównywać. I upewniam panią, że przez pełną świat zupełnie inaczej wygląda niż przez pustą.

– I nie przyszło panu na myśl, że można patrzeć na świat nie używając żadnego „pryzmatu”?

Uśmiechnął się pogardliwie.

– Owszem. Były kiedyś takie czasy. Miałem kiedyś taki okres w życiu, który nazwałbym dzisiaj okresem ciełącym. Byłem wówczas tak straszliwie głupi, że dziś trudno mi uwierzyć, trudno mi ogarnąć rozmiar mojej ówczesnej głupoty.

– Obawiam się, że pan głupotą nazywa idealizm.

– Ale cóż znowu – zaprotestował Jemioł. – Idealizm nie jest głupotą. To jest ostateczne zidiocenie.

Łucja spojrzała nań z niedowierzaniem i machnęła ręką.

– Nie wierzę. Powiem panu, że nie wierzę w ten pański cynizm. To jest maska, którą zakrywa się pan przed samym sobą.

– Zgadła pani, madame – odpowiedział z powagą. – Naprawdę to ja jestem cherubinem, który chowa anielski puch swoich skrzydeł pod kamizelką. Dlatego właśnie nie kąpię się, by się nie zdemaskować.

– Nie przekona mnie pan żarcikami. Intuicja nie zawodzi mnie w takich wypadkach. W głębi duszy pozostał pan takim człowiekiem, jakim był wtedy.

– Kiedy? – zapytał podejrzliwie. Zawahała się.

– No, za czasów swojej młodości. Za tych czasów, kiedy był pan, jak pan mówi, głupi. Jemioł zmrużył oczy i skrzywił się.

– Dajmy temu spokój – powiedział innym tonem. – Gdyby nawet tak było, po co mi to pani przypomina...

Odwrócił się i odszedł wolnym, ociężałym krokiem.

Rozdział XII

Pociąg z Wiednia przychodził o dziewiątej dwadzieścia. Kolski o dziewiątej był już na dworcu. Zatelefonował do lecznicy, że się spóźni o godzinę. W kiosku kupił kilka róż i stał teraz z nimi na peronie. Wstydził się tych róż i sam sobie wydawał się śmiesznym młokosem, który na powitanie ukochanej występuje z kwiatami.

W istocie nie wiedział, po co tu przyszedł. Nie miało to żadnego sensu. Należało zignorować depezę pani Niny. Co też jej strzeliło do głowy zawiadamić go telegraficznie o godzi-

nie swego przyjazdu!

A już w każdym razie mógł przyjść na dworzec oficjalnie, bez żadnych głupich kwiatów.

Po prostu po to, by powitać żonę szefa. Dobrze by nawet było zabrać z sobą któregoś z młodszych kolegów.

– Cóż ona sobie wyobraża – myślał. – Na pewno zdaje się jej, że jestem w niej zakochany.

Muszę jej powiedzieć w oczy, że nie.

W tej chwili zdawało mu się, że nienawidzi pani Niny. W istocie uczucia, jakie dla niej żywił, były dlań niezrozumiałe. Była to mieszanina obawy, zaciekawienia i dość znacznej

261

dozy pożądania. Działała mu na nerwy. Umiała działać na nerwy. Chwilami miewał wrażenie, że ta piękna kobiety bawi się nim jak foksterierem. W rozmowie z nią czuł się po prostu niewolnikiem. Swoimi powiedzeniami niejako narzucała mu odpowiedzi. Przy tym te jej oczy: zimne, czujne, ustawicznie obserwując” oczy. Bał się ich. Dopiero gdy przykrywała je powiekami (robiła to przepięknie, wolno, leniwie, podnosząc jednocześnie źrenice ku górze), nabierał pewności siebie. Przy pocałunkach zawsze zamykała oczy. I wtedy jednak dręczyła go wątpliwość, że pani Nina tylko udaje pożądanie. Gdyby pożądała go naprawdę, od dawna zostałaby jego kochanką. Właściwie mówiąc, wcale tego nie pragnął. Łapał się nieraz na uczuciu pewnego strachu przed tym, co kiedyś przecież musiało nastąpić. Strachu i obrzydzenia. Nie miał na to żadnych dowodów, lecz wiedział, że Nina jest kobietą złą, i przeczuwał, że w stosunku do niego uprawia rodzaj sportu.

Pomimo to jednak nigdy nie umiał zdobyć się wobec niej na tyle odwagi, by jej to otwarcie powiedzieć. Przed wyjazdem spotykała się z mm dość często: dwa, trzy razy tygodniowo.

Chodzili razem na spacer, do Łazienek lub Ogrodu Botanicznego. W razie niepogody przesiadywali tę godzinę w cukierni.

Kiedyś powiedziała:

– Jutro przyjdę do pana. Chcę zobaczyć, jak pan mieszka.

Musiał udawać uszczęśliwionego. W gruncie rzeczy był przerażony. Kupił Jakieś owoce i butelkę wina, starannie posprzątał w swoim mieszkaniu, usuwając wszystkie przedmioty, które mogłyby jej się wydać brzydkie. Miała przyjść o piątej i nie przyszła. Zatelefonowała koło szóstej, mówiąc:

– Jerzy jest w domu i absolutnie nie mogę wyjść. Mamy pecha. Czy nie gniewa się pan na mnie?

Czy gniewa się! Był tak uradowany, że omal nie powiedział jej, że błogosławi profesora za to, że siedzi w domu! Odetchnął z ulgą i napisał długi list do Łucji. W kilka dni później zaprosiła go do siebie. Ponieważ wiedział, że o tej porze Dobranieckiego nie będzie w domu, szedł pełen obaw. Na szczęście skończyło się wszystko na pocałunkach.

Sam nie wiedział, dlaczego się boi tej kobiety. Właściwie mówiąc, należało wyzyskać sytuację dla lekkiego romansu, lecz właśnie zdawało mu się, że romans z Niną stałby się dlań trwałym więzieniem. Ze uzależniłby się od niej zupełnie. I chociaż go pociągała zarówno swoją oryginalnością, jak i urodą, zarówno inteligencją, jak i aparycją wielkiej damy, wolał narazić się w jej oczach na posądzenie o sztubacką nieśmiałość i naiwność, niż zachować się jak mężczyzna.

I teraz te kwiaty. Bezsensowne kwiaty. Na parę minut przed nadejściem pociągu zaczął się rozglądać, gdzieby je wyrzucić. Niestety, wszędzie było pełno ludzi. Nie mógł się przecież narazić na śmieszność, wyrzucając świeżo kupione[^] kwiaty. Może ktoś widział, jak je kupował. A zresztą chociażby i nie widział, każdy oczywiście od razu domyśliłby się motywów takiego postępuku. Kolski był wściekły. Na domiar złego na sąsiednim peronie zauważył pannę Zarzecką. Nie uklonił się, udając, że jej nie dostrzegł, lecz ukłula w go myśl:

– Naturalnie, ta geś zaraz napisze do Łucji, że widziała mnie na dworcu, stojącego jak idiota z kwiatami. Tego tylko jeszcze brakowało.

Wreszcie pociąg nadszedł. W oknie wagonu sypialnego stała pani Nina. Wydała mu się, jak zawsze, jak za każdym razem, znacznie piękniejsza niż ten obraz, który nosił w swojej pamięci. Powitała go promiennym uśmiechem i czułym, porozumiewawczym uściskiem ręki. Panna Zarzecką, jak na złość, stała naprzeciw i gapiła się na nich z irytującą bezczelnością. Przed dworcem czekała wielka limuzyna Dobranieckich. Dopiero siedząc w aucie, Kolski spostrzegł, że nie wręczył Ninie kwiatów i bezmyślnie międli je w rękach. Dostrzegła to i ona. Sama wyciągnęła po nie rękę i powiedziała:

– Jaki pan dobry. I to ten mój ulubiony kolor. Wie pan, że w mojej wyobraźni kolory łączą się każdy z pewnym uczuciem? Ten kolor jest dla mnie tęsknotą. Czy tęsknił pan za mną?...

262

– Oczywiście – odpowiedział z uczciwą miną.

– To bardzo ładnie – spojrzała nań czule i końcami palców przesunęła po jego wargach.

Chrząknął i zapytał:

– Jakże się miewa pan profesor? Wyraz twarzy Niny zmienił się od razu.

– Ach, wie pan, że jestem naprawdę zaniepokojona. Zwiększają się bóle głowy i często opanowuje go melancholia. Nawet nie chciałam go zostawić samego, i nie przyjechałabym do Warszawy, gdyby nie...

Uśmiechnęła się porozumiewawczo i ścisnęła go za rękę. Podniósł jej dłoń do ust.

– Cieszę się, że pani przyjechała.

Sam nie wiedział, czy mówi to szczerze. Nie mógł zaprzeczyć, że bliskość tej kobiety podniecała go zawsze. Działała nań jak prąd elektryczny. Miała coś kociego w ruchach, jakąś miękkość i zdradliwość. Używała mocnych perfum, a skórę miała niewypowiedzianie gładką.

Pochyliła ku niemu głowę, jakby zamierzała podać mu usta.

– Szofer – bąknął półgłosem.

– Jestem taka nieostrożna – powiedziała jakby ze skruchą. – Na szczęście pan zawsze o wszystkim pamięta. Pochlebiło mu to.

– Przynajmniej staram się.

– Wie pan, że nawet czasami miewam panu za złe tę pańską wieczną przytomność umysłu.

Czy pan nigdy nie potrafi się zapomnieć?... Zrobił niezdecydowany ruch ręką.

– Owszem. Przypuszczam, że czasami może mi się to zdarzyć...

– Ale dotychczas się nie zdarzyło?

Zastanowił się i przypomniał sobie. Kiedyś w laboratorium ścisnął aż do bólu dłoń Łucji.

Był wtedy prawie nieprzytomny.

– Trzeba panować nad sobą – powiedział zdawkowo.

– Ach, ci mężczyźni. Pojąć nie mogę, za co was kochamy. Jesteście trzeźwi, straszliwie trzeźwi. A przecież cały wdzięk życia polega na umiejętności zapominania o prawach, o obowiązkach, o faktach, o przedmiotach. Trzeba umieć żyć sobą, sobą i kimś drugim.

Auto dojeżdżało do Frascati.

– No, już jesteśmy na miejscu – odezwał się Kolski. – Pani pewnie położy się, by wypocząć po podróży. Zaprotestowała żywo.

– Ależ bynajmniej. Wcale nie jestem zmęczona. Spałam świetnie. Nigdzie tak dobrze nie sypiam jak w sleepingu. Widocznie jestem stworzona do podróży. Czy pan lubi podróżować?

– Dotychczas podróżowałam bardzo mało. Byłam raz w Wenecji i raz w Berlinie. Ale przyznam się pani, że mnie jazda w wagonie bardzo męczy. Uśmiechnęła się doń.

– Mój Boże. Mamy tak krańcowo różne usposobienia. Pociesza mnie tylko, że les extremes se touchent.

Wóz zatrzymał się przed drzwiami pałacyku. Z wewnątrz wybiegł lokaj.

Szofer otworzył kufer auta i wyjmował walizy. Kolski zdjął kapelusz.

– Pozwoli pani, że ją pożegnam...

– Ależ to wykluczone – powiedziała z udawanym oburzeniem. – Zje pan ze mną śniadanie.

– Już jestem po śniadaniu, proszę pani.

– O, egoisto. I dlatego chce pan mnie skazać na samotność? Wzięła go pod rękę i skierowała się ku drzwiom.

– Będzie pan narażony na przykry widok nasycania się zgłodniałej istoty. Ludzie syci niczym się tak nie brzydzą, jak obserwacją odżywiania się głodnych.

– Jeżeli o panią chodzi, to o obrzydzeniu nie może być mowy. Ale...

– Jeszcze pan znalazł jakieś ale?

– Muszę być już w lecznicy.

– „Koń gotów i zbroja, dziewczyno ty moja, uściśnij, daj miecz”... Niechże pan nie będzie zabawny z tym swoim pietyzmem dla obowiązków. Obejdą się bez pana.

263

– Niestety – zaczął, lecz mu przerwała.

– Niestety nie umie pan wytrwać w dobroci dla mnie. Niechże pan mi nie odmawia. Cóż to za koszmar, pusty dom! Zaraz po powrocie! Będę się czuła fatalnie. Już dość mam odwagi i obowiązkowości. To departament mojego męża. Niechże przynajmniej pan będzie dla mnie pobłażliwy i miły. Chodźmy, chodźmy.

Już w hallu powiedział:

– Obiecałem, że będę. Czekają na mnie.

– Więc zatelefonuje pan stąd, że jakiś pacjent, że jakaś pacjentka zatrzymała pana na mieście. Przecież może być pacjentka gwałtownie potrzebująca pańskiej obecności, nieprawdaż?

Rozchyliła usta w uśmiechu i dodała:

– A ja właśnie gwałtownie potrzebuję pańskiej obecności, panie doktorze. Nie mógł się nie uśmiechnąć również.

– Nie zauważyłem tego. Wygląda pani kwitnąco.

– Ach, jednak dostrzegł pan to?... Za to należy się panu nagroda. Rozejrzała się. Nikogo ze służby nie było. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

– To jest pańskie honorarium uiszczone z góry. Teraz etyka lekarska nie pozwoli panu zostawić pacjentki bez opieki.

Naprawdę musiał być w lecznicy, lecz nie umiał jej o tym przekonać. Była usposobiona kapryśnie, wesoło i frywolnie. Zresztą ostatecznie do lecznicy można było rzeczywiście zatelefonować.

– Niechże pan zostawi swój kapelusz – przynaglała go. – Chodźmy. W jadalni lokaj zdążył już postawić drugie nakrycie.

– Teraz musi pan grzecznie na mnie poczekać – mówiła skubiąc klapę jego marynarki. –

W wagonie było jednak dużo kurzu. Wezmę kąpiel, ale nie zajmie mi to więcej czasu niż dziesięć minut. O, może pan przez ten czas

rozmówić się telefonicznie z lecznicą i wymyślić jakieś katolickie kłamstwo na swoje usprawiedliwienie.

Telefon był przeniesiony do sypialni. Nina rozmyślnie nie domknęła drzwi łazienki. Kąpiel widocznie była już przygotowana, gdyż po chwili do uszu Kolskiego dobiegł plusk wody.

Rozmawiał ze starszą pielęgniarką, panią Żaczyńską. Po kolei, systematycznie wydał dyspozycje co do wszystkich swoich pacjentów i powiedział, że ważne sprawy zatrzymują go na mieście. Gdy po pięciu minutach odłożył słuchawkę, usłyszał głos pani Niny:

– Skończył pan?

– Tak, proszę pani.

– No widzi pan, jak jest z pańską megalomanią. Zdawało się panu, że lecznica rozpadnie się w gruzy, jeżeli pan nie przyjdzie. Tymczasem świetnie się bez pana. obejda.

– Świetnie, nieświetnie. Właściwie powinienem tam być. Czy pozwoli pani, że zaczekam, na nią w hallu?

– Dobrze. Ale przedtem niech mi pan poda płaszcz kąpielowy. Tylko proszę na mnie nie patrzeć.

Kolski rozejrzał się po pokoju.

– Tu nie ma żadnego płaszcza, proszę pani.

– Oczywiście płaszcz jest tu. Tylko daleko ode mnie wisi i nie mogę poń sięgnąć.

– Więc jakże go pani podam? – zapytał zatroskanym głosem. Wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Och, panie Janku, panie Janku! Po prostu wejdzie pan do łazienki, zdejmie pan płaszcz z wieszaka i poda mi. Czyż dla pana, jako dla lekarza, widok kobiety... nie ubranej jest czymś nadzwyczajnym?

– Zapewne nie – odpowiedział po namyśle. – Ale nie jestem tu w charakterze lekarza.

264

– A w innym charakterze nie widział pan nigdy kobiety nago? Był zupełnie speszony i dopiero po chwili się odezwał:

– W każdym razie nie mogę tego powiedzieć o takich kobietach, które... szanuję, które wymagają szacunku.

Widocznie rozbawiło ją to jeszcze bardziej, gdyż wciąż się śmiała.

– Upewniam pana, że żadna kobieta, która może się pokazać bez ubrania mężczyźnie, nie wymaga od niego szacunku. No, niech pan mi da ten płaszcz.

Nie było innego wyjścia. Trzeba było spełnić jej żądanie. Przygryzł wargi i wszedł do łazienki. Był to dość duży pokój kąpielowy, wyłożony różowymi kaflami. Na szczęście wanna znajdowała się w przeciwległym rogu, płaszcz zaś tuż przy drzwiach. Starał się na nią nie patrzeć. Lecz nie mógł ukryć swego zakłopotania. Siedziała w wannie, splecionymi rękami zakrywając piersi. Nie mógł nie zauważyć ślicznej spadzistości jej ramion i gorącego, brązowego koloru jej skóry. Nadrabiając miną i starając się opanować niepotrzebną pośpieszność ruchów zdjął płaszcz i zbliżył się do wanny.

– Służę pani – powiedział głosem ochrypniętym.

– Ostrożnie, niechże pan go nie wrzuci do wody. Dlaczego pan jest niedobry i przyglądam się mi się? Przecież prosiłam pana... Mówiła to tonem zgorszenia. – Wcale nie przyglądam się pani. – Zmarszczył brwi.

– Więc niech pan zamknie oczy i poda mi płaszcz.

Zastosował się do jej rozkazu. Usłyszał gwałtowny plusk wody, a później uczył, jak trzymany przezeń włochaty płaszcz kąpielowy napęlnia się gorącym ciałem.

– Dziękuję panu – powiedziała swobodnie.

Owinęła się płaszczem i zanim zdążył odejść, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Jesteś czarujący z tą swoją wstydlivością – powiedziała mu szeptem i pocałowała go w ucho. – Czy będziesz mnie odtąd uważał za istotę wyuzdaną?...

– Cóż znowu – zaprotestował niepewnie. Tuż przy swoich widział jej zielone, iskrzące się oczy, ciekawe i badawcze. Musnęła ustami jego podbródek.

– Zawsze jesteś starannie ogolony. No dobrze, niech pan na mnie zaczeka w hallu.

Gdy pośpiesznie wyszedł z łazienki, zawołała jeszcze za nim:

– A nie pogniewa się pan na mnie, jeżeli do śniadania przyjdę w szlafroku? Tak mi się nie chce ubierać!

– Ależ proszę panią.

– Naprawdę pan prosi? – zapytała zaczepnie. – Zawsze wydawało mi się, że jestem dla pana obojętna...

– Wydawało się niesłusznie – odpowiedział bez przekonania.

– Za pięć minut będę gotowa.

Istotnie nie czekał dłużej. Przyszła w jasnozielonym szlafroczk. Zauważył, że w pośpiechu zostawiła na jednym policzku trochę więcej rózu niż na drugim. Pomimo to wyglądała fascynująco. Śniadanie jadła z apetytem, nie przestając mówić. W pewnej chwili niespodziewanie rzuciła pytanie:

– I cóż się dzieje z tą pańską lekarką?

Powiedziała to lekkim tonem, lecz Kolski od razu najeżył się.

– Nie wiem, proszę pani. Jest poza Warszawą.

– I nie pisujecie do siebie?

– Nie – skłamał.

Pieszczotliwie położyła dłoń na jego rękę. Wiele dałby za to, by móc ją brutalnie odepchnąć.

– Widzi pan, panie Janku. Mówiłam panu, że to panu przejdzie. Czas robi swoje.

– Zapewne – mruknął niechętnie.

265

Był do głębi dotknięty jej słowami i gwałtownie szukał w myśli sposobu zemsty. Nie wiadomo dlaczego przyszło mu do głowy, że sprawi jej przykrość, jeżeli posądzi ją o jakieś bliższe stosunki z rotmistrzem Korsakiem. Widywał go w domu Dobranieckich dość często.

Rotmistrz wprawdzie zachowywał się

zupełnie poprawnie, nie można było jednak nie zauważyć, że jego uroda, rzeczywiście

nieprzeciętna, i temperament podobały się kobietom.

– Czy pani równie łatwo zapomni rotmistrza Korsaka? – powiedział po pauzie.

Spojrzała nań ostro.

– Co pan przez to rozumie? Wzruszył ramionami.

– Ja nic.

Zaśmiała się swobodnie.

– Wie pan, że czułabym się dotknięta pańską aluzją, gdyby nie jej absolutna bezprzedmiotowość i gdyby nie przekonanie, że pan o tym wie doskonale.

Opuścił oczy. Istotnie posądzenie pani Niny o romans z rotmistrem było równie nieuzasadnione jak posądzenie jej o romans z pierwszym lepszym spotkanym przechodniem. Zdawał sobie sprawę, że jego złośliwość chybiła celu i mruknął:

– Nie była to żadna aluzja. Nie przestawała się uśmiechać.

– Owszem, była. I pod pewnym względem sprawiła mi przyjemność.

– Przyjemność? – zdziwił się.

– Tak, przyjemność. Dała mi niezbity dowód, że pan jest o mnie zazdrosny.

Chciał wzruszyć ramionami, lecz opanował się i powiedział:

– O zazdrości nie może tu być mowy.

– Tak trudno się panu do niej przyznać?... Czy to taki wstyd być zazdrosnym o mnie?...

Milczał z opuszczoną głową. Pani Nina wstała, zbliżyła się do niego, delikatnie obu rękami uniosła głowę i pochylając się nad nim tak blisko, że czuł jej oddech, zapytała:

– Czyż jestem tak niepociągająca i aż tak brzydka?...

Zaczerwienił się. Ponownie uderzyła go jej piękność i jakiś nieodparty czar, wynikający z kontrastu zmysłowości ust i nozdrzy i chłodu wielkich, zielonych oczu.

– Jest pani piękna – powiedział cicho.

Przesunęła kilkakrotnie końcami palców po jego włosach i twarzy i szepnęła:

– Tak szalenie tęskniłam za panem...

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki służącego. Wyprostowała się i zmieniła ton:

– Gorąco tu. Chodźmy do biblioteki. Tam jest najchłodniej. W bibliotece okna były do połowy zasłonięte ciężkimi adamaszkowymi zasłonami. Panował tu przyjemny chłód i półmrok. Wskazała mu miejsce na szerokiej, wygodnej sofie. Kolski udał, że nie dostrzega jej gestu, i wybrał przepaścisty klubowy fotel. Lecz pani Nina była zbyt doświadczoną kobietą, by zwrócić na to uwagę. Zapaliła papierosa i chodząc po pokoju, zaczęła opowiadać mu o swoim pobycie za granicą, o ludziach, których tam poznała, o rozrywkach i spostrzeżeniach, których przywiozła mnóstwo. Najdziwniejszym z nich było to, że po raz pierwszy tęskniła, naprawdę tęskniła do kraju. Umiała mówić interesująco. Jasnozielony szlafroczek finezyjnie uwypuklał wspaniałą budowę jej ciała i oczy Kolskiego mimo woli nie mogły się oderwać od niej, tak jak i jego uwaga. W pewnym momencie odłożyła papierosa i usiadła na szerokiej poręczy fotela i opierając się o ramię Kolskiego, mówiła dalej z taką miłą, jakby pozycja ta była czymś najbardziej naturalnym:

– To najbardziej zdumiewające uczucie z tych, jakie znam. Tęsknota. Człowiekowi wydaje się, że jest całkowicie pochłonięty otaczającą go rzeczywistością, wżyty w nowe środowisko, zajęty nowymi sprawami. I nagle oślepiający błysk: czyjaś twarz, czyjeś oczy, czyjeś usta i ręce. Czuje się je na sobie z dojmującym realizmem i przychodzi świadomość, że wszystko, co nas otacza, jest nieważne, obojętne nawet wstrętne. Wstrętne właśnie dlatego, że oddala

266

nas od tych rąk, od tych ust. Czy znasz ten ból serca, ten zupełnie fizyczny ból, który przez piersi przechodzi wówczas gwałtowną krótką falą?...

Kolski poddał się sugestywności jej słów i tonu. W mgnieniu oka nie tylko wspomniął

liczne chwile tęsknoty za Łucją, lecz właśnie taka chwila ogarnęła go teraz. Jej serce... jej jasne, ciepłe spojrzenie... Jej usta, które przy mówieniu poruszają się tak, jakby w rozchyleniach warg formowały słowa, niczym dotykalne kształty z jakiejś niewidzialnej plasteliny... Usta, których nigdy nie całował i których nigdy nie będzie posiadał... Ból. Dojmujący, fizyczny ból w sercu... Jak ona to dobrze powiedziała... Skąd ona to wszystko wie? Jak trafnie potrafi ująć...

Wydała mu się teraz rzeczywiście jedyną istotą na świecie, która potrafi zrozumieć jego tragedię. Przecież na początku zbliżenia z takim naciskiem mówiła mu o tym, że cierpienia duszy stokroć łatwiej dadzą się ukoić, gdy czyjaś serdeczna pomoc, czyjeś mądre spojrzenie, czyjeś umiejętne, a głębokie uczucie weźmie na siebie część naszego strapienia. A jakże mógł wątpić o szczerości jej słów wypowiedzianych wówczas w nocy na tarasie, o uczuciach, o których mówiła teraz, o mądrości i znawstwie duszy ludzkiej, które odkrywał w niej za każdym razem? Czyż nie było szaleństwem to, że bronił się przed tym wszystkim, zamiast przyjmując jej dary z całą wdzięcznością i oddaniem?...

W milczeniu wyciągnął rękę i objął ją łagodnym, czułym ruchem. Jakby tylko na to czekała, zsunęła się na jego kolana miękko i ufnie.

– Tyle przeżyłam tam z dala od ciebie, tyle przemyślałam – mówiła cicho, ledwie dotykając policzkiem do jego skroni. – Bywały takie nerwowe dni oczekiwań, dni bezsensownych nadziei. Wyobraź sobie, że ogarniała mnie wówczas jakaś mania. Nazywałam to przecuciem. Oczekiwałam, że zrobisz mi niespodziankę i przyjedziesz. Wiedziałam, że to absurd. Śmiałam się sama z siebie, lecz przecuć tych nie mogłam opanować. Pytali mnie wówczas, co mi jest. Umilkła i dodała po chwili:

– Czyż ja wiem, co to jest? Czyż ja potrafię to nazwać? Jakże wiele jest wyrazów, jak wiele określeń! Można się zgubić w ich lesie i nie umieć wybrać. I nie znaleźć odpowiednie-

go. Mówić o uczuciach to tak, jakby się chciało słowami opowiedzieć utwór muzyczny. Niepodobieństwo! Czy prawda?

– Tak, tak – potwierdził i przytulił ją mocniej do siebie.

W skroniach mocno tętniła krew. Wszystkie mięśnie przenikała fala odczucia bliskości jej ciała.

Przywarła ustami do jego ust w długim, rozkosznym, męczącym pocałunku.

Nie oderwała warg i wtedy, gdy wstał i niosąc ją na rękach, złożył na sofie... Od tego dnia, od tych godzin spędzonych z Niną w bibliotece radykalnie zmienił się stosunek Kolskiego do niej. Uwierzył. Uwierzył, że go kocha. I chociaż sam daleki był od podobnego uczucia do niej, tym bardziej pragnął to wyrównać pozorami miłości.

Ze względu na opinię otoczenia nie mogli sobie pozwolić na zbyt częste widywanie się.

Przychodziła doń dwa razy, rzadziej trzy razy w tygodniu. Niestety, zostawała zbyt długo, uniemożliwiając mu w te dni wypełnianie swoich obowiązków w stosunku do pacjentów w lecznicy jak i poza lecznicą. Oczywiście nie wspomniał jej ani razu o tym. Jakakolwiek wzmianka na ten temat byłaby wręcz niemożliwa. Z biegiem czasu przeszła mu nawet ochota do jakiegoś uregulowania tej sprawy. Przyzwyczajał się do Niny coraz bardziej. Stosunek z nią istotnie zdawał się skutecznym lekarstwem, a jeżeli nie lekarstwem, to przynajmniej narkotykiem, który zagłuszał w nim tęsknotę za Łucją. Do Łucji pisywał równie często jak dawniej. I może przy pisaniu tych listów odczuwał rodzaj jakby swojej winy, jakby zdrady, którą popełnił. Nie miało to żadnego uzasadnienia, a jednak słowami pełnymi czułości pragnął wyrazić jej niejako ekspiację.

Były to jedyne momenty, kiedy miłość do Łucji wzbierała w nim tak silną falą jak dawniej.

Były to jedyne momenty, kiedy musiał zagłuszać w sobie przeświadczenie o bezwartości-

wości jego romansu z Niną. Poza tym romans ten wszedł już w jego życie niby naturalna i nieodzowna część programu tygodnia. Gdy zdarzało się czasami, że Ninie przeszkodziło coś w zjawieniu się o umówionej godzinie, irytował się i nie umiał sobie znaleźć miejsca. Więcej, bo dostrzegł też u siebie objawy zazdrości.

Było to pewnego wtorku. Miała przyjść do niego o szóstej. Na ogół była punktualna i w razie gdy jej coś przeszkodziło, zawsze zawiadamiała go albo listownie, albo telefonicznie. Tym razem było już po wpół do siódmej, kiedy zdecydował się sam do niej zadzwonić. Słuchawkę podniosła pokojówka. Wymienił swoje nazwisko i zapytał, czy może prosić panią profesorową. Usłyszał wyraźnie:

– Zaraz zamelduję, panie doktorze. Pokojówka go znała, a może nawet domyślała się, że łączy ją z jej panią jakieś bliższe stosunki. Toteż nie przypuszczała widocznie, że pani chce przed nim ukryć swoją obecność w domu. Po paru minutach wróciła i oświadczyła:

– Przepraszam pana doktora, ale pani nie ma. Pani wyjechała do Konstancina. Powtórzę pani, że pan doktor telefonował.

Odłożył słuchawkę w pełni świadomości, że został okłamany. Sam rozkład pokoiów w willi Dobranieckich i położenie aparatu telefonicznego wręcz uniemożliwiały to, by pokojówka nie wiedziała o tym, czy jej pani jest w domu. Musiała wiedzieć na pewno, że jest, skoro mówiła, że zamelduje. Widocznie istotnie zameldowała i usłyszała od Niny dyspozycję owego pomysłu o Konstancinie.

Opanowała go wściekłość. Oczywiście kłamstwo, popełnione w jakim celu?... Cel mógł być tylko jeden: inny mężczyzna. Podważało tę hipotezę tylko jedno: dlaczego w takim razie nie zatelefonowała doń sama z owym konstancińskim wykrętem? W ten sposób zaasekurowałyby się przed jego telefonem i przedzdemaskowaniem. Była przecież dość sprytna, by umiejętniej to zaaranżować.

Odpowiedź na te wątpliwości zjawiała się prędzej, niż się spodziewał. Zjawiała się pod postacią posłańca z listem. Na karcie papieru skreśliła kilka tylko słów:

„Muszę koniecznie odwiedzić Stefę w Konstancinie. Dostała znowu, swego ataku. Jestem w rozpaczy, że Cię dzisiaj nie zobaczę. – N”.

Sięgnął do kieszeni po napiwek i zapytał posłańca:

– O której pan dostał ten list?

– O piątej, proszę pana. Ale to nie ja dostałem, tylko mój kolega, tylko że on nie mógł, to mnie oddał. A ja nie myślałem, żeby to coś pilnego było.

Po wyjściu posłańca Kolski jeszcze raz przeczytał i z pogardą odrzucił kartkę daleko od siebie. Kartka jednak jak bumerang zatrzepotała w powietrzu i upadła mu pod same nogi.

Podniósł ją i podarł na drobne kawałki.

– Więc to tak!... Tak, droga pani! Ano zobaczymy.

Wziął kapelusz i szybko zbiegł ze schodów. W pobliżu nie było taksówki. Gdy ją wreszcie znalazł, ochłonął już o tyle, że zamiast do Frascati, kazał jechać do lecznicy. Nie spodziewano się go tu, a ponieważ nikogo z wyższego personelu nie było, przyłapał dwie pielęgniarki w swoim gabinecie, popijające kawę i zajadające ciastka w towarzystwie jakiegoś obcego pana.

Miał w sobie tyle gniewu i chęci zemsty, że brutalnie powiedział:

– Jakim prawem pan tu wszedł? Kto pan jest? I co za libacje w moim gabinecie?

Zażenowany młodzieniec zerwał się na równe nogi i z przerażeniem spoglądał na swoje towarzyski, jakby od nich czekając ratunku. Te jednak milczały jak zaklęte.

– Czy panie nie wiedzą – coraz ostrzejszym tonem prawie krzyczał Kolski – że to jest niedopuszczalne?! Ze w lecznicy czegoś podobnego nie będę tolerował?! To jest wykroczenie przeciw dyscyplinie, które nie ujdzie paniom

płazem! Lecznica nie jest miejscem dla wyprawiania orgii. To nie jest knajpa. Jak żyję, nie

widziałem czegoś podobnego.

268

– My bardzo przepraszamy, panie doktorze – odezwała się jedna z pielęgniarek, z trudem opanowując drżenie głosu.

– Nie ma tu miejsca na żadne przeprosiny. Proszę opuścić mój gabinet. Natychmiast.

Wychodzili tak spiesźnie, że aż stłoczyli się w drzwiach. Kolski usiadł przy biurku i naciśnął dzwonek. Na progu stanął sanitariusz.

– Cóż to do diabła za porządki?! – krzyknął Kolski. – Kto jest dzisiaj dyżurnym lekarzem?

– Pan doktor Przemianowski.

– Proszę do mnie poprosić pana doktora.

Po minucie Przemianowski, wystraszony, zjawił się w gabinecie Kolskiego. Wieść o przyłapaniu panny Budzyńskiej i Kołpikówny wraz z ich gościem przez doktora Kolskiego rozeszła się już snadź, gdyż Przemianowski z miejsca sam zaczął się tłumaczyć:

– Doprawdy o niczym nie wiedziałem, panie dyrektorze... Kolskiego, odkąd pełnił funkcje docenta Rancewicza, nazywano dyrektorem. Zazwyczaj sprawiało mu to przyjemność, choć oficjalnie nie miał tego tytułu. Teraz jednak powiedział surowo:

– Nie jestem żadnym dyrektorem. Powinien pan o tym wiedzieć, panie kolego. Ale niestety, pan tak mało interesuje się tym, co się w lecznicy dzieje, że podczas pańskich dyżurów możliwy jest podobny skandal, by w moim gabinecie pielęgniarki urządzały sobie libacje z jakimiś hubkami sprowadzonymi z miasta. Uprzedzam pana, że będę musiał o tym zawiadomić pana profesora Dobranieckiego po jego powrocie do Warszawy.

– Byłem właśnie na drugim piętrze przy krwotoku – zaczął młody lekarz. Kolski przerwał mu ruchem ręki.

– Przecież nie proszę pana o wyjaśnienie. Jutro pan będzie łaskaw wpisać ten wypadek do kart personalnych obu pielęgniarek, z zaznaczeniem, że zdarzyło się to podczas pańskiego dyżuru.

Gdy Przemianowski wyszedł, Kolski zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Za każdym razem, gdy mijał biurko, machinalnie sięgał po małe kruche ciasteczko i ani sięspozstrzegł, jak zjadł wszystkie. Stwierdzenie własnego roztargnienia rozchmurzyło go nieco i udobruchało. Spotkawszy podczas wieczornej inspekcji pannę Budzyńską powiedział jej:

– Niech pani poradzi swojej koleżance, by na przyszłość podobnych rzeczy nie robiła.

Tym razem nie wyciągnę z waszego postępowania żadnych konsekwencji.

Również przy sposobności i Przemianowskiemu dał do zrozumienia, że cały incydent puszcza w niepamięć. Pomimo to wyszedł z lecznicy przygnębiony i pożerany zazdrością. Po drodze nie wiadomo skąd przyszło mu do głowy, że u Niny, gdy do niej telefonował, był właśnie ów rotmistrz Korsak. Wprost gotów był ręczyć za to, chociaż wiedział dobrze, że rotmistrz prze

bywa obecnie na manewrach gdzieś w Małopolsce wschodniej. Gdy tylko znalazł się w swoim mieszkaniu, postanowił jednak zdobyć pewność. W tym celu zadzwonił do mieszkania rotmistrza. W aparacie rozległy się uspokajające przeciągłe dźwięki. Nikt słuchawki nie podnosił. Było już po dwunastej i w mieszkaniu rotmistrza nie było nikogo. Już chciał odłożyć swoją, gdy usłyszał zaspane i rozgniewane:

– Hallo?

– Czy mogę mówić z panem rotmistrzem? – zapytał, zmieniając głos.

– Jestem, u licha, ale czy nie mógłby pan wybrać odpowiedniejszej pory!

Kolski bez słowa położył słuchawkę i zaczął myśleć gorączkowo. Jak postąpić? Jak zareagować na niewątpliwą zdradę Niny?... Nie miał wprawdzie w ręku niezbitych dowodów, ale

wystarczyło mu samo przeświadczenie. W pierwszej chwili chciał napisać do Niny długi, szyderczy list, list obraźliwy i obrażający. Przychodziły mu na myśl jadowite epitety, zjadliwe porównania, ironiczne aluzje. Taki list byłby wspaniałą zemstą.

269

Czy jednak kobieta typu Niny, kobieta tchórzliwa, podstępnie zdradzająca kochanka, z którym przecież mogła uczciwie i po prostu zerwać, zasługuje na jakąś zemstę? O, bo co do jej moralnej wartości nie mógł już mieć najmniejszych złudzeń. Wszystko zdawało się jasne.

Nina przeznaczyła mu rolę jedynie czasowego zastępcy na czas nieobecności rotmistrza Korsaka.

Tak. Wystarczy krótki, chłodny list. Bez żadnych objaśnień, bez żadnych obelg, utrzymany w sztywnym, obojętnym tonie i przecinający wszystko nieodwołalnie.

Usiadł i napisał:

„Szanowna Pani! – Wobec tego, co zaszło, uważam za swój obowiązek zawiadomić Panią, że między nami wszystko jest skończone nieodwołalnie. J. K.”

Przeczytał i doszedł do przekonania, że to na nic. Podarł list na drobne kawałki i napisał drugi:

„Pani! – Zawsze zdawałem sobie sprawę, że to, co nas łączyło, uważała Pani za przygodną zabawę. Wczoraj uznała Pani za stosowne tę zabawę zakończyć. Spieszę donieść Pani, że całkowicie Jej decyzję akceptuję. Żegnam. – J. K.”

Tak. To było lepsze. Miało pewien polot, pewną swobodę i dawało do zrozumienia, że nie zależy mu na niej wcale.

W istocie nie zależało. A jednak męczył się i gryzł przez całą noc. Przyszło mu na myśl, że oto po raz wtóry w życiu został odtrącony. Nie chciała go Łucja, którą pragnął pojąć za żonę, którą kochał swoim pierwszym i, jak wierzył, ostatnim uczuciem. Teraz Nina porzuciła go dla

innego mężczyzny. Po tych dwóch doświadczeniach nietrudno było stracić wiarę w siebie.

Nietrudno było dojść do przekonania, że jako mężczyzna zasłużyć jedynie może na rolę przygodnego kochanka.

– Kochanek – myślał – pełniący obowiązki kochanka, p.o. kochanka na okres urlopu...

Jego ambicja była boleśnie skaleczona.

– I dlaczego? – myślał, stojąc przed lustrem. – Jestem przecież młody, silny, przystojny.

Nie wyróżniam się oczywiście żadną nadzwyczajną urodą, ale zawsze uchodziłem za przystojnego. Nie należę też do typu mydlaków. Zajmuję poważne stanowisko, dobrze zarabiam, mam przed sobą pewną przyszłość. Nikt nie może mi odmówić wykształcenia i inteligencji.

Więc dlaczego?...

Utrata Niny nie tylko pod względem ambicjonalnym dotknęła Kolskiego. Jednak przyzwyczaił się do niej i wiedział dobrze, że przez pewien czas będzie odczuwał jej brak. Nie tak, ma się rozumieć, jak odczuwa brak Łucji, ale jednak...

Nazajutrz rano wysłał list przez chłopaka stróża i poszedł do lecznicy. Dzień był wyjątkowo ciężki. Przywieziono kilku nowych pacjentów, których trzeba było od razu wziąć na stół.

Obie sale operacyjne były zajęte od ósmej rano do drugiej po południu bez przerwy. Kolski przeprowadził sam część drobniejszych operacji i asystował Rancewiczowi przy czterech poważniejszych. Gdy wreszcie zszedł do swego gabinetu, zastał tam kartkę na biurku, oznajmującą, że pani profesorowa Dobraniecka telefonowała trzy razy. Zmiał kawałek papieru i wrzucił do kosza. Przyniesiono mu obiad. Zjadł z apetytem i wyciągnął się na sofie z papierosem w ustach. Zegar wybił trzecią. Miał jeszcze pół godziny na odpoczynek.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – niechętnie rzucił Kolski.

Do pokoju weszła Nina.

Zerwał się z kanapy i sięgnął po marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła. Nina wyglądała prześlicznie. Śmiało patrzyła mu w oczy. Twarz miała posągowo spokojną. Powoli otworzyła torebkę, wydobyla z niej list Kolskiego i zapytała niemal wyniośle:

– Co to ma znaczyć?

270

Spojrzał na list, jakby go pierwszy raz w życiu widział. W palcach Niny wyglądał tak, jakby był czymś ohydny, wstrętnym, brudnym, czymś, co się bierze do ręki tylko po to, by natychmiast odrzucić. Zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

– Chciałam zapytać, co oznacza ten niezrozumiały dla mnie list. Kolski spojrzał na nią z nienawiścią: zrozumiał, że ta kobieta chce wyzyskać to, że on nie posiada żadnych dowodów jej zdrady. Powiedział sucho:

– Sądzę, że nie mamy o czym dyskutować, proszę pani. Wzruszyła ramionami.

– Nie zamierzam dyskutować i nie po to przyszłam. Chciałam zażądać wyjaśnień.

Kolski milczał.

– Przypuszczam, że mam do tego prawo. Ze wysyłając do mnie podobny list, musiałeś mieć jakieś powody.

– Oczywiście miałem je.

– Czy mogę coś o nich wiedzieć? Przygryzł wargi.

– Wiesz o nich znacznie więcej niż ja. Żadna komedia tu nie pomoże. Moje postanowienie jest ostateczne.

Zmierzyła go zimnym spojrzeniem i nie bez ironii zapytała:

– A skądże wiesz, że chcę wpłynąć na zmianę twego postanowienia? Skąd masz tę pewność?

Kolski zmieszał się.

- Więc tym lepiej. Lepiej dla nas obojga – mruknął.
 - Być może, mój drogi. Jednakże rozumiesz, że twój list mnie obraził i że po prostu żądam od ciebie satysfakcji pod postacią wyjaśnienia, którego nie możesz mi odmówić.
 - Służę ci – odpowiedział Kolski, nie patrząc na nią.
 - Czy pozwolisz, że usiądę? Przysunął jej krzesło i mówił:
 - Zdradzasz mnie. Przekonałem się o tym wczoraj ponad wszelkie wątpliwości.
 - Ponad wszelkie? – Podniosła brwi. – No, proszę!...
 - Tak – wybuchnął. – Zdradzasz. Gdy zatelefonowałem, by się dowiedzieć, dlaczego się spóźniasz do mnie, służąca oświadczyła mi, że jesteś w domu.
 - Tak ci powiedziała?
 - Powiedziała coś, co znaczyło to samo. Powiedziała, że zaraz cię poprosi do telefonu, a wróciła z oświadczeniem, żeś wyjechała. Gdybyś istotnie wyjechała, ona nie mogłaby o tym nie wiedzieć. Byłaś w domu i byłaś nie sama.
 - Oczywiście – przyznała spokojnie Nina. – A w dodatku byłam tak naiwna, że nie uprzedziłam służby, by zataiła moją obecność w razie twojego telefonu.
- Zaśmiał się ironicznie.
- O nie. Wcale nie byłaś naiwna. Tylko nie spodziewałaś się mojego telefonu. Bo byłaś pewna, że w porę otrzymam twój list. Niestety, najsprytniej obmyślane machinacje czasem zawodzą. Jakaś drobna przeszkoda, jak na przykład niedbalstwo posłańca, i wszystko wychodzi na wierzch.
- W rysach jej twarzy nie było ani śladu zaniepokojenia. Zapytała spokojnie:
- I cóż wyszło na wierzch? Zrobił zniechęconą minę.
 - Po co mamy poruszać te nieprzyjemne sprawy? Nie chcę się wtrącać w twoje romanse.
- Już dzisiaj nie uważam się za uprawnionego. Więc po co?

– I cóż wyszło na wierzch? – powtórzyła z naciskiem. Podniósł głowę i nie patrząc na nią powiedział tonem jak najbardziej obojętnym:

– Skoro koniecznie chcesz... Wyszło na jaw to, że jesteś kochanką rotmistrza Korsaka. Bo to on wczoraj był u ciebie.

Mówił to nie tylko z przekonaniem, lecz z jakąś zaciętością. Najniespodziewaniej w świecie Nina wybuchnęła długim, wesołym śmiechem.

271

– Ach, Janku, Janku. Powinna mi pochwlebiać twoja zazdrość. Niestety w tym wypadku jest zupełnie bezprzedmiotowa. Przypuszczam, że Korsak bez większego sprzeciwu zgodziłby się na rolę, którą mu przypisujesz, a przynajmniej na to, by być w ogóle w Warszawie, zamiast męczyć się na manewrach pod Stanisławowem.

Kolski potrząsnął głową.

– Niestety, twój śmiech mnie nie przekonał. A to z tej prostej przyczyny, że pan Korsak wcale nie męczy się na manewrach, lecz najspokojniej w świecie przebywa w Warszawie. Popołudnie wczoraj spędził u ciebie, a wieczorem był we własnym mieszkaniu, co sprawdziłem telefonicznie.

Na twarzy Niny odbiło się prawdziwe zdziwienie.

– Ależ to niemożliwe. Nie dalej jak przedwczoraj otrzymałam od niego kartkę, w której wspominał, że wróci nie wcześniej niż za miesiąc. To jakieś nieporozumienie.

– Nie może być mowy o żadnym nieporozumieniu – zirytował się. – Nie potrzebuję robić przed tobą z tego żadnej tajemnicy. Więc o godzinie dwunastej zadzwoniłem do jego mieszkania i zapytałem, czy mogę prosić pana rotmistrza. Usłyszałem odpowiedź, i to poirytowaną odpowiedź, że jest przy aparacie i dziwi się, że mu w nocy nie dają spać.

Nina uśmiechnęła się.

– Prosiłeś rotmistrza? A czy wymieniałeś też nazwisko rotmistrza?

– Po cóż miałem wymieniać? Nie przypuszczam, by w jednym mieszkaniu był cały szwadron rotmistrzów.

Przyglądała mu się przez kilka chwil z pobłażliwym wyrazem twarzy. Wreszcie powiedziała, cedząc słowa:

– Szwadron zapewne nie. Ale jeszcze jeden mógł być. Na przykład rotmistrz Supiński, który na czas nieobecności kolegi zainstalował się w jego mieszkaniu.

Kolski zmieszał się trochę, lecz natychmiast zauważył:

– To jest rzecz bardzo łatwa do sprawdzenia.

– Oczywiście – przyznała Nina. – Stoi przed tobą telefon. A obok leży spis abonentów.

Zadzwoń i zapytaj. Kolski zamyślił się i odpowiedział:

– Ponieważ sądzisz, że tego nie zrobię, zrobię to zaraz. Wyszukał numer Korsaka i zadzwonił. Usłyszał jakiś nieznamy i nieinteligentny głos męski, prawdopodobnie ordynansa.

– Czy mogę prosić pana rotmistrza Korsaka?

– Pan rotmistrz jest na manewrach – odpowiedział ordynans.

– A pana rotmistrza Supińskiego?

– Pan rotmistrz przyjedzie dopiero o czwartej – brzmiała odpowiedź.

Bąknął „dziękuję” i odłożył słuchawkę.

Nina paliła papierosa. Znalazł się rzeczywiście w głupiej sytuacji. Na

poparcie swoich podejrzeń miał dwa argumenty i oto jeden z nich rozpląnął się mu w rękę.

Pozostawał drugi. Właściwie mówiąc i ten wystarczał wobec jego przeświadczenia o niewierności Niny. Jeżeli istotnie nie utrzymywała bliższych stosunków z rotmistrzem Korsakiem, musiał być jeszcze ktoś inny. Lecz był na pewno. Dałby sobie za to głowę uciąć.

– Czy może pan nacisnąć guzik dzwonka? – odezwała się Nina. Wykonał w milczeniu jej polecenie. We drzwiach zjawił się sanitariusz.

– Proszę zawołać tu mego szofera – powiedziała mu krótko. Gdy szofer wszedł do pokoju, zapytała go:

– Czy Pawłowski nie pamięta, gdzie ja mogłam wczoraj zostawić swego lisa?

– W aucie nie został, proszę pani profesorowej. Na pewno. Po przyjeździe do garażu oporządziłem wóz i byłbym znalazł. A wczoraj pani profesorowa była tylko u fryzjera i w Konstancinie...

272

– Właśnie – przerwała mu. – Zdaje mi się, że zostawiłam lisa w Konstancinie. Niech Pawłowski pojedzie i zabierze. Ja wrócę pieszo do domu.

– Tak jest, proszę pani profesorowej – służbiście odpowiedział szofer i wyszedł.

W pokoju zapanowało milczenie. Nina powoli dopalała swego papierosa. Uważnie zgasiła go w popielniczce, wstała, z półuśmiechem skinęła Kolskiemu głową i bez słowa skierowała się do drzwi.

Zatrzymała się i spojrzała nań obojętnie.

– Nino! – zawołał Kolski.

– Czym mogę służyć?

Czuł się winny, zawstydzony, skompromitowany, ośmieszony. Miał przeświadczenie, że go zdradziła. Lecz podobne przeświadczenia z punktu widzenia rozsądku nie są niczym innym jak zwykłą histerią. Cienie fałszywych poszlak, bo to były zaledwie cienie, uznał za wystarczające dowody jej winy. Stworzył w swojej wyobraźni koncepcję nie mającą żadnych realnych podstaw. Po prostu wszystko wyssał z palca. Znieważył tę kobietę, która, musiał to w duchu przyznać, zniżyła się przecież, dając mu siebie. Zniżyła się, gdyż zarówno jej pozy-

cja towarzyska, jak jej uroda i kultura dawały nieograniczone możliwości w wyborze kochanka. Powinna była spoliczkować go za te podejrzenia, zignorować je milczeniem. Wyświadczyła mu wielką łaskę już tym, że chciała się usprawiedliwić. I zrobiła to tak po pańsku, tak wytwornie i tak boleśnie, że podziałało to silniej od policzka. Zachował się jak gbur, zachował się jak zazdrosny smarkacz.

– Nino – zaczął mówić. – Winienem ci przeprosiny. Rzeczywiście postąpiłem zbyt pochopnie i niesłusznie cię obraziłem. Czy możesz mi przebaczyć?...

Uśmiechnęła się ironicznie.

– O, nie przepraszaj mnie jeszcze przedwcześnie. Możesz tego później żałować. Sprawdź, czy cię nie oszukałam. Przeprowadź śledztwo. Wybadaj służbę. Może przekupiłam szofera i tego tam ordynansa. Wynajmij detektywa.

– Nie znęcaj się nade mną – powiedział pokornie. Ninie zaiskrzyły się oczy.

– Oczywiście wynajmij detektywa. Z takim nędznym płazem jak ja należy postępować metodami policyjnymi. Przecież ja jestem twoją kochanką nie dlatego, że cię Kocham, tylko dlatego, że to jest dla mnie łaska i zaszczyt. Czyż mogłabym marzyć o takim szczęściu? Na kolanach co dzień powinnam za to dziękować dobrym losom. Bo któż inny mnie by chciał?!

Wziął ją za rękę i powiedział błagalnie:

– Nie drwij ze mnie, Nino.

– Nie drwię. Raczej drwię z siebie. Bo czyż to nie komiczne, że zabiegam o twoje uczucia, wówczas gdy ty poniewierasz moje? I naprawdę, Janku, najbardziej mnie zabolalo to, że pomasz mnie o tchorzostwo i malodusznośc. Zastanów się, człowieku. Co mogłoby mi przeszkodzić w tym, by przyjść do ciebie i powiedzieć otwarcie: – Mam dośc ciebie, pokochałam innego!...

– Tak, tak, Nino – przyznał obcałowując jej rękę. – Przebacz. Przebacz.

Byłem niemądry. Czy zdołasz mi przebaczyć? W jej oczach zjawiał się smutek.

– Nie zdołam nie przebaczyć – powiedziała cicho. – Tylko nie wiem, kiedy będę mogła cię widzieć. Sam to rozumiesz.

– Rozumiem – przyznał.

– Muszę się pogodzić z sobą. Nie dzwoń do mnie i nie pisz, póki się nie odezwę sama...

Lekko musnęła wargami jego policzek i wyszła.

Pierwszego dnia Kolski nie mógł oderwać myśli od tej przykrej sprawy, której był autorem dzięki swojej głupiej zazdrości i przesadnej imaginacji. Nazajutrz poprawił mu się humor. Był kontent, że wszystko dobrze się skończyło. Trzeciego dnia z rana, przechodząc przez plac Napoleona, przed samą pocztą spotkał rotmistrza Korsaka.

273

Stanął w miejscu tak, jakby nagle otrzymał silne uderzenie po ciemieniu. Zatrzymał się i rotmistrz. Był po cywilnemu. Miał na sobie sportowe, szare ubranie i sportową czapkę. Przez rękę przewieszony płaszcz. W ręku nieduży neseser.

Kordialnie wyciągnął do Kolskiego dłoń.

– Witam, doktorze. Co słychać w Warszawie? Ależ upał.

– To pan, rotmistrzu, nie na manewrach? – zdołał wydobyć z siebie Kolski.

Korsak podniósł ostrzegawczo palec do ust.

– Ssss. To wielka tajemnica! Wyrwałem się na krótko do Warszawy. Kolski odzyskał już panowanie nad sobą i zaśmiał się prawie swobodnie:

– Oczywiście *cherchez la femme*? – rzucił pytająco.

– Jest pan zanadto domyślny, doktorze. – Rotmistrz przymrużył oko. – No, ale żegnam. W wagonie był taki kurz, że czuję się jak kundel wytarzany w piasku. Muszę się wykapać.

– To wprost z dworca? – zaciekawiał się z niedowierzaniem Kolski.

– Tak – potwierdził Korsak. – Czołem.

Przyłożył niedbale rękę do daszka sportowej czapki i zniknął w tłumie. Po chwili namysłu Kolski wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć na dworzec. Przejrzał rozkłady jazdy. Rzeczywiście, rotmistrz mógł mówić prawdę. Przed piętnastu minutami przyszedł pociąg ze Lwowa. Teraz już nic nie rozumiał.

Wieczorem miał wielką ochotę zadzwonić do Niny. Zamiast tego jednak zadzwonił do mieszkania Korsaka, by sprawdzić, czy jest w domu. Oczywiście, jeżeli w domu go nie będzie, to znaczy, że przesiaduje u Niny. Jakież było zdumienie Kolskiego, gdy usłyszał od ordynansa:

– Pana rotmistrza Korsaka nie ma w Warszawie. Jest na manewrach. Wróci za miesiąc.

Jedno z dwojga. Albo zatrzymał się w hotelu, albo ukrywając swój pobyt w Warszawie, zakazał ordynansowi zdradzania jego obecności. Tak czy owak, należało rzecz wyjaśnić. Nie mógł dłużej pozostawać w niepewności. Szybko przebrał się i wyszedł z domu. Po pięciu minutach był już we Frascati. Zadzwonił.

– Czy zastałem panią profesorową? – zapytał. Drzwi otworzył lokaj.

– Nie, nie ma, proszę pana doktora. Ale ma niedługo przyjechać. Może pan doktor zaczeka. Tu już czeka pan Howe.

– Kto taki? – zdziwił się Kolski, który nigdy tego nazwiska nie słyszał.

– Mister Howe. Ten Anglik.

Istotnie w hallu siedział bardzo przystojny, bardzo blady młodzieniec o zblazowanej twarzy, z monoklem w lewym oku. Ujrawszy Kolskiego wstał, wolno poprawił monoki, jeszcze

wolniej wyciągnął rękę i wymówił swoje nazwisko. W ogóle cały był au raianti.

– Cóż to za małpa – myślał Kolski i skonstatował, że młodzieniec ma na sobie smoking.

– Mamy dziś szalony upał – zwrócił się doń uprzejmie. Mr Howe odpowiedział skrzywieniem jednego kąta ust, co mogło nawet przypominać uśmiech.

– I do not understand. Im sorry...

Okazało się, że ani słowa nie umie po polsku ani po francusku. Ponieważ język niemiecki znali bardzo słabo, rozmowy, którą prowadzili przez pół godziny, nikt nie mógł nazwać ani zbyt ożywioną, ani interesującą, zważywszy i to, że absolutnie nic sobie nie mieli do powiedzenia. W każdym razie Kolski dowiedział się, że Anglik bawi w Warszawie od miesiąca i że swój powrót do kraju uzależnia od pewnych spraw, dla których tu przybył. Dowiedział się też, że w Warszawie mr Howe nie zna prawie nikogo poza panią Dobraniecką, którą miał zaszczyt poznać na Riwierze francuskiej. Prawdziwą ulgą dla obydwóch był dzwonek oznajmiający powrót pani domu.

274

Ninę ani zaskoczyła, ani zdziwiła obecność Kolskiego. Była w tak świetnym humorze, w jakim jej Kolski nie pamiętał od dawna. Wyglądała przy tym

przynajmniej o pięć lat młodziej. Po krótkim powitaniu i paru zdaniach angielskich, rzuconych zblazowanemu młodzieńcowi, zwróciła się w przelocie do Kolskiego:

– Spodziewam się, że bawili się tu panowie dobrze.

– Nie umiem po angielsku – mruknął Kolski.

– Ach, jaka szkoda. Przepraszam was. Muszę się przebrać. Jeszcze jedno zdanie po angielsku, skierowane wraz z miłym uśmiechem do mr Jimmyego, i znikła w głębi mieszkania, a pozostali panowie z powagą podzielili się poglądem, że jest to piękna i czarująca osoba.

W kwadrans później zjawiała się Nina w wspaniałej wieczorowej toalecie i jednocześnie

otworzono drzwi do jadalni. Na stole były cztery nakrycia. Gdy usiedli, pani Nina powiedziała od niechcienia po polsku:

– Twoje podejrzania, o dziwo, realizują się. Może jesteś jasnovidzem. Właśnie dziś przyjechał rotmistrz Korsak. Telefonował i zaprosiłam go na kolację. Dzwoniłam też do ciebie, chociaż nie przewidywałam, że zechcesz odegrać rolę przyzwoitki. Ponieważ cię nie zastałam, zwróciłam się o pomoc do mr Howe.

Powiedziawszy to Nina przysunęła Anglikowi salaterkę i zaczęła mówić po angielsku.

Kolski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta ta powtarza słowo w słowo to samo temu blademu cymbałowi, bezczelnie wyzyskując to, że obaj nie mogą się porozumieć.

Jeżeli nawet tak było, pani Nina niedługo mogła się cieszyć swoją zabawą, gdyż zjawił się Korsak, który świetnie władał zarówno angielskim, jak i polskim. Podejrzania Kolskiego co do hotelu zdawały się sprawdzać, gdyż Korsak przyszedł w tym samym sportowym ubraniu, w którym był z rana na placu Napoleona. Przeprosił za swój wygląd i strzelając na przemian z Niną dowcipami, zajadał z wilczym apetytem. Zdawał się być w doskonałym humorze, po pewnym jednak czasie Kolski zauważył, że rotmistrz z wyraźną niechęcią spogląda na Anglika. Zwracał się doń bardzo rzadko, na pytania odpowiadał krótko i zdawkowo z nie zachęcającym wyrazem twarzy. W pewnym momencie, gdy mr Howe zajęty był rozmową z Niną, rotmistrz burknął do siedzącego obok Kolskiego:

– Skąd się tu wziął ten angielski wymoczek? Kolski nieznacznie wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam. Widzę go pierwszy raz.

Zawsze czujna pani Nina dosłyszała jednak i objaśniła:

– Mr Howe zwiedza Polskę. Jest to bardzo miły, chociaż nieco zmanierowany młodzieniec.

Korsak nieznacznie zmarszczył brwi.

– Owszem, jest sporo manieri w tej nonszalancji, z jaką mizdrzy się do pani.

– Ach, cóż za wyrażenie, rotmistrzu. I dodała po angielsku:

– Rotmistrz znajduje, że jest dużo nonszalancji w pańskiej kokieterii.

– To prawda – przyznał Anglik. – Nonszalancja tu jest moją maską. Gdybym chciał doprowadzić swoją kokieterię do poziomu uwielbienia, które żywię dla pani, stałbym się śmiesznym dla otoczenia z nadmiaru gorliwości i czołobitności.

Kolski nic nie zrozumiał. Nie przypuszczał zresztą, by w słowach Anglika mogła być jakaś rewelacyjna treść, ale sposób, w jaki ten młodzieniec spoglądał na Ninę, mógł budzić poważne obawy. Tak patrzeć na kobietę ma prawo tylko człowiek, którego z nią łączą najbliższe więzy i zupełne spoufalenie.

Kawę podano w halki. Tutaj już rotmistrz nie ukrywał zupełnie swojej antypatii dla Anglika. Nawet wobec Niny stał się chłodny i impertynencko uprzejmy. Rozmawiał tylko z Kolskim, rozmawiał bardzo serdecznie, jakby tą serdecznością chciał podkreślić różnicę, jaką

275

robi między nim a resztą towarzystwa. Kolski był mile tym zaskoczony i sam coraz chętniej spoglądał na mr Howe.

Około jedenastej Korsak wstał z wyraźnym zamiarem pożegnania pani domu. W jego podniesionej głowie i w całej postaci było coś jakby obrażona godność.

– Niech pan zostanie – niezwykle ciepłym i miękkim tonem powiedziała Nina. – Przecież pański pociąg odchodzi dopiero o godzinie wpół do pierwszej.

– Dziękuję pani uprzejmie, ale chciałbym się jeszcze z kimś zobaczyć. Mam niektóre sprawy do załatwienia.

– Niech pan zostanie, proszę – powtórzyła z takim naciskiem i z takim spojrzeniem, że

Kolskiemu krew uderzyła do twarzy, a młody Anglik demonstracyjnie sięgnął po jakieś czasopismo leżące na stoliku obok i zaczął je przeglądać.

Po długim milczeniu rotmistrz powiedział:

– Jeżeli pani sobie tego życzy...

Poddał się. Usiadł i nadrabiając nieszczerym humorem dodał:

– Ale za to żądam zapłaty pod postacią filiżanki kawy.

– Otrzyma pan ją natychmiast – powiedziała i wstała, by napełnić jego filiżankę.

W Kolskim wszystko się burzyło. Jeżeli nie zerwał się od razu, to tylko dlatego, że nie chciał narazić się na śmieszność. Teraz jednak zdołał już sobie ułożyć wszystko, cały scenariusz swego wyjścia. Więc: spojrz na zegarek, powie „zazdroszczę państwu, że obowiązki nie zmuszają ich do opuszczenia tak miłego towarzystwa, ja niestety muszę być w lecznicy.

Taki już los lekarza”, potem wstanie i pożegna się.

Zdażył wykonać tylko pierwszy punkt swego programu, gdy bowiem wydobył zegarek,

pani Nina zwróciła się doń z czarującym uśmiechem:

– Ach, drogi doktorze. Na śmierć zapomniałam. Mój mąż przysłał dziś jakieś papiery dotyczące lecznicy i prosił, żebym to panu oddała. Zdaje się, że leżą w gabinecie na biurku. W niebieskiej kopercie. Znajdzie pan?

Wytrącony z programu Kolski chrząknął i wstał.

368

– Przypuszczam, że znajdę.

Gdy zniknął w drzwiach salonu, za którym był gabinet, pani Nina przeprosiła pozostałych panów po angielsku:

– Nie jestem pewna, czy znajdzie. Zdaje się, że schowałam to do szuflady. Panowie wyba-

czą. Jedna chwila.

Przeszła szybko salon. W gabinecie zastała Kolskiego na próżno poszukującego na biurku niebieskiej koperty.

Gestem zmęczenia i prośby o litość wyciągnęła doń rękę.

– Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie z nimi. Oni się obaj we mnie kochają, gotowi doprowadzić do jakiegoś skandalu. Spojrzał na nią surowo:

– Oni w tobie, a ty w nich, chociaż doprawdy trudno mi już wyznać się, w kim się kochasz.

– Nie wiesz w kim?... – zapytała mrużąc powieki.

Zanim zdążył się cofnąć, zarzuciła mu rękę na szyję i obsypała pocałunkami.

– Ot, w kim... Ot, w kim... Ot, w kim... – powtarzała gorącym szeptem. – Chciałam cię ukarać za twoje brzydkie podejrzenie i nie odezwać się do ciebie przez tydzień. Ale jestem tylko słabą kobietą. Już dzisiaj dzwoniłam. A jutro... jutro przyjdę do ciebie o zwykłej porze... A teraz proszę cię, idź tam do nich i zajmij się jakoś nimi. Nie mogę przecież dopuścić do tego, by mój dom, by dom mego męża stał się terenem awantury. To by mnie skompromitowało. Sam rozumiesz. I mam prawo prosić cię o pomoc. Pamiętaj, że ty jesteś jedynym człowiekiem, którego mogę prosić o pomoc. Nie odmówisz mi jej, prawda? Idź, idź do nich...

Gdy się zawahał, dodała:

276

– Muszę sobie poprawić usta i włosy po tych pocałunkach. No i trochę ochłonać. Pewno mam wypieki.

Kolski, idąc przez nie oświetlony salon, myślał:

– Albo jest ona szatanem przebiegłości i zepsucia, albo nadzwyczajny zbieg okoliczności tak stale przemawia przeciw niej.

Wbrew oczekiwaniom w hallu zastał obu panów zajętych spokojną i powolną wymianą zdań. Widocznie polor towarzyski wziął jednak górę nad wzajemną antypatią.

– Gdyby oni wiedzieli – myślał Kolski – że to, o co walczą między sobą, należy do mnie...

Nie dokończył tej myśli, gdyż wróciła Nina.. Wywiązała się dość ożywiona rozmowa po angielsku, w której oczywiście Kolski nie brał udziału.

W pewnym momencie Nina spojrzała na zegarek i powiedziała:

– No, już teraz nie zatrzymuję panów. Mr Howe ma tu swój samochód i jest tak uprzejmy, że odwiezie panów.

– Żałuję, że nie mogę skorzystać z tej uprzejmości – z uśmiechem odpowiedział rotmistrz.

– Wolę przejść się. Mam jeszcze przeszło pół godziny czasu, a noc jest taka piękna.

Pożegnali się z Niną i jednocześnie wyszli. Przed willą rzeczywiście stał

24 – Znachor..

369

wóz Anglika, który ich spiesznie pożegnał. Korsak i Kolski wyszli na Wiejską i przez plac Trzech Krzyży skierowali się w stronę Brackiej. Szli w milczeniu. Nagle rotmistrz zatrzymał się i chwytając towarzysza za ramię, powiedział przez zaciśnięte zęby:

– Gdyby nie to, że muszę jutro stawić się w pułku, że dałem dowódcy słowo honoru, że się stawię, wierz mi pan, obiłbym tego gigolaka, tego perwersyjnego chłystka szpicrutą po gębie!...

Puścił ramię Kolskiego i znowu przeszli w milczeniu kilkanaście kroków.

– Czy... czy sądzi pan, rotmistrzu, że... mr Howe jest... kochankiem pani Dobranieckiej?

Rotmistrz parsknął śmiechem.

– Paradny z pana facet! Czy sądzę! Ależ to oczywiste! Jest jego kochanką i boi się go w dodatku!

– Z czego pan wnioskuje, że się boi? – złamanym głosem zapytał Kolski.

– Jak to z czego? Przecież to zupełnie wyraźne. Miałem z nią zjeść kolację we dwójkę.

Tymczasem przylazł ten wymokły bęcwał i nie odważyła się go wyprosić. Dlaczego? Bo się go boi. Albo boi się go stracić. Takie międzynarodowe, zblazowane typki to różne rzeczy umieją, panie drogi.

I dorzucił po pauzie:

– Świnie!

Ulice prawie były puste. Pogaszono część latarni. Po upalnym dniu chłodne powiewy sprawiały wielką satysfakcję. Kolski jednak prawie tego nie dostrzegł.

– Naturalnie – odezwał się znowu rotmistrz. – Pana musiała też zaprosić w ostatniej dopiero chwili, by ratować wobec mnie sytuację.

– Wobec pana? – zauważył Kolski. – Wynikałoby z tego, że jest również pańską kochanką.

Rotmistrz spojrzał nań jak na wariata.

– Ach, cóż znowu. Bynajmniej – powiedział niechętnie. – Kocham się w niej bez wzajemności.

Na zakończenie prychnął jakoś dziwnie i umilkł.

Dochodzili już do Marszałkowskiej, gdy rotmistrz zatrzymał się i wbijając palec wskazujący w lewe ramię Kolskiego powiedział:

277

– Czy zastanawiał się pan kiedy nad dziwną zagadką psychologiczną? Powiedzmy, masz pan romans z mężatką. Masz pan romans i już. Rzecz zwyczajna. Wiesz pan doskonale, że ona rzadziej lub częściej musi obdarzać męża swoimi względami. Tego męża spotykasz pan,

do ciężkiego diabła, codziennie i w gruncie rzeczy nawet go lubisz. Jakże inaczej wygląda sprawa, gdy ta sama mężatka ma do czynienia nie tylko z mężem, lecz jeszcze z jakimś facetem! Flaki się wtedy panu przewracają! Rozszarpałbyś gacha na pięćdziesiąt kawałków! Co to może być u licha?! Skąd ta różnica?...

Kolski potrząsnął głową.

– Nie wiem. Nie znam się na tym.

– Właśnie. Filozofowie tam o różnych rzeczach piszą, o jakichś tam, panie, krytykach czystego rozumu i innych faramuszkach, które się nigdy nikomu na nic nie przydadzą, zamiast zająć się życiowymi sprawami. No, tak. Nie bój się pan. Za cztery tygodnie kończą się manewry, i nie życzę temu skunksowi, bym go jeszcze zastał w Warszawie. A z pana to byczy chłop! Słowo daję. Po moim powrocie do Warszawy musimy się częściej spotykać. Gra pan w brydża?

– Bardzo słabo.

– No to się pan poducz. A teraz do widzenia, bo mi pociąg ucieknie.

Czołem.

Kolski zawrócił w stronę domu. Miał takie uczucie, jakby unurzał się w bagnie. Lecz, o dziwo, główny ciężar jego oskarżeń nie zwracał się przeciwko Ninie. Wydała mu się istotą tak małą i tak płytką, że po prostu nie można jej było obarczać normalną, ludzką odpowiedzialnością za popełnione czyny. Ani obarczać, ani karać. Karanie jej byłoby takimż nonsensem, jak na przykład znęcanie się nad psem czy kotem za to, że zjadł kawałek mięsa pozostawionego bez dozoru.

– Zwierzątko. Sprytne, przebiegłe zwierzątko, o prymitywnych instynktach...

Przede wszystkim odczuwał zmęczenie, to najcięższe z wszystkich moralne zmęczenie, graniczące z apatią. I wstręt do siebie. Jak mógł znaleźć się w podobnej sytuacji! Wierzył tej

kobiecie. Ale to jego wina, bo chciał wierzyć. Tylko jego wina. Absolutnie nie miał do niej żalu, tylko niechęć do siebie. W tym tkwiła najboleśniej na przyszłość: nie zbliżać się nigdy do tych kobiet, których etykę możemy postawić na chwilę bodaj pod znakiem zapytania!

Tej nocy pisał do Łucji:

„Zdaje mi się, że można przejść przez bagno, a wyjść zeń jeszcze czystszym, jeszcze lepszym, niż się było przedtem. Czy podziela pani moje zdanie?... Teraz dopiero rozumiem przypowieść o synu marnotrawnym i to, dlaczego zawsze głębiej do mnie przemawiała podświadomie świętość Marii Magdaleny niż świętość Teresy. Jakże mi trzeba wytchnienia, i fizycznego, i duchowego. Jakże mi brak rozmów z panią. Zastępuję je sobie w ten sposób, że pisząc do pani lub czytając jej listy, jej drogic, dobre listy, mam przed sobą pani fotografię, z której patrzę na mnie te same, znajome, najpiękniejsze oczy na świecie...”

Istotnie napisanie tego listu wpłynęło kojąco na jego nerwy i gdy zasypiał, był już zupełnie spokojny. Wszystko, co przeżył ubiegłego dnia i w ciągu ubiegłych miesięcy, wydało mu się czymś niezmiernie odległym, jakąś mało interesującą historią, opowiedzianą przez kogoś obojętnego, i to bardzo dawno. Czuł się teraz od tego o sto mil.

Tak dalece przekreślił w sobie Ninę i związane z nią sprawy, że nie przyszło mu na myśl zawiadomić jej o tym. Toteż o godzinie piątej, gdy usłyszał dzwonek w przedpokoju, w pierwszej chwili nie przyszło mu

nawet do głowy, by to mogła być Nina. Gdy ją zobaczył, nie mógł opanować zdziwienia, które ona wzięła za coś innego i udała, że nic nie dostrzega. Wyciągnęła doń rękę znużonym ruchem.

mnie męczące. Jeszcze do tej chwili nie mogę ochłonać z tych okropnych wrażeń.

Weszła do pokoju i bezwładnie usiadła na kanapie. W białej jedwabnej sukience bez rękawów, z malutkim dekoltem wyglądała prawie dziewczęco:

naiwnie, kapryśnie i świeżo. Była prawie nie umalowana lub też robiła to tak umiejętnie, że jej opalenizna, niebieskie cienie pod oczami, brwi, rzęsy i wargi zdawały się mieć naturalny kolor.

Kolski przyglądał się jej powierzchowności z niedowierzaniem. Po prostu nie kojarzyła się w jego wyobraźni z tą sumą wiadomości, jaką zebrał o niej wczoraj.

– Kochanie, czy możesz mi dać papierosa? – odezwała się, dostrzegając w jego zachowaniu coś niecodziennego. Chciała zyskać na czasie, by się zorientować w nastroju Kolskiego i wybrać najodpowiedniejszą taktykę. On jednak w milczeniu podał pudełko z papierosami, zapalną i siadając naprzeciw niej nie odezwał się ani słowem.

– Powiedź mi, Janku, jak się to wczoraj skończyło. Spodziewam się, że nie doszło do żadnej awantury między tymi szaleńcami.

– Nie, nie doszło.

– To tylko dzięki tobie. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo ci jestem wdzięczna.

Zawsze można polegać na twoim umiarze i takcie. Jesteś prawdziwym mężczyzną.

Znowu zapanowała chwila ciszy i Kolski odezwał się spokojnie:

– Posłuchaj, Nino. Chcę z tobą poważnie i szczerze pomówić.

– Czy się coś stało? – Zrobiła zdziwioną minę. Potrząsnął przecząco głową.

– Nie teraz. Stawało się stale. Tylko ja tego nie widziałem. Przejrzałem nagle.

Na jej twarzy odbiło się cierpienie.

– Och, Janku. Czuję, że chcesz mi zrobić jakąś przykrość – odezwała się błagalnie.

– Przejrzałem nagle – ciągnął Kolski. – Poznałem cię. Nie będę nudził cię żadnymi kaza-

niami ani naukami moralnymi. Po pierwsze dlatego, że nie czuję się do nich powołany, a po drugie, z tej racji, że byłyby bezskuteczne. Jesteś dojrzałym człowiekiem, rozumiesz życie, wiesz doskonale, czego chcesz, postępujesz tak, jak ci nakazuje twój gust. Masz własny program życiowy.

Wstała i zbliżyła się doń w ten sposób, jakby zamierzała usiąść na jego kolanach, lecz Kol-ski powiedział z naciskiem:

– Proszę cię. Wysłuchaj mnie do końca.

– Czy... czy nie możemy tego odłożyć na... potem?

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie, Nino. Otóż ja również jestem dojrzałym człowiekiem, również mam zarysowaną drogę postępowania, własne poglądy, własny gatunek życia. Słowem indywidualność. Przyznam ci się, że nie mogę pojąć, co skłoniło cię do zajęcia się moją osobą. Być może w ogóle dla żadnej kobiety nie będę obiektem interesującym. Dla ciebie jednak w żadnym wypadku nie przedstawiam tych wartości czy braku wartości, których szukasz w mężczyźnie.

– Chcesz ze mną zerwać? – zapytała.

– Nie zerwać. Po co używasz takich słów? Po prostu rozstańmy się. Na krótko połączył nas niezrozumiały dla mnie kaprys losu czy twój kaprys, lecz to połączenie od początku było absurdem. Nie robię ci zarzutów z tego, że poza mną miałaś innych kochanków. To rzecz twego sumienia. Nie będę cię sądził, gdyż sam jestem winien. Byłoby śmieszne, gdybym ja, okradając twego męża za jego plecami z uczuć i pieszczot, któreś winna jemu, gromił cię z kazalnicy dlatego tylko, że chciałbym sobie zastrzec monopol w tym okradaniu. Proponuję uczciwie i rozsądnie: rozstańmy się. Rozstańmy się nie jak para dobrych przyjaciół, ale jak ludzie, którzy popełnili omyłkę i bez żalu do siebie rozchodzą się w przeciwne strony.

– Nie zamierzam się bronić – powiedziała Nina. – Ani usprawiedliwiać. Chcę ci tylko

zwrócić uwagę na jedno. Na to, czego sam nie dostrzegasz. Zdaje ci się, że postępujesz szla-

279

chetnie, a nie bierzesz tego pod uwagę, co ja czuję, co, ja przeżywam. Powiadasz: rozstańmy się. Bo ciebie to nic nie kosztuje. A czy nie przyszło ci do głowy, że dla mnie może to być dramatem?

Wysoko podniósł brwi.

– Dramatem? Chyba farsą? Jedną z wielu fars. Udała, że tego nie słyszy, i mówiła dalej:

– Zdaje ci się, że unikając nauk moralnych i potępień postępujesz wobec mnie lojalnie. A nie widzisz tego, że obrażasz mnie najboleśniej. Gdybyś żywił dla mnie bodaj odrobinę uczucia, nie mówiłbyś: rozstańmy się, bo jesteś inna, niż ja tego pragnę. Powiedziałbyś: stań się inną, zmień się, chcę mieć ciebie taką, jaką cię kocham. Uważam, że postępujesz źle. Pomogę ci. Znajdziesz we mnie oparcie moralne. Znajdziesz przyjacielską rękę.

Potrząsnął głową.

– Nie, Nino. To są puste słowa. Nie dlatego chcę rozstać się z tobą, że dowiedziałem się o twoich kochankach, lecz dlatego, że... uświadomiłem sobie, jak dalece wstrętna jest rola kochanka cudzej żony. Jak dalece niepodobna ustalić granicy między tym, co nazywasz miłością, a co twój mąż nazwałby łajdactwem.

Nina zaśmiała się ironicznie.

– Mój drogi, bardzo tanim kosztem chcesz osiągnąć etyczną wyższość nade mną.

Dotychczas starał się unikać czegoś, co mogłoby ją urazić. Teraz jednak powiedział:

– Bo to znowuż nie wymaga aż tak wielkich kosztów.

– Jesteś bardzo uprzejmy.

Umilkli oboje. Nina w milczeniu paliła papierosa. Kolski bawił się klucza[^]mi, które trzymał w ręku.

— Nie postępujesz jak mężczyzna – odezwała się wreszcie. Wzruszył ramionami.

– Jakżeby postąpił mężczyzna?

– Zażądałby, bym zerwała z innymi. Zrobił przeczący ruch głową.

– Nie rozumiesz mnie zupełnie.

– Ale chcę cię zrozumieć.

– Więc przede wszystkim nie wierzę w to, byś potrafiła zmienić swój dotychczasowy tryb życia. Tryb życia nie jest dziełem przypadku. Jest prostą konsekwencją natury danego człowieka. Ale nie o to mi chodzi. Gdybym nawet miał pewność, że porzucisz Korsaka, tego Anglika i innych, których nie znam, i tak nie mógłbym nadal być z tobą. W najmniejszym stopniu nie chcę cię dotknąć. Owszem, przyznaję ci wiele walorów. Jesteś inteligentna, jesteś wytworna i piękna. Wiem dobrze, że rozstając się z tobą nie czynię ci żadnej krzywdy. Bo nie zależy ci na mnie.

Przerwała mu;

– Sąd o tym pozostaw mnie.

– Może tu wchodzić w grę wyłącznie twoja podrażniona ambicja, podrażniona tym, że inicjatywa rozstania wyszła ode mnie. Otóż chcę cię uspokoić. Nie roszczę sobie z tego tytułu żadnych praw do zadowolenia z siebie. Nie widzę w tym żadnej przewagi. Przeciwnie. Uważam, że w tej grze ja przegrałem, ty bowiem pozostaniesz taką, jaką byłaś, jaką jesteś, ja natomiast zmuszony jestem do rewizji swego postępowania. Ty nie masz sobie nic do wyrzucenia, ja zaś... Zresztą nie mówmy o tym.

Nina podniosła głowę i zapytała:

– Chcę tylko jedno jeszcze wiedzieć. Spotkałeś inną kobietę? W pierwszej chwili nie zro-

zumiał, o co jej chodzi:

– Ależ nie, Nino! O Boże, jak my jesteśmy daleko od siebie! Wstała i zaczęła powoli naciągać rękawiczki.

– No, cóż – powiedziała z uśmiechem. – Nie pozostaje mi nic innego, jak pana pożegnać.

280

Wyciągnęła rękę, którą Kolski w milczeniu ucałował. Wolno szła do drzwi. Przy drzwiach odwróciła się.

– W gruncie rzeczy jest pan dobrym chłopcem. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, wyszła.

Od tego dnia nie widywał jej wcale. Minęły trzy tygodnie. Obchodził właśnie wieczorem pacjentów na drugim piętrze, gdy przybiegł sanitariusz:

– Panie doktorze. Na dole jest pani profesorowa Dobraniecka i prosi pana doktora.

Domyślał się od razu, że musiało się stać coś niezwykłego. Gdy jednak

wszedł do dyrekcyjnego gabinetu i zobaczył Ninę, przeraził się. Była blada, oczy miała głęboko podkrążone, ręce jej się trzęsły.

– Co pani jest? – zapytał szczerze zaniepokojony. Głos jej drżał, gdy mówiła:

– Mój mąż... Jest bardzo źle z moim mężem.

– Pan profesor wrócił?

– Nie. Otrzymałam list z Marienbadu. Doktor Hartmann pisze, że stwierdzono nowotwór pod czaszką... To już podobno tylko kwestia miesięcy czy nawet tygodni... Straszne, straszne...

Na pewno nie udawała. Jej rozpacz była szczera. Było to dla Kolskiego niespodzianką. Nino musiała być jednak przywiązana do męża. A może nawet kochała go po swojemu. W oczach miała łzy.

Pochylił się nad nią.

– Niech pani nie traci nadziei – powiedział swoim zawodowym tonem pocieszającego le-

karza. – Podobne diagnozy bywają mylne. A zresztą tego rodzaju nowotwory dają się usuwać.

Wątpię, by w Marienbadzie byli dość poważni specjaliści z tej dziedziny.

Otarła łzy.

– Dałby Bóg... Jerzy chce wrócić do Warszawy, ale nie może być mowy o tym, by wracał sam. Musi mieć w drodze odpowiednią opiekę. Czy... czy pan pojechałby ze mną?

– Ależ oczywiście, proszę pani.

– Doktor Hartmann radzi zabrać Jerzego jak najprędzej. Boże, Boże! Właśnie to naglenie przeraża mnie.

– Czy ma pani przy sobie list Hartmanna? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Chciałbym go przeczytać.

– Nie ma w tym liście żadnych ściślejszych danych. Ale mogę go panu przysłać.

Zamyślił się i powiedział:

– Nie widzę racji, dla której mielibyśmy odkładać wyjazd. Muszę się tylko porozumieć z Rancewiczem. Kiedy pani może być gotowa?

– Ach, każdej chwili.

Następnego ranka Kolski wraz z Niną wyjechali pociągiem pośpiesznym do Marienbadu.

Rozdział XIII

Nie ma piękniejszej pory roku niż jesień, niż wczesna jesień na rozległych ziemiach białoruskich. Po polach, po rżyskach i ugorach łagodny ciepły wiatr srebrne nici babiego lata unosi. Lasy stoją ciche, zasłuchane w purpurową i żółtą dojrzałość swych liści, w sadach jabłonie i grusze uwolnione od ciężaru owoców przeciągają się przed snem zimowym leniwym ruchem gałęzi. Po gumnach wróble gwarne wiece odbywają w złotej słomie. Na bladym błękitcie nieba klucze żurawi czarny-

mi znaczą się kresami. W stodołach rytmicznym tańcem hołubce wybijają cepy, tryska jędrne ziarno z wystających na słońcu kłosów, by przewiane i czyste zlać się sypkim strumieniem do pękających worków.

281

Cieszy się oko gospodarza dostatkiem. Cieszą się jego plecy ciężarem dźwiganego plonu. Postępując więcej z nawyku niż z wysiłku, układa worki na wózku. Całą górę. Mały, brzuchaty konik ma dość siły, by nie śpiesząc się, noga za nogą, zboże do młyna dociągnąć. A młyn, ten nienasycony potwór, dobrotliwie warczy i w ogromnych zębiskach przeżuwa i przeżuwa młode ziarno. Szerokim strumieniem spada woda na koło i dołem wypływa w bulgotach i pianie. Dzień i noc w otwartą paszczę sypie się żyto, dzień i noc w białych tumanach pachnących chlebem wysypuje się strumień mąki.

Ciężki bywa przednówek na chudych ziemiach białoruskich. Toteż kiedy jak kiedy, ale wczesną jesienią młyn odpoczynku nie zazna. Stęsknili się ludzie za chlebem, za czarnym, pachnącym chlebem, którego wielu od wiosny w ustach nie miało.

Na dobry porządek należałoby i na niedzielę młyna nie zatrzymywać. Ale stary Prokop Mielnik miał swoje zasady i od nich nie odstępował nigdy, chociaż wiedział, że Gajer w Poddubnej, a i Szymoniuk w Rakowszczyźnie po niedzielach pracują. Konkurencja konkurencją, a święto świętem.

Toteż w niedzielę milkły żarna w młynie Prokopa Mielnika. On sam, w odświętnej bluzie koloru wiśniowego, podwiązanej grubym, jedwabnym szhurem, szedł na pogawędkę do Wilczura, z którym zasiadał na ganku lecznicy. Reszta mieszkańców młyna również korzystała z odpoczynku. Zonia z Olgą szły do Bierwint lub do miasteczka, Natalka wymykała się chyłkiem w stronę Nieskupy, gdzie czekał na nią jej adorator i rówieśnik Sasza, Donka z Wasylem pływali łódką po stawie. W domu zostawała tylko stara Agata i Witalis, który chrapał pod

topolą. Jemioł, jak zwykle, popołudnie spędzał w karczmie w Radoliszkach. Łucja godziny te poświęcała swoim sprawom prywatnym. Pisała listy do znajomych, reperowała swoją garderobę, także i garderobę Wilczura, oczywiście bez jego wiedzy.

Tymczasem na ganku toczyła się rozmowa. Wilczur wypytywał Prokopa o sprawy młynarskie, o ceny zboża, o to, co słyhać w okolicy. Sam opowiadał o ciekawszych wypadkach w lecznicy. Prosperowała ona nieźle. Jak zwykle po żniwach, ludzie przypomnieli sobie swoje dolegliwości i to, że można się ich pozbyć, jeżeli tylko udać się do profesora. 2 datków, które przynosili, można było opędzić wydatki lecznicy i własne, bez znacznej oszczędności, ale przecież i bez biedy.

Gdy już wyczerpali te tematy, Prokop zaczął się rozwodzić nad swoimi planami na przyszłość. Najwięcej zajmowała go myśl przepisania młyna i ziemi na imię Wasyla.

– Człowiek już jestem niemłody – mówił – a choć, Bogu dzięki, zdrowia i siły nie braknie, zawsze zdarzyć się może nagła śmierć. Po cóż ja mam po sobie zostawiać nieporządek? Póki żyję, wszyscy oni mnie słuchają, ale jakbym umarł, to kto wie, czy między Wasylem a Olgą i Zonią nie zaprowadziłyby się jakieś kwasy. Nie daj Boże doszłoby jeszcze do ciągnięcia się po sądach, i tak cały dorobek mego życia zmarnowaliby. Więc sobie umyśliłem tak: jeszcze za życia przepiszę wszystko na Wasyla. Chłopiec jest uczciwy, ani siostry, ani bratowej nie ukrzywdzi, a takim prawem chudoba w jednym ręku zostanie i nie zmarnieje.

– A kiedyż to myślisz zrobić? – zapytał Wilczur.

– A ot, myślę, że po Trzech Królach wesele odbędziem, to pojedę z nim do powiatu i przepiszę. Radzisz czy nie radzisz?

– Pewno, że radzę – odpowiedział Wilczur. – A powiedzże mi ty, czy jesteś zadowolony z przyszłej synowej?

– Co ja nie mam być zadowolony?! Dziewczyna jak złoto, chętna, robotna, wesoła, a najważniejsze, że zdrowa już. Nie cherlaków będzie rodzić. Toż prawdę powiedziawszy ja ją z tą myślą z miasta przywiózł. I nawet martwił się ja z początku, że między nią a Wasylem nijakiej skłonności nie ma. Jak mężczyzna i kobieta obok siebie żyją, to i skłonność musi się zjawiać. No i zjawiała się.

282

Zapanowało milczenie. Cisza była wokół, tylko od młyna dolatywał monotony szum wody i trzask sójki, która usadowiła się na jednej z brzóz gościńca.

– No, a jakże z tobą będzie? – odezwał się Prokop.

– Ze mną? – Wilczur ocknął się z zamyślenia.

– A jakże. Ty nie gniewaj się na mnie, że ja ciebie o takie rzeczy zagabuję, ale patrzę i patrzę, a jak patrzę, to i dziwię się.

– Niby pod jakim względem? Co cię tak dziwi?

– A ot, mieszkasz pod jednym dachem z tą panienką. Każdy widzi, że macie do siebie skłonność. Żeby o kogo innego chodziło, nie o ciebie, to jużby ludzie źle o was zaczęli mówić. Tak, broń Boże, nikt nic złego nie myśli, ale bo to raz mnie pytali: – kiedyż on się z nią ożeni ten nasz profesor?... – to ja mówię: – a Bóg że jego wie. Bo i skądże ja mam wiedzieć? To oni: – popytaj się... – to ja im: – sami pytajcie się. Cóż to, języków w gębie nie macie?...

Ale wiadomo, śmiałości nie czują.

Wilczur opuścił głowę.

– Sam nie wiem... Sam nie wiem, jak postąpić.

Istotnie nie wiedział. Wprawdzie przed tygodniem był już zupełnie zdecydowany na małżeństwo z Łucją, lecz wówczas właśnie zaszedł pewien drobny wypadek, który wiele dał mu do myślenia, i jeżeli nie przekreślił planów małżeńskich, to w każdym razie mocno je podwa-

żył.

A było to tak:

Od dłuższego czasu leczył się tu dziesięcioletni chłopak, syn garncarza z Bierwint. Przy zbieraniu jabłek spadł z drzewa i doznał dość poważnych wewnętrznych obrażeń. Był najmłodszym pacjentem w lecznicy i pupilem wszystkich. Nawet Jemioł umiał godzinami przesiadywać przy jego łóżku, opowiadając mu najdziwniejsze bajki. Dohka przynosiła mu różne smakołyki, Łucja uszyła dlań ładne ubranko, a Wilczur zaglądał do niego znacznie częściej, niż tego wymagała troska o jego zdrowie. Mały Piotruś stopniowo wracał do zdrowia. Najpierw pozwolono mu wstawać na kilka godzin dziennie, później już tylko noc spędzał w łóżku. Nikomu nie śpieszyło się z odesłaniem go do domu. Jednakże w domu był potrzebny. Młodsza jego siostrzyczka nie umiała dać sobie rady z wielkim stadem gęsi i po Piotrusia pewnego dnia zgłosił się ojciec. Z tą smutną wiadomością przyszła do Wilczura Łucja, przyprowadzając jednocześnie chłopca, by się pożegnał z profesorem.

– Podziękuj, Piotrusiu, panu profesorowi za to, że cię wyleczył. Ja tymczasem spakuję twoje manatki – powiedziała i wyszła do sieni.

Chłopak wyciągnął rączki tak, jakby chciał profesora objąć za szyję. Wilczur, rozczulony, pochylił się i podniósł malca, by go ucałować.

– Ale ciężki jesteś – powiedział zasapany, stawiając go z powrotem na podłodze.

Po chwili wróciła Łucja, a za nią na progu ukazał się ojciec Piotrusia. Chłop zaczął dziękować i przepraszać za kłopot, którego pewno jego syn tu narobił.

– Ale żadnego kłopotu – wesoło zawołała Łucja. – To najgrzeczniejszy chłopczyk, jakiego widziałam w życiu.

Nagłym ruchem porwała Piotrusia z ziemi, przytuliła i zaczęła go nosić po pokoju.

Nie zauważyła wcale, jak wielkie wrażenie wywarło to na Wilczurze. Przygryzł wargi i ze smutkiem przypatrywał się jej, jak bez najmniejszego wysiłku tańczyła po pokoju z chłopakiem na rękę, z tym samym chłopakiem, którego on ledwie zdołał podnieść. Nigdy przedtem w sposób bardziej dobitny przypadek nie podkreślił różnicy ich wieku i różnicy sił.

Nie spostrzegła tego i nie domyśliła się wcale, jak bolesny cios zadała jego nadziejom. Nie umiała też sobie później wytłumaczyć niczym nie uzasadnionego odsunięcia się Wilczura od niej i smutku, który go zaczął dręczyć. Na próżno szukała w swojej pamięci jakiegoś nierozważnego słowa, jakiegoś postępu, którym mogła sobie profesora zrazić. Obawiała się zwró-

283

cić doń z szczerym pytaniem, gdyż wiedziała, że nic nie odpowie, a przez to zostanie pogłębiona ta niewidzialna rysa, która znowu ich zaczęła dzielić.

Wilczur jeszcze bardziej odczuwał istnienie tej rysy niż Łucja. Widział, jak wbiegła na schody, jak bez niczyjej pomocy prześcielała łóżka chorym, dźwigając ich i przenosząc. Spostrzegął, że po dniu ciężkiej pracy wybierała się na długie spacery, że pomimo zimnej wody w stawach kąpała się codziennie, pływając szybko i sprawnie, że słowem, była młoda, bardzo młoda, tak młoda, że on przy niej musiał się uważać za starca. Toteż teraz, gdy padło pytanie Prokopa Mielnika, odpowiedział:

– Nie wiem. Sam nie wiem. Prokop wzruszył ramionami.

– A cóż tu i wiedzieć trzeba? Ona chce za ciebie?

Wilczur mruknął:

– Chce, bo nie ma jeszcze doświadczenia.

– No, jak chce, to i żeń się. Cóż to za porządek, żeby chłop bez baby był.

– Ale weź, Prokopie, pod uwagę różnicę wieku. Ona jest młoda i ładna, a ja już stary dziad. Przed nią przyszłość. Cóż ja jej będę życie zawiązywał. Prokop zirytował się.

– Ot, mądry ty człowiek, a głupstwa gadasz. Mnie nie śmiech, kiedy durny głupstwa gada.

Ale jak mądry głupstwa gada i śmiać się chce. Cóż z ciebie za dziad? Jak ty dziad, to ja kto?

Jaz od ciebie kudy starszy. A jakby nie daj Boże Agata pomarła, tak i ożenię się.

– Widzisz, Prokopie, u was to co innego. U was to się bierze żonę, żeby mieć gospodynię.

A u nas to z miłości, z kochania.

– To i niedobrze – orzekł Prokop. – Trzeba i dla jednego, i dla drugiego. A mało to ludzi w starszym wieku z młodymi kobietami się żeni? Ho, już w samej naszej okolicy naliczyłbym ci takich ze trzydzieści. A druga rzecz: cóż tobie brakuje? Co ty myślisz, że ona jedna by się za ciebie chciała wydać? Każda by chciała. Teraz mówisz taką rzecz: zawiążesz jej życie. Jedno z dwóch: albo będziesz zdrow i będziesz żył długo, to i nie będzie miała się na co skarżyć, albo zostawisz ją jako wdowę, to i życie będzie miała wolne. Ot co i sprawa jest jasna.

Po rozmowie z Prokopem Wilczur ponownie zawahał się w swoim przeświadczeniu o konieczności rezygnacji z małżeństwa. Istotnie nie zawiązywał życia Łucji. Była przecież kobietą dojrzałą, wiedziała, czego chce. Nie można wszystkich ludzi mierzyć jedną miarą. Może właśnie dla niej szczęściem, prawdziwym szczęściem będzie to, co on jej dać może. Spokojne, równe życie, pogodną przyjaźń, serdeczne przywiązanie, a ostatecznie przecież jako mężczyzna bynajmniej jeszcze nie skończył swojej kariery.

Gdy po obiedzie, jak zwykle w niedzielę, wybierał się z Łucją na cmentarz radoliski, postanowił otwarcie i szczerze pomówić z nią o tych wszystkich sprawach i dopiero potem powziąć decyzję.

Łucja dnia tego była trochę smutna. Odpisywała właśnie Kolskiemu na jego długi i pełen goryczy list. Wydawało się jej, że Kolski zabrnął w jakieś nieprzyjemne tarapaty, że się poddaje przygnębieniu z powodu spraw, o których nie chce czy nie może pisać. Była przekonana, że gdyby wyznał jej szczerze wszystko, potrafiłaby dlań znaleźć jakąś radę czy pomoc. Nie

wątpiła też, że w osobistym zetknięciu Kolski nie robiłby przed nią tajemnic. W listach jednak nie mógł się zdobyć na zupełną otwartość. Domyślała się, że na dnie jego trosk i zmartwień jest jakaś kobieta. Była tego pewna, jak i tego, że owa kobieta nie zasługuje na jego miłość i że jest raczej w jego życiu przygodą. Pomimo to Łucja odczuwała coś, czego wprawdzie nie mogłaby nazwać zazdrością, ale czym jednak czuła się dotknięta. Pewną satysfakcję dawało jej to, że Kolski w próbie zapomnienia o niej nie znalazł niczego dość wartościowego, że przeciwnie ona, Łucja, zyskała tylko na , konfrontacji z tamtą nieznaną.

– Nie jest pani dziś w najlepszym humorze – zauważył Wilczur, gdy się znaleźli na ścieżce wijącej się nad brzegiem stawu. – Czy spotkało panią coś przykrego?

284

– Ach, nie – zaprzeczyła. – Martwię się trochę z powodu Kolskiego. – Otrzymałam od niego list. I chociaż nie pisze wyraźnie, wiem, że ma jakieś poważne kłopoty.

– W lecznicy?

– Nie. To są raczej kłopoty natury moralnej. Mam wrażenie, że wdał się w jakiś romans czy też zaręczył się z kimś, kto przysparza mu wiele zmartwień.

– Kolski nie wygląda mi na człowieka łatwo ulegającego dramatom sercowym. To jest bardzo porządny człowiek z dużym charakterem. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Kolskim i dodał:

– Może jego wadą jest zbyt pochopne sądzenie. Ale to jest wina młodości. Okupuje tę winę jego odwaga cywilna. To duża zaleta w naszych oportunistycznych czasach. Jak pani będzie pisała do niego, proszę pozdrowić go ode mnie.

Rozmowę ich przerwały okrzyki ze stawu. To Wasyl i Donka pokrzykiwali z łódki w stronę brzegu. Teraz dopiero Wilczur i Łucja zauważyli Jemioła, wygodnie rozłożonego w cieniu

krzaków. Obok niego stała do połowy już wypróżniona butelka wódki. Młodzi podpłynęli bliżej i wdali się z nim w rozmowę. Donka, wskazując za oddalającą się Łucję z Wilczurem, powiedziała:

– I czy nie ogarnia pana zazdrość, panie Jemioł?

– Zazdrość? O co?

– Ano, każdy ma swoją dziewczynę. A pan jest sam.

– Moja droga żabusi. Tak. Jestem sam. Sam jak palec w nosie. Ale jeżeli sądzisz, że zazdroścę innym, to się grubo mylisz. Wasyl zaśmiał się głośno.

– A bo pan nigdy nie jest sam, panie Jemioł. Tylko zawsze z butelką.

– Twoje szczęście, mój tubylcze, mój ty lokalny Romeo, że butelka nie jest jeszcze wypróżniona. W przeciwnym razie mógłbym ją przesłać drogą powietrzną. Uważaj, by nie wylądowała na twoim organie powonienia.

– Ho, ho, nie dorzuci pan tu – zaśmiał się Wasyl i na wszelki wypadek machnął parę razy wiosłami, by się nieco oddalić od brzegu.

– A jeżeli chodzi o zazdrość, to zrozumi, mikrocefalu, że w tej flaszcze mam nie jedną przyjaciółkę, lecz całe ich stado. Harem. Rozumiesz, harem?

– Nie rozumiem – szczerze przyznał się Wasyl.

– Fu, pan takie świństwa mówi – zachnęła się Donka.

– Ja mówię, a wy macie ochotę robić. I czymże jesteście? Oto mimowolnym narzędziem fatum, które każe wam być funkcją populacyjnodemograficzną. Zakładem chałupniczym przyrostu ludności. Koncesjonowaną fabryczką zakładaną w celu wyprodukowania kilku egzemplarzy sobie podobnych indigeneów. Łypiecie jedno na drugie rozmarzonym okiem, a skutek? Kupa

cuchnących pieluszek i parę kilogramów żywego mięsa, z którego wydobywa się dniami i

nocami nieartykułowany wrzask. I na próżno bym wzywał was do kontemplacji tego problemu. Czy które z was zadało sobie kiedyś pytanie nieboszczyka Hamleta: – Be, or not to be?... Czy które z was, w ślepych pędzie do podtrzymywania gatunku, miało refleksję, że gatunek ten jest w gruncie rzeczy bardzo podły? Gatunek homo pseudo sapiens rusticanus, nierzadko obdarzony kołtunem lub parchami. I zapytuję was gromkim głosem: – po jaką cholere macie kontynuować to drzewo genealogiczne małpiaków pospolitych, istot antropoidalnych, zaludniających dorzecze Dżwiny i Niemna?...

Młodzi śmiali się, chociaż niewiele zrozumieli. Gadulstwo Jemioła było dla nich czymś nad wyraz zabawnym. On sam pociągnął nieduży łyk z butelki i podparłszy głowę ręką, wygodnie się ułożył w wysokiej trawie.

– Śmiejecie się, by zadokumentować swoje człowieczeństwo. Istotnie jest to jedyny dla was dostępny odruch organizmu, który odróżnia zwierzę od człowieka.

Donka zaprotestowała:

285

– A nieprawda. Bo i zwierzęta się śmieją. Na przykład pies.

– I koń – dodał Wasyl. – W Nieskupej u Parafimczuka jest koń, co śmieje się jak człowiek.

– Na zdrowie. Niech się śmieje – mówił Jemioł. – Gdybyście byli obeznani z filozofią klasyczną, powiedziałbym wam, że wyjątki potwierdzają regułę, a wcale jej nie obalają. Zresztą w wyższym rzędzie śmiech przestaje być objawem człowieczeństwa. W wyższym rzędzie pozostaje tylko uśmiech politowania i pobłażliwej obojętności dla świata, nad którym należałoby zawiesić szyld umieszczony przez Dantego na bramie piekielnej:

„Lasciate ogni speranza!”, co znaczy po polsku: „ferfał di kaczkes mit di gance pastroj-

kies”. Nie ubolewajcie tedy nade mną, że chodzę po świecie nie obarczony towarzystwem samicy. Jeżeli bym komukolwiek wierzył, to wierzyłbym przede wszystkim Weiningerowi,

który, jak to dobrze wiecie, nie za dużo uprzejmych rzeczy powiedział o kobietach.

– To ten pan był niegrzeczny – rezolutnie zaopiniowała Donka.

– Zgadłaś, oblubienico.

Tak to oni się przekomarzali czas dłuższy, gdy od strony młyna rozległy się jakieś okrzyki.

Musiało się tam stać coś złego, gdyż okrzyki były pełne niepokoju. Wasyl pierwszy dojrzał ich przyczynę. Od strony młyna pędził duży pies, pędził ścieżką nad stawami. Nietrudno było zrozumieć znaczenie krzyków. Pies był obcy, w okolicy nie znany. Z pyska ściekała pieniąca się ślina, ogon miał podwinięty.

– Panie Jemioł, niech pan ucieka! – wrzasnął Wasyl. – To wściekły pies!

– Niech pan ucieka! – przeraźliwie zapiszczała Donka. Ale łatwiej było doradzać ucieczkę niż wskazać jej kierunek. Wokół

ciągnęła się otwarta przestrzeń, właśnie w tym kierunku, w którym biegł

pies. Jemioł zerwał się na równe nogi.

– Gdybym chociaż miał jakiś kij!

– Trzymaj pan – zawołał Wasyl i rzucił do brzegu wiosło, lecz odległość była zbyt wielka i nie dorzucił.

Pies biegł szybko. Nie pozostawało czasu do namysłu i Jemioł, porwawszy butelkę z mury, skoczył do wody. Niestety, nie umiał pływać, a ponieważ staw w tym miejscu był głęboki, minęło sporo chwil, zanim się wynurzył. Tymczasem Wasyl doprowadził łódkę do miejsca, w którym zanurzył się Jemioł, i gdy tylko głowa tonącego ukazała się nad powierzchnią wody, uchwycił go za czuprynę, później za kołnierz i wciągnął do łodzi.

— Niech to wszyscy diabli! – kłął Jemioł parskając i plując wodą. – Cóż to za porządki,

żeby wściekłe psy grasowały po okolicy w pogodne, niedzielne popołudnie i zmuszały obywatela zażywającego dolce far niente do nurzania się w tej ohydnej cieczy. Uważaj, Wasyl, na

Boga! Tam, tam płynie. Nie rozbij jej wiosłem.

Rzeczywiście w pobliżu dzioba łodzi ukazała się butelka. Na szczęście była zakorkowana i jej zawartość ocalała. Nie na długo wszakże, gdyż Jemioł natychmiast ją przelał do swego żołądka.

Nad staw przybiegł zdyszany Witalis z wielkim drągiem, lecz pościg za psem okazał się już spóźniony. Z opowiadania Witalisa dowiedzieli się o przebiegu zajścia. Mianowicie drogą od gościńca przyszedł pies. Wcale nie wyglądał na wściekłego. Kręcił się jakiś czas po podwórzu i nagle rzucił się na Żonie, która na szczęście niosła puste wiadro. Uderzyła nim bestię w łeb i tym się obroniła. Wówczas pies skoczył w bok ku Witalisowi, a gdy dwa miejscowe psy nadbiegły, dotkliwie oba pogryzł.

– Nie ma rady, trzeba będzie je zabić – zakończył swe opowiadanie parobek.

– To bardzo przykro – ze smutkiem powiedziała Donka.

Przybili do brzegu i poszli obejrzeć pokaleczone psy.

Tymczasem Wilczur z Łucją wyszli z cmentarza i jak zwykle okrężną drogą skierowali się ku domowi, a właściwie ku gościńcowi, na którym mieli się rozstać, gdyż Łucja zamierzała wstąpić do chorej dziewczynki w Radoliszkach.

286

Rozmowa o Kolskim i o Warszawie, a później o owej małej pacjentce popsuła szyki Wilczurowi. Nie było jakoś sposobności zacząć mówić o swoich zamiarach małżeńskich. Co prawda profesor nie kwapił się do tego i w gruncie rzeczy był rad, że ponownie może ten temat odsunąć na przyszłość.

Szli krętą drogą między rżyskami, brzegi jednak drogi były dość gęsto porośnięte krzakami. Na zakręcie, pod jedną z większych kęp zobaczyli dużego, rudego psa, który stał nieruchomo i wpatrywał się w idących.

– Jaki wspaniały seter – zawołała Łucja.

– Rzeczywiście piękny – przyznał Wilczur. – Musi być tu w okolicy od niedawna, bo nigdy go nie widziałem.

Zboczył w stronę psa i wyciągając doń rękę, zawołał:

– No, chodź tu piesku, chodź.

Nie zdołał ręki w porę cofnąć. Wyglądający tak spokojnie seter w mgnieniu

oka wpił się zębami w dłoń, po czym zawrócił i pomknął cwałem w stronę cmentarza.

– Mój Boże! – powiedziała Łucja. – Ugryzł pana. Czy bardzo boli? Wilczur uśmiechem pokrył ból.

– Ach nie. To drobiazg – skłamał.

W istocie czuł w całym ramieniu przejmujący ból. Zęby zwierzęcia musiały uszkodzić jakiś nerw. Z niedużej rany sączyły się kropelki krwi. Wyjął chusteczkę, otarł dłoń i zauważył:

– Czegóż wymagać od zwierząt, skoro ludzie tak często postępują podobnie, odpowiadając na przyjaźń i życzliwość zębami. Łucja zatroszczyła się.

– Że tu nie ma wody. W każdym razie niech pan natychmiast po powrocie do domu wydezynfekuje tę ranę. Musi mi pan to obiecać. Zaśmiał się.

– Ależ, panno Łucjo. To drobiazg. Zresztą mogę pani obiecać, że to zrobię.

– Bardzo proszę.

Doszli do gościńca i Wilczur zapytał:

– Długo pani zabawi w miasteczku?

– Nie – potrząsnęła głową. – Najwyżej pół godziny. Tej małej muszę zmienić opatrunek.

To wszystko.

Uśmiechnęli się do siebie i rozstali się. Wilczur zawrócił w stronę lecznicy, Łucja ku Radoliszkom. Nie zdążyła jednak przejść kilkuset kroków, gdy spotkała obu radoliskich poli-

cjantów. Zнали ją od dawna i przywitani ją jak zwykle grzecznie salutując. Odpowiedziała im ukłonem głowy, gdy jeden z nich zapytał:

– Czy nie widziała pani gdzie tu takiego rudego psa? Zatrzymała się.

– Owszem, widziałam. Pobiegł w stronę cmentarza. Czy to pański pies?

– Gdzież tam, proszę pani. To jakiś obcy, wściekły pies. W miasteczku pogryzł konia i trzy psy. Idziemy go szukać, żeby go zastrzelić. Łucji wszystka krew zbiegła do serca.

– Jezus Maria! – szepnęła.

Teraz dopiero zauważyła, że policjanci mają ze sobą karabiny.

– Więc pobiegł w stronę cmentarza? – zapytał drugi policjant. – Dziękujemy pani i moje uszanowanie.

Po chwili dopiero oprzytomniała. Najpierw chciała biec za Wilczurem, by go dopędzić i zakomunikować mu straszną nowinę, po namyśle jednak postanowiła czym prędzej iść do apteki. Po drodze dręczyła ją obawa, że w tak małej aptece nie znajdzie szczepionki pasteurowskiej. Nie omyliła się.

– Jedyne sposóh, proszę pani doktorki – oświadczył jej aptekarz – to wieźć profesora do miasta. I to jak najprędzej. Sama pani wie, że w takich wypadkach nie ma czasu na zwlekanie.

Łucja spojrziała na zegarek. Wieczorny pociąg z Ludwikowa odchodził za

287

godzinę. O tym, by przez ten czas zdążyć do lecznicy i później końmi na stację, mowy być nie mogło. Następny miał być nazajutrz o pierwszej po południu. Wychodziła już na ulicę, gdy aptekarz ją zatrzymał.

– Proszę pani, o ile wiem, pan doktor Pawlicki sprowadzał sobie szczepionkę pasteurowską, bo ostatnio było tu parę wypadków pogryzienia przez wściekłe psy. Może mu jeszcze zostało.

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję – zawołała Łucja i pobiegła szybko do mieszkania Pawlickiego.

Nie zastała go jednak w domu. Żona Pawlickiego przyjęła ją z wyraźną niechęcią. Początkowo nawet nie chciała powiedzieć, gdzie jest mąż.

– Wyjechał do chorego. To wszystko, co wiem.

– Jak to? I nie wie pani w jaką stronę? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie interesuję się tymi sprawami.

– Mój Boże! Tu chodzi o życie człowieka.

Pani Pawlicka zmierzyła Łucję zimnym spojrzeniem.

– Przecież, o ile wiem, pani jest lekarką. Oprócz pani jest tam jeszcze sam profesor Wilczur. Po cóż jeszcze mój mąż?

– Pani mąż – wyjaśniła Łucja – ma szczepionkę przeciw wścieklicznie. Profesor został pokąsany przez wściekłego psa.

– O! – zawołała pani Pawlicka takim tonem, że w jej okrzyku zarówno można było się dopatrzeć przestachu, jak i zaciekawienia sensacją.

– Proszę pani – mówiła Łucja. – Mąż pani na pewno ma tę szczepionkę tu, w swoim gabinecie. Jestem lekarką. Znam się na tym. Niech pani mi pozwoli poszukać w gabinecie swego męża.

– Szukać w jego gabinecie? – oburzyła się pani Pawlicka. – Ależ proszę pani. Wybacz pani, to jest nie do pomyślenia. Ja, chociaż jestem jego żoną, nie ośmieliłabym się zrobić czegoś podobnego. A zresztą mąż wszystko trzyma pod kluczem.

– Więc co mam robić? Co mam robić? – Łucja załamała ręce. Po chwili wahania pani Pawlicka powiedziała:

– Niech pani zaczeka. Dowiem się od służącej. Może ona wie, dokąd mąż pojechał.

Znikła za drzwiami. Każda minuta oczekiwania zdawała się Łucji godziną. Wyobrażenia podsuwała najstraszniejsze obrazy. Oto szczepienie będzie spóźnione, oto profesor będzie umierał w najstraszliwszych, w najdzikszych męczarniach. W męczarniach, które zamieniają człowieka w dzikie zwierzę. W męczarniach, w których niepodobna przynieść żadnej ulgi. Wreszcie pani Pawlicka wróciła.

– Mój mąż pojechał do majątku Kowalewo – powiedziała. – Do państwa Jurkowskich.

– Do Kowalewa?

– Tak.

– A pani nie wie, jak to jest daleko?

– Niestety, nie wiem. Sądzę, że te informacje otrzyma pani łatwo u ludzi z miasteczka.

– Dziękuję pani. Bardzo dziękuję.

Łucja wybiegła. W każdym razie należało wynająć konie. Ponieważ prawie wszyscy mieszkańcy Radolizsek, chrześcijanie, zajmowali się rolnictwem, sądziła, że wynajęcie podwozy do Kowalewa nie sprawi większych trudności. Niestety, już u pierwszego gospodarza spotkał ją zawód. Okazało się, że jak zwykle w dniu świątecznym konie są na dość odległym pastwisku. Drugą przykrą niespodzianką było to, że Kowalewo oddalone jest od Radolizsek o prawie sześć kilometrów piaszczystej drogi, którą przebyć można nawet parą koni jedynie stępa.

288

– Jest i bliższa droga – objaśniał chłop. – Ale tu można tylko piechotą. I to niebardzo bezpiecznie. To będzie nie więcej jak trzy wiorsty. Do Muchówki dwie, a tam wiorsta albo półtoręj przez torfowiska. Jakby pani chciała, to mogę mojego Staśka posłać.

– Nie, nie – zaprotestowała Łucja. – Sama pójdę. Strasznie mi się śpieszy.

– Jeżeli się pani śpieszy, to może pani pożyczyć rower od Wojdyłów. Oni mają aż dwa

rowery. Umie pani jeździć na rowerze?

– Umiem.

– No to do Muchówki może pani dojechać rowerem. A już później trzeba przez łąki i torfowiska pieszo. Ani rowerem, ani koniem nie przejdzie. I samej trzeba bardzo uważać, bo tam co roku ktoś się topi. Ot, i w zeszłym miesiącu Kulmaniuka wyciągnęli, kiedy mu już tylko głowa z bagna sterczała. Trzeba bardzo uważać. Zimą, przy mrozie, tamtędy jest przejazd, ale teraz to nie.

– A nie mógłby pan pójść ze mną? – zapytała gorączkowo. – Zapłacę panu.

Chłop podrapał się w głowę.

– Cóż, nie o zapłatę chodzi, proszę pani doktorki. Ale dzień świąteczny. Niedziela. To i nijako.

Podziękowała mu za wskazówki i pobiegła do Wojdyłów. Tutaj nie spotkała się z najmniejszymi trudnościami. Usłyszawszy, o co chodzi, Wojdyło w tej chwili wyprowadził rower swojej synowej. Stary rymarz miał dawne długi wdzięczności wobec Wilczura i szczerze się zatroskał jego zdrowiem.

– A niechże pani doktorka nie kłopotuje się o rower. W Muchówce u sołtysa Jagodzińskiego może pani śmiało zostawić. To jutro synowa tam pójdzie i zabierze.

Droga do Muchówki prowadziła przez brzozowe zagajniki, gdzie po niedawnych deszczach stały wielkie kałuże mętnogliniastej wody. Nim przejechała pół kilometra, była już cała zapryskana błotem. Nie ułatwiało jazdy też i to, że koła ustawicznie uderzały o wystające korzenie i że Łucja od czasów gimnazjalnych nie jeździła na rowerze i bardzo wyszła z wprawy.

Muchówka, nieduża wieś, leżała na dość znacznej wyniosłości, chroniącej ją przed częstymi w tej okolicy zalewami. Mała rzeczulka Liwinia, przecinająca torfo-

wiska podczas wiosennych roztopów, zamieniała okoliczną łąkę i zagajniki w prawdziwe jeziora. Teraz jednak jej woda była tak płytka, że Łucja zamoczyła sobie nogi tylko do kostek, przeprowadzając rower przez bród. We wsi bez trudu znalazła chatę sołtysa, u którego miała zostawić rower.

Gdy zakomunikowała mu, że przez mokradła ma zamiar przedostać się do Kowalewa, sołtys wyraził zdumienie:

– Jak to? Pani chce tam przejść? Przecież to niebezpieczne. Zwłaszcza teraz pod wieczór, kiedy się już ciemno robi.

– Muszę – odpowiedziała. – Profesora Wilczura pokąsał wściekły pies. A w Kowalewie bawi obecnie doktor Pawlicki i tylko on ma na to lekarstwo. Chłop klasnął w ręce.

– Boże mój! Profesora Wilczura pokąsał pies! Profesora Wilczura, tego znachora?

– Tak, tak.

– Tego, co żyje u Prokopa Mielnika?

– Tego samego.

– A Boże ty mój! Takiego człowieka! To pani chyba będzie tą doktorką, co to z nim razem leczy?

– Tak jest.

– Ot, nieszczęście. Dużo tu teraz wściekłych psów. Ot, nieszczęście! Jakże ja panią puszcę w tę drogę. Toż pani się utopi, jak nic. Ja sam przechodziłem nieraz, ale jak byłem młody.

289

Wtedy przejścia znałem. Bo co roku inne. Sama pani rozumie, woda podmywa... Dziś bym się już nie odważył.

Zamyślił się, kręcąc swoją brodę, wreszcie krzyknął w głąb chaty:

– Anuśka! Biegaj zarazpo Suszkiewicza Antoniego. Tylko żywo! Żywo, bo ciemnieje.

Z sieni wybiegła kilkunastoletnia dziewczyna, sprawnie przelazła przez płot i znikła w krzakach bzów. Czekali dobre piętnaście minut, zanim wróciła tą drogą. Od strony ulicy nadszedł oczekiwany Antoni Suszkiewicz.

Był to kilkunastoletni wyrostek, o białej jak len czuprynie, dość chuderlawy i wyglądający na gapia.

Zdjął czapkę przed przybyłą panią, wymamrotał: „Niech będzie pochwalony” i uśmiechnął się do swoich bosych stóp. Pomimo dnia świątecznego miał na sobie tylko rozchełstaną, zgrzebną koszulę i parcianki.

Sołtys położył mu rękę na ramieniu.

– Słuchaj, Antoni. A przejście przez torfowiska znasz?

– Co nie mam znać.

– Do Kowalewa przejdiesz?

– A co nie mam przejść?

– A tę panią przeprowadzisz?

– A co nie mam przeprowadzić?

– A do nocy przejdziecie?

– A co nie mamy przejść?

Sołtys sapnął z zadowoleniem i zwracając się do Łucji powiedział:

– Ten Antoni to największy łazęga w całej wsi. Uczyć mu się nie chce, robić mu się nie chce, tylko wciąż po tych bagnach kaposzy się za kaczymi jajami, taki już on jest. Ale za to nikt lepiej od niego chodów na mokradłach nie zna. Niebezpieczna to wyprawa, ale już jak z kim ma pani iść, to tylko z nim. Tylko niech pani zaczeka. Zaraz coś przyniosę.

Poszedł pod stodołę i po chwili powrócił z długim, leszczynowym kijem.

– On to i bez kija da sobie rady – wyjaśnił. – Ale pani to lepiej, żeby wzięła. W razie jak pani będzie się zapadać, to kij trzeba na płask położyć, to tawsze człowiek dłużej się utrzyma na powierzchni.

Najserdeczniej wyraziła mu swoją wdzięczność i przypomniała, że jakby ktoś ze wsi zachorował, to żeby do lecznicy wstąpił, a otrzyma pomoc w miarę możliwości. Potem, poprzędzana przez Antoniego, wyszła na ulicę wioski. Przy końcu wsi droga spuszczała się ze wzgórza prawie stromo i w odległości kilkuset kroków zaczynało się bagno.

– Prędzej, prędzej – powtarzała wciąż Łucja chłopakowi, który widać nie nawykły do pośpiechu włókł się powoli.

Przed oczami roztaczała się istna tundra, pustkowie porośnięte kępami gęstej, ostrej trawy, miejscami pożółkłej. Tu i ówdzie zieleniły się na pokrętnych, białych pniach karłowate brzoźki, tu i ówdzie wąsata łoża strzelała pęczkami żółtych gałązek, gdzieniegdzie gęściło się od ciemnozielonej trzciny. Drugiego brzegu bagna widać nie było. Mógł się wydawać zarówno bliski, jak i niezmiernie daleki, gdyż przysłonięty był oparami, które podniosły się z moczarów.

Pierwsze kroki na torfowisku przeraziły Łucję. Grunt pod nogami uginał się jak sprężynowy materac, odbierając poczucie równowagi.

Chłopiec zatrzymał się.

– Niech pani idzie akuratnie za mną – powiedział flegmatycznie, dłubiąc w nosie. – Gdzie ja nogę postawię, tam i pani. Nie gdzie indziej, tylko akuratnie tam.

– Dobrze. Będę uważała.

– A jak stanę, to niech i pani stanie.

Kiwnęła głową i chłopak ruszył naprzód.

Jeżeli przedtem zdawało się Łucji, że posuwają się bardzo wolno, teraz z rozpaczą myślała, że idą żółwim krokiem. Istotnie przypominało to raczej żabie skakanie niż krok żółwi. Pod gęstą trawą, strzelającą obficie z kępy, przeziarała woda. Czasem, gdy noga niewprawna do takich marszów obsuwała się, stopa zanurzała się w ciepłej, gęstej i czarnorudej cieczy. Na pończosze pozostawały rdzawe plamy. Chwiejne, obrośnięte trawą kępy wydawały się Łucji jakimś lasem, zatopionym, gęstym lasem, z którego nad powierzchnią zostały tylko korony drzew. Po tych właśnie rozchwianych koronach trzeba było stąpać. Stąpać w pełni skoncentrowanej uwagi, gdyż każdy nieostrożny krok mógł grozić śmiercią. Łucja miała przedsmak tego, gdy oparłszy się

kijem w przestrzeń między dwiema kępami z przerażeniem stwierdziła, że kij nie spotyka prawie żadnego oporu i pomimo swojej dwumetrowej długości nie dosięga dna, dna, którego tu może w ogóle nie ma.

Po kilku minutach zaczął ją ogarniać strach. Obezwładniający, fizjologiczny strach zwierzęcia przed nieznanym otoczeniem. Na próżno wmawiała sobie, że przewodnik musi znać drogę i że przeprowadzi ją bezpiecznie. Lęk był silniejszy. Zagryzła usta do krwi, by powstrzymać okrzyki obawy, by nie prosić tego chłopca o zawrót do wsi.

– Muszę tam przejść – powtarzała z uporem. – Muszę go ratować.

Nisko zwisająca mgła ogarnęła ich chłodem. Teraz już nic nie było widać dokoła. Z trudem rozróżniała przed sobą ruchy sylwetki biało ubranego Antoniego i najbliższe kępy. Szli jak w mlecznym morzu. Nad głowami opary różowiły się lekko od zorzy na zachodzie. Z mgły wyłaniały się czasami karłowate, chore brzożki, które zdawały się tajemniczymi potworami o wstrętnych, kształtach, potworami czyhającymi tu na śmiałków. Pomimo chłodu pot gęsto wystąpił na skórę, a serce to ustawało ze zmęczenia, to przy lada paromilimetrym poślizgu nogi zrywało się do gwałtownego łopotu.

Chłopak siedł wolno i Lucja przysięgłaby, że krąży, że zbłądzili. Przystawał od czasu do czasu, oglądał się na nią, uśmiechał się głupawo, rozglądał się gapiowato i wybrawszy jedną z sąsiednich kęp stawiał na niej nogę.

Lucji zaczęło się zdawać, że wszystko to, co ją otacza, straciło realne kontury rzeczywistości, że jest jakimś snem, męczącym i złym, z którego niepodobna się obudzić. To znowu przychodziło jej na myśl, że Antoni jest obłąkany i że nagle zostawi ją tu samą, bezradną, uciekając gdzieś i tonąc w mgle.

Toteż ilekroć chłopak zniknął jej na chwilę sprzed oczu, krzyczała rozpaczliwie:

– Antoni, Antoni! Gdzie jesteś?

Ogarniała ją niewypowiedziana ulga, gdy w mgle rozległ się jego powolny, nosowy głos:

– Tu jestem. Tutaj.

I wracał z niezmaconą cierpliwością, by wskazać jej przejście.

Ten strach omal nie stał się przyczyną wypadku. Mianowicie gdy przewodnik w pewnej chwili znikł, Lucja chcąc go dopędzić, zbyt szybko i zbyt nieostrożnie skoczyła na małą kępę. Drżące kolana odmówiły jej posłuszeństwa i z głośnym pluskiem zsunęła się do wody.

Było to ohydne, straszliwe uczucie. Wszystkie wiadomości, jakie znała o chłonnych bagnach, przypomniały się jej w jednej chwili. Do połowy ciała zanurzona była w jakiejś rzadkiej mazi.

Piersią przywarła do kępy wpijając się palcami w trawę. Była tak nieprzytomna, że nie czuła nawet bólu. Ostre źdźbła trawy w wielu miejscach poprzecinały skórę rąk.

Na szczęście przy upadku kij oparł się o dwie sąsiadujące kępy i gdyby Lucja bardziej panowała nad swymi nerwami, zrozumiałaby, że bezpośrednie niebezpieczeństwo jej nie grozi.

Przeraźliwy jej krzyk zawrócił flegmatycznego wyrostka, który bez większych wysiłków pomógł Lucji wydobyć się z topieli. Trzęsła się cała i mówiła:

– Nie mogę teraz iść dalej. Muszę odpocząć. Muszę odpocząć. Chłopak jednak potrząsnął

głową.

291

– Tu nie można. Jak dłużej posiedzieć na kępie, to ona się zapadnie. Takie jej urządzenie jest. Jeszcze kawałeczek, a tam będzie takie miejsce, co ja znam, gdzie można, bo tam twardy grunt.

Z trudem podniosła się. Sukienka ociekała wodą, rdzawą i jakby tłustą. Lepiła się do nóg, utrudniając ruchy. Na szczęście miejsce, o którym mówił przewodnik, okazało się rzeczywiście niezbyt odległe. Była to kępa wielkości kilkumetrowej, pokryta tą samą trawą, lecz mocno zrudziałą od słońca. Łucja wyciągnęła się na niej z uczuciem niewypowiedzianej ulgi. Przede wszystkim mogła odpocząć, a po wtóre przekonała się, że ten chłopiec istotnie dobrze się orientuje w terenie i że nie błądzi. Przez krótki moment ogarnęła ją błoga świadomość: stąd mogę nawet nie iść dalej. Mogę tu nawet przenocować. A nazajutrz wrócić przy dziennym świetle.

Skarciła siebie w myśli za tę słabość ducha.

– Nie. Muszę jeszcze dziś. Muszę jak najprędzej być w Kowalewie... Nagle opanował ją niepokój.

– A co będzie, jeżeli Pawlickiego już tam nie zastanę?

Pod wpływem tej obawy pomimo znużenia zerwała się i powiedziała:

– Idziemy dalej. Szkoda czasu. Chłopiec nie ruszył się z miejsca.

– Niech lepiej odpocznie. Bo teraz to będzie trudniejsza droga.

– Jak to trudniejsza? – zapytała ledwo dosłyszalnym głosem. Wprost nie mieściło się jej w głowie, by jakakolwiek droga mogła być trudniejsza od dopiero co przebytej.

– Ano, bo tu już będą kępy rzadsze, to trzeba dalej skakać. I niech pani uważa, jak ja skaczę. Tylko że pani spódnica będzie przeszkadzać. Niech pani ją podwinie.

Nie było innej rady. Ostatecznie obecność tego szesnasto czy siedemnastoletniego wyrostka nie krępowała jej wcale. Podniosła dół sukni i zapchnęła za pasek, odsłaniając wysoko uda.

Tak było rzeczywiście wygodniej. Chłopak przyglądał się tej czynności z uśmiechem.

– Chodźmy – już bardziej rześkim tonem odezwała się Łucja. – Robi się coraz ciemniej.

Prędko miała sposobność przekonać się, że Antoni nie przesadzał, mówiąc o trudności dalszej drogi. Zapewne nie jest sztuką przeskoczyć z jednego krążka wielkości dużego półmiska na drugi, na odległość metra, nie wtedy jednak, gdy między owymi krążkami czernieje bezdenne bagno. Łucja największym wysiłkiem woli powstrzymała się od niedorzecznego i samobójczego pragnienia: zamknięcia oczu podczas każdego skoku. W duszy zaczęła się modlić. Już nie o nic innego, tylko o to, by stanąwszy na następnej kępie, mogła skoczyć na brzeg. Na twarde brzeg. Poczuć twarde gruntu pod nogami.

– Czy daleko jeszcze? – pytała raz po raz zdyszczonym głosem.

– Niedaleczko – z niezmaconym spokojem odpowiadał przewodnik. Łucję ogarnął gniew na tego człowieka w Radoliszkach, który jej powiedział, że trzeba odbyć przez bagno kilometr drogi. Ładny kilometr. Była

przekonana, że zrobili ich już co najmniej dziesięć.

Chłopak zatrzymał się nagle i podniósł palec do góry.

– Słyszysz pani?

Istotnie w ciszy zalegającej torfowisko do jej uszu dobiegł dość odległy dźwięk jakiejś muzyki. Po chwili rozróżniła rytm. Ktoś na harmonii wygrywał polkę.

– To już Kowalewo – wyjaśnił Antoni. – W Kowalewie dzisiaj wesele. Córka kowala za mąż poszła za rudego Mićkę, co w zeszłym roku na Łotwę za robotą chodził.

Kępy stawały się teraz coraz gęstsze. Czekala ich jednak jeszcze niemiała przeprawa przez wysokie trzciny. Na tym brzegu bagna rósł ich szeroki pas, twardych, ostrych, nieustępli-

wych. Między trzciniami trzeba było brnąć po kolana w wodzie. Nogi jednak z przyjemnością opierały się o trwałe, chociaż nierówny grunt dna, pokrytego korzeniami trzin. Ostre liście ocierały się o twarz, kalecząc skórę.

292

Wreszcie wyszli na brzeg. Była to łąka łagodnie wznosząca się ku dość wysokiemu wzgórzku, czarnemu od gęstych drzew. Nad głowami roztaczało się ciemnym seledynem niebo wyiskrzane gwiazdami. Łucja obejrzała się za siebie. Morze białej mgły, otulającej te straszliwe moczary. Wstrząsnęła się. Wprost nie mogła uwierzyć, że przed chwilą przebyła to piekło. Szli teraz obok, szeroką ścieżką, dobrze wydeptaną. Mocne, sportowe buciki Łucji rozmiękły zupełnie, chlupotała w nich woda. Wśród drzew na wzgórzu zamigotały światła. Dźwięki harmonii odezwały się głośniejszą jakąś skoczną melodią. W gęstniejącej ciemności można było rozróżnić dwa wielkie czworoboki długich budynków: zabudowania folwarczne. Tu, ha gorze, zrobiło się znacznie cieplej.

Chłopak zatrzymał się.

– Ot, proszę pani, i dwór – wskazał ręką rząd oświetlonych okien poza drzewami.

Łucja wydobyła z kieszeni wszystkie drobne monety, jakie posiadała. Było tego coś około dziesięciu złotych. Wcisnęła chłopcu to wszystko do ręki, mówiąc:

– To niedużo, ale gdy przyjdiesz do lecznicy w młynie, dam ci więcej. Bardzo ci dziękuję.

– I ja dziękuję pani.

– A co, pewno przenocujesz tutaj w czworakach?

– Nie, proszę pani. Pójdę do domu.

– Jak to? Znowu przez moczary?

– A pewno.

– Nigdy ci na to nie pozwolę. To byłoby szaleństwo. Taka gęsta mgła i prawie zupełnie

ciemno.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ja bym i z zamkniętymi oczami trafił. Albo u mnie pierwszozna? Każdą kępę tam znam.

A co ja tu będę nocował.

Na próżno Łucja perswadowała mu. Na próżno go namawiała i obiecywała zabrać końmi do Radoliszek. Antoni Suszkiewicz był upartym wyrostkiem i widocznie ambicja nie pozwalała mu wyrzec się wyprawy, którą ta pani uważała za ryzykowną. Może chciał jej zresztą zaimponować, dość że pożegnał się i już po minucie do uszu Łucji dobiegł plusk wody pod jego stopami w sitowiu.

Do dworu szło się przez niewielki park. Psy jeszcze widocznie nie były spuszczone, gdyż wprawdzie naszczekiwały groźnie od strony zabudowań folwarcznych, lecz żaden nie zabiegł drogi Łucji. Miała wielką ochotę usiąść tu na suchej murawie i odpocząć, lecz znowu opanował ją strach, że Pawlickiego może już nie zastać.

Teraz dopiero zaczęła odczuwać na twarzy, rękach, szyi, na nogach dokuczliwe swędzenie. Tysiące komarów pozostawiły w jej skórze mikroskopijne kropelki swego jadu, który teraz, drażniąc tkanki, spowodował pojawienie się niezliczonych ilości bąbli. Na mokradłach tylko początkowo opędzała się tym żarłocznym owadom. Później strach i zmęczenie uczyniły ją nieczułą na bolesne ukłucia.

Przed gankiem dworu stała para koni, zaprzężonych do bryczki. Na koźle drzemał parobek. Łucja odetchnęła z ulgą. Domyśliła się, że konie czekają na Pawlickiego. Zatem zastała go jeszcze tutaj.

Drzwi nie były zamknięte. Weszła do obszernej sieni i tu powitało ją zajadłe szczekanie małego, pokracznego pieska. Ono z kolei wywołało z dalszych pokoi jakąś starszą panią, która obrzuciła Łucję zdumionym wzrokiem.

– Jestem doktor Łucja Kańska. Proszę wybaczyć mój wygląd, ale przyszedłam tu z Muchówki przez moczary. Czy zastałam jeszcze pana doktora Pawlickiego?

Staruszka złożyła ręce.

– Boże drogi! Po nocy przez moczary?

– Miałam przewodnika – wyjaśniła Łucja. – Czy mogę widzieć doktora Pawlickiego?

293

– Ależ naturalnie. Niechże pani usiądzie. Obrzuciła zatroskanym wzrokiem zabłoconą suknię Łucji i czyściutkie, białe pokrowce na meblach.

– Czy ja wiem? Może by się pani przebrała w coś suchego? Odwróciła się i szybko podreptała do uchylonych drzwi.

– Wieku, Wieku – zawołała.

Do sieni wszedł wysoki, barczysty mężczyzna o czerwonej twarzy i jasnych, krótkich włosach.

– To jest doktor Kańska – wyjaśniła staruszka. – Wyobraź sobie, z Muchówki przez moczary tu przyszła. Teraz, o tej porze! Pani pozwoli przedstawić sobie mego syna...

Mężczyzna zbliżył się do Łucji, skłonił się i wyciągnął rękę.

– Jestem Jurkowski. No, winszuję pani tej przeprawy. Znam tutejszą okolicę od dziecka i, do stu diabłów, nie uważam się za tchórza, a jednak zwłaszcza po ciemku nie odważyłbym się na takie coś.

Łucja uśmiechnęła się.

– Nie jest to żadne bohaterstwo, proszę pana, ale konieczność. Chodzi o życie człowieka.

Musiałam się dostać czym prędzej do doktora Pawlickiego. A w Radoliszkach w żaden sposób nie mogłam znaleźć koni.

– Owszem. Jest tu doktor Pawlicki. Zaraz go poproszę. Ale, mam. Trzeba się zająć panią. Ależ panią pocięły komary. To paskudztwo nie ma żadnego szacunku dla płci pięknej.

Uśmiechnął się i sięgnął ręką do wąsów, lecz widocznie zmiarkowawszy, że Łucja w tym stanie nie jest usposobiona do przyjmowania duserów, zawołał:

– Wódki pani powinna wypić zaraz. Tęgi kieliszek wódki na jałowcu. Inaczej pani jakieś febry dostanie. Mam, trzeba pani jakieś ubranie znaleźć. Jadzia wprawdzie jest wyższego wzrostu, ale coś tam się dla pani musi znaleźć.

Staruszka zadreptała gwałtownie na miejscu.

– Ależ oczywiście, oczywiście.

– Najserdeczniej państwu dziękuję – odpowiedziała Łucja. – Najprzód jednak chciałabym się widzieć z doktorem Pawlickim.

– W tej chwili skoczę po niego – powiedział pan Jurkowski. – Siedzi przy łóżku mojej siostry Jadwigi. Biedaczka ma atak kamieni żółciowych. O widzi mama, jak to dobrze, że pani jest także lekarką. Zaraz panią poprosimy i zrobimy tu nam całe konsylium. Niechże mama da pani wódki. Zaraz idę po doktora.

Znikł za drzwiami, a tymczasem jego matka przyniosła pękatą karafkę i kieliszek. Łucja z prawdziwą przyjemnością wypila jego zawartość. Przyjemne uczucie ciepła rozeszło się w przelyku i żołądku. Takby chciała usiąść. Nogi zupełnie odmawiały jej posłuszeństwa.

– Jeszcze jeden kieliszek pani nie zawadzi – z przekonaniem namawiała staruszka. – Przekąski żadnej pani nie dam, bo wkrótce siadamy do kolacji. Tymczasem się pani ogarnie i umyje. Przez moczary! Boże drogi! A któż to panią przeprowadził?

– Taki wyrostek z Muchówki. Nazywa się Antoni Szuszkiewicz.

– A, ten włóczykij! I gdzież on jest?

– Poszedł z powrotem. Nie chciałam mu pozwolić, ale się uparł. Boję się, by nie spotkało

go jakieś nieszczęście. Staruszka machnęła ręką.

– Złego licha nie weźmie – orzekła konfidencjonalnie. Drzwi się otworzyły i wszedł doktor Pawlicki. Dotychczas znali się tylko z widzenia. Łucja wiedziała, jak bardzo nieżyczliwie Pawlicki usposobio

ny jest do profesora Wilczura, a tym samym do niej i do ich obecności w okolicy Radolisk. Nie stanowili wprawdzie dlań groźnej konkurencji, gdyż leczyli tylko biedotę, i to darmo lub prawie darmo, podczas gdy on miał pacjentów przeważnie w sferze ziemian, którzy nie korzystali z pomocy Wilczura z tej prostej przyczyny, że profesor przyjmował wyłącznie

294

w lecznicy i do dworów jeździć nie chciał. Dotychczas zdarzały się wszystkiego dwa wypadki, gdy zgodził się przyjąć pacjentów zamożnych. Chodziło jednak wtedy o poważne zabiegi chirurgiczne i pacjentów tych kierował doń, acz niechętnie, sam doktor Pawlicki, którego specjalnością nie była chirurgia. Między Pawlickim a Wilczurem były dawne, zabliźnione już, ale żywe w panięci Pawlickiego zatargi, zatargi, które skończyły się dlań niemal kompromitacją. Toteż Łucja nie spodziewała się życzliwego przyjęcia.

I rzeczywiście, Pawlicki wszedł sztywny, z nieprzystępną miną. Był to przystojny, z lekka tyjący mężczyzna około czterdziestki. Miał na sobie bardzo jasne i świetnie odprasowane ubranie. Skłonił się nieznacznie i zwrócił się do Łucji:

– Pani chciała się ze mną widzieć?

– Tak, panie doktorze. Jestem doktor Łucja Kańska. Współpracuję z profesorem Wilczurem.

Wyciągnął do niej sztywną rękę.

– Mam przyjemność znać panią z widzenia i ze słyszenia. Czym mogę pani służyć?

– Cała moja nadzieja w panu. W aptece radoliskiej nie ma szczepionki pasteurowskiej, a

boję się zwlekać z odwiezieniem do miasta.

– Kogóż to pogryzł wściekły pies? – zaciekawiał się.

– Profesora Wilczura.

Pawlicki nie mógł opanować wrażenia.

– Ach... Profesora Wilczura...

– Tak. I w aptece powiedziano mi, że pan doktor niedawno sprowadzał szczepionkę...

– O której nastąpiło pogryzienie?

– Przed pięciu mniej więcej godzinami. Pawlicki wydał wargi.

– No, jeżeli tak, to żadnego poważnego niebezpieczeństwa nie ma. Profesor Wilczur zdąży na czas dojechać do miasta.

– Bywają jednak wypadki – zauważyła Łucja – że nawet krótka zwłoka jest nie do naprawienia. I jeżeli pan doktor ma szczepionkę, byłabym nieskończenie wdzięczna.

Pawlicki przygryzł wargi i zmarszczył brwi. Wiedziała, że waha się, że walczy z sobą. Że nie może się zdobyć na decyzję.

Wreszcie powiedział:

– Nie przypominam sobie dokładnie. Zdaje się, że mi jeszcze została. W każdym razie nie mam jej tu z sobą, tylko w Radoliszkach.

– Byłam tam w pańskim domu. Małżonka pańska powiedziała, że bez pańskiej dyspozycji nie może nic wydać. Jeżeli by jednak pan doktor był łaskaw napisać kartkę...

Pawlicki przecząco potrząsnął głową.

– To nic nie pomoże. Wszystkie specyfiki mam zamknięte, a kluczy z zasady nikomu nie daję. Łucja załamała rękę.

– Więc cóż ja pocznę!

Pan Jurkowski chrząknął głośno.

– Na to nie ma rady. Doktorek musi jechać sam. Gościnność gościnnością, kolacja już na stole, ale sam rozumiem, że zatrzymywać nie mam prawa.

– Pewno, że nie. Wielka szkoda, ale cóż na to poradzić – przyznała jego matka.

Pawlicki wzruszył ramionami.

– Doktor Kańska, o ile mi się zdaje, trochę przesadnie niepokoi się. Godzina zwłoki, czy nawet więcej, nie może tu robić różnicy.

– No więc dobrze – zawyrokował pan Jurkowski. – Jemy kolację w mazurowym tempie, a później jazda!

Pani Jurkowska zaprowadziła Łucję do swego pokoju i tam po prostu zmusiła ją do przebrania się w suknię córki i do natarcia się jakimś domowym środkiem, rzekomo niezawodnym na ukąszenia komarów. Gdy obie przyszły do jadalni, Pawlicki, gospodarz i jeszcze jakiś

295

pan siedzieli już przy stole. Doktor ani razu nie zwrócił się do Łucji. W ogóle był małomówny i nadęty. Ponieważ gospodarz naglił, kolację skończono w niespełna pół godziny, a w pięć minut później sadowili się już na bryczce. Niespodzianką dla wszystkich było, gdy pan Jurkowski ukazał się na ganku w czapce i huknął na furmana:

– Złaż no, gamoniu, z kozła. Sam będę powoził. Wskazując na kozioł odwrócił się do Łucji i Pawlickiego.

– Wlókłby się z wami czort wie jak długo. A ja lubię kawalerską jazdę.

Zaśmiał się i strzelił z bata nad końskimi grzbietami. Bryczka targnęła, aż pasażerowie podali się w tył. Konie klusem ruszyły z miejsca.

Była to istotnie kawalerska jazda. Ponieważ środek drogi, a miejscami droga na całej szerokości była niewiarygodnie piaszczysta, tak że koła wrzynały się aż po osie, pan Jurkowski jechał brzegiem, czasem, gdzie rów był płytszy, rowem lub zjeżdżał po prostu na rzysko. Łu-

cja z całych sił trzymała się żelaznej poręczy, Pawlicki, podskakując na wybojach, kłął pod nosem. Konie wciąż szły kłusem. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie droga weszła pomiędzy dwa strome wzgórza i tu trzeba było się wlec noga za nogą. Nawet kawalerski temperament woźnicy nic nie mógł już pomóc. Takiej drogi było ze dwa kilometry. Pan Jurkowski wszczął z Łucją rozmowę, wypytyując ją o lecznicę, o to, co ją skłoniło do porzucenia Warszawy, czy nie zamierza tam wrócić i wreszcie, czy nie jest zamężna.

– Pani wybaczy, że tak obcesowo o wszystko pytam, ale ja tam nie mam żadnej ogłady. Jestem sobie prosty wieśniak, co w myśli, to w gębie. Proszę mi tego za złe nie brać.

– Ależ bynajmniej. Wcale tego panu za złe nie biorę.– Musiała uśmiechnąć się Łucja. Ten młody człowiek wydał się jej bardzo sympatyczny. Żywiła zresztą dlań szczerą wdzięczność za jego żywe i serdeczne ustosunkowanie się do jej sprawy.

Starła się też nawiązać rozmowę z Pawlickim. Drżała na myśl, że Pawlicki może, nawet posiadając szczepionkę, nie przemóc swojej niechęci do profesora i powiedzieć, że szczepionki nie ma. Należało pozyskać jego życzliwość. Nie było to łatwe zadanie, gdyż odpowiadał mrukliwie monosylabami. Siedział niechętny i nastroszony.

Wobec tego, że dyplomacja nie skutkowałą, Łucja postanowiła zaatakować go wprost, nie unikając drażliwego tematu.

– Wie pan – odezwała się w pewnej chwili – wydaje mi się to dziwne i niezrozumiałe. Pan, zdaje się, zachował żal do profesora Wilczura.

– Żadnego żalu – wzruszył ramionami.

– A jednak... Przyznam się, że nie rozumiem o co. Proszę mi wierzyć, że profesor Wilczur zawsze jak najlepiej się o panu wyraża. Pan nawet nie wie, jakiej to anielskiej dobroci jest człowiek.

– Nie znam go bliżej – mruknął.

– A dlaczego? Czy sądzi pan doktor, że to przyniosłoby panu jakąś ujmę?

– Ależ przeciwnie. Zaszczyt – ironicznie skłonił głowę. – Zaszczyt, na który nie zasługuję.

Łucja udała, że nie słyszy ironii w jego głosie.

– W lecznicy bardzo często niewamy pacjentów, którzy się kiedyś leczyli u pana. I prawie zawsze profesor poleca im stosować nadal te środki, które pan im zapisał. Profesor uważa pana za bardzo dobrego lekarza. Gdy budowano lecznicę, sam mi mówił, że ma nadzieję, że kiedyś i pan nią się zainteresuje.

– Uważam to za zbędne – odpowiedział Pawlicki. – Pan profesor i pani to chyba zupełnie wystarcza. Nikt mnie zresztą o to nie prosił, bym się interesował lecznicą. A sam nie chciałem się narzucać. Nie lubię, gdy mnie ktoś może nazwać intruzem.

– Myli się pan – zaprzeczyła żywo. – Nie mówiąc już o mnie, ale i profesor z wdzięcznością przyjąłby pańską współpracę.

– Pozwolę sobie w to wątpić – zauważył chłodno.

– Ależ dlaczego?

296

Odwrócił się do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

– Chce pani, żebym był szczery?

– Bardzo proszę.

– Otóż rzeczywiście mam żal do profesora i żal do pani. Mam żal do was obojga. Przyjechaliście tu państwo, tutaj, gdzie jedynym lekarzem jestem ja. Oczywiście nie chcę się równać z profesorem. On jest wielkim uczonym, ja skromnym lekarzem wiejskim. Nawet nie chcę się równać z panią, która praktykując w stołecznych zakładach leczniczych miała na pewno możliwość poznania najnowszych metod i środków lekarskich. Ale czułem się głęboko dotknięty tym, żeście państwo

okazali dla mnie lekceważenie. Mogliście mnie lekceważyć, ale zdobyć się na tyle uprzejmości, by tego nie okazać!

– Na miłość boską! To chyba jakieś nieporozumienie! W jakiż sposób okazywaliśmy panu lekceważenie, którego wcale nie żywimy?

– W bardzo prosty sposób. Nie mówię o tym, by państwo mieli mi złożyć wizytę, ale wystarczyłoby mi, gdyby profesor napisał do mnie kartkę z życzeniem, bym go odwiedził. Nie. To było demonstracyjne unikanie wszelkiego kontaktu ze mną. Och, proszę pani. Mam na to świadków, jak na to czekałem. Właśnie nie z kim innym, jak z panem Jurkowskim, mówiłem o tym nieraz. Może zaświadczyć.

– Rzetelna prawda – przyznał pan Jurkowski.

– Czekałem. Byłem cierpliwy – ciągnął Pawlicki. – Sądziłem, że póki profesor mieszka w młynie, uważa swój pobyt w okolicy niejako za nieoficjalny. Gdy rozeszła się wieść o budowie lecznicy, powiedziałem żonie: No, teraz na pewno zaproszą mnie do współpracy... Też przy panu mówiłem, panie Wincenty.

– Przy mnie, przy mnie.

– No i czekałem, czekałem całe tygodnie. Wreszcie słyszę, lecznica jest ukończona. Ma się odbyć poświęcenie. I wtedy nagle otrzymuję zaproszenie. Ucieszyłem się szczerze, ale patrzę na datę i widzę, że poświęcenie wyznaczono, że pan profesor raczył wyznaczyć akurat na ten dzień, kiedy mam zjazd w mieście.

Łucja wzięła go za rękę.

– Daję panu słowo, że profesor o tym wcale nie wiedział...

– Chcę wierzyć pani – powiedział z goryczą.

– Musi mi pan wierzyć.

– Jednakże w całej okolicy wiadano, że wyjeżdżam, i wiadomość o tym dotrzeć powinna

do państwa. A musiała dlatego, że przed wyjazdem zawiadomiłem wszystkich swoich pacjentów, że nie będzie mnie w Radoliszkach przez tydzień i że w ciągu tego czasu mają się zwracać o pomoc lekarską do pana profesora Wilczura lub do pani. Zęby zaś nie być gołosłownym i żeby udowodnić pani to, że państwo to wiedzieć musieli jeszcze na długo przed ustaleniem terminu poświęcenia, pozwolę sobie przytoczyć pani aż sześć wypadków, gdy moi pacjenci podczas mojej nieobecności w Radoliszkach zwracali się do państwa po poradę. A więc: Jamiołkowski, gorzelany z Wickunów, żona...

– Rzeczywiście tak było – przerwała Łucja. – Sądziliśmy jednak, że to pan umyślnie wyjechał, chcąc w ten sposób zademonstrować swoją niechęć do nas.

Pan Jurkowski odwrócił się na koźle i zaśmiał się głośno.

– A to historia! No, zawsze mówiłem, że wszystkie te kwasy, sztuczki i inne fintifluszki opierają się na nieporozumieniu.

Klepnął mocno Pawlickiego po ramieniu, aż ten się przechylił ku Łucji.

– A nie gadałem to doktorowi mała sto razy: Napluć na wszystko, pojechać do profesora i powiedzieć: Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Zgoda między nami i koniec. Tak ja robię i, do wszystkich diabłów, nigdy na tym źle nie wyszedłem. No, a teraz trzymajcie się mocno, bo nareszcie możemy znowu porządnie jechać.

297

Rzeczywiście skończyły się piachy i konie ruszyły kłusem po wyboistej, lecz twardej drodze. Minęli zakręt i ujrzeni światełka Radoliszek.

W domu Pawlickiego jeszcze nikt nie spał. Doktor zamienił jednak z żoną tylko kilka słów, zabrał z szafki do swego neseseru podręcznego potrzebne rzeczy i wrócił do bryczki.

Ponieważ do młyna jechało się doskonałym, bitym traktem, po paru minutach już byli na miejscu. Łucja zaczęła dziękować panu Jurkowskiemu, ten jednak zaśmiał się.

– Ani myślę się żegnać. Tak łatwo się pani mnie nie pozbędzie. Po pierwsze, muszę jeszcze po tych waszych zabiegach odwiedzić doktora do miasteczka, a po wtóre, chcę skorzystać z okazji i zrewizytować panią i jednocześnie poznać profesora.

– Z miłą chęcią. Proszę uprzejmie.

Wbrew przewidywaniu Łucji, Wilczur wiedział już, że pies, który go ukąsił, jest wściekły.

Policjantom udało się zabić nieszczęśliwe zwierzę nad samym prawie stawem, dokąd zawróciło spod cmentarza. Profesor sam je obejrzał i nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest to wścieklizna. Domyślił się też, że Łucja dlatego nie wraca, że udała się na poszukiwanie pasteurowskiej szczepionki.

Pawlickiego przywitał serdecznie, a dowiedziawszy się, że lekarz tylko trafem miał w domu szczepionkę, najgoręcej mu dziękował za to, że chciał się osobiście doń fatygować.

Po przeprowadzeniu zabiegu, czym się zajął Pawlicki wspólnie z Łucją, trzeba było zmienić opatrunek. Rana od ukąszenia bynajmniej nie była lekka. Lewa ręka nabrzmiała aż do łokcia, dłoń była spuchnięta bardzo, a dwa palce bezwładne. Nie ulegało wątpliwości, że został uszkodzony nerw i kilka naczyń krwionośnych.

– Tak czy owak – orzekł Pawlicki – musi pan profesor jechać do miasta. Sam pan widzi, że poza kuracją pasteurowską może tu zajść konieczność dokonania zabiegu chirurgicznego.

Koleżanka Kańska jest internistką, a co do moich zdolności chirurgicznych – uśmiechnął się z przymusem – pan profesor ma już wyrobioną opinię.

– Niechże kolega nie ma o to do mnie żalu. Każdy z nas ma jakąś specjalność. A oglądając pańskie recepty muszę panu powiedzieć, że byłem zawsze pełen uznania, dla pańskiego umiaru w dozowaniu radykalniejszych środków. Pan też jest doskonałym internistą.

Pawlicki zaczerwienił się z lekka.

– Zaszczyt to dla mnie niebываły słyszeć wyrazy uznania z pańskich ust, panie profesorze.

Wilczur zaśmiał się.

– Dajże pan spokój, kochany kolego, z zaszczytami. A co do uznania, to dam panu najlepszy jego dowód, że zastosuję się do pańskiego wskazania i rzeczywiście pojedę zaraz jutro do miasta.

Łucja poszła, by zakrzętnąć się przy przyrządzeniu herbaty. Samowar był jeszcze ciepły.

Trzeba było dosypać tylko węgla i przy pomocy małego mieszka rozżarzyć je. W trakcie tej czynności odczuła lekki zawrót głowy. Zdziwiona tym objawem, zbadała sobie puls. Naliczyła dziewięćdziesiąt sześć uderzeń.

– Mam gorączkę – pomyślała.

Nie miała jednak czasu zmierzyć temperatury.

Wkrótce po wypiciu herbaty Pawlicki i Jurkowski zaczęli się żegnać.

– Jeżeli pan profesor pozwoli, to podczas pańskiej nieobecności będę tu zaglądał, by pomagać koleżance Pańskiej.

– Będę panu za to bardzo wdzięczny. Nie tylko podczas mojej nieobecności, ale zawsze będzie pan tu jak najmilej widziany.

– Może w ten sposób – śmiał się Pawlicki – jakoś się zrehabilituję. Mam opinię chciwca i dusigrosza. Chcę pokazać, że jest ona niesłuszna. Niech pan mi wierzy, panie profesorze, że i tak zawsze mam sporo bezpłatnych pacjentów. Przecież trudno inaczej w okolicy, gdzie tyle jest biedoty.

Gdy wreszcie odjechali, a Wilczur też udał się na spoczynek, Łucja zmierzyła temperaturę.

Miała trzydzieści osiem z kreskami. Przeprawa przez mokradła nie mogła pozostać bez śladu.

298

Nie przejęła się jednak tym zbyt. Przed snem zażyła sporą dozę aspiryny i zasnęła natychmiast twardym, kamiennym snem.

Nazajutrz z rana obudziła się z gorączką. Pomimo to wstała. Nie tylko czekali zwykli pacjenci,

lecz trzeba było się zająć najważniejszym: wyekspediowaniem Wilczura na stację kolejową.

O siódmej rano tłusty wałach Wańka był już zaprzężony do bryczuszki. Powozić miała

Zonia, gdyż żaden z mężczyzn nie mógł się oderwać od pracy w młynie. Łucja zapakowała walizkę Wilczura, który z obandażowaną ręką przyjmował jednak chorych. Około ósmej, po śniadaniu, wsiadł na bryczkę.

– Tak mi strasznie przykro, że puszczam pana samego – mówiła doń Łucja – ale przecież nie mogę zostawić tych wszystkich chorych bez opieki. Wilczur przyjrzał się jej uważnie.

– Czy pani nie ma gorączki? Zaprzeczyła stanowczo.

– Ależ nie. Jestem zemocjonowana tym wszystkim.

– Niechże pani mi się tu przynajmniej nie rozchoruje – mówił, całując ją w rękę.

– Będę tęskniła – powiedziała szeptem, tak by Zonia tego nie słyszała. – I błagam, niechże pan do mnie pisze.

– Dobrze, dobrze.

– Jeżeli nie otrzymam co dzień listu, to nie wytrwam tu na stanowisku

i przyjadę do miasta. Sądzę, że ta groźba jest dostatecznie wymowna, by skłonić pana do pisania.

Zonia, która siedząc obok Wilczura kręciła się niecierpliwie, przerwała tę rozmowę:

– No, jak mamy zatrzymać się jeszcze u doktora Pawlickiego w Radoliszkach, to już czas w drogę.

– Do widzenia – zawołał Wilczur.

Bryczka musiała się jeszcze zatrzymać przed młynem, gdyż cała rodzina Prókopa Mielnika z nim samym na czele wyszła, by pożegnać profesora.

– Z Bogiem i proszę wracać zdrowym.

Wilczur istotnie chciał wstąpić do Pawlickiego przede wszystkim po to, by mu podzięko-

wać za wczorajszą uprzejmość i złożyć niejako rewizytę, a po wtóre po to, by prosić go o dotrzymanie obietnicy i zaglądnąć do Łucji, która zapracuje się nie mając żadnej pomocy.

Pawlickiego wraz z jego żoną zastał przy śniadaniu. Tutaj dopiero w trakcie rozmowy dowiedział się o drodze przez bagna, którą musiała odbyć Łucja do Kowalewa.

– Wiem od tamtejszych mieszkańców, że przez te torfowiska przejście jest prawie niepodobieństwem – mówił Pawlicki. – A zresztą dzisiaj mam tego dowód. Bardzo smutny dowód.

Zrobił pauzę i powiedział:

– Pannę Kańską przeprowadzał młody chłopak z Muchówki, niejaki Suszkiewicz, uchodzący za najlepszego znawcę terenu. Przeprowadził ją szczęśliwie. Później sam wracał do domu tą samą drogą. Wracał – lecz dotychczas nie wrócił. Już nigdy nie wróci.

Rozdział XIV

Łucja nie dowiedziała się o śmierci Antoniego Suszkiewicza ani tego dnia, ani następnego.

Podczas opatrunku w pokoju ambulatoryjnym dostała ponownego zawrotu głowy, lecz już znacznie silniejszego. Ledwo zdążyła pokryć pacjentowi ranę gazą i wydać Donce polecenie obandażowania. Półprzytomna, opierając się o ściany, doszła do swego pokoju. Przerazona Donka pobiegła po Jemioła, który zmierzwszy nieprzytomnej temperaturę sam się przestraszył. Rtęć w rurce przekraczała czterdzieści stopni. Zabrał się do ratowania, jak umiał.

Przede wszystkim napoił Łucję odwarem z tych ziół, które profesor dawał chorym na obniżenie temperatury, potem kazał Donce rozebrać Łucję i ułożyć ją w łóżku. Dalej jego wia-

299

domości lekarskie nie sięgały, wobec czego usiadł przy łóżku i komentował się odpędzaniem much.

Na szczęście wczesnym popołudniem przyjechał doktor Pawlicki. Jemioł wyszedł na jego spotkanie:

– Spadło tu na nas, czcigodny eskulapie, siedem plag egipskich. Mego

starego przyjaciela pogryzł pies, w apteczce wyczerpał się spirytus, no i panna Łucja leży w gorączce nieprzytomna. Zaaplikowałem jej dekokt z jakichś ziół na obniżenie temperatury, ale wciąż ma czterdzieści. Niechże pan zobaczy, co z nią jest. Mam nadzieję, że to nic poważnego, pomimo wysokiej temperatury.

Doktor Pawlicki zbadał chorą i doszedł do przekonania, że gorączka powstała na tle zaziębnienia i wyczerpania nerwowego.

– Panna Kańska ma zdrowe serce – wyjaśnił Jemiołowi – wobec czego nie przewiduję żadnych poważniejszych komplikacji. Po paru dniach wróci do zdrowia. Zresztą będę tu codziennie zaglądał.

Istotnie dotrzymał przyrzeczenia. Co dzień, po swoich normalnych przyjęciach w Radoliszkach przyjeżdżał do lecznicy, gdzie nie tylko interesował się stanem zdrowia Łucji, lecz zajmował się również tutejszymi pacjentami.

Po pięciu dniach Łucja odzyskała przytomność. Chciała wstać, lecz była tak osłabiona, że nie mogła się nawet ubrać. Udało się jej to dopiero nazajutrz. Była to niedziela i przyjechał ją odwiedzić pan Jurkowski.

Wiedział już od Pawlickiego o chorobie Łucji i przyjechał z ogromnym naręczem kwiatów.

– O, pewno pan miał dużo kłopotów z tymi kwiatami – dziękowała Łucja. – To bardzo miłe z pańskiej strony.

– Co tam miłe. Przecież, do licha, choroba pani to po części moja wina. A jeżeli nie moja, to moich dziadów i pradziadów, że się w Kowalewie osadzili. Bo pani pewno nie wie, że to paskudne błociszcze należy do Kowalewa. Głowiłem się już nieraz nad tym, jak te bagna osuszyć. Sprowadzałem nawet różnych inżynierków. Chodzili, kręcili głowami, mierzyli, a z tego

wszystkiego figa z makiem.

Zaśmiał się głośno, klepnął się z rozmachem po kolanach i dodał:

– Po pięćset złotych wzięli i pojechali do diabła. A błoto jak było, tak i jest.

Mówił bardzo głośno, śmiał się szeroko. Cały dom nappełnił się dudnieniem jego barytonu.

Gdy poruszał się po pokoju, zdawało się, że przewraca wszystkie sprzęty. Pełno od niego było i głośno w lecznicy.

Ponieważ przyjechał wprost z sumy w Radoliszkach i była właśnie pora obiadowa, Jemioł zakrzętnął się, by przy jedzeniu nie zabrakło wódki. I nie zabrakło jej rzeczywiście. Pan Jurkowski okazał się dobrym kompanem. Obiad już był dawno zjedzony, a obaj przepijali do siebie nieustannie. Łucja, czując się zmęczona, pożegnała ich, by położyć się do łóżka. Gdy tylko wyszła, pan Jurkowski pochylił się ku Jemiołowi i powiedział szeptem, który doskonale słychać było w promieniu dwudziestu metrów dookoła domu:

– Ależ panie! Co to za nadzwyczajna kobieta! Na kamieniu takie powinny się rodzić.

Jemioł poważnie skinął głową.

– Nie mam nic przeciw tego rodzaju porodom, zacny agrariuszu. Chociaż mniemam, że one wolałyby rodzić się na czymś pulchniej szym. Pan Jurkowski zmarszczył brwi z zainteresowaniem:

– Na pulchniej szym?

– Si, signore. No, nasze kawalerskie. Wypili i pan Jurkowski zapytał rzeczowo:

– Pan jest kawalerem?

– Tak. Ale nie maltańskim.

300

– A wie pan co, że mnie już obrzydło kawalerstwo. Człowiek dojeżdża do czterdziestki, czas już. Najwyższy czas. – I dlaczego pan się dotychczas nie ożenił?

– Właśnie czas. Czasu nie miałem. Śmiech powiedzieć, ale szczerą prawdą. Bo to tak, panie kochany: najpierw wojna. Człowiekowi wówczas takie rzeczy nie w głowie. A potem wracam do mego Kowalewa, a tu jak wymiół. Wszystko spalone do fundamentów. Fundamenty chłopci rozkradli. Jak się to mówi, nie było o co rąk zaczepić. Więc jakże żenić się? Trudno wziąć żonę, posadzić ją, panie kochany, pod gruszą i powiedzieć: siadaj no, umiłowana, tutaj i poczekaj, aż ja chałupę zbuduję i kawałek chleba dla ciebie z ziemi wyorzę. Gdy zaś już zabrałem się do odbudowy gospodarstwa, no to od świtu do nocy człowiek na nogach. Dopiero wszystko jako tako uładziłem, a tu kryzys. Myślę sobie: jakie licho? Ludzie przecież jeść nie przestaną. Ziemia swoje dać musi. Ale przez kilka lat nie dawała. Metr żyta czy funt kłaków – jedna cena. Sam pan wiesz.

Jemioł przytaknął.

– Wiem, wiem. Bo wprawdzie żyta nie siałem, ale za to miałem plantację kłaków.

– Jak to? – zdziwił się pan Jurkowski.

– Całkiem zwyczajnie. Kłaków na czaszce. Jak pan widzi, Cyncynacie, plantacja funkcjonuje nieszczególnie. Zbyt słaba krescencja.

– Cha, cha, cha! – zmiarkował pan Jurkowski. – Że niby pan łysieje? Cha, cha, cha! Ale komik z pana zawołany! Więc co to ja mówiłem? Aha. Do żeniaczki nie przychodziło. Bo i prawdę panu powiedzieć, tutejsza okolica nieurodzajna na panny. A co były, to już powychodziły za mąż. Człowiek przyjdzie do tego sąsiada, do innego – każdy żonaty. U każdego po domu kobieta chodzi, dzieciaki...

– Na kamieniu urodzone – odpowiedział Jemioł.

– Na kamieniu urodzone – powtórzył z rozpędu pan Jurkowski i połapawszy się w niewin-

nym podstępnie towarzysza znowu wybuchnął śmiechem. – Ale z pana to wyszczekany warszawiak. Niech pana nie znam, kochany panie!... A pan nigdy nie był żonaty?

– Nigdy – potrząsnął głową Jemioł.

– I nigdy pana nie ciągnęło do żeniaczki?

– Owszem. Raz ciągnęło mnie dwóch facetów, żebym się ożenił z ich siostrą.

Pan Jurkowski porozumiewawczo przymrużył lewe oko.

– Tak się pan zagalopował?

– Jeżeli to można nazwać galopem, carissime.

Tak sobie gawędzili niemal do zmroku, kiedy gość zaczął się zbierać do odjazdu. Ponieważ niezdecydowanie chrząknął, zwlekał i rozglądał się, Jemioł podpowiedział:

– A może chciał się pan pożegnać z panną Łucją?

– O, właśnie, właśnie. Jeżeli dość dobrze się czuje i jeszcze nie śpi. Łucja nie spała, lecz pożegnała się z panem Jurkowskim przez drzwi, a po jego odjeździe powiedziała Jemiołowi:

– Jaki to miły człowiek. Tyle w nim bezpośredniości i tej ujmującej prostoty, którą daje szczere i dobre serce.

– Prawda – podstępnie przyznał Jemioł. – A przy tym uroda. Bary Herkulesa, bicepsy Tytana, kark żubra, fantazja Kmicica! Hej, hej! Biedny mój przyjacielu, biedny mój przyjacielu!

Łucja zdziwiła się.

– O kim pan mówi?

– O moim przyjacielu. O Wilczurze. Nieszczęsny leczy się tam w mieście i ani się domyśla, że Penelopa tu zapomniała o pruciu swojej tkaniny po nocach, że przeciwnie, nocami marzy, ale nie o nim, nieszczęsnym Odyseuszu!...

Łucja z lekka zaczerwieniła się i zaśmiała.

– Co też pan za głupstwa opowiada.

– O biada ci, biada, Orestesie – jękliwym głosem zawodził Jemioł. – Zaprawdę powiadam ci, bezpieczniejszy byłeś wówczas, gdy cała kupa zalotników dybała na serce twej Penelopy, niż teraz, gdy jest tylko jeden! Jeden, ale jaki! Postura Zawiszy Czarnego, wąsik, psiakrew, Leszka Białego, no i w ogóle. Jedzie teraz sobie do swego Kowalewa, rumaki batogiem podcina, pogwizdując z zadowolenia, a w trop za nim biegną myśli i westchnienia pewnej uroczej Dulcinei z Toboso. Pędź, rycerzu, z wichrami w zawody! Są to zawody, w których zawód cię nie spotka.

Rozbawiona Łucja śmiała się bez przymusu.

– Słaby z pana prorok.

– Słaby?... Chce pani powiedzieć nemo profeta w swojej lecznicy. Oby moje przepowiednie były błędne!

– Zapewniam pana, że nie mogą się sprawdzić – powiedziała z naciskiem.

– A mnie się zdawało, że ten agricola podbił pani serce od pierwszego wejrzenia.

– Rzeczywiście podbił moje serce, lecz nie w tym znaczeniu, jak pan myśli.

– A wie pani, że on najwyraźniej w świecie sunie do pani w koperczaki? To są konkury według wszelkich reguł wiejskich tradycji. Łucja machnęła ręką.

– Jestem mocniej przekonana, że i tu się pan myli.

– Ręczę za to całym swoim majątkiem – upierał się Jemioł. – I kto wie, czy nie dopnie swego? Kto wie? Cierpliwością i pracą... Zobaczy pani że będzie nas odwiedzał coraz częściej!

Jemioł nie mylił się. Rzeczywiście nie było niemal dnia bez wizyty pana Jurkowskiego.

Przyjeżdżał pod różnymi pozorami. Raz dlatego, że było mu po drodze do któregoś ze znajo-

mych domów, raz z tej racji, że w miasteczku miał interesy, to znów, by przywieźć jakieś prowianty ofiarowane przez jego matkę lecznicy. Preteksty te nie były ani szczególnie przebiegłe, ani wyszukane. Uniemożliwiały jednak Łucji wszczęcie z nim otwartej rozmowy. Nawet wówczas, gdy zabrakło panu Jurkowskiemu konceptu sztucznych pozorów, mówił otwarcie:

– Niewiele mam teraz w gospodarstwie do roboty, a człowiek przez cały rok napracuje się tyle, że zasłużył przecież na jakieś wytchnienie. Gdy pojedę do sąsiadów, rozmowa, jak państwo wiecie, nie jest zanadto urozmaicona. Gawędzi się o sprawach życia codziennego, a to o życie, a to o krowach, a to o służbie. Darujcie mi tedy, że was najeżdżam, ale miło mi spędzić tu godzinkę czasu.

Godzinka wprawdzie przeciągała się zazwyczaj do kilku godzin, ale znów niepodobna było powiedzieć mu, że chociaż jego wizyty są i dla Łucji przyjemne, niemniej nie mogą doprowadzić do tego, czego się on spodziewa. Pan Jurkowski w swoich z nią rozmowach nigdy najmniejszym słowem nie zahaczał o te sprawy. Pomi. mo temperamentu i otwartości nie należał widać do ludzi agresywnych i wolał wprzód wybadać grunt, niż narażać się na przykrą odmowę.

Tak siały sprawy, gdy pewnego dnia przed wieczorem bez żadnej zapowiedzi powrócił profesor Wilczur. Siedzieli właśnie przy herbacie, gdy usłyszeli zajeżdżającą furmankę. Zanim Jemioł zdążył wyjść na ganek, do sieni wszedł Wilczur. Łucja i pan Jurkowski powitali go radosnymi okrzykami. Przy świetle lampy wyglądał zdrowo i normalnie.

Może zeszczuplał nieco i przybladł, ale to przypisać należało zejściu wiejskiej opalenizny. Dopiero gdy usiadł przy stole. Łucja zauważyła: – lewa ręka profesora drżała, drgała nieustannie, a drganie to zwiększało się, ilekroć próbował utrzymać w niej widelec lub łyżeczkę.

Łucji łzy napłynęły do oczu. By je ukryć, wstała i wyszła do swego pokoju. Tu nie potrzebowała hamować płaczu. Niewątpliwie zarówno Jemioł, jak i pan Jurkowski również zauważyli to drżenie ręki, lecz tylko ona rozumiała cały tragizm sytuacji: Wilczur jako chirurg już

302

nie istniał. Te najprecyzyjniejsze ręce, którym setki i tysiące pacjentów powierzały swoje życie, stały się aparatem zepsutym, aparatem nie do użytku. Żadnej poważniejszej operacji Wilczur odtąd już nie będzie mógł samodzielnie przeprowadzić. Wprawdzie wiele z nich nie wymaga koniecznie użycia obu rąk i przy asyście innego lekarza mogą być zrobione, jednak utrata części władzy nad swoimi rękami musiała być dla Wilczura straszliwym ciosem.

Łucja długo nie mogła się opanować. Była przecież lekarzem i rozumiała, że owo drżenie ręki nie może być objawem przemijającym. Podobne rzeczy w wyjątkowych wypadkach dają się usunąć przy pomocy naświetlań i elektryzacji, czyli zabiegów, których tutaj nie mogli stosować, nie posiadając potrzebnych aparatów. Lekarze na pewno nie puściliby Wilczura, gdyby rzecz uważali za uleczalną. On sam bez wątpienia zostałby tam na najdłuższej bodaj kuracji, byle nie utracić swoich możliwości chirurga. Stan zatem był beznadziejny. Należało się domyślać, że zęby wściekłego psa uszkodziły jeden z ważnych nerwów i że nic się już nie da naprawić.

Gdy wróciła do towarzystwa, pan Jurkowski zaczął się żegnać. Wkrótce i Jemioł poszedł spać. Zostali sami. Wilczur uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

– Widzi pani?...

I wyciągnął ku niej rozdygotaną rękę. W porywie czułości i współczucia chwyciła jego dłoń i zaczęła ją okrywać pocałunkami, Widocznie sam był zbyt wstrząśnięty, by się przed nimi bronić.

– I niech pani sobie wyobrazi, panno Łucjo – mówił cichym głosem – niech pani sobie

wyobrazy, że nie udało się stwierdzić uszkodzenia jakiegoś nerwu. Nie jest również nadwerżony żaden mięsień... Próbowaliśmy tam wszystkiego. Byli bardzo dobrzy specjaliści. Orzekli, a i ja skłaniam się do ich poglądu, że na to nie ma już rady. Zaobserwowałem, że to w dość znacznym stopniu uzależnia się od stanu psychicznego. Im bardziej jestem podniecony lub zniecierpliwiony, tym bardziej wzrasta natężenie drgań. A na przykład w nocy, podczas snu, ustaje zupełnie.

Łucja w obu rękach zaciskała jego dłoń, jakby pragnąc serdecznym uściskiem stłumić jej drżenie.

– To nic. To nic, proszę pana. Niech pan się nie smuci. Niech pan pamięta, że zawsze będę przy panu. Przecież i dotychczas nie wszystkie operacje pan sam przeprowadzał. W tak wielu wypadkach wystarczała tylko pańska diagnoza i pańskie instrukcje.

Wilczur pogładził ją po włosach.

– Wiem, wiem, droga panno Łucjo. Bywają przecież gorsze kalectwa niż to. Ostatecznie, ktoś bardziej ode mnie może być przyzwyczajony do kalectw... Będziemy sobie jakoś radzić.

Nazajutrz z rana przyjechał doktor Pawlicki, którego doszła wiadomość o powrocie

Wilczura. Był również bardzo wstrząśnięty stanem ręki profesora i, niby przypadkiem, powiedział:

– Nie miałem wprawdzie szczęścia korzystania z wykładów i z kliniki pana profesora, ale teraz w swojej bezczelności chcę się posunąć aż tak daleko, by wykorzystać pańską obecność tutaj dla uzupełnienia swoich skąpych wiadomości z dziedziny chirurgii. Znając pańską dobroć sądzę, że nie odmówi mi pan wskazówek i możliwości praktykowania pod pańskim okiem.

Wilczur spojrzał nań poważnie.

– Nie, panie kolego. Nawet wdzięczny panu będę za to. Najczęściej poważniejsze zabiegi chirurgiczne przeprowadzamy tu rano. Niechże pan zagłąda o tej porze do nas;

– Postaram się nie ominąć żadnej okazji – skinął głową Pawlicki.

Istotnie, niemal codziennie zaczął przyjeżdżać do lecznicy i pod kierunkiem Wilczura lub przy jego współudziale przeprowadzał operacje. A ponieważ rzeczywiście nie miał w okolicy zbyt wielkiej praktyki, mógł sobie pozwolić na bezpłatną pracę. Zwłaszcza że będąc dzięki małżeństwu dobrze sytuowany materialnie, nie potrzebował uganiać się za dochodami.

303

Oprócz niego częstym gościem lecznicy po dawnemu był pan Jurkowski. Wilczur nie mógł nie zauważyć, kto jest głównym celem jego przyjazdów. I chociaż widział również, że Łucja odnosi się do młodego ziemianina li tylko ze zwykłą sympatią, spytał ją kiedyś:

– Jakże się pani podoba pan Jurkowski? Spojrzała nań zdumiona.

– Czyżby to pytanie mogło mieć jakieś znaczenie? Wilczur z lekka się zmieszał.

– No, nie, proszę pani. Zdawało mi się, że przyjeżdża tu głównie dla pani. Wzruszyła ramionami.

– Być może. Jeżeli pan jest z tego niezadowolony, nic łatwiejszego, jak mu dać do zrozumienia, że bywa zbyt często.

– Ależ cóż znowu! – oburzył się profesor. – To jest bardzo przyjemny człowiek. A poza tym, po cóż pani ma się nudzić? W pani wieku i tak to duże poświęcenie przebywanie na tym pustkowiu z dala od wszelkich rozrywek i zabaw. Przecież jakieś towarzystwo pani musi mieć.

Spojrzała nań z serdecznym uśmiechem.

– Pan wie najlepiej, że nie tęsknię za rozrywkami i że towarzystwo pana najzupełniej mi wystarcza.

Nie mówiła tego zupełnie szczerze, choć może sama o tym nie wiedziała. W gruncie rzeczy bywały chwile, gdy się po trochu nudziła. Jeżeli wtedy nie przyjeżdżał pan Pawlicki ani

Jurkowski, zabierała się do pisania listów i listy te były dłuższe niż zwykle. Miała zresztą i powody do obszerniejszych korespondencji. Kolski pisywał niemal codziennie, a ton jego listów stawał się coraz smutniejszy. Nietrudno było się domyślić, że popadł w rodzaj melancholii, i Łucja uważała za swój obowiązek pocieszać go i zachęcać do życia.

Pomimo sympatii, jaką żywiła dla pana Jurkowskiego, na skutek rozmowy z Wilczurem postanowiła rozmówić się z młodym ziemianinem i wyraźnie dać mu do zrozumienia, że jego wizyty w lecznicy nie mogą mieć tych następstw, których się spodziewa. Przypadek jednak zrządził, że pewnego popołudnia Jurkowski przyjechał wraz ze swoją siostrą. Była to niemłoda już panna, o miłej powierzchowności i chorowitym wyglądzie. Przyjechała z zaprosinami. Z racji jej imienin w Kowalewie miał odbyć się bal i stara pani Jurkowska najusilniej zapraszała Wilczura i Łucję. Profesor, gdy usłyszał, zaśmiał się serdecznie.

– Ależ drodzy państwo! Bal i ja! Ja od niepamiętnych czasów nie byłem na balu. A nie tańczyłem od czasów studenckich. Na cóż ja wam się przydam?!

– Nie odmówi nam pan tego – odezwała się panna Jurkowska. – Przecież

na balu będzie dużo osób starszych i nie tańczących. A mamusia tak bardzo prosiła... Tak by chciała poznać pana profesora. Tyle o panu słyszała. I od brata, i od ludzi.

– Ależ ja i fraka nie mam – bronił się.

Okazało się jednak, że i to nie jest przeszkodą, gdyż w okolicy rzadko kto używa aż tak paradnego stroju na sąsiedzkich zabawach.

Wilczur spojrzał na Łucję, jakby, oczekując od niej pomocy w obronie. Niespodziewanie jednak Łucja przyłączyła się do atakujących:

– Jeżeli istotnie balowe stroje nie są koniecznością, moglibyśmy skorzystać z zaproszenia.

Uśmiechnęła się do panny Jurkowskiej i dodała:

– Ja też strasznie dawno nie tańczyłam, a tak lubię taniec.

– No to i nie ma gadania – z rozmachem klepnął się po kolanach pan Jurkowski. – Znaczy, w sobotę o szóstej przysyłam po szanownych państwa konie i rzecz załatwiona.

Wilczur nie oponował dłużej, istotnie nie miał prawa odmawiać Łucji przyjemności potańczenia, wiedział zaś, że nie pojechałaby bez niego. Że zaś było to dla niej przyjemnością nie byle jaką, przekonał się nazajutrz, gdy zastał ją przy pruciu jakiejś sukni. Okazało się, że przy pomocy Donki zabrała się do przerabiania swojej warszawskiej wizytowej sukienki na coś, co

304

mogłoby przypominać balową toaletę. Tak była tym zajęta, że ledwo dostrzegła wchodzącego Wilczura.

– Myślę, że jeżeli tu wyciąć ze trzy centymetry – mówiła z przejęciem do Donki – a tutaj zmarszczyć, to fałdy dobrze się ułożą...

Udrapowała na sobie sukienkę, przykładając ją do biodra i do ramienia.

– Doskonale się układają – z pobłażliwym uśmiechem powiedział Wilczur.

– Rzeczywiście tak jest dobrze? – zapytała poważnie.

– Moja droga pani. Żebym ja się na tym znał choć odrobinę.

Donka przyklękła przed Łucją i obciągając w dół sukienkę, powiedziała:

– Jeżeli wypuścić tu obręb na dwa centymetry, to i długość będzie jak raz. Wilczur chrząknął.

– Hm. Gdy panie już to skończą, to proszę mi dać znać.

– Dobrze, dobrze – w roztargnieniu powiedziała Łucja. – Zaraz skończymy.

Wilczur wyszedł i usiadł na ganku obok Jemioła, który zajęty był robieniem papierosów.

Dawniej się nigdy tym nie zajmował. Wilczur zwykł był sam robić papierosy dla siebie, a

Jemioł zabierał z jego pudełka tyle, ile mu było potrzeba. Od czasu jednak powrotu profesora

okazało się, że drgająca ręka uniemożliwia mu wykonywanie nawet tak prostej czynności.

Któregoś dnia Jemioł to zauważył i odtąd, nie powiedziawszy słowa, sam przejął tę funkcję.

Dawniej, widząc profesora robiącego papierosy, mawiał:

– Oto drobny szczegół, charakteryzujący człowieka. Myśl o przyszłości. O najbliższej choćby, lecz o przyszłości.

– Czy widzisz w tym coś złego? – pytał Wilczur.

– Naturellement, sire. Czyż można mieć łeb wiecznie zaprzątnięty przyszłością? Czy nie widzisz katastrofalnych skutków takiego Standpunktu?

– Przyznam ci się, że nie widzę, przyjacielu.

– Bo nie umiesz na rzeczy patrzeć filozoficznie, darling. Zastanów się:

ludzie myślą wciąż o jutrze. Co dzień o jutrze. I tylko o jutrze. Dzięki temu nie dostrzegają takiego drobiazgu jak dzień dzisiejszy. Nie dostrzegają terażniejszości. Wciąż żyją jutrem, a gdy to jutro staje się wreszcie rzeczywistością, gdy zegar przemierzy odpowiednią ilość godzin i przeniesie ich w to jutro, już na nie nie zwracają najmniejszej uwagi. Bo jak wariaci wpatrzeni są w następne jutro. Płyną koło nich zdarzenia, przewalają się sprawy, coś się dzieje. Oni tego nie mogą widzieć, nie widzą, nie potrafią skupić na tym uwagi, bo cała ich uwaga skoncentrowana jest na przyszłość. Gdybym pisał monografię naszych czasów, dałbym jej tytuł: „Ludzie bez terażniejszości”. W tych warunkach człowiek dopiero na łożu śmierci, gdy z ust lekarza słyszy, że już nie ma przed nim żadnego jutra, dostrzega swoje dzisiaj. Niestety, to dzisiaj jest mało pociągające. I oto takim happy endem kończy się długi film życia dwunogiej istoty, pozbawionej upierzenia, a obarczonej bzikiem w pogoni za jutrem. Czy nie uważasz, maestro, że tkwi w tym paradoksalne marnotrawstwo?... Czy nie sądzisz, że ten system egzystencji spoczywa na niezachwianym fundamencie kretynizmu? Jeżeli mi oświadczysz, że system jest doskonałym narkotykiem przeciw świadomości prześmierdłej

nudy dnia dzisiejszego, powiem ci, że widzę w tym głęboką moralność. Nie na próżno lekarze przez długie lata wrogo się odnoszą do używania narkotyków przy porodach. Musi w tym tkwić jakaś racja. Czemu tedy człowiek, rodząc swoje dzisiaj, ma być narkotyzowany gorączkową myślą o przyszłości? Nie można być mędrce, nie znając terażniejszości, nie widząc jej ani siebie w niej. Teraz już wiesz, dlaczego jestem mędrce.

Zastawszy obecnie Jemioła przy robieniu papierosów, Wilczur zauważył z uśmiechem:

– Ho, ho, przyjacielu. Gdzie się podziała twoja mądrość, twój wstręt do „systemu jutra”?

Nie przerywając swego zajęcia Jemioł odpowiedział:

305

– Moją mądrość znajdziesz w jasnym spojrzeniu moich pięknych oczu, a wstręt w skrzywieniu moich złotoustych warg. Jeżeli zaś myślisz, że zmieniłem zdanie, grubo się mylisz. Po prostu zauważyłem, że ostatnimi czasy niedbale robisz papierosy, a ponieważ lubię palić porządnie napchanę, poszedłem na drobny kompromis z przeciwnościami życia i zrobiłem im małe ustępstwo.

Wilczur spojrział na swoją drgającą rękę.

– Tak... Niedbale... Masz rację, przyjacielu. Stopniowo staję się zupełnym niezdara.

Jemioł nieznacznie wzruszył ramionami.

– I jakież stąd wnioski?

– Smutne.

– Nie podzielam tego zdania. Mogę śmiało powiedzieć, że przeciwstawiam się mu całkowicie i z najgłębszym przekonaniem.

– Jakimże znowu poczęstujesz mnie sofizmatem? – Wilczur blado uśmiechnął się. – Nie

wmówisz mi chyba, że utrata ręki czy nogi, słuchu czy wzroku jest rzeczą radosną.

Jemioł z uwagą układał gotowe papierosy w pudełku.

– Radosną to jest złe wyrażenie. Trafniej będzie powiedzieć: pożyteczną.

– W czymże jej pożytek?

– W stopniowości. Mądra natura wymyśliła niezgorszą regułę odzwyczajania istot żyjących od życia. Jakże mogła łatwiej to przeprowadzić, niż zamykając stopniowo kontakty człowieka z otaczającym go światem? Najczęściej śmierć przychodzi, już wtedy, kiedy życie niewiele jest warte. Reumatyzm uczynił ręce niezgrabnymi, podagra wyeliminowała nogi, że tak powiem, z obiegu, żołądek nie przyjmuje żadnych smakowitych pokarmów i nie trawi nic oprócz obrzydliwej kaszki, nerki nie chcą przepuszczać ani najmniejszego kieliszka wyborowej, serce nie pozwala na biegi konkursowe, uszy nie usłyszą śpiewu słowików i szemrania strumyków, nos nie odróżnia zapachu starej fajki od zapachu konwalii, oczy nie dowidzą powabów najpiękniejszej kobiety, a gdyby i dowidziały, to i tak organizmowi nic by z tego nie przyszło, bo reszta jest już dawno na emeryturze... Wszystko to jest pięknie i logicznie skomponowane. Człowiek stopniowo staje się odizolowany od spraw tego świata. Pracuje w nim sprawnie tylko mózg, który oczywiście musi się czymś pocieszyć. Pociesza się tedy z reguły tym, że istnieje świat inny, gdzie można doskonale egzystować bez używania takich przyrządów, jak kończyny, żołądek, organ powonienia i temu podobne łatwo dezeluujące się instrumenty. Powiedziałbym nawet, że to jest bardzo uprzejmie ze strony natury stwarzanie tak łagodnego przejścia między życiem a śmiercią. Starość z jej wszystkimi niedomaganiem jest dobrodziejstwem człowieka.

Wilczur zmarszczył brwi.

– Pod pewnym względem przyznaję ci słuszność. Ale wszystkie kalectwa i mankamenty, o których mówiłeś, nie zawsze są udziałem ludzi starych. Często spadają na tych, którzy znaj-

dują się w wieku powszechnie uznanym za młodość lub dojrzałość.

Jemioł zapalił papierosa i wsmakowując się w zapach dymu przecząco potrząsnął głową.

– Nie biorę pod uwagę kwestii wieku. Taka kwestia dla mnie nie istnieje. Wilczur zaśmiał się.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać ci oryginalność i pod tym względem, przyjacielu. Bo chyba jesteś na świecie jedynym wyjątkiem, który nie bierze pod uwagę wieku.

– Mogę być jedynym. Czyż to w jakikolwiek sposób podważa prawdziwość moich twierdzeń i logikę rozumowania? Wiek to jest sprawa czasu. I tylko czasu.

– Gruntownie się mylisz. To nie tylko sprawa czasu, lecz i rozwoju indywidualnego w tym

czasie. Kwestia osiągnięć wewnętrznych i zewnętrznych. Kwestia dojrzałości duchowej i

umysłowej. Kwestia pozycji w społeczeństwie. Przechodząc od abstrakcji do rzeczywistości

weźmy przykład. Przykład możliwości bliski i oczywisty. Weźmy mnie. Bynajmniej nie czuję

się zgrzybiały i sądzę, że o wiele bardziej mógłbym być przydatny, gdyby nie to uszkodzenie

ręki, gdyby nie to kalectwo. A po wtóre, mylisz się sądząc, że człowieka trzeba odzwyczaić

306

od życia, przerywając mu stopniowo z nim kontakty. Tu stan psychiczny decyduje mocniej i

dobitniej niż mankamenty fizyczne. Jakieś stosunkowo drobne niepowodzenia wywołują cza-

sem zupełne zniechęcenie do życia i zobojętnienie na śmierć. Ba, trzydniowe bóle żołądka u

człowieka młodego i całkiem zdrowego mogą mu tak obrzydzić życie, że bliski jest samobój-

stwa. A miałem i takich pacjentów, którzy po amputacji obu rąk i nóg nie przestawali jak naj-

żywiej interesować się wszystkim, co ich otacza.

Jemioł podniósł się.

– Wybacz, cesarzu. Zastrzegam sobie prawo kontynuowania tej dysputy, ale zrobię to in-

nym razem. Teraz, niestety, nie mogę ci służyć, gdyż zbliża się właśnie pora mojej codziennej

procesji do Radoliszek. A ubezpiecz tymczasem swoją argumentację w jakimś towarzystwie

asekuracyjnym. Zarobisz na tym na czysto, gdyż wypłacą ci grube odszkodowanie. Rozbiję ją tak, że nie zostanie kamień na kamieniu.

Podniósł nad głową kapelusz i zanucił dość ochrypłym głosem:

– Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień.

I oddalał się wciąż nucąc, podczas gdy Wilczur z uśmiechem patrzył za nim: doskonale wiedział, że Jemioł przyspieszył swoją wycieczkę do karczmy tylko dlatego, że właśnie nie umiał znaleźć kontrargumentów, a z zasady nie lubił komukolwiek w dyskusji przyznać słuszności.

Gdy Wilczur zjrzał do Łucji, zastał ją zajętą szyciem. W ogóle stopień zainteresowania się Łucji oczekiwaną zabawą był dla Wilczura niespodzianką. O ile sobie przypominał, w Warszawie Łucja nader rzadko bywała na balach czy dancingach, nie przepadała nawet za takimi rozrywkami, jak teatr i kino. Wilczurowi wydawało się to zupełnie naturalne, gdyż odpowiadało jego własnym zainteresowaniom. Uważał ją za dziewczynę poważną, która nie na próżno poświęciła się tak odpowiedzialnej i wartościowej pracy, jak praca lekarza.

Zaskoczony był teraz jej przemianą, bo za przemianę musiał uważać nagły pociąg do tańców. Jeszcze przed paru dniami śmiałby się, gdyby mu powiedziano, że Łucja przez wiele godzin może poświęcać swoją uwagę takim śmiesznym drobiazgom, jak przerabianie sukni.

Czekała go jeszcze większa niespodzianka. Oto w sobotę, pomimo tego, że w ambulatorium czekało na opatrunki jeszcze sześć osób, Łucja, zostawiwszy dla Donki instrukcje, sama poszła do Radoliszek. Gdy po dwóch godzinach wróciła i zapytał ją, co się stało, powiedziała tak, jakby chodziło o rzecz zupełnie zwykłą:

– Przecież dzisiaj mamy ten bal w Kowalewie i musiałam pójść do fryzjera, by mnie uczesał.

Teraz dopiero zauważył na jej głowie jakieś dziwne fioki i loki. Nawet ładnie jej z tym

było. Nie mógł się jednak zdobyć na powiedzenie czegoś więcej jak:

– No, naturalnie, naturalnie.

W duszy jednak wcale nie myślał, by to było rzeczą naturalną. Przy obiedzie zauważył, że miała też paznokcie wylakierowane na różowo.

– Nie powinienem temu wszystkiemu się dziwić – perswadował sobie. – Jest młoda, a pędzimy tutaj taki szary i bezbarwny tryb życia. Ten bal jest dla niej zdarzeniem.

Łucja jednak myślała nie tylko o sobie i o swoim wyglądzie. Przekonał się o tym, gdy szukając w szafie czarnego ubrania nie znalazł go, i dopiero rozejrzawszy się po pokoju zobaczył je rozwieszzone na krześle. Było świeżo wyczyszczone i wyprasowane.

O godzinie szóstej zajechały konie.

Sadowiąc się obok Łucji w bryczce Wilczur poczuł zapach perfum. To zdeprymowało go do reszty i by pokryć zmieszanie, zaczął obszernie opowiadać Łucji ó jakiejś skomplikowanej operacji dwunastnicy, o której przeczytał w świeżo otrzymanym miesięczniku lekarskim. Ten temat zajął im całą drogę.

Bale w Kowalewie i we wszystkich innych dworach owych stron dość znacznie różnią się od podobnych zabaw w stolicy. Różnią się przede wszystkim tym, że zaproszeni goście nie

307

uważają sobie za punkt honoru przyjechać jak najpóźniej, lecz właśnie na oznaczoną godzinę, a czasem i na kilka godzin wcześniej. Toteż gdy Łucja z Wilczurem wysiadali przed gankiem kowalewskim, wewnątrz już było rojno i gwarno. Na powitanie do bryczki wybiegł młody gospodarz, a za nim przydreptała jego matka. Na ganek wyszło jeszcze kilka osób, by zobaczyć, kto przyjechał.

Wilczur i Łucja spośród kilkudziesięciu obecnych gości znali zaledwie kilka osób. Poza Pawlickim i proboszczem byli to przeważnie ziemianie z bliższych i dalszych okolic, ich zo-

ny, siostry, córki lub matki. Nie dotarł tu jeszcze modny zwyczaj odmładzania się, i matki wyglądały istotnie jak matki, żony jak żony, a córki jak córki. Matki obsiadły kanapy, żony skupiły się w bocznym saloniku zawzięcie rozprawiając o sprawach gospodarskich, panny stały grupkami szepcząc, śmiejąc się i zerkając ku jadalni, gdzie podano dla panów wódkę i przekąski.

Panowie bez różnicy wieku zgromadzili się stojąc przy stole. Rozmowa tu była ogólna. Przyszedł okres polowań i to zajmowało uwagę wszystkich, starych i młodych, doświadczonych myśliwych i początkujących.

Tymczasem w salonie rozległy się pierwsze tony strojonych instrumentów. Sprowadzony z Radoliszek zespół orkiestrowy nie był wprawdzie liczny, gdyż składał się z trzech osób: pianisty, skrzypka i harmonisty, ale za to wypróbowany i cieszący się w całej okolicy dużym wzięciem.

Z wolna młodzi panowie wynurzali się z jadalni i teraz dopiero pan Jurkowski zaczął przedstawiać ich Łucji i Wilczurowi. Oboje ze słyszenia znani byli już wszystkim od dawna. Nie tylko dlatego, ale i dzięki urodzie Łucji wkrótce dookoła nich zebrało się sporo młodzieży i wraz z dźwiękami pierwszego walca Łucja zaproszona została do tańca. Z kolei Pawlicki poprosił pannę Jurkowską i wkrótce salon zapełnił się wirującymi parami. Przekąska, a raczej wypite przy niej nalewki doskonale wpłynęły na humor mężczyzn i na ochotę do kręcenia się przy dźwiękach muzyki. Panie i tej podniety nie potrzebowały, gdyż sam taniec był dla nich podniętą.

Łucja wyglądała ładnie. Mówiło jej to nie tylko lustro, w którym za każdym okrążeniem salonu kontrolowała swoją powierzchowność, lecz i spojrzenia wszystkich mężczyzn. Były tu kobiety i młodsze od niej, i lepiej ubrane, lecz mogła się nie obawiać braku powodzenia. Niestrudzona orkiestra prawie nie robiła przerw, a ponieważ danserów było więcej niż

danserek, Łucja na krótkie zaledwie chwile przysiadła, by odpocząć, i znowu ją ktoś porywał do tańca.

W dalszych pokojach starsi panowie zasiedli do brydża. Wilczur jednak, który w ogóle w karty grać nie umiał i nie lubił, stał na progu salonu rozmawiając z panią domu. O ile to było możliwe, nie spuszczał wzroku z Łucji i nie mógł się pozbyć dziwnego uczucia, że stała się dlań obca i daleka. Wydawało mu się, że ten połysk w jej oczach, te żywe rumieńce, ten uśmiech zalotny, że wszystko to jest czymś nienaturalnym i jakby nieprzyzwoitym. Nie lico- wało z jej powagą i z jej wartością wewnętrzną, którą tak wysoko oceniał, owo bezmyślne kręcenie się w ciasnej przestrzeni, w natłoku tańczących, przeginanie się w biodrach, niemal kokieteryjne przechylenie głowy. To nie była Łucja.

Nie pomagały żadne refleksje. Na próżno tłumaczył sobie, że wszystko jest w porządku, że tak być powinno, że Łucja jest młodą dziewczyną, a taniec od wieków jest przywilejem wła- śnie młodych dziewcząt, że to raczej dobrze o niej świadczy: umie pracować intensywnie, pożytecznie i poważnie, umie głęboko patrzeć na sprawy życiowe i na swoje obowiązki, a jednocześnie potrafi być wesołą i naturalną, bawić się tak, jak bawią się inne kobiety w jej wieku. Wszystko to było słuszne i przekonywające. O ile jednak mózg przyjmował to do wia- domości i akceptował, o tyle gdzieś w emocjonalnych ośrodkach tym silniej występował sprzeciw.

308

Oto Łucja w objęciach swego partnera przesunęła się w tangu obok Wilczura i uśmiech- nęła się doń ciepło i serdecznie. Odpowiedział jej uśmiechem, lecz natychmiast odwrócił głowę. Musiała to zauważyć. Gdy tylko orkiestra umilkła, zbliżyła się do niego.

– Jak tu przyjemnie, prawda? – zapytała.

– O tak – powiedział bez przekonania.

– Orkiestra może nie jest najlepsza pod względem muzycznym, ale do tańca przecież sam rytm wystarcza. I niektórzy z tych panów naprawdę świetnie tańczą.

Wilczur nic nie odpowiedział i teraz przyjrzała mu się zdziwiona.

– Pan, zdaje się, z czegoś jest niezadowolony?

– Ja? Ależ bynajmniej.

– Pan się nudzi?

– Cóż znowu...

– O, bardzo mi przykro. Namówiłam pana na ten bal, kochany profesorze. Jaka ze mnie egoistka...

Posmutniała i dodała szybko:

– Przed kolacją nie wypada wyjechać, ale zaraz później wrócimy do domu. Wilczur wrzucił się jej gotowością.

– Za żadne skarby, panno Łucjo.

– Kiedy pana to wcale nie bawi! Z uśmiechem rozłożył ręce.

– Ha, to już moja własna wina. Skoro nie tańczę, należałoby przynajmniej nauczyć się grać w brydża lub interesować się polowaniem. Miałbym wtedy dość interesującego zajęcia. Niechże pani da spokój wszelkim skrupułom. Musi pani raz wreszcie wybawić się za wszystkie czasy. Bo jeżeli...

Nie dokończył, gdyż orkiestra zagrała znowu i przed Łucją skłonił się nowy danser.

– Czy mogę panią prosić do fokstrota?

– Z przyjemnością – odpowiedziała Łucja i dopiero teraz spostrzegła, że Wilczur nie dokończył zdania. Nie mogła się jednak cofnąć. Skinęła mu głową i znalazła się w objęciach wysokiego bruneta o marzycielskich oczach. Znała go tylko z widzenia i wiedziała, że jest ziemianinem gdzieś z północnej części powiatu. Nazywał się Nikorowicz. Spotykała go cza-

sami w Radoliszkach.

Nikorowicz też ją stamtąd pamiętał, gdyż powiedział:

– Widzę już panią po raz trzeci. Pani może na mnie nie zwróciła uwagi. Nie wszyscy mają takie szczęście jak Wicek Jurkowski...

– Czymże się to szczęście wyraża? – zapytała lekko rozbawiona.

– Ba, żebym umiał pani dokładnie odpowiedzieć. Ale Wicek to taka skryta bestia, że tylko chrząka i mruży pod nosem. Wiem jednak, że widuje panią bardzo często. A czy już to samo nie jest szczęściem?

– Niechże pan ze mnie nie żartuje – zaśmiała się. – Rzeczywiście pan Wincenty zagląda dość często do nas do lecznicy, lecz takie „szczęście” dostępne jest każdemu, kto cierpi na niestrawność lub ma skaleczony palec.

Danser westchnął.

– Och, wobec tego będę się starał przy dzisiejszej kolacji nabawić się niestrawności, a jeżeli to nie poskutkuje, jutro sobie utnę palec.

– Widzę, że pan zdolny jest do poświęceń – zaśmiała się.

– O tak. Do każdych. Powtarzam jednak, że Wicek ma wyjątkowe szczęście. Bo braku apetytu nigdy u niego nie zauważyłem i nie dostrzegłem również, by brakowało mu palców.

A jednak bywa u pani często. Czy nie może mi pani powiedzieć, w jaki sposób udałoby mi się dostąpić takiegoż przywileju?

– To nie jest żaden przywilej, proszę pana. Miło mi będzie, jeżeli pan nas kiedy odwiedzi w lecznicy.

309

– Dziękuję pani. I na pewno z tego skorzystam w najbliższym czasie. Chwilę tańczyli w milczeniu, po czym Nikorowicz zapytał na pozór obojętnym tonem:

– Jakże się pani podoba Kowalewo?

– Bardzo tu ładnie i miło.

– A te braki, które tu jeszcze są, zostaną wkrótce uzupełnione.

– O jakich brakach pan mówi? – Spojrzała nań zaciekawiona. Zawahał się i odpowiedział:

– Właściwie mówię o jednym braku. O jedynym braku: Wicek nie ma żony, a Kowalewo pani.

Domyśliła się, do czego Nikorowicz zmierza, i powiedziała:

– W Kowalewie są aż dwie panie. Nie słyszałam też, by pan Jurkowski zamierzał się żenić.

Nie wspominał mi o tym.

– Ach, tak? – zdziwił się Nikorowicz. – Więc jeszcze nie oświadczył się pani?

Ponieważ zmarszczyła brwi, pośpieszył dodać;

– Bardzo przepraszam za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Pani łaskawie mi wybaczy, ale sądziłem, że to już jest tajemnica publiczna. W całym powiecie wszyscy mówią głośno, że Wicek stara się o pani rękę.

– To pomyłka – powiedziała z naciskiem. – Mogę zapewnić pana, że nie ma w tym żdźbła prawdy.

– Jednak... – zaczął Nikorowicz. Przerwała mu:

– Pan Jurkowski jest znajomym profesora i moim i przykro mi, że jego odwiedziny w lecznicy mogą być tak nietrafnie komentowane.

Rozmowa ta wzburzyła Łucję. Nawet nie przypuszczała, by bywanie Jurkowskiego w lecznicy tak bardzo wszystkim rzuciło się w oczy. Teraz jednak dopiero ze spojrzeń obcych, z niektórych powiedzeń i stosunku do siebie Łucja mogła wywnioskować, że uważają ją tu prawie za narzeczoną gospodarza. Długo wahała się nad wyborem sposobu zdementowania tych mylnych przypuszczeń. Wreszcie postanowiła rozmówić się jasno i otwarcie z Jurkow-

skim.

Wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność: poprosił ją do tańca. Ponieważ mogli ich usłyszeć tańczący obok i z urywków dosłyszanych zdań domyślić się, o czym mówią, gdy już tango się kończyło, zaproponowała:

– Chciałabym z panem pomówić na osobności.

– Ależ z największą przyjemnością. Tym bardziej, panno Łucjo, że i ja panią o to chciałem prosić.

Przeprowadził ją przez sień i przez pokój, gdzie grano w brydża, do swojej kancelarii. Nie było tu nikogo.

– Proszę pana – zaczęła rzeczowo, siadając na fotelu, który jej przysunął – dowiedziałam się dzisiaj, że w okolicy krążą niedorzeczne plotki, jakoby pan w stosunku do mnie czy też ja w stosunku do pana żywimy zamiary małżeńskie.

Spojrzał na nią z niepokojem i zapytał:

– Dlaczego pani te pogłoski nazywa niedorzecznymi?

– Po prostu dlatego, że opierają się na czczym wymyśle. Na absurdalnym wymyśle.

– Jeżeli nawet na wymyśle, nie widzę bynajmniej jego absurdalności. Chciała mu oszczędzić odmowy i dlatego potrząsnęła głową.

– Absurd polega tu na tym, że zarówno pan, jak i ja doskonale wiemy, że nie jesteśmy przeznaczeni dla siebie.

– Ja wcale tak nie sędzę – odrzekł marszcząc brwi.

– Na pewno pan tak sądzi – powiedziała z naciskiem. – Po pierwsze, pan jest ziemianinem.

Potrzebuje pan żony ziemianki, która by zajęła się gospodarstwem, która by prowadziła panu dom. Ja Jestem lekarzem. Jak pan wie, przeniosłam się w te strony po to, by pracować społecznie. Nie mam pojęcia o gospodarstwie. Nie znam się na tym i uważałabym, że marnuję

swoje zdolności, swoje fachowe przygotowanie, gdybym zarzuciła pracę lekarską. Pracę tę zresztą uważam za swoje powołanie i nigdy się jej nie wyrzeknę.

Milczał przez chwilę i odezwał się wreszcie prawie gniewnie:

– A któż pani powiedział, że ja wymagałbym od pani jakichkolwiek wyrzeczeń się? A któż pani powiedział, że ośmieliłbym się narzucać pani gospodarowanie w Kowalewie?... Niczego więcej nie pragnę, tylko tego, by pani została moją żoną, i w niczym pani nie zamierzam krępować. Będzie pani mogła robić, co się pani podoba. Zechce pani, to wybuduję tu w Kowalewie dla pani lecznicę jeszcze większą niż tamta. Powiada pani, że nie jesteśmy dla siebie przeznaczeni. A. to nieprawda. Bo odkąd panią poznałem, to widzę, że żadna inna nie była dla mnie przeznaczona, tylko pani. Oczywiście, może nie jestem wart takiej żony jak pani. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale za to wiem, że potrafię być dobrym mężem, że nie zawiedzie się pani na mnie. Bo jak mówię, to mówię, a jak powiadam, że panią kocham, to nie ma w tym żdźbła kłamstwa. Umyślnie nie spieszyłem się z wyznaniem, bo chciałem, żeby pani mnie mogła poznać i wyrobić sobie o mnie sąd. Co zaś dotyczy gospodarstwa, to do tej pory, dzięki Bogu, matka żyje i tym się zajmuje. Siostra już pewno za męża nie wyjdzie, bo i ochoty do tego wielkiej nie ma. Słowem, o gospodarstwo nie ma się co kłopotać. Otóż, panno Łucjo, zapytuję panią, gdzie tu jest absurd? Gdzie tu jest niedorzeczność? Niech pani się nie obawia, nie jestem młokosem i zanim do pani się z tym zwróciłem, wszystko przemyślałam i wziąłem pod uwagę.

Łucja zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie wszystko. Bardzo mi przykro, że muszę to panu powiedzieć. Wcale nie wziął pan pod uwagę moich uczuć i moich zamiarów. Nie zgadzam się z tym, co pan mówił o sobie. Nie wierzę w to, bym mogła być dla pana odpowiednią żoną. To jedno. A po wtóre, nie mogła-

bym nią zostać i dlatego, że nie jestem wolna. Że mam pewne zobowiązania...

– A nie może się pani ich pozbyć?

– Nie chcę się pozbyć tych zobowiązań. Opuścił głowę.

– To znaczy, że pani kogoś kocha. – Tak – odpowiedziała krótko.

Milczał przez dobrą minutę, a później powiedział usiłując się uśmiechnąć:

– A to rzeczywiście wyrwałem się jak Filip z konopi... Ale któż mógł wiedzieć?... Jakże nawet miałem przypuszczać... Nie słyszałem, by ktoś tu w okolicy starał się o panią, a znowu z Warszawy nie wyjeżdżałaby pani, gdyby tam... Bardzo przepraszam. Nigdy bym nie ośmielił się narzucać... gdyby nie przeświadczenie, że pani jest wolna. Najmocniej przepraszam.

W jego wyrazie twarzy było szczere zafrasowanie i smutek. Po dłuższym milczeniu nagle podniósł na nią oczy, w których błysnęło niedowierzenie.

– Proszę pani... – zaczął. – A może pani tylko w ten sposób chce osłodzić mi gorzką pigułkę? Byłoby to dla mnie nad wyraz krzywdzące, gdyby pani za moją szczerotę i za moje uczucia odpłaciła mi takim wykrętem. Jednak naprawdę nie zauważyłem, by ktoś zabiegał tu o pani względy. A w naszej okolicy nic długo nie da się utrzymać w tajemnicy. Niechże mi pani powie szczerze i po prostu: – nie podobasz mi się, będę czekała na lepszego.

Łucja potrząsnęła głową.

– Pańskie przypuszczenia się nieuzasadnione. Powiedziałam pani prawdę. Istotnie kocham innego i zostanę jego żoną.

Znowu umilkł i stał przed nią oparty o stół z oczyma wbitymi w ziemię.

– Czy... czy mogłaby pani wymienić mi jego nazwisko?

– Nie sędzę, by to było potrzebne – powiedziała chłodno.

– Ach, jeżeli to tajemnica... – zauważył z ironią.

– Wcale nie tajemnica. Nie zależy mi jednak na rozgłaszaniu tego, bo to jest moja prywat-

na sprawa.

– Czy pani mnie uważa za plotkarza? Interesuję się tym dla siebie i wyłącznie dla siebie.

– Więc dobrze. Mogę panu to powiedzieć. Mówiłam o profesorze Wilczurze.

311

Szeroko otworzył oczy.

– Jak to?... Łucja wstała.

– Jeszcze sekunda – zatrzymał ją. – Czy chce pani powiedzieć, że kocha pani profesora i że zostanie jego żoną?

– Tak, proszę pana. I proszę, byśmy na tym skończyli rozmowę.

Gdy wrócili do salonu, właśnie proszono do stołu. W jadalni i w przyległym pokoju zrobiło się gwarno. Kolacja, jak zwykle w tych stronach, była aż nadmiernie obfita. Siedzący jednak obok Łucji gospodarz prawie nic nie jadł, natomiast dużo pił i był wciąż ponury, na próżno usiłując nadrabiać miną. Musiało to zwrócić powszechną uwagę, gdyż zwłaszcza panie zerkały w jego stronę, zaciekawione, i przenosiły swój wzrok z niego na Łucję, domyślając się, że między nimi musiało zajść jakieś nieporozumienie. Łucja, ratując sytuację, starała się być wesoła i ożywiona, rozmawiając z swoim drugim sąsiadem.

Po kolacji znowu zapytała Wilczura, czy nie lepiej byłoby pojechać do domu. Teraz naprawdę tego chciała, lecz Wilczur, wciąż dopatrując się w jej gotowości poświęcenia, najkategoryczniej odmówił.

– Poznałem tu bardzo interesujących dwóch panów i doskonale mi się z nimi gawędzi – zapewniał. – Jutro niedziela, możemy sobie pozwolić na jeszcze parę godzin zabawy.

Orkiestra znowu zagrała i Łucja znowu tańczyła prawie bez odpoczynku. Wilczur w poszukiwaniu owych dwóch interesujących panów zajrzał do jadalni, gdzie służba krzątała się przy sprzątanii ze stołu. Przy końcu jednego z nich siedział samotny pan Jurkowski i pił

wódkę. Wilczurowi wydało się, że go nie poznał, zmierzył go bowiem prawie nienawistnym spojrzeniem. Musiał już być porządnie pijany. Zawsze bowiem odnosił się do Wilczura nader życzliwie.

Wkrótce potem spotkali się ponownie w małym saloniku. Ponieważ w salonie słynny mazurzysta pan Skirwoyn popisывał się właśnie swoim niezrównanym mazurem, tutaj było pu-
sto.

– A, pan profesor. Jak to dobrze, że pana profesora widzę – odezwał się Jurkowski. –
Chciałem panu opowiedzieć jedną zabawną historyjkę.

Wyglądał przytomnie, lecz pewne niedokładności w dykcji świadczyły o nadmiarze pochłoniętego alkoholu.

Wilczur uśmiechnął się wyrozumiale.

– Z przyjemnością jej wysłucham. Chociaż przyznam się panu, że nie należę do znawców humoru.

Jurkowski podniósł palec do góry.

– O, na tym humorze to szanowny profesor pozna się z łatwością. Po prostu boki zrywać.

No, mówię kochanemu profesorowi, boki zrywać. Wilczur udał zaniepokojenie.

– Słucham, słucham.

– Otóż niech pan sobie wyobrazi, mam tu polowego. Porządne chłopisko. Od dawna już u mnie służy. U ojca mego służył. Coś już będzie ze czterdzieści lat, jak jest u nas polowym.

Dzieci wychował, doczekał się wnuków. A coś przed trzema laty owdowiał. Rozumie pan?
Owdowiał.

– Rozumiem – łagodnie potwierdził Wilczur.

– I uważa profesor, wszystko byłoby w porządku, ale w zeszłym roku diabeł go opętał.

Przychodzi do mnie, całuje mnie w rękę i mówi, że się chce żenić. Uważa pan: chce się żenić!

Zdumiałeś, powiadam. Po co tobie się

żenić?... Przy córce mieszkaś, baby nie potrzebujesz. Stary pryk z ciebie. I z kimże się chcesz żenić?... A, powiada, z Małgością od Lawończuka. A Lawończuk, trzeba profesorowi wiedzieć, to biedak nad biedaki. Ziemi dziesięcin dwie czy trzy, a chałupa pełna dzieci. Głodem przymierają. Ta jednak Małgością była niebrzydka dziewczyną. Nieraz ją tam matka do roboty w ogrodzie brała, to zauważyłem, że niebrzydka. Tylko zmizerowane to, zachudzone...

312

No, ale pobrali się. Dałem im tam krowę i myślę sobie: co to z tego będzie?... Aż i niedługo czekałem. Patrząc, na folwarku parobki i dziewczuchy wciąż się śmieją i śmieją, palcami polowego wytykają. Aż i on sam do mnie przychodzi. Prosi, by go nocnym stróżem zrobić. Zacząłem wypytywać o powody, a on mi do nóg. Rady nijakiej znaleźć nie mogę – powiada. – Jak mnie wielmożny pan nie wyratuje, to szczeznąć przyjdzie. Zacząłem się dopytywać. A okazuje się co. Że żona mu, gdy tylko się odpasła, na prawo i na lewo z parobkami się puszcza. On w pole, ona do parobków. A wie profesor, co ja mu na to powiedziałem?

– Skądże mogę wiedzieć? – Wilczur wzruszył ramionami.

– A ja mu powiedziałem: – To i wszystko w porządku, durniu jeden. A cóż ty myślałeś, że młoda kobieta życia nie potrzebuje? Ze wciąż na ciebie, starego grzyba, będzie się patrzeć i za tobą świata nie widzieć? Chciałeś się żenić – trzeba się było żenić z babą starą jak ty. A nie z młodą dziewczuchą. Prawo takie jest na świecie, że młody do młodego ciągnie. Więc jak byłeś durniem, to teraz cierp... Tak mu powiedziałem. Cha... cha... cha...

Złapał profesora za guzik i zbliżając twarz do jego twarzy, pytał natarczywie:

– Miałem rację czy nie?... No co, profesorze? Miałem rację czy nie?... Wilczur przybladł.

Już od połowy opowiadania pana Jurkowskiego rozumiał aluzję. W pierwszej chwili uczył się najboleśniej dotknięty, później zrobiło mu się wstyd za człowieka, który we własnym do-

mu pozwala sobie na podobnie niegodne obrażanie swoich gości. Teraz zorientował się, że zarówno podchmielenie, jak i zaczepka musiały mieć jakąś poważną przyczynę. Prawdopodobnie Jurkowski oświadczył się Łucji, a otrzymawszy odmowę, popadł w rozgoryczenie, które podyktowało mu ten nie licujący nie tylko już z gościnnością, lecz ze zwykłą przyzwoitością postępek.

– No, profesorze, założę się o dwa konie z bryczką, że pan powiedziałby to samo. Czyż nie? Jest przecież pan lekarzem i rozumie pan, czego organizm wymaga, gdy jest młody, a czego nie może dać, gdy jest stary.

Ponieważ trzymał Wilczura za guzik i trudno było się z nim szamotać, profesor spojrział nań i spokojnie powiedział:

– Zanadto symplifikuje pan swoje poglądy, sądząc, że małżeństwo jest jedynie i wyłącznie sprawą organizmu.

– Ale i organizmu – upierał się Jurkowski. – Niechże mi profesor powie, co owa Małgośka miała robić. Powie pan, że jest niemoralna. Zgoda i na to. Ale gdyby była moralniejsza, to co zrobiłaby?... Co?... Ano, uciekłaby od niego. Rzuciłaby go do ciężkiego diabła i poszłaby z innym. A gdyby

była jak ta lilia bezgrzeszna, no to zostałaby przy nim i cierpiała do śmierci. Takie jest prawo na świecie, profesorze. I nikt go nie zmieni. Ot, co.

Wilczur z trudem panował nad swoimi nerwami. Aluzja była bardziej dotkliwa, niż jej autor mógł przypuszczać. Przypomnienie Beaty i jej ucieczki odżyło z całą jaskrawością. Uczuł się nagle niewypowiedzianie starym, zmęczonym i zniechęconym do życia. Nie miał żalu do Jurkowskiego. Rozumiał, co ten człowiek przeżywa sam. Marzył teraz tylko o jednym: jak najprędzej stąd się wydostać. Korzystając z napływu gości do saloniku, wymknął się gospodarzowi i udał się na poszukiwanie Łucji. Zastał ją w salonie. Tańczyła. Minęła dobra godzi-

na, zanim zdołał zamienić z nią kilka słów.

– Jakże się pani bawi? – zapytał. Spojrzała nań z niepokojem.

– Co panu jest?

– Ach, nic – zbagatelizował. – Czuję się trochę zmęczony. Odzwyczaiałem się już od wielkich przyjęć, tłoku i hałasu.

– Więc może pojedziemy już do domu? – zaproponowała.

– Jeżeli nie sprawi to pani zbyt wielkiej przykrości...

– Ależ żadnej – przerwała mu. – Zaraz poproszę o konie.

313

Pani Jurkowska próbowała ich zatrzymać, lecz w końcu uległa. Niezbyt długo nawet czekali na konie.

Na dworze padał deszcz. Siedząc w otwartej bryczce okryci kapturami burek nie mieli ochoty do rozmowy. Prawie całą drogę odbyli w milczeniu. Każde z nich przeżuwało własne myśli. Łucja rozpamiętywała oświadczyzny Jurkowskiego. Wiedziała, że postąpiła słusznie.

Uważała go za człowieka miłego i na wskroś porządnego. W żadnym jednak wypadku, nawet wówczas, gdyby nie kochała się w Wilczurze, nie zostałaby żoną tego młodego człowieka.

Nie tylko dlatego, że nie odpowiadał jej jako typ, ale i z tej racji, że była przekonana o słuszności swoich argumentów. Ludzie powinni się żenić w swojej sferze. Powinni się żenić tak, by zainteresowania jednej strony były jednocześnie zainteresowaniami drugiej. On nie mógł mieć pojęcia o jej pracy, ona o jego. Po prostu nie znaleźliby wspólnego języka. Byliby jak dwoje obcych, skazanych na współżycie. Na przykład z takim Kolskim, chociaż go nie kochała, chociaż ich zapatrywania były często diametralnie przeciwne, zawsze miała o czym mówić, nie tylko dlatego, że był lekarzem, lecz dlatego, że wychował się i pracował w mieście, że oboje czerpali swe pojęcia, wyobrażenia, upodobania, zwyczaje z jednego środowi-

ska, z tego samego gatunku kultury. Nie widzieli się teraz przecież od tyłu miesiący. Rozdzieliła ich tak duża przestrzeń i nawet odmienny tryb życia. A jednak korespondowali z sobą bardzo często i zawsze mieli sobie coś do powiedzenia.

A z profesorem na przykład. Czyż mogła się z nim nudzić? Była przekonana, że rozumie każde jego spojrzenie, każdy jego ruch. I zdawało się jej, że również on czuje się jej bliski, że nie widzi w niej żadnych dla siebie tajemnic. Przebywają przecież z sobą od tak dawna, i każda z nim rozmowa nie przestaje być największą przyjemnością.

Patrząc w przyszłość, w przyszłość u boku tego człowieka, nie widziała przed sobą najmniejszej chmurki. Nie wątpiła, że będzie szczęśliwa. Może na chwilę gdzieś na dnie świadomości odezwało się w niej trochę żalu, że przyszłość ta nie będzie obfitowała w rzadkie bodaj rozrywki tego rodzaju, jak na przykład dzisiejsza. Zaraz jednak przyszła rozsądna refleksja, że zdolna jest przecież do tak niedużych ofiar, jak wyrzeczenie się tańca.

Ciemno już było zupełnie, gdy zajechali przed ganek lecznicy. Wilczur w sieni zapalił lampę i pierwszy zauważył jakiś papierowy pakiecik, oparty o kałamarz na stole.

– Cóż to jest? Depesza? – powiedział, biorąc do ręki. Istotnie był to telegram adresowany do Łucji. Zbliżyła się do lampy i otworzyła. Spojrzała na podpis. Depesza była od Kolskiego.

Podczas gdy Wilczur poszedł zajrzeć do szpitalnego pokoju, Łucja zaczęła czytać:

„Zwracam się do pani w imieniu profesorowej Dobranieckiej z gorącą prośbą. U jej męża stwierdzono niebezpieczny nowotwór w mózgu. Stan jest prawie beznadziejny. Minimalne szansę ratunku w operacji. Zabieg będzie trudny i skomplikowany. Dobraniecki nie chce mu się poddać w przekonaniu, że nie może się udać. Oświadczył, że zgodzi się na operację jedynie w tym wypadku, jeżeli zechce jej dokonać profesor Wilczur...”

Łucja przetarła ręką czoło. Wprost wierzyć nie mogła swoim oczom. „Pani Dobraniecka błaga panią, a i ja do tej prośby się przyłączam, aby zechciała pani wpłynąć na profesora Wil-

czura, by nie odmówił ratunku umierającemu. Wie, że nie ma prawa o to prosić. Ze niczym sobie na taką przychylność nie zasłużyli i że profesor Wilczur uważa ich za wrogów. Dlatego zwraca się przeze mnie i do pani. Ufamy, że nie odmówi pani swojej pomocy. Czekamy telegraficznej odpowiedzi. – Kolski”.

Łucja zmięta depeszę w rękę. Wiadomość spadła na nią obuchem. Ileż radości i dumy wypełniło jej myśli. Oto sam los w najzłośliwszy sposób mścił się na tych złych ludziach, oto samo fatum kazało im szukać pomocy i ratunku u człowieka, któremu wyrządzili tyle najokropniejszych krzywd.

– Ach, podli. Po trzykroć podli. – myślała. – Nazywali go pogardliwie znachorem. Rozpowszechniali oszczerstwa o nim. Twierdzili, że powinien porzucić chirurgię. A teraz, gdy zagroziła śmierć, jak psy skomlą o łaskę!

314

Do sieni wszedł profesor. Impulsywnie chwyciła go za rękę. Spojrzał na nią zdziwiony. Jej oczy iskrzyły się triumfem, a na policzki wystąpiły silne rumieńce. Oddychała szybko.

– Czy coś się stało? – zapytał. – Pani jest taka wzburzona...

– A tak! Tak. Stało się. Stało się coś, co musi przekonać o sprawiedliwości Boskiej! Niech pan posłucha.

Wyprostowała zgnieciony arkusik i przerywanym głosem zaczęła czytać depeszę. Słuchał z rosnącym zdumieniem. A gdy skończyła, milczeli oboje przez dłuższą chwilę. Wilczur patrzył w ziemię. Na jego twarzy odbił się głęboki smutek. Wreszcie podniósł głowę i powiedział cicho:

– Bóg mi świadkiem. Nie mogę... Jakże... Nowotwór w mózgu... I taka ręka...

Wyciągnął przed siebie lewą rękę, która widocznie pod wpływem niespodziewanego wrażenia dygotała bardziej niż zwykle.

– Jakże ja z tą ręką... To przecież niepodobieństwo.

– Ale ta bezczelność – wybuchła Łucja. – Ta bezczelność tych nędznych płazów! Po tym wszystkim, co panu zrobili, ośmielają się!... Ludzie o miedzianym czole!...

Wilczur nic nie odpowiedział. Założył w tył ręce i ciężko chodził z kąta w kąt.

– Napiszę Kolskiemu, że dziwię się temu, jak mógł podjąć się pośrednictwa. I w dodatku mnie również o pośrednictwo prosi. Wilczur zatrzymał się przed nią.

– Nie może mu pani z tego robić zarzutu, panno Łucjo – powiedział. – Nie wolno pani zapominać, że jest on przede wszystkim lekarzem. Że jako lekarz obowiązany jest nie pominąć żadnego, absolutnie żadnego sposobu ratowania pacjenta.

– Czy nawet wtedy, gdy ten pacjent jest zbrodniarzem? – zawołała w podnieceniu.

Wilczur spojrzał poważnie w jej oczy.

– Nawet wtedy. Nawet wtedy, proszę pani. Znowu zapanowała cisza.

– Niech pani do niego zadeszkuje – odezwał się Wilczur. – Niech pani napisze, że nie mogę. Że nie władam jedną ręką... I depeszę trzeba wysłać z samego rana. Czeka ją tam na odpowiedź... A teraz dobranoc, Łucjo. Niech pani śpi dobrze.

Oburącz ścisnęła mocno jego rękę.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, długo stała nie ruszając się z miejsca. Jakże bardzo podziwiała tego człowieka. Przecież wiedziała doskonale, że musi on żywić do Dobranieckich już jeżeli nie chęć zemsty, jeżeli nie nienawiść, to w każdym bądź razie najgłębszy wstręt, najszlachetniejszą pogardę. Najhaniebniej go skrzywdzili, chwytając się ohydnych środków walki. Opluli jego dobrą sławę, wydarli mu jego majątek, zmusili do opuszczenia stanowiska, do wyjazdu z Warszawy. Nie. Ona nie znalazłaby w sobie dla nich cienia litości. Nie potrafiłaby na chwilę zapomnieć o doznanych krzywdach, tak jak wiedziała, że i Wilczur musi o nich pamiętać. A jednak on aż Boga musiał wzywać na świadka szczerości swojej odmowy.

I Łucja w tej chwili musiała w sobie stłumić jakby uczucie radości, że zły przypadek, nad którym bolała, przydaje się oto, by uniemożliwić ratunek tego łotra bez czci i wiary.

Profesor powiedział, że nawet zbrodniarza ratować trzeba. Tak. Tak. Ale są zbrodnie, są przecież takie zbrodnie, które wykluczają miłosierdzie.

Długo nie mogła zasnąć, wzburzona tym wydarzeniem. Obmyślała tekst depeszy, którą jutro rano wyśle. Chciała ją zredagować w słowach cierpkich

i dotkliwych, po namyśle jednak uznała, że byłoby to niełojalne w stosunku do Wilczura.

Nazajutrz rano sama postanowiła odnieść depeszę do Radoliszek. Gdy wychodziła z lecznicy, spotkała konnego posłańca z Kowalewa. Miał list od młodego dziedzica. Ze zdziwieniem stwierdziła, że na kopercie nie było je) nazwiska, lecz nazwisko profesora. Zaintrygowało ją to. O czym mógł pisać pan Jurkowski do Wilczura?... Oddała mu list nie pytając o jego treść. Wilczur w milczeniu otworzył kopertę, przeczytał i widząc oczekującą Łucję, uznał za potrzebne wyjaśnić:

315

– Ach, nic, proszę pani. To taki drobiazg. Rozmawialiśmy wczoraj o pewnej sprawie, którą pan Jurkowski uznał za tak ważną, że przysłał mi jeszcze dodatkowe informacje.

W istocie list brzmiał, jak następuje:

„Czcigodny Panie Profesorze! Wczoraj nieco nadużyłem alkoholu i nie byłem zupełnie przytomny. Zdaje się, że pozwoliłem sobie opowiadać Czcigodnemu Panu jakieś nieprzyzwoite historyjki. Zdaję sobie sprawę z tego, że nic mnie nie usprawiedliwia. Najmocniej jednak przepraszam, wyrażam najszczerzy żal i proszę Pana Profesora o niechowanie do mnie urazy. Z najgłębszym szacunkiem – Wincenty Jurkowski”.

Rozdział XV

Odkąd przywieziono profesora Dobranieckiego do lecznicy, cały korytarz „B” na pierw-

szym piętrze został opróżniony z pacjentów, by ciężko choremu zapewnić absolutną ciszę.

Wchodzący tu lekarz, zarówno jak i służba musieli nakładać bambosze z wołoku, a mówili tylko szeptem.

W ostatnim pokoju, gdzie umieszczono Dobranieckiego, okna były zasłonięte i panował półmrok. Chory nie znosił światła, tak jak i głośniejszych dźwięków. Pod wpływem jednego czy drugiego dostawał straszliwych bólów pod czaszką, bólów, których nie uśmierzały najsilniejsze dawki pantoponu czy morfiny. Dzień i noc przy jego łóżku na zmianę czuwali lekarze. Oprócz nich godzinami przesiadywała tu żona profesora.

Gdy tylko odchodziła, chory zaczynał domagać się jej obecności. Stan jego od razu pogarszał się, tętno słabło, bóle się wzmagaly, po policzkach tak gęste ciekły łzy, że trzeba było je nieustannie ocierać. I nagle na jego twarzy zjawiał się wyraz ulgi. To jego nieprawdopodobnie wyostrzony słuch poznawał na korytarzu jej niedosłyszalne jeszcze dla innych kroki. Gdy siadała przy łóżku, brał jej rękę, zamykał powieki i albo milczał godzinami, albo mówił szeptem czułe słowa, o tym, że ją kocha, że jest piękna, że dla niej żył i że wcale nieciężko mu będzie rozstać się ze światem, tylko jej nie może i nie chce zostawić.

Czasami, a zdarzało się to najczęściej w nocy, tracił przytomność. Dostawał wówczas drgawek, po których przychodziły wymioty, a następnie straszliwe bóle i obłąkane majaczenia.

Pani Nina szalała. Nikt z jej dawnych znajomych nie mógł jej teraz poznać. Nie umalowana, byle jak uczesana, z wielkimi sińcami pod oczyma, chodziła jak błędna. Tak jak przedtem wyglądała zadziwiająco młodo, tak teraz nagle zestarzała.

– Patrzcie, jak ona cierpi – mówili wszyscy. – Oto jest miłość.

Mylili się. Pani Nina cierpiała z innego powodu. Wiedziała, jakie nieuchronne następstwa pociągnie za sobą śmierć męża. Od czasu objęcia lecznicy po ustąpieniu Wilczura poprawił

się wprawdzie ich stan materialny, nie zdążyli wszakże spłacić ani drobnej części długów.

Śmierć męża równała się dla pani Niny zupełnej nędzy. Nędzy, za którą przyjść musiała utrata pozycji towarzyskiej, wygod, strojów, znaczenia, urody i powodzenia. Niewiele przecież osób wiedziało dotychczas, że zbliżała się do czterdziestki. Nakładem nieograniczonych kosztów i wielu poświęceń utrzymywała swą urodę, z której słynęła za czasów młodości. Teraz, gdy stawała przed lustrem, ogarniała ją rozpacz. Dobrze rozumiała, że już nie będzie mogła zacząć nowego życia. Ze jej kariera wraz ze śmiercią Jerzego została by jak nożem ucięta. Mogła liczyć na powodzenie u mężczyzn poty, póki wypielęgnowana, wytworna i poszukiwana w towarzystwie roztaczała swoje uroki. Na biedną, źle ubraną i znękaną kobietę żaden mężczyzna nie spojrzy.

316

I gdy namiętym, rozkazującym głosem mówiła mężowi: – Musisz żyć!... Ty będziesz żył!..., to oznaczało jednocześnie: – Ja chcę żyć, a twoja śmierć jest i moją śmiercią.

Na koszt lecznicy sprowadzono najznakomitszych specjalistów krajowych i zagranicznych. Nad łóżkiem chorego co kilka dni odbywały się długie konsylia.

J I nikt nie robił nadziei. Nie mógł jej robić. Narośl pod czaszką powoli, lecz nieustannie rozrastała się, uciskając zwoje mózgowie. Koniec już był kwestią krótkiego czasu. Ostatnie konsylium orzekło, że ze względu na rozgałęzienie nowotworu zabieg operacyjny jest już prawie niemożliwością. Słynny amerykański lekarz profesor Coleman, który przerwał swoje wywczasy na Riwierze, by pośpieszyć do łóżka chorego kolegi, powiedział Dobranieckiemu, gdy ten domagał się ścisłej prawdy:

– Nie podjąłbym się operacji, bo nie widzę jej celu. Dobraniecki szepnął:

– Od dawna już jestem tego samego zdania... Jedna szansa na sto.

– Jedna na sto tysięcy – poprawił Coleman.

Tegoż popołudnia pani Dobraniecka, wysłuchawszy wyroku, powzięła postanowienie: jeżeli jest jedna szansa na sto tysięcy, to jednak należy spróbować operacji. Poty błagała Coleman, aż ten się zgodził.

– Absolutnie jestem przekonany, że operacja się nie uda. Przyspieszy tylko o tydzień lub o dziesięć dni śmierć chorego. Jednak jeżeli pani kategorycznie sobie tego życzy, mogę to zrobić. Wątpię tylko, czy profesor Dobraniecki zechce. Doskonale się orientuje w swoim stanie i sam jest zbyt dobrym chirurgiem, by nie rozumieć, że lancet tu nic nie pomoże.

Amerykanin nie mylił się.

Wszystko już było przygotowane. Sala operacyjna gotowa, gdy pani Nina zaczęła prosić męża, by zgodził się na zabieg chirurgiczny.

Z miejsca i kategorycznie odmówił.

Nie pomogły żadne nalegania, żadne prośby. Przeciwnie. W końcu chory się zirytował i gorzko zapytał:

– Czy chcesz mi odebrać te ostatnie kilka dni życia?... – Ależ, Jerzy – załamała się.

– Męczy cię czuwanie przy mnie i chcesz się już mnie pozbyć... Oczywiście zamknął jej tym usta. Umilkła. Siedziała przybita i zrezygnowana przy jego łóżku. Chory spędził noc spokojnie. A gdy z rana znów przyszła, zapytał:

– Czy profesor Coleman odjechał? Nina ożywiła się.

– Tak, ale ma się zatrzymać w Wiedniu. Można go jeszcze zawrócić depeszą!

– O, nie, nie. I po pauzie dodał:

– Jest tylko jeden człowiek na świecie, który potrafiłby może mnie uratować... Ale ten raczej wolałby mnie zabić...

– O kim mówisz, Jerzy? – Szeroko otworzyła oczy.

– O Wilczurze – szepnął Dobraniecki.

ścisnęło się jej serce. Powiedział prawdę. Od Wilczura nie mogli się spodziewać pomocy. Jakkolwiek jednak rozumiała to dobrze, jakkolwiek była przekonana, że nie ma na świecie takich skarbów, którymi mogłaby zdobyć przychylność Wilczura, chwyciła się oburącz tej nadziei.

– Jerzy, zgodziłbyś się na tę operację, gdyby to on miał ją przeprowadzić?

– Tak – odpowiedział po chwili wahania. – Ale nie ma o czym mówić. Była zgorączkowaną i podniecona.

– Może by jednak warto spróbować? Może się zgodzi?

– Nie zgodzi się.

Nina jednak uczepiła się tej myśli. Nie mogła się jej pozbyć i gdy tylko wyszła z pokoju chorego, zapytała pierwszego spotkanego sanitariusza:

317

– Czy jest doktor Kolski?

– Jest na górze, w sali operacyjnej, proszę pani.

– Gdy tylko skończy się operacja, proszę go natychmiast poprosić na dół. Będę czekała w jego gabinecie.

Kolski wysłuchał projektu Niny z największym zdumieniem. Też me wierzył, by Wilczur zechciał operować Dobranieckiego. Nie wierzył, by chciał w ogóle przyjechać do Warszawy.

– A jednak niech pan doń napisze – nalegała. – Niech pan doń za

depeszuje. Ja nie mogę. Sam pan rozumie. Nie chodzi mi o moją ambicję, ale wiem, że moją depeszę bez czytania wyrzuci. Lubił przecież pana. Kolski potrząsnął głową.

– Moja prośba też nic nie wskóra.

– Więc niech pan napisze do doktor Kańskiej. On się w niej kocha. Jej prośbom może ulegnie. A mówił pan, że ona ma takie dobre serce. Przecież tu chodzi o litość. O litość dla kochającego. Nie może mi pan tego odmówić!

Po długim wahaniu Kolski zgodził się, chociaż wiedział, że tym usposobi do siebie Łucję niezyczliwie. Wspólnie z panią Dobraniecką zredagowali długą .depeszę. A teraz właśnie czekali na odpowiedź. Pani Nina raz po raz wychodziła z pokoju męża, by dowiedzieć się, czy Kolski nie otrzymał wiadomości. Depesza nadeszła koło południa. Kolski otworzył ją i przeczytał głośno:

„Profesor Wilczur cierpi na niedowład lewej ręki. Dlatego nie może podjąć się operacji. – Łucja”.

Nina bezsilnie opadła na fotel.

– Boże, Boże!... Nagle zerwała się.

– To nieprawda. To nie może być prawda! To jest tylko wykręt. Nie wierzę w to!

Chwyła depeszę i potrząsając nią gorączkowo mówiła:

– Przecież to jasne, że wykręt. On nie ma serca. Boże drogi! Co robić? Niechże pan radzi.

Jak go skłonić?!... Na pewno jest zupełnie zdrow i cieszy się tam, że jego wróg umiera. Ten niedowład ręki jest zdawkowym wymysłem.

Kolski potrząsnął głową.

– Nie sędzę. Panna Łucja nie uciekałaby się do takich wybiegów. A i profesor też nie miałby do tego powodów. Mogliby przecież napisać, że brak mu czasu.

– Więc co to jest? Niechże pan mówi, co to jest! Wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że prawda.

Pani Nina zaczęła płakać. Kolski przyglądał się jej zwichrzonym włosom, zaczerwienionej twarzy i spuchniętym od łez powiekom. Była odstręczająca. Odstręczająca i niekonsekwent-

na. Przez długie lata zdradzała i okłamywała swego męża, a teraz rozpacza, tak jakby była najwierniejszą dlań żoną. Jakby go najbardziej kochała. Może dlatego właśnie w Kolskim zrodziło się współczucie. Osobiście wprowadzie był przekonany, że życie Dobranieckiego jest nie do uratowania. Podzielał zdanie Collemana, że może tu być mowa o jednej szansie na sto tysięcy. A jednak... Jednak widział już niejednego pacjenta, który był w podobnej sytuacji. Czarodziejski lancet profesora Wilczura umiał pośród stu tysięcy szans odnaleźć jedną szczęśliwą. Jeszcze raz przeczytał depeszę.

– Niedowład ręki – myślał. – Niedowład, a zatem nie całkowite porażenie... A zresztą czy konieczne jest użycie przy tej operacji obu rąk?...

Trepenację i tak przeprowadzi asystent. To drobiazg. Chodzi o usunięcie nowotworu. Tu przecież może wystarczyć jedna ręka. Mogą wystarczyć nawet wskazówki.

Kolski wiedział z doświadczenia, że Wilczur ma jakiś zdumiewający instynkt momentalnego orientowania się w polu operacyjnym. Instynkt niezawodny. Narośl rozgałęziona i najbardziej skomplikowana była dlań jakby czymś od dawna znanym...

318

– Proszę pani – odezwał się, a Nina natychmiast przestała płakać, jakby oczekując nadziei

– proszę pani, sądzę, że jeżeli nawet profesor Wilczur cierpi na ów niedowład ręki, mógłby jednak przeprowadzić operację. I – Mógłby?... O Boże! Na pewno mógłby?

– Na pewno. Oczywiście z niejakim utrudnieniem. Ale nie jest to niemożliwością.

– A czy on da się o tym przekonać? Kolski nieznacznie wzruszył ramionami.

– Sam jako chirurg wie dobrze, że przy pomocy asystentów, zwłaszcza asystentów, którzy znają go od dawna i niejedną już z nim przeprowadzili operację, dokonać może tego zabiegu.

– Ale jak go do tego zmusić?

– O zmuszaniu w ogóle nie może być mowy. Pozostaje tylko prosić.

– Więc czym prędzej wyślijmy drugą depezę. Kolski potrząsnął głową.

– Wątpię, by to poskutkowało.

– Więc co robić? Co robić?... – Zaciskała kurczowo palce. Kolski powiedział po dłuższym namyśle:

– O ile znam profesora Wilczura i o ile mogę sądzić, przypuszczam, że najlepiej by pani zrobiła... jadąc tam do niego. Jeżeli potrafi go pani wzruszyć, jeżeli potrafi wyjednać przebaczenie... może się zgodzi. Oczywiście żadnej pewności tu być nie może...

Pani Nina zerwała się z miejsca.

– Ale czy jest dość na to czasu? Czy zdążę pojechać aż tam na kresy i wrócić z nim? Czy nie będzie już za późno? Rozłożył ręce.

– Za to nikt ręczyć nie może.

– Tak, tak. – Zakrzętała się gorączkowo. – Nie wolno tracić ani minuty czasu. Nie zabiorę ze sobą żadnych rzeczy. Pojadę, jak stoję. Już wszystko mi jedno. Niech pan sprawdzi tylko, kiedy mam najbliższy pociąg.

– Myślę, że lepiej pani zrobi korzystając z samolotu. Do Wilna pani doleci, a w Wilnie można już telegraficznie z Warszawy zamówić samochód i wprost z lotniska pojechać do Radoliszek. To znacznie będzie szybciej niż koleją. Droga w obie strony zajmie pani niespełna półtorej doby. Ściśle trzydzieści osiem godzin, wliczając w to dwie godziny pobytu na miejscu.

– Jaki pan dobry – zdziwiła się. – Już to pan wszystko sprawdził i obliczył!

Kolski nic nie odpowiedział. Obliczał już to sobie wiele razy. Tyle razy, ile oczekiwał, że Łucja pozwoli mu na krótkie odwiedziny.

Pani Nina nie była już zdziwiona, że znał godzinę odlotu i przylotu do Wilna, że wiedział, w jaki sposób można zamówić w Wilnie samochód.

– Jak to dobrze, że pan wszystko wie! Sama nie dałabym sobie z tym wszystkim rady. Jestem półprzytomna. Nagle chwyciła go za rękę.

– Panie Janku! Panie Janie, niech pan jedzie ze mną! Kolski z lekka przybladł.

– To jest niemożliwe – odpowiedział. – Nie mogę teraz wyjechać.

– Dlaczego?

– Mamy pełną lecznicę. Koledzy są zaorani. Nie mogę.

– Ach, cóż mnie obchodzi lecznica! – oburzyła się pani Nina. – Zaraz rozmówię się z Rancewiczem i będzie pan wolny. Kolski skrzywił się.

– Nie chodzi tu o doktora Rancewicza i o zwolnienie, lecz po prostu nie wypada mi zmuszać kolegów do większej pracy z tej racji, że ja mam ochotę przejechać się na kresy.

Spojrzała nań z wyrzutem.

– Nazywa pan przejażdżką wyprawę po ratunek dla swego konającego szefa?

Kolski opuścił głowę i milczał. W istocie z zupełnie innych względów nie chciał towarzyszyć pani Ninie. Wiedział, jak bardzo Łucja jej nie cierpiała. Przypuszczał, że mogła go podejrzewać, na podstawie jego własnych zresztą listów, o bliższy stosunek z Dobraniecką.

Gdyby zjawił się tam wraz z nią, podkreśliłby tym samym, że posądzenia były słuszne. Więcej, bo wobec Łucji i wobec Wilczura wystąpiłby niejako w roli sojusznika Dobranieckich.

319

Nie chciał tego. Już i to, że podpisał się pod depeszą do Łucji, było z jego strony dostateczną ofiarą. Przekonał się o tym z depestry Łucji. Z depestry suchej, rzeczowej, bezosobistej. Dla niego nie dodała ani jednego słowa. Nawet pozdrowienia.

– Może pani towarzyszyć choćby sekretarz profesora – powiedział. Potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Musi pan jechać. Nie chodzi mi wyłącznie o towarzystwo.

– Więc o cóż jeszcze?

– Jest pan w dobrych stosunkach z nimi. Pańskie namowy będą skuteczniejsze od moich.

– Wcale nie jestem o tym przekonany.

– Ale nie można zaniedbać niczego, co mogłoby się przyczynić do skłonienia Wilczura, by zdecydował się na operację. Musi pan jechać. Nie ma pan wobec mnie żadnych długów wdzięczności i nie z tego tytułu pana proszę. Ale tu chodzi nie o mnie, lecz o mego męża.

Uważał, że dłużej nie może oponować.

– W takim razie – powiedział – musimy za pół godziny być na lotnisku.

Stamtąd zaledesujemy.

– Dziękuję panu – wyciągnęła doń ręce, a w jej oczach znowu pojawiły się

W niespełną godzinę po tej rozmowie siedzieli już w samolocie, który lekko oderwał się od ziemi. Dzień był typowo jesienny. Nad lotniskiem nisko zwisały czarne chmury. Siąpił drobny, lecz gęsty deszcz. Samolot zatoczył wielkie koło i wzbijając się coraz wyżej, wsiąknął w grubą warstwę chmur. Wewnątrz zapanował prawie półmrok. Po kilku jednak minutach zrobiło się nagle nieprawdopodobnie jasno. Ujrzeni nad sobą słońce w czystym, nieskazitelnym błękitcie, a pod sobą zastygłe morze białych, wełniastych wzgórz i kurhanów, bezkresne morze, na którym jedyną ciemną plamą był ich własny cień, cień samolotu.

Tymczasem w lecznicy przy młynie nie spodziewano się gości. Pacjentów dnia tego było mało, gdyż od rana lał deszcz tak gęsty, że nawet Jemioł nie zdecydował się na swoją zwykłą wyprawę do miasteczka. Klął pod nosem i chodził ponury, a nikt nie usiłował go zabawić, gdyż Donka musiała czuwać przy chorym, Łucja zajęta była swymi myślami, a Wilczur również nie zdradzał najmniejszej ochoty do rozmowy. Siedział w swoim pokoju i czytał.

Zaraz po kolacji, tłumacząc się zmęczeniem, położył się do łóżka. Za jego przykładem poszedł również Jemioł. Łucja zajrzała jeszcze do chorych, uporządkowała wszystko w ambulatorium i zabrała się do spisywania rachunków. Przy tym jak zwykle zamknęła drzwi fron-

towe. O tej porze bowiem nigdy albo bardzo rzadko zgłaszał się ktoś do lecznicy.

Wkrótce odłożyła pióro i zamyśliła się. Nie mogło ujść jej uwagi dzisiejsze przygnębienie Wilczura. Wprawdzie nikt dziś nie wyróżniał się wesołym usposobieniem, ale profesor rzadko tylko bywał tak przybity. W podobnym stanie widywała go w Warszawie. Musiał znowu przeżywać jakieś ciężkie wspomnienia. Należało wątpić, by zostały one obudzone wczorajszą depeszą. Intuicja mówiła Łucji, że raczej wchodzi tu w grę bal w Kowalewie. Dla niej pomimo przykrej rozmowy z panem Jurkowskim bal ten zawsze będzie miłym wspomnieniem.

Rozumiała jednak, że Wilczur o nim zupełnie inaczej myśli. Gdy tańczyła, odczuwała wyraźnie jego dezaprobatę. Nie naganę, nie potępienie, lecz jakby niezadowolenie. Może postąpiła źle, że tańczyła. Może w ogóle nie powinna go była namawiać do tej wizyty?...

Nie mogła jednak sobie z tego robić zarzutu. Tak mało ma przyjemności. Tak dalece wyrzekła się wszystkich rozrywek, że ma prawo oczekiwać od niego wyrozumiałości, gdy raz, raz jeden na wiele miesięcy zechciała się zabawić.

Rozmyślania te napełniły ją zniechęceniem i jakimś niewyraźnym smutkiem. Wstała. Postanowiła odłożyć rachunki do jutra i zaczęła układać papiery w szufladzie.

W tej właśnie chwili w okno uderzył jaskrawy blask elektrycznego światła.

Od strony młyna zbliżył się samochód.

– Cóż to może być? – zdziwiła się Łucja.

320

Przez szum deszczu wyraźnie dobiegał odgłos pracy motoru. Samochód zatrzymał się przed gankiem i po chwili zastukano do drzwi. Ponieważ w sieni było ciemno, Łucja wzięła lampę z ambulatorium i trzymając ją w ręku, otworzyła drzwi.

W pierwszej chwili nie poznała Dobranieckiej i zapytała:

– Czy przywiozła pani chorego?

– Musiałam się bardzo zmienić – odezwała się przybyła. – Jestem Dobraniecka.

Łucja odstąpiła o krok. Krew uderzyła jej do twarzy. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, ujrzała za Dobraniecką Kolskiego. Opanowała się.

– Proszę. Niech państwo wejdą.

Postawiła lampę na stole i stała obok wyprostowana z zaciśniętymi szczękami. Zjawienie się tu tej kobiety było wręcz cynizmem. Wzbudziło w Łucji z dawną mocą całą falę nienawiści.

Pani Nina zbliżyła się do niej i wyciągnęła rękę.

– Nie przywita się pani ze mną? – zapytała pokornie. Po chwili wahania Łucja podała jej końce palców, lecz ruchem tym wyraziła tyle pogardy, ile jej miała w sobie. Niemal równie obojętnie podała rękę Kolskiemu. W obawie, by rozmowa nie obudziła profesora, przeprowadziła ich do ambulatorium i po zamknięciu drzwi zapytała:

– Czy państwo nie otrzymali depeszy?

– Otrzymaliśmy, ale... – zaczęła Dobraniecką.

– Szkoda było tracić czas na podróż. Mogę powtórzyć pani tylko to samo, co było w depeszy.

– A czy zastałam profesora Wilczura? Za dwie godziny najpóźniej musimy wyjechać, by zdążyć na samolot. Łucja wzruszyła ramionami.

– Nie zatrzymuję. Tym bardziej że pani nie może zobaczyć profesora Wilczura. Jest późna noc. Profesor śpi po dniu pracy i nie mogę go budzić. Dobraniecką cała się trzęsła.

– Błagam panią. Błagam. Tu chodzi o życie mego męża. Oczy Łucji zwęziły się.

– A czy pani i pani mąż wtedy, kiedy nie potrzebowaliście Wilczura, umieliście znaleźć

dlań choć iskierkę ludzkiego uczucia? Jakim prawem, z jakim czołem przychodzi pani tutaj do człowieka, któregoście skrzywdzili, któregoście wyzuli z wszystkiego i omal 11ie zabiliście moralnie! Tak, bo to wy! Bo to pani mąż i pani sama byliście źródłem tych wszystkich łajdactw, którymi oplatano profesora. I teraz błagacie o łaskę? O! wiem dobrze, co o was sądzić. Ja wiem i profesor Wilczur wie. Jeżeli się czemu dziwię, to tylko temu, że tak późno dotknęła was zasłużona kara. Trzeba me mieć poczucia wstydu, by po tym wszystkim, co zaszło, zjawiać się tu, w domu profesora! Trzeba być cynicznym zwierzęciem, nie człowiekiem, żeby prosić go o ratunek!

Pani Dobraniecką ścisnęła skronie w obu rękach i powtarzała cicho:

– Boże... Boże... Boże...

Kolski milczący i blady stał, opierając się o poręcz krzesła, wpatrzony w iskrzące się nawiścią oczy Łucji. Nie słyszał tego, co mówiła. Chłonał w siebie jej obecność, upajał się tym, że ją widzi.

– Niegodna jest pani, by przestąpić próg tego domu. Każde pani dotknięcie jest brudem i obrazą. Na próżno pani tu przyjechała, bo brzydzę się nawet tym, że widzę panią upokorzoną. Nie zobaczy pani profesora!...

– Jakże okrutnie pani się mści! – wyszeptała Dobraniecką.

– To los się mści na was. Los, nie ja.

– Więc dlaczego pani nie chce umożliwić mi zobaczenia profesora? Czy to nie zemsta dyktuje pani tę nieustępliwość? » Łucja zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Nie zemsta, bo wie pani, co wczoraj powiedział profesor? Powiedział, że nie odmówiłby pomocy nawet największemu zbrodniarzowi.

– Więc czemuż nam jej odmawia?

– Bo jej dać nie może. Nie obudzę profesora i nawet mu nie wspomnę o tym, że pani była. Nie chcę mu zakłócać spokoju. Och, wy, z waszą chciwością i zazdrością, nawet nie rozumiecie tych szlachetnych wyzyn, tego bezmiaru dobroci, tego poświęcenia, których pełna jest dusza skrzywdzonego przez was człowieka. Poznają panią już w tym, że pani tu przyjechała. Bo oczywiście nie uwierzyła pani słowom mojej depechy. Sądziła pani, że to jest tylko wymysł. Co?... Prawda? Myślała pani, że to kłamstwo. Ze profesor Wilczur chciał przez to dać do zrozumienia, że nie odmówiłby pomocy, pomimo doznanych krzywd, gdyby tylko mógł? Otóż myli się pani. Wobec pani nie jestem zobowiązana do żadnych wyjaśnień, ale powiem pani. Niedawno wściekły pies pogryzł rękę profesora i od tego czasu, chociaż przeprowadzono potrzebną kurację, lewa ręka znajduje się w nieustannym drzeniu. Czy teraz rozumie pani, że profesor naprawdę nie może podjąć się operacji?

Pani Dobraniecką chciała coś powiedzieć, lecz Łucja przerwała jej ruchem ręki.

– Nie. Niech pani nie mówi. Niech pani nic nie mówi. Boję się, że usłyszę jakieś plugawe podejrzenie. Bo z tych ust, w których rodziły się najgorsze potwarze i oszczerstwa, niczego innego się nie spodziewam. Nie macie po co tu dłużej zostawać. Niech pani jedzie. Niech pani jedzie zaraz i pozwoli nam zapomnieć o sobie i swoim mężu!...

Dobraniecką niespodziewanie rzuciła się przed nią na kolana.

– Litości... Litości... – jęczała i wybuchła łkaniem. Lecz Łucja była niewzruszona.

– Niechże pani wstanie. To jest wstrętne!

I zwracając się do Kolskiego, powiedziała niemal rozkazująco:

– Niechże pan podniesie tę panią.

Kolski pomógł wstać pani Ninie i usadowił ją na krześle. Nie przestawała szlochać i przez kilka minut w pokoju rozlegało się jej łkanie. Wśród płaczu

zaczęła mówić:

– Strasznie pani mnie sądzi... Strasznie... Może zasłużyłam na to... Ale

zniosę wszystkie upokorzenia... Wszystkie... Tylko niech pani mi nie odmawia tej łaski...

Ja się muszę widzieć z profesorem...

– Po co? – krótko zapytała Łucja.

– Bo pan Kolski powiada, że niedowład ręki profesora nie jest nieprzewycięzoną przeszkodą. Ze przy pomocy asystentów profesor mógłby dokonać operacji jedną ręką...

Łucja wzruszyła ramionami.

– Dowodzi to tylko tego, że pan Kolski jest złym chirurgiem.

– Przepraszam, panno Łucjo – odezwał się po raz pierwszy. – Ale naprawdę to powiedziałem, i o ile mnie pani zna, wie pani, że niczego nie mówię na wiatr. Istotnie jest to zupełnie możliwe.

Łucja przecząco potrząsnęła głową.

– Nie mogę panu przyznać racji, gdyż wczoraj z ust samego profesora usłyszałam zdanie, że nie podjąłby się tej operacji.

– I ja bym się jej nie podjął – spokojnie odpowiedział Kolski. – Ale przecież gdybym był jedynym człowiekiem, który może ją przeprowadzić, zaryzykowałbym. Jestem przekonany, że profesor Wilczur, jeżeli jego odmowa nie była skutkiem innych względów, przyzna mi słusność.

Łucja spiorunowała go wzrokiem. Była do głębi oburzona jego zjawieniem się. Zrozumiała, że wyzyskał sposobność przyjazdu Dobranieckiej, by się tu zjawić, chociaż nie miał na to pozwolenia.

– Czyż muszę i panu – podkreśliła to z naciskiem – tłumaczyć, że profesor nie kierował się żadnymi „innymi” względami?

W sieni skrzypnęły drzwi i rozległo się człapanie pantofli. Wszyscy umilkli. Kroki wyraźnie kierowały się ku ambulatorium. Nic dziwnego. Smuga światła spod drzwi wskazywała, że to stąd dobiegają odgłosy rozmowy.

Drzwi się otworzyły i na progu ukazał się profesor Wilczur w szlafroku. Rozejrzał się i widocznie oślepiiony światłem zapytał:

– Panno Łucjo, co to takiego?

Zanim otrzymał odpowiedź, wzrok jego zatrzymał się na twarzy Kolskiego. W chwilę później poznał Dobraniecką, i instynktownie się cofnął. Dobraniecka wyciągnęła doń rękę.

– Panie profesorze! Ratunku! Przyjechałam prosić pana o ratunek! Wilczur długo nie mógł wydobyć z siebie głosu. Widok tej kobiety wstrząsnął nim do głębi. W jednej chwili w jego pamięci ożyły wspomnienia tych miesięcy, podczas których prowadziła ona przeciw niemu najzawziętszą kampanię, kiedy szczuła nań opinię publiczną, kiedy nie przebierała w najgorszych oszczerstwach.

– Błagam pana o ratunek, profesorze. Tylko pan jeden może go uratować! Litości... Litości...

Wilczur podniósł wzrok na Łucję.

– Czy pani nie wysłała depezy?

– Owszem, wysłałam.

– Otrzymaliśmy ją... – zaczęła Dobraniecka.

– Skoro pani otrzymała – przerwał Wilczur – więc wie pani, że nic nie mogę jej pomóc.

– Może pan, panie profesorze, może pan. Wilczur niecierpliwie się poruszył.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że pani nerwy nie są w porządku. Ale niech się pani uspokoi i zrozumie, że mówi pani do lekarza. Do uczciwego lekarza. Jeżeli odmówiłem pomocy, to

widocznie wiedziałem, że nie jestem w stanie jej udzielić. Rozumie pani? Nie gra dla mnie żadnej roli to, kto o moją pomoc zabiega. Gdyby ktoś, chcąc mnie zabić, sam się skaleczył, ratowałbym go tak samo jak każdego innego. Wiem, że pani niełatwo jest w to uwierzyć, gdyż różnimy się biegunowo w poglądach etycznych. Ale skoro pani nie wierzy moim słowom, niech pani uwierzy własnym oczom.

Wyciągnął lewą rękę, drgającą w tej chwili bardzo wyraźnie.

– Widzi pani. Jestem kaleką. Jeżeli operacja ma być tak trudna, że nie podjęli się jej najznakomitsi specjaliści, jakże tego może pani oczekiwać ode mnie w tym stanie? Nigdy nie byłem cudotwórcą. Jako chirurg mogłem wprawdzie szczerzyć się swoją znajomością przedmiotu i pewnością ręki, chociaż i tego niektórzy mi odmawiali. Byłbym szaleńcem, gdybym teraz, zdając sobie sprawę z mego defektu, uległ pani prośbom.

Trzymał jeszcze przez chwilę przed jej oczyma tę drżącą rękę, po czym powoli odwrócił się, zmierzając ku drzwiom.

Dobraniecka wpiła się palcami w ramię Kolskiego wołając:

– Niech pan nie pozwoli mu odejść. Niech pan mówi!

– Panie profesorze – odezwał się Kolski.

Wilczur zatrzymał się z ręką na klamce i obejrzał się.

– Co pan mi jeszcze chciał powiedzieć? Przecież pan sam jako chirurg najlepiej to rozumie.

– Tak, panie profesorze. Przyznaję panu rację, że nie mógłby się pan podjąć samodzielnego przeprowadzenia operacji nawet znacznie lżejszej. Ale... tu nie chodzi o operację osobiście dokonaną przez pana. Chodzi o pańską obecność, o ścisłą diagnozę, o instrukcje, o wskazówki przy samym zabiegu chirurgicznym.

Na ustach Wilczura pojawił się uśmiech.

– Czy pan wierzy, że taka operacja per procura może się udać? Kolski nie ustępował.

323

– Słyszałem o wypadkach, gdy mechanik okrętowy na pełnym morzu przeprowadził amputację nogi marynarzowi, nie mając pojęcia o anatomii i korzystając li tylko z wskazówek chirurga, nadawanych z któregoś portu przez radio. Operacja się udała...

Pani Nina powtarzała wciąż szeptem wśród płaczu:

– Błagam, profesorze... Błagam...

Wilczur stał przez dłuższą chwilę ze ściągniętymi brwiami.

– Podobne rzeczy mogą się czasem udać, gdy chodzi o wypadki nie skomplikowane. Lecz pytam pana powtórnie: czy wierzy pan, by tu można było zastosować podobny system? Kolski potrząsnął głową.

– Nie, panie profesorze. Ja w ogóle nie wierzę, by ta operacja mogła się udać. Stan chorego jest, moim zdaniem, beznadziejny. Ale... Przerwał mu głośniejszy szloch pani Dohranieckiej.

– Ale – ciągnął po chwili – moja wiara lub niewiara nie może tu wpłynąć na fakt, że istnieje możliwość uratowania pacjenta. Profesor Coleman określił ją jako szansę jedną na sto tysięcy. Jeżeli zaś pacjent oświadcza, iż jest przekonany, że w razie przeprowadzenia operacji przez pana profesora może spodziewać się znalezienia tej jednej szansy, myślę, że pan nie odmówi. Myślę, że pan nie powinien odmówić.

Wilczur, jakby zaskoczony, spojrzał mu w oczy.

– I dlaczegóż pan myśli, że nie powinienem? Kolski odpowiedział twardo:

– Byłem pańskim uczniem, panie profesorze.

W pokoju zapanowało milczenie.

Nie ulegało wątpliwości, że słowa Kolskiego wywarły wielkie wrażenie na Wilczurze.

Podszedł do okna i wpatrywał się w krople deszczu, ściekające po czarnej szybie. 2 boku

przed gankiem żarzyło się czerwone tylne światło samochodu, rzucając słaby odbłask na za-
błocony numer.

Wilczur nie odwracając się powiedział:

- Czy będzie pani taka dobra, panno Łucjo, i zechce pani przygotować moją walizkę?
- Zaraz to zrobię – cicho powiedziała Łucja. Nim zdążyła za sobą zamknąć drzwi, usły-
szała gwałtowny wybuch płaczu. To pani Nina upadła na kolana przed Wilczurem.
- Dziękuję. Dziękuję panu – wołała, usiłując chwycić jego rękę.
- Niechże się pani uspokoi – powiedział złamanym głosem.
- Do śmierci panu tego nie zapomnę... Uśmiechnął się ze smutkiem i machnął ręką.
- Proszę wstać i usiąść.

A zwracając się do Kolskiego, wskazał półkę na ścianie:

- Panie kolego. Tu znajdzie pan krople walerianowe. Kolski odłożył kapelusz, który dotąd
trzymał w ręku. Rozejrzał się wśród wielu flakonów i znalazłszy właściwy, odliczył do szkla-
neczki trzydzieści kropeł, bez pośpiechu dolał wody ze stojącej na stole karafki i podał pani
Ninie. Przez cały ten czas Wilczur przyglądał mu się z uwagą i jakby z namysłem. Wreszcie
położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

- Rzeczywiście był pan moim uczniem. I nie wstydzę się tego. Kolski poczerwieniał.
- Niech pan mi wierzy, panie profesorze, że nie zasłużyłem na tak pochlebną opinię o
mnie.

Wilczur zdawał się nie słyszeć jego słów, zajęty swoimi myślami. Myśli
zaś te musiały być nieprzeciętnej wagi, gdyż czoło profesora pokryło się głębokimi, pio-
nowymi fałdami. Nagle spojrział Kolskiemu prosto w oczy, spojrzeniem, w którym była decy-
zja:

- Przekonał mnie pan. I pojedę. Ale pod jednym warunkiem. Kolski z lekka zaniepokoił

się.

– Przypuszczam, że pani Dobraniecka zgodzi się na każde warunki.

– Tak, tak – potwierdziła Nina. – Przyjmuję wszystkie warunki z góry. Wilczur nie zwrócił na nią uwagi i mówił do Kolskiego;

324

– To nie jest warunek dla nikogo innego, tylko dla pana.

– Dla mnie? – zdziwił się Kolski.

– Tak. I podkreślam, że jest to warunek sine qua non.

– Słucham, panie profesorze.

– Otóż na czas mego pobytu w Warszawie pan, panie kolego, zostanie tutaj. Nie mogę porzucać, pan sam to powinien zrozumieć, swoich pacjentów. Doktor Kańska nie jest chirurgiem, a tu mamy dużo wypadków, gdzie konieczna jest pomoc chirurga. Zostanie pan tutaj, dopóki nie wrócę.

Kolski stał blady jak płótno. Niespodziewana propozycja Wilczura spadła nań jak nadmiar szczęścia, pod którym ugiwała się wyobraźnia. Zostać tu. Być razem z Łucją, widywać ją codziennie. Pracować razem, jak dawniej, jak w Warszawie... Najśmielszymi pragnieniami nie sięgał tak daleko. Już chciał odpowiedzieć, że zgadza się na warunek profesora, gdy zatrzymała go świadomość: jak też Łucja to przyjmie? Czy nie dopatry się w tym podstępu, czy nie będzie uważała go za intruza?... Zwłaszcza po tym, co usłyszał z jej ust, gdy mówiła do Dobranieckiej. W jej słowach mógłby dopatrywać się wręcz intencji zaliczenia go do wrogów profesora, których przez to samo Łucja uważała za swoich wrogów. Radość przebywania obok niej w ten sposób

zmienić się może w nieznośną torturę dla obojga.

– Nie wiem – zaczął niepewnym tonem – nie wiem, czy mogę sobie na to

pozwolić, panie profesorze.

– Dlaczego?

– W Warszawie mam moc pracy. Lecznica pełna... Poza tym prywatni pacjenci.

– Przecież musiał pan przekazać ich jakiemuś zastępcy?

– Tak... Ale w lecznicy... Doktor Rancewicz zwolnił mnie tylko na dwie doby.

Wilczur przyjrzał mu się uważnie.

– Panie kolego. Sądzę, że w tej sytuacji nie może to być argumentem, z którym należałoby się liczyć.

– Zapewne – jękał się Kolski. – Jednak z drugiej Strony... – Nie chcę wywierać na panu nacisku. Nie przypuszczałem, że pobyt tu byłby dla pana tak przykry. Wiem od doktor Kańskiej, że nieraz w listach do niej wyrażał pan zamiar odwiedzin u nas. W każdym jednak razie nie mogę cofnąć swojego warunku. Więc niech się pan zastanowi.

– Ależ tu nie ma o czym mówić. – Pani Dobraniecka zerwała się z krzesła. – Oczywiście, doktor Kolski zostanie. Rozmówienie się z Rancewiczem biorę na siebie. Byłoby czymś nieprawdopodobnym, gdyby Rancewicz mógł mieć jakiegokolwiek pretensje z tego tytułu. Nie rozumiem, dlaczego pan się opiera. Nie rozumiem tym bardziej, że przecież wiem, jak wielką sympatią pan darzy...

– Zgadzam się – szybko przerwał jej Kolski. – Zostanę, póki pan profesor nie wróci.

– Oto i wszystko w porządku – uśmiechnął się Wilczur. – Niewygody tu nie są znowu aż tak straszne. Zamieszka pan w moim pokoju. I proszę bardzo korzystać ze wszystkiego, co się panu przyda. Bo pewno rzeczy niewiele pan tu ze sobą zabrał.

Kolski potrząsnął głową.

– Wcale nie zabrałem.

– Więc da mi pan swój warszawski telefon i zaraz po przyjeździe zadzwonię, by panu wszystko potrzebne wysłali.

– Już ja to załatwię – wtrąciła Dobraniecka.

– Nie zaszkodzi też panu, kolego, zapoznanie się z tutejszymi warunkami i z tutejszymi ludźmi. Ot, krótkie wakacje, chociaż pogoda nie wakacyjna. Kolski po namyśle powiedział:

– Chciałbym tylko prosić pana profesora o jedno...

325

– Słucham.

– Chciałem prosić, by... pan profesor zechciał zakomunikować panie Łucji, że inicjatywa mego tu pozostania wyszła od pana i że postawił pan to jako warunek swego wyjazdu do Warszawy.

Wilczur odpowiedział nieco zdziwiony:

– Ależ owszem. Mogę jej to powiedzieć.

Pani Dobraniecka niecierpliwie spoglądała na zegarek.

– Tak boję się, byśmy się nie spóźnili na lotnisko. Drogi są nieprawdopodobnie zabłocone, i na wszelki wypadek wołałabym wyjechać jak najwcześniej. Naturalnie, jeżeli pan profesor może.

Wilczur skinął głową.

– Zaraz się ubiorę. Za dziesięć minut będę gotów do wyjazdu. Przeszedł do swego pokoju, gdzie Łucja kończyła pakowanie. Pomógł jej zamknąć walizkę.

– Bardzo pani ze mnie niezadowolona, panno Łucjo? – zapytał. – Niechże się pani zastanowi, jak w podobnym wypadku postąpiłaby pani sama.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Nie wiem, jakbym postąpiła na pańskim miejscu.

Ale gdybym to ja miała ratować tego człowieka, nie poruszyłabym ani jednym palcem. Taki potwór nie zasługuje na to, by żyć. Im prędzej się świat od niego uwolni, tym lepiej.

Uśmiechnął się.

– Odważna jest pani.

– Odważna? – zdziwiła się.

– Uzurpuje sobie pani Boskie prawo osądzania. Jeżeli już jednak pani to robi, to trzeba jednocześnie przywłaszczyć i inną Boską cechę: miłosierdzie. No, ale nie będziemy dyskutowali, bo nie mamy teraz na to czasu. Muszę się prędko ubrać.

– Nie zabawi pan w Warszawie chyba długo? – zapytała od drzwi.

– O, nie. Ani godzinę dłużej niż będzie trzeba. Aha. Żeby się tu pani nie nudziło i żeby pani miała pomoc, zostanie tu doktor Kolski. Prosiłem go o to. Nawet żądałem tego, by został do mojego powrotu. Nawet bardzo się wzbraniał, ale musiał się zgodzić, bo postawiłem to jako warunek.

Łucja patrzyła nań szeroko otwartymi oczami. – Wzbraniał się?... Jeżeli tak bardzo się wzbraniał, to nie rozumiem, po co pan go do tego zmuszał. Doskonale sama sobie dam radę. Zwłaszcza że doktor Pawlicki zagląda tu prawie codziennie.

– No, nie zawsze, nie zawsze – łagodnie sprostował Wilczur.

– A poza tym nie rozumiem... Przerwał jej:

– Uzgodnimy to innym razem. Tymczasem muszę się szybko ubierać. Gdy wyszła, ubrał się prędko i po pięciu minutach zjawił się już w palcie i z walizką w ręku w sieni. W paru zdaniach wydał Łucji instrukcje co do różnych spraw lecznicy, po czym serdecznie pocałował ją w rękę i wyszedł na ganek, gdzie już czekała pani Dobraniecka. Pod gęstym deszczem przeszli do samochodu. Był to duży, ciężki wóz, nieco przestarzałego typu, lecz mimo to wygodny i osadzony na dobrych resorach. Pomimo błota na trawie, szedł równym tempem. Do-

świadczony kierowca trafnie wymijał większe kałuże i ryzykowniej sze wyboje.

Pani Dobraniecka usiłowała nawiązać z Wilczurem rozmowę, lecz ten zbywał ją monosylabami. Gdy nie ustępowała w poszukiwaniu wciąż nowych tematów, powiedział jej wreszcie: – Jestem zmęczony, proszę pani. Spróbuję się zdrzemnąć.

Zrozumiała i umilkła.

Na razie wprawdzie o drzemce nie mogło być mowy, gdy jednak po godzinie wóz skręcił z traktu na szosę, profesor Wilczur, oparłszy się o poduszki siedzenia, zamknął oczy i zasnął.

Na lotnisko przybyli o przeszło godzinę za wcześnie. Wolny czas poświęcił Wilczur na napisanie listu do Łucji, z przypomnieniem paru spraw, o których wyjeżdżając nie pamiętał.

326

W dwie godziny później byli już na warszawskim lotnisku i wprost z Okęcia pojechali do lecznicy. Gdy samochód zatrzymał się przed podjazdem, Wilczur nie od razu mógł wysiąść. Nagle opuściły go siły. Widok gmachu, w którym tyle lat spędził, widok instytucji, którą sam stworzył, ścisnął mu serce. Z opuszczoną głową wszedł do środka i odruchowo z hallu skierował się ku swemu dawnemu gabinetowi. Pani Dobraniecka, która go wyprzedziła, zdążyła już komuś powiedzieć o jego przyjeździe. W przeciągu minuty na wszystkich piętrach wiadziano już o tym. Wiedzieli wszyscy, lecz nikt nie chciał wierzyć. Na spotkanie Wilczura wybiegł Rancewicz, doktor Michałowski, Kotkowski i inni lekarze. Otoczyli go kołem, ściskali ręce i wciąż nie wierzyli własnym oczom.

Było coś tragicznie nieprawdopodobnego w tym, że ten człowiek zdecydował się na krok tak wielkoduszny, na ponadludzkie zaparcie się siebie,

Gdy przedwczoraj dowiedziano się, że pani Dobraniecka wraz z Kolskim wyjechali do Radoliszek, by błagać Wilczura o przyjazd, wszyscy wzruszali ramionami. Nikt ani przez

moment nie przypuszczał, by Wilczur dał się uprosić. Jeden Rancewicz, który go znał najdawniej i najlepiej, powiedział:

– Ludzie się zmieniają. Może i on się zmienił. Ale jeżeli się nie zmienił, nie trzeba tracić nadziei. I dodał po chwili:

– Inna rzecz, czy jego przyjazd na co się przyda. Dobraniecki może nie dożyć do rana, a i operacja... Porównałbym tę operację z loterią, w której nie ma ani jednej wygranej.

Rzeczywiście, od dwudziestu czterech godzin stan Dobranieckiego wydatnie się pogorszył.

Chory tracił raz po raz przytomność, a gdy ją odzyskiwał na krótko, charczał z bólu, gdyż już głosu z siebie wydobyć nie mógł. Nastąpiła też radykalna zmiana w objawach. Mianowicie w zaburzeniach słuchowych i wzrokowych. Narzekał teraz, że jest ciemno, i chociaż powiększono oświetlenie, nie rozróżniał twarzy osób najbliższej stojących. Chwilami głuchł zupełnie, i domagał się, by głośniejsze doń mówiono.

Jeszcze przed pójściem do chorego profesor Wilczur odbył długą konferencję z Rancewiczem i z tymi lekarzami, którzy pielęgowali Dobranieckiego. Przedstawiono Wilczurowi obszerny i starannie sporządzony opis choroby oraz wykaz dokonanych badań i analiz. Musiał w duchu przyznać, że niczego nie zaniedbano. Zanotowano wszystkie objawy, nie pomijając nawet takich, które pozornie nie mogły mieć żadnego znaczenia, ani takich, których obserwujący lekarz nie umiał sobie wytłumaczyć. Posługując się tak obfitym materiałem, Wilczur mógł sobie wyrobić pogląd na stan chorego i na rodzaj choroby. Załączone diagnozy i opinie konsyliów zdawały się zawierać słuszny pogląd, że w okolicy mózdzku (według opinii Collemana między mózdzkiem a korą mózgową) wytworzył się nowotwór powstały ze zwyrodnienia tkanki pajęczkiej lub też miękkiej opony mózgowej.

Rancewicz też skłaniał się ku temu pogładowi, dodając, iż sam Dobraniecki wyraził zdanie, że początku nowotworu dopatruje się gdzieś w okolicy szyszynki, a to z tej racji, że

pierwsze objawy choroby dotyczyły przemiany materii. Początkowo on sam, jak i inni lekarze, którzy go badali, oskarżali o to złe funkcjonowanie wątroby.

– Tak – przyznał Wilczur. – Wydaje mi się, że Dobraniecki miał rację. Niedokładność w pracy wątroby bardzo często bywa objawem wtórnym na tle niedostatecznej sekrecji gruczołu szyszkiowego. Jeżeli jednak istotnie nowotwór tam się zagnieździł, usunięcie go przedstawiać będzie nader poważne trudności. Niewątpliwie stwierdzić można, że również ulegają naciskowi corpora quadrigemina. Wskazują na to aż nadto wyraźnie zaburzenia słuchowe i wzrokowe. Również i mózdzek jest zaatakowany. Wynikałoby stąd, że rozgałęzienia nowotworu idą w różnych kierunkach i są powikłane. Zamyślił się, a Rancewicz zapytał:

– Czy w takim stanie rzeczy operacja w ogóle może mieć sens?

– Nie wiem. Zobaczę – odpowiedział Wilczur. – Chcę teraz go zbadać.

327

Dobraniecki był przytomny, nie poznał jednak Wilczura, który od razu zauważył u chorego objaw ważny, a nie zanotowany w historii choroby: rozszerzone źrenice. Dawało to podstawę hipotezie, że zmniejszyła się wydajność również i przysadki mózgowej, gdyż rozszerzenie źrenic mogło być skutkiem jedynie nadmiernej produkcji nadnercza, produkcji regulowanej właśnie przez hormony przysadki. To z kolei nasuwało myśl, że rozmiar nowotworu istotnie musi być pokaźny, skoro jego nacisk poprzez most działa na przysadkę. Oznaczałoby to, że aquaeductus Sylvii jest przyciśnięty i połączenie między trzecią a czwartą komorą przerwane. Dalszy ciąg badań nic nowego nie wniósł do koncepcji Wilczura. Ponieważ zaś praca serca była dostatecznie intensywna i ciśnienie krwi nie spadało poniżej 100, uznał, że można przeprowadzić operację.

Wieść o tym natychmiast rozeszła się po całym gmachu. Wobec tego, że Wilczur ze względu na stan swojej lewej ręki nie mógł osobiście przeprowadzić zabiegu, operować miał

doktor Rancewicz, w asyście specjalisty od chirurgii mózgu, doktora Henneberga z Poznania, który już od tygodnia bawił w Warszawie.

Operacja została wyznaczona na godzinę dziesiątą wieczór. Tymczasem Wilczur z Rancewiczem i Hennebergiem zamknęli się w gabinecie anatomicznym. Tu na modelu mózgu Wilczur zaczął objaśniać szczegółowo swój pogląd na położenie i rozgałęzienie nowotworu. Oczywiście do czasu otwarcia czaszki wszystko to opierało się tylko na jego hipotezach, ale obaj słuchacze starali się nie uronić ani jednego słowa objaśnień, obaj bowiem wierzyli w to, że hipotezy Wilczura wynikają z jego zdumiewającej intuicji, z intuicji graniczącej z geniuszem.

– Tak się, moim zdaniem, przedstawia sprawa – zakończył swój wykład. – Przyznaję, że operacja jest niezmiernie trudna i mało zostaje nadziei na jej powodzenie, wzięwszy pod uwagę to, że kilka cięć, że ściśle mówiąc, osiem lub dziewięć cięć trzeba będzie wykonać na ślepo, bez posługiwania się wzrokiem, a ufając jedynie swemu zmysłowi dotyku.

– A to ładnie nas pan pociesza, profesorze – skrzywił się Rancewicz. Henneberg wstał i odsunął krzesło.

– Ja głosuję za zrezygnowaniem z operacji.

– Jestem przeciwnego zdania. – Wilczur potrząsnął głową.

– Ależ to przechodzi ludzkie możliwości!

– Wobec tego – poważnie powiedział Wilczur – należy wydobyć z siebie możliwości nadludzkie. Według mnie, pacjent w razie zaniechania operacji nie przeżyje do jutrzejszego wieczora. Ryzyko zatem jest żadne. Nie byłbym za operacją, gdyby nie fakt, że szczęśliwe wycięcie nowotworu z całą pewnością uratuje mu życie. Nie tylko uratuje życie, lecz pozwoli powrócić do zdrowia. Moi

panowie. Chodzi tu o mechaniczne usunięcie narośli, a to właśnie należy do zadań chirurgii.

Przyznaję, że w danym wypadku zadanie jest trudne. Może najtrudniejsze z tych, jakie spotkałem w życiu. Niemniej jednak uważam za swój obowiązek powiedzieć panom, że żadnemu chirurgowi nie pochwalalbym cofnięcia się przed nim. Zwłaszcza wtedy, gdy cofnięcie się oznacza bezapelacyjną śmierć chorego.

– Ma profesor rację – przyznał Rancewicz, wstając również i spoglądając na zegarek. –

Przystępuję do operacji, co tu ukrywać, przeświadczony o fiasku, lecz przystąpić należy.

Poklepał po ramieniu Henneberga.

– No, kolego. Więcej ducha. Niech pan nie zapomina, iż jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że będziemy mieli przy operacji rezerwę w osobie profesora Wilczura. Jeżeli w trakcie zabiegu okaże się, że coś jest inaczej, niż tu przewidywaliśmy, otrzymamy natychmiastową radę.

Punktualnie o godzinie dziesiątej przywieziono Dobranieckiego do sali operacyjnej i

uśpiono. Wstępnych zabiegów, czyli otwarcia czaszki, miał dokonać docent Biernacki, przy

328

asyście doktora Żuka, Gdy trepanacja dobiegła końca, do sali wszedł profesor Wilczur wraz z

Hennebergiem i Rancewiczem. Wokół zebrali się niemal wszyscy lekarze obecni w lecznicy.

Profesor Wilczur zbliżył się do stołu i pochylił się nad otwartą czaszką.

Wszystko zdawało się potwierdzać trafność diagnozy. Na miejscu kości potylicznych,

trzema wypukłościami wystawał odkryty mózg: dwa białe płaty kory mózgowej gęsto pokryte

różowymi i sinawymi siatkami naczyń krwionośnych, a spod nich wystający szary, gąbczasty

mózdzek o prążkach wyraźnie wyginających się w środku ku rdzeniowi pacierzowemu.

Wzdęcie opony świadczyło o tym, że jakieś nie przewidziane przez naturę ciało wewnątrz

układu mózgowego wypycha płyn mózgowordzeniowy. Profesor wyprostował się, poprawił

maskę i skinął głową w stronę Rancewicza i Henneberga, po czym odstąpił i stanął koło doktora Żuka, trzymającego rękę na pulsie operowanego. Mógł stąd z największą dokładnością widzieć pole operacyjne i śledzić ruchy rąk Rancewicza i Henneberga.

Rozległ się pierwszy brzęk niklowych narzędzi na szklanym blacie. Operacja była rozpoczęta.

Wśród śmiertelnej ciszy długie, wąskie palce Rancewicza precyzyjnie poruszały się, połykając w jaskrawym świetle niklem narzędzi. Na tych palcach skupione były oczy wszystkich obecnych. Mijały minuty.

Wreszcie w rozchyleniu trzech płatów ukazał się fioletowy, a miejscami żółty koniec narośli.

Teraz pokryte gumowymi rękawicami dłonie Henneberga przytrzymywały rozchylenie zwiększając je stopniowo w miarę jak posuwał się lancet Rancewicza. Dotychczas przewidywania profesora Wilczura sprawdzały się z całą dokładnością. Istotnie nowotwór uciskał powierzchnię mózdzku, lecz uciskał swoim odgałęzieniem, które grubiało w miarę posuwania się w głąb. Mogło

uchodzić za rzecz pewną, iż głównym siedliskiem nowotworu jest przestrzeń między spodłem wielkim, mózdzkiem, szyszynką i czterema szarymi poduszeczkami corpora quadrigemina. Nie można było jeszcze wiedzieć, czy boczne rozgałęzienia nie sięgają pod prawą i lewą półkulę.

Od czasu do czasu oczy operującego podnosiły się i spotykały wzrok Wilczura. Wówczas rozlegał się przytłumiony głos profesora:

– Dobrze.

I operacja szła dalej. Nie można tu było sobie pozwolić na żaden pośpiech, a każdy ruch wymagał niezmiernie wyętej uwagi. W trzydziestej drugiej minucie nieruchome ciało ope-

rowanego gwałtownie poruszyło się. Jakiś nieostrożny ruch Rancewicza spowodował nieświadomą reakcję mięśni. Przez jedną chwilę w oczach wszystkich obecnych zamigotał niepokój, a Rancewicz, zdenerwowany, przerwał operację. Nie było żadnego uszkodzenia mózgu i drobny ten wypadek właściwie nie miał znaczenia. Wpłynął jednak fatalnie na poczucie pewności siebie u operującego.

Dla wszystkich stało się to widoczne. Ruchy lancetu oddzielającego nowotwór od otoczenia były coraz mniej pewne, coraz wolniejsze. Na brwiach i powiekach Rancewicza wystąpiły małe kropelki potu. Coraz częściej wahał się, coraz częściej przerywał.

A zbliżała się właśnie najtrudniejsza faza operacji. Widoczność pola stawała się coraz gorsza. Wszyscy zrozumieli, że musi się to zakończyć katastrofą.

Doktor Henneberg rzucił Wilczurowi przerażone spojrzenie. Na szarej, prążkowanej powierzchni mózgdzku bezwładnie leżał wyrostek nowotworu, przypominający język jakiegoś płaza. Płaza ukrytego gdzieś w głębi. Niemal na oślep trzeba się było dobrać do jego gardzieli.

Niespodziewanie Rancewicz wyprostował się i rozkładając ręce, powiedział głośno:

– Nie mogę. Nie potrafię...

329

– Ależ wszystko idzie doskonale – uspokajająco odezwał się Wilczur. – Niech pan teraz oddzieli z góry od prawej półkuli i już będzie pan miał dostęp do spoidła.

Ton jego głosu przywrócił widocznie równowagę nerwom Rancewicza, który znowu wziął lancet do ręki. Po dwóch minutach jednak nowe poruszenie się operowanego wskutek niebacznego dotyku Rancewicza wytrąciło go ponownie z pewności siebie. Odstąpił i bez słowa potrząsnął głową. Stało się jasne, że nie może operacji przeprowadzić do końca.

– To jest beznadziejne – odezwał się któryś z lekarzy.

– Tak – kiwnął głową Henneberg. – Trzeba zamknąć czaszkę.

– Niech pan trzyma – rozległ się ostry, rozkazujący głos Wilczura. Zanim obecni zdążyli zorientować się w jego zamiarach. Wilczur zajął miejsce Rancewicza, wziął lancet i pochylił się nad otwartą czaszką. Wszystkich ogarnęło zdumienie. Tak niedawno widzieli przecież drgającą bez przerwy dłoń profesora. Teraz ruchem pewnym ujęła koniec nowotworu, podczas gdy druga trzymając lancet w wielkich i pozornie niezgrabnych palcach wykonywała szybkie, sprawne ruchy.

Widocznie pod wpływem silnego napięcia woli drgania ręki ustały.

Niemal wszyscy spośród asystujących przy operacji znali Wilczura od dawna i widzieli go nieraz przy pracy. Poznawali go teraz, poznawali takim, jakim był dawniej. Ogromne ręce zdawały się zakrywać całe pole operacyjne, zdawały się grzebać w tej białej i szarej masie, miętosić ją i gniesć. Wprost nie do uwierzenia było, że dotykają mózgu tak lekko i ostrożnie, że niemal wcale niewyczuwalnie.

Mijała minuta za minutą, każda długa jak wiek. Oczy patrzących przenosiły się z rąk Wilczura na jego półprzymknięte oczy i na brwi ściągnięte wyrazem skupienia.

Gdzieś na dole rozległo się jedenaście uderzeń zegara. Mała metalowa łyżeczka zanurzyła się głęboko i ledwo dostrzegalnymi ruchami badała teren. Trwało to bardzo długo. Wreszcie z brzękiem upadła na szklaną płytę, a zastąpił ją równie mały, wąski nóż o krótkim ostrzu.

Obecni wstrzymali oddech. Niespodziewanie pośród białych zwojów ukazało się kilka kropel przezroczystego lekko mętawego płynu. Ujrawszy to Henneberg był przekonany, że Wilczur przerwie operację. Było jasne, że gdzieś została przecięta opona pajęczna.

Profesor jednak nie przerywał.

– Czyżby nie widział? Czyżby nie zauważył? – pomyśleli jednocześnie Henneberg i stojący tuż za nim Rancewicz.

Niežnośny żar jupiterów stawał się nie do wytrzymania.

Nagle Wilczur zanurzył dwa palce między rozchylone półkule i powoli wydobył z wnętrza coś, co przypominało rozgwiazdę morską o kolorze sinawofioletowym z żółtawymi brzegami.

Docent Biernacki natychmiast podał mu lupę i Wilczur uważnie milimetr po milimetrze obejrzał wycięty nowotwór. W niektórych miejscach było na nim kilka skaz i zadrapań, lecz mogło uchodzić za pewne, że został wyjęty w całości, że wewnątrz nie pozostało nic.

– Można zamykać – ochrypniętym głosem powiedział Wilczur.

Pielęgniarka zbliżyła się doń, trzymając słoje z formaliną. Profesor wyciągnął rękę, by wrzucić do niego nowotwór, lecz nie trafił i kawałek sinawego mięsa spadł na podłogę. Ręka dygotała znowu.

Biernacki i Żuk przystąpili do swojej pracy. Wilczur bez słowa skierował się do rozbieralni i tu ciężko opadł na krzesło. Był niesłychanie zmęczony i wyczerpany nerwowo. Operacja trwała godzinę i pięćdziesiąt osiem minut. Do rozbieralni weszli Henneberg, a za nim Rancewicz i inni. Nikt nie odezwał się ani słowem. W milczeniu zdejmowali kitle, rękawice i maski. Henneberg pomógł przebrać się Wilczurowi.

Dopiero po dłuższym odpoczynku Wilczur zszedł na dół, do dawnego swego gabinetu.

Wkrótce zebrali się tu wszyscy. Teraz dopiero Biernacki zapytał:

– Czy pańskim zdaniem będzie żył, panie profesorze?

– Nie wiem – odpowiedział Wilczur.

330

– Przecież operacja się udała.

– Teoretycznie tak. Nie mogę jednak być, pewien, czy nie doznał uszkodzenia mózgu od strony wewnętrznej. To jedno. A drugie, czy operacja w ogóle nie była spóźniona. Będziemy wiedzieli to dopiero po ustaniu działania narkozy.

Zwrócił się do Rancewicza:

– Oczywiście zarządził pan zastrzyki wzmacniające?

– Naturalnie, profesorze. Wilczur wstał.

– No, to na razie nie mam tu nic do roboty – powiedział. – Jestem głodny. Do widzenia panom.

Zarówno Biernacki jak i Rancewicz zaczęli go prosić, by skorzystał z gościny u nich, lecz kategorycznie odmówił:

– Dziękuję wam bardzo, koledzy, ale mam inne plany.

Nie miał żadnych planów. Po prostu chciał być sam. Wstąpił do niedużej restauracyjki, zjadł tam kolację i poszedł do najbliższego, taniego hotelu, dokąd przedtem odesłał swoją walizkę. Przed udaniem się na spoczynek dowiedział się od portiera, że pociąg do Wilna odchodzi nazajutrz o godzinie dziesiątej rano. Najwygodniejszy, bo pośpieszny. Wilczur jednak nigdzie się nie spieszył i dlatego postanowił jechać osobowym o dwunastej w południe.

Nie miał zamiaru dłużej pozostawać w Warszawie. Ani zamiaru, ani ochoty. Musiał wszakże odwiedzić nazajutrz Dobranieckiego i sprawdzić jego stan. Wiedział dobrze, że jeżeli Dobraniecki przeżyje dzisiejszą noc, obawa śmierci zupełnie będzie istniała.

Wiejskim zwyczajem wstał bardzo wcześnie, zjadł śniadanie, które podała mu zaspana pokojówka, i poszedł do lecznicy. Dyżurny lekarz przyjął go wieścią pomyślną:

– Dobraniecki żyje, panie profesorze. Doprawdy nie wiem, jakie mam panu profesorowi składać gratulacje. Od piętnastu lat praktykuję, a jeszcze przy takiej operacji nie byłem. Pan jest cudotwórcą, panie profesorze.

Wilczur machnął ręką.

– Niech pan da spokój, panie kolego. Wieloletnie doświadczenie i trochę wrodzonych zdolności. Ani jedno, ani drugie nie jest moją zasługą. Niech mi pan lepiej powie, jaki jest

stan chorego.

Lekarz zdał szczegółową relację, kończąc ją tym, że Dobraniecki obecnie śpi. Podczas tej rozmowy przyjechał Rancewicz i obaj z Wilczurem udali się na pierwsze piętro.

Dobraniecki rzeczywiście spał. U wezłowania siedziała pielęgniarka. Oddychał spokojnie i miarowo. Wychudzona podczas choroby twarz świadczyła o ostatecznym wyczerpaniu organizmu. Gdy Wilczur dotknął palcami pulsu, chory podniósł powieki. Był przytomny. Od razu poznał Wilczura. Na zielonej jego twarzy zjawił się nikły rumieniec.

– Więc jednak pan przyjechał – odezwał się ledwo dosłyszalnym głosem. – Zdaję sobie sprawę, jak wielka to dobroć ze strony pana... Jestem tak bardzo chory, trudno mi zebrać myśli. Zdaje się, że nie ma dla mnie ratunku... Tylko panu wierzę... Niech pan sam uzna, czy można i czy warto robić operację,

Rancewicz uśmiechnął się.

– Już jest po operacji.

Powieki Dobranieckiego załopotwały.

– Jak to?... Po operacji?...

– Tak. Pan profesor Wilczur operował pana wczoraj wieczorem i dzięki Bogu, operacja się udała.

Chory przymknął oczy, a Rancewicz dodał:

– Będzie pan żył.

Spod zamkniętych powiek Dobranieckiego zaczęły spływać łzy. Minęła dłuższa chwila, zanim otworzył oczy i spojrzał na Wilczura tak, jakby czekał odeń potwierdzenia.

331

– Będzie pan żył – skinął Wilczur głową. – Pańska autodiagnoza była słuszna. Nowotwór rzeczywiście powstał w okolicy szyszynki, ale jego różgałęzienia sięgały na mózdzek i pod

obie półkule. Udało się nam usunąć wszystko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa już po trzech tygodniach będzie pan zupełnie zdrow.

Po chwili milczenia Dobraniecki powiedział:

– Nie wiedziałem... Nie wiedziałem, że człowiek może być zdolny do tak wielkich przebaczeń.

Wargi Wilczura poruszyły się. W oczach zjawił się błysk, lecz zgasł natychmiast i Wilczur nic nie odpowiedział.

– Nie umiem wyrazić wdzięczności, którą czuję – odezwał się po pauzie Dobraniecki. –

Nawet... nawet po panu nie spodziewałem się tego. Wilczur chrząknął.

– No, na mnie już czas. Życzę pomyślnej rekonwalescencji i żegnam. Skinął głową, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Na skrzyżowaniu korytarzy czekała nań pani Nina. Rzuciła się doń z bełkotem dziękczynień, chwyciła za rękę i ściskając ją mocno, płakała i śmiała się na przemian opowiadając mu chaotycznie przebieg operacji, tak jakby z jej świadomości znikło to, że on najlepiej i najwięcej może o tym wiedzieć. Wreszcie uspokoiła się nieco i zapytała:

– Czy to prawda, panie profesorze, że Jerzy będzie żył?

– Prawda. Nic mu już nie grozi.

– Ach, panie profesorze... Gdy w nocy zawiadomiono mnie o tym, myślałam, że oszaleję ze szczęścia. I wtedy dopiero zrozumiałam, jak wielką pan ma duszę. Pan jest aniołem!

Wilczur potrząsnął głową.

– Nie. Ale jestem człowiekiem.

Umyślnie zszedł bocznymi schodami, by uniknąć pożegnań i niepostrzeżenie wymknąć się z lecznicy. Wstąpił do hotelu, uregulował rachunek i poszedł pieszo na dworzec. Tu w poczekalni usiadł na ławce. Obok był kiosk z gazetami. Mimo woli oczy zatrzymały się na wielkim tytule: „Sensacyjna operacja mózgu. Profesor Wilczur w Warszawie. Przyjechał ze swej pustelni, by ratować życie przyjacielowi i koledze”.

Wilczur odwrócił głowę i pomyślał:

– Oto miasto. Miasto z jego krzykiem, z jego prawdą, z jego pustką...

Rozdział XVI

Gdy tylko roztopił się w szumie deszczu odgłos oddalającego się motoru, a na brzozech, którymi był trakt wysadzany, zgasły ostatnie smugi reflektorów, Łucja powiedziała:

– Zaraz przygotuję dla pana pokój profesora.

– Czy mogę pani w tym dopomóc? – zapytał nieśmiało Kolski.

– Nie. Dziękuję – odpowiedziała stanowczo i chłodno. – Sama sobie dam radę.

– A nie przeszkodzę pani, jeżeli będę przy tym obecny?

– Och, to mi jest zupełnie obojętne. Podczas gdy zamykała drzwi, zauważył:

– Nie sądziłem, że państwo się tutaj tak dobrze urządzili. Toż to prawdziwa lecznica. A co jest w tamtym pokoju?

– Tam leżą chorzy – krótko odpowiedziała Łucja. Zmiana tematu nie przyczyniła się do przełamania lodów i Kolski powiedział:

– Pani, zdaje się, jest bardzo na mnie zagniewana. Żywi pani do mnie urazę o to, że namówiłem profesora do wyjazdu.

– Myli się pan. Nie żywię żadnej urazy.

– Więc nie może mi pani darować tego, że tu zostałem. Ale proszę mi wierzyć, że profesor ode mnie zażądał tego.

332

– Wiem. Mówił mi. Mówił mi również, że perspektywa pozostania tutaj tak pana przerażiła, że aż się pan bronił rękami i nogami.

– Dobrze pani wie dlaczego. Obawiałem się, że pani będzie z tego niezadowolona. Nie chciałem się narzucać. Zostać tu po to, by być uważanym za intruza...

– Któż panu powiedział, że uważam pana za intruza?

– Gdyby miało być inaczej – powiedział cicho – pozwoliłaby mi pani już dawniej przyjechać.

– To co innego – odpowiedziała po pauzie. – Ale skoro już pan tu jest... Mam okazję do wykazania staropolskiej cnoty gościnności.

Ujęło ją zażenowanie Kolskiego i już w nieco lepszym humorze zabrała

się do słania dlań łóżka. Wydobywszy z szuflady piżamę Wilczura, zaśmiała się:

– Będzie pan w tym wyglądał jak w skafandrze. Dałabym panu swoją, lecz w mojej się znowu pan nie zmieści. Boże drogi, ile ja mam z panem kłopotu! No, a teraz dobranoc. Moi pacjenci wcześniej przyjeżdżają i nie zawsze zachowują się zbyt cicho. Niewiele panu czasu zostało na wypoczynek.

Podąła mu rękę, którą Kolski ucałował, i wyszła. Przez kilka jeszcze minut słyszał jej krzątanie się w sąsiednim pokoju. Później zapanowała cisza. Rozebrał się i położył do łóżka. Chociaż zamiast miękkiego materaca był zwykły siennik, zasnął prawie natychmiast.

Istotnie już o siódmej rano obudził go głos prowadzonej pod oknami rozmowy. Zerwał się i usiadł na łóżku. Ludzie na dworze rozmawiali niezwykle głośno, przyzwyczajeni widocznie do nawoływania się w lesie. Wyjrzał przez okno. Deszcz ustał, lecz niebo było wciąż powleczone grubym kożuchem chmur. Położył się i spróbował znów zasnąć. Obok w sieni jednak zaczęło płakać głośno jakieś niemowlę, a z daleka, prawdopodobnie z ambulatorium, w którym był w nocy, rozległ się przeraźliwy wrzask jakiejś kobiety. Widocznie Łucja robiła komuś opatrunek bolesnej rany.

Wczoraj powiedział Łucji, że jest pełen podziwu dla lecznicy. Nie powiedział prawdy. Pułstawa, ponura sień, ordynarna podłoga, małe, chłopskie okienka z krzywymi szybami, wszystko to wywarło na nim przygnębiające wrażenie. Ścisnęło mu się serce na myśl, że ona

dobrowolnie się skazała na to prymitywne życie, że wyrzekła się wszelkich wygod, jakie daje cywilizacja, i wszelkich przyjemności, jakie miałyby w środowisku kulturalnym. Przecież w tej głuchej okolicy nie mogło być ani teatru, ani kina, ani bibliotek, ani ludzi, którzy by dorównywali jej poziomem umysłowym i rozległością zainteresowań.

Teraz rozglądał się po izbie. Proste sprzęty, sklecone z sosnowych desek, nagie ściany, gdzieś przystrojone tanimi kilimami. Za oknami szary, ponury dzień i człapanie nóg po błocie. Obok dokuczliwy, monotony płacz niemowlęcia.

Wszystko to było przygnębiające, apatyczne, obezwładniające energię. I smutne. Przede wszystkim smutne.

Powoli zaczął się ubierać. Na blaszanej umywalce znalazł przybory do golenia, obok dwa drewniane kubły z wodą. Woda była zielonkawa i Kolskiemu zdawało się, że czuć ją rybami czy też wodorostami.

– Biedna Łucja – powtarzał w myśli. – Biedna Łucja... Gdy już był ubrany, jak umiał najlepiej zasłał łóżko i wyszedł do sieni. Tu uderzył go w nozdrza zapach stęchlizny i przemoczonych odzieży. Na ławkach pod ścianami siedziało ze dwadzieścia osób, bab i chłopów. Kilko brudnych dzieci bawiło się na podłodze. Wyszedł na ganek. I tu na ławkach siedzieli chłopci. Przed gankiem, na obszernym podjeździe stało kilkanaście nędznych furmanek, zaprzężonych w małe, brzuchate koniki. Nieco niżej

w dole widniały zabudowania młynarskie. Wokół rozciągał się smutny, jednostajny widok aż do ogołoczonego już na poły z liści traktu.

Ostrożnie stąpając po kamieniach rozrzuconych w błocie okrążył budynek. Tu przynajmniej było suszej. Znalazł ubitą ścieżkę, prowadzącą w kierunku stawu. Doszedłszy doń stał

długo i patrzył na gładką tafłę wody, po której leniwie, z ledwie dostrzegalną szybkością

przesuwały się jakieś żdźbła trawy, pożółkłe liście i małe gałązki.

– Biedna Łucja – myślał. – W tym wszystkim zamknąć swoje życie... W tej beznadziejności, w tej codziennej szarzyźnie...

Ociężałym krokiem zawrócił do domu. Uprzytomnił sobie, że powinien pomóc jej w przyjmowaniu pacjentów. Zapukał do drzwi ambulatorium i wszedł. Na krześle siedziała jakaś babina z odchyłoną głową. Jeden rzut oka wystarczył Kolskiemu, by poznać, że cierpi na jaglicę. Łucja pochylona nad nią lapisowała jej oczy. Nie przerywając zajęcia zerknęła w stronę Kolskiego i powiedziała:

– Już pan wstał? Obudzili pana, prawda? Niech pan idzie do mego pokoju, tam przygotowane jest dla pana śniadanie.

– Dziękuję pani. Nie jestem głodny. Chciałbym pani pomóc. Na śniadanie będę miał czas później.

– Nie, nie – zaprotestowała – najpierw niech pan się posili.

Do pokoju weszła Donka w białym kitlu i Łucja zwróciła się do niej:

– Donko, zaprowadź pana doktora do mego pokoju. To jest moja asystentka – uśmiechnęła się do Kolskiego – panna Donka.

Kolski podał jej rękę, wymieniając swoje nazwisko.

Pokój Łucji ładniej wyglądał niż sypialnia profesora. Był mniejszy, lecz znać było, że jest mieszkaniem kobiety. Na niewielkim stoliku, na szafce i na oknie stały garnczki z pękami sośniny, na ścianach rozpięte były haftowane ręczniki, widocznie arcydzieła pacjentki Łucji, wisiały tu też fotografie w skromnych czarnych ramkach. Wśród nich znalazł i swoją, i ze smutkiem stwierdził, że umieszczona była na uboczu. W samym środku była duża fotografia profesora Wilczura.

– A może pan woli gorące mleko, panie doktorze? – zapytała Donka.

– Nie, dziękuję. Wolę zimne.

– To życzę smacznego. – Kiwnęła mu głową i wyszła. Na białym, zgrzebnym obrusie przygotowane było śniadanie. Zastawa składała się z niewielu przedmiotów: duży gliniany dzbanek z mlekiem, blaszany emaliowany kubek, bochenek chleba czarnego, nóż i maselniczka pełna masła. Rzeczywiście nie był głodny i wypił tylko dwa kubki mleka, po czym wrócił do ambulatorium. Na jego widok Łucja powiedziała:

– Koło drzwi wisi kitel profesora. Niech pan prędko nakłada, bo właśnie ten młody obywatel potrzebuje pańskiej pomocy. I zakończyła po łacinie:

– Jestem pewna, że to zapalenie wyrostka robaczkowego. Nie wiem tylko, czy operacja jest konieczna.

Na długim, wąskim stole leżał piętnaste czy też szesnastoletni chłopak, pojękując z cicha.

– Zaraz zobaczymy – już swoim „urzędowym” tonem mruknął Kolski. Diagnoza Łucji była słuszna. Istotnie był to wypadek ropnego zapalenia. Termometr wskazywał 38,5. Wyrażne bóle wzdłuż pachwiny i w głąb jamy brzusznej wskazywały na to, że nie należało zwlekać. Chorego przeprowadzono do pokoju operacyjnego.

– Czy wystarczy panu pomoc Donki? – zapytała Łucja. – Donkajuz nieraz asystowała przy operacjach.

Kolski spojrzał na dziewczynę niezdecydowanie.

– Ponieważ nie jestem jeszcze obeznany z tutejszymi warunkami, wolałbym tym razem...

– Dobrze. Przygotowania wszystkie załatwi Donka, a później ja przyjdę. Tymczasem wyrwę ząb jednemu poczciwcowi, który skręca się z bólu. Łucja skinęła głową. Kolski zdziwił się.

– Jak to? I dentystykę też pani musi uprawiać?

– Ach – zaśmiała się. – Wszystko. Najbliższy dentysta mieszka o trzydzieści kilometrów

stąd.

334

W dwadzieścia minut później zjawiła się znowu i Kolski przystąpił do operacji, klnąc w duchu jakąś opóźnioną a zjadliwą jesienną muchę, która go ustawicznie napastowała.

– To okropne – myślał – przeprowadzać operację w takich warunkach. Przecież tu lada chwila może usiąść mucha na otwartą ranę. Jakby odgadując jego myśli, Łucja powiedziała:

– Muchy są największą naszą plagą. Nie ma pan pojęcia, ile trudu kosztuje latem wypędzanie ich z tego pokoju. Zdają się przenikać przez ściany.

– Nie jest to najbezpieczniejsze z punktu widzenia antyseptyki – zauważył Kolski.

– Tak, ale na to nie ma żadnej rady.

Kolski miał już na końcu języka uwagę, że jest rada, mianowicie wyjechać stąd, w porę się jednak pohamował.

– Pomimo to nie mieliśmy, dzięki Bogu, dotychczas wypadku zakażenia, i wszystkie operacje się udawały – mówiła Łucja.

Udała się i ta również. Dzięki pomocy Kolskiego wszyscy pacjenci byli załatwieni do godziny czwartej. Toteż doktor Pawlicki, który w parę minut później przyjechał, nie miał już nic do roboty i wystąpił do Kolskiego z żartobliwymi pretensjami, że mu chleb odbiera. Gawędzili czas dłuższy przy herbacie, przy czym Pawlicki wypytywał Kolskiego o stosunki w warszawskim świecie lekarskim, o nowe metody leczenia w niektórych chorobach i wreszcie o Dobranieckiego i jego stan. Ponieważ nie był poinformowany o zatargu między Dobranieckim a Wilczurem, wiadomość o wyjeździe profesora do Warszawy przyjął jako rzecz zupełnie naturalną. Wyraził nawet przypuszczenie:

– Kto wie, czy tam, w stolicy nie namówią profesora do powrotu na stałe. Prawdę powiedziawszy nie jest to z korzyścią dla społeczeństwa, że taki znakomity uczyony ograniczył

swoje pole działania do ciasnej prowincji.

Łucja potrząsnęła głową.

– Zapewne. Ale profesor już tyle zrobił dla ludzkości, że ma prawo pomyśleć o sobie. A tu właśnie czuje się najlepiej. Po wyjeździe Pawlickiego Kolski nadmienił:

– Bynajmniej nie wydaje mi się to pewne, co twierdziła pani z takim przekonaniem.

– Ze profesor się tu czuje najlepiej?

– Właśnie – skinął głową Kolski. – Porzucił Warszawę pod wpływem rozgoryczenia. I do-
prawdy nie zdziwiłbym się, gdyby go tam teraz zatrzymano.

Łucja uśmiechnęła się.

– Za mało go pan zna, jeżeli może pan tak mówić. Ręcę panu, że natychmiast po operacji
wyjedzie z Warszawy. Nie zostanie tam ani jednego dnia dłużej, niż będzie to konieczne.

Kolski zamyślił się i odezwał po dłuższej pauzie:

– Być może ma pani słuszność... Być może. Tłumaczyłoby się to zresztą wiekiem profesora. Ale pani... Teraz, gdy widzę całe to otoczenie, wszystkie warunki pracy i tę szarą, smutną
codzienność, która tu panuje, nie mogę pojąć, jak pani tu może wytrzymać, panno Łucjo.

– Wcale tu nie jest tak źle. – Wzruszyła ramionami.

– Przypomina mi to – mówił w zamyśleniu – jakby przedświecie nirwany. Jakby wstęp na
cmentarz. Tu wszystko zamiera w zatłaczającej ciszy, w leniwej, ciągnącej się, jednostajnej
ciszy... Nie, niech pani nie sądzi, że chcę odstraszyć panią, że chcę pani obrzydzić to wszyst-
ko. Bynajmniej. Wydaje mi się tylko, że jest niezrozumiałym marnotrawstwem zostawienie tu
swoich najmłodszych sił, najpiękniejszych lat życia.

– Zapomina pan o jednym, panie Janku, że bywają uczucia, które szarą jednostajność po-
trafią zmienić w najbarwniejszą bajkę. Które to, co pan nazywa smutkiem i beznadziejną ci-
szą, przemienić potrafią w pogodną radość.

Kolski wzruszył ramionami.

– Owszem. Rozumiem to.

– Nie rozumie pan. Zrozumieć to może tylko ten, kto sam jest do tego zdolny. Kto sam jest zdolny do odczuwania i przeżywania takich radości. Kogo mogą one nasycić i zaspokoić.

335

Dam panu sprawdzian: czy zdolny byłby pan dla kochanej istoty wyrzec się Warszawy, kariery, pieniędzy, uciech, rozrywek, i zamieszkać na głuchej prowincji, na przykład tu?

Kolski uczył, że mu krew nabiega do serca. Powiedział:

– Byłbym zdolny. Potrząsnęła głową.

– Nie wierzę.

Spojrzał jej prosto w oczy i wymówił z naciskiem:

– Niech pani spróbuje. Niech pani powie jedno słowo. Jedno słowo. Wystarczy jedno słowo pani.

Łucja zmieszana się. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Oczekiwała raczej długiego wywodu, popartego rozsądnymi argumentami, tłumaczenia w stylu właściwym jego umysłowi z czasów, kiedy jeszcze była w Warszawie. Wiedziała, że mówi prawdę, że istotnie byłby zdolny dla niej tu zostać, że nie cofnąłby swego słowa. Oczywiście nie zamierzała z tego korzystać, była jednak wzruszona i tym, co powiedział, i tą zmianą, jaka w nim zaszła. Teraz dopiero spostrzegła zmarszczki koło jego oczu, wychudzone policzki i sporo siwych włosów na skroniach. Te troski, które odnajdywała w jego listach, i na jego twarzy zostawiły swe ślady. Nie tylko na twarzy, ale i w duszy. Biedak musiał mieć naprawdę ciężkie przeżycia...

I nagle Łucja doszła do przekonania, że musi, że powinna jakoś wynagrodzić mu te cierpienia, że była zbyt ostra i obojętna, że płaciła mu za jego naprawdę wielką miłość, bo tylko wielka miłość jest zdolna do poświęceń, że płaciła mu oschłością, że świadomie unikała

wglądu do jego przeżyć wewnętrznych. A wiedziała przecież, że umiałyby jego troski złagodzić, cierpieniom ulżyć. Nawet nic nie dając z siebie, poza ciepłym słowem, poza serdecznym spojrzeniem, poza życzliwym zainteresowaniem się.

Łagodnie położyła rękę na jego ramieniu i powiedziała:

– Panie Janku. Pan wie, że tego słowa nie powiem, że nie mogę go powiedzieć. Ale proszę mi wierzyć, że bardzo wysoko cenię pańskie uczucia i że, jak widzę, nie znałam dotychczas ich wartości.

Chwycił jej dłoń i przywarł do niej ustami.

– Chcę również, by pan wiedział, że uważam pana za człowieka bardzo sobie bliskiego, że najgłębiej obchodzą mnie pańskie sprawy, smutki i radości, i że zawsze może być pan pewien mojej prawdziwie głębokiej i czulej przyjaźni.

Od tej rozmowy w stosunku między Łucją i Kolskim zmieniło się wiele. Stał się szczerzy i bezpośredniejszy. Przebywali prawie całymi dniami ze sobą, gdyż Jemioł, który dawniej często przesiadywał w lecznicy na długich gawędach z Wilczurem, teraz, podczas jego nieobecności przychodził tu tylko na noc. Większość czasu spędzał w miasteczku, w karczmie lub też w młynie, gdyż ostatnio zaprzyjaźnił się z Prokopem ku zmartwieniu całej jego rodziny. Prokop bowiem na starość polubił zagładanie od czasu do czasu do butelki. Nie pił wprawdzie tyle co Jemioł, lecz i to nie cieszyło ani jego żony, ani reszty kobiet. Wiadomości o tym do lecznicy przyniosła Donka, i Łucja szczerze się śmiała, opowiadając Kolskiemu o obawach niewiast z młyna. Sama nie uważała niebezpieczeństwa za groźne. Natomiast Kolski żartował:

– Nie można tego bagatelizować. Pamiętajmy o praojcu Noem, który w bardzo sędziwym wieku zabrał się do wina.

Minęły trzy dni od wyjazdu Wilczura i Łucja zaczęła się niepokoić.

– Obawiam się, czy nie przytrafiło mu się co złego – mówiła Donce. Przed Kolskim przez delikatność nie zdradzała się ze swymi obawami. Po

wiedziała sobie, że jeżeli profesor przez jutrzejszy dzień nie da o sobie znaku, trzeba będzie zadeszować do Warszawy.

Ale właśnie nazajutrz z rana Wasyl, który wrócił do Radoliszek, przyniósł list. List był adresowany ręką Wilczura, lecz datowany nie z Warszawy, a z Wilna. Łucja zdziwiona otworzyła kopertę. Profesor pisał:

336

„Droga panno Łucjo! W powrotnej drodze z Warszawy zatrzymałem się w Wilnie. W związku z różnymi sprawami będę tu musiał zabawić kilka dni. Może dłużej. Ponieważ Rancewicz nie ma nic przeciwko temu, by dr Kolski pozostał u mnie dłużej, będę mu wdzięczny za pomoc i zastępstwo. Sądzę, że swój pobyt w naszej lecznicy uważać będzie za odpoczynek. Sprawilo mi przyjemność, gdy w Warszawie stwierdziłem, że cieszy się on tam jak najlepszą opinią. Taką samą zresztą, jaką i ja o nim zawsze miałem. To dzielny chłopak. Jestem pewien, że doskonale mnie zastępuje. Zamieszkałem w Wilnie u kolegi Rusiewicza, który mnie leczył po wypadku z psem. Jest mi tu wygodnie i przyjemnie. Proszę się wobec tego nie dziwić, że nie będę zbyt śpieszył z powrotem. Załączam pozdrowienia dla wszystkich, a Pani ręce całuję. – Rafał Wilczur”.

Na dole kartki było postscriptum:

„Operowałem p. Dobranieckiego osobiście. Operacja mi się szczęśliwie udała. Pacjent będzie żył”.

Dla Łucji list Wilczura był prawdziwą niespodzianką. Musiała przeczytać go kilkakrotnie i wciąż nie rozumiała, co się stało. Przede wszystkim uderzyła ją wiadomość o nieprzewidzianym zamiarze Wilczura zatrzymania się w Wilnie. Mogła go do tego skłonić chyba tylko cho-

roba. To znowuż nie zgadzało się z jeszcze bardziej dziwną informacją: profesor wyraźnie pisał, że operował Dobranieckiego osobiście. Oznaczałoby to, że jakoś zdołał usunąć drzenie swojej lewej ręki. Wszystko to wydawało się Łucji wysoce tajemnicze. Skoro zabiegał u Rancewicza o prawo zatrzymania Kolskiego, musiał już z góry w Warszawie wiedzieć, że nie powróci od razu i że na kilka dni zostanie w Wilnie.

Jeżeli tedy był zdrow, co mogło go skłonić do pobytu w mieście? Tu w grę wchodzić mogły jedynie jego sprawy rodzinne. Czyżby przyjazd córki lub zięcia?.. Ale w takim razie dlaczego nie wspomina o tym?...

Łucja gubiła się w domysłach. Wreszcie zdecydowała się zapytać Jemioła, co on o tym sądzi. Przypuszczała, że procesor przed wyjazdem mógł z nim mówić o jakichś swoich tajemniczych planach.

Jemioł jednak nic nie wiedział. Przeczytał list i wzruszył ramionami.

– Jeżeli tak go ciągnie do Wilna – powiedział – widocznie tam podczas swojej kuracji poznał jakąś dziewczynkę.

– Plecie pan głupstwa – skrzywiła się Łucja.

– Bo widzi pani – z niezmaconą pewnością siebie ciągnął Jemioł – gdyby to chodziło o mnie, mogłaby pani być pewna, że ugrzęznę gdzieś po drodze z racji odkrycia jakiejś wyjątkowej kłajpy. Natomiast on nie hołduje Bachusowi. A trzeba pani wiedzieć, że oprócz Bachusa tylko

Wenus rządzi światem. No, dodajmy jeszcze do tego Merkurego. Więc niechże pani sama osądzi, któremu z nich dwojga, Merkuremu czy Wenerze, mamy zawdzięczać płochą eskapadkę naszego przyjaciela.

– Oczywiście ani przez chwilę nie brała poważnie tych nedorzecznych sugestii Jemioła, i zdecydowała się pomówić z Kolskim. Tym łatwiej jej to przyszło, że przy sposobności mogła

pokazać mu list profesora, list pełen tak pochlebnych słów o Kolskim.

– Właściwie mówiąc nie powinnam panu, panie Janku, dawać tego do rąk. Popadnie pan jeszcze w zarozumiałość – żartowała. – Ale jest tu niejako urlop dla pana, więc niech już pan to przeczyta.

Kolski rzeczywiście był trochę zażenowany superlatywami Wilczura o sobie. Nie mniej zdziwiła go decyzja profesora pozostania w Wilnie. Co dotyczyło operacji, powiedział:

– W tym nie widzę nic nadzwyczajnego. Takie rzeczy można robić jedną ręką przy wprawnej pomocy dwóch osób. A przecież tam nie brakowało chirurgów, zgranych z profesorem od dawna. Nie chwaląc się, ja sam nieraz mu asystowałem, wiedziałem dobrze z całą dokładnością, co oznacza każdy jego ruch lub co nakazuje mi zrobić. Co zaś dotyczy Wilna,

337

sądzę, że po prostu chciał odpocząć. Może ma tam szansę wyjednania jakichś subsydiów dla tej lecznicy. A zresztą każdy człowiek miewa swoje osobiste sprawy, o których nie informuje nawet osób sobie najbliższych.

– Czy nie sądzi pan, panie Janku, że powinnam napisać do Wilna? Kolski zrobił niepewny ruch ręką.

– Myślę, że raczej nie.

– Dlaczego?

– Bo gdyby profesor oczekiwał pani listu, na pewno podałyby adres owego lekarza, u którego się zatrzymał. Czy pani zna ten adres?

– Nie – zaprzeczyła Łucja. – Ale przecież o to łatwo się dowiedzieć. Doktor Pawlicki prawdopodobnie ma spis lekarzy. Zresztą wiem, w którym szpitalu pracuje doktor Rusiewicz.

– Ja jednak myślę, że profesor nie oczekuje od pani listu. W przeciwnym razie nie zapomiałby o adresie. Profesor nigdy o niczym nie zapomina.

– To prawda – przyznała Łucja, i sprawa została w ten sposób załatwiona. Pobyt Kolskiego istotnie mógł uchodzić dlań za urlop. Przede wszystkim poprawiła się pogoda. Ustały deszcze, a pierwsze tego roku lekkie przymrozki ścięły błoniste drogi i ścieżki. Mogli i teraz odbywać w okolicy długie przechadzki. Łucja zaprowadziła go do lasu, na cmentarz, gdzie pochowana była Beata Wilczurowa, do miasteczka i do paru miejsc bardziej malowniczo położonych. Podczas przechadzek prowadzili długie rozmowy. Przygnębienie Kolskiego zniknęło bez śladu. W jego wyglądzie zewnętrznym również na korzyść zaszły wielkie zmiany. Wróciła mu dawna energia, zdolność do interesowania się drobiazgami, wesoły śmiech z byle żartów.

– Czy naprawdę jest tu szaro i nudno, jak to się panu na początku zdawało? – pytała go Łucja nie bez ciepłej ironii.

W odpowiedzi patrzył jej w oczy i wzrokiem mówił, jak bardzo zmienił zdanie.

Któregoś dnia niby niechętno rzuciła uwagę:

– Widzi pan, panie Janku, o wszystkim można zapomnieć.

– Zapewne – przyznał. – Ale przecież są wyjątki. Mój pobyt tutaj na zawsze pozostanie mi w pamięci.

– Tak się panu tylko zdaje. Z czasem i w odpowiednich okolicznościach wywietrzeje on panu z głowy, tak jak wywietrzały te przeżycia, które pana w Warszawie gnębiły. Bo wydaje mi się, że już wywietrzały doszczętnie.

– Dzięki Bogu, zupełnie. Śladu po nich nie zostało. Łucja zaryzykowała pytanie:

– A ona?

– Co ona?

– No, ta kobieta. Czy równie łatwo zapomniała o panu? Zaśmiał się z wyraźnym tonem

szyderstwa.

– Nierównie łatwiej. Jestem przekonany, że już w godzinę po naszym rozstaniu nie myślała o mnie.

– To znaczy, że nie kochała. Zmarszczył brwi.

– Ta kobieta nie rozumie w ogóle, co znaczy słowo miłość, choć częściej je ma na ustach niż jakieś inne.

– Dlaczego częściej?

– Z tej prostej przyczyny, że należy do jej... procederu. Rozumie pani? Jeżeli się ma do obśłużenia tym słowem jednego człowieka... I jeżeli się ma, powiedzmy, dziesięciu...

– Ach, tak – szepnęła Łucja.

– Zresztą dziś dopiero widzę, że nie miałem prawa żądać od niej niczego, gdyż sam jej nic niedawałem. Widzi pani, panno Łucjo, była to z mojej strony śmieszna pomyłka. Myślałem, że biorę lekarstwo, a nie był to nawet narkotyk. Zwykła trupizna.

338

Szli przez chwilę w milczeniu i Kolski dodał:

– Na szczęście me pozostało po niej śladu. Łucja zapytała:

– Nie rozmiem tylko, co mogło pana skłonić do tej przykrej przygody.

– Właśnie poszukiwanie narkotyku.

– Zgoda. Ale mógł pan zrobić lepszy wybór.

– Ja, panno Łucjo, doprawdy mam pod tym względem tak mało doświadczenia, że...

Zresztą to już przeszłość, przeszłość, o której wolę zapomnieć.

– Jednak – odezwała się po pauzie Łucja – znając pana, me mogę uwierzyć, by nie wiązała pana z ową kobietą jakaś nieduża bodaj doza sentymentu.

Kolski skinął głową.

– Zapewne. Sentyment ten był jednak złudzeniem. Był skutkiem auto sugestii. I sugestii również. Widzi pani, tonący brzytwy się chwytą. Na szczęście pokaleczenia nie były zbyt groźne. Nauczyły mnie tylko ostrożności na przyszłość.

Łucja domyślała się od dawna, że chodzi tu o panią Dobraniecką. Przede wszystkim w listach Kolskiego z owego okresu spotykała czasami wyrażenia, które bezwzględnie nie mogły być jego wyrażeniami i były w stylu właśnie pani Dobranieckiej. Toteż teraz cieszyła się tym wstrętem, jaki żywił dla swojej byłej kochanki Kolski. Łucja zawsze uważała Dobraniecką za kobietę złą, podstępną, zdolną do najpodlejszych poczynań. W kampanii przeciwko Wilczurowi na pewno ona była inspiratorką.

W głębi duszy jednak Łucja czuła się dotknięta faktem, że Kolski mógł jednocześnie kochać się w niej i mieć romans z tamtą. Nie cierpiała na megalomanię, uważała jednak siebie za znacznie ładniejszą od Dobranieckiej, a bezsprzecznie była od niej młodsza, nie mówiąc już o różnicy poziomu etycznego. Toteż dotknięta się czuła zestawieniem siebie z nią, i choć sama by się przed sobą do tego nie przyznała, żywiła o to żal do Kolskiego.

– Słowem, stał się pan antyfeministą? – zapytała.

– O, nie. Byłaby to przesada. W każdym razie wolę nie ponawiać, prób szukania narkotyku.

– I nie będzie on panu potrzebny. Cierpienia miną. Potrząsnął głową.

– Nie, panno Łucjo. Nie miną nigdy.

– W słowach „nigdy” i „zawsze” jest dużo patosu, a rzadko tylko bywa w nich prawda.

– Cóż pocznę, że ten rzadki wypadek właśnie mnie dotknął?

– Dziwi mnie – po pauzie powiedziała Łucja – że pan, panie Janku, który tak trzeźwo umie patrzeć na życie, nie potrafi się uporać z czymś niewygodnym, nie potrafi się obronić przed czymś, co przynosi panu tylko strapienie.

– Ale panno Łucjo! Ja wcale nie chcę pozbywać się tego strapienia.

– To już jest nielogiczne,

– Być może – przyznał.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu.

– Niech pan mi coś o niej powie – niespodziewanie zagadnęła Łucja. – Co pana do niej pociągnęło? Dlaczego wybrał pan ją, a nie inną? Kolski wzruszył ramionami.

– Nie wiem, proszę pani. Sam długo się nad tym zastanawiałem. Nie znalazłem na to odpowiedzi. Bodaj jedyną słuszną byłoby stwierdzenie, że wcale jej nie wybierałem, tylko ona mnie. – A pan poddał się bez żadnej próby obrony?

– Tak, proszę pani. Nie miałem czego bronić. Musi pani to zrozumieć, że oddawszy wszystko i nie posiadając niczego, sam byłem zdumiony, że mogę dla kogoś stanowić atrakcję. Dla kogoś, a zwłaszcza dla niej.

– Zwłaszcza? Dlaczego zwłaszcza?

– Ach, właściwie to słowo jest tu nie na miejscu. Chciałem przez nie wyrazić, że owa kobieta cieszyła się znacznym powodzeniem, otoczona była rojem wielbicieli, słynęła z wdzięku i urody...

339

– Czy pan rozmyślnie używa czasu przeszłego? – spojrzała nań uważnie.

– Rozmyślnie – powiedział.

– To znaczy, że już nie posiada ani wdzięku, ani wielbicieli?...

– Tak – powiedział krótko.

Teraz już była pewna, że Kolski miał romans z Dobraniecką, i zauważyła mimo woli złościwie:

– Niech pan nie traci nadziei. Może jeszcze odzyska swoje powaby i będzie pac mógł do

nie) wrócić.

Kolski zmarszczył brwi. Uczuł się głęboko dotknięty słowami Łucji. Nie miał wprawdzie najmniejszego prawa oczekiwać od niej specjalnych względów, nie zasłużył jednak również na szyderstwo.

– Dlaczego pani mnie chce skrzywdzić? – odezwał się ze smutkiem w głosie.

– Bynajmniej. Tylko sądzę, że skoro pan już zna ją, nie czekają pana z jej strony żadne rozczarowania. Nic pan nie ryzykuje.

Znajdowała jakąś dziwną i dla samej siebie niezrozumiałą przyjemność w dokuczaniu mu.

– Wcale nie żartuję – mówiła z naiwną miną. – Wybierając inną, byłby pan narażony na nowe niespodzianki. A w dodatku nowa bogdanka mogłaby przypadkiem nie być otoczona rojem wielbicieli i nie słynąć z urody.

Kolski opuścił głowę i milczał. Nie poznawał Łucji. Zaczynał żałować tego, że jej się zwierzył. Łucja odczuła jego nastrój, lecz jakiś upór nie pozwalał jej wycofać się z zajętego stanowiska. Myślała w duchu:

– Dobrze mu tak. Dobrze mu tak...

Przez całą powrotną drogę nie zamienili ani słowa. Gdy wchodzili na ganek, Kolski powiedział:

– Może jutro wróci profesor...

– Nie potrzebuje się pan tak bardzo liczyć z jego powrotem. Serdecznie jestem panu wdzięczna za dotychczasową pomoc, ale jeżeli to dla pana jest niewygodne, nie chcę pana dłużej zatrzymywać.

Kolski zacisnął szczęki i odpowiedział:

– O, doskonale wiem, że pani mnie nie chce zatrzymać. I proszę mi wierzyć, że nie zostałam tu ani godziny dłużej, gdyby nie zobowiązanie powzięte wobec profesora Wilczura.

– Pod niektórymi względami ma pan przesadnie wyczulone sumienie – obojętnie zauważyła Łucja.

– Tak, proszę pani. Cieszę się, że chociaż coś znalazła pani we mnie wyczulonego. Bo moją skórę uważa pani za tak grubą i tak niewrażliwą, że można ją zmienić w poduszkę do szpilek.

Łucja miała zupełnie popsuty humor. Była bardzo z siebie niezadowolona. Najniesłuszniej w świecie nagadała przykrych rzeczy Kolskiemu, może go nawet obraziła, I to wszystko w odpowiedzi na jego zaufanie, na szczere zwierzenia. Pojąć nie mogła własnych pobudek.

– Co mi się stało? – myślała. – Co mi się stało?

Była dla niego wprost niegrzeczna. Jej ostatnie słowa na ganku oznaczały wyproszenie z domu. Wprawdzie on zaczął. On pierwszy wspomniał o powrocie profesora. Ale jednak zachowała się fatalnie. Siedzi tam teraz biedak u siebie i gryzie się. Jak mogła być dlań tak niedobra! Już to samo wydało się jej obrzydliwością, że wyzyskała swoją przewagę wobec człowieka, który ją kocha. I w dodatku bez najmniejszego sensu. Bo przecież lubiła go bardzo, przecież jest zadowolona z jego pobytu w lecznicy, przecież jego towarzystwo jest dla niej prawdziwą rozrywką i naprawdę chciałaby go zatrzymać jak najdłużej.

340

Długo przemyślała nad tą sprawą i postanowiła wynagrodzić Kolskiemu zaraz nazajutrz dzisiejsze przykrości. Trzeba mu okazać jak najwięcej sympatii. Tak. I przeprosić. Zwyczajnie przeprosić, gdyż zawiniła.

Do przeprosin jednak nie doszło. A nie doszło z następujących powodów:

Następnego dnia wczesnym rankiem przywieziono z Nieskupy parobczaka, który znalazłszy w rzeczulce szrapnel z czasów wojny zabrał się do rozkręcania zardzewiałego ładunku.

Przywieziono go straszliwie poszarpanego i Kolski, nie dokończywszy śniadania, przystąpił przy pomocy Donki do cerowania biedaka. Gdy już operacja była skończona i chorego przyniesiono do łóżka, Kolski i Donka wrócili do pokoju operacyjnego, by zrobić porządek. Otóż ściana między pokojem operacyjnym i ambulatorium była ścianą zbitą z cienkich desek. W ambulatorium słyhać było wyraźnie każde głośniejsze wypowiedziane obok słowo. Jeszcze wyraźniej słyhać było śmiech. A właśnie Kolski i Donka śmieli się raz po raz, śmieli się wesoło i swobodnie. W głosie Donki wyraźnie można było wyczuć kokieteryę. Rozmawiali o jakichś tańcach. Później Kolski chwalił Donkę za jej gorliwość w sprzątaniu jego pokoju i w pewnej chwili powiedział:

- Gdy będę wyjeżdżał do Warszawy, to zapakuję panią do kufra i zabiorę.
- A pan doktor myśli, że Wasyl na to się zgodzi? – przekomarzała się Donka.
- Zrobimy to po cichu i ani się spostrzeże.

Łucja była oburzona. Chichotał tam z tą głupiutką dziewczyną. Zachowywał się jak sztabak. I co oni tam tak długo robią? Ta smarkata mizdrzy się, a jemu widocznie to sprawia przyjemność. To zupełna nieprzyzwoitość.

Nowy głośny śmiech poderwał Łucję.

- Już ja ją nauczę rozumu – powiedziała do siebie półgłosem. Przy obiedzie z Kolskim zamieniła tylko kilka konwencjonalnych zdań,

później zaś zawołała Donkę do apteczki i utkwivszy w niej surowe spojrzenie, powiedziała:

- Moja droga. Muszę ci zwrócić uwagę, że zachowujesz się bardzo niestosownie. Dziś słyssałam twoją rozmowę z panem doktorem w pokoju operacyjnym. Stanowczo lecznica nie jest miejscem do flirtów. Do flirtów i chichotów. A pan doktor nie jest dla ciebie odpowiednim partnerem. Wstydziałabyś się, mając na-

rzeczonego, zalecać się do innych mężczyzn. Gdyby pan profesor o tym się dowiedział, bardzo by się gniewał na ciebie.

Donka, która z początku szeroko otworzyła oczy i trochę się przestraszyła surowego tonu Łucji, pomyślała teraz, że już kto jak kto, ale profesor na pewno by się na nią nie gniewał. Przecież sam tak często z nią żartuje jak doktor Kolski. Nie poczuwała się do najmniejszej winy.

– Kiedy ja, proszę pani, nic takiego – zaczęła się bronić. Łucja jej przerwała:

– Otóż właśnie proszę cię, żeby nic takiego więcej się nie powtórzyło. Że masz ładną buzię, z tego jeszcze nie wynika, byś ciągle miała strzelać do pana doktora oczami. Już i wcześniej to zauważyłam. Tak. A teraz posprzątaj tu te zioła. Pan Jemioł nigdy niczego nie utrzyma w porządku. Doprawdy trzeba mieć żelazne nerwy...

Powiedziawszy to, wyszła do swego pokoju, narzuciła na ramiona palto i sama poszła na spacer. Umyślnie przeszła przed oknami Kolskiego, by mógł to widzieć.

I nie myliła się. Kolski istotnie ją zobaczył, a chociaż nie osłabł w nim bynajmniej wczorajszy żal do niej, postanowił jednak ją dopędzić i bodaj przeprosić za winy, których nie popełnił. Nie mógł znieść jej chłodu.

Gdy wyszedł do sieni, zobaczył Donkę. Stała oparta o parapet okna i rzewnie płakała.

– Co pani jest? – zapytał zdumiony.

W odpowiedzi na to dziewczyna zaszlochała jeszcze głośniejsze. Minęło sporo czasu, zanim wydobył z niej pierwsze słowa:

341

– Pani Łucja... skrzyczała mnie... że już nie wiem jak... Jak najgorszą...

– Za co skrzyczała?

– A za pana doktora...

– Za mnie? Jak to za mnie?

– Bo panna Łucja... powiedziała... że ja, że ja...

– Ze co?

– Ze ja flirtuję z panem doktorem – wyrzuciła z siebie Donka i wybuchnęła nowym płaczem.

– No, niechże się pani uspokoi. Co za niedorzeczność!

– Buuuu... – płakała Donka. – Ze ja do pana doktora strzelam oczami... Buuuu... A ja przecież nic. Ja, broń Boże...

Powoli się uspokoiła i mniej więcej dokładnie powtórzyła Kolskiemu całą reprimendę, jaką usłyszała od Łucji. Był tym nie tylko zaskoczony, lecz dotknięty. Nie spodziewał się, by Łucja mogła się posunąć aż do podejrzewania go o jakieś konszachty tu, pod tym dachem.

Widocznie postanowiła obrzydzić mu pobyt w lecznicy do reszty. Bo przecież nie mogła myśleć serio, że on wdaje się w jakieś flirty z tą dziewczyną. Nawet pozorów czegoś podobnego nie było. Donka wydawała mu się od początku miła i sympatyczna, toteż żartował z nią tak, jak zwykle żartował w Warszawie z pielęgniarkami,

które lubił. W danym wypadku najprzykrzejsze było to, że ucierpiała niewinna Donka. Pocięszal ją jak umiał i obiecał, że wobec panny Łucji wszystko wyjaśni. Istotnie postanowił rozmówić się z nią natychmiast.

Domyślał się, że poszła w stronę lasu, i ruszył w tamtym kierunku. Po dobrym kwadransie marszu dopędził ją na skřęcie drogi. Usłyszawszy za sobą jego kroki, zatrzymała się i powiedziała:

– O, widzę, że i pan jest amatorem samotnych spacerów.

– Wcale nie samotnych. Właśnie szukałem pani. Pani poszła sama, nawet nie zapytała mnie, czy będę pani towarzyszył.

— Nie sądziłam, by mogło to panu sprawić przyjemność. To jedno A drugie, przypuszczałam, że znajdzie pan miłą towarzyszkę przechadzki.

— O kim pani mówi? – zapytał.

— Ach, mój Boże! czy to nie wszystko jedno? Chodzi w ogóle o kobietę, o jakąkolwiek kobietę. Stał się pan, jak widzę, prawdziwym kobieciarzem.

— Iz czegóż to pani widzi?

— No, chociażby z pańskich zalotów do Donki.

— Jak pani może tak mówić? – zawołał niemal z rozpaczą w głosie.

— Ale niech pan będzie ostrożny – ciągnęła, jakby nie dosłyszawszy jego okrzyku. – Wasyl to tęgi chłop. Nie tak łatwo panu będzie zapakować jego narzeczoną do kufra.

Wybuchła śmiechem.

— Ileż w tym romantyzmu. Młody lekarz z Warszawy porywa oblubienicę młynarczyka i uwozi ją w wagonie bagażowym do stolicy. Teraz spojrzął na nią z prawdziwym niepokojem.

— Pani Łucjo! Co się pani stało?

Zarumieniła się i nie patrząc mu w oczy powiedziała zbyt głośno:

— Stało się to, że uważam za nieprzyzwoitość pańskie zaloty do tej dziewczyny. Może pan skierować swoje uwodzicielskie zamiary do kogo innego i konkury odprawiać gdzie indziej. A przynajmniej nie tutaj. Rozumiem wprawdzie, że pan się tu nudzi, ale wołałabym, by znalazł pan jakieś inne rozrywki niż bałamucenie Donki.

Był wprost oszołomiony tym, co słyszał.

— Co się pani stało, panno Łucjo? – powtórzył i przyszło mu na myśl, że są to najwyraźniejsze objawy początków hysterii. Oczywiście siedząc w tym zapadłym kącie, przestając z chłopstwem i nudząc się, musiała mieć nadwerężone nerwy.

Po dłuższej pauzie, wobec jej milczenia, zaczął mówić, zaczął tłumaczyć całą niedorzeczność jej podejrzeń.

– Jak pani nawet może przypuszczać, że kochając panią i mając szczęście przebywać z nią pod jednym dachem mógłbym bodaj w najmniejszym stopniu zainteresować się jakąś inną kobietą. Panno Łucjo!

Jego argumenty, a zwłaszcza ostatni przemówiły jej do przekonania. Nie ulegało wątpliwości, że zbyt pośpiesznie i ze zbyt luźnego materiału wyciągnęła niesłuszne wnioski.

Skrzywdziła nie tylko Boga ducha winną Donkę, lecz i Kolskiego. Ogarnęło ją przykre zawstydzenie. Sama nie wiedziała, czym usprawiedliwić się przed nim ze swego niedorzecznego zachowania się. W końcu doszła do przekonania, że wszelkie wykręty nie licowały z godnością ich wzajemnego stosunku, i ulegając swojej naturze, która kazała jej zawsze postępować prosto i szczerze, wyciągnęła doń obie ręce.

– Bardzo pana przepraszam, panie Janku. Rzeczywiście mogło mi się zdawać to tylko.

Niech pan me żywi do mnie żalu. Chwycił jej ręce i zaczął obsypywać je pocałunkami.

– Żalu?... Ależ. ja do pani nie żywię najmniejszego żalu! Tylko było mi tak smutno, tak bardzo smutno... Ze pani nie wierzy, że pani posądza mnie o to, co ja sam nazwałbym... świętokradztwem.

Miał w oczach łzy. Poczucie własnej winy wzmogło jeszcze bardziej wzruszenie Łucji i chęć zadośćuczynienia. Nie wiedziała, jaką formę nadać swojej ekspiacji. W każdym razie chciała być dlań jak najserdeczniejsza.

– Panie Janku – powiedziała. – Może nie pozwoliłabym sobie na urządzenie panu tej bezsensownej awantury, gdyby nie to, że naprawdę uważam pana za kogoś bardzo bliskiego.

Powinien pan trzymać mnie ostrzej. Rozpuściłam się jak dziadowski bicz.

– No, już teraz nie mówmy o tym. Wszystko szczęśliwie się skończyło. A jeżeli pani to

dogadza, to proszę, niech pani codziennie krzyczy na mnie przez dwanaście godzin, byłem tylko później mógł mieć jeden kwadrans taki jak w tej chwili.

Z żartobliwym smutkiem potrząsnęła głową. ,

– Widzę, że nie ma rady i że od dziś będzie mnie pan już uważał za megierę.

W najlepszej komitywie spędzili resztę wieczoru. Po kolacji długo jeszcze rozmawiali, przy czym Łucja nie żałowała wysiłków, by wynagrodzić mu poprzednie przykrości. Wysiłki te zresztą nie wymagały z jej strony żadnego poświęcenia. Naprawdę była szczęśliwa, że doszło między nimi do zupełnej zgody. Przelotna burza raczej jeszcze bardziej pogłębiła jej sympatię i przywiązanie do tego przemiłego chłopca i uprzytomniła Łucji, że w każdym wypadku miłość jego zasługuje na wysoką ocenę. Jeżeli nie mogła odpowiedzieć mu na nią równie silnym uczuciem, nie znaczyło to, by jego uczucie należało lekceważyć. Przeciwnie. Sama świadomość, że istnieje na świecie człowiek zdolny dla niej do wszelkich poświęceń, człowiek, na którym zawsze można polegać, na którego pomoc można liczyć, sama ta świadomość napawała ją jakby pewnym poczuciem bezpieczeństwa. Krótko mówiąc, zauważyła w sobie nieoczekiwaną dla siebie samą zmianę: o ile dawniej miłość Kolskiego uważała za pewien ciężar, za przeszkodę w swoim życiu, o tyle teraz była mu za nią wdzięczna.

Przed samym zaśnięciem myśl wróciła do tego przykrego incydentu. Łucja przypomniała sobie, jak ostrych użyła słów w stosunku do Donki i do niego. W pokoju było ciemno, lecz uczuła, że się rumieni.

– Zachowałam się jak pensjonarka – powiedziała półgłosem.

I nagle w mózgu błysnęła świadomość:

Jak zazdrosna pensjonarka...

Odkrycie to było tak niespodziane, że Łucja aż usiadła na łóżku, poderwana nagłym niepokojem. Oczywiście o zazdrości tu nie mogło być mowy. Cóż za absurd! A jednak kto wie,

czy Kolski tak tego nie potraktuje? Wszystkie pozory mogły tu przemawiać właśnie za zazdrością. I to za zazdrością nieuzasadnioną. Po prostu zrobiła mu scenę!

343

Długo nie mogła zasnąć, usiłując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły zachowania się Kolskiego i uspokajając siebie przy tym, że w jego sposobie bycia nie było nic, co by wskazywało na to, że posądza ją o zazdrość. Wreszcie znużona, zasnęła z postanowieniem, że w każdym razie należy mu umilić jak najbardziej pobyt w lecznicy. Przecież jeszcze kilka dni i rozstaną się, rozstaną się może na zawsze. Chyba że Kolski zechce na przykład przyjeżdżać na wakacje do Radoliszek. To byłby wcale niezły pomysł.

Rozdział XVII

Profesor Wilczur nie wysłał depeszy o swoim powrocie z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciał, by robiono jakieś przygotowania na jego przyjazd, a po wtóre, musiał się liczyć z pieniędzmi. Otrzymał wprawdzie ostatnio od wydawcy swoich dzieł naukowych dość okazałą sumkę, lecz zużył ją na nabycie wielu lekarstw potrzebnych w lecznicy. Zresztą i pobyt, trzytygodniowy pobyt w Wilnie pochłonął sporo. Zostało zaledwie tyle, by wystarczyło na bilet kolejowy i na wynajęcie furmanki w Ludwikowie. .

Był i trzeci powód. Powód może najważniejszy, lecz taki, którego Wilczur nie chciał sobie uświadomić. Oto pragnął po prostu zjawić się w lecznicy niespodziewanie, zjawić się nie oczekiwany, by od pierwszego rzutu oka przekonać się, jak stoją sprawy między Łucją a Kolskim. W takim powrocie bez uprzedzenia był jakiś nieprzyjemny posmak, posmak zaskoczenia, i Wilczur wolał przed samym sobą tłumaczyć się oszczędnością na depeszy. Jeżeli chodziło o meritum sprawy, bynajmniej bowiem siebie nie oszukiwał. Przecież tylko dlatego przez trzy tygodnie siedział w Wilnie, by ułatwić Łucji zbliżenie się do Kolskiego, by swoją nieobecnością umożliwić jej rewizję własnych uczuć, pragnień i zamiarów.

Rozsądek mu mówił, że postępuje słusznie. Od czasu balu w Kowalewie, od owego pamiętnego wieczoru, gdy brutalne, lecz jakże słuszne słowa pana Jurkowskiego wstrząsnęły sumieniem Wilczura i obaliły wszystkie plany, zdruzgotały wszystkie jego nadzieje, od owego dnia zapadło już w duszy profesora postanowienie. Niespodziewany przyjazd Kolskiego ułatwił realizację tego postanowienia. Początkowo Wilczur zamierzał pod jakimś pozorem wysłać Łucję do Warszawy na dłuższy okres czasu. Nie myślał specjalnie o Kolskim, lecz i jego osobę brał w rachubę. Chodziło mu o to, by Łucja znalazłszy się w atmosferze dużego miasta, w innych warunkach i wśród innych ludzi, miała możliwość skonfrontowania swego sentymentu, który nazywała miłością, z rzeczywistym stanem własnej psychiki. Chodziło mu o to, by mogła spotkać jakiegoś młodego mężczyznę i zbliżyć się doń, bo tylko w ten sposób mogłaby stwierdzić, że uczucia, jakie żywi dla Wilczura, w żadnym wypadku nie wytrzymają próby czasu.

Na szczęście przyjazd Kolskiego dał Wilczurowi możliwość uniknięcia skomplikowanych machinacji. Sytuacja układała się jak najlepiej, i Wilczur nie wątpił, że próba, na jaką wystawił Łucję, zostawiając ją na trzy tygodnie górami sam na sam z Kolskim, będzie próbą skuteczną. Istniały bowiem dwie ewentualności: albo Łucja nie zmieni się w niczym i wtedy Wilczur będzie miał świadectwo trwałości jej uczuć, albo ta przyjaźń, którą zawsze żywiła dla Kolskiego, przybierze inny ton i inne zabarwienie, pogłębi się, wzmocni, słowem, stanie się tym, co ludzie nazywają miłością.

Za tą drugą ewentualnością według mniemania profesora Wilczura przemawiało wiele. Głównym jej atutem bezsprzecznie był młody wiek obojga, wspólnota upodobań i zainteresowań oraz miłość Kolskiego. Wilczurowi wydawało się bardzo nieprawdopodobne, by atuty te nie miały dojść do głosu w wytworzonej sytuacji, w warunkach, gdy oboje młodzi zmuszeni okolicznościami spędzają całe dni z sobą.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Wilczur wracał w pogodnym nastroju ducha.

Przewidywał wprawdzie to, że będzie musiał się rozstać z Łucją, że będzie musiał wyrzec się

344

wszelkich swoich nadziei, bynajmniej jednak nie cieszył się z tego powodu. Uważał, że spełnia swój obowiązek, że postępuje uczciwie, lecz wiedział również, że tym postępowaniem zamyka niejako ostatni rozdział swego osobistego życia. Ze świadomie i ostatecznie wyrzeka się własnego szczęścia.

Na stacji w Ludwikowie znalazł wolną furmankę jednego z radoliskich Żydów. Chuda

szkapina wlokła się noga za nogą, tak że gdy dojeżdżał do młyna, panował już lekki zmrok.

Na rozstaju zapłacił Żydowi i wzięwszy walizkę ruszył pieszo do lecznicy. Drzwi nie były zamknięte. Nacisnął klamkę i wszedł. W sieni nic było nikogo. W całym domu panowała zupełna cisza, w której jego kroki rozległy się hałaśliwie. Nagle ze „szpitalnego” pokoju odezwał się głos Donki:

– Hej, a kto tam?

– Jak się masz, Donko? To ja.

– Jezus Maria! – odpowiedział mu radosny okrzyk. – Pan profesor wrócił!

I dobra Donka wpadła do sieni rozradowana i zemocjonowana. Po przywitaniach pomogła mu zdjąć palto i żywo zabrała się do przygotowania herbaty, paplać przez cały czas bez przerwy.

– A gdzież jest panna Łucja? – zapytał Wilczur.

– Na spacerze. Co dzień na spacer z panem doktorem Kolskim chodzą i wracają;) dopiero na kolację. Strasznie daleko chodzą. Czasami aż na Wickuny.

– No, a jakże, nie nudzi się tu doktor Kolski? Donka zaśmiała się.

– Gdzie tam jemu do nudzenia się. Ja tak myślę, że on tu i rok by chętnie siedział.

– To bardzo miły człowiek – zauważył Wilczur poźornie obojętnym tonem. – Jakże ci się on podoba, Donko? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Co on mi się tam ma podobać czy nie podobać? Albo to on dla mnie? Ja mam swojego Wasyla i innych nie potrzebuję. A jak się komuś przywiduje, że ja do doktora strzelam oczami, to to nieprawda.

– A komuż się to przywiduje? – z zaciekawieniem zapytał Wilczur. – Wasylowi?

– Nie Wasylowi, tylko pannie ŁUCJI.

– Skądże ty o tych wiesz, że jej się tak przywiduje?

– A bo tu jednego razu tak nakrzyczała na mnie, że nie wiem. Nawet groziła, że się panu profesorowi poskarży. Ze ja niby do pana doktora jakieś flirty robię. Potrzebny mi on akurat. Niech go sobie ma. Ja nie dla niego, on nie dla mnie. Ale pierwszy raz słyszę, żeby się nie było wolno pośmiać. Pan profesor też nieraz ze mną się śmieje.

Wilczur chrząknął i powiedział w zamyśleniu:

– Pewno, że wolno.

– No, właśnie. Ja wiedziałam z góry, że pan profesor na mnie się me będzie gniewał.

– Na nikogo się nigdy nie gniewam, drogie dziecko – westchnął Wilczur, zasiadając do przygotowanej herbaty. – No, a cóż tu poza tym nowego? U Prokopa wszyscy zdrowi?

– Co nie mają być zdrowi? Dziadzio co dzień mnie pyta, czy od pana profesora wiadomości nie ma o powrocie.

– Przychodzi tu co dzień?

– Z początku to przychodził, ale ostatnimi czasy to się czegoś na pannę Łucję boczy i tu nie zagląda. Wilczur zdziwił się.

– Dlaczego się boczy?

– A bo on doktora Kolskiego nie lubi. Powiada, że nie wiadomo po co pan profesor po-

zwolił mu tu zostać. Coś nie przypadł dziadziowi do smaku. A sama nie wiem dlaczego, bo to bardzo sympatyczny człowiek. Kiedy w zeszłym tygodniu pan doktor chciał konie wynająć, to mu nie dał.

– A po cóż mu były konie?

345

– A do konnej jazdy. Bo pan doktor z panną Łucją to często konno jeżdżą. Konie wynajmują teraz od jednego starowiera z Nieskupy, a siodła od rymarza Wojdyły z miasteczka. O, tu leżą – wskazała kąt w sieni.

Wilczur spojrział i skinął głową.

– Rzeczywiście leżą.

– A teraz to pewno doktor będzie musiał wracać do Warszawy, bo i miejsca dla niego tu nie ma. Chyba żeby w sieni tu spał albo w operacyjnym. Tak widzę, że i z tych imienin nic im nie wyjdzie – nie bez pewnej złośliwości zakończyła Donka.

– Z jakich imienin?

– Z imienin pani Pawlickiej. Mieli tam pojutrze jechać do jej majątku. Pani Pawlicka tu sama była i zapraszała jeszcze w poniedziałek. Tam będzie duży bal. Panna Łucja nawet sobie nową sukienkę szykuje. Taką niebieską, przybraną tiulem. Ach, żebym to ja sobie mogła taką zrobić!

Profesor dopił herbatę i siedział milczący. Donka kręciła się po pokoju, a wyrzawszy oknem zawołała:

– O, o! Już wracają. Jakoś dziś wcześniej. Niech pan profesor zobaczy.

Przez płot przełazą.

Wilczur zbliżył się do okna. Istotnie przez płot odgradzający dziedziniec od pola przełaził Kolski. Zeskoczył i wyciągnął ręce, pomagając Łucji. Nie było słychać ich rozmowy, lecz

widocznie byli rozbawieni i w doskonałym humorze. Zarumieniona twarz Łucji promieniowała wesołością. Śmieli się, patrząc sobie w oczy, po czym wolno ruszyli ku domowi, trzymając się za ręce. Raz po raz przystawali i teraz było już wyraźnie słyszeć ich śmiech.

Wilczur cofnął się od okna. Już nie miał najmniejszych wątpliwości, jakie rezultaty dała przygotowana przezeń próba. Najchętniej zamknąłby się teraz, by ich nie widzieć. Było to jednak niemożliwe.

Drzwi się otworzyły i weszła najpierw Łucja, a za nią Kolski. W pierwszej chwili zatrzymali się zaskoczeni widokiem Wilczura. Łucja krzyknęła:

– Profesorze! Wrócił pan! Wilczur zmusił się do uśmiechu.

– Jak się macie, moi drodzy!

Pomimo serdeczności w powitaniach przewijała się nutka ogólnego zażenowania. Gdy zasiedli do kolacji. Wilczur z przesadną rozwlekłością opowiadał, co robił w Wilnie, opowiadał o tamtejszych stosunkach w świecie lekarskim, a gdy ten temat się wyczerpał, przystąpił do równie obszernego opisu operacji Dobranieckiego.

Natychmiast po kolacji Wilczur powiedział:

– Zrobi mi pan tę łaskę, kochany kolego, i zostanie jeszcze kilka dni. Nie będę pana ruszał z miejsca, a sobie urządzę legowisko w operacyjnym.

– O, nigdy się na to nie zgodzę, panie profesorze – niezręcznie odpowiedział Kolski. – Nie wiem, czy me sprawię kłopotu tym, że pozostanę, jeżeli pan profesor pozwoli. Ale w żadnym razie nie mogę zajmować nadal pańskiego pokoju. Mnie w operacyjnym będzie zupełnie wygodnie.

Natychmiast po urządzeniu posłania dla Kolskiego i po przeniesieniu jego rzeczy, profesor tłumacząc się zmęczeniem po podróży pożegnał się i udał się na spoczynek.

Ze smugi światła, która do późnej nocy padała z okna ambulatorium, mógł się domyślić,

że Łucja i Kolski nie poszli spać, lecz rozmawiali.

Rozmawiają o czym?... Czy już doszli do porozumienia? Czy Łucja przyjęła jego oświadczenia?... Jeżeli tak jest, naradzają się teraz, w jaki sposób ma się ona uwolnić od zobowiązań wobec starego, poczciwego profesora. W jaki sposób zakomunikować mu o zmianie swoich uczuć?...

Wilczurowi wydało się to nieprawdopodobne. Aczkolwiek wszystko, co tu zastał, dobitnie świadczyło o zbliżeniu się Łucji do Kolskiego, niepodobna było wyobrazić sobie, by ta

346

dziewczyna o mocnym i zdecydowanym charakterze cofnęła się, by się wyparła swych zobowiązań. Należało raczej liczyć się z czymś wręcz odwrotnym. Należało przewidywać, że Łucja, nawet kochając Kolskiego, nie zechce przyznać się do tego, nie zechce nawet sama przyjąć tego do wiadomości. Będzie uważała za swój święty obowiązek •wytrwanie w postanowieniu, dotrzymanie obietnic, niezdradzenie niczym zmiany, jaka w niej zaszła. Wilczur prawie tego był pewien.

Zamknął oczy i leżąc w ciemności analizował dzisiejsze zachowanie się Łucji. Bez wątpienia była nieco speszona jego przyjazdem, lecz przywitała go z taką serdecznością jak dawniej. Później w ciągu wieczoru nie była wprawdzie zupełnie swobodna w obejściu, jednakże bynajmniej nie unikała jego wzroku, a wypytywała o wszystko z takim zainteresowaniem jak zawsze. I nic tu nie uderzyło Wilczura. Być może chyba to, że przez cały czas ani razu nie odezwała się do Kolskiego. Kolski również zwracał się tylko do profesora. Zdawali się wzajemnie siebie nie dostrzegać, co stanowiło tak jaskrawy kontrast z niedawnym rozbawieniem, póki jeszcze nie wiedzieli o jego powrocie, że musiało to zastanawiać.

Przypomniał sobie siodła leżące w kącie sieni. Oczywiście jeżdżą konno, zimą będą jeździli na nartach czy chodzili na ślizgawkę, latem będą robili wycieczki górskie. Są młodzi,

mają zbliżone upodobania i dość sił fizycznych do ich realizacji.

Piały już koguty w zagrodzie Prokopa Mielnika, gdy Wilczur zasnął. Wczesnym rankiem wszyscy razem jedli śniadanie jak zwykle w pokoju Łucji. Humory nic poprawiły się i tylko Jemioł gadał bez przerwy ku zadowoleniu wszystkich pozostałych, którzy dzięki temu mogli milczeć. Nawiązując do operacji Dobranicckiego perorował:

– Wyciąłeś mi nowotwór z mózgu, darling. Ale czyś się zastanowił nad tym, że właściwie mówiąc, cały nasz mózg, a ściślej, cała nasza kora mózgowa, mieszcząca wyższe władze ustroju, czyli po prostu ducha, jest najszkodliwszym nowotworem, jakim dywagacja natury napęliła nasze czaszki? O ile się nie mylę, tam jest właśnie siedlisko myśli, czyli rzeczy najbardziej niepotrzebnej i najbardziej niebezpiecznej na świecie. Zastanów się, jak pięknie wyglądałoby życie, włodarzu, gdybyśmy nie myśleli, pokornie spełniając narzucone nam przez przyrodę funkcje odżywiania się i rozmnażania się. O ileż bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy nie powtarzali za Kartezjuszem: „cogito, ergo sum”, lecz za pierwszym lepszym bydlątkiem: „coito, ergo sum”. Logika natury została zniekształcona przez nasze myślenie, bo wszystko w naturze jest celowe. Z chwilą zaś ukazania się w niej rozumu ludzkiego przekonaliśmy się, że nie

wiemy, po co ten rozum mamy. Gdybyśmy pozostali zwierzątkami jaskiniowymi, byłoby oczywiste, że jesteśmy jedynie jedną z form przemiany materii w świecie, że mamy za zadanie w określonej liczbie lat naszego smrodliwego żywota wchłonąć pewną ilość tlenu z powietrza, wody ze strumyczka, pokarmów roślinnych i zwierzęcych, by pozostawić pewne quantum .kwasu węglowego, malowniczo rozsianych po glebie ekskrementów i wreszcie własne ścierwo. Wszystko w porządku. W łańcuchu przemiany spełniamy swoją rolę. Ale co z myślą? Ale co z Iliadą, co z Hamletem? Co z dwumianem Newtona, z teorią względności i z kwantami Plancka? Po jasną cholerę to wszystko? Ku czemu to zmierza? Jeżeli mi powiecie,

gentlemen and ladies, że dzięki temu rośnie cywilizacja, a z nią proporcjonalnie wzrasta się przyrost naturalny gatunku homo sapiens, to zapytam was, czy leżało w planie matki przyrody nadmierne użyżnianie gleby onymiż wspomnianymi ekskrementami i padliną? To może zakłócić cały porządek rzeczy i doprowadzić do nieprzewidzianych katastrof.

Orację Jemioła przerwało przybycie pierwszych pacjentów, i trójka lekarzy zabrała się do pracy. Dopiero około trzeciej w lecznicy znowu zapanowała cisza. Korzystając z tego, że Łucja jeszcze w pokoju szpitalnym robiła opatrunki, Wilczur poprosił Kolskiego do swego pokoju i częstując go papierosem, zapytał.

– Jakże, kolego? Bardzo pan przeklina mnie za to, że go tu uwięziłem na tak długo?

347

– Ach, nie, panie profesorze. Był to dla mnie prawdziwy odpoczynek.

– Słyszałem, że pan jest w Warszawie bardzo zapracowany. Ma pan coraz większą praktykę. Szczerze się ucieszyłem. Teraz czeka pana po powrocie dużo roboty. Niechże pan siada.

– Dziękuję – bąknął Kolski, sadowiąc się na twardym taborecie.

– I dochody panu też rosną?

– Nie narzekam na to.

– Jednego tylko nie rozumiem – po namyśle odezwał się Wilczur – dlaczego pan trwa w celibacie? Powinien pan się ożenić. Tego nie należy przeciągać. Wiem o tym z własnego doświadczenia.

Kolski poczerwieniał.

– Niestety, jest to niemożliwe. Wilczur podniósł brwi.

– Aż niemożliwe?... Wybacz pan, kolego, że wtrącam się w pańskie prywatne sprawy, ale sądzę, że upoważnia mnie do tego nasza stara znajomość i mój wiek. Czy może mi pan po-

wiedzieć, na czym ta niemożliwość polega?

Kolski odpowiedział nie od razu:

– Kocham kogoś...

– No, to chyba jest najmniejsza przeszkoda – uśmiechnął się Wilczur.

– Kobieta, którą kocham, nie jest wolna – wyjaśnił Kolski.

– Ach, tak?... Mężatka?

– Nie. Jest zaręczona z innym.

– To rzeczywiście przykre. I kocha tego innego?

– Tak przynajmniej mówi.

– Ale przecież do pana, kolego, nie czuje chyba nienawiści?

– O, nie – pośpiesznie zaprzeczył Kolski. Wilczur przyglądał mu się przez chwilę z uśmiechem.

– Dziwna rzecz, panie kolego. Nie wygląda mi pan na ślamazarę, a postępuje pan jak załęczniona panienka. Z kobietami trzeba ostro, panie kolego. Zdecydowanie. Po męsku. Jeżeli jest panu przychylna, to śmiało atakować. Niech pan pamięta o tym, żeby nie dać się odstraszyć pozorami. Czasami coś bardzo groźnie wygląda. Jakaś skała piętrzy się przed nami i wydaje się nie do zdobycia, a trochę przedsiębiorczości i uporu wystarczy, by dostać się na jej szczyt. –

Kolski nerwowo gniótł palce. W pierwszej chwili zdawało mu się, że profesor zeń kpi.

Później przyszło mu na myśl, że chce go wybadać. Teraz już sam nie wiedział, co o tym myśleć.

– Tak, tak – mówił Wilczur. – O małżeństwie, panie kolego, trzeba myśleć zawczasu i «kuć żelazo, póki gorące. Człowiek ani się spostrzeże, gdy się zestarzeje. Ile pan sobie lat liczy?

– Trzydzieści pięć, panie profesorze.

– No, widzi pan. To najwyższy czas. Gdy ja się żeniłem, miałem już za wiele. Już między mną i żoną była zbyt wielka różnica wieku. I oczywiście takie małżeństwo nie mogło być szczęśliwe.

Kolski znowu poczerwieniał i szeroko otworzył oczy. Czyżby profesor chciał mu dać do zrozumienia, że nie myśli o małżeństwie z Łucją?

Wilczur mówił dalej:

– Ma się rozumieć, kwestia lat sama przez się nie jest tak ważna, nie wchodzi tu bowiem w grę sprawa seksualna. Wie pan dobrze, że nie zawsze zależne to jest od wieku. Chodzi o coś innego. O kwestię zamiłowań i upodobań. Te trzeba mieć mniej więcej jednakowe, aby być z kobietą szczęśliwym i by jej dać szczęście. Nie można popełnić większego błędu, niż żeniąc się z dziewczyną młodszą od siebie o więcej niż dziesięć lat.

Kolski przełknął ślinę i zapytał:

– Czy pan profesor serio jest tego zdania?

348

– Jak najbardziej serio, panie kolego. Niech pan tedy nie zwleka, bo jeszcze ktoś pana ubiegnie. I nie bać się rywala. O kobietę trzeba walczyć. To nie jest pieczony gołąbek, co sam panu spadnie do otwartej buzi. A gdy już ją pan będzie miał, niech pan pamięta, by więcej jej czasu poświęcać niż swojej pracy zawodowej. To szalenie ważne. O tym również przekonałem się na własnym smutnym doświadczeniu. Kiedyś, gdy pan zechce tu mnie odwiedzić, opowiem panu tę historię. Bo nie wątpię, że latem zajrzy pan tu chociaż na kilka dni.

– Z największą przyjemnością, panie profesorze. – Kolski skłonił się zmieszany.

Do pokoju weszła Łucja. Zdjęła już kitel i była w ciemnej wełnianej sukience, a w rękę trzymała jakąś robótkę.

– Ho, ho, panno Łucjo – zwrócił się do niej Wilczur. – Czuję w powietrzu jakąś zabawę.

Założyłbym się, że produkuje pani nową suknię;

– Skąd pan wie? – zdziwiła się Łucja.

– Jasnowidzenie! – podnosząc palec do góry tajemniczo odpowiedział Wilczur. – Czyż na darmo uważają mnie wieśniacy w okolicy za czarownika?

Jasnowidzenie!

Zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

^ – Zaraz, zaraz... Już widzę... Tłum tańczących par... Orkiestra... Oto pani domu... A to jej mąż... Wysoki, przystojny.... Założyłbym się... Ależ tak. Na pewno jest lekarzem... Na Boga!

To doktor Pawlicki!

Łucja i Kolski zamienili spojrzenia pełne podziwu. Wreszcie Łucja zawołała ze śmiechem:

– Ależ oczywiście! Profesor musiał spotkać w Radoliszkach Pawlickiego

i dowiedział się od niego o tym balu. Wilczur gwałtownie zamachał ręką.

– Niech pani nie przerywa mi wizji: to wcale nie są Radoliszki. Widzę, widzę... To jest dwór. Bal na wsi... Oto jakieś toasty... Tak... To wznoszą zdrowie pani domu... Jej imieniny... Widzę panią... A obok doktora Kolskiego... Pani jest jakby otoczona obłoczkami czegoś przezroczystego... Tak... To tiul... Niebieski tiul... I cała suknia jest niebieska...

– Nie, to doprawdy niewiarygodne! Skąd profesor może wiedzieć, że suknia istotnie będzie niebieska! Bo przecież nie z tego paska, który robię. Pasek jest czarny. Profesorze, niechże pan już dłużej nas nie intryguje!

Wilczur spojrzał na nią groźnie.

– Widzę, że pani ośmiela się nie wierzyć w moje nadprzyrodzone uzdolnienia.

– Ośmielam się. – Łucja skinęła głową.

– Ha, wobec tego nie będę już dalej pani przepowiadał.

– Niech pan jeszcze tylko przepowie, czy nie widzi pan na tym balu słynnego chirurga, profesora Rafała Wilczura? Wilczur energicznie zaprzeczył ruchem głowy.

– Stanowczo nie widzę. Jego obfite kształty rysują się przed oczyma mej duszy wygodnie rozpostarte na tym oto łóżku i pogrążone w krzepiącym śnie.

– To i my w takim razie też nie pojedziemy – zawyrokowała Łucja.

– Ani mi się wazcie! Jeżeli nie pojedziecie, będę to uważał za osobistą obrazę. Przekonam się bowiem, że swoim powrotem pokrzyżowałem wasze przyjemne plany. Kto wie, czy wobec tego nie ucieknę z powrotem do Wilna?

Po krótkich certacjach Łucja zgodziła się być na balu u Pawlickich. W istocie bardzo tego pragnęła. Wiedziała, że spotka tam Jurkowskiego, a właśnie jemu chciała się pokazać w towarzystwie Kolskiego, by mu udowodnić, że ma i młodych, i przystojnych adoratorów. Jeżeli zaś wybrała Wilczura, to

widocznie dlatego, że profesor jest znacznie więcej wart od najprzystojniejszych i najmłodszych.

349

Chociaż rzecz była postanowiona, w chwili wyjazdu opadły Łucję wyrzuty sumienia i omal nie zrezygnowała z balu. Nie postąpiła może tak jedynie dlatego, że profesor zdawał się bynajmniej nie martwić samotnie spędzonym wieczorem (Jemioł poszedł do karczmy i nie zapowiadał szybkiego powrotu). W zachowaniu się profesora raczej można, było się dopatrzeć zadowolenia, że będzie miał wolny czas dla siebie. Wesoło żartując odprowadził ich do bryczki. Z samotności jednak nic nie wyszło. Zaraz po odjeździe Łucji i Kolskiego przyszedł Prokop. Swoim zwyczajem przywitał się w milczeniu i wszedł za Wilczurem. Gdy już zasiadli w jego pokoju, zapytał:

– I cóż tam słyhać na szerokim świecie?

– Jak zawsze – kiwnął głową Wilczur. – Użerają się ludzie o kawałek chleba jak głodne psy o kość. Otumanieni swoimi sprawami, zagonieni. Nic nowego na szerokim świecie.

– A jednak długo cię nie było – zauważył Prokop. – A to niedobrze.

– Dlaczegoż niedobrze? – Wilczur spojrzał nań uważnie.

– A bo widzisz, w moim rozumieniu to tak: jak ktoś coś ma, to zawsze lepiej pilnować.

Chatę samą zostawisz, drzwi nie zamkniesz, to cię i okradną. Miejscowi, wiadomo, nie ruszą, ale mało to różnych przybłędów po kraju się włóczy? Ani się obejrzysz, jak ci wszystko wyniosą.

Wilczur potrząsnął głową.

– Mądrze mówisz, Prokopie. Tak mądrze, że i zrozumieć mi trudno. Toż przyjechałem i niczego tu nie brak. Powiedz wyraźniej, co masz na myśli.

– Cóż ja mam tu mówić – burknął Mielnik i z wielką uwagą zabrał się do skręcania papierosa.

– Zastałem wszystko w porządku – ciągnął Wilczur. – Wszystko tak, jak powinno być. Nikomu się nic nie stało, chorzy dopatrzeni.

– I nie tylko chorzy...

– Cóż to znaczy?

Prokop zmarszczył brwi i wolną ręką przesunął kilka razy po swojej siwej brodzie.

– A ja tobie co powiem: ty tego młodego doktora to pędź w szyję. Niepotrzebny on tu jest. Posiedział trzy tygodnie albo i więcej, a teraz i dosyć. Niech jedzie kczortu. Nahasał się tu, nakręcił, to i dosyć. Myślałem, że jak powrócisz, od razu go przegonisz, ale ty za miękki człowiek. Wierzchem tu będzie jeździć i takie rzeczy. Niech wraca, skąd przyjechał. Nie było tu jego i dobrze było. Ty jego po karku i won! Ot, co!

W miarę tego jak mówił, stary aż się zasapał z długo tłumionej irytacji. Skończył i jeszcze pomrukiwał przez parę minut.

Wilczur udał zdziwionego. .

– Uszom, swoim nie wierzę. Doktora Kolskiego znam od dawna. To bardzo porządny lekarz i miły człowiek. Nic mu zarzucić nie mogę. Czyżby on tu podczas mojej nieobecności coś złego robił?

Prokop wzruszył ramionami.

– Złego, nic złego. Ale ty byś lepiej zrobił, nic zostawiając go tutaj

– Ludzie, których leczył, wcale się nie skarżyli na niego... Prokop machnął ręką.

– Leczenie leczeniem, a więcej on patrzy w zdrowych niż w chorych. Myślałem, że sam to zauważysz i położysz temu koniec. A ty ich jeszcze teraz na jakieś wieczorynki razem wysyłasz.

Wilczur zaśmiał się z przymusem i poklepał Prokopa po ramieniu.

– A cóż mam robić, stary przyjacielu? Młodzi są, oboje młodzi, to niech się sobie wytańczą. Dla nas z tobą pogawędka, ciepły piec, a dla nich zabawa. Ot, i wszystko w porządku.

Prokop pokręcił głową.

– Dziwne rzeczy mówisz. Ja bym tam swojej kobiecie, a zwłaszcza gdyby była młoda, nie pozwolił na to.

350

– Swojej?... – Wilczur machnął ręką. – A czy może być swoja kobieta, przyjacielu? Swoja może być chałupa, swoja kurtka, swoja krowa, ale kobieta? Przecież ona też myśli i czuje tak samo jak i ja. Takie same ma prawa jak i ja. Przeciw woli ją trzymać? Toż to więzienie. I jakiz miałbyś pożytek z takiej, co wbrew swemu sercu przy tobie siedzi i tylko myśli o tym, jakby się wyrwać, i na swój los narzeka?

– Prawo takie Boskie jest – surowo powiedział Prokop.

– Ech, przyjacielu. Właśnie żeby to prawo było przestrzegane, to trzeba dobrze namyślić się, zanim się kobietę tym prawem z sobą zwiąże. Prawo to tylko wtedy moc swoją będzie miało, gdy zatwierdzi to, co w dwóch sercach zostało postanowione.

Prokop zamyślił się i powiedział:

– A ja myślałem, że u was już postanowione.

– Dzięki Bogu, nie było jeszcze postanowione – ze smutkiem odpowiedział Wilczur i zaczął mówić o innych sprawach, dając tym do zrozumienia Prokopowi, że poruszony przezeń temat jest dlań przykry.

Tymczasem w gościnnym domu państwa Pawlickich serdecznie i 7. wylaniem witano gości. Łucja nie omyliła się. Istotnie pan Jurkowski wydawał się zaskoczony tym, że przyjechała nie w towarzystwie Wilczura. Przyglądał się uważnie Kolskiemu, zwłaszcza wtedy gdy Łucja z nim tańczyła. Sam pan Jurkowski demonstracyjnie nie tańczył, natomiast często odwiedzał bufet, by wracać znów do salonu i podpieierać odrzwia.

Łucja najwięcej tańczyła z Kolskim. Był świetnym partnerem, a poza tym dnia tego jeszcze bardziej miłym niż zwykle. Zupełnie wyzbył się owych zamyśleń, które go poprzednio raz po raz nawiedzały, był wesoły, pogodny, zadowolony i sprawiał wrażenie kogoś, kto z trudem ukrywa jakąś niezwykle radosną tajemnicę. Łucja czuła się świetnie. Nie spieszyło jej nawet przypadkowo zasłyszane zdanie jakiegoś starszego pana, który wskazując swojej towarzysze Łucję i Kolskiego powiedział z rozmysłem dość głośno:

– Zobacz, jaka to dobrana para.

Wkrótce po kolacji pan Jurkowski poprosił Łucję do tanga. Oczywiście nie miała powodu mu odmówić. Okazało się jednak, że postąpiła nierozważnie. Musiał już mieć w czubie, gdyż zaraz w pierwszym okrążeniu, zapytał z wyraźną intencją:

– I cóż tam profesor Wilczur? Zostawiła go pani w domu?

– Profesor czuł się zmęczony – odpowiedziała zdawkowo. – Nie lubi hucznych zabaw.

– Ale wynalazł sobie do tych zabaw godnego zastępcę... Łucja zbyła tę uwagę milczeniem.

– A zastępca bynajmniej nie wygląda na zmartwionego swoją misją. Może by profesor i nie był z tego kontem. Jak pani sądzi?

W jego głosie zabrzmiała wyraźna ironia. Łucja lekko wzruszyła ramionami i chcąc zmienić temat powiedziała:

– Doktor Kolski jest dawnym uczniem i przyjacielem profesora. A dlaczego pan nie tańczy?

– O, ja nie tańczę, bo mam taki widok, jakiego jeszcze w życiu nie miałem. Muszę się przyglądać, by na przyszłość wiedzieć...

– Co wiedzieć? – zdziwiła się Łucja.

– Ano, wiedzieć, jak wygląda zakochana kobieta. Przecież pani wpatruje się w tego Kolskiego jak w tęczę. A on w panią jak kot w szperkę. Do stu diabłów! Oczu od siebie oderwać nie mogą! I cóż mi pani naopowiadała o profesorze, kiedy się pani kocha w tym doktorku. Łucja czuła, że blednie. Słowa Jurkowskiego zaskoczyły ją i przeraziły do tego stopnia, że nie pomyślała nawet o tym, jak dalece Jurkowski przekracza przyzwoite formy, wtrącając się do jej prywatnych spraw.

– Pan się myli – odpowiedziała. – Z doktorem Kolskim łączy mnie koleżeństwo i stara przyjaźń. Nic poza tym.

351

– Terę fere kuku! Ładne koleżeństwo! Cała pani promienieje do niego. Ślepy by to zauważył. Owszem, może pani myśleć nawet, że mówię to przez zazdrość. Niech i tak będzie. Jestem zazdrosny. Ale zazdrość nie może mi o tyle przesłonić oczu, bym nie dostrzegł, że pani

się w nim kocha. Nie rozumiem tylko, po co mnie pani wtedy w Kowalewie okłamała, mówiąc o profesorze. A może profesor ma być od małżeństwa, a ten młody doktor od przyjaźni?... Nie ma co, dobry żart!

Łucja oprzytomniała.

– Pan jest nietrzeźwy. Pan będzie łaskaw odprowadzić mnie na miejsce.

– Oczywiście, odprowadzę panią. Tam już on czeka stęskniony... Jakże mogę narażać panią na tak długie rozstanie z ukochanym!

Zatrzymał się przed Kolskim i kłaniając się Łucji szarmancko, dodał:

– Oto zwracam panu wypożyczony skarb...

Kolski, nie domyślając się wcale, co zaszło, odpowiedział z uśmiechem:

– Niewielu dziś jest ludzi, którzy tak sumiennie zwracają pożyczone skarby. Tak sumienie i tak prędko...

Jurkowski uklonił się ponownie z przesadną galanterią.

– Zdecydował o tym sam skarb, który już dłużej nie mógł wytrzymać bez właściciela.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wyszedł z salonu. Teraz dopiero Kolski spostrzegł wzburzenie Łucji.

– Co pani jest, Łucjo? Co pani jest? – zapytał zaniepokojony.

Potrząsnęła głową.

– Ach, nic, nic. Tu jest duszno – odpowiedziała – a w dodatku... ten pan był pijany i mówił głupstwa.

Kolskiemu krew przyplęnęła do twarzy.

– Chyba nie obraził pani?!

– Nie, nie. Broń Boże. Wyjdźmy stąd. Zgodził się skwapliwie.

– Poszukamy pokoju, gdzie jest więcej powietrza. Pani tak blado wygląda...

W przejściu spotkali Pawlickiego, który ich zatrzymał.

– Zmęczyli się państwo tańcem?

– Nie – wyjaśnił Kolski. – To panna Łucja niezbyt dobrze się czuje.

Chciałaby trochę odpocząć.

– Odpocząć? Ależ służę koleżance – zawołał Pawlicki. – Zaprowadzę państwa do pokoju żony. Będzie pani mogła nawet się położyć na kanapie.

– Nic mi nie jest – protestowała Łucja.

Nie wypadało jednak opierać się zbyt kategorycznie i Pawlicki wprowadził ich do obszernego pokoju, który był czymś pośrednim między sypialnią a gabinetem. Na biurku paliła się stojąca lampa. Nikogo tu nie było.

– Tu pani wypocznie i nabierze sił do dalszej zabawy – powiedział Pawlicki. – I wybaczą państwo, że muszę wracać do gości.

– Dziękujemy uprzejmie – skinął głową Kolski, a gdy drzwi się za Pawlickim zamknęły, zwrócił się do Łucji:

– Może by pani rzeczywiście się położyła na chwilę?

Łucja potrząsnęła głową i odwróciła się. Nie mogła nań patrzeć. Brutalne słowa Jurkowskiego jakby uderzeniem pięści rozbiły w niej wszystkie te tak mozolnie nagromadzone, tak skrzętnie i precyzyjnie ustawione obłonki, za którymi chciała ukryć, ukryć przed samą sobą wzbierające w niej uczucie.

– To nieprawda, nieprawda... – gorączkowo powtarzała w myśli, lecz gołosłowne zaprzeczenie nie mogło już podważyć tego, co stało się jasne,

przeraźliwie jasne.

Jakże dokładnie teraz widziała wszystko. Wszystko! Od początku. Więc tak. Była zazdrośna o Dobraniecką, a później nawet o tę małą Donkę. Cieszyła się z każdego dnia przedłużającego się pobytu Kolskiego w lecznicy i bała się, tak, bała się chwili jego wyjazdu. A powrót profesora... to podłe, to nikczemne... Powrót profesora przeraził ją.

Ileż wysiłku zużyła na uparte wmawianie w siebie, że nadal kocha Wilczura, że nadal chce zostać jego żoną. Z jaką zawziętością zamykała oczy na jego starość! Jak mu bardzo była wdzięczna za to, że nie pozwolił Kolskiemu natychmiast odjechać. Kryła to w sobie, kryła przed sobą, lecz widocznie nie umiała ukryć przed innymi. Wszystko w niej martwiało na myśli, że i profesor mógł w niej to dostrzec. Ileż pogardy czuła dla siebie! Wykazała całą małość swojej duszy, całą słabość charakteru. Uległa uczuciu, które powinna była w sobie zwalczyć, które mogła wykorzenić zawczasu. Jakże niskie i niegodne było to, że pozwoliła mu się rozwinąć, że zasłaniając je różnymi pretekstami, tolerowała jego rozrost w swym sercu. W tym sercu, które przyrzekła innemu.

– Przyrzekłam i muszę obietnicy dotrzymać. Choćby się ziemia waliła! Choćbym miała umrzeć!

Słowa te z coraz większą wyrazistością utrwaliły się w jej mózgu. Och, gdyby chodziło o kogoś innego! Na przykład o Jurkowskiego, nie o profesora. Wówczas nie wahałaby się wcale. Ale wiedziała przecież, jak straszliwie samotny jest Wilczur. Porzucenie go byłoby zbrodnią. Niedotrzymanie danej mu obietnicy byłoby hańbą.

– Muszę z nim zostać i zostanę... zostanę!... Oto na szalę padło ostatnie słowo, słowo, którego już nic w niej nie , zmieni. Odwróciła się i spojrzała na Kolskiego. Serce ścisnęło się w nagłym skurczu. Powiedziała drżącym głosem:

– Musi pan jak najprędzej, zaraz jutro wracać do Warszawy. Koniecznie.

– Dlaczego, panno ŁUCJO? Co się stało? – zapytał przerażony. Potrząsnęła głową.

– Nic. Nic. Ale jeżeli żywi pan dla mnie choć odrobinę dobrych uczuć, wyjedź pan zaraz.

– Ależ dlaczego?

Łucja nie mogła dłużej wytrzymać. Łzy napłynęły jej do oczu, w piersi odezwało się spazmatyczne łkanie. Zaskoczony Kolski chwycił ją w objęcia i mocno przytulił do siebie.

– Kochana – powtarzał – uspokój się, kochana.

Ona jednak nie mogła opanować szlochu. Czuła podtrzymujące ją ramiona, nie miała jednak siły, by się z nich wyrwać. Czuła na włosach jego pocałunki łagodne, serdeczne i tak pożądane. I tym wyraźniej odzywała się w niej świadomość, że musi wyrzec się ich na zawsze, do końca życia.

Kolski usadowił Łucję na fotelu i klękawszy przy niej błagał ją najczulszymi słowami, by się uspokoiła. Stopniowo odzyskiwała zdolność mówienia. Wycierał jej oczy i policzki swoją chusteczką.

– Nie zostawię cię nigdy, kochana – mówił. – Nie oddam cię nikomu.

– Janku... Janku – szepnęła i zarzuciła mu ręce na szyję. W nagłym porywie przyciągnął ją do siebie.

– Kochasz mnie! Wiem, że kochasz!

– Ciebie, tylko ciebie!

– No widzisz, jakie to szczęście! Jakie to wielkie szczęście – mówił głosem nabrzmiałym wzruszeniem. – Pobierzemy się i już nic rozstaniemy się nigdy. Nic nas nie rozłączy. Najdroższa moja, jedyna!...

Łucja przygryzła wargi, odsunęła go od siebie i potrząsnęła głową.

– Nie, Janku... Nie... Kocham cię, ale wiesz dobrze, że nie jestem wolna, że nie mogę sobą rozporządzać. Musimy się oboje z tym pogodzić. Na to nie ma żadnego sposobu...

Spojrzał na nią z lękiem.

– Jak mam to rozumieć, że nie jesteś wolna? Co przez to chcesz powiedzieć?

353

– Że mam zobowiązania, z których się nie mogę wycofać.

Ujął ją za rękę w przegubie. – Łucjo, czy to ma znaczyć, że jesteś jego... że łączy cię z nim.

Zrozumiała pytanie, którego nie mógł wydobyć z siebie, i zaprzeczyła żywo:

– Ach, nie. Broń Boże. Ale są przecież zobowiązania stokroć mocniejsze od tego...

– Żadne zobowiązania – wybuchnął – nie mogą być mocniejsze od prawdziwego uczucia.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Zbyt proste ujęcie. Nie. Nie mogę. Nie umiałabym zacząć z nim o tym mówić. Te słowa nie przeszłyby mi przez usta. Och, dość pomyśleć o tym, jakie ten człowiek miał tragiczne życie, ile krzywd spadło nań najbardziej niezasłużenie, ile nieszczęść go spotkało, jego, człowieka o największej dobroci, o najczulszym sercu, o najwyższej wartości duchowej. Nie, Janku. Pokochałam pana zbyt późno, niestety. Dziś już nie mogę, nie mogę się cofnąć. Brzydziłabym się sama sobą, gdybym musiała zaliczać siebie do tych wszystkich ludzi, którzy go pokrzywdzili. Nie, Janku. Nie umiałabym żyć z przeświadczeniem, że popełniłam podłość... Ciężko mi, Bóg widzi, jak ciężko, ale na to nie ma rady.

– Łucjo – zaczął, lecz mu przerwała:

– Nie mówmy o tym. Po co mamy na próżno szarpać swoje nerwy.

– Ależ wysłuchaj mnie. Jestem najmocniej przekonany, wiem o tym, że profesor bynajmniej nie zamierza domagać się od ciebie dotrzymania obietnicy.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? – zapytała zdziwiona.

– Sam mi o tym powiedział.

– Jak to?... Ty z nim o tym mówiłeś! To niemożliwe!

– Nie o tym. Ale jestem przekonany, że umyślnie chciał mi dać do zrozumienia, bym nie tracił nadziei zdobycia ciebie.

– Ach, do zrozumienia? – powiedziała z smutnym uśmiechem. Kolski zniecierpliwił się.

– No więc powtórzę ci naszą rozmowę. Ni z tego, ni z owego zapytał mnie, ile mam lat i dlaczego się nie żenię. A później zaczął namawiać mnie do małżeństwa i najwyraźniej w świecie powiedział, że nie wolno jest żenić się w późnym wieku i że nie wolno żenić się z kobietą znacznie młodszą. To najwyraźniej w świecie brzmiało jak oświadczenie: jeżeli ją kochasz, to

ją bierz. Z mojej strony możesz się nie spodziewać żadnych przeszkód, gdyż ja się z nią nie ożenię;

Przez chwilę w oczach Łucji zabłysła radość. Nie mogła wątpić w prawdę słów Kolskiego.

Na pewno Wilczur powiedział mu to, i powiedział, być może, z tą intencją. Jednakże to bynajmniej nie rozwiązywało rąk Łucji, nie otwierało dla niej wolnej drogi.

Sytuację należało rozumieć w ten sposób, że profesor po powrocie doszedł do przekonania, iż podczas jego nieobecności w uczuciach Łucji zaszła zmiana. Tak jak pan Jurkowski, jak i ów starszy pan, który nazwał ją i Kolskiego dobraną parą, Wilczur odkrył jej miłość do Kolskiego. I ten szlachetny człowiek, którego życie było jednym pasmem wyrzeczeń się dla dobra innych, i tym razem postanowił postąpić tak samo. Nowa rezygnacja i jeszcze jedna karta bolesna w pamiętniku życia. Ale Łucja nie mogła, nie miała prawa podpisać tej karty. Za żadne skarby. Oczywiście wolno mu zrobić szlachetny i może najszczerzy gest wyrzeczenia się, lecz ona byłaby istotą bezł czi i sumienia, gdyby taki dar przyjęła od niego, który już

wszystko

rozdał, którego odarto ze wszystkiego. Jest przy nim i musi przy nim pozostać.

Wiedziała, jak ma postępować. Jak najszybciej wyprawić Kolskiego do Warszawy, opanować swoje nerwy i każdym słowem, każdym gestem, dzień po dniu udowodniać Wilczurowi, że bynajmniej się nie zmieniła, że nadal jedynym jej pragnieniem jest zostanie jego żoną.

354

Wstała i poprawiając przed lustrem włosy, powiedziała spokojnie:

– Nie, panie Janku. To w niczym nie zmienia sytuacji.

– Jak to nie zmienia? – zdziwił się. – Przecież on najwyraźniej zwraca pani wolność. Łucjo, co pani mówi?

– Zwraca, ale dlaczego? Jakimi motywami się kieruje?

– O to już mniejsza.

– Wcale nie. Rezygnuje tylko dlatego, że sądzi, iż ja pana... Kocham.

– Ale to przecież prawda!

– Gdyby jednak tego się nie domyślał, jestem pewna, że nie wyrzekłby się mnie.

– Skoro się już jednak domyślił – zauważył Kolski – sprawa się stała dlań jasna. Cóż pani na to poradzi?

– Przekonam go, że się myli. Kolski się oburzył.

– To nonsens. To jest zbrodnia przeciwko własnemu uczuciu!

– Jeszcze większą zbrodnią byłoby skazanie go na samotność, zdeptanie jego uczuć, odebranie mu resztek nadziei. Nie, panie Janku. Nie może pan tego ode mnie wymagać. Gdybym tak postąpiła, wspomnienie o tym zatrzałoby mi całe życie. Skaziłoby każdą minutę naszego szczęścia. Nie, panie Janku. Nie wolno nam tak postąpić.

– Na miłość boską, panno Łucjo! A czy nie zdaje pani sobie sprawy, że zostając przy nim,

raz na zawsze przekreśla pani i swoje szczęście, i moje?

Potrząsnęła głową.

– Wiem. Ale wszyscy dotychczas przekreślali szczęście profesora. Żona go rzuciła dla jakiegoś chłystka, przez długi szereg lat żył w tragicznej nędzy, poniewierany, wtrącany do więzienia, by wreszcie gdy odzyskał pamięć, stać się celem najohydniejszej potwarzy, najpodlejszych podkopów, najwstrętniejszych intryg. Pozbawili go majątku, stanowiska, wygryźli ze stolicy. Nawet rodzona córka prawie o nim zapomniała. Nie, panie Janku. Nie. Wolałabym umrzeć niż znaleźć się wśród tych wszystkich ludzi, którzy za jego wielkoduszność, za jego bezgraniczną dobroć i szlachetność zapłacili podłością. Jeżeli pan tego nie zrozumie, to naprawdę przekonam się, że ma pan serce oschłe i że nie znajdziemy z panem nigdy wspólnego języka.

W jej głosie zabrzmiała gorycz, a Kolski opuścił głowę i po pauzie powiedział:

– Rozumiem to. Jakże mogę nie rozumieć. Tylko pogodzić się z tym nie umiem.

Do pokoju wszedł Pawlicki.

– No, jakże się droga koleżanka czuje? Nie lepiej? – zapytał serdecznie.

– Wie pan, że przykro mi sprawiać państwu kłopot, ale naprawdę nieszczególnie. Widocznie w ostatnich dniach za dużo pracowałam.

– Ach, to i moja wina – zawołał Pawlicki. – W ostatnich dniach zaniedbywałem lecznicę.

Solennie przyrzekam poprawę. Ale to szkoda, że pani się źle czuje, bo zaraz będzie kotylion.

Łucja uśmiechnęła się doń blado.

– Żałuję bardzo, że nie mogę w nim wziąć udziału. Jeżeli pan będzie tak dobry, to prosiłabym wydać polecenie, by zaprzęgano nasze konie.

Po krótkich ceregielach Pawlicki zgodził się i poszedł wydać dyspozycje.

W kwadrans później, otuleni w ciepłe burki, siedzieli już w bryczce. Noc była ciemna.

Żelazne obręcze kół twardo się odbijały od zamarznętej grudy. Woźnica, pomachując od czasu do czasu batem, niepotrzebnie przynaglał konie, które i tak szły dobrym kłusem.

Nie mówili zupełnie. Tylko Kolski wsunął rękę do rękawa burki Łucji i w milczeniu ścisnął jej dłoń.

W lecznicy było ciemno. Tylko nikły płomyk nocnej oliwnej lampki mdło oświetlał okna szpitalnego pokoju. Starając się stąpać jak najciszej, weszli do sieni i tu zdejmowali burki.

– Dobranoc. – Łucja wyciągnęła rękę.

355

Chciał ją przytulić i pocałować, lecz zasłoniła się stanowczym ruchem.

– Nie. Nie trzeba... I niech pan jutro wyjedzie. Jej szept brzmiał, zdawało się, zupełnie naturalnie, lecz w oczach zakręciły się łzy.

– Łucjo, Łucjo – Kolski ścisnął jej rękę.

– Dobranoc. Niech pan weźmie lampę. Ja trafię do siebie po ciemku. Kolski, wszedłszy do pokoju, usiadł i zamyślił się. Zbyt dobrze znał Łucję, by nie wiedzieć, że nie zmienia ona zbyt łatwo swoich postanowień.

Wysłuchawszy zresztą jej argumentów, zdawał sobie sprawę z tego, że nie potrafi jej przekonać. Popełniła świadomie szaleństwo, skazywała jego i siebie na rezygnację ze szczęścia, na szare, bezbarwne życie, na wieczną gorycz. Ale nie umiał znaleźć słów dość wymownych, nie umiał znaleźć dość przekonujących argumentów, by ją od tego odwieść.

Pałac jednego papierosa po drugim, przesiedział tak resztę nocy na rozpamiętywaniu tej beznadziejnej sytuacji. Gdy zaczęło świtać, wstał i przystąpił do pakowania rzeczy. Musiał zastosować się do prośby Łucji. Sam to zresztą rozumiał, że należy jak najprędzej wyjechać.

Po śniadaniu wstąpi do młyna i poprosi o furmankę do stacji. Nie mógł już dłużej wytrzymać

w tym pokoju i narzuciwszy palto, wyszedł się przejść.

Powietrze było chłodne, a wszystko dokoła, drzewa, płoty, dachy i ziemia, pokryte było gęstym szronem. Na wschodniej stronie nieba w seledynie jaskrawiały pierwsze purpurowe smugi. Dzień zapowiadał się pogodnie i mroźnie. Skręcił ku stawom. Jeszcze nie zamarzły. Zaledwie po brzegach tu i ówdzie na płytszej wodzie szkliscie rysowała się powierzchnia lodu. Doszedł do końca drugiego stawu, a gdy zawrócił, zobaczył smugę białego dymu nad kominem lecznicy. Widocznie przyszła już Donka i przygotowuje śniadanie.

Na ganku spotkał profesora.

– Dzień dobry, panie kolego – przywitał go Wilczur. :– Piękny mamy wschód słońca. Wi-dzę, że i pan lubi wczesne, samotne spacerunki. Zapukałem do pana i zajrzałem. Cóż to jest?

Dlaczego pan spakował swoje rzeczy?

Kolski nie patrząc nań odpowiedział:

– Muszę już jechać. Muszę koniecznie. Zbyt długo tu siedzę.

– Mowy nie ma. Nie puszczę pana. Jeżeli chodzi o lecznicę, niech się pan nie kłopotuje.

Ostatecznie, pan profesor Dobraniecki winien jest mi trochę wdzięczności i jeżeli pana za-trzymuję, nie może o to żywić urazy, tym bardziej że i wobec pana ma do spłacenia poważny dług moralny.

– Wiem to wszystko, ale niestety, chociaż mi tu tak miło, dłużej pozostać nie mogę.

Wilczur wziął go pod rękę.

– No, o tym pogadamy sobie później. A teraz niechże mi pan opowie, jak bawiliście się wczoraj u Pawlickich. Sądząc z tego, żeście wcześniej wrócili, nie było tam najweselej.

– Owszem – powiedział Kolski. – Zebrało się moc gości, podano wyśmienitą kolację, dużo tańczono... Wilczur przyjrzał mu się uważnie.

– A minę ma pan taką, kolego, jakby nie z balu wracał, lecz z pogrzebu. Kolski uśmiechnął

się krzywo i powiedział:

– Może i ma pan rację, profesorze.

Wilczur chrząknął i przez dłuższy czas obaj milczeli. Kolski myślał gorączkowo, czy nie najlepiej będzie, wbrew Łucji, natychmiast i otwarcie powiedzieć profesorowi, co się stało, szczerze powtórzyć swoją z nią rozmowę i prosić o pomoc. Dużo go kosztowało zmuszanie siebie do milczenia.

Pierwszy odezwał się Wilczur:

– Niech pan spojrzy, jak pięknie wschodzi słońce. Tu, na kresach, nawet późna jesień jest zawsze piękna. W tym ożywczym powietrzu płuca inaczej oddychają niż w mieście. Zwłaszcza stare płuca.

Zrobił pauzę i dodał:

356

– A chociaż pan ma młode, nie puszczę pana tak łatwo.

– Kiedy doprawdy, panie profesorze... – zaczął Kolski.

– Nie ma o czym mówić – przerwał Wilczur. – Cóż to za niesubordynacja?! No, chodźmy.

Tam już pewno śniadanie przygotowali. W pokoju Łucji istotnie czekało na nich śniadanie.

Łucja nalewała mleko

do kubków, Donka kręciła się przy stole.

Łucja przywitała się z Kolskim zupełnie swobodnie, wyglądała jednak

blado.

– Jakże się pani bawiła u państwa Pawlickich? – zapytał Wilczur, całując

ją w rękę.

Uśmiechnęła się doń wesoło.

– Ach, doskonale, profesorze. Psuło mi zabawę tylko to, że pana nic było. Wszyscy wy-

pytywali, dlaczego pan nie przyjechał, a gospodarze szczerze byli zmartwieni. Doprawdy czułam się szczęśliwa słysząc, jak się wszyscy wyrażają o panu. W przyszłym tygodniu będziemy musieli pojechać tam z panem koniecznie.

Kolski przyglądał się Łucji spod oka ze zdziwieniem, które z trudem ukrywał. Była usposobiona niemal zalotnie. Podczas śniadania zwracała się tylko do profesora, uśmiechała się doń, przysuwała mu chleb i masło, mówiła dużo i swobodnie.

Gdy już wstali od stołu, obojętnym tonem zwróciła się do Kolskiego:

- Czy pan już był u Prokopa i zamówił furmankę?
- Jeszcze nie – spuszczać oczy odpowiedział Kolski.
- Bo jeżeli pan chce zdążyć na pociąg, trzeba wyjechać przed dziewiątą.
- Dobrze. Zaraz pójde do młyna.

Wilczur chrząknął.

- Kolega Kolski jeszcze dziś nic wyjedzie. Uprosiłem go, by został. Musi mi pomóc. Będziemy dziś mieli przecież dwie poważniejsze operacje, a wątpię, by Pawlicki po balu miał ochotę zajrzeć do nas. Pewno jest zmęczony i wyleguje się w łóżku.

Nikt na to nic nie odpowiedział.

W sieni czekali już pacjenci. Nie było ich wielu. Trzy zakutan? w grube chusty babiny, jeden Litwin z Bierwint, dwoje dzieci z Nieskupy z przepuklinami. Oprócz nich był i rudy Witalis, parobek z młyna, który pośliznął się z rana na zastawie i spadając, zwichnął sobie nogę.

Do godziny dwunastej Wilczur i Łucja załatwili ich wszystkich. Kolski zajęty był jeszcze w pokoju operacyjnym zestawianiem powikłanego złamania ręki jednej z pacjentek. Miała słabe serce i wobec tego zabieg musiał odbywać się bez narkozy. Krzyki operowanej rozle-

gały się raz po raz.

Profesor zdjął kitel i myjąc ręce powiedział:

– Niech pani teraz wstąpi do mnie, panno Łucjo. Coś pani pokażę.

– Ach, tak – zawołała. – Domyślam się. Wczoraj przecież miała nadejść paczka z zakupionymi przez pana aparatami.

– Przyszła rzeczywiście – potwierdził Wilczur. – Lecz oprócz niej otrzymałem coś jeszcze. Coś bardzo ciekawego.

– Naprawdę jestem zaintrygowana.

– Wie pani, że podczas pobytu w Wilnie nawiązałem znajomość z doktorem Józwińskim, który wykłada na tamtejszym uniwersytecie. Bardzo świątły i miły człowiek. Wiedział już o naszej lecznicy i bardzo się nią zainteresował. Opowiadałem mu wiele o tutejszej pracy, a teraz napisał do mnie list. Chcę go pani pokazać.

– Przeszli do pokoju Wilczura i profesor podał Łucji złożony arkusik papieru. Rozwinęła i przeczytała:

357

„Czcigodny Profesorze i drogi Kolego! Wczoraj otrzymałem Pańską kartkę i ucieszyłem się, że będę się mógł Panu na coś przydać. Ja i moi pupile. Rozmawiałem już z kilkoma. Większość przyjmuje Pańską inicjatywę z entuzjazmem. Pracować pod pańskim kierownictwem – nie owijajmy rzeczy w bawełnę – to przecież zaszczyt dla każdego lekarza, nie tylko dla początkującego. Niezupełnie zgadzam się z Panem, że należy wybierać kandydatów posiadających jakie takie dochody. Na razie mam ich trzech. Na pierwszy ogień przyślę Panu najzdolniejszego z nich, doktora Szymona Jasińskiego. Jest to młody chłopak z dobrej rodziny, pracowity, sumienny i zapowiadający się na doskonałego lekarza. Jestem przekonany, że pod pańską ręką stanie się nim rzeczywiście. Półroczny staż w pańskiej lecznicy świetnie mu

zrobi. Po sześciu miesiącach przyślę Panu następnego. Rozmawiałem już z dziekanem i oczywiście bez najmniejszego sprzeciwu zgodził się na zaliczanie im praktyki u Pana. Może Pan być pewien, drogi Profesorze, że pamiętamy tu o Panu i nie zostawimy Go samego bez pomocnika ani na jeden dzień. Dr Jasiński wyjeżdża pojutrze. Najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia dalszej owocnej pracy przesyła szczerze oddany – F. Józwiński”.

Łucja skończyła czytać i podniosła na profesora oczy.

– Jakże się to pani podoba? – zapytał Wilczur.

– W zasadzie... – zaczęła Łucja – w zasadzie to jest rzeczywiście bardzo piękna myśl.

Ale...

– Jakie ale?

– Nie rozumiem tu jednego: dlaczego w liście jest powiedziane, że nie zostawią pana samego? Przecież skoro profesor opowiadał tam o naszej lecznicy, pewno wspomniał pan również i o mnie?

Głos Łucji z lekka drgał. Przeczynała, co usłyszy od Wilczura. Profesor skinął głową.

– Ach, nie tylko wspominałem. Podnosiłem pod niebiosy pani poświęcenie, droga panno Łucjo. Nie wyobrażam sobie lepszej pomocy niż ta, jaką miałem od pani.

Łucja przygryzła wargi.

– Dlaczego pan używa czasu przeszłego? Wilczur odpowiedział spokojnie:

– Dlatego, panno Łucjo, że z pomocy tej, niestety, będę musiał zrezygnować.

– Profesorze!...

– Przecież rozumiemy to oboje, panno Łucjo. Zmarszczyła brwi.

– Ja tego... nie rozumiem – powiedziała z przekonaniem. – Nie rozumiem i nie zrozumieć nigdy. Jeżeli pan był zadowolony ze mnie, a jestem przekonana, że tak, dlaczego chce mnie się pan pozbyć? Profesorze! Jak pan może nawet bez porozumienia się ze mną przekreślać

wszystkie nasze wspólne plany!

Wilczur uśmiechnął się, a w jego oczach zamigotał smutek.

– Nie ja je przekreśliłem. Przekreślił je los. Przeznaczenie. A przekreślone zostały dlatego, że nigdy nie miały racji bytu.

– To nieprawda – zaprotestowała żywo.

– Najprawdziwsza prawda. – Profesor pokiwał głową.

– Więc udowodnię to panu.

– W jaki sposób?

– W najprostszy. Zostanę z panem. Zostanę na zawsze. Przysięgam panu, że niczego innego nie pragnę, że byłabym głęboko nieszczęśliwa, gdyby pan mnie odtrącił, gdyby pan mnie teraz odtrącił. Ułożyłam całą swoją przyszłość i całą swoją przyszłość widzę przy panu. Nie chcę innej. Nie mogę żadnej innej przyjąć. Owszem, jeżeli pan chce, by przyjeżdżali tu młodzi lekarze na praktykę, nic przeciw temu nie mam. Ale i ja zostanę. Zostanę jako pańska pomocnica, jako pańska żona. Inaczej być nie może.

Na twarzy Łucji wystąpiły jaskrawe rumieńce. Jej ręce drżały.

358

– Nie wiem, co pana skłoniło do zmiany postanowień, powziętych od dawna. I nie chcę o tym wiedzieć. Prawdopodobnie uległ pan jakimś złudzeniom. Ale myli się pan sądząc, że zrezygnuję tak łatwo z tego, do czego mam prawo.

Wilczur łagodnie wziął jej rękę.

– Panno Łucjo. Pomówmy spokojnie. Zerwała się z miejsca.

– Ach, nie, nie. Nie mamy tu w ogóle o czym mówić. Bardzo boleśnie pan mnie dotknął.

Chciała odejść, lecz Wilczur nie puścił jej ręki.

– Niechże pani usiądzie i wysłucha mnie, droga panno Łucjo. Prawie przemocą usadowił

ją z powrotem na krzesło. Trzęsła się cała, a w oczach miała łzy.

– Widzi pani – mówił spokojnym głosem. – Popelnia pani jeden błąd. W swoich rachubach pomija pani zupełnie moją osobę. Zupełnie pani nie bierze pod uwagę, że istnieję również i ja.

Że ja też myślę, że też czuję. Chce mnie

pani potraktować jako jakąś pozycję abstrakcyjną. A przecież ja Jestem żywym człowiekiem. Bardzo starym, ale przecie żywym. Czemu pani nic chce wziąć pod uwagę, że i ja tu mogę mieć jakiś głos?

– Nie rozumiem pana.

– Chce pani zostać. Chce pani tu zostać jako moja żona. I uważa pani, że powinienem być tym uszczęśliwiony. Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że ja mogę mieć o tym wręcz odmiennie zdanie.

– Kiedyś... – zaczęła Łucja. Wilczur przerwał jej:

– Kiedyś i ja mogłem tak myśleć. Ale dzisiaj jestem odmiennego zdania.

– Dlaczego dzisiaj? – Podniosła nań odważnie oczy.

– Bo dzisiaj wiem, że pani kocha innego. Łucja zacisnęła szczęki. Serce zatłukło się jej w piersi. Opanowała się jednak i powiedziała z przekonaniem:

– Nikogo nie chcę kochać. Chcę kochać pana i tylko pana. Wilczur zaśmiał się.

– Ach, droga panno Łucjo. Jest to jedna z tych dziedzin, gdzie chcieć nie znaczy móc.

Gdzie największe chcenie nic nie pomoże. Niestety, żaden człowiek nie jest panem swego serca. Panno Łucjo, wtedy nawet, gdy pani zdawało się, że żywi dla mnie miłość, wtedy nawet byłem przekonany, że pani źle ocenia swoje uczucia. Zawsze byłem wdzięczny i

wdzięczny będę za tę przyjaźń, za serdeczną życzliwość, za tyle dobra i ciepła, ile doznałem od pani. Ale to nie była miłość. Sama przekonała się pani o tym teraz, gdy pokochała pani

Kolskiego. Nie, niech pani nie przeczy. Tego nie trzeba ukrywać, a co więcej, tego niepodob-

na ukryć.

Łucja potrząsnęła głową.

– To są pańskie przywidzenia.

– Nie, panno Łucjo. To jest niewątpliwa prawda. I teraz niech pani zrozumie, niech pani weźmie pod uwagę moją sytuację. Wbrew sercu chce pani zostać ze mną. Jakże tu pani obraża sobie moją rolę?... Czy sądzi pani, że nie będzie to dla mnie największym ciężarem wiedzieć, iż stałem się dla pani przeszkodą w zdobyciu szczęścia, iż jest pani przy mnie tylko dlatego, że fałszywie sobie interpretuje poczucie obowiązku?... Przecież nie miałbym dnia spokojnego ani spokojnej nocy. Przecież czułbym się krzywdzicielem, czułbym się zawadą. Nie, panno Łucjo. Pani obecność tutaj i pani poświęcenie nie sprawiłyby niczego dobrego, lecz wiele zła. I pani, i mnie, i Kolskiemu. Byłoby to po prostu szaleństwo. Skazywać na męczarnie troje ludzi dla jakiejś zasady, która nie ma żadnego sensu.

Łucja zakryła twarz rękami i płakała.

– Nie mogę zostawić pana. Nie mogę.

– I jeszcze coś pani powiem. Takie wyrzeczenie się ze strony pani po prostu obrażałoby mnie. Oznaczałoby, że uważa mnie pani za bezradnego starca, który już sobie rady dać nie może. Byłoby to poświęcenie oparte na litości. A chyba nie sądzi pani, bym zasługiwał na litość.

359

– Tak – odezwała się wśród łkania. – Ale dlaczego pan się zawsze poświęca?

Wilczur wzruszył ramionami.

– Tu o poświęceniu z mojej strony nie może być mowy. Nie wyrzekam się pani, droga Łucjo, dlatego przede wszystkim, że pani nie jest, nie była i być nie może moją własnością. Nie może pani, bo pani sama do siebie nie należy. Serce pani już jest własnością innego. Tak,

droga Łucjo. Nie będę przed panią ukrywał, że smutno mi tu będzie bez pani, że tam czasami potęsknię, powspominam, ale przynajmniej będę miał tę radość, że nie stanąłem na drodze do waszego szczęścia, że was nie skrzywdziłem. Wciąż nie mogła się uspokoić.

– Po co on tu przyjechał? Poco przyjechał?!...

– Bardzo dobrze się stało. Niech pani pomyśli, Łucjo, że byłoby gorzej, gdyby on lub ktoś inny zjawił się nie teraz, lecz za rok lub dwa. Bo to było nieuniknione. To musiało się stać wcześniej czy później. Jest lepiej, że stało się wcześniej. Lepiej dla pani i dla mnie.

Wciąż płakała. Wilczur wstał i gładząc jej włosy mówił:

– Taki już jest los, droga Łucjo, i nie trzeba z nim walczyć. Te kilka lat, które mi do życia zostały, spędzę tu w ciszy i spokoju, a przed panią całe długie życie. Mąż, dzieci, własny dom. Kolski to naprawdę dzielny chłopak. Dzielny i uczciwy. Będzie wam z sobą dobrze. A im lepiej wam będzie, tym i moja radość będzie większa. Bo lubię was oboje, a dla pani, drogie dziecko, do końca życia zachowam najcieplejsze uczucia.

Chwyliła jego rękę i przywarła do niej ustami. Nie bronił jej i powiedział:

– Mam nadzieję, że od czasu do czasu przyjedzie tu pani mnie odwiedzić. Będzie to dla mnie prawdziwe święto... No, a teraz już trzeba się uspokoić. Już jest po wszystkim. Proszę wytrzeć oczy. Zaraz przyjdzie Donka, bo pewno już obiad gotów. Nie trzeba przed ludźmi demonstrować tych naszych spraw. No, proszę wytrzeć oczy.

Wilczur zapalił papierosa i umilkł. Łucja pomału odzyskiwała równowagę. Po dłuższym milczeniu odezwała się:

– Nie przebaczę sobie tego nigdy. Nigdy...

– Ale czego, drogie dziecko? Czy tej miłości? Czy tej szczęśliwej miłości, która uratowała i panią, i mnie od fałszywego kroku?... Powinniśmy ją błogosławić. Pomówmy teraz o sprawach praktycznych. Otóż Kolski rzeczywiście powinien już wracać do Warszawy. Najmą-

drzej zrobicie, jeżeli pojedziecie razem. Sądzę, że do wieczora zdąży się pani zapakować. A jutro rano wyjedziecie.

Łucja wybuchnęła nowym płaczem.

– Dlaczego... dlaczego pan tak prędko chce mnie się pozbyć? Pan na pewno mną pogardza!...

– Cóż za głupstwa! – oburzył się Wilczur. – Jak pani może mówić podobne nonsensy, droga Łucjo! Po prostu chcę, byście jak najprędzej mogli się połączyć, a sądzą, że im pręcej wasz wyjazd nastąpi, tym lepiej i z tego względu, <e zarówno pani, jak Kolski i ja musimy mieć trochę czasu dla zżycia się z nową sytuacją, dla przemyślenia jej... Jedźcie jutro...

– Chyba serce mi pęknie, gdy będę stąd wyjeżdżała! – zawołała Łucja z rozpaczą.

Stała pośrodku pokoju, zalana łzami i zupełnie złamana. Wilczur objął ją, przyciągnął do siebie i mówił:

– Cicho, drogie dziecko... Cicho. I dla mnie to rozstanie nie będzie łatwe. Ale cóż. To konieczność.

Zapukano do drzwi. To istotnie Donka pytała, czy można już podawać obiad. Wilczur powiedział jej, by jeszcze się z tym wstrzymała, a sam udał się do ambulatorium, gdzie zastał Kolskiego. Nie patrząc mu w oczy zaczął mówić:

– Prosiłem pana, kolego, by pan został jeszcze. Domyślał się pan zapewne, o co mi chodziło.

– Tak jest – cicho odpowiedział Kolski.

360

– Otóż panna Łucja wyjedzie razem z panem... Wiem, że się kochacie, i. szczerze życzę wam najlepszego szczęścia...

Umilkł. Kolski stał blady jak płótno i również nie umiał wydobyć z siebie ani jednego słowa.

– Uradziliśmy – odezwał się po dłuższej pauzie Wilczur – że wyjedziecie jutro rano. Tak będzie najśluszniej. A teraz niech pan pozwoli, kolego, że złożę mu powinszowania. Będzie pan miał żonę wyjątkowej wartości. Daj wam Boże...

I nie mógł dokończyć. Wyszedł z pokoju i wrócił do siebie. Nie zastał już tam Łucji. Ciężko opadł na łóżko i wsparłszy głowę na rękach, długie godziny siedział nieruchomy.

Tego dnia nikt nie jadł obiadu w lecznicy. Już o zmierzchu Łucja zaczęła pakować swoje rzeczy przy pomocy Donki. Wieczерzę podano w sieni. Wilczur musiał niemal przemocą sprowadzić Łucję. Panował posępny nastrój. Tylko Jemioł snuł swoje długie monologi, udając, że niczego nie dostrzega. Przy końcu Łucja rozplakała się i uciekła do siebie. Przez całą noc oka nie zmrużyła. Nie spał również i Wilczur. A gdy pokazał się z rana, wyglądał, jakby przeszedł ciężką chorobę.

O ósmej przed ganek lecznicy zajechał wóz drabiniasty, na którym Wasyl przy pomocy Kolskiego układali rzeczy Łucji. Chociaż wieść o jej wyjeździe już wczoraj dotarła do młyna, nikt poza Wasylem, który miał ją odwieźć na stację, nie przyszedł jej pożegnać.

Gdy już wszystko było gotowe, Wilczur jeszcze raz uściskał Łucję i życzył jej szczęścia.

Oboje nie mogli powstrzymać łez. Kolski już siedział na wozie, niecierpliwie spoglądając na zegarek. Wasyl pomógł Łucji usiąść obok niego. Sam wskoczył na przednie siedzenie, machnął batem nad końskimi grzbietami i wóz potoczył się drogą ku traktowi.

Na ganku zostali Wilczur i Jemioł. Gdy już wóz Zniknął za zakrętem, Jemioł powiedział:

– Ano, pojechali...

– Pojechali – po chwili milczenia odezwał się Wilczur. – Wszyscy odjeżdżają... Wszyscy...

I ty odjedziesz. Jemioł potrząsnął głową.

– Nie odjadę. Zostanę. Cóż chcesz? Polubiłem cię. Polubiłem cię za to, że jesteś głupi, cesarzu. Wilczur uśmiechnął się.

– Głupi... – powtórzył.

– Tak. A w dzisiejszych czasach, gdy rozum po to tylko istnieje, by tworzyć zło, czymże jest głupota, jeśli nie najwyższym dobrem? A czymże dobro, jeśli nie mądrością? Życie staje się paradoksem. Może tedy i mądre jest to, że ty, carissime, żyjesz, by dawać szczęście innym.

– Może i po to zostałem stworzony – w zamyśleniu powiedział Wilczur.

– Ty żyjesz dla innych, inni dla samych siebie, tylko ja nie wiem, dla kogo i po co żyję...

Od wielu lat szukam odpowiedzi, szukam odpowiedzi na to pytanie na dnie każdej flaszki. I nie znajduję... Widocznie na odpowiednią flaszkę trafić nie mogę. Ale nie obawiaj się! Przyjdzie kolej i na nią... Przechylę ją i w ostatnim łyku poznam prawdę...

KONIEC

Document Outline

- [TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ - ZNACHOR](#)

- [ZNACHOR](#)

- [Rozdział I](#)
- [Rozdział II](#)
- [Rozdział III](#)
- [Rozdział IV](#)
- [Rozdział V](#)
- [Rozdział VI](#)
- [Rozdział VII](#)
- [Rozdział VIII](#)
- [Rozdział IX](#)
- [Rozdział X](#)
- [Rozdział XI](#)
- [Rozdział XII](#)
- [Rozdział XIII](#)
- [Rozdział XIV](#)
- [Rozdział XV](#)
- [Rozdział XVI](#)
- [Rozdział XVII](#)
- [Rozdział XVIII](#)
- [Rozdział XIX](#)

- [PROFESOR WILCZUR](#)

- [Rozdział I](#)
- [Rozdział II](#)
- [Rozdział III](#)
- [Rozdział IV](#)
- [Rozdział V](#)
- [Rozdział VI](#)
- [Rozdział VII](#)
- [Rozdział VIII](#)
- [Rozdział IX](#)
- [Rozdział X](#)
- [Rozdział XI](#)
- [Rozdział XII](#)
- [Rozdział XIII](#)
- [Rozdział XIV](#)
- [Rozdział XV](#)
- [Rozdział XVI](#)
- [Rozdział XVII](#)

Table of Contents

[cisk,](#)

[TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ - ZNACHOR](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[PROFESOR WILCZUR](#)